

# Irwin Shaw

## *Młode lwy*

• •

Przełożył  
Tadeusz Jan Dehnel

Wydawnictwo „Książnica”

Tytuł oryginału  
*The Young Lions*

Wiersze przełożył  
Włodzimierz Lewik

Opracowanie graficzne serii  
*Marek J. Piwko*

Ilustracja na obwolucie  
*Andrzej Kacperek*

Copyright © 1948 by Irwin Shaw  
For the Polish edition  
© by Wydawnictwo „Książnica”, 1992

ISBN 83-85348-47-6

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

„Obawiam się — czytał kapitan Lewis — że zostanę poczytany za wariata, a wariatem nie jestem i nie chcę, aby mnie ktokolwiek o to podejrzewał. Piszę ten list z centralnej Czytelni Miejskiej Biblioteki Publicznej w Nowym Jorku, przy zbiegu Piątej Alei z Czterdziestą Drugą Ulicą. Mam przed sobą wojskowy kodeks karny i *Biografię księcia Malborough* pióra Winstona Churchilla. Mój sąsiad przy tym samym stole robi notatki z *Etyki* Spinozy. Podaję te szczegóły, by dowieść, że dokładnie wiem, co robię, a moje władze umysłowe działają prawidłowo.”

— Długo służę w wojsku, ale czegoś podobnego nigdy; nie czytałem — zwrócił się kapitan do sekretarki z Pomocniczej Służby Kobiet siedzącej przy pobliskim biurku. — Jak to tutaj trafiło?

— Z Głównej Komendy Żandarmerii — odpowiedziała dziewczyna. — Proszę, żeby pan zbadał tego więźnia i orzekł, czy symuluje, czy naprawdę jest chory umysłowo.

„Skończę pisać ten list — czytał dalej Lewis — a następnie pojedę metrem do Battery, gdzie wsiądę na prom i na Wyspie Gubernatorskiej oddam się w ręce władz wojskowych.”

Lekarz westchnął i pożałował na moment, że specjalizował się w psychiatrii. Każde inne zajęcie byłoby w wojsku prostsze i dawałoby więcej zadowolenia.

List był długi, pisany nieregularnym, nerwowym charakterem pisma na lichym papierze.

„Przede wszystkim pragnę podkreślić z całym naciskiem, że nikt nie pomagał mi w ucieczce z obozu i nikt nie wiedział o moim zamiarze. Mojej żony nie należy również indagować, bo od chwili przyjazdu do Nowego Jorku nie byłem u niej i w żaden sposób nie próbowałem nawiązać z nią kontaktu. Plan działania obmyślałem na zimno i za nic

nie chciałem poddać się wpływowi uczuć. Przez ostatnie dwa tygodnie nikt nie udzielił mi schronienia ani ze mną rozmawiał i nawet przypadkowo nie spotkałem nikogo z dawniejszych znajomych. W dzień wałęsałem się po mieście, a nocowałem w rozmaitych hotelach. Mam siedem dolarów, mógłbym więc wytrwać jeszcze czas pewien, stopniowo jednak zrozumbałem, jaki kurs należy obrać, i nie myślę zwlekać dłużej."

Kapitan spojrział na zegarek. Umówił się na obiad w mieście i nie chciał się spóźnić. Wstał, naciągnął bluzę i wsunął do kieszeni dziwny list. Mógł go przecież dokończyć na promie.

— Jeżeli ktoś zapyta, gdzie jestem, proszę powiedzieć, że na wycieczce w szpitalu — rzucił sekretarce.

— Tak jest, panie kapitanie — wyrecytowała dziewczyna.

Lekarz włożył czapkę i wyszedł. Przy pięknej pogodzie dął silny wiatr. Za zielonkawymi wodami portu wysokie śródmieście Nowego Jorku dumnie i bezpiecznie połyskiwało w słońcu. Lewis, jak często mu się to zdarzało, zawstydził się trochę na ów widok. Żołnierz nie powinien spędzać wojny w takim pięknym spokojnym mieście! Dziarsko zasalutował szeregowym, którzy oddawali mu honory po drodze do promu, a na górnym pokładzie, zarezerwowanym dla oficerów i ich rodzin, poczuł się całkiem po wojskowemu. Nie był złym człowiekiem. Miewał nawet niekiedy skrupuły i wyrzuty sumienia. Na odpowiedzialnym, niebezpiecznym posterunku na pewno spałyby się dzielnie. Mimo to dobrze i przyjemnie żył w Nowym Jorku. Żona z dziećmi została w domu, w Kansas City, a on mieszkał wygodnie w pierwszorzędnym hotelu, gdzie płacił za apartament zniżoną wojskową cenę. Noce spędzał na przemian z dwiema młodymi osobami, które pracowały jako modelki, a po godzinach zajęć miały jakieś funkcje w Czerwonym Krzyżu. Obie były ładniejsze i bardziej doświadczone niż wszystkie kobiety, jakie miał w życiu. Niekiedy budził się rano zgnębiony. Postanawiał, że trzeba skończyć z marnotrawstwem czasu, poprosić o przydział w rejonie działań wojennych lub co najmniej ożywić wydatnie swoją bezduszną pracę na Wyspie Gubernatorskiej. Przez dwa dni burczał, robił porządek w biurku, w rozmowach z pułkownikiem Bruce utyskiwał na nudy. Szybko jednak dawał za wygraną i wracał do milej, leniwej rutyny.

Prom szarpał się na cumach, a kapitan Lewis czytał na oficerskim pokładzie:

„Skrupulatnie roztrząsałem powody, dla których postąpiłem tak, jak postąpiłem, i jestem przekonany, że mogę wyłożyć je uczciwie

i zrozumiałe. Za bezpośrednią przyczynę tego, co się stało, uważam fakt, że jestem Żydem. Kompania składa się przeważnie z południowców, i to ludzi bez wykształcenia. Z początku koledzy byli usposobieni do mnie nieżyczliwie, lecz później zaczęli łagodnieć. Nagle sierżant, nowy dowódca mego plutonu, podsylił i uaktywnił bierną wrogość. Nie wiem, czy postąpiłbym inaczej, gdybym nawet nie był Żydem. Ale — powtarzam jeszcze raz — moje pochodzenie wywołało kryzys i ostatecznie uniemożliwiło mi życie w obozie."

Kapitan Lewis westchnął i podniósł wzrok. Prom opływał właśnie płaski cypel Manhattanu. Nowy Jork wyglądał tak jak zawsze z tego punktu: czysty, wyświeżony, godny zaufania. Trudno było sobie wyobrazić zgnębionego chłopca, który obnosi ulicami swoje troski i spieszy do Biblioteki Publicznej, by przelać je na papier i list zaadresować do komendanta żandarmerii. Bogu tylko wiadomo, co „kanarki" zrozumiały z tej epistoły!

„Głęboko wierzę — czytał dalej Lewis — że powinienem walczyć za ojczyznę. Uciekając z obozu myślałem inaczej, obecnie jednak pojmuję, że to był błąd w rozumowaniu wywołany zmartwieniami i żalem do otoczenia. Żal ten wzrósł i stał się nie do wytrzymania na skutek czegoś, co przytrafiło mi się ostatniej nocy w obozie. Wrogość całej kompanii w stosunku do mnie znalazła wyraz w szeregu walk na pięści. Dziesięciu najsilniejszych kolegów rzuciło mi wyzwanie, ja zaś byłem zdania, że muszę je przyjąć. Honorowo i nie prosząc o litość wytrzymałem dziewięć spotkań i we wszystkich zostałem pokonany. Natomiast w ostatnim udało mi się zwyciężyć. Przeciwnik zwałił mnie z nóg kilka razy, lecz w rezultacie ja go znokautowałem, co stanowiło zakończenie wielotygodniowych zapasów. Poprzednio widzowie — czyli cała kompania — obojętnie zostawiali mnie na ziemi, ale zwycięzcę obsypywali gratulacjami. Ostatnim razem spojrzałem na nich, jak gdybym dopominał się o wyraz uznania czy chociażby nieżyczliwego szacunku za to, czego dokonałem. Być może, postąpiłem głupio, ale nie mogłem się spodziewać, że wszyscy (co do jednego) jak na komendę odwrócą się bez słowa i odejdą. Wtedy zrozumiałem, że cały mój trud, męka i wysiłek woli poszły na marne. Nie zdobyłem sobie prawa obywatelstwa w kompanii. Patrząc na plecy oddalających się kolegów postanowiłem, że muszę zdezertować. Obecnie rozumiem jasno, że to była omyłka. Wierzę w naszą ojczyznę. Wierzę w tę wojnę. Zdaję sobie sprawę, że tego rodzaju indywidualne wybryki są niedopuszczalne. Muszę wal-

czyć. Sądzę jednak, że wolno mi prosić o przeniesienie do innej dywizji, gdzie mniej będzie zależało na stopniowym zdręczaniu mnie, I więcej na zabijaniu wroga.

Łączę wyrazy szacunku.

Noe Ackerman,

szeregowiec armii Stanów Zjednoczonych"

Prom przybił do brzegu i kapitan Lewis spiesznie dźwignął się z ławki. Starannie złożył list i już na kładce wsunął go do kieszeni.

„Biedny chłopiec — pomyślał i pod wrażeniem chwili miał ochotę odwołać umówiony obiad, wrócić na Wyspę Gubernatorską i zaraz wybrać się do Noego; ale opamiętał się w porę. — Cóż, skoro już jestem w mieście, mogę zjeść obiad, a później pogadać z tym dziwakiem. Pośpieszę się. Niedługo będę gotów.”

Ale dziewczyna, z którą się umówił, miała wolne popołudnie, a że czekając na stolik wypili po trzy cocktaile, chciała po obiedzie pójść do jego hotelu. Kapitan Lewis nie mógł jej odmówić, bo wydawało mu się, że poprzednim razem była dziwnie oziębła. Wolał nie ryzykować. Poza tym trochę szumiało mu w głowie, a idąc do Noego powinien mieć umysł najzupełniej jasny, trzeźwy. Należało się to biednemu chłopcu, a tyle przynajmniej mógł dla niego zrobić. Zaprowadził więc partnerkę do siebie, połączył się z biurem i prosił porucznika Klausera, by za niego podpisał listę wyjścia.

Z dziewczyną bawił się wybornie i około piątej po południu doszedł do wniosku, że nigdy nie traktowała go oziębłe. Był osłem, skończonym osłem, że wymyślił coś podobnego!

Interesantka była ładna i sympatyczna, chociaż z trudem tłumiona rozpacz wyglądała z jej dużych, ciemnych oczu. Niewątpliwie spodziewała się dziecka, a jej ubiór wskazywał na niedostatek. Kapitan Lewis westchnął. Rozmowa zapowiadała się jeszcze gorzej niż przewidywał.

— Bardzo dziękuję, kapitanie — rozpoczęła Hope — za łaskawe zwrócenie się do mnie. Noemu nie wolno widywać się ze mną ani pisywać. Nie doręczają mi też moich listów.

Mówiła chłodnym, opanowanym głosem, bez tonów skargi.

— Wojsko, pani Ackerman, załatwia wszelkie sprawy na własny, specyficzny sposób — powiedział Lewis i odczuł w duchu, że wstydzi się za wszystkich ludzi na tej wyspie, za wszystkie mundury, działa i budowle. — Jestem pewien, że pani zrozumie mnie właściwie.

— Tak sądzę. Czy Noe zdrów?

— Mniej więcej — odpowiedział dyplomatycznie kapitan Lewis.

— Będę go mogła zobaczyć?

— Zapewne. O tym właśnie pragnę z panią porozmawiać. — Spod oka zerknął na umundurowaną sekretarkę, która siedząc za biurkiem gapiała się ciekawie. — Proszę zostawić nas samych — rzucił sucho.

— Tak jest, panie kapitanie.

Dziewczyna wstała niechętnie i bez pośpiechu wyszła z pokoju. Miała tłuste lydki i jak zawsze przekrzywione szwy pończoch.

„Dlaczego tylko takie szantrapy garną się pod sztandary?” — pomyślał Lewis i zmieszał się straszliwie, jak gdyby poważna ciemnooka kobieta, która siedziała sztywno na twardym krześle obok biurka, mogła czytać głupie myśli, jak gdyby wyraziła chłodnym spojrzeniem wstręt i pogardę.

— Spodziewam się, że pani orientuje się poniekąd w sytuacji, choć nie widuje męża i nie otrzymuje od niego wiadomości — podjął oficer.

— Tak. Jego przyjaciel, szeregowiec Whitacre, który był z nim razem na Florydzie, kilka dni temu przejeżdżał przez Nowy Jork. Odwiedził mnie przy sposobności.

— Hm... Przykra sprawa... Niewymownie przykra...

Lewis zarumienił się, bo na zaciętych wargach Hope dostrzegł nikły cień ironicznego uśmiechu, uśmiechu ze swojego współczucia.

— A zatem — podjął żywo — sytuacja przedstawia się następująco: Pani mąż prosił o przeniesienie do innej jednostki... Praktycznie rzecz biorąc, może zostać oddany pod sąd za dezercję.

— Przecież nie zdezerterował — zaprotestowała Hope. — Zgłosił się dobrowolnie.

— Z pewnego punktu widzenia zdezerterował, bo w momencie ucieczki z obozu nie miał zamiaru wracać.

— Ol Paragrafy przewidują wszystko — westchnęła Hope.

— Obawiam się, że prawie wszystko.

Lewis czuł się nieswojo wobec tej opanowanej, chłodnej kobiety, która spoglądała nań przenikliwie. Wolalby już łzy i rozpacz.

— Jednak — ciągnął tonem urzędowym — władze wojskowe biorą pod uwagę pewne okoliczności łagodzące i...

— Dobry Boże! — wybuchnęła Hope. — Okoliczności łagodzące!

— i... przez wzgląd na nie—kapitan nie dał zbić się z tropu — nie zamierzają postawić pani męża przed sądem. Chcą po prostu przywrócić mu prawa i obowiązki służbowe.

Hope uśmiechnęła się pogodnie, miło.

„Śliczna kobietka — pomyślał Lewis. — Znacznie ładniejsza niż moje modelki.”

— W takim razie nie istnieje żaden problem — powiedziała.  
— Mój mąż chce wrócić, a władze wojskowe chcą go przyjąć. Wszystko w porządku, prawda?

— Niezupełnie. General dowodzący Bazą Uzupelnień, z której szeregowiec Ackerman zdezertował, nalega, by pani mąż wrócił do swoje; kompanii, a tutejsze władze nie zamierzają wtrącać się w tę sprawę.

— Aha — powiedziała głucho Hope.

— Pani mąż nie chce wracać — ciągnął oficer. — Twierdzi, że woli proces.

— W dawnej kompanii zatłuką go, jeżeli wróci — szorstko rzuciła Hope. — Czy o to chodzi panu generałowi i tutejszym władzom? .

Lewis uważał za swój obowiązek umiarkowaną obronę porządków wojskowych. Nie na darmo przecież nosił mundur z dwoma srebrnymi prostokątami kapitana.

— Spokojnie, pani Ackermana spokojnie — odparł. — Sprawa nie wygląda aż tak źle.

— Nie wygląda aż tak źle, kapiitanie? — obruszyła się kobieta.  
— A jak źle, pańskim zdaniem?

— Doprawdy, bardzo mi przykro — powiedział Lewis pojednawczym tonem. — Rozumiem pani nieprzyjemną sytuację i proszę mi wierzyć, chcę pomóc...

— Oczywiście. Chce pan pomóc. — Impulsywnie dotknęła palcami jego ręki. — Bardzo przepraszam, kapiitanie.

— Jeżeli dojdzie do rozprawy, pani mąż niewątpliwie dostanie się do więzienia — ciągnął Lewis. — Na długo... bardzo długo. Może to być dwadzieścia lat... dwadzieścia pięć. Czy ja wiem? W czasie wojny sądy wojskowe są skłonne do surowych kar.

Kapitan nie powiedział, iż w sprawie szeregowca Ackermana rozpoczął zdecydowane kroki. Zredagował uszczypliwy list do Generalnego Inspektora Armii i brulion schował do szuflady biurka, aby dnia następnego wyszlifować go do stanu absolutnej doskonałości. Pomyślał jednak, że bez potrzeby „wychyla się” i naraża na przykre konsekwencje, gdyż armia nie ma zwyczaju dyskutować z oficerami krytykującymi swoich przełożonych, lecz wysyła ich po cichu, do miejsc bardzo nieprzyjemnych — takich na przykład, jak Assam, Islandia czy Nowa Gwinea. Wołał też nie mówić Hope, że przez cały następny dzień nosił swoje dzieło w kieszeni i przeczytał je co najmniej czterokrotnie, a o piątej po południu podarł kłopotliwą kartkę i spił się wieczorem ze zmartwienia.



— Wiem już, dlaczego mnie pan wezwał — powiedziała smutno Hope. — Mam przekonać Noego, by zgodził się wrócić do swojej dawnej kompanii.

Lewis z trudem przelknął ślinę.

— Coś koło tego, pani Ackerman — bąknął niepewnie.

Hope spojrzała w okno. Na dziedzińcu trzech więźniów w granatowych drelichach ładowało na ciężarówkę cebry z kuchennymi odpadkami, stali nad nimi dwaj wartownicy z karabinami pod pachą.

— Kapitanie, czy w cywilu był pan również psychiatrą? — spytała obcesowo.

— Kto?... Ja... Naturalnie.

Nieoczekiwane pytanie zbiło go z tropu.

— A dzisiaj nie wstyd panu samego siebie? — roześmiała się szyderczo.

— Pani Ackerman — powiedział sucho. — Mam konkretne zadanie i spełniam je najlepiej, jak potrafię.

Kobieta podniosła się z krzesła. Stała ciężko, jak gdyby płód dzwigan w łonie zawadzał jej nieznośnie. Zbyt ciasna spódnica była komicznie poddarta z przodu. Lewis wyobraził sobie Hope, która uparcie przerabia stare szmaty, bo nie może kupić sukni na okres ciąży.

— Zgoda — powiedziała chłodno. — Zastosuję się do pańskiego życzenia.

— Dobrze. Dziękuję pani.

„Właściwie to jedyne wyjście dla wszystkich stron zainteresowanych. Nawet ten chłopiec najmniej ucierpi w takim wypadku” — pomyślał Lewis i niemal w to wierzył sięgając po słuchawkę, by połączyć się z kapitanem Masonem z dowództwa żandarmerii i zawiadomić go, że szeregowiec Ackerman będzie miał wkrótce gościa.

Poprosił o numer wewnętrzny. Czekał, aż się Mason odezwie, i słuchał brzęczenia sygnału.

— Aha — zwrócił się do Hope nie patrząc na nią przez delikatność i dyskrecję. — Czy pani mąż wie o... ehm... dziecku?

— Nic nie wie.

— Cóż... mogłaby pani posłużyć się tym argumentem — ciągnął kapitan trzymając brzęczącą słuchawkę przy uchu. — To może wpłynąć na ostateczną decyzję... Rozumie pani? Wzgląd na dziecko... Ojciec w więzieniu... Znieszławiony...

— Rozumiem! — wybuchnęła Hope. — Jak to dobrze być psychiatrą! Człowiek robi się taki praktyczny.

Lewis by) coraz bardziej zakłopotany,

— Pani Ackerman—zaczął niepewnie—ja nie wysuwam sugestii, ale...

— Zechce pan nie pleść głupstw i trzymać język za zębami! — przerwała,

„Wielki Boże! — pomyślał z żalem. — Wojsko z każdego robi durnia. Nigdy nie zachowałbym się tak podle w szarym garniturze,”

— Kapitan Mason — odezwał się suchy głos w słuchawce.

— Jak się masz, Mason — odpowiedział z ulgą Lewis. — Jest u mnie pani Ackerman. Każ zaraz doprowadzić Ackermana do rozmównicy.

— Macie pięć minut :— oznajmił żandarm.

Zagradza] drzwi pustej izby, w której okno było zakratowane, a na środku nagiej podłogi stały dwa drewniane krzesła.

Jak powstrzymać łzy? To najważniejszy problem. Noe wydawał się bardzo mały. Złamany, krzywy nos, groteskowy kształt ucha, blizna *przecinająca* brew... To było przykre, ale mniej przykre niż wrażenie tej małości. Miał na sobie sztywny granatowy kombinezon, o wiele za obszerny. Był w nim jakiś filigranowy, zagubiony. I jeszcze jedno: w wojsku i areszcie nauczono go przeszywającej serce pokory. Mówiło o niej wszystko oprócz oczu: niepewny krok, jakim wszedł do rozmównicy, blade, trwożliwy uśmiech na powitanie żony, ukradkowy, śpieszny pocałunek w obecności żandarma, stłumiony, matowy głos, który bąknął: „Dzień dobry.” Strasznie było pomyśleć o przewlekłym, okropnym procesie, który zrodził w Noem tę haniebną pokorę. Tylko oczy połyskiwały dumnie, uparcie.

Stykając się kolanami siedzieli na twardych krzesłach sztywno niby dwie starsze panie na oficjalnej popołudniowej herbatce.

— No widzisz... widzisz—zaczął Noe cicho i znów uśmiechnął się blade.

Obrzydliwie wyglądały różowe luki w miejscach, gdzie wygoiły się już rany po wybitych zębach. Skrzywione usta nadawały twarzy głupi, bezmyślny wyraz. Ale Hope patrzyła spokojnie, bo Whiteacre uprzedził ją o cielesnych obrażeniach męża.

— Hope — ciągnął Noe — nigdy nie zgadniesz, o czym tu ciągle myślę.

— Nie zgadnę — odparła spokojnie. — Ciekawa jestem.

— O czymś, co ty mi powiedziałaś... dawno.

— Ja?

— Powiedziałaś: „Widzisz, nie było za gorąco. Wcale nie było za gorąco”—uśmiechnął się do żony, a żona z trudem pohamowała płacz.

— Doskonale pamiętam ton, jakim to powiedziałaś.

— Masz też co wspominać! — Próbowała się uśmiechnąć.

Przez chwilę patrzyli na siebie *w milczeniu*, jak *gdyby wyczerpali* cały temat rozmowy.

— Twój wuj z rodziną nie wyprowadzili się z Brooklynu, co? — podjął Noe. — Ogród jest taki sam?

— Tak.

Żandarm, który stał oparty plecami o drzwi, przestąpił z nogi na nogę.

— Słuchaj —• zmieniła temat Hope. — Widziałam się z kapitanem Lewisem. Wiesz, co mi radził, prawda?

— Wiem.

— Nie chcę cię namawiać do niczego. Postąpisz, jak uznasz za stosowne.

W tej chwili spostrzegła, że Noe przygląda się jej badawczo. Z twarzy przeniósł wzrok na brzuch wydymający przyciasną, starą spódnice.

— Lewisowi nie obiecałam nic — ciągnęła—nic absolutnie, masz więc...

— Hope — przerwał. — Hope, powiedz mi całą prawdę?

— Znasz całą prawdę — westchnęła Hope. — Już tylko pięć miesięcy. Nie mam pojęcia, dlaczego nie napisałam ci o tym w porę. Widzisz, dużo muszę leżeć w łóżku. Rzuciłam pracę. Lekarz powiada, że grozi mi poronienie, jeżeli się będę męczyć. Chyba to główny powód mojego milczenia. Czy ja wiem? Wolałam, żebyś się mną nie przejmował.

Noe spojrzął na żonę poważnym wzrokiem.

— Jesteś zadowolona?

— Nie wiem... — Hope zapragnęła nagle, by żandarm padł trupem. — Nic nie wiem. Głupia jestem! Głupia! W każdym razie niech to nie wpływa na ciebie... tak czy inaczej...

Noe westchnął. Później pochylił się ku żonie i pocałował ją w czoło.

— To cud — szepnął. — Prawdziwy cud!

Hope zmierzyła wzrokiem żandarma, pustą rozmównicę, zakratowane okno.

— Straszne — szepnęła. — Dowiedzieć się takiej rzeczy w takim miejscu... Straszne!

Żandarm potarł głośno plecami o futrynę drzwi.

— Jeszcze minuta — rzuć! obojętnie.

— Nie martw się o mnie — podjęła Hope. — Wszystko ułoży się dobrze. Wyjadę do rodziców. Będę miała opiekę. Nie martw się o mnie.

Noe wstał.

— Wcale się nie martwię... Dziecko... Widzisz, nic nigdy nie wiadomo... — Rozłożył ręce bezradnym, chłopięcym ruchem, a Hope omal nie wybuchnęła śmiechem na widok tego dobrze znanego, kochanego gestu. — Nic nigdy nie wiadomo.

Podszedł do okna i przez kraty wyjrzał na otoczony murem dziedziniec. Kiedy odwrócił się, twarz miał kamienną, nieruchomą.

— Proszę cię — powiedział. — Idź zaraz do kapitana Lewisa. Zawiadom go, że pójde wszędzie, gdzie mnie wyślą.

Hope zerwała się z krzesła i zawołała tonem protestu, a zarazem niewypowiedzianej ulgi:

— Noer Noe!

— Koniec! Widzenie skończone — oznajmił żandarm otwierając drzwi.

Więzień wrócił na środek rozmównicy. Pocałował żonę. Odpowiedziała pocałunkiem. Na sekundę przycisnęła do policzka jego rękę.

— Pani pozwoli — przynaglił żandarm.

Wyszła, lecz korzystając z ostatniej chwili odwróciła się i spojrzała na męża. Stał pośrodku izby. Nie odrywał od niej przenikliwego wzroku. Żandarm zatrzasnął drzwi. Widzenie było skończone.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

— Nie chcę owijać prawdy w bawelnę — rozprawiał Colclough. — Z przykrością widzę was tutaj, Ackerman. Jesteście zakałą kompanii i, moim zdaniem, za sto lat nie będzie z was porządny żołnierz. Ale, jak Boga Jedynego kocham, nie pożałuję starań, żeby z was zrobić porządnego żołnierza, choćbyście mieli zdechnąć!

Noe gapił się na jasną plamkę drgającą na czubku kapitańskiego nosa. Nic się tu nie zmieniło. W kancelarii świeciła goła żarówka. Colclough mówił to samo, identycznym tonem i z nieodmienną miną. Cuchnęły stare szpargały, piwo, przepocone mundury, oliwa do czyszczenia broni i źle wyschnięte drewno. Szeregowiec Ackerman nie mógł uwierzyć, że przez kilka tygodni nie był w obozie, że coś innego działo się w tym czasie.

— Rzecz zrozumiała, że nie będziemy się z wami cackali—ciągnął kapitan powoli, z pełną namaszczenia uciechą. — Żadnych przepustek. Żadnych urlopów. Z miejsca pójdziecie do kuchni na dwa tygodnie dzień po dniu. A później, aż do odwołania, praca w kuchni w każdą sobotę i niedzielę. Zrozumiano?

— Tak jest, panie kapitanie.

— Dostaniecie tę samą pryczę co dawniej. I uprzedzam was, Ackerman, musicie być żołnierzem pięć razy lepszym niż ktokolwiek inny w tym oddziale. Inaczej krewa z wami, zrozumiano?

— Tak jest, panie kapitanie.

— A teraz jazda stąd! Od dziś nie chcę was więcej widzieć w kancelarii. Zrozumiano?

— Tak jest, panie kapitanie. Dziękuję, panie kapitanie.

Noe zasalutował i wyszedł. Leniwie włókł się dobrze znajomą drogą w stronę nie mniej znajomego baraku. Dławiło go w gardle,

Diestl bez pośpiechu zszedł zboczem wąwozu nad koryto strumienia. Mniej więcej o dziesięć metrów od mostu stok był łagodny, pozbawiony szczelin i luźno leżących kamieni. Pod mostem ciągnęło się suche, piaszczyste łóżysko, a nad nim rzadkie krzaki i kilka pojedynczych głazów. Christian niemal bezwiednie oceniał sytuację.

„Zrobi się — myślał. — To nawet żadna sztuka.”

Pluton przezornie zszedł z mostu i po północnej stronie wąwozu stał na drodze, gotowy na pierwszy pomruk samolotowego śmigła schronić się w rowie obok pionierów.

„Istne króliki — pomyślał z goryczą Diestl. — Zapomnieliśmy już żyć po ludzku.”

Kapral kręcił się niespokojnie przy wejściu na most. Wreszcie nie wytrzymał:

— No i co, panie sierżancie? Możemy ruszać?

Christian puścił pytanie mimo uszu. Spokojnie przeszedł sto metrów prostej drogi i zatrzymał się na zakręcie. Przymknął oczy, wyobraził sobie pierwszego Anierkanina na tym miejscu: Leży płasko na brzuchu i wychyla głowę zza pagórka, by upewnić się, że nic nie grozi. Później głowa niknie i za chwilę pojawia się inna — zapewne głowa młodego porucznika. Christian pomyślał, że armia amerykańska dysponuje niewyczerpanym zasobem młodych poruczników, których chce się pozbyć korzystając z wojny. Następnie drużyna, pluton lub może nawet kompania wyjdzie ostrożnie na prostą drogę. Trzymając się jej skrajów, spoglądając nerwowo pod nogi, aby przypadkiem nie przegapić miny, żołnierze zbliżą się do mostu.

Christian odwrócił się i znów zmierzył wzrokiem grupę głazów położonych wysoko nad drogą, odległych niemal o kilometr. Był przekonany, że stamtąd można panować nad mostem i podejściami do mostu. Ale nie na tym koniec. Ze znacznej wyniosłości widać na pewno drogę za poprzednim, niższym pasmem wzgórz, które pluton ostatnio przebył. Amerykanie zdradzą się znacznie wcześniej, nim miną zakręt i wyjdą na krótki prosty odcinek drogi prowadzącej do mostu.

Diestl poważnie kiwnął głową. Miał gotowy plan, jak gdyby opracowany przez kogoś innego, podsunęty w skończonej formie. Szybko zawrócił, przeszedł most i zbliżył się do skupionej w rowie drużyny pionierów. Dowodzący nią sierżant zmierzył Christiana natarczywym wzrokiem.

-r- Chcesz pan tutaj zimować? — rzucił cierpko.

— Miny pod mostem założone? — zapytał Diestl.

— Wszystko gotowe. Odprowadź pan swój pluton, a za minutę podpalimy lont. Nie mam pojęcia, co pan właściwie robi, ale powiem otwarcie, że to łażenie tam i nazad działa mi na nerwy. W każdej chwili mogą nadejść Amerykanie no i...

— Ma pan długi lont? — przerwało mu pytanie. — Taki, co będzie się tlił z piętnaście minut?

— Mam — zdziwił się pionier. — Ale nie będzie potrzebny. Przy tych ładunkach jest lont jednodominutowy. Ten, co go podpali, akurat zdąży bryknąć i...

— Proszę zdjąć ten lont i zaraz założyć drugi.

— Posłuchaj pan, sierżancie — obruszył się pionier. — Dostałeś pan swoje zadanie: przeprowadzić te swoje ofermy przez most. Ja też dostałem jasne zadanie: Wysadzić most. Nie uczę pana, co ma pan robić ze swoim plutonem. Nie ucz mnie pan, co mam robić ze swoim mostem.

Diestl spojrział śmiało na sierżanta pionierów, krępego mężczyznę, który jakimś cudem zdołał zachować pokaźną tuszę. Robił wrażenie tłuściocha cierpiącego często na zaburzenia żołądkowe. Miał w tej chwili urażoną pewną siebie, protekcyjną minę.

— Będę też potrzebował dziesięć tych pudełek — podjął Christian wskazując ręką stos min ułożonych przy drodze.

— Ja też ich będę potrzebował — odburknął pionier. — Chcę zaminować drogę po tamtej stronie mostu.

— Amerykanie mają wykrywacze. Wybiorą pańskie miny jedną po drugiej.

— To nie mój interes. Dostałem taki rozkaz i muszę go wykonać.

— Zostanę tutaj z moim plutonem — oznajmił Christian. — Dopilnuję, żebyście nie kładli min bez sensu.

— Posłuchaj no pan, sierżancie — głos grubasa dygotał z tłumionej pasji. — Teraz nie pora na dyskusje. Lada moment Amerykanie...

— Brać miny! — zwrócił się Diestl do drużyny pionierów. — I za mną!

— Za pozwoleniem! — wybuchnął sierżant wysokim, piskliwym głosem. — Ja dowodzę tymi ludźmi nie pan!

— No to powiedz im pan, żeby wzięli miny i szli za mną. Czekam! Zrozumiano? — rzucił oschłym tonem.

Starał się jak najwierniej naśladować styl porucznika Hardenburga.

Grubas sapał głośno ze złości i strachu. Co kilka sekund zerkał w stronę zakrętu drogi, jak gdyby zaraził się od łącznika z batalionu i wypatrywał nadchodzących Amerykanów.

— Dobrze, dobrze. Niech będzie! — skapitulował wreszcie.  
— Mnie tam wszystko jedno. Ile min trzeba?

— Dziesięć.

— Największe zmartwienie — zaczął burczeć dowódca pionierów — że w naszej armii jest cała kupa gości, którym się zdaje, że wiedzą, jak wygrać wojnę bez niczyjej pomocy... Niech to choroba!

Klął, ale podniósł swoich ludzi, a Christian poprowadził ich na dno wąwozu i wybrał miejsce na miny. Później kazał pionierom starannie zatrzeć ślady, a wykopany piasek odnieść w hełmach w pobliskie zarośla. Dozorując tych zajęć z uśmiechem przyglądał się, jak grubas własnoręcznie zmienia lonty przy małych, niewinnie wyglądających ładunkach dynamitu, umieszczonych pod łukiem mostu.

— No, zrobione—burknął ponuro pionier, kiedy Christian wrócił na drogę. — Długi lont założony. Masz pan, czegoś pan chciał, chociaż nie wiem po jaką cholereę. Zaraz podpalić?

— Nie. Pionierzy nie są mi już potrzebni. Odmaszerować.

— O, co to, to nie! — warknął pośpiesznie sierżant. — Dostałem rozkaz, by wysadzić most. Muszę dopilnować, żeby naprawdę wyleciał w powietrze. Dopilnować osobiście — dodał z namaszczeniem.

Christian był nadal opanowany, zimny.

— Lont zapalimy — powiedział — kiedy Amerykanie będą o kilkadziesiąt kroków. Jeżeli chcesz pan do tej pory tkwić pod mostem, ja osobiście życzę panu wszelkiej pomyślności.

— Nie mam czasu na kpiny — odparł z godnością grubas.

— No, wynosić się! Zrozumiano?! — wrzasnął Christian, bo pamiętał dobrze, jakie rezultaty osiągał Hardenburg posługując się pełnym głosem. — Nie chcę was widzieć ani minuty dłużej. Wynosić się, bo będzie krucho!

Z zaciśniętymi pięściami postąpił krok naprzód. Miał groźną minę, jak gdyby z trudem panował nad sobą i lada chwila mógł jednym uderzeniem zwalić z nóg grubasa.

Sierżant cofnął się. Pucolowata twarz zbladła mu pod hełmem.

— Nerwy — burknął ochryple. — Front działa na ludzi. Widać panu pomieszał klepki!

— Odmaszerować! Ale to już! — krzyknął Diestl.

Pionier odwrócił się i poszedł na drugą stronę mostu, gdzie tymczasem zgromadziła się jego drużyna. Krótko cichym głosem pogadał z żołnierzami, a ci wyleźli z rowu i nie oglądając się za siebie, ruszyli luźnym szykiem ku północy. Christian patrzył za nimi poważ-



nie, bez uśmiechu, bo uśmiech mógłby zniweczyć zbawienny wpływ, jaki na jego ludzi wywarł ten epizod.

— Panie sierżancie, kapitan czeka i... — zaczął łącznik z batalionu drżącym, piskliwym głosem.

Diestl odwrócił się, chwycił go za kołnierz i przyciągnął blisko do siebie. Kapral rozdziawił gębę, oczy postawił w słup.

— Jeszcze słowo a zastrzelę cię! Zrozumiano? — syknął Diestl i potrząsnął łącznikiem, aż hełm zaslonił mu oczy i boleśnie stuknął w koniec nosa.

— Dehn! — zawołał odepchnąwszy kaprala.

Niemrawa postać odbiła od stojącego za mostem plutonu i wolno zbliżyła się do sierżanta.

— Za mną!

Christian zsunął się po stoku wąwozu i starannie omijając założone świeżo pole minowe podszedł do mostu. Gestem ręki wskazał długi lont pod północnym filarem mostu.

— Dehn! Zostaniesz tutaj i jak dam znak, podpalisz lont.

Żołnierz zerknął na niebezpieczny sznur i ładunki dynamitu. Wyraźnie było słyhać jego świszczący oddech.

— A pan sierżant gdzie będzie? — zapytał.

Diestl wskazał urwisko i zębate głazy odległe o blisko tysiąc metrów.

— Tam. Między skałami nad zakrętem drogi. Widzisz?

— Widzę — wyjąkał Dehn po chwili.

— Machnę płaszczem — ciągnął Diestl. — Tylko uważaj dobrze. Dopiero wtedy podpalisz lont i sprawdzisz, czy tli się, jak trzeba. Będziesz miał kupę czasu. Później leć koło drogi do następnego zakrętu i poczekaj aż usłyszysz wybuch. Dalej możesz iść spokojnie i dołączyć do nas. Zrozumiano?

— Tak jest, panie sierżancie. A... a tutaj, na dole, zostanę sam?

— Nie. Postaram się o dwie baletnice i gitarzystkę. Będzie ci wesoło.

Dehn nie uśmiechnął się z tego żartu.

— Wszystko jasne? — rzucił Christian.

— Tak jest, panie sierżancie.

— W porządku. A jeśli podpalisz lont, nim zobaczysz mój płaszcz, lepiej nie wracaj do oddziału.

Dehn milczał. Był to tęgi młody człowiek, doker w cywilu, podejrzany o to, że niegdyś należał do partii komunistycznej.

Christian ostatni raz rzucił okiem na swoje przygotowania i na Dehna, który stał ponuro oparty o wilgotny, omszały łuk mostu. „W przyszłości — pomyślał wspinając się z powrotem na drogę — ten żołnierz będzie chyba mniej skory do krytykowania przełożonych.”

Do grupy głazów nad drogą trzeba było iść szybkim krokiem piętnaście minut, toteż Christian dyszał ciężko, kiedy się tam wreszcie znalazł. Żołnierze szli za nim wytrwale, jak ludzie nieodwołalnie skazani do końca swoich dni na marsze i dźwiganie żelastwa. Nikt się nie ościagał, gdyż nawet największy głupiec musiał zrozumieć, że pluton będzie doskonałym celem dla pościgu, jeżeli nie schroni się za zębate skały przed nadejściem Amerykanów.

Diestl zatrzymał się i wsłuchując się w swój świszczący oddech spojrział w dół. Most wydawał się mały, daleki od wojny, niegroźny. Na krętej drodze i w ciągnącej się przez wiele mil dolinie panował absolutny spokój, jak gdyby cała okolica była opustoszała, zapomniana, niepotrzebna nikomu.

Christian uśmiechnął się, gdy stwierdził, że słusznie uważał zębate skałki za dobry punkt obserwacyjny. Nad wzgórzami widać było kręty pas drogi. Amerykanie muszą pojawić się tam, zanim znikną na chwilę za zakrętem, aby wyjść zza pagórka o sto metrów przed mostkiem. Odległość tę przejdą niewątpliwie w ciągu dwunastu czy piętnastu minut, nawet gdyby szli bardzo wolno i ostrożnie.

— Heims, Richter — powiedział Diestl — zostajecie ze mną. reszta wycofa się dalej. Kapral poprowadzi — zwrócił się do łącznika z batalionu. — Zameldujecie panu kapitanowi, że dołączymy, jak tylko będzie można.

Kapral miał minę człowieka skazanego na śmierć, który ma nikłą nadzieję, że egzekucję uda się odłożyć do dnia następnego.

— Rozkaz, panie sierżancie! — powiedział rażno i szybkim krokiem, niemal truchtem, ruszył ku zbawczemu zakrętowi.

Droga biegła w tym miejscu grzbietem wzgórza, toteż sylwetki odchodzących żołnierzy rysowały się bohatercko i tragicznie na tle poszarpanego całunu chmur sunących po bladym zimowym niebie. Potem jedna po drugiej niknęły za odległym zakrętem, jak gdyby tonęły w błękitnych bezmiarach przestrzeni.

Heims i Richter, obsługa karabinu maszynowego stali zmęczeni, oparci o przydrożne głazy. Pierwszy dźwigał łufę i skrzynkę amunicyjną, drugi podstawę i dodatkowy zapas taśm. Twarze mieli czujne, nieufne. Pocili się mimo chłodu. Christian spojrział na nich — pomyś-

tał, że są dobrymi, godnymi zaufania żołnierzami, wolałby jednak mieć teraz przy sobie starych towarzyszy broni, co przed wieloma miesiącami padli na afrykańskiej pustyni. Nieczęsto wspominał swój dawny pluton, lecz patrząc na dwóch żołnierzy zostawionych na tym wzgórzu przypominał sobie noc minioną z górą rok temu. Trzydziestu sześciu ludzi posłusznie i pracowicie kopało wnęki strzeleckie, które niebawem miały się zmienić w ich groby...

Diestl niejasno zdawał sobie sprawę, że Heims i Richter nie spełniliby zadania równie dokładnie jak tamci. To był inny, późniejszy gatunek ludzi. Należeli do armii odartej z pierwszej młodości, mniej młodej, mniej gotowej na śmierć, zapewne z racji dłuższego doświadczenia, Byli bliżsi życia cywilnego. „Gdybym zostawił ich na tym posterunku — myślał Christian — nie wytrwaliby długo. — Smutno pokiwał głową. — Idiocieję na starość! Na pewno to dzielni żołnierze. Bóg wie, co oni teraz o mnie myślą?”

Heims i Richter schylili się, usiedli na kamieniach. Zmęczonym, zatroskanym wzrokiem obmacali dowódcę, jak gdyby pytali, czy każe im umrzeć tego ranka.

— Tam ustawić karabin — powiedział. Diestl wskazując miejsce, gdzie dwa głazy tworzyły szczelinę w kształcie litery „V”.

Obsługa wykonała rozkaz bez pośpiechu, lecz sprawnie. Kiedy karabin maszynowy znalazł się na stanowisku, Christian przycupnął nad nim i troskliwie przygotował ogień. Podstawę przesunął nieco w lewo. Nastawił przyrządy celownicze uwzględniając odległość i fakt, że broń będzie strzelać z góry na dół. Daleki mostek ładnie wyglądał w stalowym rowku celownika. Jasno połyskiwał lub oblekał się cieniem, kiedy strzępy chmur przesłaniały słońce. Christian uśmiechnął się.

— Nie śpieszcie się, chłopcy — pouczał spokojnie podkomendnych. — Dajcie im czas. Niech zbiją się w kupę przed mostem. Szybko nie przejdą na naszą stronę. Strach im będzie min. Otwarcie ognia na mój rozkaz. Celować do ostatnich ludzi, nie tych najbliżej mostu. Zrozumiano?

— Celować do ostatnich ludzi, nie tych najbliżej mostu — powtórzył Heims.

Kilka razy przesunął karabin w dół i w górę po szynie ślizgowej. Zastanowił się. Cmoknął.

— Pan sierżant chce, żeby wiali naprzód, nie tam, skąd przyszli — powiedział.

Christian przytaknął skinieniem głowy.

— Aha — podjął Heims. — Nie uciekną przez most, bo tam nie ma osłony. Skoczą do wąwozu, pod most. Będą chcieli zejść z pola ostrzału.

„Widzę, że myliłem się co do Heimsa — pomyślał z uśmiechem Christian. — Słowo daję, chłop wie, po co tu jest i co ma do roboty.”

— No i nadzieją się na miny — zakończył zwięźle żołnierz.  
— Rozumiem.

Spojrzał na Richtera. Obydwaj kiwnęli głowami. Twarze ich nie wyrażały uznania ani dezaprobaty.

Christian zdjął płaszcz, aby nim dać znak czekającemu pod mostem Dehnowi, gdy z dała zobaczy nieprzyjaciela. Potem usiadł na kamieniu koło Heimsa, który ułożył się na brzuchu za karabinem maszynowym. Richter przyklęknął z drugiej strony. W rękę trzymał zapasową taśmę. Sierżant podniósł do oczu lornetkę zdjętą dnia poprzedniego z trupa porucznika. Nastawił ją troskliwie, patrząc na odcinek drogi za pasem wzgórz. Z uznaniem kiwnął głową. Szkła były bez zarzutu. Dokładnie widział dwie wysmukłe topole koło drogi. Czarne, żałobne, tworzyły jak gdyby bramę cmentarną. Miarowo chwiały się na wietrze.

Na odsłoniętym stoku wzgórz było zimno. Christian pożałował, że Dehl wypatruje teraz jego płaszcz. Chustka do nosa na pewno by wystarczyła. Bez płaszczu było mu zimno. Czuł, że dostaje gęsiej skórkę, że lodowaty wiatr przenika go do szpiku kości. Skulił się w sztywnym, przewiewnym mundurze.

— Wolno palić, panie sierżancie? — odezwał się Richter.

— Nie.

Zapanowało głuche milczenie. Christian nie odrywał lornetki od oczu.

„Papierosy, psiakrew! — myślał posępnie. — Na pewno ten żłób ma przy sobie całą paczkę. Może nawet dwie? Jeżeli dziś wyciągnie kopyta albo zostanie ciężko ranny, trzeba mu obszukać kieszenie. Żeby tylko nie zapomnieć!”

Czekali. Silny wiatr wiał z doliny. Śpiewał w uszach, w nozdrzach, mroził mięśnie. Christian poczuł ból głowy w okolicy oczu. Był bardzo senny. Miał wrażenie, że od trzech lat nie wyspał się porządnie.

Heims, który leża! płasko na skalnym bloku, drgnął niespokojnie. Christian opuścił lornetkę i natknął się spojrzeniem na spodnie Heimsa — poczerniałe od błota, byle jak załatane, wypchnięte, bezkształtne.

„Oto widok kompletnie odarty z piękna i wdzięku — pomyślał niedorzecznie i z trudem przemógł chęć do śmiechu. — A podobno człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo Boże.”

Czoło mu płonęło. Malaria. Nie wystarczą Francuzi, Anglicy, Rosjanie, Polacy, Amerykanie. Na domiar złego są jeszcze komary.

„A może, może—myślał gorączkowo i chytrze—jak skończy się ta heca, przyjdzie prawdziwy atak? Doktorzy nie będą mogli powiedzieć, że markieruję. Odeślą mnie na tyły.”

Znowu podniósł szklę do oczu. Tęsknie czekał dreszczy. Zaklinał bakterie, by szybko mnożyły się we krwi.

Nagle zobaczył małe, szare figurki mijające powoli dwie smukłe topole.

— Cisz! — syknął ostrzegawczo, jak gdyby głos Heimsa czy Richtera mógł spłoszyć Amerykanów.

Małe, szare figurki przesuwały się w polu widzenia lornetki. Wyglądały nie inaczej niż pluton każdej armii. Nawet ze znacznej odległości widać było ich zmęczenie ruchy, kiedy żołnierze wlekli się w luźnym szyku po obydwu stronach drogi.

— Trzydzieści siedem, trzydzieści osiem, Czterdzieści dwa, czterdzieści trzy... — liczył Christian.

Wszyscy minęli topole i zniknęli za pagórkami. Daleki odcinek drogi wyglądał zupełnie tak samo jak przed nadejściem wroga. Diestl opuścił lornetkę. Był czujny, baczny. Zapomniał o senności. Wstał i zatoczył płaszczem kilka szerokich kręgów w powietrzu. Oczyma wyobraźni zobaczył Amerykanów posuwających się ostrożnie za pasmem wzgórz. Idą wolno. Wszyscy mają wzrok spuszczone. Wypatrują min.

Niebawem Dehn wygramolił się spod mostu i pobiegł drogą pod górę. Widać było, że jest bardzo zmęczony. Poruszał się ciężko. Jego buty podniosły małe obłoczki kurzu. Wziął pierwszy zakręt drogi i zniknął z pola widzenia.

Lont zapalony. Wszystko będzie w porządku, jeśli nieprzyjacieli będzie rozumował zwyczajnie, po żołniersku. Christian naciągnął płaszcz. Zrobiło mu się ciepło, przyjemnie. Głęboko wsunął ręce w kieszenie. Był spokojny. Dwaj ludzie przy karabinie maszynowym leżeli bez ruchu jak martwi.

Z oddali nadpłynął pomruk silników samolotowych. Diestl przebiegł wzrokiem niebo i na południowym zachodzie dostrzegł klucz bombowców. Nikłe, ledwie widoczne plamki sunęły ku północy, aby spełnić jakieś zadanie bojowe. Parka wróbla wylądowała nagle na skałkach. Ptaki podskakiwały strosząc brunatne piórka. Jeden otarł się prawie o naoliwiony celownik karabinu maszynowego.

Heims czknął głośno dwa razy.

— O, przepraszam — powiedział jak człowiek dobrze wychowany.

Czekali w napięciu.

„Za długo marudzą — myślał nerwowo Christian. — Co, u diabła, robią za pagórkami? Jeżeli się nie pośpieszą, most wyleci, nim wyjdą na drogę. Wtedy wszystko przepadło!”

Heims znowu beknął.

— Ten mój żołądek — westchnął i spojrzał na Richtera, który przyglądał się taśmie amunicyjnej z taką miną, jak gdyby od lat wiedział wszystko o żołądku kolegi.

„Hardenburg — myślał sierżant — załatwiłby to lepiej. Ryzykowałby mniej. Wszystko obliczyłby bez pudła, tak czy inaczej. Nie wiem jak, ale dobrze. Jeżeli dynamit nie wybuchnie i most nie wyleci, jeżeli dowiedzą się o tym w dywizji i wezmą na spytaki tego zasranego sierżanta pionierów, a on opowie o mnie... No! Ładnie będę wyglądał... Prędeż, u diabła! Pośpieszcie się! Prędeż!” — błagał bez słów niewidocznych Amerykanów.

Nastawił lornetkę na prosty odcinek drogi przed mostem. Ręce mu drżały. Zdawał sobie sprawę, że nadchodzą dreszcze, chociaż nie czuł ich wcale. Nagle coś zachrobotało w pobliżu. Christian bezwiednie odjął szkła od oczu. Wiewiórka skoczyła na szczyt spiczastego głązu. Przysiadła i oczkami jak paciorki obserwowała ludzi z odległości dziesięciu stóp. Dawno temu, daleko, szary ptaszek dreptał i ćwierkał na drodze do Paryża, opodał lasu, w którym Francuzi zbudowali barykadę. Wywrócony wóz, stare materace... Świat zwierzęcy na krótko interesuje się wojną. Potem wraca do własnych, nieporównanie ważniejszych spraw.

Christian zmrugał oczu. Znowu podniósł lornetkę. Amerykanie byli na drodze. Skurczeni, z bronią w pogotowiu, posuwali się krok za krokiem. Każdy ich ostrożny ruch zdawał się wołać rozpaczliwie, że ciała drżą pod mundurami, bo zdają sobie sprawę, iż są możliwym celem dla pocisków. Marudzili straszliwie. Przystawali co pięć metrów. Czy tak wygląda śmiała, gotowa na wszystko młodzież Nowego Świata? Diestl oglądał w swoim czasie zdobyte na Amerykanach kroniki filmowe. Podobni żołnierze skakali z barek desantowych we wzburzone fale. Przez plażę mknęli niczym sprinterzy.

„Ci nie odstawiają stumetrówki. Mój Boże! W jakie łgarstwa o swoich obrońcach musi wierzyć naród amerykański!” — pomyślał Christian i ze zdziwieniem usłyszał własny szept:

— Prędeż! Prędeż! Prędeż!

Heims czknał głośno, obrzydliwie. Cóż, na wojnie każdy reaguje po swojemu. W Heimsie buntuje się żołądek. Niemcy muszą przyjmować za dobrą monetę niezliczone kłamstwa o Heimsie i jemu podobnych. „Cóż robieś, synku, kiedy zdobyłeś Żelazny Krzyż?” „Czkałem, matko.” Prawdę o tym poranku znać będzie Heimes, Richter, Christian, no i tych czterdziestu trzech nieprzyjaciół, co ostrożnie zbliżają się do białego mostu zbudowanego pod słońcem tysiąc osiemset czterdziestego roku przez leniwych włoskich kamieniarzy. Prawda silniej niż cokolwiek innego zbliży, zwiąże obsługę karabinu maszynowego i oglądanych przez szczelinę celownika ludzi, którzy człapią w pyłe drogi odległej o osiemset metrów. Tylko oni będą wiedzieli, że żołądki buntują się ze strachu, że do każdego mostu żołnierz podchodzi pełen trwogi i najgorszych przeczuć...

Christian oblizwał wargi. Wszyscy Amerykanie minęli już zakręt. Dowódca plutonu — jak zwykle młodociany porucznik — przywołał gestem żołnierza z wykrywaczem min, ten zaś niechętnie wyszedł na czoło oddziału. Inni głupio stłoczyli się na drodze. Widać w gromadzie czuli się bezpieczniej. Może mieli wrażenie, iż nic im już nie grozi, skoro do tej pory nie zostali ostrzelani.

Żołnierz z wykrywaczem min zaczął omiatać drogę dwadzieścia metrów przed mostem. Pracował wolno, metodycznie. Młody porucznik ustawił się za nim. Podniósł do oczu lornetkę. Uważnie badał przedpole. Obracał się w jedną, to w drugą stronę.

„Na pewno znakomite szkła Zeissa: «Made in Germany»” — pomyślał cierpko Diestl.

W tej chwili spostrzegł, że lornetka celuje dokładnie w zębate skałki nad drogą, jak gdyby instynkt wojskowy drzemiący w tym gołowaśie podszeptał mu, że stamtąd przede wszystkim może zagrażać niebezpieczeństwo. Christian przycupnął niżej, choć zdawał sobie sprawę, że jest dobrze ukryty. Lornetka wyminęła zasadzkę i powędrowała dalej.

— Ognia! — szepnął sierżant. — Celować do ostatnich! Do ostatnich!

Karabin maszynowy zaterkotał. Hałas brutalnie zakłócił górską ciszę. Christian zmrużył oczy. potrafił zapanować nad tym odruchem. Na drodze padło dwóch ludzi. Inni stali przez moment. Ze zdziwieniem gapili się na leżących. Upadło jeszcze trzech. Wówczas Amerykanie rzucili się do ucieczki. Zboczem wąwozu biegli pod osłonę mostu.

„Teraz wyrywają jak sprinterzy — pomyślał Diestl. — Szkoda, że nie ma pod ręką sprawozdawcy filmowego.”

Kilku żołnierzy porwało i uniosło rannych. Potykali się na stromym zboczu, przewracali. Gubili karabiny. Groteskowo machali rękami i nogami. Był to obraz daleki, nierealny. Christian przyglądał mu się niemal bez zainteresowania. Podobnie mógłby obserwować szamotaninę się żuka zawleczonego przez mrówki do mrowiska.

Nagle eksplodowała pierwsza mina. Hełm wyleciał w powietrze. Na wysokości dwudziestu metrów posępnie błysnęła w słońcu. Rzemienne podpinki powiewały z obydwu jego stron.

Heims przerwał ogień. Miny wybuchały teraz raz po raz. Stokrotne echa tłukły się między stokami wzgórz i skalnymi urwiskami. Z wąwozu podniosła się brudna chmura dymu i pyłu. Później nastąpiła groźna, jak gdyby nadprzyrodzona cisza. Dwa wróble zaniepokojone i rozgniewane przeleciały ze świrem nad lufą karabinu maszynowego. Daleko w dole samotny człowiek wyłonił się spod mostu. Kroczył wolno, dostojnie, jak lekarz odchodzący od łóża śmierci. Odszedł pięć lub sześć metrów i z tą samą powagą usiadł na odłamku skalnym. Christian zwrócił lornetkę w jego stronę. Zobaczył, że Amerykanin jest nagi od pasa. Podmuch zdarł mu nawet koszulę. Skóra zdawała się czysta, biała jak mleko. Przez chwilę siedział bez ruchu. Później zachowując marmurową godność szaleńca, podniósł karabin do ramienia.

„Do diabła! Mierzy do nas” — pomyślał Diestl.

Strzał głucho huknął w wąwozie. Kula syknęła zdumiewająco blisko. Christian uśmiechnął się.

— Skończyć go! — rzucił sucho.

Heims nacisnął spust. Przez szkła widać było obłoczki pyłu powstające wokół samotnego człowieka. Amerykanin nie zwrócił uwagi na ogień. Nie drgnął wcale. Spokojnie, jak cieśla przy warsztacie, zakładał nowy magazynek do karabinu. Heims podniósł lufę. Łuk kurzu zbliżył się do Amerykanina, który nie reagował nadal. Zdążył zmienić magazynek i ponownie uniósł karabin do nagiego ramienia. W tym obrazie było upiorne szaleństwo. Człowiek o mleczonej skórze, odarty z koszuli, plamka barwy kości słoniowej na tle szarzysty i zieleni wąwozu, siedzi wygodnie na kamieniu o kilka metrów od trupów wszystkich swoich towarzyszy. Bez pośpiechu mierzy do karabinu maszynowego, nie widocznego nawet gołym okiem i nie dba zupełnie o wiązki pocisków, które lada chwila muszą go uśmiercić.

-r- Nie możesz trafić, do cholery? — warknął gniewnie Diestl.  
— Kiedy go skończysz?



Heims przestał na chwilę strzelać. Znowu z chrzęstem przesunął lufę. Uważnie spojrzął na cel. Dalekie wystrzały karabinowe brzmiały tępo, niegroźnie. Od czasu do czasu pocisk świstał nad głową Christiana lub uderzał głucho o powierzchnię skalną.

Wreszcie Heims puścił krótką serię. Musiał wstrzelać się dobrze, bo Amerykanin rzucił karabin i wstał zataczając się jak pijany. Postąpił kilka kroków w stronę niostku. Później położył się na trawie, jak gdyby był zmęczony.

W tej chwili wyleciał most. Odlamki kamieni obsypały przydrożne drzewa łamiąc gałęzie, zostawiając na pniach jasne rysy. Obłok dymu i pyłu długo unosił się w powietrzu. Kiedy opadł na koniec, Christian zobaczył bezbarwne mundury rozrzucone tu i ówdzie między głazami. Nagiego do pasa trupa przysypała lawina kamieni i ziemi.

Diestl westchnął i opuścił lornetkę. „Amatorzy — pomyślał. — Po co biorą się do wojowania?”

Heims usiadł i odwrócił głowę.

— Teraz wolno zapalić? — spytał.

— Wolno — powiedział sierżant.

Heims wyjął z kieszeni paczkę i poczęstował Richtera, który bez słowa przyjął papierosa. Christian przyglądał im się uważnie. „Mnie nie poczęstowali. Skurwysyny!” — zaklął w duchu i wygrzebał ostatniego papierosa ze swych zapasów.

Obracał go w ustach, smakował, zanim zdecydował się zapalić. Był zdania, że uczciwie zapracował na tę przyjemność. Zaciągnął się głęboko i dym przetrzymał w płucach jak najdłużej. Trochę zakręciło mu się w głowie, ale doznał znacznej ulgi. „Muszę napisać o tym do Hardenburga — pomyślał wchłaniając drugi kłęb dymu. — Będzie zadowolony. Sam nie spisałby się lepiej. Mój Boże! Jaki śliczny ranek!”

Wygodnie oparł się o skałę i patrzył na czysty błękit nieba i na wyścigi lekkich, białych obłoczków, gnanych górskim wiatrem. Wiedział, że na Dehna musi jeszcze czekać co najmniej dziesięć minut. Odetchnął głęboko.

Nagle poczuł długi, przejmujący dreszcz pełzający po skórze. „Chwała Bogu, — westchnął. — Malaria. Prawdziwy atak! Będą musieli odesłać mnie na tyły. Udany dzień. Udany!”

Wzdrygnął się i jeszcze raz zaciągnął papierosowym dymem. Potem zamknął oczy i jeszcze wygodniej oparł się plecami o skałę. Cekał na Dehna. Miał nadzieję, że żołnierz powoli będzie wspinał się pod górę.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

— Szeregowiec Whitacre! Za mną! — powiedział sierżant.

Michael wstał i pomaszzerował jego śladem. Przez wysokie, ciemno fornirowane drzwi weszli do przestronnej sali oświetlonej świecami. Płomyki odbijały się w lustrzanych ścianach jak niezliczone pęki żółtych kwiatów. Pośrodku stał długi, pięknie polerowany stół, a za nim jeden fotel. Whitacre Wiedział z góry, że ta sala nie może wyglądać inaczej. Usiadł w fotelu, za którego oparciem stanął sierżant. Michael miał przed sobą kałamarz i zwyczajną drewnianą obsadkę.

Nagle otwarły się inne drzwi i wpuścili dwóch Niemców. Byli to generałowie we wspaniałych galowych mundurach. Ich orderzy, buty, ostrogi i monokle połyskiwały w mdłym blasku świec. Jak zwarty oddział przymaszerowali do stołu, zatrzymali się i donośnie stukając obcasami, zasalutowali.

Whitacre odpowiedział wojskowym ukłonem nie podnosząc się z fotela. Jeden z generałów rozpiął bluzę i powoli wyciągnął z zanadru zwój pergaminu. Podał go sierżantowi, a ten rozwinął dokument z suchym szelestem i położył na stole.

-- Akt kapitulacji — oznajmił tubalnie. — Whitacre! Zostaliście wyznaczeni, by przyjąć kapitulację z ramienia Sojuszników.

Michael z godnością skinął głową. Niedbale przebiegł wzrokiem dokument i stwierdził, że jest w porządku. Pewną ręką ujął pióro, zanurzył w kałamarzu. „Michael Whitacre, nr ew. 32 403 008, szeregowiec armii Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej” — nakreślił zamasyście u dołu arkusza, pod dwoma niemieckimi podpisami. Stalówka zgrzytnęła nieprzyjemnie w ciszy zalegającej salę. Michael odłożył obsadkę. Powstał.

— Dziękuję panom — rzucił sucho.

Generalowie zasalutowali. Ręce im drżały. Michael nie odpowiedział na ukłon. Obojętnym wzrokiem patrzył nad ich głowami w zwierciadlaną taflę, zielonawą jak woda morska. Niemcy wykonali przepisowo „w tył zwrot” i odmaszerowali. Ich obcasy dudniły na golej, wyfroterowanej posadzce werblem pruskiej kłęski. Ostrogi pobrzękiwały metalicznie. Ciężkie drzwi otwały się znowu i zamknęły za generalami. Sierżant zniknął. W wielkiej, jarzącej się świecami sali szeregowiec Whitacre został sam, na jedynym fotelu za długim, gładko politurowanym stołem. Miał przed sobą kalamarz, drewnianą obsadkę i żółtawy arkusz pergaminu z podpisami.

— Hej, dupy w troki! Z betów, wywłoki! — wrzasnął grubiański głos. — Pobudka! Pobudka! Wstać!

W starym domostwie i w innych budynkach wzdłuż ulicy piskliwie zaterkotały gwizdki. Towarzyszyło im ziewanie i postękiwanie budzonych przed świtem żołnierzy.

Michael podniósł powieki. Spojrzał na pręty i siennik posłania nad sobą. Zajmował dolne piętro pryczy. Kolega z góry sypiał niespokojnie i siał drobnym deszczem pyłu i okruchów słomy.

Whitacre spuścił nogi i usiadł na brzegu pryczy. W ustach miał kwaśny niesmak. Wciągnął w płuca zatechły, ohydny smród potu dwudziestu nie domytych ludzi, którzy przespali noc w jednej izbie. Było pół do szóstej. Czarne zasłony okrywały szczelnie nigdy nie otwierane okna.

Michael ubierał się dygocąc z zimna, obojętny na postękiwania, klątwy i inne wstrętne odgłosy żołnierzy gotujących się do spotkania dnia.

Jak we śnie naciągnął płaszcz. Potknął się na schodkach starej rudery zajętej na kwaterę i wyszedł w londyński brzask przejmujący chłodem do szpiku kości. Na ulicy oddziały ustawiały się na poranną zbiórkę. Michał zajął miejsce pod domem ozdobionym spizową tablicą, na której wypisano, że William Blake mieszkał tu i tworzył w dziewiętnastym stuleciu. Ciekawe, jak William Blake reagowałby na pobudkę? Co by pomyślał, gdyby ze swojego okna zobaczył cizbę przepitych piwem ludzi z drugiej strony oceanu, co klną i drżą z zimna pod zaporą balonów niewidocznych jeszcze za brunatnymi tumanami mgły? Jak William Blake odpowiedziałby sierżantowi, który nowy dzień triumfalnego pochodu ludzkości ku stanowi łaski wita słowami: „Hej, dupy w troki! Z betów, wywłoki!”

— Galiani!

— Jest!

- Abernathy!
- Jest!
- Tatnali!
- Jest!
- Kammergaard!
- Jest!
- Whitacre!
- Jest!

Tak. Szeregowiec Whitacre jest tutaj. Niech wiedzą o tym wszyscy: William Blake, John Keats, Samuel Taylor Coleridge, król Jerzy, generał Wellington, lady Hamilton... Miło wam być w Anglii, gdy bawi tam szeregowiec Whitacre? Cieszy się Laurence Sterne i Oscar Wilde. Szeregowiec Whitacre jest tutaj — uzbrojony w hełm, maskę przeciwgazową i kartę żywnościową żołnierza armii sojuszniczej, zaszczepiony przeciwko tężcowi, ospie, durowi plamistemu i brzusznemu; pouczony, jak zachowywać się w angielskich domach („ze względu na brak żywności nie należy dobierać drugi raz żadnej potrawy”); poinformowany o syfilisie grasującym wśród nocnych nimf z Piccadilly. Ma guziki wypolerowane, świecące, aby skutecznie konkurować z armią brytyjską. Jest w Anglii. Niech się o tym dowiedzą: Montgomery, Eisenhower, Rommel i Paddy Finucane, co wraz ze zdruzgotanym spitfire'iem zginął w falach Kanału. Jest w Anglii gotów do walki przy maszynie do pisania, zaopatrzony w papier i kalkę. Przybył drogą przez Waszyngton i Obóz Przejściowy nr 17, przez Miami, Portoryko, Trinidad, Gujanę, Brazylię i Wyspę Wniebowstąpienia; przez ocean, gdzie łodzie podwodne, jak rekiny z baśni, wynurzają się w nocy, aby ostrzeliwać samoloty niewidoczne na czarnym niebie o dziesięć stóp nad powierzchnią morza. Jest w zaciemnionym mieście, gdzie o północy głosy nawołują wśród ruin: „Taxi! Taxi!” On, Amerykanin, jest blisko, sąsiedzie Blake! Oby dobry Bóg wspomógł nas wszystkich!

- Rozejść się!

Michael wrócił na kwaterę i zasnął łóżko. Ogolił się, złożył wizytę w ustępie, a później wziął przybory do jedzenia. Dzwiecząc aluminiowymi menażkami szedł bez pośpiechu przez londyńskie ulice, szare w pierwszych promieniach dnia. Szedł na śniadanie do domu z czerwonej cegły, gdzie dawnymi czasy rezydowała rodzina angielskiego para. W górze słychać było jednostajny pomruk tysięcy silników. To lancastery przekraczały Tamizę wracając do baz znad Berlina.

Śniadanie składało się z grejpfrutowego soku, owsianki, jajecznicy i przysmażonego bekonu pławiącego się obrzydliwie we własnym tłuszczu.

„Do diabła! — myślał Whitacre pod koniec posiłku. — Czy tych parzygnatów nikt nie nauczy gotować kawy? Niepodobna przecież tolerować takiej lury!”

— Pułk lotnictwa myśliwskiego z NN prosi o komika i zespól taneczny." Ale nie chcą pijaków. W zeszłym miesiącu Johny Sutter zalał się tam w pestkę. Naurągał oficerowi służbowemu i tak dostał po pysku, że dwa razy poszedł na deski.

Michael mówił tak do swojego bezpośredniego zwierzchnika, kapitana Minceya. Siedzieli w pokoju biurowym, wytapetowanym fotografiami wszystkich znaczniejszych gwiazd, które przewinięły się przez londyński oddział Propagandy Wojskowej.

— Może tam posłać Flannera — bąknął niepewnie Mincey, który cierpiał na astmę i pił trochę za dużo, źle się więc czuł z rana na skutek niefortunnego połączenia szkockiej whisky z przykrym londyńskim klimatem.

— Flanner ma dyzenterię i krokiem nie chce się ruszyć z hotelu „Dorchester” — wyjaśnił Michael.

— No to pošlijcie im tę akordeonistkę. — Mincey westchnął. — Jakże się nazywa? Tę z niebieskimi włosami.

— Ale oni chcą komika.

— Trudno. Trzeba odpisać, że dysponujemy tylko akordeonistkami — powiedział oficer i podniósł do nosa fiolkę pełną jakiegoś leku.

— Tak jest, panie kapitanie. Aha. Panna Roberta Finch nie może wyjechać na *tournee* do Szkocji. W Salisbury dostała ataku nerwowego. Rozebrała się w jadalni dla szeregowych. Groziła, że popelni samobójstwo.

— Do Szkocji trzeba wyprawić tę drugą pieśniarkę. Jakże się ona nazywa? A o Finch wyślijcie obszerny meldunek do Komendy Głównej w Nowym Jorku. Przynajmniej będziemy kryci.

— Zespół Moc Leana jest w Liverpoolu — meldował dalej Whitacre — ale siedzi w porcie. Jakiś marynarz przyplłynął z zapaleniem opon mózgowych. Okręt przechodzi kwarantannę. Pasażerowie będą mogli zejść na ląd dopiero za dziesięć dni.

— Damy sobie radę — orzekł Mincey.

— Przyszło poufne pismo od dowódcy pułku ciężkich bombowców z NN. W ubiegłą sobotę grał tam Larry Crossett ze swoją orkiestrą. Po występie lądacy zorganizowali pokera. Wypompowali

z lotników jedenaście tysięcy dolarów. Pułkownik Coker twierdzi, że używ&li znaczonych kart. Podobno ma dowody. Stawia warunki: zwrot pieniędzy albo dochodzenie dyscyplinarne na drodze służbowej.

Mincey westchnął żałośnie, podniósł fiolkę z lekarstwem do drugiej dziurki w nosie. Przed wojną prowadził nocny klub w Cincinnati i często marzył, by znaleźć się znów w stanie Ohio, pośród kłownów i tancerek charakterystycznych.

— Odpiszcie pułkownikowi Cokerowi, że gruntownie zbadam całą sprawę — powiedział.

— Kapelan z Naczelnej Komendy Transportu Powietrznego protestuje przeciwko nieobyczajności naszego widowiska *Szaleństwa młodości*. Piszcie, że amant siedem razy klnie paskudnie, a w drugim akcie pierwsza naiwna nazywa skurwysynem jedną z postaci drugoplanowych.

Kapitan smutno pokiwał głową.

— Wyraźnie mówiłem temu durniowi reżyserowi — obruszył się — żeby przed wyjazdem skreślił z tekstu wszystkie świństwa. Obiecał, że zrobi. Ach, ci aktorzy! — jęknął. — Odpowiedzcie, Whitacre, kapelanowi, że w zupełności podzielam jego punkt widzenia, a winni poniosą konsekwencje.

— To na razie wszystko, panie kapitanie — zakończył Michael.

Oficer westchnął, schował fiolkę do kieszeni. Miał smutne oczy astmatyka i kapkę wiszącą u nosa. Szeregowiec ruszył w kierunku drzwi.

— Zaczekajcie no, Whitacre.

Michael odwrócił się i stanął. Mincey przyglądał mu się krytycznie.

— Na miłosierdzie boże — przemówił wreszcie. — Whitacre, wyglądacie okropnie.

Szeregowiec spojrział bez zdziwienia na swoją zmiętą, zbyt luźną bluzę i workowate spodnie.

— Tak jest, panie kapitanie — przyznał.

— Osobiście nie dbam o takie bzdury — ciągnął Mincey. — Mnie wszystko jedno, możecie chodzić z gębą uczernioną sadzami i w zielonej spódnicy. Ale odwiedzają nas oficerowie z innych oddziałów. Taki lajza robi fatalne wrażenie.

— Tak jest, panie kapitanie.

— Oddział Propagandy powinien mieć postawę bardziej wojskową niż nawet batalion spadochronowy. Musimy lśnić. Musimy błyszczeć. A wy prezentujecie się jak kucharz z armii bułgarskiej.

- Tak jest, panie kapitanie.
- Nie możecie postarać się o lepszą bluzę?
- Staram się. Od dwóch miesięcy. Podoficer mundurowy wciąż mnie przepędza.
- No to chociaż wypucujcie guziki – skapitulował Mincey.
- Chyba nie wymagam wiele?
- Niewiele, panie kapitanie.
- Nigdy nic nie wiadomo – podjął oficer. – Któregoś dnia może nam spaść na kark sam generał Lee.
- Może, panie kapitanie.
- Aha. Na biurku macie zawsze pełno szpargałów. To także robi fatalne wrażenie. Schowajcie wszystko do szuflad. Przed dobrym żołnierzem nie śmie leżeć więcej niż jeden papierek na raz.
- Rozkaz, panie kapitanie.
- I jeszcze jedno, Whitacre. Macie przy sobie trochę forsy? Wczoraj w nocy zrujnował mnie rachunek w „Les Ambassadeurs”, a gażę fasuję dopiero w poniedziałek.
- Funt starczy?
- Nie macie więcej?
- Nie, panie kapitanie.
- Trudno. Dziękuję. Zadowolony z was jestem, Whitacre. Dobrze się nam pracuje. Nim przyszlście, okropny był u nas bałagan. Tylko, mój drogi, postarajcie się o bardziej żołnierski wygląd!
- Postaram się, panie kapitanie.
- A teraz przyslijcie mi sierżanta Moscovitza. Ten drań ma zawsze wypchany portfel.
- Rozkaz, panie kapitanie.
- Michael wyszedł do sąsiedniego pokoju i wezwał sierżanta Moscovitza przed oblicze dowódcy.
- Tak biegły w Londynie dni zimą tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku.

Poloniusz wyszedł i Król rozpoczął swoją kwestię:

O, kał mej zbrodni cuchnie aż w niebiosa!  
 Najstarsza kłątwa na niej ciąży, stygmat  
 Bratniego mordu!\*

\* Fragmenty z *Hamleta* w przekładzie J. Paszkowskiego.

Napisy świetlne „Alarm lotniczy” zabłysły w dyskretnie ocienionych gablotach, które specjalnie w tym celu zainstalowano z obu stron sceny. Po chwili zawyły syreny. W oddali, gdzieś nad brzegiem morza, gruchnęły salwy artyleryjskie.

Nie mogę się modlić,  
 Choć potrzeba dorównywa chęci;  
 Moc winy mojej kruszy moc mej woli...

Ogień dział przeciwlotniczych zbliżał się szybko. Bombowce musiały być nad londyńskimi przedmieściami. Michael spojrział dokoła. Ze względu na szeroko rozreklamowaną premierę z nowym aktorem w roli Hamleta widownia wystąpiła w podniszczonej cokolwiek gali czasu wojny. Wiele foteli zajmowały starsze panie wyglądające tak, jak gdyby widziały wszystkie premiery *Hamleta* od dni sir Henry<sup>1</sup>ego Irvinga. W płynącej ze sceny lunie światel rampowych połyskiwały mlecznobiałe włosy i czarne suknie zapięte pod szyję. Matrony, podobnie jak reszta sali, siedziały spokojnie. Król szarpany *wyrzutami* sumienia miotał się po mrocznej komnacie elzynorskiego zamku i wołał donośnie:

Przebacz mi moje ohydne morderstwo!  
 To być nie może; boć jeszcze posiadam  
 To wszystko\*, co mnie wiodło do morderstwa.  
 Koronę, władzę, żonę, brata.

Był to wielki popis i nad przygotowaniem go aktor musiał ciężko pracować. Miał teraz do dyspozycji całą scenę oraz długi monolog, w którym łatwo pokazać lwi pazur. Grał zresztą bez zarzutu. Naprawdę był zrozpaczony, naprawdę inteligentny. Uginał się pod brzemieniem klątwy, a Hamlet za kulisami nie mógł się zdecydować, czy już w tym akcie przesyć ojczyzna mieczem.

Huk dział wędrował poprzez Londyn w stronę teatru, nad którego złoconą kopułą rozległ się wkrótce urywany szum niemieckich silników. Król grzmiał coraz głośniej i głośniej. Trzy wieki angielskiej retoryki rzuciły wyzwanie bombom, samolotom, artylerii. Na widowni nikt nie drgnął. Publiczność słuchała z tak napiętą uwagą, jak gdyby oglądała w teatrze „Globe” pierwsze przedstawienie nowej tragedii imię Szekspira.



W praktykach tego zepsutego świata  
Zdarza się zbrodni pozłacaną ręką  
Usuwać na bok sprawiedliwość. Nieraz  
Widziano nawet prawo przekupione  
Owoce gwałtu. Ale tam tak nie jest:  
Tam nie popłaca szalbierstwo...

Na tyłach teatru jakaś bateria otworzyła ogień. Dwie bomby  
wybuchły w pobliżu, jedna po drugiej. Stary budynek zadygotał lekko.

tam czyny  
Nago się jawią i człowiek stawiony  
Naprzeciw swoich przestępstw, oko w oko  
Musi je wyznać.

Król mówił głośno. Nie zapominał o sprawach zawodowych,  
gestykulował z tragicznym wdziękiem. Starał się wtrącać słowa w luki  
miarowego werbla dział, wykorzystywać przerwy.

Nagle rakietnice podniosły za ścianą przerażający jazgot, podobny  
do świstu spadających bomb. Król umilkł. Zaczął przechadzać się  
godnie tam i z powrotem. Czekał następnej pauzy. Wreszcie grzmot  
i świst przycichły, zmieniły się w głuchy, złowrogi pomruk. Król  
zabrał głos i wyrecytował śpiesznie:

Cóż więc zostaje?  
Spróbować, czego żal dokaże. Czegóż  
On nie dokaże? Lecz czegoż dokaże,  
Gdy winowajca nie może żalować?

Znowu został zagłuszony. Teatrem wstrząsnął huragan  
artyleryjskiego ognia.

„Biedak — pomyślał Michael wspominając liczne premiery, które  
obchodziły go osobiście. — Nieszczęsny człowiek! Po długich latach  
doczekał się wielkiej chwili. Jakże musi nienawidzić szwabów!”

Dalszy ciąg kwestii z trudem utorował sobie drogę w zgiełku:

O straszna doło! Duszo jak śmierć czarna!

Samoloty przepląły nad teatrem. Pobliska bateria plunęła ostat-  
nią salwą w nieprzyjazne czarne niebo. Inicjatywę przejęły inne

stanowiska w północnych dzielnicach Londynu. Zdawać by się mogło, że na sąsiedniej ulicy ponuro warczą bębny podczas generalskiego pogrzebu. Przy tym głuchym akompaniamencie Król dalej mówił swoje. Był uroczysty, godny i tak monarszy, jak monarszym potrafi być jedynie aktor.

Splątana myśli, która usiłując  
 Być wolna coraz okropniej się wiklasz!  
 Przyjdźcie mi w pomoc, o wy, aniołowie!  
 Zegnijcie się, kolana! I ty, stałą  
 Okute serce, zmięknij jako nerwy  
 Nowo narodzonego niemowlęcia!  
 Jeszcze się wszystko da naprawić.

Klęknął przed ołtarzykiem, a na scenie pojawił się Hamlet, smukły i ciemny w czarnych trykotach. Michael spojrział dokoła. Wszystkie twarze zwrócone w stronę aktorów były opanowane, skupione. Wiekowe damy i młodzi mężczyźni w mundurach siedzieli sztywno, bez ruchu.

Whitacre miał szczerą chęć zawołać do tych Anglików:

„Kocham was! Kocham was wszystkich! Jesteście najlepszym, najbardziej niedorzecznym narodem na Ziemi! Z radością oddam za was życie!”

Kiedy zwrócił znów wzrok na Hamleta, czuł na policzkach łyż dziwnego, wielce złożonego wzruszenia. Królewicz duński bronił się i uległ namiętnościom, na koniec jednak wołał schować miecz niż uśmiercić stryja przy modlitwie.

Gdzieś daleko pojedynczy strzał huknął w niegroźne już niebo. Michael pomyślał, że to zapewne jedna z kobiecych baterii postąpiła istic po kobiecemu: spóźniła się wprawdzie, lecz dowiodła najlepszych intencji.

Gdy Michael wyszedł z teatru i zwrócił kroki w stronę Hyde Parku, Londyn płonął kręgiem pożarów. Niebo iskrzyło się krwawo; tu i ówdzie pomarańczowa luna barwiła niskie chmury. Hamlet już nie żył, a Horacy wypowiedział podniosłe słowa pożegnania:

Pękło cne serce. Dobranoc, mój książe;  
 Niechaj ci do snu nucą chóry niebian!

Tyrada Horacego padła w obliczu krwawych, niedorzecznych, występnych czynów, bezmyślnych zrzążeń losu i przypadkowych morderstw. Kiedy bowiem kurtyna opadała, a bileterzy biegli przezścianami niosąc kwiaty dla Ofelii i reszty zespołu, ostatni Niemcy ginęli nad Dovrem, ostatni Anglicy dopalali się w swych zburzonych domach.

Po Piccadilly włączyły się bataliony dziwek. Elektrycznymi latarkami świeciły w oczy przechodniom. Rechotały ochryple. Mówiły:

— Jankes? Tylko dwa funty. Hej, Jankes!

Michael torował sobie drogę w tłumie prostytutek, żandarmów i żołnierzy. Myślał o zdaniach, jakimi Hamlet określał Fortinbrasa i jego ludzi:

Przykłady wielkie jak świat stoją przecie  
Przedemną; choćby to wojsko tak liczne  
I tak zasobne, pod wodzą takiego  
Młodego księcia, który zapalony  
Szlachetną żądzą sławy, lekceważy  
Ukrytą szalę wypadków i chętnie,  
Co jest doczesne i przemijające,  
Na sztych wystawia hazardom, zagładzie  
Za co? Za marną łupinę orzecha.

„I my lekceważyliśmy ukrytą szalę wypadków — myślał Michael patrząc z uśmiechem na żołnierzy, co w ciemnościach dobijali targu z kobietami. — Lekceważyliśmy głupio, bezmyślnie. I my wystawiamy na sztych zagładzie to, co jest doczesne i przemijające. Za więcej wprawdzie niż łupina orzecha, ale jakże odmiennie niż Fortinbras i jego dwadzieścia tysięcy zbrojnych za sceną. Cóż, zapewne Szekspir wymyślił to wszystko. Zapewne żadna armia, nawet powracająca z polskiej wojny drużyną pocziwego, starego Fortinbrasa, nie była nigdy tak szlachetna i waleczna jak ów twór dramatyczny. Armia ta dała sposobność do efektywnej sceny i pasowała do drażliwej sytuacji Hamleta, toteż Szekspir stworzył ją, chociaż musiał zdawać sobie sprawę, że kłamie. Nie mamy wyobrażenia, co szeregowiec z Fortinbrasowskiej piechoty myślał o swoim księciu i szlachetnej żądzy sławy, którą ów gorzał. Z tego można zrobić całkiem interesującą scenę... Dwadzieścia tysięcy ludzi dla cudzego kaprysu i cudzej żądzy sławy idzie do grobów spokojnie niczym do łóżek. Dziś groby mogą czekać na więcej niż dwadzieścia tysięcy-ludzi i na mnie w ich liczbie. Ale przez

trzy wieki cudzy kaprys i cudza żądza sławy straciły nieco siły i wymowy. A mimo to idziemy, idziemy, idziemy. Nie w podniosłym rytmie białego wiersza, co porywał kukły odziane w czarne trykoty, ale idziemy, idziemy... W takt kulawej, chropowatej prozy lub języka prawniczego, zbyt zawilego dla użytku i zrozumienia zwyczajnych śmiertelników. Sprawę naszą rozstrzygnął sąd cywilny, ani wrogi nam, ani życzliwy, a sentencję wyroku ułożył prawie uczciwy sędzia poparty przez werdykt niezupełnie nam obcej ławy przysięgłych, rozpatrującej przypadek nie podlegający właściwie ich jurysdykcji. «Idźcie — mówią nam. — Idźcie. Pomierzajcie trochę. Mamy po temu swoje powody.» Słuchamy tych słów i nie wiemy, czy wierzyć im, czy nie wierzyć — idziemy. «Idźcie — mówią nam. — Idźcie, pomierzajcie trochę. Kiedy doprowadzicie rzecz do końca, życie nie będzie lepsze, ale prawdopodobnie nie będzie też dużo gorsze.» Gdzie Fortinbras, który wstrząśnie pióropuszem i w dostojnej prozie wyłoży naszą sprawę potoczystą, ozdobną? *N'existe pas*, jak powiadają Francuzi. Zabrakło go na składzie w Ameryce i w Anglii. Z Francji się wyprowadził. W Rosji jest zbyt przebiegły. Fortinbras zniknął z tej ziemi. Churchill starał się, jak potrafił, ale wysondowawszy dokładnie sytuację zabrzmiał głuchym dźwiękiem, jak surmy wołające do broni trzy wieki temu. Tak! Lekceważymy dzisiaj ukrytą szalę wypadków, usta wykrzywiamy cierpkim uśmiechem. To wojna ironicznych min, ale padnie w niej nas tak wielu, że nie rozczarowałby się nawet najbardziej krwiożerczy widz, co plącił za wstęp do teatru «Globe» w zaraniu siedemnastego wieku..."

Michael wędrował wolno przez Hyde Park. Myślał o łabędziach żeglujących za dnia po Serpentyńce, o mówcach, co w niedzielę zjawiają się znów na trybunach, o artylerzystach, którzy przyrządzają teraz herbatę i odpoczywają po odlocie bombowców z angielskiego nieba. Przypomniał sobie nagle, co słyszał o londyńskiej obronie czynnej od spędzającego urlop w stolicy Irlandczyka, dowódcy dywizjonu artylerii przeciwlotniczej, który miał na koncie czterdzieści strąconych maszyn.

— Te dziady nigdy nie mogą nie trafić — cedził pogardliwie weteran z Dovru. — Dziw, że Londyn jeszcze stoi jako tako. Po całych dniach sadzą rododendrony koło stanowisk i pucują lufy, żeby ładnie błyszczały, gdyby przypadkiem przechodziła w po"bliżu panna Churchill... Artyleria regularnie do dupy!

Wschodzący księżyc oświetlał stare drzewa i rzadko rozproszone budynki. Niekiedy brzęknęło szkło, kiedy żołnierz z dziewczyną wlaził

do opuszczonego domu przez okno wywalone podmuchem w czasie niedawnego nalotu.

— Artyleria regularnie do dupy — mruknął do siebie Michael w przedsiönku hotelu „Dorchester”.

Minął portiera w operetkowym mundurze ozdobionym medalami z tamtej wojny.

— Artyleria regularnie do dupy — powtórzył zachwycony lapidarnym zwrotem.

W rozległym hallu slychać było muzykę taneczną. Sędziwe damy dostojnie piły herbatę w towarzystwie siostrzeńców. Urodziwe kobiety przemykały powiewnie w stronę baru amerykańskiego, oparte na ramionach amerykańskich oficerów.

Whitacre patrzył i miał wrażenie, że zna już to wszystko z literatury na temat poprzedniej wielkiej wojny. Takie same postacie, dekoracje, reżyseria. Nawet kostiumy zmieniły się mało, prawie niedostrzegalnie dla oka.

„Czas spletał nam figła — myślał. — Zostaliśmy bohaterami własnego młodzieńczego romansu, tylko trochę za późno, by grać romantyczne role.”

Poszedł na piętro do wielkiej sali, gdzie odbywało się jeszcze przyjęcie. Louise obiecała, że będzie tam na niego czekać.

We drzwiach wysoka ciemnowłosa dziewczyna zwróciła się do towarzyszącego jej pułkownika:

— Spójrz! Autentyczny szeregowiec! A nie mówiłam, że bodaj jeden znajdzie się w Londynie? — Spojrzała na Michaela. — Przyjdzie pan tu na kolację we wtorek wieczorem? Będzie pan atrakcją. Słowo daję! Zdrowy kościec armii!

Michael uśmiechnął się do ciemnowłosej dziewczyny. Pułkownik spojrzał nań bez entuzjazmu.

— Chodźmy już, moja droga! — Zdecydowanym ruchem ujął partnerkę pod ramię.

— Proszę koniecznie przyjść — rzuciła przez ramię, odpywając wdzięcznie u boku pułkownika. — Dostanie pan ode mnie cytrynę. Prawdziwą, całą cytrynę.

Michael rozejrzał się po sali. Spostrzegł sześciu generałów i poczuł się nieswojo. Nigdy dotychczas nie zawarł znajomości z generałem. Spojrzał krytycznie na swoją źle wyprasowaną bluzę i nie doczyśczone guziki. Wcale by się nie zdziwił, gdyby któryś z generałów zapisał jego stopień, nazwisko i numer ewidencyjny z powodu tych nieszczęsnych guzików.

Nigdzie nie mógł wypatrzeć Louise, a krępował się przejść w drugi koniec sali i zażądać czegoś do wypicia przy barze obłożonym przez godnie wyglądających, obcych ludzi. Kiedy ukończył szesnaście lat, był zdania, że raz na zawsze skończył z nieśmiałością. Od tego czasu czuł się wszędzie jak u siebie w domu, wypowiadał się swobodnie i wierzył, że w każdym towarzystwie jest co najmniej na poziomie. Ale w wojsku powróciła nieśmiałość znacznie przykrzejsza niż za chłopięcych czasów. Whitacre czuł się głupio wobec oficerów, wobec żołnierzy, mających za sobą przeszłość bojową, wobec kobiet, które w innych warunkach traktowałby poufale.

Stał koło drzwi i nie wiedząc, co ze sobą robić, patrzył na generałów. Nie bardzo mu się podobali. Mieli miny przeciętnych ludzi interesu, prowincjonalnych kupców czy przemysłowców pochłoniętych przygotowaniami do nowego sezonu. Byli trochę za tłuści, za bardzo zadowoleni z siebie i z życia. Twarze niemieckich dygnitarzy wojskowych były na ogół lepsze: nie w pojęciu abstrakcyjnym, lecz jako maski generałów.-Surowsze, bardziej zacięte, stanowcze.

„Tylko dwa rodzaje twarzy pasują do generała — myślał Michael. Generał może wyglądać jak bokser ciężkiej wagi, co z zimną, zwierzęcą odwagą spogląda na świat szparkami podpuchniętych, tępych oczu. Może też przypominać postać z powieści Dostojewskiego: człowieka opętanego, złego, bliskiego szału, o czole napiętnowanym przewrotną żądzą i wymyślnymi wizjami śmierci. Cóż, nasi generałowie mają nieodpowiednie miny. Patrząc na nich możesz liczyć, dobry człowieku, że sprzedadzą ci działkę budowlaną lub odkurzac. Nie spodziewaj się jednak, że zaprowadzą cię pod mury twierdzy. O Fortinbrasie, Fortinbrasie! Czy nigdy nie wyemigrowałeś z Europy?”

— O czym tak dumasz? — zapytała Louise stając obok Michaela.  
 — O generalskich gębach. Nie podobają mi się.  
 — Żal mi cię — podjęła. — Nie możesz pozbyć się psychiki rekruta.

— Oceniaś moją psychikę najzupełniej trafnie.

Spojrzał na Louise. Miała na sobie szary samodziślowy kostium i czarną bluzkę. Jej czerwonorude bujne włosy połyskiwały wyzywająco na tle mundurów. Whitacre nigdy nie mógł rozstrzygnąć kwestii, czy kocha tę kobietę, czy też jest do niej zniechęcony. Miała męża gdzieś na wyspach Oceanu Spokojnego, lecz mówiła o nim niewiele. Obecnie pełniła jakieś poufne funkcje w Wojskowej Propagandzie Zagranicznej i zdawać się mogło, że zna wszystkie grube ryby na Wyspach Brytyjskich. Wobec mężczyzn stosowała szorstką bezpo-

średniość i raz po raz otrzymywała zaproszenia do głośnych rezydencji wiejskich, gdzie gadatliwi wojskowi najwyższych stopni zdradzali jej mnóstwo groźnych tajemnic wojskowych. Michael był przekonany, że Louise zna na przykład dzień i godzinę inwazji, cele w Niemczech wyznaczane na najbliższy miesiąc lotnictwu bombowemu, dokładny termin i miejsce następnego spotkania Roosevelta z Churchilllem i Stalinem. Miała dobrze po trzydziestce, chociaż wyglądała młodziej, a przed wojną żyła spokojnie w St. Louis u boku męża, nauczyciela szkoły średniej. Whitacre nie wątpił, że po wojnie Louise zasiądzie w Senacie albo zostanie wysłana dokądś na stanowisko ambasadora Stanów Zjednoczonych. Myśląc tak współczuł biednemu profesorowi, który pośród bagien Bougainville czy Nowej Kaledonii marzy o skromnej żonie i przytulnym domku w St. Louis.

Michael uśmiechnął się cierpko, bo dostrzegł, że rozmowa z Louise ściągnęła na niego uporczywe spojrzenia kilku oficerów sztabowych.

— Ciekaw jestem, dlaczego zawracasz sobie mną głowę? — rzucił.

— Dbam o kontakt z nastrojami w wojsku — odpowiedziała.

— „Szary żołnierz i jego rozwój.” Niezły tytuł artykułu, prawda? Chyba pošlę coś na ten temat do „Ladie's Home Journal”.

— Kto buli za to przyjęcie? — zapytał.

— Wojskowa Propaganda Zagraniczna. — Protekcyjnie ujęła go pod rękę. — Rozumiesz? Ożywienie życia towarzyskiego w naszych siłach zbrojnych i serdecznych stosunków z walecznym brytyjskim sojusznikiem.

— Aha — roześmiał się Whitacre. — Wiem teraz, na co płacę podatki: na whisky dla generałów.

— Biedni starszuskowie. Nie zazdrość generałom. Ich jasne dni dobiegają końca.

— Chodźmy! — wybuchnął Michael. — Duszno mi w tej atmosferze.

— Nie wypijesz jednego?

— Dziękuję. Nie chcę wyzyskiwać Wojskowej Propagandy Zagranicznej.

— Najbardziej drażni mnie w szeregowych ich poczucie urażonej godności.

— Chodźmy stąd.

Whitacre spostrzegł, że siwowłosy pułkownik angielski zmierza w ich stronę, próbował więc uprowadzić towarzyszkę, ale nie zdążył.

— Louise — zagaił rozmowę pułkownik — jedziemy na kolację do klubu. Jeżeli nie masz nic lepszego na widoku...

— Mam. Umówioną od dawna randkę. Panowie pozwolą: pułkownik Treanor. Szeregowiec Whitacre.

Ściskając suchą rękę Michael odruchowo stanął na baczność. Pułkownik nie uśmiechnął się do niego. Był przystojny, szczupły. Miał zimne jasnoblękitne oczy i kołnierz ozdobiony czerwonymi patkami sztabu generalnego.

— Szkoda — rzucił pod adresem Louise. — Naprawdę jesteś dziś zajęta?

Stał blisko i nie odrywał od niej bystrego spojrzenia. Twarz mu dziwnie pobladła. Miarowo kołysał się na obcasach w tył i w przód. Nagle Whitacre przypomniał sobie nazwisko. Oczywiście! Treanor! krążyły plotki o nim i Louise. Pewnego razu Mincey zalecał nawet ostrożność, gdy poprzedniego dnia spotkał Michaela z przyjaciółką w jakimś barze. Pułkownik nie dowodził teraz oddziałem liniowym, lecz zajmował wpływowe stanowisko w Planowaniu Operacyjnym Naczelnego Dowództwa Sił Zbrojnych i podobno miał wiele do powiedzenia w polityce międzynarodowej.

— Powiedziałam przecież, Charles, że nie mam czasu — odparła kobieta.

— Nie masz czasu. Naturalnie — burknął pułkownik po trosze pijackim głosem, odwrócił się i godnie podążył w kierunku bufetu.

— Widzę już szeregowca Whitacre'a na pierwszej barce desantowej — szepnęła Michael.

— Nie pleć głupstw! — syknęła Louise.

— To tylko żart.

— Całkiem niemądry.

— Słusznie. Całkiem niemądry. — Uśmiechnął się na dowód, że nie traktuje sprawy serio. — No, już zrujnowałaś moją karierę w armii Stanów Zjednoczonych. Chyba możemy pójść?

— Nie chcesz zapoznać się z kilkoma generałami?

— Może innym razem. Tak około tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku. Idź po płaszcz, dobrze?

— Dobrze. A ty czekaj. Strasznie mnie zmartwisz, jeżeli zwiejesz.

Spojrzał na nią pytająco. Stała tuż przed nim. Miała poważną minę. Nie zwracała uwagi na tłum mężczyzn zapełniających salę. Głowę przechyliła trochę na bok. Bacznie przyglądała się Michaelowi.

„Mówi serio — pomyślał. — Jak Boga kocham, mówi serio. — Odczuł wzruszenia, a zarazem niechęć do towarzyszki. — Do czego zmierza? — Spojrzał w głębokie, bystre oczy i na staranną fryzurę.



— Mniejsza o to! Zmierza do czegoś, ale ja na pewno stanę okoniem. Bodaj ją licha!"

— Właściwie mógłbyś się ze mną ożenić — powiedziała Louise.

Whitacre szeroko otworzył oczy. Powiódł wzrokiem dokoła po jarzących się jasnych światłach i efektownych mundurach oficerów.

„A to dopiero heca! — pomyślał. — Propozycja małżeńska w takim lokalu!"

— Właściwie mógłbyś się ze mną ożenić — powtórzyła kobieta spokojnym, cichym głosem.

— Bardzo cię proszę, idź po płaszcz.

Uległ naglej niechęci do Louise i żal mu się zrobiło biednego profesora, który w mundurze piechoty morskiej tkwi gdzieś pośród odległej dżungli. Niewątpliwie to sympatyczny, prostolinijny, sentymentalny jegomość, a końca wojny nie dożyje z powodu czystego pecha.

— Niech ci się tylko nie zdaje, że jestem pod gazem — podjęła kobieta. — Wiedziałam, że muszę ci to dziś powiedzieć. Wiedziałam od pierwszej chwili, kiedy wszedłeś tutaj. Obserwowałam cię przez pięć minut, zanim mnie spostrzegłeś. Wtedy zrozumiałam, że tego właśnie pragnę.

— Drogą służbową — zaczął Michael najswobodniej, jak to było możliwe — zwrócę się do swojego dowódcy o pozwolenie na zawarcie związku małżeńskiego...

— Do licha! — przerwała mu. — Czy musisz kpić zawsze i ze wszystkiego?

Urażona odwróciła się i szybko poszła po płaszcz.

Whitacre obserwował jej drogę przez gwarną salę. Pułkownik Treanor zatrzymał Louise. Wziął ją za rękę i natrętnie perswadował jej coś szeptem. Wyrwała mu się i odeszła w stronę garderoby damskiej. Posuwała się wolno z chłodnym, wyzywającym wdziękiem, jej szczupłe, zgrabne nogi były bardzo kobiece. Michael zirytował się. Miał ochotę podejść do baru i wypić coś mocnego, zabrakło mu jednak odwagi. Cały ich stosunek był dotąd swobodny, koleżeński. Cechowała go tymczasowość i zupełny brak odpowiedzialności. Trudno o coś lepszego w niepewnym okresie oczekiwania na prawdziwą wojnę, kiedy niby to praca w operetkowym biurze Minceya budzi tylko wstydlivy niesmak. Tak. Ich stosunek kształtował się w proporcjach idealnie odpowiadających rzeczywistości, a Louise potrafiła stworzyć uczucie słabsze i lepsze niż miłość. Potrafiła przesłonić subtelną firanką nieustanne komiczne poniżenia, na które szeregowiec Whitacre był narażony w wojsku. A dziś wszystko się zapewne skończy.

„Ach, te baby! — obruszył się niechętnie Michael. — Nigdy nie nauczą się sztuki przychodzenia i odchodzenia w porę. Każda osiedla się w sercu na dobre, wije gniazdko rodzinne. Niech wzмага się wojenna powódź! Niech padają mocarstwa! Niech grozi inwazja! Kobiecie wszystko jedno. Jest pewna swego, uparta. No, już ja nie pozwolę się złapać! Samotność w takich czasach to samoobrona. Do diabła! — zmienił temat rozważań. — Co mnie obchodzą generałowie? Mam gdzieś generałów!”

Szybkim, pewnym krokiem przemierzył salę i zbliżył się do bufetu.

— Whisky z wodą sodową! — rzucił pod adresem barmana. Z lubością pociągnął pierwszy długi łyk.

W najbliższym sąsiedztwie rozmawiali dwaj oficerowie brytyjscy, pułkownik Służby Zaopatrzenia i major Lotnictwa Królewskiego. Na Michaela wcale nie zwrócili uwagi. Pułkownik był lekko podchmielony.

— Ty nic nie wiesz, Herbert, a ja wiem — mówił. — Nie darmo tłukłem się po Afryce. W jednym Amerykanie są bezkonkurencyjni. Powiadają ci, mój stary, pierwsza klasa. Nie chcę im nic ujmować. Kwatermistrzostwo u nich gra. Kolumny transportowe, magazyny paliwa, regulacja ruchu... O! Na tym się rozumieją! Ale trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, mój drogi. Amerykanie nie umieją walczyć. Gdyby Montgomery był realistą, powinien im powiedzieć. „Słuchajcie no, koledzy! Oddamy wam wszystkie ciężarówky, a wy oddajcie nam wszystkie czołgi i działa. Wy zajmiecie się zaopatrzeniem i transportem, bo to wasza specjalność, a my weźmiemy na siebie wojowanie. Wtedy cała historia skończy się gładko i na Boże Narodzenie wszyscy wrócimy do domu.”

Major przytaknął pułkownikowi wymownym skinieniem głowy i obydwaj oficerowie Jego Królewskiej Mości zamówili po dużej whisky. Michael zerknął na różową lysinę pułkownika połyskującą przez rzadkie siwe włosy.

„Ha — pomyślał złośliwie — na tych aliantów Wojskowa Propaganda Zagraniczna marnotrawi pieniądze zacnych podatników.”

W tej chwili odstawił nie dopitą szklankę i ruszył w stronę wyjścia, gdyż Louise ubrana w luźny popielaty płaszcz wyszła z garderoby. Nie miała już poważnej miny. Na jej ustach igrał jak zwykle pytająco-zdziwiony uśmiech, jak gdyby nie wierzyła nawet w połowę tego, co ludzie szepczą jej w drodze przez życie. Michael ujął kochankę pod rękę i pomyślał nieżyczliwie: „Ach, te baby! W garderobie zerknęła w lustro

i powiedziała sobie: «Basta! Dzisiaj nie puszczę więcej farby.» Wtedy naciągnęła na twarz zwyczajną, codzienną minę tak gładko i niedbale, jak teraz naciąga rękawiczki."

— Psiakrew! — uśmiechnął się Whitacre sprowadzając swoją damę ze schodów. — Ładnie się wkopałem. Wisi nade mną zguba.

— Nie powiem, że się mylisz.

— Nie uwierz, chociażbyś powiedziała.

Roześmieli się i weszli do przestronnego hallu hotelu „Dorchester”, gdzie sędziwe damy piły z siostrzeńcami herbatę, a młodzi kapitanowie amerykańskiego lotnictwa asystowali urodziwym paniąkom. Angielski zespół jazzowy rzępolił potwornie. Lepiej grać nie mógł, bo w Anglii brak Murzynów, co tchnęliby iskrę życia w muzykę tego rodzaju i dobrotliwie szepnęli saksofonście czy perkusiście: „Posłuchaj no pan. To się tak robi. O, tak! Więcej ikry, gazu! Nie trzeba tłamsić instrumentu w garści...”

Michael i Louise szli butnie ramię w ramię. Opamiętali się na czas i zapewne po raz ostatni sunęli po beztroskich krańcach miłości. W oddali, za Hyde Parkiem, dogasały wzniecone przez Niemców pożary. Luna malowała niebo świętecznymi barwami.

Wędrowali z wolna w kierunku Piccadilly.

— Coś dzisiaj wymyśliłam — zagaiła rozmowę Louise.

— Ciekawym co? — spytał Michael.

Postanowiłam zdobyć dla ciebie nominację, przynajmniej na porucznika. To nonsens, żebyś do końca życia był szeregowcem. Muszę pogadać z przyjaciółmi i...

— ...zmarnować trochę czasu i energii — dokończył Whitacre i roześmiał się gorzko.

— Jak to? Nie chcesz zostać oficerem?

— Czy ja wiem? Nie zastanawiałem się nad tą kwestią. W każdym razie nie trudź się zbytecznie.

— Ale dlaczego?

— Twoi przyjaciele nic nie mogą zrobić...

— Co?! — wybuchnęła. — Mogą zrobić wszystko. Jeżeli ja poproszę...

— Nic nie załatwisz. Wniosek powędruje do Waszyngtonu i wróci odrzucony.

— Dlaczego?

— Bo jakiś facet w Waszyngtonie uważa mnie za komunistę.

— Także pomysł!

- Bezsprzecznie głupi. Ale zrodził się w czyjejś głowie.
- Czy naprawdę jesteś komunistą?
- Mniej więcej tak jak Roosevelt — roześmiał się Michael. — On również nie dostałby stopnia oficerskiego.
- Próbowałeś już?
- Tak.
- Dobry Boże! — westchnęła. — Idiotyczny świat.
- To nieważna sprawa. Wojnę i tak wygramy.
- Musiałeś być wściekły, jak się dowiedziałeś o tej bzdurze?
- Nie bardzo... Raczej smutny niż zły.
- Miałeś chyba ochotę wyświetlić całą sprawę, oczyścić się z niedorzecznych zarzutów?
- Czy ja wiem? — bąknął Whitacre. — Może w pierwszej chwili. Później zrozumiałem, że to dziecinne mrzonki.
- Jesteś diabelnie rozsądny.
- Zapewne. Ale nie w moim diabelnym rozsądku, tkwi sedno sprawy. — Uśmiechnął się posępnie. — Nie urodziłem się na żołnierza. Armia mało straciła odmawiając mi nominacji. Kiedy się zaciągałem, miałem zamiar nie wpływać w żaden sposób na decyzję władzy. Wierzę w tę wojnę, co nie znaczy wcale, że wierzę w wojsko. Nie mam zaufania do żadnego wojska. Rozumny dorosły człowiek nie może wymagać od armii sprawiedliwości. Żąda od niej zwycięstwa. Chociaż i sprawiedliwość... Czy ja wiem?.. Jak świat światem nie było chyba armii bardziej sprawiedliwej niż nasza. Jestem przekonany, że amerykańskie władze wojskowe będą dbać o mnie jak najtroskliwiej, że w granicach możliwości nie dopuszczą do mojej żołnierskiej śmierci, a w rezultacie wygrają wojnę tak tanio, jak pozwoli na to ludzka umiejętność przewidywania i wiedza wojskowa. To chyba wystarczy aż do dnia ostatecznego zwycięstwa?
- Taki cynizm na pewno nie spodobałby się Wojskowej Propagandzie Zagranicznej — powiedziała Louise.
- Możliwe. Spodziewałem się, że naszą armia jest równie niedołączna, amoralna, okrutna, skłonna do marnotrawstwa krwi i mienia jak wszystkie armie pod słońcem. Niewątpliwie ma te cechy, ale w stopniu nieporównanie niższym niż sądziłem przed wstąpieniem do wojska. Na przykład jest znacznie mniej amoralna od niemieckiego Wehrmachtu. To dobrze dla nas, bo odniesiemy zwycięstwo, być może, nie najlepsze, lecz w danych warunkach i w danym czasie najkorzystniejsze. Za to wdzięczny jestem naszej armii, choć oczywiście daleko jej do ideału.

— No, a ze sobą co masz zamiar zrobić?—zmieniła temat Louise.  
— Do końca wojny będziesz tkwił w tym samym śmiesznym biurze i klepał chórzystki po zadkach?

— Cóż, rozmaici ludzie przeżywali rozmaite wojny w jeszcze podlejszy sposób — uśmiechnął się Whitacre. — Myślę jednak, że coś się zmieni. W swoim czasie władze wojskowe przesuną mnie dokądś, gdzie będę uczciwie zarabiał na chleb, będę musiał zabijać i sam może zostanę zabity.

— Ciekawe. A co czujesz, kiedy tak myślisz?

— Co czuję? Przede wszystkim strach.

— Dlaczego jesteś zdania, że coś takiego musi cię spotkać?

— Czy ja wiem? — Michael zawahał się na moment. — Mistyczny głos wewnętrzny mówi mi, że sprawiedliwości musi stać się zadość, że będę jej szafarzem i ofiarą. Od tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku, od Hiszpanii, czuję, że los zażąda ode mnie zapłaty. Rok po roku unikam jej, ale pewność rośnie z dnia na dzień. Wiem, że zapłata jest nieunikniona.

— A może już zapłaciłeś coś niecoś?

— Coś niecoś — powtórzył z uśmiechem. — Tylko odsetki. Kapitał pozostał nienaruszony. Kiedyś będę musiał uiścić dług, i to nie w biurach Propagandy Wojskowej.

Skręcili w ulicę Świętego Jakuba. W głębi St. James Palace rysował się ciemną, średniowieczną sylwetką. Tarcza zegara połyskiwała szarą plamą pomiędzy basztami.

— Chyba naprawdę nie jesteś typem oficera. — Louise uśmiechnęła się w gęstym mroku.

— I mnie się tak zdaje — przyznał Whitacre.

— W każdym razie mógłbyś zostać sierżantem.

Michael wybuchnął śmiechem.

— Czasy się zmieniły. Co za upadek! Niegdyś w Paryżu Madame Pompadour zdobywała buławy marszałkowskie dla faworytów. Dzisiaj Louise M'Kimber idzie do królewskiego łóża po trzy belki dla swego szeregowca.

— Nie bądź taki cwany — obruszyła się kobieta. — Tu nie Hollywood.

Młode, z lekka przepite głosy zaśpiewały:

Siup — na sianie.

Zrób posłanie,

Kołysz, kołysz mię — i siup.

Trzej marynarze brytyjscy ujęli się pod ręce i chwiejnym krokiem przecinali na skos szeroką jezdnię.

— Dziś wieczorem przed naszym spotkaniem myślałem o Dostojewskim — zaczął Whitacre.

— Nie cierpię intelektualistów — przerwała mu Louise kategori-  
cznym tonem.

— Mniejsza o to. U Dostojewskiego ksiądz Myszkın chciał ożenić się z prostytutką, aby w ten sposób okupić swoje grzechy i winy.

— Czytuję tylko „Daily Express”.

— Obecnie żyjemy w mniej dramatycznej epoce — podjął uparcie Michael. — Ja nie chcę żenić się z nikim. Po prostu zostaję szeregowcem, by okupić swoje grzechy i winy. Nietrudna pokuta! Osiem milionów ludzi jest w podobnej sytuacji...

Marynarze lawirowali zygzakami w stronę St. James Pałace.

Siup! — ledwie człowiek zlął,

A ona — jeszcze raz!

I kołysz, kołysz mię — i siup.

Michael i Louise weszli w boczną uliczkę, przy której tylko jeden dom był zbombardowany. Oddalające się głosy marynarzy brzmiały tęsknie i żałośnie mimo głupich słów wesołej śpiewki.

„Ognisko Międzysojusznicze” mimo szumnej nazwy zajmowało tylko trzy małe pokoje w póluterenie. Na ścianach wisiały zakurzone flagi, a bufet zastępowała długa deska przybita gwoździami do dwóch baryłek. Od czasu do czasu można tu było dostać befsztyk z polędwicy, szkockiego łososa i zimne piwo, które właścicielka, hołdując amerykańskim gustom, trzymała w blaszanej waniencie napełnionej lodem. Francuz odwiedzający ów lokal mógł się zwykle zaopatrzyć w butelkę algierskiego wina, i to po oficjalnej cenie. W atmosferze umiarkowanego pijaństwa żołnierze wszelkich stopni przestawali ze sobą na poufalej stopie, pewni, że chłodne światło dnia zatrze nieodosowności minionej nocy. W razie nagłej potrzeby prawie każdy mógł tam uzyskać kredyt, nikogo zaś nie naciskano później o zapłatę.

Kiedy Michael i Louise weszli do „Ogniska”, ktoś brzdąkał na pianinie w ostatnim pokoju. Przy bufecie dwaj sierżanci Lotnictwa Królewskiego śpiewali półgłosem. Młoda Amerykanka — kapral Pomocniczej Służby Kobiet spała z głową na ramieniu francuskiego marynarza. Amerykański podpułkownik, niejaki Pavone, wygłaszał mowę do czterech korespondentów wojennych siedzących wraz

z nim przy dużym stole. Pavone miał twarz podstarzałego aktora farbowego. Na świat przyszedł w Brooklinie, w latach trzydziestych prowadził cyrk we Francji, a na początku wojny służył we francuskiej kawalerii. Odznaczał się tym, że ustawicznie palił bardzo grube i bardzo drogie cygara. W kącie, nie wadząc nikomu, siedział Francuz – śniady, czarnowłosy olbrzym – który, jak mówiono, pracował dla wywiadu angielskiego i dwa lub trzy razy na miesiąc skakał ze spadochronem we Francji. Obecnie gryzł kieliszki, co robił zawsze, kiedy upił się późną nocą i był w podłym nastroju. W kuchni, za środkowym pokojem, uwijał się tłusty starszy sierżant w mundurze amerykańskiej żandarmerii. Był zakochany w jednej z pań prowadzących „Ognisko”, więc własnoręcznie smażył sobie pełną patelnię ryby. Przy małym stoliku koło drzwi kuchenki kwitł dwuosobowy poker. Korespondent prasowy grał z dwudziestotrzyletnim majorem amerykańskiego lotnictwa, który przed kilkoma godzinami wrócił szczęśliwie znad Kilonii.

– ...i sto pięćdziesiąt funtów – usłyszał Michael głos majora, zaczął więc obserwować graczy.

Lotnik poważnie wypisał rewers na sto pięćdziesiąt funtów i rzucił na środek stołu.

– Dobrze. Sto pięćdziesiąt – powiedział korespondent. – Sprawdzam.

Miał na sobie amerykański mundur, wyglądał jednak na Węgra i mówił z węgierskim akcentem. On również wypełnił rewers i położył na kupce pieniędzy i świstków papieru.

– Proszę dwie whisky. – Whitacre zwrócił się do starszego szeregowca, który obsługiwał za bufetem podczas urlopów w Londynie.

– Niestety, panie pułkowniku. Whisky się skończyła – odpowiedział starszy szeregowiec.

Był zupełnie bezzębny i – jak pomyślał Whitacre – dziąsła musiały mieć w fatalnym stanie z winy brytyjskich racji żywnościowych.

– Niech będzie dżin.

Starszy szeregowiec ubrany w mundur polowy i luźny, wyplamiony szary fartuch nalał dwa dżiny sprawnie i z zamiłowaniem.

Przy pianinie w ostatnim pokoju odezwał się drżący męski głos:

W szulerniach mój papa się rządzi jak król,  
Dżin mama sprzedaje na lewo –  
Siostrzyczka zaś woła: chcesz kochać – to bul,  
I forsa wciąż sika ulewą!

— Oby nam się! — powiedział Michael do Louise podnosząc rękę ze szklanką.

Wypili.

— Sześć szylingów, pułkowniku — wtrącił starszy szeregowiec.

— Zapisz na kredę. Jestem dziś goły. Czekam na grubą forszę z Australii. Mam tam młodszego brata. Służy w lotnictwie. Jest majorem, rozumiesz? Pełna gaża i dodatek za loty.

Bufetowy nagryzmoilił nazwisko Michaela w poplamionej tłuszczem księdze i stworzył dwie butelki piwa dla sierżantów Królewskiego Lotnictwa, którzy zwabieni śpiewem wyszli ze szklankami w rękę do ostatniego pokoju.

Rosły Francuz przestał gryźć kieliszki.

— Ludzie! — krzyknął. — Pragnę przemówić do was w imieniu generała Charlesa de Gaulle. Proszę wstać na cześć generała Charlesa de Gaulle, wodza Francji i francuskich sił zbrojnych!

Wszyscy wstali obojętnie, aby uczcić francuskiego generała.

— Zacni przyjaciele — podjął Francuz donośnie, z wybitnie rosyjskim akcentem. — nie wierzę w nic, o czym piszą gazety. Nienawidzę gazet i nienawidzę wszystkich gazeciarzy. — Srogim wzrokiem zmierzył czterech korespondentów wojennych otaczających podpułkownika Pavone. — Generał Charles de Gaulle jest szczerym demokratą i człowiekiem honoru.

Usiadł i spojrzął posępnie na nadgryziony kieliszek do koniaku.

Publiczność zajęła dawne miejsca. Z ostatniego pokoju nadpłynęły głosy sierżantów Lotnictwa Królewskiego:

Lancastrem z Ruhry ciężki lot —  
Już Londyn widać, brachu,  
A na pokładzie każdy chłop  
Ma pełne portki ze strachu.

— Panowie! — zawołała starszawa blondynka.

Dotychczas drzemała na krześle pod ścianą, a okulary zwisały jej z lewego ucha. Otworzyła oczy, uśmiechnęła się zalotnie do całej kompanii i wskazała palcem umundurowaną dziewczynę wracającą z toalety.

— Panowie! Ta kobieta ukradła mi szalik — oznajmiła i sen znów ją zmorzył. Po chwili chrapała donośnie.



— Przepadam za tym lokalem — powiedział Michael. — Panuje tu senna atmosfera pocziwej stare; Anglii. To coś jak krykiet, popołudniowa herbatka w ogródku proboszcza, muzyka Deliusa...

Lotnicy w ostatnim pokoju zaśpiewali na inną nutę: •

Do diabła poszły stery  
I tłoki też do cholery!  
A dajże, Boże, tym łobuzom zdrowie.

Tęgi generał amerykańskiej Służby Zaopatrzenia wkroczył do baru. Tegoż dnia po południu przyleciał do Anglii z Waszyngtonu. Na generalskim ramieniu wspierała się postawna młoda niewiasta z długimi zębami i powiewnym wdowim welonem. Pochód zamykał pijany kapitan ozdobiony bujnym wąsem.

— Aa! — zawołał generał i z promiennym uśmiechem na pełnej twarzy ruszył w stronę Louise. — Kochana pani M'Kimber!

Pocałował Louise. Kobieta z długimi zębami uśmiechnęła się uwodzicielsko do wszystkich obecnych w pokoju mężczyzn. Niewątpliwie miała jakąś wadę wzroku, bo raz po raz mrugała szybko. Michael dowiedział się wkrótce, że ta młoda osoba nazywa się Kearney, a jej mąż, oficer Lotnictwa Królewskiego, został strącony nad Londynem w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku.

— Generale Rockland — powiedziała Louise — to szeregowiec Whitacre, zagorzały wielbiciel generałów.

Generał serdecznie uściśnął dłoń nowego znajomego. Omal jej nie zdruzgotał. Michael pomyślał, że ten dygnitarz grywał w piłkę nożną w West Point.

— Miło mi poznać — powiedział generał. — Jak się masz, chłopcze? Widziałem cię już w „Dorchester”. Wyniosłeś się cichaczetp z najprzystojniejszą damą. Cwaniak, co?

— AJe w wojsku nie potrafi się urządzić — wtrąciła z uśmiechem Louise. — Chce być tylko szeregowcem. No i co z takim zrobić?

— Nie cierpię zawodowych szeregowców — oznajmił generał, a asystujący mu kapitan przytaknął poważnym skinieniem głowy.

— Ja również — podchwycił Michael. — Chętnie zostałbym porucznikiem.

— Nie cierpię też zawodowych poruczników.

— Słusznie, panie generale — uśmiechnął się Whitacre. — Jeżeli to panu bardziej odpowiada, może mnie pan wypromować na podpułkownika.

— Kto wie? Niewykluczone — powiedział dygnitarz. — Jimmy! Zanotuj no nazwisko tego żołnierza.

Kapitan zaczął grzebać we wszystkich kieszeniach i znalazł wreszcie reklamę prywatnych taksówek.

— Nazwisko, stopień, numer ewidencyjny — wyrzucił z siebie jak automat.

Michael podał swoje dane personalne, a kapitan starannie schował ulotkę do wewnętrznej kieszeni. Rozpiął przy tym bluzę i pokazał krwistoczerwone szelki.

Tymczasem generał zdążył zapędzić Louise w kąt i przyprzeć do ściany. Mówił coś. Twarz przysuwał blisko jej twarzy. Whitacre postąpił w ich stronę, ale drogę przecięła mu młoda niewiasta o długich zębach. Uśmiechnęła się mętnie. Trzepotała powiekami.

— Mój bilet wizytowy — powiedziała wręczając sztywny biały kartonik, na którym Michael przeczytał:

OTTILIE MUNSELL KEARNEY

Regent 7

— Proszę do mnie zadzwonić. Rano zawsze jestem w domu. Do jedenastej.

Znów uśmiechnęła się blado i powiewając welonem odeszła, aby wędrować od stolika do stolika i rozdawać mężczyznom białe kartoniki.

Michael zamówił drugi dzin i ze szklanką w rękę zbliżył się do stołu zajętego przez podpułkownika Pavone. Znał go, a także dwóch z czwórki asystujących mu korespondentów.

— ...Po tej wojnie perorował Pavone. — Francja musi pójść na lewo. Musi! Rozumiecie? My nic nie poradzimy, Anglia nic nie poradzi, Rosja nic nie poradzi! Siadaj, Whitacre. Mamy whisky — przerwał sobie wykład.

Michael szybko wypił dzin i z przyjemnością patrzył, jak jeden z dziennikarzy nalewa mu „na cztery palce” szkockiej whisky.

— Jestem w Administracji Wojskowej — ciągnął Pavone — i naturalnie nie mam pojęcia, dokąd mnie władze wyślą. Ale powiadam wam otwarcie, że mój przydział do Francji zakrawałby na kpiny. Ód stu pięćdziesięciu lat Francuzi rządzą się sami, roześmieją się więc w nos Amerykaninowi, który zechce nimi dyrygować chociażby w takiej sprawie, jak pokrycie ratusza nową blachą.

— Dorzucę pięćset funtów — odezwał się Węgier przy sąsiednim stoliku.

— Sprawdzę — zabrzmiał głos młodocianego majora i obydwaj pokerzyści wypisali rewersy.

— Co się stało. Whitacre? — spytał Pavone. — General zabrał ci dziewczynę?

— To krótkoterminowa pożyczka — odparł Michael zerkając w stronę bufetu, gdzie general śmiał się ochryple i coraz mocniej napierał na Louise.

— Przywilej stopnia, co? — roześmiał się Pavone.

— Rockland to kat na dziwki — odezwał się jeden z korespondentów. — W Kairze był dwa tygodnie i obrobił cztery aniołki z Czerwonego Krzyża. Po powrocie do Waszyngtonu dosłał Legion of Merit.

— Masz takie coś? — pułkownik machnął biletem wizytowym pani Kearney.

— Mam — Whitacre pokazał biały kartonik. — To najcenniejsza z moich pamiątek wojskowych.

— Babsko zrujnuje się na drukarnię — roześmiał się Pavone.

— Nie — zaprotestował korespondent. — Jej papa ma browar i kupę hopów.

Ja nie chcę być lotnikiem,  
Bo w nosie wojnę mam —  
I wołę metro na Piccadilly  
I forszę od eleganckich dam! ,

Zaśpiewali lotnicy w ostatnim pokoju. Do wtóru jęknęły syreny alarmowe.

— Szkopy upadły na głowę — powiedział któryś z dziennikarzy. — Dwa naloty jednej nocy!

— Uważam to za osobistą prowokację — podchwycił drugi.

— Właśnie we wczorajszym artykule dowiodłem jasno jak słońce, że Luftwaffe ma dosyć. Zsumowałem procentowe zniszczenia niemieckiego przemysłu lotniczego meldowane przez naszą Ósmą Armię Powietrzną i Dziewiątą Armię Powietrzną, a także przez Lotnictwo Królewskie. Dorzuciłem do tego maszyny strącone podczas nalotów i obliczyłem, że straty Luftwaffe wynoszą sto sześćdziesiąt osiem procent możliwych maksymalnych stanów. Trzy tysiące słów kablem. To nie fraszka!

Ahearn, niski, pękaty korespondent, zwrócił się do Michaela. Miał smętną, okrągłą twarz, sinoczerwoną od pijaństwa.

— Boi się pan nalotów? — zapytał. — Przepraszam, to nie przypadkowe wścibstwo. Gromadzę dane statystyczne. Chcę napisać długi kawałek o strachu. Dla magazynu „Collier”. Strach jest dominującym czynnikiem pierwszorzędnej wagi. Podczas tej wojny wywiera wpływ na całą ludzkość. Warto go przestudiować w stanie, że się tak wyrażę, czystym.

— Chętnie panu odpowiem — zaczął Whitacre. — Ale muszę się zastanowić, jak osobiście...

— Ja osobiście — Ahearn pochylił się w stronę Michaela i zionął zapachem browaru — stwierdziłem, że mocno się pocę i widzę wszystko znacznie wyraźniej, szczegółowiej niż wtedy, kiedy się nie boję. W swoim czasie byłem na okręcie wojennym, którego nazwy nie wolno mi zdradzić. Nawet dzisiaj! Niedaleko od Guadalcanal zaatakował nas japoński myśliwiec. Leciał z dziesięć stóp nad wodą, prosto na wieżę baterii, przy której ja stałem... Odwróciłem w bok głowę i zobaczyłem prawe przedramię jednego z marynarzy. Znałem tego chłopaka od trzech tygodni, wiele razy widywałem go w grubym negliżu. I wyobraź pan sobie, w tej chwili spostrzegłem coś, czego nigdy dawniej nie zauważyłem. Marynarz miał tatuaż na prawym przedramieniu. Czerwoną kłódkę otaczał wieniec z zielonych winnych liści, a nad tym wszystkim wiła się różowa szarfa z napisem po łacinie: *Amor omnia vincit*. Litery były duże, kanciaste, niczym na rzymskich pomnikach. Całą tę historię pamiętam tak dokładnie, że na żądanie mógłbym ją odrysować na tym obrusie — kreska po kresce i kolor po kolorze. Ale mówmy o tobie, bracie. Widzisz wyraźniej czy mniej wyraźniej, kiedy niebezpieczeństwo zagraża twojemu życiu?

— Mówiąc otwarcie — zaczął znów Michael — nigdy dotychczas...

— I jeszcze jedno — pijany korespondent spojrział tępo w twarz Michaela. — Trudno mi oddychać. Czuję się tak, jak gdybym leciał bardzo wysoko w rozrzedzonym powietrzu i nie miał aparatu denowego.

Nagle odwrócił się od Whitacre'a.

— Nalejcie no whisky! — zakomenderował.

W tej chwili Michael usłyszał głos podpułkownika i odległy huk dział rozpoczynających uverturę do nalotu.

— Wojna mało mnie interesuje — gadał Pavone. —\* Cywil ze mnie bez względu na to, co mówi mundur. Prawdziwie ciekaw jestem przyszłego pokoju.

Baterie przeciwlotnicze grzmiały już w pobliżu. Niemieckie bombowce były w zenicie. Whitacre miał wrażenie, że nadlatują małymi formacjami, po dwa lub trzy. Pani Kearney wręczyła bilet wizytowy starszemu sierżantowi żandarmerii, który wyszedł z kuchni z patelnią pełną dobrze wysmażonej ryby.

— Ostateczny wynik rozgrywki jest przesądzony — rozprawiał Pavone. — Dlatego właśnie wojna mało mnie interesuje. Od chwili kiedy usłyszałem o ataku japońskim na Pearl Harbor, wiem, że musimy zwyciężyć. Jeszcze raz zaśpiewał ktoś przy pianinie:

Cóż za cudowny poranek  
I dzień tak pełen nadziei,  
Człowiek cudownie się czuje  
I wszystko cudownie się klei... v

— Ameryka nie może przegrać wojny — ciągnął podpułkownik. — Ja to wiem, wy wszyscy wiecie... Ba! Dziś wiedzą nawet Japończycy i Niemcy. Powtarzam, chłopcy — wykrzywił się jak błazen cyrkowy i głęboko zaciągnął się cygarem — wojna mało mnie interesuje. Prawdziwie ciekaw jestem przyszłego pokoju, bo rozumiecie, to całkiem niepewna sprawa.

Dwaj polscy kapitanowie w dziwacznych rogatych czapkach, które zawsze przypominały Michaelowi ostrogi i druty kolczaste, weszli i stanęli przed bufetem. Mieli nadętą, niezadowolone miny.

— Cały świat—ciągnął Pavone — przegnie się na lewo. Cały świat z wyjątkiem Ameryki. Nie dlatego że ludzie czytają Karola Marksa lub ulegają nasyłanym z Rosji agitatorom. Nie dlatego! Po prostu świat powojenny nie będzie miał wyboru. Wszystko inne zostało wypróbowane. Wszystko inne zawiodło. Obawiam się, że Ameryka będzie odosobniona, zniechęcona, zacofana. Obawiam się, że nas wszystkich czeka los bogatych starych panien, co mieszkają w lasach, w samotnym domu. Wyobrażacie to sobie? Starannie ryglują drzwi, zaglądają pod łóżka, gdyż w siennikach mają fortunę. Cierpią na bezsenność, bo za każdym razem, gdy wiatr zaszeleści lub trzaśnie deska w podłodze, myślą, że to morderca skrada się po ich życie i skarby...

Węgier w mundurze amerykańskiego korespondenta podszedł do stołu, by nalać sobie pełną szklankę whisky.

— Ja tam mam własną teorię — powiedział. — Może kiedyś opublikuję ją w „Life”. „Jak ocalić kapitalizm w Ameryce.” Napisał Laszlo Czigly.

Bateria w pobliskim Green Parku zaszczekała donośnie. Węgier pociągnął tęgi łyk i z wyrzutem spojrzął na sufit.

— Nazwałem ją: „System Turystyczny Demokracji Kierowanej” — podjął, gdy uciszyło się trochę. — Rozejrzyjmy się wokół! — Wolną ręką zatoczył szeroki krąg. — Cóż widzimy? Dobrobyt bez precedensu. Każdy chętny do roboty ma korzystne zajęcie. Każda babina, która w normalnych czasach mogłaby być co najwyżej pomywaczką, pracuje przy precyzyjnych maszynach i zarabia osiemdziesiąt siedem dolarów na tydzień. Faceci, co służyli w policji rzecznej na Missisipi i ledwie wyciągali tysiąc dolarów rocznie, są dziś pełnymi pułkownikami z miesięczną gażą od sześciuset dwudziestu w górę. Studenci, którzy dawniej pompowali rodzicielskie fortuny, służą w lotnictwie i jako majorowie mają po pięćset siedemdziesiąt dolarów na miesiąc. Fabryki pracują dzień i noc. Bezrobocie nie istnieje. Wszyscy żrą więcej mięsa, oglądają więcej filmów, kochają się częściej. Wszyscy są weseli, zadowoleni, zdrowi i w doskonałej formie. Jakie jest źródło tych nadzwyczajnych dobrodziejstw? Wojna, i tylko wojna! Odpowiedcie mi oczywiście: Wojna nie może trwać wiecznie. Niestety, będziecie mieli rację. Niemcy zawiodą nas w końcu. Upadną. A my wrócimy do zamkniętych fabryk, bezrobocia, obniżki płac i innych klęsk społecznych. Z tym zagadnieniem można uporać się w dwojaki sposób. Albo zmusić Niemców, żeby walczyli bardziej długo... na tyle jednak nie można im ufać... albo... — znowu pociągnął whisky

i uśmiechnął się szeroko — albo udawać, że wojna trwa nadal. — Rozumiecie, panowie? Fabryki nie staną. Będziemy produkować pięćdziesiąt tysięcy samolotów na rok przy stawce dwa i pół dolara za godzinę najniższej kwalifikowanej pracy. Będziemy produkować czołgi po sto tysięcy sztuka i lotniskowce po siedem milionów. Naturalnie powiecie, że musi powstać problem nadprodukcji. Nie bójcie się! System Czigly'ego przewiduje wszystko. Na razie Japończycy i Niemcy wchłaniają naszą produkcję. Przeciwdziałają zakorkowaniu rynków. Strącają nasze samoloty, zatapiają lotniskowce, kulami wiercą dziury w sortach mundurowych. Zagadnienie jest proste: musimy, zostając swoimi własnymi Niemcami i swoimi własnymi Japończykami. Każdego miesiąca zgromadzimy odpowiednią ilość fortek latających, lotniskowców, czołgów... I co zrobimy z tym kramem? — z pijacką dumą potoczył wzrokiem po słuchaczach. — Zatopimy w morzu! I niezwłocznie zamówimy świeży asortyment. Ale nie na tym koniec

— ciągnął z wielką powagą. — Powstaje kwestia najbardziej drażliwa: element ludzki. Powiecie, panowie, zupełnie zresztą słusznie: „Nad-

produkcja towarowa to problem łatwy do rozwiązania. Ale nadprodukcja żywych ludzi... Ha! Tu dopiero wkraczamy na niebezpieczny teren." Święta racja! Sto tysięcy ludzi na miesiąc, dwieście tysięcy?... Nie wiem dokładnie, ilu się teraz pozbywamy. Trudno zabijać ich w czasie pokoju, choćby dla utrzymania gospodarki na najwyższym poziomie. Zaprotestowałyby liczne organizacje. Kościół sprzeciwiłby się stanowczo. Nawet zdają sobie sprawę z trudności, które musiałyby wyniknąć. Nie, panowie, bądźmy humanitarni! Pamiętajmy, że jesteśmy cywilizowanymi przedstawicielami rodzaju ludzkiego. Nie mordujemy biedaków. Po prostu zatrzymujemy ich w wojsku. Bulmy żołądka i gaź, nie żałujmy awansów, dekorujemy generałów, dawajmy żonom zasiłki rodzinne. Oplaci się to wszystko, byle żołnierze nie wracali do Ameryki. Wysyłajmy ich tłumnie pod stosownym kierownictwem z jednego kraju do drugiego. Poniosą na obczyznę dobrą wolę i zamożność. Będą wyrzucać znaczne sumy. Zapłodnią wiele samotnych cudzoziemek dobrym demokratycznym nasieniem Nowego Świata. Mężczyznom dadzą przykład temperamentu i bezpośredniości, cech tak nieodłącznie męskich. Ale to furda! Przede wszystkim nie będą współzawodnikami na amerykańskim rynku pracy. Od czasu do czasu demobilizujemy znaczne partie i odsyłajmy do kraju. Niech wracają do dawnego życia, do żon, teściowych i cywilnych pracodawców. Rychło się zorientują, w jak głupią wpadli kabałę. Będą błagali, by ponownie przyjąć ich do szeregów. Ale my wybierzemy jedynie najlepszych i w rezultacie ledwie dziesięć lub dwanaście milionów doskonałych okazów amerykańskiego społeczeństwa będzie uprawiać turystykę po szerokim świecie. A w Stanach, rozumiecie panowie, zostawimy ciemiągów, głuptasów, którzy niezbyt zaciekle będą konkurować między sobą. W taki sposób złagodnieje stopniowo i wreszcie zniknie owo napięcie nerwowe amerykańskiego stylu życia, nad którym zagni ludziska biadają tak często...

W górze rozległ się przeraźliwy, szarpący nerwy świst. Rósł, wzmagał się, przemieniał w loskot i zgiełk bez nazwy. Był coraz bliżej, bliżej. Zdawać się mogło, że to zderzenie pociągów w czasie burzy. Goście „Ogniska Międzysojuszniczego” padli na podłogę. W tej chwili wybuch targnął bębenkami uszu. Dom zadygotał. Na ulicy tysiąc szyb poleciało z okien. Światła mignęły i w szalonym momencie, nim zgasły, Michael spostrzegł, że starszawa blondynka zsuwa się na bok z krzesła, a okulary wiszą wciąż na jej lewym uchu.

Wybuchy zaczęły się oddalać. Były coraz słabsze. Akompaniował im loskot walących się budynków i murów: grzechot cegieł zasypujących pokoje mieszkalne i podwórka. Pianino w ostatnim pokoju jęknęło, jak gdyby dwadzieścia rąk uderzyło naraz w klawisze.

— Dorzucę pięćset funtów — odezwał się z podłogi głos Węgra.

Michael wybuchnął śmiechem, bo uprzytomnił sobie, że żyje, że bomby ominęły „Ognisko Międzysojusznice”.

Światła zabłysły. Goście poczęli wstawać. Ktoś dźwignął starszawą blondynkę i usadowił ją na krześle. Spała smacznie. Na moment podniosła powieki. Tępo spojrziała przed siebie.

— To świństwo — wymamrotała. — Okraść starą kobietę podczas snu. Zabrać jej szalik! — Znowu zamknęła oczy.

— Gdzieś mi się trunek zawieruszył. Cholera! — zaklął Czigly i nalał sobie pełną szklankę whisky.

— Proszę spojrzeć — zwrócił się Ahearn do Michaela. — Jestem złany potem.

Dwaj polscy kapitanowie włożyli rogatywki. Potoczyli dookoła wzgardliwym wzrokiem i ruszyli w stronę wyjścia. Zatrzymali się niedaleko drzwi, gdzie na ścianie wisiał plakat z Rooseveltem, Churchillem, Czang Kai-szekiem i Stalinem. Jeden z nich wyciągnął rękę, szarpnął i oderwał podobiznę Stalina. Potem szybko podarł papier i białe konfetti rzucił w stronę gości.

— Bolszewickie świnię — wrzasnął.

Francuz, który niedawno gryzł kieliszki od koniaku, zerwał się z podłogi i rzucił krzesłem. Uderzyło o ścianę, tuż nad rogatymi czapkami. Polacy odwrócili się i uciekli.

— *Salauds!* — krzyknął Francuz i podparł się o stół, bo niepewnie stał na nogach. — Chodźcie no! Już ja wam...

— Ci panowie nie mają więcej wstępu do naszego lokalu — odezwała się gospodyni z głębi kuchni.

Michael spojrział w stronę bufetu. General Służby Zaopatrzenia obejmował Louise. Pieszczotliwie klepał ją po pośladkach.

— Uuuch... moją małą — powtarzał. — Uuch... moja mała.

— Spokój, generale — Louise uśmiechnęła się lodowato. — Już po bitwie. Może pan złożyć broń.

— Ach, ci Polacy — powiedział Węgier. — Dzieci natury. Ale trzeba przyznać, że są waleczni jak lwy.

Uklonił się i stosunkowo pewnym krokiem wrócił do czekającego nań majora lotnictwa. Usiadł przy stoliku, wypisał rewers na tysiąc funtów i trzykrotnie przetasował karty.



Syreny znów jęknęły. Alarm był odwołany. Wtedy Michael zaczął się trząść. Obydwoma rękami chwycił siedzenie krzesła. Zaciśnął usta. Niewiele to pomogło. Czuł, że dzwoni zębami. Bezmyślnie uśmiechał się do podpułkownika Pavone, który zapalał wygasłe cygare.

— Whitacre—zagadał go Payone. — Co, u licha, robisz w wojsku? Ile razy cię spotykam, podpierasz jakiś bufet.

— Istotnie, pułkowniku, nie przemęczam się i... — Michael urwał, bo czuł, że przy następnym słowie straci władzę nad szczękami.

— Po francusku gadasz?

— Trochę.

— A umiesz prowadzić wóz?

— Umie.

— Chciałbyś ze mną pracować?

— Chętnie, panie pułkowniku — zgodził się Michael, bo nie mógł przecież odmówić oficerowi tak wysokiego stopnia.

— Hmm... zobaczymy, zobaczymy — zastanowił się Pavone.

— Mój pomagier poszedł pod sąd wojenny. Chyba go skazają.

— Rozumiem, panie pułkowniku.

— Whitacre, zgłoś się do mnie za dwa tygodnie. Myślę, że będziesz kontent.

— Dziękuję, panie pułkowniku.

— Cygara palisz?

— Tak.

— Masz.

Pavone podał mu trzy cygara, a Michael przyjął je pokornie.

— Bardzo dziękuję.

— Nie wiem, *dlaczego* tak mi się zdaje, ale wydaje mi się, Whitacre, że masz inteligentną minę.

— Dziękuję, panie pułkowniku.

Pavone obejrzał się na generała Rocklanda.

— Idź tam lepiej, nim stary sprzątnie ci damę sprzed nosa — powiedział/

Michael próbował schować cygara do kieszeni. Miał poważne kłopoty z guzikiem, bo palce drżały mu tak, jak gdyby przechodził przez nie prąd elektryczny.

— Jeszcze się pocę — oznajmił Ahearn w chwili, gdy Michael oddalił się od stołu. — No i widzę wszystko przeraźliwie dokładnie.

Michael stanął koło generała Rocklanda. Przybrał pełną szacunku, lecz stanowczą pozę. Zakasłał dyskretnie.

— Bardzo przepraszam, panie generale, ale muszę odprowadzić panią M'Kimber do domu. Obiecałem jej matce, że wróci przed północą.

— Pani matka w Londynie? — zdziwił się general.

— Nie — uśmiechnęła się Louise. — Ale szeregowiec Whitacre zna moją matkę jeszcze z Saint Louis.

General roześmiał się ochryple, bez złości.

— Już ja wiem, co w trawie piszczy — powiedział. — Matka! Dobrze sobie! Widocznie jakaś nowa. — Zamaszycie klepnął Michaela pó plecach. — Powodzenia, chłopcze! Miło mi, że cię poznałem. — Rozejrzał się po pokoju. — Gdzie Ottilie? — zapytał. — Pewno znów rozdaje te swoje piekielne kartki? Co?

Z tymi słowy ruszył na poszukiwanie pani Kearney, która przed chwilą opuściła „Ognisko” w towarzystwie sierżanta Lotnictwa Królewskiego. Wąsaty kapitan dreptał przełożonemu po piętach.

Louise uśmiechnęła się do Michaela.

— Dobrze się bawiłaś? — zapytał.

— Wyśmienicie. Jak bomba gruchnęła. Rockland uwalil się na mnie. Myślałam, że będzie tak leżał do końca lata. Możemy iść?

— Możemy — odpowiedział Whitacre i wziął Louise pod rękę.

We drzwiach dobiegł ich głos Węgra w mundurze amerykańskiego korespondenta:

— ...i pięćset funtów!

Na dworze cuchnęło dymem zatęchłe jakoś i groźnie. W pierwszej chwili Michael przystanął. Poczul, że jego nerwy i szczęki ulegają nowej panice. Niewiele brakowało, a zawróciłby i umknął do „Ogniska”. Przemógł się jednak i poprowadził Louise w zasnutą dymem ciemność.

U wylotu ulicy Świętego Jakuba pomarańczowa luna barwiła kłęby dymu. Dochodził stamtąd brzęk szkła i chrapliwe, ponure dźwięki, jakich Michael nigdy nie słyszał.

Wyszli z za rogu i spojrzeli w stronę Pałacu. Jezdnia połyskiwała milionem światel, gdyż promienie załamywały się w okruchach potłuczonych szyb. Przed frontonem Pałacu lśniło spore jeziorko. Chrapliwe dźwięki dobywały się z sanitarek i wozów strażackich, które na pierwszym biegu brodziły przez wodę. Michael i Louise szli szybko, bez słowa w stronę miejsca, gdzie upadła bomba. Buty ich skrzypiały po szkłe niby na oszronionej łące.

Tuż przed Pałacem bomba trafiła mały samochód. Stał pod ścianą zniekształcony, płaski, jak gdyby przepuszczono go przez olbrzymią wyciśmaczkę. Nigdzie nie było śladu kierowcy ani pasażerów. A może zostało z nich tylko coś, co stary mężczyzna zmiatał starannie do niewielkiego wiaderka? Obok samochodu leżał jasnobłękitny damski beret, który cało wyszedł z katastrofy.

Domy naprzeciw Pałacu stały, chociaż frontowe ściany osunęły się zwałami gruzów. Wybuch jak cięcie noża otworzył pokoje oczom nocy. Dobrze znajomy, żalony widok przedstawiały obrusy na stołach, beciki rozłożone na noc, zegary mierzące jeszcze czas tykaniem.

„Do tego ustawicznie dążą ludzie teatru — pomyślał Michael. — Usunąć czwartą ścianę i podpatrzeć życie od środka.”

Z uszkodzonych budynków nie dobywały się żadne odgłosy. Niewątpliwie bombardowanie zaskoczyło tylko niewielu mieszkańców.

„W najbliższym sąsiedztwie są głębokie schrony. Miejmy nadzieję, że ludzie byli ostrożni” — pocieszał się Michael.

Nikt nie próbował ratować ofiar, które mogły żyć jeszcze pod rumowiskiem. Strażacy brodzili wolno w wodzie tryskającej z przerwanej rury wodociągowej. Ochotnicy z Obrony Przeciwlotniczej usuwali gruz z jezdnii. Nie działo się nic więcej.

Przed fasadą Pałacu, gdzie normalnie stały budki wartownicze, a wartownicy maszerowali i sztywno jak drewniane zabawki prezentowali broń na widok nadchodzącego oficera, było obecnie pusto. Michael wiedział, że wartownikom nie wolno opuszczać posterunku. Toteż żołnierze w staroświeckim stylu — godni, nedorzeczni, napuszeni — spokojnie przyjęli świst bomby, spokojnie przyjęli wybuch i umarli sztywno w chwili, gdy okna wypadały za ich plecami, a nad nimi, między basztami, szara tarcza starego zegara zwiisała na sprężynach.

„Ja siedziałem o sto jardów stąd — rozmyślał Whitacre. — W palcach obracałem szklankę whisky. Uśmiechałem się. Słuchałem, jak Węgier baje o Turystycznym Systemie Demokracji Kierowanej. Tymczasem zropaczony chłopiec, ślepy od blasku reflektorów, kulił się w przechylnym na bok samolocie. Pod nim, w migotliwym błysku wybuchów, Londyn zataczał się jak pijany. Tamiza, gmach Parlamentu, Hyde Park Corner, Marble Arch wirowały w oszalałych oczach. Chłopiec kulił się, spoglądał w dół wystraszoną wzrokiem. Wreszcie nacisnął guzik, który niemieccy lotnicy naciskają, by zabijać Anglików. I bomba poleciała na mały samochodzik i dziewczynę w jasnobłękit-

nym berecie, na domy, co od stu lat stały spokojnie, na parę wartowników, których oddział został zwolniony z innych zajęć i objął zaszczytną funkcję wartowniczą przy Pałacu. Gdyby ów chłopiec w samolocie dotknął guzika o pół sekundy później lub o pół sekundy wcześniej, gdyby w danym momencie prąd powietrzny pochylił samolot inaczej, gdyby blask reflektorów nie oślepił lotnika albo oślepił go rychlej, gdyby, gdyby, gdyby... Wówczas szeregowiec Michael Whitacre leżałby we własnej krwi pod szczątkami «Ogniska Międzysojuszniczego», a wartownicy by żyli, żyłaby dziewczyna w jasnobłękitnym berecie, domy stałyby nie naruszone, szedłby stary zegar pałacowy...

„Mój Boże — myślał Michael. — «Gdyby» symbolizujące ślepe zrządzenie losu to przecież najbanalniejsze określenie wojny. Ale niepodobna o nim zapomnieć. Niepodobna zapomnieć o przypadkowym marszu wydarzeń, które pozwalają nam stanąć oko w oko z kolejnym «gdyby», które musi pojawić się jutro.”

— Prędkiej, mój drogi — odezwała się Louise.

Michael poczuł, że jego towarzyszka drży, i zdziwił się, bo zawsze była chłodna i opanowana.

— Prędkiej, mój drogi. Nic tu nie mamy do roboty. Chodźmy do domu.

Bez słowa odwrócili się i odeszli, w chwili gdy strażnicy znaleźli widać jakiś hydrant, gdyż gejzer tryskający z przerwanej rury wodociągowej zmalował i po chwili opadł. Kałuża przed Pałacem uspokoiła się, poczerniała.

W stołecznym mieście Londynie wiele innych wydarzeń zaszło tego samego dnia.

Pewien generał przestudiował plan inwazji wybrzeży francuskich i zażądał, by dodatkowa dywizja piechoty lądowała w ciągu czterdziestu ośmiu godzin od rozpoczęcia działań.

Pilot spitfire'a, który odbył dwukrotnie przewidzianą ilość lotów bojowych i zestrzelił sześć nieprzyjacielskich maszyn, został ukarany za pijaństwo i przeniesiony do obsługi ziemnej, wobec czego zastrzelił się w pokoju sypialnym swojej matki.

Rozpoczęły się próby eksperymentalnego baletu, w którym czołowy solista czołga się na brzuchu przez całą scenę, symbolizując w ten sposób podświadomą żądzę.

W nowej komedii muzycznej aktoreczka w cylindrze i w czarnych jedwabnych pończochach zaśpiewała: „Kiedy zapłoną kinkiety,

światło podnieci kobiety", a widownia (złożona w trzech czwartych z Amerykanów) była tak zachwycona, że refren podchwyciła chórem.

W biurach amerykańskiego kwatermistrzostwa (przy Grosvenor Square) wrzód przegryzł ostatecznie ściankę żołądka pewnego majora Służby Zaopatrzenia, który od dwóch lat pracował po szesnaście godzin na dobę przez siedem dni w tygodniu. Biedak znalazł na biurku kopertę ze stemplem „ściśle tajne", a w niej meldunek, że sto dwadzieścia ton pocisków 105-milimetrowych nie dopłynęło do Southampton, ponieważ okręt typu „Liberty" rozleciał się na Oceanie podczas umiarkowanego szkwału.

Pochodzący z Utah pilot fortocy latającej, zaginiony nad Lorient przed trzema miesiącami, zjawił się nagle w hotelu „Claridgev" i zażądał najbardziej reprezentacyjnego apartamentu. Pogodnie uśmiechał się do wszystkich i znał co najmniej czterdzieści francuskich wyrazów. W ciągu kwadransa odbył szesnaście rozmów telefonicznych posługując się notatnikiem adresowymi, który zawsze nosił przy sobie.

Dwudziestoletni farmer z Kansas spędził osiem godzin w zimnym basenie, gdzie trenował pływanie pod wodą, aby w dniu inwazji bez trudu wysadzić podwodne przeszkody blokujące wybrzeża Europy.

W Izbie Gmin zainterpelowano ministra spraw zagranicznych, czemu żołnierze amerykańscy oskarżeni o gwałt zostali skazani na śmierć przez amerykański sąd wojenny i powieszani, jakkolwiek prawodawstwo brytyjskie nie przewiduje kary głównej za gwałt, a przestępstwo, które niewątpliwie musi być uznane za pospolite, było popełnione na szkodę przedstawicieli brytyjskiej ludności cywilnej i na terytorium pozostającym pod suwerenną władzą Jego Królewskiej Mości.

Doktor filozofii z uniwersytetu w Heidelbergu (obecnie szeregowiec w Królewskim Korpusie Saperów) przez cały dzień malował plandeki wodoodpornym szelakiem. W przerwie obiadowej rozmawiał po niemiecku ze świeżo przydzielonym kolegą. Cytował Kanta i Spenglera w oryginale, następnie zaś porównywał dane o barakach w Dachau.

Koło południa w skromnym pensjonacie w Chelsea pokojówka poczuła zapach gazu świetlnego, a otworzywszy drzwi jednego z pokoiów zobaczyła na łóżku splecione uściskiem nagie ciała amerykańskiego sierżanta i młodej Angielki. Obydwoje nie żyli.

Kładąc się wieczorem nie zgasił piecyka gazowego. Mąż Angielki był w Indiach, a żona Amerykanina w Montanie. Władze wojskowe zawiadomiły ją, że sierżant zmarł na udar serca. Liczył sobie dwadzieścia jeden lat.

Pewien porucznik Królewskiego Lotnictwa Morskiego zjadł obiad w klubie, samochodem pojechał na lotnisko i w liberatorze wyleciał na codzienny patrol w poszukiwaniu okrętów podwodnych. Maszyna wystartowała pomyślnie, zatoczyła krąg w powietrzu i odleciała na południe, w kierunku Zatoki Biskajskiej. Od tej chwili zaginął słuch o liberatorze i jego załodze.

Ochotnik z obrony przeciwlotniczej odgrzebał w piwnicy siedmioletnią dziewczynkę o czarnych włosach, którą przysypały tam gruzy podczas nalotu przed ośmioma dniami.

Kapral armii Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej zasalutował sto jedenaście razy przecinając w poprzek Grosvenor Square po drodze z kwatery na obiad.

Szkot zatrudniony w Drużynach Rozbrajania Bomb wsunął ostrożnie rękę między uszkodzone lotki tysięczkilowej bomby, która nie wybuchła w czasie nocnego nalotu, i wyciągnął zapalnik. Na trzy kwadranse przed tą operacją bomba zaczęła tykać podobnie do zegara.

Dwudziestopięcioletni poeta amerykański (obecnie sierżant saperów) spędzał w Londynie trzydniowy urlop. Przechadzając się z wolna po Opactwie Westminsterskim stwierdził, że nagrobki nie znanych nikomu arystokratów zajmują znacznie więcej miejsca niż nagrobki panów Keatsa, Byrona, Shelleya i Ski. Wyciągnął z tego wniosek, że gdyby Opactwo Westminsterskie było w Waszyngtonie, łatwiej trafiłyby tam po śmierci Gould niż Whitman, a Harriman niż Thoreau.

Nowy kawał powtórzono w Londynie tysiąc dwieście razy. Brzmiał on: „Co właściwie mamy do zarzucenia Amerykanom? — Nic. Po prostu oni mają za dużo pieniędzy, żywności, odzieży i temperamentu, a my ich mamy za dużo.”

Matka trojga drobnych dzieci, których ojciec ranny pociskiem z niemieckiego moździerza, dogorywał w tej chwili we wnętrzu strzelckim pod Anzio, stała w kolejce przez sto pięć minut, aby wrócić do domu z funtem ościstego dorsza. Spojrzała na dzieci i postanowiła je zabić, lecz po namyśle udusiła rybę z jednym kartoflem i odrobiną mąki sojowej.

Komisja złożona z brytyjskich i amerykańskich oficerów sztabowych obradowała nad filmem ilustrującym przyszłą inwazję na

Europę. Myślą przewodnią scenariusza miała być zgodna współpraca zespołowa wszystkich broni i służb. Podczas wymiany poglądów przedstawiciel Lotnictwa Królewskiego poróżnił się z przedstawicielem Brytyjskich Wojsk Lądowych, przedstawiciel Ósmej Armii Powietrznej nie mógł dojść do porozumienia z przedstawicielem Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, a przedstawiciel amerykańskiej Służby Zaopatrzenia naurągał przedstawicielowi Królewskiego Lotnictwa Morskiego. W rezultacie sprawę przekazano do decyzji na wyższym szczeblu.

W samo południe grupa brytyjskich szeregowych (kancelistów i gońców z biur wojskowych przy Berkeley Square) ćwiczyła walkę na bagnety między schronami lotniczymi i pniakami ściętych drzew. W tym czasie inni kanceliści przyglądali się kolegom jedząc obiad na zimnych kamiennych lajkach i wygrzewając się w promieniach zamglonego słońca.

Pewien brytyjski komitet doradczy ukończył sprawozdanie dla Naczelnego Dowództwa i wykazał jasno, że amerykańskie bombardowania dzienne są niepraktyczne i nad miarę kosztowne.

U ulicznych kwiaciarek pojawiły się pierwsze żonkile. Mizerni ludzie w połatanych ubraniach zatrzymywali się przed straganami, tęsknym wzrokiem patrzyli na chude bukietiki, a następnie kupowali je i zazdrośnie unosili do swoich, biur i mieszkań.

W czasie poranku w National Gallery trio kameralne grało utwory Schuberta, Waltona i Bacha.

Niedaleko Whitechapel rozebrano na opał parkan, na którym w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku ktoś wymalował dużymi literami: „Żądamy Drugiego Frontu — natychmiast.”

W ujściu Tamizy, opodal India Docks, na statku towarowym<sup>1</sup> marynarz z Seattle modlił się o nalot w ciągu najbliższej nocy. Jego małżonka spodziewała się znowu dziecka, on zaś otrzymywał dodatek za każdy nalot podczas wachty w porcie.

Ponadto londyńczycy — mniej więcej cztery miliony dusz — poszli do biur, fabryk i magazynów, gdzie pracowali wytrwale, wolno i metodycznie. Nie licząc przerw, na herbatę o dziesiątej rano i czwartej po południu, przez cały dzień dodawali, odejmowali, łatali, polerowali, montowali, szyli, dźwigali i sortowali towary, pisali na maszynach, odkładali papiery do segregatorów, zarabiali i tracili. A wszystko to robili bez pośpiechu, rozsądnymi, utartymi metodami, które zawsze drażnią Amerykanów mających coś do czynienia z Anglikami. Wieczorem londyńczycy wrócili do swoich

domów, a część z nich nie doczekała następnego rana z przyczyny nocnego nalotu Luftwaffe. Ci ostatni umierali tak, jak żyli – powoli, godnie, banalnie.

W cztery dni po premierze *Hamleta* Michael został wezwany do kancelarii administracyjnej, gdzie był przydzielony pod względem zakwaterowania i wyżywienia. Otrzymał tam rozkaz, że ma się zameldować w Ośrodku Uzupelnień Piechoty w Lichfield. Na spakowanie manatków przewidziano dwie godziny.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Barka desantowa zataczała jednostajne, nudne kręgi. Piana przyskała przez burty, zwilżała śliski pokład. Żołnierze, jak mogli, osłaniali broń, by nie zmokła. Barki pływały o milę od plaży. Zaczęło się to o trzeciej nad ranem. Obecnie było pół do ósmej i wszelkie rozmowy umilkły od dawna. Nawała ogniowa z okrętów wojennych dobiegała końca, a wraz z nią synchroniczne bombardowanie z powietrza. Zasłona dymna wypuszczona przez nisko lecący samolot kładła się równo na falach zatoki. Ludzie byli przemoczeni, zziębnięci i — z wyjątkiem tych, którym się zbierało na wymioty — bardzo głodni.

Noemu podobało się to wszystko.

Przycupnięty na dziobie barki troskliwie osłaniał ładunki dynamitowe powierzone szczególnej pieczy szeregowca Ackermana. Czuł, że słone bryzgi Morza Północnego bębnią o jego hełm. Z lubością wdychał rzeźwe, ostre powietrze poranka. Był z siebie zadowolony.

Pułk brał udział w manewrach zamykających okres szkolenia przed inwazją na wybrzeża europejskie. Była to próba generalna w dekoracjach i kostiumach, ze wsparciem floty i lotnictwa, z ostrą amunicją. Od trzech tygodni trzydziestoosobowe grupy ćwiczyły forsownie. Każda z nich szturmowała jeden bunkier, a składała się ze strzelców wyborowych, z ludzi dźwigających bazooki \*, miotacze płomieni i ładunki dynamitowe. Na ten dzień wyznaczono próbę generalną przed prawdziwym przedstawieniem. A w kancelarii kompanijnej czekał na Noego istny dar niebios: trzydniowa przepustka.

Burnecker, skłonny do choroby morskiej, bladł i zieleniał. W wielkich farmerskich łapach kurczowo ścisnął karabin, jak gdyby był to jedyny stały przedmiot w rozfalowanym świetle.

\* Bazooka — indywidualna broń pizeciwczołgowa używana w armii amerykańskiej. Odpowiednik angielskiego „piata” lub niemieckiego *Fautpotrone*.

— Rzuca jak cholera! Bebechy się we mnie przewracają. — Błado uśmiechnął się do sąsiada.

Noe odpowiedział uśmiechem, bo w ostatnich tygodniach bardzo polubił tego chłopca.

— Już niedługo — mruknął.

— A jak ty się czujesz? — zapytał Burnecker.

— Pierwsza klasa.

— Chętnie przehandlowałbym spadek po starym na twój żołądek. A to zawsze osiemdziesiąt akrów.

Nad falami zabrzmiały rzucone silnym głosem rozkazy. Barka gwałtownie zmieniła kurs i pełną szybkością ruszyła w stronę plaży. Noe oparł się o stalową burtę gotów do skoku, gdy rampa opadnie. Cięte kilem fale wyżej miały pianę.

„Może w obozie dostanę telegram od Hope — myślał. — Dowiem się, że już po wszystkim. A kiedyś będę siedział spokojnie w domu i opowiadał synowi: «W dzień twoich urodzin lądowałem na próbę na angielskiej plaży. Miałem przy sobie dwadzieścia funtów dynamitu». — Uśmiechnął się i westchnął. — Cóż, w decydujących chwilach wolałbym być przy Hope. Ale i taka sytuacja ma dobre strony. Zanadto jestem zajęty, by się bardzo przejmować. Obejdzie się bez nerwowego spaceru po szpitalnych korytarzach, palenia papierosów, nasłuchiwania krzyków. Naturalnie to samolubny pogląd, lecz nie pozbawiony sensu.”

Barka zgrzytnęła o dno przed równą, płaską plażą. Rampa opadła. • Noe dał susa. Czuł, że rynsztunek obija mu boki, a zimna woda chlupie w butach. Co tchu pobiegł za niską diunę i przywarował. Koledzy szybko wyskakiwali z barki. Rozpraszali się. Niknęli w zagłębieniach gruntu lub pod osłoną kęp wątlej trawy. Strzelcy otworzyli ogień do bunkra odległego o osiemdziesiąt kroków, widocznego dokładnie na niewysokiej nadmorskiej wydmie. Inni podpełzli do zasieków i umieściwszy rurę dynamitową pod drutami kolczastymi, zapalili lonty. Potem cofnęli się biegiem. Ładunki zaczęły wybuchać! Nowy zapach przyłączył się do ostrej, drażniącej woni gęstej zasłony dymnej rzuconej przez lotnika.

Noe poderwał się i skoczył do upatrzonego dołka tuż przed poszarpanymi zasiekami. Burnecker miał osłaniać dynamitowe ładunki i Ackermana, toteż deptał mu po piętach, a w dołku upadł na niego. Sapał jak miech kowalski.

Mój Boże! — westchnął. — Stały ląd to cudowny wynalazek.

Roześmieli się obydwoj i ostrożnie wychylili głowy. Żołnierze

pracowali składnie, niczym drużyna piłki nożnej pod okiem doświadczonego trenera. Pewnie, na określone znaki, atakowali szare ściany bunkra.

Raz po raz grzmiały krótkie, suche detonacje pocisków bazooki. Wielkie kawały betonu wylatywały w powietrze.

— W takich sytuacjach zadaję sobie tylko jedno pytanie — powiedział Burnecker. — Jak zachowają się Niemcy, kiedy my będziemy wyczyniać to wszystko naprawdę?

Noe wyskoczył z kryjówki i nachylił, z ładunkami dynamitowymi w rękach, pocwalał przez wyrwę w drutach kolczastych. Bazooka znów przemówiła. Noe padł płasko na piasek, by nie oberwać kawałkiem betonu. Burnecker ułożył się obok niego.

— Zawsze mi się zdawało, że orka to ciężka robota — sapnął.

— Nie biadaj, farmerski synku! — zawołał Noe. — Naprzód! Skok.

Był już na nogach. Burnecker stęknął, ale dźwignął się z ziemi.

Padli znowu za wysoką na sześć stóp diunę, na której grzbiecie wilgotny wiatr tarosił trawę.

Zołnierz z miotaczem płomieni chyłkiem zbliżył się do bunkra. Kule karabinowe świstały nad głowami, odbijały się rykoszetem od betonu. „Ach, gdyby Hope mogła mnie teraz widzieć!” — pomyślał Noe.

Zołnierz z miotaczem płomieni zajął tymczasem wygodne stanowisko. Był to Donnelly, najsilniejszy w plutonie. Stosunkowo łatwo dźwigał na plecach wielkie, ciężkie zbiorniki. Oslaniający go kolega odkręcił kurki tych zbiorników. Z rury wylotowej prysnęły płomienie, migotliwe i chwiejne na silnym wietrze. Noe zwęszył dławiący, oleisty zaduch.

— Szafa gra! — ryknął Burnecker. — Do roboty, stary!

Ackerman poderwał się. Zwinnie, lekko skoczył w stronę bunkra. Donnelly'ego okrążył pod wiatr. Urojeni Niemcy musieli do tej pory zginąć lub przynajmniej byli ranni, poparzeni, ogłupieli. Noe biegł szybko nawet po głębokim, sykim piachu. Wszystko widział wyraźnie: pogruchotany, osmolony beton, niebezpieczną, ciasną szczelinę, stromą, zielonawą skalę rysującą się nad plażą na tle szarego, pochmurnego nieba. Czuł nadmiar sił. Zdawało mu się, że milami mógłby nieść ciężki ładunek. W biegu oddychał miarowo. Dokładnie zdawał sobie sprawę, dokąd dąży i co, i jak ma zrobić. Przy samym bunkrze uśmiechnął się nawet. Szybko, sprawnie rzucił w wyłom torbę 7. dynamitem. Drugi ładunek, umocowany na długiej żerdce, wsunął w otwór wentylacyjny. Wiedział, że cały pluton pochłania wzrokiem

ten ostatni akt dramatu. Po mistrzowsku odegrał swoją „wielką scenę”. Sprawdził, że dobrze podpalone lonty plują iskrami. Odwrócił się i pogalopował do odległego o trzydzieści stóp zagłębienia. Zręcznie dał w nie nura, rozpląszczył się, głowę osłonił rękami. Przez chwilę cicho było na plaży. Tylko wiatr syczał pomiędzy żdźbłami nadmorskiej trawy. Potem gruchnęły dwa wybuchy — szybko, jeden po drugim. Odlamy betonu wyleciały w powietrze i zaryły się w piachu. Czarny, rozdarty bunkier dymił obficie. Noe wstał. Uśmiechał się dumnie, bo był kontent z siebie.

Porucznik, który w obozie prowadził szkolenie, a na manewry przybył w roli obserwatora, zbliżył się do Noego.

— Dobra robota, chłopcze — zawyrokował.

Ackerman machnął ręką w stronę Burneckera, ten zaś wsparł się na karabinie i odpowiedział podobnym gestem.

Na zbiórce wieczornej Noe dostał list od Hope. Ręce mu drżały, kiedy otwierał kopertę.

„Ukochany—pisała. — Nic, jak dotychczas. Jestem potwornie gruba. Podejrzewam, że noworodek będzie ważył sto pięćdziesiąt funtów. Jem prawie bez przerwy. Kocham Cię.”

Noe czuł, że dojrzewa do ojcostwa. Trzykrotnie przeczytał list. Następnie złożył go starannie i wsunąwszy do kieszeni ruszył w stronę swojego namiotu, by przygotować się do trzech dni urlopu.

Szukając w worku czystej koszuli, pieśczośliwie dotknął pudełka, które tam przechowywał. Było na miejscu, owinięte starannie w arkusz woskowanego papieru. A w pudełku spoczywało dwadzieścia pięć cygar. Kupił je w Stanach i przewiózł przez ocean z myślą o dniu odległym wtedy, a dzisiaj bliskim. Dotychczas obywatel się w życiu bez sentymentalnych ceremonii, toteż prosty, niemądry zwyczaj rozdawania cygar na znak, że zostało się ojcem, nabierał w wyobraźni Noego cech dostojności. Za cygara w Newport News w stanie Virginia zapłacił słono — osiem dolarów i siedemdziesiąt pięć centów. No i pudełko zajmowało w worku sporo cennego miejsca, ale Ackerman nie żałował nigdy pieniędzy ni zachodu. Wyobrażał sobie lub raczej odczuwał nieświadomie, iż symboliczny akt zbliży odległą o trzy tysiące mil pociechę i złączy go z nią więzami, jakie powinny istnieć między prawdziwym ojcem a prawdziwym synem lub córką. Gdyby nie cygara, ów dzień mógłby minąć niepostrzeżenie dla niego i kolegów, a Noe byłby nadal żołnierzem takim jak wszyscy inni. Ale w kłębach ofiarnych dymów będzie nie tylko jednym z dziesięciu

milionów, nie tylko tułaczem na obczyźnie, mundurem, karabinem, ukłonem wojskowym, hełmem... Zostanie ojcem — twórczym ogniwem miłości spawającym dwa ludzkie pokolenia.

— Spójrzcie no, chłopcy, na Ackermana — odezwał się Burnecker, który bez butów, ale w bluzie leżał na pryczy. — Gorący niby sobotnia noc na dansingu w Meksyku. Prawdziwy firecyk. W Londynie wszystkie dziwki będą się kłaść i zadzierać kiecki.

Noe podziękował uśmiechem za nieszkodliwy docinek. Jak tu inaczej niż na Florydzie! Im bliżej bitwy, tym lepiej każdy zdaje sobie sprawę, że jego życie będzie wkrótce zależeć od postawy całej kompanii, tym dokładniej zacierają się wszelkie różnice, tym bliżsi, przyjaźniejsi są sobie koledzy.

— Wcale nie jadę do Londynu — rzucił wiążąc starannie krawat.

— Ma jedną księżną w Sussex — powiedział Burnecker do kaprała Ungera zajętego obcinaniem paznokci u nóg. — Bardzo dyskretna afera.

— Znów spudłowałaś. Nie mam księżnej w Sussex.

Noe naciągnął i pozapinał wyjściową bluzę.

— To dokąd jedziesz?

— Do Dovru.

— Do Dovru! — Burnecker aż usiadł ze zdzwienia. — Na trzy dni urlopu?

— Aha.

— Szwabym ostrzeliwują z dział Dover. Regularnie — powiedział Burnecker. — Naprawdę tam się wybierasz?

— Aha.

Noe machnął ręką na pożegnanie i zawołał przy wyjściu z namiotu\*

— Zobaczymy się w poniedziałek.

Burnecker wzruszył ramionami.

— Facet dostał tęgie cięgi i pomieszały mu się klepki.

Położył się i za minutę począł chrapać.

Ostatnie blaski zachodu gasły nad Francją.

Noe wyszedł ze staroświeckiej, czystej oberży zbudowanej z pruskiego muru. Cichą kamienną ulicą ruszył w stronę Kanału. Wieczór był pogodny, lekko zamglony. W restauracji w centrum miasta grała trzyosobowa orkiestra, a brytyjscy żołnierze tańczyli z dziewczętami na parkiecie. Noe nie kwapił się do tańca. Sam siedział przy stoliku, popijał nie słodzoną herbatę i skromnie spuszczał wzrok, ilekroć uchwycił zwrócone pod swoim adresem zalotne spojrzenie którejs z dziewcząt. Lubił tańczyć, ale stanowczo był zdania, że nie wypada

uwijać się po posadzce z obcą kobietą, w chwili gdy Hope może wić się w bólach porodowych lub kiedy świat słyszy po raz pierwszy płacz jego dziecka. Wcześniej wstał od stołu i wyszedł zerkając na umieszczony nad orkiestrą napis: „Uprasza się nie tańczyć podczas bombardowania artyleryjskiego.”

Przekręcił klucz we drzwiach chłodnego, skąpo umeblowanego pokoju i schronił się do łóżka z uczuciem zadowolenia i spokoju. Do poniedziałkowego wieczoru nie musiał słuchać niczyich rozkazów. Usiadł w pościeli i rozpoczynając list do żony wspominał setki listów, które tworzył w początkowym okresie ich znajomości. Tym razem pisał:

„Siedzę teraz w łóżku – w prawdziwym łóżku i w prawdziwym hotelu! Na trzy dni jestem panem swej woli. Zaczynam ten list i myślę o Tobie. Nie mogę się przyznać, z jakiego miasta list ten piszę, bo nie spodobałoby się to cenzorowi. Ale, jak sądzę, wolno Ci donieść, że dziś wieczorem gęste mgły spowiły łąd, ja zaś dopiero co przyszedłem z restauracji, gdzie orkiestra grała *Wśród dawnych wspomnień*, a na ścianie widniał napis: «Uprasza się nie tańczyć podczas bombardowania artyleryjskiego.» Mogę też chyba dodać, że zawsze Cię kocham.

Czuję się doskonale i przybyło mi całe cztery funty, chociaż przez ostatnie trzy tygodnie dostawaliśmy straszną szkołę. Do kraju wrócę zapewne tak spasiony, że nie poznacie mnie – ani Ty, ani dziecko.

Błagam, nie martw się, że to może być dziewczynka. Córką będę zachwycony. Słowo daję. Często teraz myślę o wychowaniu dziecka i doszedłem do konkretnych wniosków.”

Noe pisał z przejęciem, nisko schylony nad blokiem, bo światło słabej żarówki migotało.

„Nie podobają mi się nowoczesne metody stosowane obecnie przez rodziców i opiekunów. Znam liczne przykłady spaczenia charakterów z winy tych metod, pragnę więc uchronić przed nimi nasze dziecko. Za kapitalny nonsens uważam pogląd, że dziecku należy pozwolić na wszystko, bo inaczej nie zdoła rozwinąć się normalnie. Takim właśnie ideom, opartym na absolutnie błędnych przesłankach, zawdzięczamy dzieci zepsute, kapryśne i krnąbrne.”

Noe pisał poważnie, z głębi doświadczeń swoich dwudziestu trzech lat.

„Nie ulega wątpliwości, że świat nie pozwoli żadnemu dziecku – nawet naszemu – kierować się wyłącznie własnymi pragnieniami, a zatem przyzwyczajanie młodej istoty do samowoli jest oszustwem i źródłem rozczarowań w przyszłości. Jestem również przeciwnikiem

złobków i przedszkoli, bo wierzę głęboko, że przez pierwsze osiem lat życia sami potrafimy najlepiej wychowywać i kształcić własne dziecko. Protestuję też przeciwko zmuszaniu do zbyt wczesnej nauki czytania. Mam nadzieję, że moje opinie nie brzmią zbyt dogmatycznie? Zrozum mnie, proszę. Nigdy nie mieliśmy czasu na rozmowę o tych sprawach, dyskusję nad poszczególnymi zagadnieniami i osiągnięcie takiego lub innego kompromisu.

Kochana! Nie kpj ze mnie, że z takim namaszczeniem piszę o kruchym życiu, które w tej chwili pewno nie rozpoczęło się jeszcze. Prawdopodobnie jednak długi czas upłynie do mojego następnego urlopu, a tylko w samotności mogę roztrząsać poważne sprawy spokojnie i rozsądnie.

Jestem przekonany, najdroższa, że nasze dziecko będzie, udane — silne fizycznie i umysłowo — i że bardzo je będziemy kochali. Przyrzekam wrócić do Ciebie i do niego z nienaruszonym ciałem i niewyschniętym sercem. Wiem, że tak będzie, bez względu na wszystko, co stać się może. Muszę wrócić, aby Tobie pomagać, a jemu opowiadać bajki do poduszki, karmić go szpinakiem i uczyć, jak się pije mleko ze szklanki, aby w niedzielę prowadzić go do parku i w zoo wbijać mu w głowę nazwy zwierząt; aby tłumaczyć mu, dlaczego chłopiec nie powinien bić dziewczynek i dlaczego mamusię trzeba kochać tak samo, jak ją kocha tatuś.

W ostatnim liście pisałaś, że jeżeli to będzie chłopiec, nazwiesz go imieniem mojego ojca. Proszę Cię, nie rób tego. Do ojca nie byłem przywiązany i od małego berbecia starałem się przed nim uciekać, chociaż zawsze widziałem jego dodatnie strony. Jeżeli ci to odpowiada, daj mu imię Jonatan — na cześć Twojego ojca. Boję się go trochę, ale szanuję z głębi serca od Bożego Narodzenia w Vermont.

Nie martwię się o Ciebie, najdroższa. Wiem, że będziesz cudowna. A ty nie martw się o mnie. Teraz nic złego nie może mnie spotkać. Kocham Cię.

Noe

P. S. Dziś przed kolacją napisałem wiersz. Pierwszy wiersz w życiu! To spóźniona reakcja po szturmowaniu umocnionych stanowisk nieprzyjaciela. A oto on. Nie pokazuj nikomu. Trpchę mi wstyd.

O, strzeż się buntu serca,  
Co z wojny sobie drwi.  
I drzyj, gdy ktoś zapuka  
W mosiężne drzwi.

Masz pierwszą strofę. Jeszcze dwie napiszę dzisiaj w nocy i wyślę Ci w następnym liście. Pisz, najdroższa! Pisz! Pisz! Pisz!"

Starannie złożył ćwiartkę papieru i wyszedł z łóżka, żeby ją schować do kieszeni bluzy. Potem zgasił lampę i szybko wsunął się między rozgrzane prześcieradła.

W ciągu nocy artyleria nie ostrzeliwała miasta. Około pierwszej zawyły syreny, lecz sygnalizowały tylko samoloty wracające znad Londynu, które minęły wybrzeże Anglii o dziesięć mil na zachód. Nie odezwało się ani jedno działo przeciwlotnicze.

Idąc nadbrzeżną ulicą Noe wsunął rękę pod płaszcz i dotknął koperty. Zastanawiał się, czy znajdzie w Dovrze jakiś amerykański oddział, gdzie mógłby oddać list do ocenzurowania. Z niesmakiem myślał zawsze o nie lubianych oficerach swej kompanii, którzy czytują listy do Hope.

Słońce było już wysoko i miedzianym blaskiem przebijało lekkie mgły. Sylwetki budynków rysowały się miękko. Noe minął odgruzowane starannie fundamenty, z których pociski działowe zmiotły cztery domy.

„No, trafiłem do miasta naprawdę dotkniętego wojną” — pomyślał Noe.

W dole leżał Kanał — szary i zimny. Francji nie można było dostrzec przez mgły rzadziejące nad falami. Trzy brytyjskie ścigacze, małe i zwinne, wślizgiwały się do betonowych hangarów w porcie. Nocą były u nieprzyjacielskich wybrzeży. Miotając białe bryzgi piany uwijały się pośród ruchliwych reflektorowych błysków, wartkich strumieni pocisków smugowych i podwodnych wybuchów, co strzelały w górę fontannami wysokimi na trzysta stóp. Obecnie wracały wolno, spokojnie. W świetle niedzielnego poranka wyglądały nieszkodliwie i świątecznie, niby motorówki szykujące się do regat w modnym nadmorskim uzdrowisku.

„Miasto naprawdę dotknięte wojną” — powtórzył bezdźwięcznie Noe.

Przy końcu ulicy stał spiżowy pomnik pociemniały od wilgotnych wiatrów znad Kanału. Noe odczytał uważnie napis ku czci żołnierzy brytyjskich, którzy w latach 1914—1918 wyruszyli z tego miejsca do Francji, aby nigdy nie wrócić.

„Wyruszyli stąd również w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku—myślał Noe oddalając się od pomnika — a w czterdziestym wracali przez Dunkierkę. Za dwadzieścia lat żołnierz zastanie w Dovrze nowy pomnik. Ciekawe, co na nim przeczyta i jakie bitwy odświeży w pamięci.”



Noe wędrował dalej ścieżką pnącą się na wielokroć opisywane nadmorskie skały. Dokoła były łąki, które podobnie jak wiele fragmentów angielskiego krajobrazu przypominały Noemu park troskliwie pielęgnowany przez sumiennego i zamilowanego ogrodnika o niezbyt bujnej wyobraźni. Szedł szybko, wymachując rękami w takt kroków. Marsz bez karabinu, tornistra, hełmu, menażki, bagnetu i reszty ryszpunku był przyjemnym ćwiczeniem i nie wymagał wysiłku. Umiarkowany ruch w rzeźki zimowy ranek stanowił po prostu radosny wyraz nadmiaru sił i zdrowia.

Nim Noe stanął na szczycie skał, mgły rozproszyły się, a błękitny, roziskrzony Kanał połyskiwał wesoło aż do wybrzeży Francji. Po drugiej stronie białe rafa Calais. Noe zatrzymał się i spojrzął w dal nad wodą. Francja leżała zdumiewająco bliska, dotykalna. Ackermanowi zdawało się przez moment, że jakiś samochód jedzie wolno pod górę i mija spiczastą dzwonnice zarysowaną wyraźnie w kryształowym powietrzu. Mogła to być wojskowa ciężarówka i mogła wieźć niemieckich żołnierzy do kościoła.

„Dziwnie jest patrzeć na nieprzyjacielski teren, nawet z tak znacznego dystansu — dumal Noe. — Oni też mogą mnie oglądać przez lornetki, ale odległość narzuca dziwaczny, niesamowity rozejm. Człowiek przywykł do myśli, że na wojnie kontakt wzrokowy z nieprzyjacielem wiedzie do natychmiastowych morderstw. W takiej spokojnej wzajemnej obserwacji jest coś sztucznego, przeciwnego naturze, co niepokoi i denerwuje. Po takim przeżyciu trudniej mi będzie zabijać Niemców.”

Stojąc na wierzchołku skały szeregowiec Ackerman przyglądał się jasnym, tajemniczym brzegom Francji. Na tle wojennego nieba rysowały się dzwonnice, doki, szczyty dachów i nagie szkielety drzew. Miasto Calais spowite w ciszę niedzielnego poranka leżało spokojnie całkiem podobne do rozpostartego w dole miasta Dover. Noe zapragnął, aby Roger był z nim tego ranka. Na pewno miałyby wiele do powiedzenia. Jak z rękawa sypałby pozbieranymi nie wiadomo skąd, pełnymi treści wiadomościami o dwóch portach-bliźniakach w historii, które na przestrzeni wieków posyłały sobie wzajemnie barki rybackie, turystów, ambasadorów, żołnierzy, piratów, broń, materiały wybuchowe... Roger zginął na Filipinach, pośród palm i szuwarów bagnistej dżungli. To smutne, niedorzeczne. Powinien raczej paść trafiony kulą podczas szturmowania brzegów tak przez siebie umiłowanej Francji. Powinien zginąć w prowincjonalnym miasteczku niedaleko Paryża, w momencie kiedy rozgląda się za właścicielem

knajpki, z którym po przyjacielsku pił przez całe lato... A we Włoszech mógłby polec na ulicy rybackiej wioski, gdzie nocował jesienią tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku w drodze z Neapolu do Rzymu... Konając widziałby znajomy kościół, ratusz, dobrze zapamiętaną twarz dziewczyny...

Noe uprzytomnił sobie, że śmierć można ustawić na rozmaitych szczeblach sprawiedliwości, i że śmierć Rogera znalazła się w tej skali szczególnie nisko.

Wiem, robisz oczko jak ta lala  
I kulinarny talent los także ci dał.  
Ale czy forsą nie nawala,  
To tylko wiedzieć bym chciał.

W tej chwili postanowił po wojnie wrócić do Dovru i wziąć ze sobą Hope.

„Stałem tutaj, dokładnie na tym miejscu. Dokoła panował absolutny spokój, a w oddali Francja wyglądała zupełnie tak samo, jak wygląda teraz. Do dziś dnia nie wiem, czemu zachciało mi się spędzić w Dovrze urlop, który mógł być ostatnim. Nie wiem. Może kierowała mną prosta ciekawość, a może chęć zobaczenia miasta naprawdę dotkniętego wojną, miasta, skąd widać wroga. Tyle słyszałem o Niemcach. Mówiono mi, jak walczą, jakiej używają broni, jakie okropności popełniają. Zapragnąłem rzucić okiem na teren, który zajmują. I jeszcze jedno: Dover bywało czasem ostrzeliwane przez artylerię, a ja nigdy nie słyszałem ognia dział wycelowanych w moją stronę...

Nie! — zreflektował się Noe. — Ani słowa o wojnie! Będziemy spacerować tutaj w słoneczny letni dzień. Później siądziemy ramię w ramię na strzyżonej trawie i zapatrzymy się na drugi brzeg Kanału. Będziemy mówić, że przy pięknej pogodzie całkiem wyraźnie widać wieże kościelne we Francji.”

Grzmot wybuchu rozdarł martwą ciszę. Noe spojrzął w dół, w kierunku portu. Nikły obłoczek dymu unosił się leniwie nad magazynami, między którymi eksplodował pocisk. Wybuchy następowały teraz jeden po drugim. Białe kłęby jak zabawki z waty rysowały przypadkowy deseń wśród dachów. Gdzieś daleko komin pochylił się wolno i upadł bez łaskotu, jak cukrowa piramidka na torcie. Na Dover padło siedem pocisków. Później nastąpiła cisza, jak gdyby miasto bez protestu układało się znowu do świątecznej drzemki.

Po«drugiej stronie wody Niemcy dali upust wojennej pasji. Teraz czyszczą zapewne działa i czekają dalszych rozkazów.

Artyleria brytyjska nie odpowiedziała. Z wolna rozproszyły się dymy i opadł kurz wzniesiony wybuchami. Po pięciu minutach niepodobna było uwierzyć, że coś się w ogóle stało.

Noe ruszył powoli w stronę miasta. Schodząc ze stromego Wzgórza próbował uzmysłwić sobie, jak właściwie wyglądało bombardowanie i jakie wywarło na nim wrażenie. Wydawało mu się dziwnie odległe, po dziecinnemu beztroskie, pozbawione wszelkiego planu. Czy tak naprawdę przedstawia się wojna? Czy to możliwe?

^Miasto zbudziło się tymczasem. Dwie sędziwe damy zmierzały godnie do kościoła. Na głowach miały czarne kapelusze z piórami, w urękawiczonych dłoniach piastowały książki do nabożeństwa. Wysoki porucznik komandosów, z ręką na białym temblaku, przemknął szybko na rowerze, pewny siebie, wystrojony w mundur jak z igły. Bardzo mała dziewczynka, holowana w stronę domu Bożego przez starszawą ciotkę, spojrzała poważnie na Noego i rzuciła słowa rytualnego pozdrowienia angielskiej diatwy dla żołnierzy amerykańskich:

- Pan da trochę gumy!
- Harriet! — zgromiła ją chłodno ciotka.

Noe odpowiedział uśmiechem jasnowłosej kruszynie, wleczonej bezlitośnie na nabożeństwo.

Z wysokich czarnych drzwi wysypała się na chodnik familijna grupa: on, ona i dzieci od dziesięciu do czterech lat w schodkach. Ojciec prowadził za rączkę najmniejszą pociechę. Miał wydatny brzuch i zaspną twarz bez wyrazu. Ubrany był w podniszczone palto z dobrego materiału i kapelusz stary, lecz po mistrzowsku wyszczotkowany. Matka jak pies owczarski okrążała swoją trzódkę, by w całości przeprowadzić ją przez ulicę i zmusić do pacierzy.

Bardzo piękna dziewczyna bez pończoch i w luźnym płaszczu minęła liczną rodzinę. Nie spostrzegła jej, bo idąc czytała pilnie niedzielną gazetę.

Po przeciwnej stronie ulicy sierżant angielski maszerował sztywno wiodąc żonę pod rękę. Miał klasyczną twarz brytyjskiego podoficera — chłodną, opanowaną, pełną wiary we własną mądrość i poczucie władzy. Żona była młoda i — w co Noe nie wątpił — starała się utrzymać na wysokim poziomie mężowskiego stylu, wytyczonego przez regulaminy wojskowe. Ale od czasu do czasu, zwłaszcza w chwilach gdy spod oka zerknęła na krocącego obok małżonka, na

ustach jej wykwitał żywy uśmiech. Sprawiało to niecodzienny, rozbrajający efekt, jak gdyby podłotek z kolorowymi wstążkami we włosach wyjechał na kudłatym szkockim kucyku między defilujące czolgi.

Obywatele Dovru rozmawiali wędrując zbombardowanymi ulicami swojego miasta.

— Dzień dobry! Dzień dobry! Dzień dobry!

— Piękna pogoda, co?

— Podobno pocisk trafił jeszcze raz w sklep rybny biednej pani Finchley.

— Tak się cieszę, że Albert znów przyjechał do państwa na niedzielę.

— Chwała Bogu, mgły się rozeszły.

— Francję widać jak na dłoni.

— Po obiedzie wybieramy się na skały popatrzeć trochę.

— Mam świetne wiadomości od Sidneya. Z serca dziękuję za pamięć! Już prawie zdrow. Trzy tygodnie temu zdjęli ostatnie szwy z rany. Urlop zdrowotny spędzi w Kalkucie.

— W sobotę wieczór przyjechał znów amerykański sierżant mojej Roberty. Cóż to za uroczy chłopak! Przywiózł ogromną puszkę tej doskonałej amerykańskiej salatkii owocowej i cały karton chesterfieldów. Powiadam drogiej pani, uroczy chłopak! Mówi, że zezwolenie na małżeństwo powinno nadejść mniej więcej za miesiąc. Rozumie droga pani, w wojsku wszystko musi odleżeć swoje. Nikomu nie pilno. Byle tylko zdążyli przed inwazją. Chciałabym urządzić wesele tutaj. Nawet już rozmawiałam z proboszczem.

— Dzień dobry! Dzień dobry! Dzień dobry!

Noe stanął przed frontonem kościoła, przysadzistej kamiennej budowli ozdobionej ciężką czworokątną wieżą. Wydało mu się, że Bóg czczony w tej świątyni to surowy Bóg Starego Testamentu, który długim pokoleniom wiernych znad Kanału narzuca prawa bez serdeczniejszych uczuć i niepotrzebnych subtelności. Musiał być Bogiem raf nadbrzeżnych, zimnych wód i sztormów, nieubłagane sprawiedliwym i skąpym w miłosierdzie. Część trawnika zajmował schron. W głębi, niedaleko plebanii, widać było zasięki z drutów kolczastych, a opodal groźne betonowe piramidy zapór przeciwczołgowych mających powstrzymać Niemców, którzy nigdy nie wspięli się na skały Dovru, choć solennie przyrzekali to w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku.

Nabożeństwo już się rozpoczęło. Parafianie śpiewali jakąś pieśń. Kwadratowa budowla z szarego kamienia rozbrzmiewała chórem głosów. Na tle niskiego pomruku organów i męskich basów lekko, swawolnie jakoś brzmiały kobiece i dziecięce soprany. Noe wszedł do kościoła powodowany impulsem, którego nie potrafiłby wyjaśnić. Wiernych było, mało, rozejrzął się więc i usiadł w dębowej ławce niedaleko kruchty. Od razu spostrzegł wiele wybitych okien. Jedne załatano tekturą, inne połyskiwały odłamkami szkła w grubych ramach z ołowiu. Słony wiatr morski wdzierał się przez otwory, targał welony kobiet, przewracał kartki modlitewników, igrał z długim, siwym włosem pastora, który stał sennie zadumany kołysząc się do tyłu i do przodu w takt pieśni. Z suchą, pergaminową twarzą i rozwianą śnieżnobiłą grzywą sprawiał wrażenie sędziwego pianisty lub astronoma zbyt pogrążonego w fugach czy gwiazdach, aby pamiętać o wizycie u fryzjera.

Noe nigdy nie był w synagodze. Ojcowskie cytaty z ksiąg religijnych — natrętne, czysto retoryczne — wcześniej zaćmiły w jego myślach ideę bóstwa. Ani razu nie rozmawiał z żadnym duchownym — chrześcijańskim lub żydowskim. Był zdania, że są to ludzie zbyt zakłamanymi, pewni siebie, wyrachowani, że po żołniersku narzucają swoją wolę, jak wszyscy inni dowódcy. Trudno szukać u nich pociechy duchowej. Gdyby zwrócić się do któregoś z nich i zawołać: „Ojczy zgrzeszyłem!”, lub: „Ojczy, boję się piekła!”, duszpasterz poklepałby owieczkę po ramieniu i cytując regulamin wojskowy kazałby porządnie wyczyścić karabin. Tak wyobrażał sobie Noe.

Obecnie prawie nie słyszał modłów. Wstawał i siadał wraz z innymi. W uszach dźwięczały mu minorowe, łagodne melodie psalmów. Nie odrywał wzroku od strudzonej, subtelnej twarzy pastora, oświetlonej bladymi promieniami zimowego morskiego słońca, co przenikały przez stłuczone okna.

Wreszcie parafianie się poruszyli. Zaszleściły odkładane modlitewniki, zaszurały podeszwy butów. Dzieci poczęły uciszać się wzajemnie. Pastor wsparł się z godnością o pulpit, położył duże białe dłonie na polerowanym drewnie i przystąpił do kazania.

Z początku Noe nie chwycił treści zdań. Był w stanie ducha, w jakim często słuchał muzyki. Nie śledząc dokładnie melodii, nie podążając za koncepcją twórcy, puszczał wodze wyobraźni i przy oderwanych dźwiękach upajał się obrazami własnego pomysłu. Wiatr wdzierał się przez wybite szyby, chwilami tłumił niski, starczy głos pastora, dziwnie łagodny i ciepły. Był to głos pozbawiony zawodowej

kapłańskiej pasji, głos głęboko religijny i zupełnie nieksiężowski, wolny od brzmienia dawniejszych modłów i wypowiedzianych niegdyś kazań, głos przemawiający do Boga i Jego trzódki pod wpływem świeżo poczętych myśli.

— Miłość — mówił starzec — to słowo Chrystusowe, co nie dopuszcza różnic ani chytrych wykrętów, ani wielorakiej interpretacji. Przykazano wam kochać bliźniego jak siebie samego, a nieprzyjaciół miłować niby braci. Słowa te i ich znaczenie są nie mniej jasne i proste niż żelazne gwichty na szalach, które ważyć będą nasze uczynki.

Bracia! Życie upływa nam nad Kanałem, ale zdawać się może, iż nie mieszkamy na jego wybrzeżach, lecz w czarnej głębi, pośród morskich wodorostów i ciernistych alg, pośród oślizłych wraków i żalonych kości topielców. A nad nami, bracia, przelewają się tragiczne fale ludzkiej nienawiści do Boga i człowieka. Przyływ nadciąga dziś od północy i karmi nas sokami podbiegunowej beznadziejności. Pędzimy dni pośród armat, których spiżowy głos zagłusza ciche wołanie Stwórcy, nad których grzmiotem słyhać jedynie wrzaski dzikiej pomsty. Patrzymy, jak nasze miasta obracają się w gruzy pod bombami. Patrzymy, jak nasze dzieci padają w kwiecie wieku od kul. Patrzymy na to i z głębi morza własnej nienawiści zadajemy ślepe ciosy miastom i dziatwie wroga. Wróg to sroższy od tygrysa, bardziej zgłodniały niż rekin, bardziej niż wilk okrutny. My pragniemy tylko bronić swojego skromnego, uświęconego tradycją trybu życia, zrywamy się więc do walki. Ale w walce przerastamy tygrysa srogością, rekina żarłocznością, wilka okrucieństwem. Bracia! Czy będziemy mogli kiedyś udawać, że zwycięstwo jest nasze? Czy spraw, które nigdy nie zginęłyby w naszej kłęsce, nie zaprzepaścimy w triumfie? Czy wolno nam siedzieć w tym przybytku Boga i wierzyć, że z otchłani naszej nienawiści niedzielne słowa płyną do Jego stóp, skoro przez cały tydzień mordowaliśmy niewinnych, rzucali bomby na kościoły i muzea, palili biblioteki, grzebali matki z dziećmi pod zwalami stali i betonu, które stały się przekleństwem i ohydą dwudziestego wieku?

Nie chwalcie się w gazetach, że na chybił trafił obrzuciliście tysiącami ton bomb nieszczęsną niemiecką ziemię, bo powiadam wam, owe bomby padły na mnie, na wasz kościół, na was samych i na waszego Boga. Mówcie raczej o tym, jak płakaliście gorzkimi łzami, gdy musieliście zabić niemieckiego żołnierza, który stał przed wami uzbrojony i groźny. Wówczas przyznam radośnie, żeście moimi obrońcami, obrońcami mojego kościoła i mojej Anglii.

Widzę żołnierzy pośród wiernych i wiem, że każdy z nich ma prawo zapytać: „Cóż miłość znaczy dla mnie? Czy żołnierz może być posłuszny słowom Chrystusa? Jak ma miłować nieprzyjaciół swoje?” Odpowiem na to: Zabijaj z umiarem, z poczuciem tragedii i grzechu, będącego zarówno twoim grzechem, jak i grzechem człowieka, który pada z twojej ręki. Bo to przecież twoja dawniejsza obojętność i brak rozsądku, i chciwość, i głuchota uzbroiły go i wyгнаły w pole z myślą o zamordowaniu ciebie. Twój nieprzyjaciel miał się niegdyś, płakał, wołał do ciebie, a ty odpowiadałeś: „Nic nie słyszę. Jego głos nie przepływa nad wodą.” Wreszcie on przywiedziony do rozpaczycy chwycił karabin, ty zaś rzekłeś: „Teraz mów wyraźnie. Musimy go uśmiercić.”  
\*

Nie czuj się w swoim sercu sprawiedliwym, dlatego -że oddajesz wrogowi krwawą ostatnią posługę — łagodny głos starca cichł, słabnął coraz bardziej. — Zabijaj, bo musisz, bo ludzka słabość i głupota nie potrafią znaleźć lepszej drogi do pokoju. Ale czynń to z poczuciem winy i żalu, szczedź w granicach rozsądku nieśmiertelne dusze, których ziemskie powłoki znajdują śmierć na polu walki. Noś miłosierdzie w ładownicy i przebaczenie w plecaku. Nie morduj dla zemsty, bo zemsta nie do ciebie należy, lecz do Pana nad Pany. Zabijaj z myślą, że każde życie, które gasisz, znacznie zuboża twoje własne życie.

Powstańcie, dzieci, z mrocznego dna Kanału. Wyzwólcie się spod wraków i ciernistej podwodnej dżungli. Odżywcie dusze pokarmem cieplejszych prądów. Walczymy w prawdzie przeciwko katom, lecz na darmo nie zwilżajmy rąk posoką. Nie czynmy potworów z naszych wrogów, odmieniajmy ich raczej w braci. Chelpimy się, że podnosimy miecz boży, pamiętajmy zatem, że to szlachetna stal. Nie pozwalajmy, by w naszych angielskich dłoniach odmieniła się w nóż rzeźnicki.

Pastor westchnął i wzdygnął się lekko. Jego długie, siwe włosy zatrzepotały na wietrze wpadającym przez potłuczone okna. Mętym wzrokiem spojrzął na głowy parafian, jak gdyby świadomość ich obecności uleciała mu ze starczej pamięci. Potem uśmiechnął się łagodnie do ław pustych w połowie.

Cicho zaintonował końcowe modły i jeszcze jedną pieśń kościelną. Ale Noe niewiele słyszał. Wstrząsnęły nim słowa kanodziei, zbudziły nieśmiałą tkliwość dla podniosłego starca i zgromadzonych w kościele ludzi, dla żołnierzy przy działach po obu stronach Kanału i wszystkiego, co żyje, lecz niebawem umrze. Przepelniły Noego mistyczną nadzieją. Logicznie nie mógł zgodzić się z poglądami pastora. Skazany na zabijanie i na to, że stanie się celem dla nieprzyjaciela, dobrze

zdawał sobie sprawę z zawiloci takiej wojny, w jakiej mu przyszło walczyć. Rozumiał, że ściśle zastosowanie się do rygorystycznych wymagań pastora zbyt wielkim brzemieniem obarczyłoby żołnierskie ramiona a wrogowi dałoby znaczną przewagę w chwili, gdy taka przewaga może kosztować życie. Mimo to jednak kazanie zrodziło w Noem nadzieję. Świat nie zginął jeszcze! Na pewno nie zginął, skoro podczas wojny w mieście, gdzie ledwie opadły dymy ostatnich siedmiu wybuchów, mógł ktoś mówić z tak świętym ogniem o braterskim miłosierdziu, i to mówić bez obawy prześladowań i zemsty. Po tamtej stronie Kanału nikt nie ośmieliłby się na podobne słowa, a więc po tamtej stronie Kanału znajdują się ludzie, którym pisana jest klęska. Władza nad światem przypadnie w udziale nie tamtym zza wody, lecz tym, co kiwając się sennie, słuchają w skupieniu kazania swego sędziwego duszpasterza.

„Póki na świecie podnoszą się takie głosy, surowe, nielogiczne, kochające — myślał Noe — póty moje dziecko może żyć w nim ufnie i...”

— Amen — zakończył nabożeństwo pastor.

— Amen — odpowiedziano chórem.

Noe wstał z wolna i wyszedł. Na cmentarzu postanowił zaczekać. Mały chłopiec wystrzelił z łuku do zapory przeciwczołgowej, a kiedy chybił, odszukał strzałę i ponownie zaczął celować uważnie. •

Po chwili pastor stanął na stopniach kościoła. Poważnie ścisnął dłonie parafian, którzy sunęli sznurem do domów gdzie czekały racjonowane niedzielne obiady. Włosy starca powiewały na wietrze, ręce drżały silnie. Był zgrzybiały, bardzo kruchy.

Noe zaczął, aż odejdą ostatni parafianie, i wtedy dopiero zbliżył się do pastora, który odwracał się właśnie, żeby wejść w kościelne drzwi. Nie bardzo zdawał sobie sprawę, co chce powiedzieć. Nie umiał ubrać w słowa przepelniających go mglistych wzruszeń i nadziei.

— Proszę pana — zaczął cicho — czekałem tutaj, bo... Przepraszam... Nie potrafię wyrazić tego lepiej... Chciałem panu podziękować...

Starzec poważnie spojrzał na Noego. Miał ciemne, tragiczne Oczy oprawione w sieć woskowych zmarszczek. Z godnością skinął głową i wyciągnął rękę suchą, delikatną i prawie przezroczystą. Noe uściśnął ją ostrożnie.

— Miło mi — powiedział pastor. — Dziękuję ci, synu. Przede wszystkim mówiłem do młodych chłopców, bo to wy musicie powziąć decyzję... Dziękuję ci, synu... Tak... Tak. :— Spojrzał na mundur Noego i zainteresował się nim uprzejmie: — Kanadyjczyk, co?



Ackerman nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— Nie proszę pana. Amerykanin.

— Amerykanin? — Starzec zmieszał się nieco. — Aha... Rozumiem.

Noe miał wrażenie, że pastor nie pogodził się jeszcze z obecnością Amerykanów na Wyspach Brytyjskich, że słyszał o tym dziesiątki razy, ale wciąż zapominał, że wszystkie mundury na świecie były dlań całkiem do siebie podobne.

— Witam, serdecznie witam... Tak... Tak... — Niespokojnie spojrział w stronę okien. — Trzeba postarać się jakoś o szyby. W kościele muszą być straszne przeciągi, co?

— Nie, proszę pana. — I tym razem Noe nie potrafił pohamować uśmiechu. — Wcale nie czulem przeciągów.

— Uprzejmy jesteś. Dziękuję ci, synu. Amerykanin, co? — starczy głos zabrzmiał nutą niepewności. — Niech ci Bóg błogosławi i po dniach grozy, które czekają nas wszystkich, wróci szczęśliwie do ojczyzny i twoich ukochanych.

Odstąpił krok, lecz odwrócił się szybko i zmierzył Ackermana niemal surowym wzrokiem. Tym razem jego głos brzmiał żywo, dźwięcznie, niby głos męzczyzny w sile wieku.

— Powiedz otwarcie, synu, czy uważasz mnie za głupiego, zdzieciniałego ramola? — zapytał i ścisnął ramię Noego z siłą, o jaką trudno go było podejrzać.

— Nie proszę pana. Uważam pana za wielkiego człowieka.

Starzec spojrział przenikliwie w twarz młodzieńca, jak gdyby chciał z niej wyczytać drwinę lub współczucie dla swego podeszłego wieku i przestarzałych, wyszłych z obiegu poglądów. Widocznie jednak był zadowolony, gdyż wypuścił z uścisku ramię Noego. Spróbował się uśmiechnąć, ale twarz mu zadrgała i oczy zaszyły łzawą mgłą. Smutno pokręcił głową

— Taki stary grzyb — powiedział — nie bardzo wie, na jakim świecie żyje. Tak... Tak... Nie wie też, czy mówi do kolysek, czy do mogił... Patrzyłem dziś na moich parafian i widziałem twarze ludzi, co pomarli pół wieku temu... Z początku mówiłem do nich. Później dopiero opamiętałem się... Ile masz lat, synu?

— Dwadzieścia trzy, proszę pana.

— Dwadzieścia trzy... — Starzec zadumał się chwilę i poglądził Noego po policzku. — Dwadzieścia trzy... Żywa twarz... Młoda... Będę się modlił, żeby Bóg raczył cię ocalić.

— Bardzo panu dziękuję.

Pastor przyknął powieki. Później niepewnie rozejrzął się dookoła. Zdawać się mogło, że zapomniał, "gdzie jest i z kim rozmawia.

— Przyjdź do nas, synu, w którą niedzielę — powiedział cicho.  
— Może będziemy już mieć całe szyby.

Odrzucił się i szybko zniknął w czarnej czeluści kruchty.

W obozie Ackerman zastał depezę nadaną przed siedmioma dniami. Kiedy ją otwierał, czuł krew pulsującą w dłoniach i końcach palców.

„Chłopak — przeczytał. — Sześć i pół funta. Czuję się świetnie. Kocham cię — Hope.”

Jak pijany wychodził z kompanijnej kancelarii.

Po kolacji przystąpił do rozdawania cygar. Miał się na baczności, by nie pominąć nikogo, z kim stoczył walkę w obozie na Florydzie. Brakowało tylko Brailsforda, przeniesionego służbowo do Stanów. Pozostała dziewiątka przyjmowała cygara z nieśmiałym zażenowaniem. Wszyscy zresztą gorąco ściskali dłoń Ackermana, jak gdyby silniej przemawiał do nich cud ojcostwa oglądany z przeciwnej strony oceanu.

Donnelly — bokser ciężkiej wagi, niedoszły zdobywca „Złotych Rękawic”, a obecnie opiekun miotacza płomieni — omal nie zdruzgotał palców Noego w żelaznym uścisku groźnej łapy.

— Syn — mruknął. — Jak Boga kocham, syn! Cholera wie, co go czeka. Syn... No, może pętał nigdy nie będzie nosił munduru jak jego stary. Dziękuję, Ackerman. — Z poważną miną obwąchał podarunek.  
— Bardzo ci dziękuję. Jak Boga kocham, wspaniałe cygarko.

W ostatnim momencie Noe nie zdołał się przemóc. Sierżant Rickett i kapitan Colclough nie otrzymali tradycyjnego podarunku. Za to trzy sztuki dostały się Burneckerowi.

Tęga wieczora szeregowiec Ackerman wypalił pierwsze w życiu cygaro i poszedł spać trochę oszołomiony dymem, z głową pełną dziwnych wizji.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Drzwi uchylily się i stanęła za nimi Gretchen Hardenburg w popielatym szlafroku.

— Słucham — rzuciła przez szparę. — O co chodzi?

— Serwus — uśmiechnął się Christian. — Przed chwilą zjechałem do Berlina.

Kobieta otworzyła drzwi szerzej i z bliska przyjrzała się gościowi. Przesunęła wzrokiem po naramiennikach i wtedy dopiero blask rozpoznania ożywił jej twarz.

— Aha — powiedziała. — Mój sierżant. Witam. Witam.

Zupełnie otworzyła drzwi, lecz nim Christian zdążył objąć ją lub pocałować, podała mu rękę. Dłoń jej była koścista i drżała niepewnie, jak gdyby Gretchen była trochę podpita.

— Rozumiesz... W pierwszej chwili — zaczęła się usprawiedliwiać. — To zakazane światło na schodach... I ty bardzo się zmieniłeś... Okropnie schudłeś... A twoja cera...

— Miałem żółtaczkę — uciął krótko, bo brzydził się swoją cerą i nie cierpiał, żeby mu o niej przypominać.

Inaczej wyobrażał sobie pierwsze minuty z Gretchen. Dlaczego trzyma go na schodach i z miejsca zaczyna nieprzyjemną rozmowę o zmienionej cerze?

— Miałem malarię i żółtaczkę. Dzięki temu jestem w Berlinie. Urlop zdrowotny. Dopiero co wygramoliłem się z wagonu. Przyjechałem tutaj prosto z dworca...

— Prawdziwy zaszczyt dla mnie — przerwała Gretchen i machinalnie odgarnęła z czoła zmierzwione włosy. — Jak to ładnie, że do mnie zjechałeś.

— Nie poprosisz mnie dalej? — zapytał Christian i pomyślał z niesmakiem: „Ledwie na nią spojrział, zaczynam żebrać.”

— Ach, strasznie przepraszam! — zawołała. — Tak mocno spałam... Jestem jeszcze półprzytomna. Oczywiście! Wejdz!... Bardzo proszę. Wejdz.

Zatrzasnęła drzwi za Christianem i poufałym gestem ścisnęła go mocno za ramię.

„Jeszcze wszystko może być dobrze — pomyślał wchodząc do niezapomnianej bawialni. — Widocznie speszyła się w pierwszej chwili, a teraz wraca do siebie.”

W pokoju postąpił żywo krok w jej stronę, lecz Gretchen wywinęła się zręcznie i zapaliła papierosa.

— Siadaj — powiedziała sadowiac się w fotelu. — Siadaj, bardzo proszę. Mój śliczny sierzant! Często przemyślałam, co się z tobą dzieje.

— Pisałem przecież. List po liście. Ani razu nie dostałem odpowiedzi.

Szywno siedział na krześle.

— Ach, listy! — Gretchen skrzywiła się i zatoczyła łuk ręką z papierosem. — Po prostu człowiekowi brak czasu. Ciągłe się zbierałam na odpowiedź, a potem... potem spaliłam twoje listy. Cóż miałam robić? Ale były cudowne... naprawdę cudowne... Straszne rzeczy! Tyłeś wycierpiał na tej Ukrainie, prawda?

— Wcale nie byłem na Ukrainie — odparł sucho Diestl — tylko w Afryce i we Włoszech.

— We Włoszech. Prawda! — podchwyciła bez zakłopotania. — Przynajmniej tam dobrze nam się wiecie. To jedyna jasna strona.

Christian zadał sobie pytanie, z jakiego punktu widzenia Włochy mogą uchodzić za jasną stronę, ale nie odezwał się. Pozwolił mówić pani Hardenburg i bacznie ją obserwował. W szarym podniszczonym szlafroku wyglądała nieporównanie starzej. Czy miała mętne i podpuchnięte, włosy matowe a jej ruchy — niegdyś tak żywe i młodzieńcze — były dziś nerwowe, nieporadne, chwiejne.

— Zazdroszczę ci pobytu we Włoszech — ciągnęła — Berlin jest niemożliwy! Niepodobna tu nie marznąć, niepodobna spać — co noc naloty. Coraz trudniej poruszać się po mieście. Staralam się o przydział do Włoch, przede wszystkim dlatego, żeby rozkoszować się ciepłem — wybuchnęła śmiechem sztucznym jakimś, zgrzytliwym. — Doprawdy należy mi się urlop' — podjęła śpiesznie. — Nie wyobrażasz sobie, w jakich warunkach żyjemy i pracujemy. Nieraz śmieję się w nos facetowi, co dyryguje moim biurem, i powiadam, że gdyby żołnierze musieli walczyć w takich jak my warunkach, na pewno proklamowali-  
by strajk.

„Dobre sobie — pomyślał Christian. — Przecież Gretchen serdecznie mnie nudzi.”

— Aha! — zawołała żywo. — Teraz naprawdę sobie przypominam. Nareszcie! Kompania mojego męża. Czarne koronki. Zginęły mi zeszłego lata. Nie masz pojęcia, jak berlińczycy rozkradli się ostatnio. Nad każdą posługaczką trzeba krążyć niczym sęp.

„Na domiar złego robi się pyskata” — Diestl dorzucił nowy minus do swoich nieprzychylnych obserwacji.

— Nie powinnam opowiadać takich rzeczy żołnierzowi przybyłemu z frontu — mówiła dalej Gretchen. — Gazety rozpisują się ciągle, że w Berlinie wszyscy są przeraźliwie dzielni, że cierpią bez słowa skargi. Ale po licha taić coś przed tobą? Jak wyjdiesz na ulicę, i tak zaraz usłyszysz, że całe miasto biada. Przywiozłeś coś z Włoch?

— Z Włoch? — zdziwił się Christian..

— Tak. Coś do jedzenia. Wielu znajomych wracało stamtąd z serami i z tą znakomitą włoską szynką... Sądziłam, że i ty może...

Uśmiechnęła się zalotnie i kusząco pochyliła do przodu. W rozchyleniu szlafroka zarysowała się linia piersi.

— Nie — powiedział chłodno Christian. — Z Włoch przywiozłem tylko żółtaczkę.

Był zmęczony i mocno zawiedziony. Jego plany na tygodniowy urlop w Berlinie obracały się dokoła Gretchen. A teraz...

— Nie znaczy to, by nam brakowało jedzenia... — podjęła pani Hardenburg bardziej oficjalnym tonem. — Po prostu chodzi o rozmaitość.

„Wielki Boże! — westchnął bezgłośnie Diestl. — Po kilku minutach rozmowy zaczynamy dyskusję kulinarną!”

— Bardzo przepraszam — rzucił szorstko. — Czy masz wiadomości od męża?

— Od męża? — Gretchen zrobiła taką minę, jak gdyby wołała dalej rozprawiać o jedzeniu. — Mój mąż popełnił samobójstwo.

— Co takiego?!

— Zabił się — wyjaśniła pogodnie. — Składanym nożem kieszonkowym.

— Nie wierzę! — wybuchnął Christian, bo nie wyobrażał sobie, by tyle chłodnej, wyrachowanej energii, tyle sił działających celowo i rozumnie mogło unicestwić się z własnej woli. — Miał tak rozległe plany i...

— Znam jego plany — przerwała sucho. — Chciał zjechać tutaj. Nawet przysłał zdjęcie. Nie mam pojęcia, kogo i w jaki sposób namówił

do sfotografowania swej twarzy. Odzyskał wzrok w jednym oku i nagle postanowił, że wróci i będzie żył ze mną. Nie wyobrażasz sobie, jak wyglądał. — Wzdrygnęła się wyraźnie. — Tylko szalenciec mógł uraczyć żonę takim portretem. Przy sposobności pisał, że ja na pewno dobrze go zrozumieć i będę wystarczająco silna. Zaczynanie od nowa to pomysł osobliwy sam w sobie. Ale bez twarzy... Mimo wszystko istnieją pewne granice, nawet podczas wojny. Pisał, że groza ma swoje miejsce w życiu, wszyscy więc powinniśmy się z nią godzić...

— Tak — wtrącił Christian. — Pamiętam. Mówił mi coś w tym sensie.

— Aha. Domyślam się, że mówił ci niejedno.

— Tak.

— Otóż — podjęła Gretchen tonem usprawiedliwienia — odpowiedziałam mu bardzo taktownym listem. Mozoliłam się nad nim przez cały wieczór. Napisałam, że tutaj będzie mu niewygodnie, a w szpitalu wojskowym znajdzie bez porównania lepszą opiekę, przynajmniej do czasu, gdy lekarze zrobią coś więcej z jego twarzą... Powtarzam, mój list był niesłychanie taktowny, chociaż, mówiąc otwarcie, trudno byłoby coś zrobić z twarzą, której właściwie prawie niema... Okropność! Takie rzeczy powinny być surowo zakazane! Ale cóż?... Musiałam z tego wybrnąć delikatnie...

— Masz tę fotografię? — zapytał Diestl.

Gretchen spojrzała nań spod oka. Poprawiła rozchyłony szlafrok.

— Tak. Mam tę fotografię — odparła szorstko i dodała wstając i idąc w stronę biurka: — Nie rozumiem, po co ją oglądać?

Nerwowo przerzuciła zawartość dwóch szuflad i znalazła wreszcie małe legitymacyjne zdjęcie. Zerknęła na nie szybko i podała gościowi.

— Masz. Jak gdyby mało innych rzeczy straszyló dziś ludzi... — Wzruszyła ramionami.

Christian spojrzał na podobiznę Hardenburga. Jasne, krzywe oko patrzyło zimno i władczo z bezkształtnej miazgi mięsa nad obcisłym kołnierzem munduru.

— Można to zatrzymać? — odezwał się po chwili.

— Ludzie dziwaczejają z dnia na dzień. — Gretchen znów wzruszyła ramionami. — Czasami mam wrażenie, że wszystkich należałoby zamknąć w szpitalach dla wariatów.

— Można to zatrzymać? — powtórzył Christian nie odrywając wzroku od zdjęcia.

— Chyba... tak... Mnie się na nic nie przyda.

— Byłem bardzo przywiązany do porucznika Hardenburga — wyjaśnił Diestl. — Wiele mu zawdzięczam. Nikt nie nauczył mnie równie dużo. To był olbrzym... Prawdziwy olbrzym!

— Niech ci się tylko nie zdaje, że ja nie byłem do niego przywiązana — podjęła żywo Gretchen. — Byłam, i to głęboko! Ale wolę wspominać go innym.

Wzięła ze stołu fotografię w srebrnej ramce i pogładziła ją sentymentalnym gestem. Przez szkło spoglądał Hardenburg przystojny i dziarski, ubrany w czapkę i paradny mundur.

— Robione w miesiąc po naszym ślubie. Mąż chciałby na pewno, żebym go takim pamiętała.

Klucz zachrobotał w zamku drzwi wejściowych. Gretchen drgnęła nerwowo i zawiązała sznur opasujący szlafrok.

— Niestety, sierżancie, będziemy się musieli pożegnać — szepnęła prędko. — Chwilowo jestem zajęta i...

Do pokoju weszła wysoka, masywnie zbudowana kobieta w czarnym płaszczu. Miała stalowosiwę włosy gładko szczesane z czoła i małe, zimne oczki za okularami w drucianej oprawie.

— Dobry wieczór, Gretchen — odezwała się i nieprzychylnie spojrzała na Diestla. — Jeszcze nie ubrana? Zapomniałaś, że jemy dziś kolację w mieście?

— Miałam gościa — odpowiedziała pani Hardenburg. — To sierżant z dawnej kompanii mojego męża.

— Czyżby? — Głos nowo przybyłej zabrzmiał tonem chłodnej podejrzliwości; utkwiała badawcze spojrzenie w twarz Christiana.

— Sierżant... sierżant — zaczęła Gretchen i stropiła się bardzo. — Niewymownie mi przykro, ale... ale zapomniałam nazwiska...

— Diestl. Christian Diestl — rzucił oziębłe i wstając spojrzał na kobietę w średnim wieku piastującą jeszcze dawne zdjęcie Hardenburga.

„Chętnie bjj|j| ją zamordował” — pomyślał.

— Aha! Sierżant Diestl... Mademoiselle Giguet — zaprezentowała gospodyni.

Christian sztywno skinął głową. Kobieta odpowiedziała ledwie dostrzegalnym spuszczeniem wzroku.

— Mademoiselle Giguet jest z Paryża — podjęła nerwowo Gretchen. — Pracuje w naszym ministerstwie i... i mieszka u mnie, póki nie znajdzie odpowiedniego apartamentu. To bardzo ważna osobistość... Bardzo ważna! Prawda, kochanie? — zwróciła się do mademoiselle Giguet i zachichotała nienaturalnie.

Kobieta nie podjęła tematu. Bez pośpiechu zaczęła ściągać rękawiczki z szerokich, krzepkich dłoni.

— Bardzo przepraszam — powiedziała — ale muszę wziąć kąpiel. Czy jest gorąca woda?

— Ledwie letnia — odparła pani domu.

— Wystarczy. — Tęga, barczysta postać zniknęła w drzwiach sypialni.

— Niezwykle inteligentna osoba. Nie masz pojęcia, jdk w ministerstwie wszyscy cisną się do niej po rady.

Gretchen nie patrzyła na Christiana.

— No, na mnie czas — powiedział biorąc czapkę. — Dziękuję za fotografię i żegnam.

Pani Hardenburg drżącą ręką poprawiła kołnierzyk szlafroka.

— Żegnam, sierżancie. Trzaśnij po prostu drzwiami. Zamek działa automatycznie.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Christian i Behr szli powoli plażą w kierunku miejsca, gdzie zostawili buty. Bose stopy zapadały w chłodny piasek. Dokoła zalegała cisza. Słyszeć było tylko wiosenny pomruk fal, które toczyły się od amerykańskich wybrzeży odległych o trzy tysiące mil. Behr przystanął, by zapalić papierosa. Jego silna robotnicza dłoń zdawała się olbrzymia w porównaniu z cienkim zwitkiem tytoniu.

— Mam wizję Niemiec za rok od dnia dzisiejszego — mówił. — Ruiny. Same ruiny. Dwunastoletnie dzieciaki używają granatów ręcznych, żeby zdobyć kilo mąki. Na ulicach nie widać młodych mężczyzn, chyba że chodzą o kulach. Zdrowi gniją w obozach jenieckich w Rosji, Francji, Anglii. Stare baby w kieckach z workowego płótna ledwie powłóczą nogami. Czasami jedna czy druga pada nagle martwa — z głodu. — Fabryki nie pracują, bo zostały zbombardowane do fundamentów. Nie ma rządu tylko prawa wojenne narzucone przez Rosjan i Amerykanów. Nie ma szkół, domów rodzinnych, nie ma przyszłości.

Behr umilkł, zapatrzył się w morze. Było późne popołudnie, dziwnie łagodne i ciepłe jak na normandzkie przedwiośnie. Słońce — wielka pomarańczowa kula — wolno zapadało w wodę. Ostre trawy na wydmach stały spokojnie w wieczornej ciszy. Kręta nadbrzeżna szosa była pusta, a widoczne w oddali kamienne zabudowania farm wyglądały tak, jak gdyby ludzie opuścili je od dawna. Behr dumiał. Przez zasieki z drutów kolczastych spoglądał na morze.

— Nie ma przyszłości — powtórzył głucho. — Nie ma przyszłości.

Behr, sierżant w nowej kompanii Christiana, był zrównoważonym mężczyzną atletycznej budowy. Miał około trzydziestki. Żonę i dwoje dzieci stracił w styczniu podczas bombardowania Berlina przez Lotnictwo Królewskie. Jesienią został ranny na froncie wschodnim,

o tym jednak mówił niechętnie. Do Francji przybył na kilka tygodni przed powrotem Diestla z berlińskiego urlopu.

W ciągu miesiąca Christian dobrze poznał i bardzo polubił Behra, a że Behr odwzajemniał jego sympatię, dwaj sierzanci często spędzali razem wolny czas. Odbywali długie spacery po budzącej się do wiosennego życia okolicy i popijali domowy calvados lub cierpki jablecznik w gospodach wiejskich w rejonie zakwaterowania batalionu. Zawsze nosili w kaburach pistolety, bo oficerowie wciąż straszili podwładnych żywą działalnością francuskich band partyzanckich *tnaquis*. Ponieważ jednak nie było słychać o niepokojących wydarzeniach w sąsiedztwie, Behr i Diestl doszli do zgodnego wniosku, że częste ostrzeżenia dowodzą jedynie nadmiernej nerwowości przełożonych. Włóczyli się więc śmiało pośród farm i nad brzegami morza. Spotkanych Francuzów traktowali uprzejmie, ci zaś zachowywali się po przyjacielsku, chociaż na ciężką i skrytą chłopską modłę.

Christian najbardziej cenił w nowym przyjacielu jego normalność. Wszyscy, z którymi od straszliwej nocy na przedpolach Aleksandrii miał coś do czynienia, sprawiali wrażenie rozstrojonych psychicznie historyków, zbyt pobudliwych, przemęczonych, drażliwych. Tymczasem Behr był jak wiejskie powietrze — chłodny, niezawodny, krzepiący, zdrowy. Cóż dziwnego, że kojąco wpływał na Christiana i uspokajał jego nerwy napięte do ostatnich granic malarią i artyleryjskim ogniem.

W swoim czasie Diestl niechętnie jechał do nowego batalionu w Normandii.

„Dosyć — myślał z zalem i rozgoryczeniem. — Zrobiłem swoje. Nie stać mnie na więcej. Afryka, Włochy, okaleczona raz na zawsze noga, chroniczna malaria... To chyba starczy? Czego jeszcze można się po mnie spodziewać? Żebym spotkał Amerykanów, jak wylądują na francuskich plażach? To stanowczo za wiele. Takich rzeczy nie wymaga się od weteranów. Są miliony nie zadraśniętych nawet żołnierzy. Czemu nie posłużyć się nimi?” Był zły i serdecznie litował się nad sobą. Podczas urlopu w Berlinie czuł się schorowanym starcem. Po szesnaście lub osiemnaście godzin spędzał w łóżku. Drzemał. Nie wstawał nawet, kiedy nocą nadlatywały nieprzyjacielskie bombowce.

Później zawarł znajomość z Behrem i zaczął leczyć się stopniowo dzięki żywiołowej, krzepiącej sile nowego przyjaciela. W ciągu spokojnego, zdrowo przeżytego miesiąca przybrał na wadze, odzyskał świeżą cerę. Ani razu nie cierpiał na ból głowy i nawet chora noga przystosowała się jakoś do pracy krzywo zrosniętych ścięgien.

A tego wieczora Behr szedł obok Christiana po chłodnym piasku plaży i mówił posepnie:

— Nie ma przyszłości. Nie ma przyszłości. Kładą nam w łeb, że Amerykanie nigdy nie wylądują w Europie. Brednie! Nasi wodzowie gwizdzą w czasie spaceru między mogiłami, żeby dodać sobie ducha. Tylko że to będą nasze mogiły, nie ich. Amerykanie wylądują, bo postanowili wylądować. Nie migam się od śmierci, ale wstrętem przejmuję mnie śmierć bezużyteczna. Oni wylądują bez względu na to, co zrobimy ty albo ja. Wylądują, pójdą do Niemiec jak po maśle i spotkają Rosjan. Wtedy koniec z nami, raz na zawsze.

Przez chwilę szli w milczeniu. Christian czuł sypki piasek między palcami nóg. Przypomniało mu to dawne czasy w domu, kiedy jako mały chłopiec biegał latem na bosaka. Te słodkie wspomnienia i widok plaży o cichym zmierzchu łagodziły po trosze efekt złowróżbnych słów. Trudno było zdobyć się na tak rzeczową trzeźwość, jakiej wymagał przyjaciel.

— Wciąż słucham — ciągnął Behr — co gada berlińskie radio. Chelpią się tam, zapraszają Amerykanów, by spróbowali lądować, napomykają o nowych broniach, wróżą, że lada dzień Rosjanie zaczną wojnę z Ameryką i Anglią. Słucham tego wszystkiego i mam ochotę tłuc głową o mur i płakać. A wiesz dlaczego? Nie dlatego że nas okłamują, tylko że te łgarstwa są głupie, bezczelne, byle jakie. Właśnie! Byle jakie. To najwłaściwsze określenie. Jacyś faceci siedzą tam spokojnie i plotą, co im ślina na język przyniesie, ponieważ gardzą nami i całym niemieckim narodem. Faceci z Berlina mają nas za durniów, co chętnie dają wiarę wszelkim bredniom wymyślanym przez byle kogo. Ci faceci wiedzą, że zawsze będziemy gotowi umierać w imię każdego idiotycznego sloganu, który upichcą w ciągu wolnego kwadransa, między obiadem a pierwszym popołudniowym kuflem piwa.

Słuchaj — rozprawiał dalej Behr. — Poprzednim razem mój ojciec bił się cztery lata. Rozumiesz: Polska, Rosja, Włochy, Francja. Był trzykrotnie ranny, a umarł w tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym roku na skutek zatrucia gazem, którego nabral do płuc w Lesie Aragońskim w ostatnich miesiącach wojny. Dobry Boże! Tacy z nas kretyni, że raz po raz zgadzamy się staczać te same bitwy, niby w filmie powtarzanym nieustannie... Nic się nie różni: pieśni, mundury, wrogowie, klęski. Tylko groby są wciąż nowe. No i obecnie finał będzie odmienny. Niemcy zapewne nie nauczą się niczego, ale inni nabiorą rozumu. Tak. Będzie inaczej. Koszt przegranej wzrośnie, znacznie

wroście. Poprzednim razem mieliśmy przyjemną, prostą wojenkę w europejskim wydaniu. Wszyscy ją dobrze rozumieli i rozgrzeszali, bo podobne batalie świat zna od tysiąca lat. Wojna odbywała się w kręgu jednolitej kultury. Grupa cywilizowanych po chrześcijańsku dżentelmenów biła się z drugą grupą cywilizowanych po chrześcijańsku dżentelmenów według zasad ustalonego kodeksu praw moralnych. Kiedy się wszystko skończyło, ojciec odmaszerował ze swoim pułkiem do Berlina. Po drodze dziewczęta rzuciły kwiaty żołnierzkom. Ojciec zdjął mundur, wrócił na swój urząd i jak gdyby nigdy nic zaczął znów sądzić sprawy cywilne. Tym razem nikt nie będzie rzucał nam kwiatów, jeżeli nawet zostanie garstka takich, co odmaszerują do Berlina. Tym razem to nie prosta, zrozumiała wojenka w kręgu jednolitej kultury. Tym razem to szturm dzikiego zwierza na dom istot ludzkich. Nie wiem, co widywałeś w Afryce i we Włoszech, ale wiem dobrze, z czym zetknąłem się w Rosji i w Polsce. Zbudowaliśmy cmentarz tysiąc mil długi i tysiąc szeroki. Mężczyźni, kobiety, dzieci, Polacy, Rosjanie, Żydzi... Nam było wszystko jedno. Niepodobna tego porównać do żadnych poczynań człowieka. Tak zachowywać się może tylko kuna w kurniku. Jak gdybyśmy zrozumieli, że wszystko, co zostanie przy życiu na Wschodzie, będzie pewnego dnia świadczyć przeciwko nam i przyczyni się do wyroku skazującego. A dzisiaj — ciągnął Behr stłumionym, jednostajnym głosem — po tym, co 'niestety zaszło, popełniamy ostateczny błąd: przegrywamy wojnę. Dzikie zwierze zapędzone w matnię bez wyjścia. Istota ludzka gotuje się do decydującego ciosu. I co nas czeka? Jak sądzisz, Diestl? Słowo daję, czasami modlę się po nocach i dziękuję Bogu za śmierć żony i dzieci. Przynajmniej nie będą musiały żyć w powojennych Niemczech. Czasami — spojrział znów w stronę morza — gapię się na tę wodę i powtarzam sobie: „Skacz! Umykaj do Anglii, do Ameryki. Próbuj przepłynąć pięć tysięcy mil, byle się stąd wydostać!”

Diestl i Behr stanęli tymczasem nad swoimi butami. Posepnie spoglądali z góry na martwą czerń skóry, jak gdyby ciężkie czworokątne buty o podeszwach gęsto podkutych gwoździami stanowiły symbol ich męki i niedoli.

— Ale nie mogę popłynąć do Ameryki — westchnął Behr. — Nie mogę popłynąć do Anglii. Muszę zostać tutaj. Jestem Niemcem. Spotka mnie wszystko to, co ma spotkać Niemcy. Dlatego właśnie rozmawiam dziś z tobą, Diestl. Rozumiesz oczywiście — dodał — że gdybyś komu pisał słówko, zostanę z miejsca aresztowany i dostanę kule w łeb.

— Nikomu nie pisnę słowa — obruszył się Christian.

— Obserwuję cię od miesiąca — podjął Behr — mierzę, ważę. Jeżeli nie jesteś taki, za jakiego cię uważam, omyłka może mnie kosztować życie. Chętnie poświęciłbym więcej uwagi tym obserwacjom, ale, widzisz, czasu mamy mało i...

— Nie bój się — przerwał mu Diestl. — O mnie możesz być spokojny.

— Zostaje nam ostatnia nadzieja — ciągnął Behr przyglądając się butom. — Jedyna nadzieja dla Niemiec. Musimy dowieść świata, że w Trzeciej Rzeszy przetrwały dotychczas istoty ludzkie, nie same dzikie zwierzęta. Musimy dowieść, że te istoty ludzkie są zdolne do samodzielnego działania.

Oderwał wzrok od butów i pogodnie, rozumnie spojrzal w oczy przyjaciela. Christian zdawał sobie sprawę, że proces ważenia i mierzenia trwa nadal. Milczał. Czuł się nieswojo. Irytowały go dziwne zwierzenia, zarazem jednak wiedział, że wysłuchać ich musi i do końca będzie słuchał jak urzeczony.

— Anglia, Rosja, Ameryka — mówił dalej Behr — nikt na świecie nie zawrze z nami pokoju, póki w Niemczech rządzi Hitler ze swoją kliką. Istoty ludzkie nie podpisują rozejmów z tygrysami. A my musimy podpisać rozejm, i to natychmiast, jeżeli chcemy cokolwiek uratować w Niemczech. Do czego zmierzam? — rzucił retoryczne pytanie, jak prelegent. — Zmierzam do tego, że Niemcy sami muszą pozbyć się tygrysów. Muszą podjąć ryzyko dla tego celu. Muszą przelewać krew w walce z tygrysami. Nie wolno czekać, aż wróg zada nam klęskę i ofiaruje rząd niby podarek, bo wtedy nie będzie już czym rządzić i zabraknie ludzi silnych i chętnych, by podjąć się rządzenia. Zmierzam do tego, że ty, Diestl, i ja musimy być gotowi do zabijania Niemców, aby dowieść reszcie świata, że wbrew pozorom nie zgasła nadzieja dla Niemiec. — Jeszcze raz spojrzal bacznie na przyjaciela.

„Jak ćwiekami przygwaźdża mnie jednym dowodem zaufania po drugim” — pomyślał z urazą Christian, lecz nie mógł się zdobyć na właściwą odprawę dla Behra.

— Nie myśl, że sam to wszystko wykombinowałem. Nie jestem odosobniony. Plan dojrzeła stopniowo w całej naszej armii, w całych Niemczech. Trwa powolny zaciąg ochotników. N?e twierdzą, że odniesiemy sukces. Twierdzą zaledwie, że po jednej stronie stoi pewna śmierć, pewna ruina, a po drugiej... Cóż? Po drugiej — odrobina nadziei. Naturalnie ocalić nas może tylko jeden rodzaj rządu, który potrafimy zapewne powołać, gdy sami zdobędziemy się na czyn. Jeżeli

zaczekamy, aż wyręczą nas wrogowie, będziemy mieli pół tuzina małych-rządów bez władzy, bez znaczenia. Nikomu niepotrzebnych rządów tylko z nazwy. Wtedy lata dwudzieste wydadzą się utopią w porównaniu z pięćdziesiątymi. Posłuchaj, Diestl! Sami zaprowadzimy porządek, ustanowimy rząd komunistyczny i z dnia na dzień staniemy się ośrodkiem komunistycznej Europy. Rozumiesz? Gały kontynent będzie musiał karmić nas, utrzymywać w stanie siły. Cały kontynent! Wszystkie narody! Nie istnieje dla Niemiec inna forma rządów, bez względu na to, co mogą gadać Anglicy czy Amerykanie. Bo nie dopuścić, by Niemcy zaczęli się wzajemnie mordować w systemie... no, na przykład w systemie zwanym przez Amerykanów demokracją, będzie trudniej niż zapewnić owczarni bezpieczeństwo dzięki zobowiązaniom honorowym wilków. Nadwątlonego domu nie uchroni przed ruiną malowanie ścian. Trzeba sięgnąć głęboko, do fundamentów, trzeba je wzmocnić żelaznymi podporami. Amerykanie są naiwni i mają zwały sadła na mięśniach. Mogą sobie pozwolić na luksus i marnotrawstwo demokracji. Ale żadnemu Amerykaninowi nigdy nie przyszło do głowy, że ich system zależy od ciepłych pokładów tłuszczu pod skórą, nie od pięknych słów, którymi szpikują księgi praw...

„Dziwne echo — pomyślał zaskoczony Christian. — Gdzie i kiedy było to już powiedziane?”

Nagle przypomniał sobie Margaret Freemantle i dawno miniony ranek na zaśnieżonym stoku górskim. Usłyszał własny głos mówiący podobne zdania z całkiem innej racji. Przez moment nie słyszał Behra.

„Idiotyczna, denerwująca historia — myślał. — Raz po raz tasujemy te same przesłanki, aby wyciągnąć z nich zupełnie inne wnioski: takie, jakich nam w danej chwili trzeba.”

— ...trzeba zaczynać z miejsca — dokończył zdania Behr. — Mamy liczne kontakty we Francji. Dzisiaj Francuzi chcą tylko mordować Niemców, ale jutro mogą się stać naszym najwierniejszym sojusznikiem. To samo tyczy Polaków, Rosjan, Norwegów, Holendrów, wszystkich! Z dnia na dzień podarujemy Amerykanom zgodną, zjednoczoną dokoła Niemiec Europę, a oni będą musieli przyjąć prezent, czy spodoba się im czy nie. Inaczej... Cóż? Inaczej módl się, Diestl, o śmieć na początku rozgrywki. Posłuchaj teraz. Są pewne specjalne zadania, które ktoś musi wykonać. Czy mam powiedzieć towarzyszom, że się tych zadań podejmiesz?

Behr usiadł na plaży i zaczął wciągać skarpetki. Nie spieszył się. Troskliwie strząsał z nich piasek, wyglądał najdrobniejsze fałdki.

Christian patrzył w morze. Był zniechęcony, smutny. Do przyjaciela czuł żal i głęboką urazę.

„Ładny wybór ma dzisiaj człowiek — myślał ponuro. — Między jednym a drugim rodzajem śmierci. Stryczek czy kula? Nóż czy trucizna? Mój Boże, gdybym był świeży, wypoczęty po długim, przyjemnym urlopie... Gdybym nie był ranny, ciężko chory... Wtedy mógłbym pewno spojrzeć na to wszystko spokojnie i rozumnie, dać właściwą odpowiedź, wyciągnąć rękę po odpowiednią broń...”

— Wciągaj no buty — odezwał się Behr. — Czas wracać. Nie musisz dziś nic decydować. Namysł się.

„Namysł się! — powtórzył bez słów Diestl, — Równie dobrze chory może rozmyślać o raku w swoich bebechach, skazaniec o wyroku śmierci, cel o pocisku, który przewierci go za moment.”

— Posłuchaj! — Behr, trzymając but w rękę, poważnie patrzył w górę. — Jeżeli o naszej rozmowie powiesz komuś, znajdy cię pewnego pięknego dnia z nożem w plecach. Obojętne, co przedtem stanie się ze mną. Bardzo cię lubię, Diestl, ale muszę dbać o własną skórę. Uprzedziłem towarzyszy, że będę dziś gadał z tobą.

Christian spojrział na czerstwą twarz przyjaciela, który siedział ze spokojną, pogodną miną. Tak mógłby wyglądać mechanik, który przed wojną przychodził naprawiać radio, albo policjant prowadzący przez jezdnię parkę małych dzieci w drodze do szkoły.

— Mówiłem ci już, Behr, o mnie możesz się nie martwić. Nie będę namyślał się nad niczym. Jestem zdecydowany i... — Diestl nie dokończył zdania, bo złowił uchem podejrzaną loskot.

Odruchowo padł na plażę. Pociski grzęznąć w piasku zatrzępotały glucho koło jego głowy. W ramieniu poczuł bezbolesne pchnięcie stali przesywającej mięśnie. Podniósł wzrok i o pięćdziesiąt stóp nad sobą zobaczył spitfire'a, który po długim locie ślizgowym zaryczał nagle pełnymi obrotami silnika. Samolot płynął w czystym powietrzu. Na skrzydłach połyskiwały barwne kręgi. W ukośnych promieniach słońca zespół sterów ogonowych lśnił jak srebro. Wspinał się teraz, oddalał szybko i wkrótce zarysował się wdzięcznie nad morzem opalizującym od pogodnego wiosennego zachodu. Był nie większy od mewy, gdy w oddali spotkał się na tle słońca z drugim myśliwcem opisującym szeroki krąg nad falami oceanu.

Wówczas Christian spojrział na kolegę. Behr siedział wyprostowany, poważnie patrzył na swoje dłonie splecione na brzuchu. Między palcami przeciekała krew. Na moment podniósł ręce, a kiedy krew zabulgotała nierównym tętniącym strumykiem, znowu przycis-

nął brzuch, jak gdyby sądził, że doświadczenie się udało. Przeniósł wzrok na Christiana i uśmiechnął się łagodnie. Tak przynajmniej wydawało się Diestlowi, kiedy później przypomniał sobie tę chwilę.

— Bardzo boli — odezwał się Behr właściwym mu rzeczowym, spokojnym tonem. — Chciałbym, żebyś mnie zaprowadził do lekarza.

— Dranie przypikowali — odpowiedział nedorzecznie Christian gapiąc się na dwa nękące w oddali punkciki. — Zostało im trochę amunicji. Nie mieli ochoty wracać do domu z pełnymi taśmami.

Behr usiłował wstać. Klęknął na jedno kolano, syknął i znów siadł na piasku. Miał ten sam zamyślony, pogodny wyraz twarzy.

— Nie mogę się ruszyć—powiedział. — Chyba mnie zanieiesz, co?

Christian pochylił się nad przyjacielem, spróbował go dźwignąć. Wtedy przekonał się, że nie ma władzy w prawej ręce. Spojrzał na nią zdziwiony i uprzytomnił sobie, że również został ranny. Mundur miał nasiąknięty krwią. Ramię było jeszcze drętwe, lecz zaczynało pulsować i obrzmiewając wypełniało ciasny rękaw. W żaden sposób nie mógł poradzić sobie jedną zdrową ręką. Podniósł trochę Behra i spocony, zdyszany, podtrzymywał go pod pachami.

— Nie mogę! — sapnął.

— Daj spokój! — zajęczał Behr. — Na miłość boską, daj spokój! Zostaw mnie.

Najostrożniej, jak potrafił, Diestl złożył przyjaciela na piasku. Ranny usiadł, sztywno rozkraczył nogi. Dłońmi przycisnął znowu czerwoną plamę na środku brzucha. Bełkotał i syczał dziwnie jak nierówno działający tłok maszyny parowej.

— Skoczę po pomoc — podjął Christian. — Trzeba cię będzie zanieść. Znajdę kogoś.

Behr chciał odpowiedzieć, ale z jego ust nie dobyły się słowa. Skinął tylko głową. Miał nadal zdrową, zadowoloną, rażną minę. Bujna, jasna czupryna oceniała opalone na brąz czoło. Christian usiadł ostrożnie i starał się wciągnąć buty, nic jednak nie mógł zrobić lewą ręką. Zrezygnował więc wkrótce, z nieszczerem optymizmem klepnął przyjaciela po ramieniu i na bosaka pokłusował ciężko w stronę szosy. Był od niej o mniej więcej pięćdziesiąt metrów, kiedy zobaczył dwóch Francuzów na rowerach. Pedalowali ostro, rytmicznie. Rzucali długie, fantastyczne cienie na pola.

Christian zatrzymał się i zaczął krzyczeć, wymachując zdrową ręką:

— *Mes amis! Camarades! Arrêtez!*

Cykliści zwolnili i podejrzliwie spojrzeli na Niemca spod daszków czapek.



— *Blesse! Blessel* — zawołał Diestl i wskazał bezwładny już kształt rozciągnięty na piasku nad połyskliwą wodą. — *Aidez-moi! Aidez-moi!*

Rowery prawie się zatrzymały. Dwaj mężczyźni wymienili między sobą pytające spojrzenia. Następnie pochyłili się nad kierownicami i gwałtownie przyśpieszyli tempo. Diestl, którego minęli obojętnie w odległości dwudziestu pięciu lub trzydziestu kroków, mógł przyrzec się dokładnie ich chudym, opalonym twarzom pod granatowymi czapkami — kamiennym i pozbawionym wyrazu. Odjechali prędko i zniknęli za dużą wydumą, co przesłaniała szosę na przestrzeni dwóch kilometrów. Christian rozejrzał się dokoła. Droga i cała okolica były wyludnione i spowijały się w poważny błękit zmierzchu. Tylko na zachodzie ocean mienił się purpurą.

Christian podniósł rękę, jak gdyby chciał zatrzymać cyklistów. Nie mógł uwierzyć, że ich już nie ma, że odjechali bez słowa. Przez chwilę podejrzewał złudzenie wywołane gorączką z powodu świeżej rany. Później smutno pokręcił głową i ruszył truchtem ku majaczącej w oddali grupce domów.

Po chwili musiał przystanąć. Dyszał ciężko. Z rany krew ciekła obficie. Nagle usłyszał wrzask. Odwrócił się i przez gęstniejący mrok pobiegł w stronę miejsca, gdzie zostawił przyjaciela. Jakiś człowiek pochylał się nad nim, a Behr próbował odpełznąć na bok. Miał powolne, nieskoordynowane ruchy konającego. Znowu rozległ się krzyk. Nieznajomy postąpił krok, chwycił Behra za kołnierz i odwrócił twarzą do góry. Christian zobaczył błysk noża — jasny i wyraźny na tle matowiejącego srebra wody. Przerazający skowyt umilkł gwałtownie.

Diestl sięgnął lewą ręką do kabury, ale trudno mu było wydobyć broń. Widział, jak Francuz chowa nóż i spokojnie sięga po pistolet Behra. Wyciągnął go i wsunął do kieszeni. Później chwycił leżące opodal buty. Christian mozolił się tymczasem nad bezpiecznikiem. Nie mógł sobie poradzić. Wreszcie otworzył ogień, bardzo zresztą niepewny, gdyż nigdy dotąd nie strzelał z lewej ręki. Francuz rzucił się do ucieczki ku wysokiej diunie. Christian śpieszył, jak umiał, w stronę nieruchomego kolegi. Od czasu do czasu przystawał i strzelał do uykającego napastnika.

Nim Christian stanął nad Behrem, Francuz był już daleko, koło swojego roweru i oczekującego kamrata. Obydwaj ruszyli szybko czarną, wyboistą drogą, zmierzając pod osłonę wydmy. Diestl dał ostatni strzał, dobrze widać wycelowany, gdyż drugi cyklista wypuścił parę butów, jak gdyby przestraszył go świst kuli. Francuzi skuleni na

rowerach pedałowali coraz szybciej i rychło rozplynęli się w lawen-dowej mgle, która zaczęła spowijać drogę, płowe piaski plaży, zasieki z drutu kolczastego i żółte tabliczki z trupią czaszką i ostrzeżeniem: „Uwaga! Miny!”

Wówczas Diestl nachylił się i zmierzył wzrokiem przyjaciela. Behr leżał na wznak z szeroko rozkrzyżowanymi rękami. Spoglądał w niebo. Twarz wykrzywił mu wyraz przedśmiertnej grozy. Krew krzepła i mazała się pod brodą, gdzie nóż nakreślił drugą, niepotrzebną szramę.

„Nie! To niepodobna! — myślał Christian gapiąc się tępo na trupa. — Pięć minut temu siedział tutaj, naciągał buty... Niczym profesor wiedzy politycznej rozprawiał o przyszłości Niemiec... Cóż, angielski lotnik w myśliwcu i francuski farmer z nożem za pazuchą, jadący na rowerze, mieli swoje własne zdanie o polityce.”

Rozejrzał się dokoła. Plaża była biała i pusta. Drobne falki bulgotały pienieście wzdłuż brzegu. Na piasku wyraźnie rysowały się ślady stóp. Na moment Christian uległ szalonej myśli, że coś należało zrobić. Gdyby w odpowiednim czasie zachował się jak należy, zniknęłyby fatalne minuty, spitfire może nie przypikowałby nad plażą, nie nadjechałoby dwaj francuscy cykliści, a Behr wstawałby teraz z piasku zdrów, cały, skupiony i żądałby od kolegi stanowczej decyzji...

„Dziwne, zabawne... — myślał kiwając żałośnie głową. — Pięć minut przeszło, minęło... Towarzyszyły im drobne wydarzenia, przypadkowe, mało ważne. Jakiś błękitnooki chłopak odbył lot patrolowy nad Francją i wracał do kraju, gdzie w devońskim miasteczku siądzie wieczorem nad kuflem piwa w barze. Po drodze wypatrzył na plaży dwie drobne figurki ludzkie... Ogorzały od słońca francuski farmer błysnął nożem... Wobec tego przyszłość Niemiec skryształizuje się bez udziału Antona Behra, wdowca, który z Berlina powędrował aż pod Rostów, aby ostatni miesiąc życia poświęcić filozofowaniu i długim przechadzkom nad Atlantykiem.”

Christian przyklęknął. Z wysiłkiem, sapiąc głośno, ściągnął naj-przód jeden, a później drugi but z nóg trupa.

„Kundle! — myślał gniewnie przy tej robocie. — Przynajmniej tego nie dostaną!”

Później powłókł się ciężko w stronę szosy i na zakręcie znalazł swoje buty upuszczone przez Francuza. Obydwie pary ułożył starannie w zgięciu prawego ramienia i poczłapał do odległego o pięć kilometrów dowództwa batalionu. Bose nogi ślizgały się po gładkim, chłodnym asfalcie.

Ręka na temblaku prawie nie bolała Christiana, gdy następnego dnia przyglądał się pogrzebowi Behra. Cała kompania wystąpiła z wielką paradą: wyglansowane buty, karabiny lśniące od oliwy. Kapitan skorzystał ze sposobności, by wygłosić mowę. Stał sztywno, wciągał brzuch i nie zważając na gęsty, lodowaty deszcz, grzmiał z patosem:

— Przyrzekam wam, żołnierze, że śmierć waszego kolegi zostanie srogo pomszczona!

Miał wysoki, skrzeczący głos. Kompanią mało się interesował, a czas spędzał głównie na farmie, gdzie kwaterował z tęgą, przysadziłą Francuzką. Przywiózł ją z Dijon — poprzedniego miejsca postoju. Francuzka była w ciąży i pod tym pretekstem obżerała się pięć razy na dzień.

— Zostanie pomszczona—powtórzył kapitan nie zwracając uwagi na krople wody ciekące z daszka czapki. — Srogo pomszczona! Okoliczna ludność przekona się, że silni z nas przyjaciele i straszliwi wrogowie, że wasze życie, żołnierze, stanowi cenny skarb dla Fuhrera i dla mnie! Bliską jest chwila, gdy odprawimy sąd nad mordercami.

Christian uśmiechnął się posepnie na myśl o angielskim lotniku. Chłopiec ma dziś zapewne wolny dzień, bo warunki atmosferyczne są fatalne. Nie dba o żadne sądy. Może siedzi właśnie w przytulnej knajpce, śmieje się na tę nieznośną angielską modłę i opowiada swojej dziewczynie o pomyślnym locie nad Francją, który zakończył się wypatrzaniem dwóch bosych Hunów, co o zachodzie słońca odbywali spacer nad morzem dla zdrowia.

— Nauczmy tych lotrów — perorował kapitan — że niecne barbarzyństwo nie przynosi korzyści. Wyciągamy do nich przyjazną dłoń, potrafimy jednak odplacić jak należy, skoro dłoń nasza napotyka nóż skrytobójczy. Zdradzieckie, okrutne czyny nie rodzą się same przez się. Sprawców podżegają ich władcy z tamtej strony Kanału. Raz po raz gromieni na polach bitew, dzicy ludzie, co zowią się Anglikami i Amerykanami, najmują zbirów i każą im walczyć bronią złodziei i włamywaczy. — Głos kapitana brzmiał coraz donośniej przy akompaniamencie gęstego deszczu. — Nigdy w dziejach wojen narody nie gwałciły praw ludzkich tak bezwzględnie, jak czynią to nasi dzisiejsi wrogowie. W naszej niemieckiej ojczyźnie bomby padają na kobiety i dzieci. Pod osłoną nocy noże najmitów grzęzną w gardłach naszych wojowników, jak Europa długa i szeroka. Ale to nie zda się na nic! — Głos mówcy wzmógł się do przejmującego wrzasku. — Na nic, powtarzam! Wiem, jaki wpływ wywierają te zbrodnie na mnie i na

każdego Niemca. Rosną nasze siły, wzbiera gorycz, a niezłomna wola wzmaga furię)

Christian rozejrział się dokoła. Żołnierze mokli pokornie na deszczu. Ich twarzy nie ożywiała niezłomna wola ani furia. Mieli miny ślamazarne, po trosze wystraszone, znudzone. Batalion był sklecony naprędcę. Składał się z inwalidów, rannych już na innych frontach, i uzupełnień z ostatniego poboru — podtatusiałych, cherlawych cywilów lub grubokościstych, głupich osiemnastolatków. Christian poczuł niespodziewaną litość dla kapitana. Biedak! Przemawia do nie istniejącej armii, zmiecionej z powierzchni ziemi w setce bitew. Zwraca się do upiorów ludzi, którzy powinni stać na tym miejscu, do milionów mężczyzn zdolnych do furii, którzy leżą spokojnie w milionie grobów rozsianych po Afryce i Rosji.

— Ale — wołał kapitan — nasi wrogowie będą musieli wychylić łby z nory. Będą musieli porzucić wygodne łóżka w Anglii i nie poprzestając na usługach płatnych morderców przyjść tutaj. Na polu walki staną z nami twarzą w twarz, jak żołnierze. Delektuję się tą myślą. Żyję, by doczekać tego dnia. Wielkim głosem wzywam naszych nieprzyjaciół. Przyjdźcie! Przekonajcie się, jak wygląda prawdziwa wojna z niemieckim wojskiem! Z niezachwianą ufnością patrzę w przyszłość i wiem, że wy wszyscy płoniecie takim samym ogniem.

Christian jeszcze raz przebiegł wzrokiem milczące szeregi. Żołnierze stali sztywno. Strumyki wody ciekły po kapturach z syntetycznego kauczuku. Buty grzęzły powoli we francuskim błocie.

— Wielkiego dnia ów sierżant — kapitan dramatycznym gestem wskazał otwarty grób — nie będzie nam towarzyszył w swej cielesnej powłoce. Ale jego duch nie odstąpi niemieckich żołnierzy. Będzie nas zagrzewał do męstwa, będzie podsycał naszą wolę, kiedy zaczniemy słabnąć.

Oficer otarł twarz i ustąpił miejsca kapelanowi, ten zaś szybko odbębnił żałobne modły. Przeziębł się ostatnio, toteż chciał umknąć z deszczu, nim dostanie zapalenia płuc.

Dwaj żołnierze z łopatami zbliżyli się do mogiły i zaczęli spychać w dół grudy mokrej gliny. Padaly słowa komendy. Kapitan starał się kroczyć sztywno, nie kręcić szerokim zadem. Wyprowadził kompanię z cmentarzyka, na którym było tylko osiem grobów, i powiódł ją szarą brukowaną uliczką wioski. Cywilów nie było widać. Wszystkie okiennice pozamykano z obawy przed deszczem, Niemcami i wojną.

Porucznik SS był dobroduszny, wesoly. Przyjechał z wyższego dowództwa wielkim wozem sztabowym. Jedno po drugim palił krótkie

hawańskie cygara i uśmiechał się zawodowo przymilnie jak wchodzący do piwiarni agent browaru. Mocno załatwiał koniakiem. Wygodnie rozpiął się obok Christiana na głównym siedzeniu samochodu mknącego nadbrzeżną szosą do pobliskiego miasteczka, gdzie jakiś podejrzanym czekał na rozpoznanie przez naoczno go świadka.

— Dobrze przyjrzelście się tej parce? Co, sierżancie? — zapytał porucznik i żując koniec cygara, bezwiednie uśmiechnął się do sąsiada.

— Łatwo zidentyfikujecie tego drania, co?

— Tak jest, panie poruczniku.

— Doskonale — rozpromienił się esesman. — Sprawa będzie prosta. A ja uwielbiam proste sprawy. Inni... to znaczy inni oficerowie śledczy... robią rzadkie miny, jeśli wszystko leci im jak z płatka. Chcą udawać wielkich detektywów. Lubią przypadki niejasne, zagmatwane, żeby pokazać, jacy to z nich cwaniacy. Ze mną rzecz ma się odwrotnie. Całkiem odwrotnie. — Znów obdarzył Christiana serdecznym uśmiechem. — Tak czy nie? ten facet czy nie ten? Koniec. Interes załatwiony! Wszelkie subtelności zostawmy lepiej intelektualistom. Ja tam przed wojną pracowałem przy maszynie w fabryce galanterii skórzanej w Regensburgu. Wcale nie mam pretensji do psychologicznej głębi. Wobec Francuzów stosuję prostą filozofię. Jestem z nimi szczerzy i w zamian wymagam szczerości. Rozumiecie, sierżancie?

— Zerknął na zegarek. — Piętnasta trzydzieści. O siedemnastej wróćcie do kompanii. Mogę wam to uroczysto przyrzec. Uwiniemy się prędko. Tak albo nie. W jedną stronę albo w drugą. I czołem, cześć! Może cygarko?

— Nie. Dziękuję, panie poruczniku.

— Inny oficer nie zaprosiłby sierżanta na główne siedzenie swojego wozu. Nie częstowałby podoficera cygarami. Ze mną rzecz ma się odwrotnie. Całkiem odwrotnie. Dobrze pamiętam, że pracowałem w fabryce galanterii skórzanej. Wiecie, sierżancie, co jest najgrubszym błędem niemieckiej armii? To, że wszyscy zapominają, iż dawniej byli cywilami i że po wojnie wrócą do cywila. Mamy samych Cezarów i Bismarcków. Ze mną rzecz ma się odwrotnie. Całkiem odwrotnie. Wszelkie gładko, po prostu. Kawa na lawę. Robisz ze mną interes, bracie? Fajno! I ja robię z tobą interes.

Nim wóz sztabowy stanął przed ratuszem, gdzie w piwnicy czekał zamknięty Francuz, Christian wyrobił sobie zdanie o poruczniku SS nazwiskiem Reichburger. Miał go za skończonego osła, któremu nie należałoby powierzyć śledztwa w sprawie kradzieży wiecznego pióra.

Porucznik wyskoczył z samochodu i uśmiechając się wciąż wszedł dziarsko na schody brzydkiej budowli z szarego kamienia. Christian pośpieszył za nim do skąpo umeblowanego pokoju o zdumiewająco brudnych ścianach. Jedyną ozdobą (nie licząc pisarza i trzech obitych pluszem kawiarnianych krzeseł) była tam karykatura nagiego Winstona Churchilla przyklepiona do grubej tektury i służąca esesmanom za tarczę do gry w strzałki.

— Siadajcie! Siadajcie! — Reichburger wskazał krzeselko okrągłym gestem. — Trzeba dbać o wygodę. Koniecznie. Nie zapominajcie, sierżancie, że niedawno zostaliście ranni.

— Tak jest, panie poruczniku.

Christian usiadł sztywno. Był zły na siebie. Dlaczego powiedział porucznikowi, że łatwo pozna tamtych Francuzów? Brzydził się esesmanem. Wolałby nie mieć z nim nic do czynienia.

— To wasza pierwsza rana? — zapytał Reichburger ze słodziutkim uśmiechem.

— Nie, panie poruczniku. Druga lub raczej trzecia. W czterdziestym roku pod Paryżem kula drasnęła mnie w głowę. Później w Afryce lepiej mi się dostało.

— Trzy razy ranny! — Porucznik spoważniał na moment. — Szczęściarz! Na pewno nie zginiecie. Macie to wypisane na czole. Widzicie, ja jestem fatalistą chociaż wcale na fatalistę nie wyglądam. Co? Jedni rodzą się, żeby zbierać rany, innym śmierć z góry przeznaczona. Mnie nic się dotychczas nie stało, ale wiem, że nie doczekam końca wojny. Taki już ze mnie typ. — Rozeźmiał się i wzruszył ramionami. — Toteż bawię się, póki można. Widzicie, mieszkam u kucharki najlepszej chyba we Francji. Aha. Nawiasem mówiąc, to fajna baba i ma dwie całkiem fajne siostry. — Zachichotał, zrobił do Christiana oko. — Pisana mi kula trafi człowieka zadowolonego z życia, sytego. Rozumiecie, sierżancie?

Drzwi otworzyły się i szeregowiec SS wprowadził mężczyznę w kajdankach. Francuz był wysoki, ogorzały. Z jakim takim powodzeniem udawał, że się nie boi. Ręce miał skute za plecami. Stanął sztywno koło drzwi. Z widocznym wysiłkiem ściągnął drżące wargi w grymas lekceważenia.

Porucznik spojrział nań czule.

— *Monsieur*, nie będziemy pana długo absorbować — przemówił chropowatą francuszczyzną i zwrócił się do Christiana. — To on, sierżancie?

Diestl zmierzył okiem więźnia, ten zaś odpowiedział wymownym spojrzeniem. Oddychał głęboko. Twarz miał nieruchomą. Widać było, że strach walczy z nim ze źle maskowaną nienawiścią. Christian poczuł uderzającą do głowy falę gniewu. Na tej gębie wypisana była nie tylko tępota i odwaga, ale również cała historia podstępnego, złośliwego uporu Francuzów: drwiąca cisza w przedziałach wagonów, pogardliwy, stłumiony śmiech odprowadzający Niemca, który wychodzi z kawiarni, bezczelne „1918” nagryzmołone kredą na murze kościelnym pierwszej nocy w Paryżu... Francuz gapi się na Diestla. Wargi wykrzywia cierpkim grymasem, lecz nawet w tej sytuacji oziębły śmiech czai się w kącikach jego ust. Christian miałby szczerą ochotę uderzyć w te usta kolbą karabinu, wybić żółte, wyszczerzone zęby. Później wspomniał przyjaciela. Rozsądny, uczciwy Behr chciał współpracować z takimi jak ten ludźmi. Dzisiaj leży na cmentarzu, a Francuz żyje jeszcze, uśmiecha się, triumfuje...

— Tak jest, panie poruczniku — powiedział Christian. — Poznaję go.

— Jak to? — zaprotestował głupio więzień. — Jak to? Chyba ten oficer oszalał!

Porucznik przyskoczył do Francuza i pięścią wymierzył mu błyskawiczny cios w szczękę. Trudno było podejrzewać, że to pulchne, nalane ciało kryje w sobie tyle zwinności i siły.

— Drogi przyjacielu — odezwał się słodziutko — bądź łaskaw odpowiadać jedynie na pytania.

Więzień miał jak gdyby zdziwioną minę. Przygryzał skaleczone wargi. Ssał kropelki krwi.

— A więc sprawa załatwiona — podjął esesman po francusku. — Wczoraj przed wieczorem poderżnąłeś gardło niemieckiemu żołnierzowi. Stało się to na plaży, o sześć kilometrów na północ od tego miasteczka.

— Prze... przepraszam... Proszę... — wybelkotał nieprzytomnie Francuz.

— Obecnie pragniemy się dowiedzieć od ciebie tylko jednego. — Reichburger zrobił efektowną pauzę. — Nazwiska twojego kamrata.

— Bardzo przepraszam — powiedział więzień. — Mogę dowieść, że całe wczorajsze popołudnie spędziłem w domu.

— Oczywiście. Oczywiście — uśmiechnął się porucznik. — Możesz dowieść wszystkiego. Możesz zbierać podpisy z szybkością stu na godzinę. Ale to nas nie interesuje.

— Bardzo przepraszam, ja...

— Interesuje nas wyłącznie jedno — przerwał esesman. — Nazwisko człowieka, który był z tobą, kiedy zlałeś z roweru, by zarzącić bezbronno go żołnierza.

— Bardzo przepraszam, ja nawet nie mam roweru.

Oficer skinął na szeregowca SS, a ten dosyć niedbale przywiązał Francuza do jednego z kawiarnianych krzeseł. »

— Bądźmy ze sobą szczerzy — podjął porucznik. — Przyrzekłem panu sierżantowi, że przed kolacją wróci do swojej kompanii. Obietnicy tej chcę dotrzymać. A tobie przyrzekam, że gorzko pożałujesz, jeżeli zaraz nie powiesz mi wszystkiego!

— Ja nawet nie mam roweru — powtórzył więzień.

Porucznik odszedł na chwilę i z szufłady biurka wydobyl cęgi. Zamykając i otwierając je z metalicznym szcękaniem, zbliżył się wolno do krzesła, na którym siedział przywiązany Francuz. Nareszcie stanął za nim, nachylił się i chwyciwszy lewą ręką prawą dłoń więźnia, szybkim, wprawnym ruchem zerwał paznokiec z kciuka.

Christian nie słyszał nigdy podobnego wrzasku.

— Jak już mówiłem — podjął Reichburger stojąc wciąż za więźniem — chcę, żebyśmy byli ze sobą szczerzy. Niemców czeka jeszcze długa wojna, a marnowanie czasu to najgorszy wróg zwycięstwa.

— Prze... przepraszam... Proszę... — jęczał Francuz.

Esesman nachylił się powtórnie. Znowu rozległ się przeraźliwy krzyk. Oprawca miał minę obojętną, niemal znudzoną, jak gdyby stał przy maszynie w fabryce galanterii skórzanej w Regensburgu.

Więzień pochylił się naprzód. Zwisnął na krępujących go powrozach. Nie stracił jednak przytomności.

— Drogi przyjacielu — zaczął porucznik okrążając krzesło. — To drobne formalności wstępne. Dzięki nim zrozumiesz zapewne, że sprawę traktujemy serio. Może zechcesz łaskawie wymienić nazwisko kamrata? Słucham. — Stał teraz naprzeciw ofiary.

— Nie wiem... Nie wiem... — charczał Francuz. Pot zlewał mu twarz wyrażającą już tylko mękę.

Christian patrzył jak urzeczony. Robiło mu się nieswojo, słabo. Nie mógł słuchać rozdzierających krzyków w dusznym, małym pokoju ozdobionym wiszącą na brudnej ścianie karykaturą Winstona Churchilla, nagiego i bardzo podobnego do wieprza.

— Zaraz zrobię coś, co może ci się wydać nie do wiary — ciągnął Reichburger trochę głośniejszym głosem, jak gdyby tortury więźnia zbudowały mur trudny do przebicia. — Powiedziałem już, że chcę być z toba



szczerzy, i mam zamiar tego dowieść. Brak mi cierpliwości na przewlekłe badania. Szybko przeskakuję ze szczebla na szczebel. Uprowadziłem z góry, że możesz mi nie uwierzyć na słowo, ale jeżeli nie wymienisz nazwiska kamrata, wylupię ci prawe oko. Tak, drogi przyjacielu, za minutę, w tym pokoju, własnoręcznie... Słucham?

Odruchowo Francuz przymknął powieki. Z jego zeschniętych ust dobyło się głuche rżenie.

— Nie... Nie... To potworna omyłka... Nie wiem... Nic nie wiem... — szepnął i dodał z obłąkańczą logiką: — Ja nawet nie mam roweru.

— Sierzancie! Nie jesteście mi potrzebni — rzucił oficer przez ramię. — Możecie odejść.

— Dziękuję, panie poruczniku — powiedział Christian drżącym głosem.

Wyszedł i starannie zamknawszy za sobą drzwi, oparł się plecami o ścianę korytarza. Opodał stał szeregowiec SS z karabinem. Twarz miał zupełnie pozbawioną wyrazu.

Minęło trzydzieści sekund. Potem rozległ się przerażający ryk. Diestl poczuł tysiące mrówek na grzbiecie. Zawirowało mu w głowie. Serce skoczyło do gardła. Zamknął oczy. Mocno przywarł do muru.

Wiedział oczywiście, że takie rzeczy zdarzają się niekiedy. Nie mógł jednak uwierzyć, by działy się tutaj, w pogodne słoneczne popołudnie, w zwyczajnym, brudnym pokoju, ozdobionym karykaturą nagiego grubasa z czerwonym zadkiem, w zapadłej prowincjonalnej dziurze, okno w okno ze sklepem spożywczym o wystawie przystrojonej zwojami kielbas...

Niebawem drzwi otworzyły się i wyszedł z nich uśmiechnięty porucznik.

— Jesteśmy w domu — oznajmił. — Grunt to szczerść. Nie znam lepszej metody. Poczekajcie no tutaj. Zaraz wracam. — Zniknął w sąsiednim pokoju.

Christian i esesman z karabinem stali na korytarzu. Szeregowiec zapalił papierosa, nie poczęstował jednak sierżanta. Z lubością wciągał dym, przysmykał oczy, próbował drzemać oparty o spękany kamienny mur starego ratusza. Dwaj uzbrojeni żołnierze wyszli z pokoju, w którym był obecnie porucznik. Pomaszzerowali ulicą w stronę krańców miasteczka. Za sąsiednimi drzwiami słychać było głuche mamrotanie, bolesny, szarpający nerwy szep, jak gdyby ktoś modlił się bez słów.

Po pięciu minutach dwaj uzbrojeni żołnierze przyprowadzili do ratusza cywila z gołą głową. Był niski, pękaty, łysy. Nerwowo strzelał

oczyma. Nie ulegało wątpliwości, że umiera z przerażenia. Konwojenci chwycili go za łokcie i wepchnęli do pokoju, gdzie czekał Reichburger. Wkrótce jeden z nich wrócił na korytarz.

— Porucznik woła pana sierżanta — oznajmił.

Diestl poszedł za nim wolno. W kancelarii mały, spasiony Francuz przycupnął na podłodze. Ścisnął głowę rękami. Płakał. Otaczająca go ciemna kałuża wskazywała, iż pęcherz zawiódł biedaka w godzinie próby. Porucznik siedział za biurkiem. Szybko wystukiwał list na maszynie. Pisarz sporządzał listę żołdu, a drugi konwojent stał koło okna i gapił się na młodą matkę z jasnowłosym niemowlęciem na rękę idącą do „Epicerie”.

Porucznik podniósł wzrok na Christiana. Ruchem głowy wskazał cywila siedzącego we własnej urynie na zakurzonych deskach podłogi.

Diestl ledwie na niego spojrział.

— Tak jest, panie poruczniku.

— Wyprowadzić — rozkazał oficer.

Uzbrojony żołnierz porzucił posterunek koło okna i zbliżył się do Francuza nieprzytomnie wpatzonego w Christiana. Szarpnął go za kołnierz i próbował postawić na nogi.

— Jak żyję, nie widziałem tego człowieka — jęknął cywil. — Bóg mi świadkiem, że nigdy...

Żołnierz wywlókl go na korytarz.

— W porządku — uśmiechnął się promiennie porucznik. — Sprawa załatwiona. Za pół godziny ostatecznie spadnie mi z głowy, bo gotowe papierki powędrują do pułkownika. A co z wami, sierżancie? Chcecie z miejsca wracać do kompanii czy przenocujecie u nas i przyjrzyjcie się egzekucji? Mamy pierwszorzędne kasyno podoficerskie. No, jak tam? Egzekucja jutro, punktualnie o szóstej.

— Wolałbym zostać, panie poruczniku.

— Ślicznie. Sierżant Decher urzęduje w sąsiednim pokoju. Powiedźcie mu, że z mojego rozkazu ma was wziąć pod opiekę. Jutro o piątej czterdzieści pięć rano zameldujecie się tutaj. Jasne?

Maszyna do pisania zaklekotała głośno.

— Rozkaz, panie poruczniku — powiedział Christian i wyszedł z kancelarii.

Miejsce straceń znajdowało się w podziemiach ratusza w długim, wilgotnym korytarzu oświetlonym parą silnych żarówek. Piwnica miała polepę z ubitej gliny, a w głębi pod ścianą sterczały dwa wkopane paliki. Koło nich stały dwie płytkie trumny ze świeżych desek

połyskujących w elektrycznym blasku. Pomieszczenie to spełniało również rolę więzienia, a więc na zapotniałych ścianach widać było słowa pożegnania ze światem gryzmolone przez skazańców kredą lub węglem.

Diestl stał za plecami szóstki żołnierzy z karabinami i machinalnie notował w pamięci napisy:

„NIE MA ŻADNEGO BOGA”

*f>Merde! Merde! Merde!”*

„Mam na imię Jacques. Mój ojciec miał na imię Raoul. Moja matka miała na imię Clarisse. Moja siostra miała na imię Simone. Mój stryj miał na imię Etienne. Mój syn...”

Nieznany pisarz nie zdążył widać dokończyć litanii.

Skazańcy — każdy między dwoma esesmanami — weszli niezdarnie, jak gdyby od bardzo dawna nie posługiwali się nogami. Na widok palików i trumien niski grubas zaskomlił płacząco, ale jednooki Francuz wyprostował się i chociaż nie odzyskał swobody ruchów, spróbował wykrzywić twarz wzdrgliwym grymasem.

„Prawie mu się udało” — pomyślał Christian przyglądając się żołnierzom, którzy sprawnie przywiązywali ofiary do słupków.

Sierżant prowadzący egzekucję rzucił pierwsze słowa komendy. W obskurnym lochu zabrzmiały one dziwnie, przesadnie, jak na paradzie wojskowej.

— Nigdy! — krzyknął jednooki Francuz z za przekrwionych bandaży. — Nigdy, skurwysyny!...

Salwa przerwała rozpoczęte zdanie. Niski grubas padł na twarz, bo kule przerwały kłępujące go więzy. Sierżant wystąpił naprzód i szybko uporał się z *coup de grace*. Dwukrotnie wystrzelił z rewolweru mierząc najprzód w głowę małego Francuza, później jednookiego. Zapach prochu stłumił na chwilę inne piwniczne fetory.

Na znak porucznika Christian wdrapał się za nim ną schody i wyszedł w szary zamglony brzask. W uszach dudniło mu echo karabinowej salwy.

— No, jak tam? — zapytał Reichburger uśmiechając się blade.

— W porządku — odparł Christian. — nie takie rzeczy widywałem.

— Pewnie... Pewnie... Jedliście już co?

— Nie, panie poruczniku.

— Chodźcie ze mną. Kwateruję o pięć domów stąd. Śniadanie czeka.

Szli ramię w ramię bez słowa. Gęsta nadmorska mgła tłumila dźwięki ich kroków.

— Ten pierwszy — odezwał się oficer — z jednym okiem, bardzo nie lubił Niemców i niemieckiej armii, co?

— Bardzo nie lubił, panie poruczniku. <sup>1</sup>

— Fajno, żeśmy się go pozbyli.

— Tak jest, panie poruczniku.

Reichburger przystanął, spojrzął w twarz Christiana.

— To wcale nie tamci ludzie, prawda? — zapyta! z ledwie dostrzegalnym uśmiechem.

Christian zawahał się na moment.

— Otwarcie mówiąc, panie poruczniku, nie wiem.

— Inteligentny z was facet. — Esesman uśmiechnął się szerzej i podjął swobodnym tonem: — Skutek jest jednakowy. Przekonujemy drani, że sprawy traktujemy całkiem serio. — Klepnął sierżanta po ramieniu. — No, idźcie teraz do kuchni i powiedzcie Renee, że ma wam dać prima śniadanko, takie samo jak mnie. Znacie na tyle francuski, żeby dać sobie radę, co?

— Znam, panie poruczniku.

— Doskonale! — Na pożegnanie jeszcze raz klepnął Christiana po ramieniu i otworzył ciężkie, dębowe drzwi domu, w którego oknach stały gęsto doniczki pelargonii.

Sierżant zasalutował i powędrował w stronę kuchennego wejścia. Śniadanie było naprawdę dobre i obfite: jaja, kielbasa, kawa z prawdziwą śmietanką.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Dymy z rozbitych, płonących szybowców snuły się po chmurnym niebie na wschodzie. Ze wszystkich stron słychać było bezładny ogień broni małokalibrowej. Co chwila nadciągały nowe samoloty, nowe szybowce i kto żyw ostrzeliwał je z czego i jak popadło. Grzmiały działa przeciwlotnicze, karabiny maszynowe i ręczne. Christian widział nawet, jak kapitan Penschwitz stał na płocie i raz po raz walił z pistoletu do szybowca, który wylądował w rejonie kompanii na starej topoli i płonął między konarami, a jego pasażerowie skakali przez brezentowe burty i lecieli na ziemię wlokąc za sobą smugi ognia.

Od wielu godzin trwał nieopisany zamęt. Wszyscy strzelali do wszystkich. Kapitan Penschwitz uległ panice i na czele kompanii pomaszerował szosą trzy kilometry w stronę morza. Tam został ostrzelany i stracił ośmiu ludzi, zawrócił więc i wycofał się tą samą drogą, a jego podkomendni przepadali w ciemnościach, kryli się w zabudowaniach przydrożnych farm. O siódmej rano nerwowo wartownik przy stanowiskach baterii przeciwlotniczej zastrzelił kapitana Penschwitza. Kompania zaczęła topnieć jeszcze szybciej. Wreszcie Christian skorzystał z chwilowej ciszy i zebrał niedobitków za omszałym kamiennym murem starej obory, wśród stada dużych czarno-białych krów, podejrzliwie przyglądających się intruzom. Doliczył się dwunastu szeregowych i ani jednego oficera.

„Ładna historia — myślał Diestl, ponuro gapiąc się na krowy. — Po pięciu godzinach walki kompania nie istnieje. Jeżeli reszta armii wygląda podobnie, wojna skończy się do obiadu.”

Ale dochodzące z dala odgłosy wskazywały, że reszta armii jest w nieco lepszej formie. Słychać było ciągle, mniej więcej zorganizowany ogień piechoty. Głęboki bas działa odzywał się w regularnych odstępach.

Christian spojrzął posepnie na niedobitków kompanii. Uprzytomnił sobie, że są do niczego. Jeden zaczął okopywać się z własnej inicjatywy. Inni poszli skwapliwie za jego przykładem. Gorączkowo drążyli doły pod murem. Pięciu lub sześciu tkwiło już w nich po biodra. Nad dołami piętrzyła się pulchna, przesiąknięta gnojówką ziemia, świeżo wydobyta z krowiej grodzi.

Christian widział zbyt wielu ludzi opanowanych strachem, by ludzić się co do możliwości tej bandy. W porównaniu z nią Heims, Richter, Dehn i inni podkomendni z Włoch wydawali się bohaterami pierwszej wody. Przez chwilę kusila go myśl, by zostawić to bydło na pastwę losu, samemu zaś wymknąć się chyłkiem i poszukać innej kompanii jako tako zdatnej do boju. Rychło jednak zmienił zdanie. „Będą dziś walczyć — pomyślał gniewnie — choćbym miał ich prowadzić z pistoletem w garści.”

Podszedł do najbliższego dołka, gdzie kopacz zgięty wpół mocował się z korzeniem odkrytym na dwie stopy pod ziemią. Christian kopnął go i żołnierz zarył twarzą w błoto.

— Jazda! Wyłazić z nor! — krzyknął Diestl. — Nie będziecie tu gnić i czekać, aż Amerykanie was zafasują. Prędkiej! Ruszać się!

Potężnie kopnął w żebra drugiego szeregowca, który stał w najgłębszym dole i zajęty kopaniem nic nie słyszał. Żołnierz westchnął i nie patrząc na sierżanta wygramolił się na powierzchnię ziemi.

— Ty pójdziesz ze mną — zwrócił się do niego Christian. — A reszta niech siedzi tu spokojnie i coś przetrąci. Nieprędko zdarzy się wam druga sposobność do jedzenia. Zaraz wracam.

Pchnął przed sobą żołnierza i wymijając białych, sztywno stojących ludzi i obojętne krowy, ruszył w stronę starego domu.

Drzwi kuchenne były zamknięte. Christian załomotał w nie ręką ręką pistoletu. Towarzyszący mu żołnierz, Buschfelder, zląkł się i wzдрыgnął nerwowo.

„Kiepsko — pomyślał sierżant patrząc nań spod oka. — Zupełnie z nami kiepsko.”

Drugi raz puścił w ruch ręką ręką pistoletu. We wnętrzu domu zgrzytnął rygiel. Drzwi uchyliły się i na progu stanęła niska, okrągła starszka odziana w wypłowiały zielony fartuch. Była bezzębna. Cienkie, spierzchnięte wargi ledwie rysowały się na pomarszczonej twarzy.

— Nie zrobiliśmy nic złego — zaczęła — i...

Christian odsunął ją na bok. Buschfelder żywo pośpieszył za nim. Był ogromny, barczysty. Wypełnił całą kuchnię, kiedy z karabinem

gotowym do strzału ustawił się przy piecu. Diestl spojrzął dokoła. Izba była ciasna, pociemniała od dymu i sędziwego wieku. Dwa wielkie czarne karaluchy wspinały się mozolnie po wystygłych kaflach. Na parapacie okiennym leżała oselka masła owinięta w liść kapuściany, a na stole duży bochenek chleba.

— Bierz chleb i masło — rozkazał Christian Buschfelderowi i po francusku zwrócił się do kobiety: — Matko, potrzebny nam alkohol. Wszystko, co macie w domu: wino, calvados, marc... Jeżeli ukryjecie jedną kroplę, spalimy chałupę i pozarzynamy krowy.

Staruszka patrzyła, jak Buschfelder zgarnia masło. Usta jej drżały niemym protestem. Zwróciła się jednak do Christiana, bo on *zagadnął* ją pierwszy.

— To barbarzyńska grabież — powiedziała. — Doniosę o was panu majorowi. Pan major dobrze zna naszą rodzinę. Córka posługuje u niego i...

Diestl przerwał jej szorstko:

— Wszystkie trunki, matko! Zaraz! — Groźnie podniósł pistolet. Kobieta odeszła w róg kuchni i dźwignęła klapę w podłodze.

— Alois! — krzyknęła, a głos jej zadudnił w piwnicy głuchym echem. — Przyszli żołnierze. Dopominają się o trunki. Wynieś calvados. Wszystko, co tam jest. Inaczej pozarzynamy nam krowy.

Christian spojrzął przez okno, żeby ukryć uśmiech. Wszyscy jego podkomendni stali na krowiej grodzi dokoła dwóch nieznanomych żołnierzy, którzy nie mieli broni i opowiadali coś żywo gestykulując.

Piwniczne schodki zaskrzypiały pod krokami i Alois wywindował do kuchni dwulitrową kamionkę. Miał przeszło sześćdziesiątkę. Był sękaty i chudy od długoletniej pracy na normandzkiej roli. Ciężka kamionka drżała w jego szerokich, poczerniałych dłoniach.

— Ma pan — powiedział. — Calvados z najlepszych jabłek. Niczego wam nie żalujemy.

— Bardzo ładnie z waszej strony — odparł Christian. — Dziękuję.

— Dziękować dziękuję — burknęła gniewnie starucha — a o zapłacie ani słowa.

— Cóż — Diestl roześmiał się ubawiony groteskową sceną — poślijcie rachunek waszemu przyjacielowi, panu majorowi. No, idziemy! — Dotknął ramienia Buschfeldera, ten zaś ruszył rażno w stronę drzwi.

Strzały broni maszynowej i ręcznej terkotały teraz znacznie bliżej. Słychać było pomruki nisko lecących samolotów.

— Co się dzieje? — Przestraszony Alois wysunął głowę ze szpary uchylonych drzwi. — Czy to inwazja?

— Kie — odrzekł Christian piastujący troskliwie calvados. — Ma-newry.

— A nasze krowy, panie oficerze? — zawołał za nim farmer. — Gdzie je najlepiej ukryć?

Christian nie odpowiedział staremu. Zatrzymał się dopiero pod omszałą ścianą obory i postawił kamionkę na ziemi.

— Do mnie! — powiedział. — Coś wam przyniosłem. Pijcie chłopaki, ile wlezie, i niech każdy napełni manierkę. Za dziesięć minut będziecie gotowi bić się z całym pułkiem. Nie żałujcie sobie. Za pomyślność niemieckiej ojczyzny!

Dwaj nowo przybyli byli ostatni w kolejce. Chciwie ciągnęli mocny trunek. Oczy mieli przekrwione, rozlatane. Drżącymi rękami rozlewali calvados, aż ciekł im po brodach.

— A wam co się stało? — zapytał sierżant, gdy wreszcie ustawili kamionkę na miejscu.

Niepewnie patrzyli jeden na drugiego, ale nie odpowiadali.

Wyreczył ich podwładny Christiana, Stauch, który stojąc obok sierżanta, ogryzał łakomie sporą bryłkę masła i ssał manierkę pełną calvadosu, aby splukać tłuszcz z gardła.

— Byli stąd o niecałe dwa kilometry — powiedział. — Cały batalion. Zostało ich tylko dwóch. Zaskoczenie. Amerykańscy spadochroniarze, panie sierżancie. Nie biorą jeńców. Zabijają każdego, kto im podleci. Wszyscy są dokładnie pijani. Mają czołgi i ciężką artylerię... — Głos Staucha drżał i chrypiał, z trudem przenikał masło i jabłeczny samogon. — Jest ich tysiące. Tysiące! Mocno siedli wzdłuż całego wybrzeża. Zorganizowany opór ustał.

Dwaj szczęśliwie ocaleni z batalionu z zapalem przyświadczyli kiwając głowami. Niespokojny wzrok przenosili raz po raz z Diestla na Staucha i z powrotem.

— Oni powiadają — ciągnął Stauch — że i my jesteśmy tutaj odcięci. Z dowództwa dywizji przedostał się jeden łącznik. Mówi, że tam nikt nie żyje. Amerykanie zastrzelili generała, a dwóch pułkowników zadźgali nożami. Potem...

— Stul pysk! — rzucił Christian pod adresem Staucha i zwrócił się do zbiegów: A wy, jazda stąd! Ale to już!

— Dokąd, panie sierżancie? — zaskomlał jeden. — Spadochroniarze są wszędzie i...

— Jazda stąd! Ale to już! — powtórzył Diestl głośniejszym głosem, klnąc w duchu zły los, który kazał jego drużynie spędzić pięć minut w towarzystwie tej dwójki. — Jeżeli za minutę nie znikniecie, każę



otworzyć do was ogień. Zrozumiano? A jak was drugi raz spotkam, pójdziecie pod sąd wojenny za dezercję. To znaczy kula w łeb. Zrozumiano?

— Panie sierżancie...

— Macie jedną minutę! Jazda!

Półprzymotnie spojrzeli dokoła i zaczęli oddalać się ciężkim truchtem. Strach dodawał im widać sił, bo biegli coraz szybciej, póki nie zginęli z oczu za żywopłotem otaczającym sąsiednie pole.

Christian pociągnął długi łyk calvadosu. Był mocny, źle oczyszczony i okropnie piekł w gardle. Ale po chwili sierżant poczuł dziwną ufność i wiarę we własne siły. Spod półprzymkniętych powiek obserwował bacznie swoją drużynę i myślał: „Będziecie się bić, skurwysyny, jak cała kompania doborowej gwardii!”

— No, chłopaki, łyknąć mi jeszcze raz, nim pójdziemy w taniec! — zawołał.

Wszyscy wypili jednocześnie i z Christianem na czele ruszyli kolumnienką. Posuwali się rowami wzdłuż żywopłotów oddzielających pola, w kierunku bezładnej strzelaniny, która wzmagala się na wschodzie.

Przez dziesięć minut maszerowali prędko, przystając tylko u granic pól lub na skrajach wąskich dróg wytyczonych żywopłotami. Wówczas Diestl albo któryś z żołnierzy wyglądał na drugą stronę, a upewniwszy się, że nic nie grozi, ruchem ręki przyzywał resztę. Wszyscy zachowywali się bez zarzutu. Byli czujni, żwawi. Otrząsnęli się ze strachu i przemęczenia. Szybko reagowali na rozkazy. Bez szemrania narażali życie i nie strzelali na oślep, nawet w chwili gdy seria z karabinu maszynowego posiekała drzewa nad ich głowami.

„Jak dotąd, calvados robi swoje — myślał Diestl z posępną satysfakcją. — Może dowództwo pułku jeszcze istnieje? Może uda mi się doprowadzić ich tam za godzinę? Kto wie? Jeżeli niedługo trafią do zorganizowanego oddziału, pod komendę oficerów, mogą dziś uczciwie zarobić na żołąd, umundurowanie i wyżywienie.”

W tej chwili pech zaczął działać. Karabin maszynowy, dobrze zamaskowany w rogu pola za gęstym żywopłotem, otworzył ogień. Nim drużyna znalazła jaką taką osłonę, miała dwóch rannych. Jeden z nich, niski posępny jegomość w średnim wieku dostał w szczękę. Cały dół twarzy zmienił mu się w bezkształtną miazgę. Biedak gulgotał rozpaczliwie, broniąc się przed uduszeniem własną krwią. Christian sam nałożył gruby opatrunek, ale ranny krwawił tak obficie, że niewiele można mu było pomóc.

— Siedźcie tutaj — rozkazał Diestl dwóm rannym. — Jesteście pierwszorzędnie ukryci. My odnajdziemy pułk i natychmiast przyślemy wam pomoc. — Był pewien, że żadnego z nich nie zobaczy póki życia, starał się jednak o ton buńczuczny, pelen wiary we własne słowa.

Żołnierz ranny w szczękę chlipał błagalnie przez nasiąknięte krwią bandażę, lecz sierżant przestał się nim interesować i ruchem ręki rozkazał drużynie, by maszerowała dalej. Mimo to nikt się nie poruszył.

— Naprzód! — rzucił surowo Christian. — Im prędzej wyruszymy, tym łatwiej będzie nam się przebić. Jeżeli wolicie zgnić w tym rowie...

— Posłuchaj pan, sierżancie — powiedział Stauch skulony w wysokiej trawie. — Nie bujajmy się nawzajem. Jesteśmy odcięci. Nie mamy żadnej szansy. Dokoła pęta się cała dywizja tych cholernych spadochroniarzy, a my siedzimy w samym środku. No i ci dwaj wykitują, jak nie dostaną zaraz pomocy. Chcesz pan, to zatknę białą szmatę na karabin, na ochotnika wyleżę za ten żywopłot, pogadam o warunkach poddania i... — Zająknął się; nie śmiał spojrzeć sierżantowi w oczy.

Diestl przebiegł wzrokiem drużynę. Blade twarze wychylające się nieśmiało nad skraj rowu świadczyły niezbicie, że chwilowe męstwo, zacerpnięte z kamionki calvadosu, ulotniło się bezpowrotnie.

— Pierwszy, co wylezie za ten żywopłot, ma zapewnione jedno — odparł spokojnie sierżant. Własnoręcznie strzelę mu w łeb. Słucham dalszych dobrych rad?

Nikt się nie odezwał.

— Musimy odnaleźć dowództwo pułku — podjął Christian. — Stauch! Na czoło! Ja pójdę ostatni. Będę miał całe towarzystwo na oku. Posuwać się rowami, po tej stronie żywopłotu. Iść chyłkiem i szybko. Zrozumiano? Naprzód!

Ze schmeisserem w pogotowiu przyglądał się dziesięciu podkomendnym, którzy jeden po drugim wychodzili z rowu. Kiedy sam ruszał, ranny w szczękę pochlipywał jeszcze, lecz znacznie ciszej i z nieregularnymi przerwami.

Pochód odbywał się bez przeszkód. Dwa razy niemieckie czołgi przemknęły z chrzęstem gąsienic. Pędziły w stronę morza, co było pocieszającym objawem. Raz jeep z trzema Amerykanami ukazał się i zniknął pośród zabudowań farmy. Christian czuł, że jego ludzie drżą z pragnienia, by uciekać na oślep lub położyć się, płakać, umrzeć, wyzwolić się wreszcie. Pod żywopłotem w rogu pola dwie krowy wypatroszone przez pociski działowe zadzierały w górę sztywne nogi.

Oszalały ze strachu koń cwałował gospodarską drogą, stawał, rozglądał się błędnie i galopował z powrotem; jego kopyta dudniły glucho po twardej, ujeżdżonej glinie. Tu i ówdzie leżeli Niemcy i Amerykanie, tak jak ich śmierć zaskoczyła. Z układu zwłok i kierunku, w jakim trzymały broń, niepodobna było wywnioskować, którędy przebiegała przerwana linia i jak toczyła się walka.

Od czasu do czasu pociski artyleryjskie chichotały nad głowami. Ogień broni małokalibrowej odzywał się ze wszystkich stron. Na jakimś polu pięciu Amerykanów, którym nie otwarły się spadochrony, wytyczyło linię niemal idealnie prostą. Od siły uderzenia zaryli w ziemię, aż popękały pasy, szelki i troki; ekwipunek leżał dokoła trupów, jak gdyby przygotowany do inspekcji.

Nagle Stauch zatrzymał się przy końcu rowu i z odległości trzydziestu metrów zaczął dawać znaki ostrzegawcze. Christian zgięty we dwoje wyprzedził biegiem drużynę, kiedy zaś ukląkł koło Staucha, ten wskazał ręką lukę w żywopłocie. O dwadzieścia kroków dwaj spadochroniarze próbowali uwolnić trzeciego, który zahaczył o drzewo i dyndał nogami o sześć stóp nad ziemią. Diestl puścił dwie krótkie serie i skosił stojących na ziemi nieprzyjaciół. Jeden podparł się łokciem, lecz po następnej serii odwrócił się na wznak i legł nieruchomo. Przerażony wisielec z całych sił, lecz bez skutku, tarosił linki spadochronu. Diestl słyszał dokładnie, że skulony za nim Stauch sapie i raz po raz głośno oblizuje usta. Rozkazał, by trzej żołnierze szli za nim, i na ich czele zbliżył się do drzewa, z którego spadochroniarz patrzył w dół na martwe ciała towarzyszy.

— No, Sammy, jak ci się spodobała Francja? — zapytał Christian z uśmiechem.

— Nie najgorzej, frajerze...

Miał twarz boksera: szeroką, energiczną, o złamanym nosie i chłodnych, czujnych oczach. Przestał szamotać się z linkami. Wisiał bezwładnie. Patrzył na Niemca.

— Coś ci proponuję, szkopie — odezwał się po chwili. — Odetnij mnie, a zaprowadzę do niewoli ciebie i twoje wojsko.

„Ach, gdybym dziś miał kilku takich zamiast mojego bydła!”<sup>N</sup>

— pomyślał Christian i zastrzelił Amerykanina.

Uśmiechnął się i poglądził nogę nieboszczyka gestem, którego znaczenia sam nie pojmował. Było w nim trochę podziwu, trochę współczucia i drwiącej ironii. Potem wrócił do czekającej drużyny. „Ha, jeżeli wszyscy są podobni do tego, trudno będzie dać sobie radę” — smutno dumal po drodze.

O piątej rano spotka) pułkownika wycofującego się na wschód z niedobitkami pułku. Przed południem żołnierze musieli dwukrotnie walczyć, ale trzymali się razem i szli naprzód, bo pułkownik zna) żołnierskie rzemiosło. Podkomendni Diestla spisywali się nie lepiej i nie gorzej od innych. Do wieczora czterej z nich polegli, a Stauch zastrzelił się, bo nie chciał zostać przy drodze, kiedy pociski cekaemu zdruzgotaly mu goleń. W każdym razie wszyscy zachowywali się poprawnie i chociaż w pierwszym dniu inwazji nie brakowało sposobności, nikt nie trafił do niewoli.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

— Jeszcze w Tulsie, jakem chodził do szkoły, koledzy przezywali mnie „Ogier” — mówił Fahnstock między jednym a drugim stuknięciem młotka. — Od trzynastego roku życia mało co mnie obchodziło, tylko dziewczuchy. Gdybym przygruchał w mieście jaką Angielkę, nawet tutaj byłoby mi niezgorzej.

Bez pośpiechu wybił gwóźdź ze spróchniałej deski i rzucił do stojącej obok blaszanki. Potem strzyknął obficie czarnym sokiem tytoniowym z prymki, która zdawała się stanowić nierozłączną część jego jamy ustnej.

Michael wydobyl z tylnej kieszeni kombinezonu półlitrowkę dzinu i pociągnął długi łyk. Potem nie częstując kolegi schował flaszkę. Fahnstock urzynał się co sobota, lecz w ciągu tygodnia pijał dopiero po zajęciach. Trudno było proponować mu dzin o dziesiątej z rana. A zresztą Michael miał dosyć Fahnstocka. Od przeszło dwóch miesięcy byli razem w Zapasowej Kompanii Uzupelnień. Jednego dnia pracowali w kuchni, drugiego przy stosie starego drewna, gdzie wyjmowali i prostowali gwoździe. Komendant kuchni, antypatyczny sierżant, nie lubił ich, toteż dostawali zawsze najbrudniejszą robotę: szorowali wielkie, obrosłe tłuszczem kotły i czyścili paleniska po zakończeniu dnia pracy.

Michael przewidywał, że zarówno on, jak i Fahnstock — zbyt głupi, by robić coś innego — doczekają końca wojny, może nawet końca życia, między kuchnią a stosem starego drewna. Uprzymniwszy sobie tę groźbę, myślał zrazu o dezercji, wybrał jednak kompromis i poprzestał na dzinie. Było to niebezpieczne, gdyż w obozie obowiązywał rygor niemal więzienny i żołnierze otrzymywali długoletnie wyroki za przewinienia lżejsze niż pijaństwo podczas zajęć służbowych. Ale stały, ogłupiający przypływ alkoholicznego

optymizmu umożliwił jakie takie życie, a więc Whitacre chętnie ryzykował.

Wkrótce po zawarciu znajomości ze stosem starego drewna, napisał do pułkownika Pavone prosząc o przeniesienie, lecz nie dostał odpowiedzi, ostatnio zaś był zbyt przemęczony, by ponawiać prośby lub próbować innych dróg ucieczki.

— Najlepiej żyło mi się w wojsku — paplał Fahnstock — w koszarach Jeffersona pod Saint Louis. W takiej jednej knajpie przygadałem trzy siostry. Wszystkie pracowały w browarze na różnych zmianach. Jedna miała szesnaście lat, druga piętnaście, a trzecia czternaście. Rozumiesz, wiochny prosto z gór Ozark. Dopiero po paru miesiącach pracy w Saint Louis każda kupiła sobie pierwsze w życiu pończochy. Jak Boga kocham, płakałem, kiedy mój pułk odpływał do Europy.

— Słuchaj — odezwał się Michael stukając uważnie w gwóźdź.  
— Nie mógłbyś zmienić tematu rozmowy?

— Tak sobie tylko plotę, dla zabicia czasu — odburknął urażony „Ogier”.

— No, to zabijaj czas w inny sposób.

Obydwaj umilkli. Michael czuł żrące ciepło dżinu w przelyku i żołądku. Młotki zakolały szybciej.

Wkrótce dwaj więźniowie pod eskortą żandarma z karabinem przypchali taczki pełne starego drewna i zaczęli rzucać na stos połamane deski. Wszyscy ruszali się w zwolnionym tempie, jak gdyby nic ważnego nie miało ich czekać do końca dni.

— Żywiej... Żywiej — pomrukiwał od czasu do czasu żandarm. Stał wsparty niedbale na karabinie. Więźniowie nie zwracali nań uwagi.

— Whitacre — odezwał się po chwili. — Pokaż no butelkę.

Michael spochmurniał.

„Policjanci! — westchnął bez słów. — Zawsze i wszędzie jednakowi. Przymykają oczy i szantażują, jak się tylko trafi okazja.”

Wydobył flaszkę z kieszeni i podał natrętowi nie zapomniawszy o wytarciu szyjki. Potem zazdrośnie obserwował bardzo długi łyk.

— Pijam tylko w święta — wyjaśnił żandarm zwracając z uśmiechem resztę dżinu.

— A jakie mamy dziś święto? — burknął Michael. — Boże Narodzenie?

— Nic nie słyszałeś?

— O czym?

— Wylądowaliśmy dziś, Rozumiesz? „Dzień D”! Chyba cieszysz się, że jesteś tutaj?

— Skąd wiesz? — zapytał podejrzliwie Michael.

— Eisenhower kropnął przez radio mowę. Sam słyszałem. Gadał, że niesiemy wolność żabojadom.

— Już wczoraj poczułem pismo nosem — zabrał głos jeden z więźniów, drobny, posępny człeczyna, który dostał trzydzieści lat za pobicie oficera w kancelarii kompanijnej. — Przyszli do mnie, dranie, i zaproponowali, że mogę być ulaskawiony na honorowych warunkach, jeżeli wrócę do piechoty.

— I co ty na to? — rzucił zainteresowany Fahnstock.

— Że mam gdzieś ulaskawienie i nie chcę iść piechotą prosto na cmentarz wojskowy.

— Stul pysk — powiedział bez złości żandarm. — Brać no się za taczki. Whitacre, daj jeszcze! Warto oblać „Dzień D”!

— Nie mam nic do oblewania — burknął Michael chcąc ratować dżin.

— Jak to? Niewdzięcznik z ciebie! Siedzisz tutaj. Jest ci ciepło, miło, bezpiecznie. A mógłbyś leżeć na plaży z odłamkiem szrapnela w tyłku. Mówię ci, bracie, masz co oblewać. — Wyciągnął rękę i wziął niechętnie podaną flaszkę.

— Ten dżin kosztuje dwa funty — poskarżył się Michael.

— Śmierć frajerom!

Żandarm uśmiechnął się, lyknął tęgo. Więźniowie pochłaniali go zazdrosnym, łakomym wzrokiem. Michael odzyskał dżin i wypił również na cześć „Dnia D”\ Pod wpływem alkoholu ogarnęła go fala współczucia dla samego siebie. Chowając butelkę spoglądał zimno na więźniów.

— No, stary Roosevelt chyba ma dziś frajdę — odezwał się Fahnstock. — Nareszcie udało mu się wysłać na rzeź całą kupę Amerykanów.

— Pewnie — przyznał żandarm — zeskoczył ze swego fotela na kółkach i od rana tańczy po Białym Domu.

— Słyszałem — podjął Fahnstock — że tego dnia, kiedy wypowiedział wojnę Niemcom, urządził w Białym Domu pierwszorzędną bankiet. Były indyki i francuskie wina, a później generalna obłapka na stołach i biurkach.

Michael westchnął głęboko.

— Rzesza Niemiecka wypowiedziała wojnę Stanom Zjednoczonym — powiedział. — Mnie to gównem obchodzi, ale tak wygląda prawda.

— Whitacre to komunista z Nowego Jorku — wyjaśnił Fahnstock żandarmowi. — Przepada za Rooseveltem.

— Za nikim nie przepadam. Tylko wiem, że Niemcy i Włosi nam wypowiedzieli wojnę: dwa dni po Pearl Harbor.

— Niech oni rozstrzygną. — Fahnstock zwrócił się do więźniów i ich opiekuna: — Kto komu wypowiedział wojnę? Gadajcie, chłopcy!

— Jasne jak słońce — powiedział żandarm. — Myśmy zaczęli. Dobrze sobie przypominam.

— A co wy na to?

Obydwa więźniowie kiwnęli głowami.

— My wypowiedzieliśmy wojnę — zawyrokował człeczyna, któremu proponowano ulaskawienie na honorowych warunkach, jeżeli wróci do piechoty.

— Leżysz, Whitacre! Cztery do jednego! U nas większość decyduje — roześmiał się Fahnstock.

Michael zmierzył go nienawistnym, pijackim wzrokiem. Czuł, że nie zniesie dłużej tej przyszczatej, obleśnej zadowolonej gęby. „Nie dziś! Nie w taki dzień!” — pomyślał półprzytomnie i powiedział głośno, z naciskiem:

— Ty zakuty łbie! Skurwysynu! Przetrączę cię, jak jeszcze raz odemkniesz pysk!

Fahnstock ledwie widocznie poruszył wargami i strzyknął w twarz Michaela długą, brunatną strugą śliny z tytoniowym sokiem. Michael skoczył i dwa razy uderzył go w szczękę. Fahnstock upadł, ale po chwili był na nogach uzbrojony w gruby bal, z którego końca sterczały gwoździe. Wziął zamach, a Whitacre rzucił się do ucieczki. Żandarm i więźniowie ustąpili z drogi, aby dać wolne miejsce zapaśnikom.

Fahnstock był zwinny mimo porastającego go tłuszczu. Kilkoma susami dopadł Michaela i potężnie zdzielił w ramię. Michael poczuł szarpający ból, uskoczył na bok. Schylił się, chwycił kawałek deski, nim jednak zdążył stanąć prosto, przeciwnik uderzył ponownie. Gwoździe rozdarły skórę, mięśnie i oparły się tępo o kość policzkową. Wtedy Whitacre zadał cios. Deska trafiła w głowę. Fahnstock skurczył się, idąc bokiem zaczął okrążyć Michaela małym półkolem. Jeszcze raz podniósł bal, ale tak słabo, że Michael uskoczył, chociaż zalane krwią oko niełatwo oceniało odległości. Wyczekał, aż przeciwnik zamierzy się znowu, uderzył trzymając deskę na płask jak raketę do baseballa. Tym razem trafił w szyję i brodę. Fahnstock zwalił się na czworaki i został w tej pozycji, jak gdyby szukał czegoś w miłym piasku koło stosu drewna.



— Ładnie — pochwalili żandarm. — Wcale ciekawa walka. Hej, wy! — krzyknął do więźniów. — Posadźcie tego frajera.

Obydwaj zbliżyli się do Fahnstocka i oparli go plecami o skrzynię. Tępo patrzył przed siebie na pusty, zalany słońcem plac. Nogi miał wyprostowane, rozkraczone szeroko. Spał jak miech kowalski, ale nie zdradzał innych oznak życia.

Whitacre rzucił deskę i wyjął chustkę z kieszeni. Otarł twarz, spojrzął na czerwone, lepkie plamy.

„Ranny—pomyślał i uśmiechnął się krzywo.—Ranny w «Dzień D».”

Nagle żandarm spostrzegł oficera, który wyszedł z odległego o sto jardów baraku.

— Jazda! Ruszać się! — rzucił pod adresem więźniów i poradził życzliwie niedawnym zapaśnikom: — A wy bierzcie się lepiej do roboty. Idzie „Uśmiechnięty Jack”.

Żandarm i więźniowie oddalili się żwawo, a Michael spojrzął na nadchodzącego oficera, który zyskał przydomek „Uśmiechnięty Jack” dlatego, że nie uśmiechał się nigdy. Spojrzął i zaniepokoił się nie na żarty. Chwycił Fahnstocka za kołnierz, postawił na nogi i wcisnął mu młotek w rękę. Fahnstock zaczął odruchowo bębnić w kawałek drewna. Michael zebrał z ziemi kilka desek, ostentacyjnie przeniósł na drugą stronę stosu i tam ułożył starannie. Potem wrócił do Fahnstocka i odnalazł swój młotek. Kiedy oficer stanął nad nimi, obydwaj byli bardzo zajęci i robili wiele hałasu.

„Sąd wojenny — myślał posępnie Michael. — Pięć lat jak w banku. Pijaństwo w czasie służby. Bójka. Naruszenie dyscypliny,..”

— Co się tu wyprawia? — zapytał „Uśmiechnięty Jack”.

Michael przestał walić młotkiem. Fahnstock poszedł za jego przykładem. Obydwaj odwrócili się i spojrzeli na oficera.

— Nic, panie poruczniku — odpowiedział Michael jak najmniej otwierając usta, żeby nie zaleciało dżinem.

— Pobiliście się?

— Nie, panie poruczniku — zaprzeczył Fahnstock solidarny w obliczu wspólnego nieprzyjaciela.

— A skąd ta rana? — indagował dalej „Uśmiechnięty Jack” wskazując palcem na trzy równoległe krechy na policzku Whitacre'a.

— Pośliznąłem się, panie poruczniku — skłamał bezczelnie Michael.

Oficer przygryzł wargi, a Michaelowi zdawało się, że czyta jego myśli: „Wszyscy są tacy sami. Wszyscy próbują robić ze mnie durnia. W całej cholerniej armii nie ma ani jednego szeregowca, co nie żelze, jeżeli może.”

– Fahnstock! – zawołał „Uśmiechnięty Jack”

– Rozkaz, panie poruczniku.

– Czy ten szeregowiec mówi prawdę?

– Tak jest, panie poruczniku. Pośliznął się.

„Uśmiechnięty Jack” powiódł dokoła wzrokiem bezsilnej furii.

– No, niech się tylko dowiem, że to łgarstwa.., – Niedopowiedziana groźba zawisła w powietrzu. – Zresztą mniejsza o to... Whitacre! Przerwijcie robotę. W kancelarii jest dla was przeniesienie i rozkaz wyjazdu. Możecie zaraz dostać papiery.

Złym okiem spojrzął na podwładnych, a kiedy ci zasalutowali przepisowo, odwrócił się i odszedł. Michael patrzył na plecy wycofującego się, pokonanego wroga.

– Ty skurwysynu! – wybuchnął pó chwili Fahnstock. – Jak nawiniesz mi się pod rękę, zarżnę cię brzytwą. Rozumiesz?

– Miło mi było zawrzeć z panem znajomość – rzucił Whitacre swobodnym tonem salonowej konwersacji. – A niech łaskawy pan czyści teraz kotły, jak się patrzy, do polsku.

Rzucił młotek, pomacał tylną kieszeń, by upewnić się, że butelki nie widać i lekkim krokiem pośpieszył do kancelarii.

Niebawem szeregowiec Whitacre miał papiery w kieszeni, a na twarzy starannie zawinięty czysty bandaż, przystąpił więc do pakowania rzeczy. Otrzymał rozkaz, by niezwłocznie zameldował się u pułkownika Pavone, który zapotrzebował go imiennie i drogą służbową. Porządkując sorty mundurowe i ekwipunek, pociągał od czasu do czasu z butelki i postanawiał solennie, że nigdy nie będzie ryzykował, nigdzie nie zgłosi się na ochotnika, niczego nie potraktuje serio. „Nie zdechnąć. Przeżyć jakoś – myślał pośpiesznie. – Jak dotychczas niczego więcej nie nauczyłem się w wojsku.”

Następnego dnia rano odjechał do Londynu wojskową ciężarówką. W mijanych wioskach i miasteczkach cywile pokrzykiwali radośnie i układali palce w znak litery „V”, bo zdawało im się, że każdy amerykański samochód zmierza teraz prostą drogą do Francji. Michael i jego towarzysze podróży odpowiadali cynicznie na owacje: śmiali się, wymachiwali rękami, robili bohaterskie miny.

Niedaleko Londynu spotkali brytyjską kolumnę. Ciężarówki wiozły uzbrojonych piechurów. Na ostatniej widniało nagryzmołone kredą żalodne ostrzeżenie. „Uwaga, dziewczęta! Nie wiwatować! To tylko Anglicy!”

Żołnierze Jego Królewskiej Mości nie patrzyli nawet na amerykański wóz mijający ich pełnym gazem.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Bitwa rozgrywa się na wielu rozmaitych szczeblach. Przede wszystkim o jakieś osiemdziesiąt mil od głosu armat istnieje szczebel czysto abstrakcyjny. Naczelne Dowództwo, gdzie co rano odkurza się szafy z aktami, gdzie panuje atmosfera zorganizowanej, spokojnej pracy, a żołnierze, którzy nigdy nie strzelają i nigdy nie są celem — generałowie na kluczowych stanowiskach — siedzą w nieskazitelnie wyprasowanych mundurach i przygotowują sprawozdania, z których jasno wynika, iż zrobiono wszystko, co w ludzkiej mocy, resztę zaś zostawiono Opatrzności boskiej. Pan Bóg wstał wcześniej i wcześniej rozpoczął dzień roboczy. Beznamiętnym krytycznym wzrokiem ogląda okręty, ludzi tonących w wodzie, eksplozje dynamitu, precyzyjną robotę bombowców, liczne dowody męstwa i doświadczenia oficerów marynarki, żołnierzy wylatujących w powietrze na minach, fale spienione srogo przy zderzeniu z broniącymi wybrzeża stalowymi sztabami, lądowanie dział w wieżach pancerników. Pan Bóg ogląda również inny okazały pałac (daleko od burzliwego wiru na styku dwóch armii), gdzie tego ranka także odkurzano akta, gdzie nieprzyjacielscy generałowie w nieskazitelnie wyprasowanych mundurach patrzą na bardzo podobne mapy, studiują bardzo podobne meldunki i siłą ducha oraz bystrością umysłu współzawodniczą z odległymi o sto mil kolegami i przeciwnikami zarazem. W owych salonach i gabinetach wiszą ogromne mapy z oleatami, na których czarne i czerwone krechy obrazują płynną sytuację, a bitwę ujmuje się tam szybko w konkretne, formalne ramy. Na mapach zawsze działa jakiś plan. Jeśli Plan Nr I zawiedzie, można odwołać się do Planu Nr II, a gdy ten spełni przewidywania tylko częściowo, wprowadzi się z góry przygotowane poprawki do Planu Nr III. Wszyscy generałowie uczyli się z tych samych podręczników w West Point, Spandau i Sandhurst. Wielu jest

autorami książek. Wszyscy czytali nawzajem swoje dzieła. Wszyscy wiedzą, co Cezar uczynił w podobnej sytuacji, jaki błąd popełnił Napoleon we Włoszech i czemu Ludendorff nie wykorzystał przezwyciężenia frontu w tysiąc dziewięćset piętnastym roku. Wszyscy — po obydwu stronach Kanału — mają nadzieję, że rozwój sytuacji nie sięgnie krytycznego punktu, kiedy trzeba powiedzieć ostatecznie TAK lub NIE, które rozstrzygnie los bitwy albo nawet przyszłość narodu. Myśl o tym TAK lub NIE pozbawia generałów ostatniej drobiny męstwa, gdyż człowiekowi, co je wypowie, grozić może klęska, hańba, utrata ciężko zapracowanej opinii i odarcie z zaszczytów do końca życia. A więc generałowie siedzą w swoich kwaterach głównych, bardzo podobnych do biur General Motors czy I.G.Farben we Frankfurcie, gdzie również są stenografistki i maszynistki, a ha korytarzach odbywają się flirty. Patrzą na mapy, studiują meldunki i modlą się, by Plan Nr I i Plan Nr II, i Plan Nr III działały tak, jak miały działać według zgodnej opinii wszystkich osobistości, które mają coś do powiedzenia przy Grosvenor Square lub Wilhelmstrasse. Jeżeli zaś mają nastąpić jakieś zmiany, niech będą drobne, nieważne, możliwe do wprowadzenia na miejscu przez aktorów ze sceny.

Aktorzy ze sceny oglądają całą historię na innym szczeblu. Nikt ich nie pytał, jak najdogodniej odizolować pole bitwy ani ile czasu ma trwać wstępne bombardowanie z powietrza. Meteorologowie nie informowali ich o zmianach odpływów i przypływów w miesiącu czerwcem ani o możliwości sztormów w tym okresie. Aktorzy ze sceny nie uczestniczyli w konferencjach, na których debatowano, ile dywizji opłaci się stracić, by do godziny 16 posunąć się o milę w głąb lądu i uchwycić pierwszą linię przejściową. Na barkach desantowych nie ma szaf z aktami ani stenotypistek i flirtów, ani map, na których poczynania jednostki pomnożone przez dwa miliony przybierają postać jasnych, uzasadnionych, prostych symboli, odpowiednich dla komunikatów wojennych i przyszłych historyków.

Aktorzy ze sceny oglądają hełmy, rzygowiny, zielone fale, wybuchy pocisków, dym, krew, podwodne przeszkody, kraksy samolotów, działa, blade, otępiałe twarze, bezładny tłum uganiających się po plaży i padających żołnierzy, a wszystko to nie ma najmniejszego związku z niczym, czego uczono ich od dnia, gdy porzucili pracę i żony, aby wdziać mundur obrońców swojej ojczyzny. Generał, oddalony o osiemdziesiąt mil, zasluchany w echa głosów Cezara, Clausewitza i Napoleona, jest zdania, że bitwa przebiega zgodnie lub prawie zgodnie z planem. Ale dla aktora ze sceny sprawy idą zawsze na opak.

— O, Boże! — jęczy, gdy w „Godzinie H + 2” o milę od wybrzeża pocisk trafia w barkę desantową i ranni zaczynają wrzeszczeć na śliskich pokładach; — Wszystko przepadło! O, Boże!

Generalowie w Naczelnym Dowództwie sądzą, że meldunki o stratach brzmią zachęcająco. Aktorowi ze sceny straty nigdy nie przedstawiają się zachęcająco. Kiedy najbliższy sąsiad pada ciężko ranny, kiedy o pięćdziesiąt stóp wylatuje w powietrze okręt, kiedy na mostku kapitańskim młody kadet marynarki wzywa matki cienkim, dziewczęcym głosem, bo nie ma już nic niżej pasa — wówczas aktor ze sceny dostrzega jedynie sieć potwornych przypadków. Nie może uwierzyć, że gdzieś, daleko, o osiemdziesiąt mil istnieje człowiek, który te wypadki przewidział, obmyślił, przygotował, a gdy się wydarzyły, melduje, iż działania rozwijają się zgodnie z planem, chociaż musi przecież wiedzieć o pocisku, o tonącej barce, o mokrych, śliskich pokładach i wzywającym matki kadecie marynarki.

— O, Boże! — jęczy aktor ze sceny, gdy czołg-amfibia pogrąża się w falach, a z jego wnętrza wypływa z krzykiem tylko jeden człowiek, albo nie wypływa nikt.

— O, Boże! — jęczy, gdy uprzytamnia sobie, że dopiero co stał na niczyjej, dziwnie wykręconej nodze leżącej teraz koło jego twarzy.

— O, Boże! — jęczy na rampie barki desantowej, gdy seria z karabinu maszynowego kosi dwunastu biegnących przed nim kolegów i ranni kłębią się rozpaczliwie w głębokiej na dwie stopy zimnej wodzie.

— O, Boże! — jęczy szukając wzrokiem lejów, którymi (jak mu obiecywano) lotnictwo miało upstrzyć plażę, a gdy ich nie znajduje, kryje twarz w piasku i czeka, aż pocisk moździerza cicho spleynie na niego.

— O, Boże! — jęczy, gdy przyjaciel, którego poznał i pokochał w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku w Fort Benning (stan Georgia), wylatuje na minie i zawisa pośród drutów kolczastych, a plecy ma rozprute od karku do lędźwi.

— O, Boże! — jęczy aktor ze sceny — wszystko przepadło! O, Boże!

O czwartej po południu barka desantowa kołysała się jeszcze na falach. Koło południa szalupa sanitarna zabrała rannych opatrzonych starannie i po transfuzji krwi. Noe patrzył z zawiścią na nieruchome, owinięte kocami kształty, które na noszach niknęły za burtą. Ci

wracali. Wracali na zawsze. Za dziesięć godzin mogą znaleźć się w Anglii, za dziesięć dni w Stanach. Szczęściarze! Nigdy nie będą musieli wojować.

Ale szalupa została trafiona, nim odplynęła sto stóp. Coś chlupnęło w jej pobliżu i zrazu nic się nie stało. Potem szalupa zrobiła przechył na burtę, odwróciła się wolno i pokazała kil. Koce, bandaże, nosze zawirowały w mętnej zielonej wodzie. Po dwóch minutach wszystko zniknęło. Pośród rannych był Donnelly z odłamkami szrapnela w czaszce. Przez chwilę Noe wypatrywał go w spienionych falach, nie dojrzał jednak niczego. „Szkolili go, szkolili — pomyślał smętnie — i co z tego? Nie użyje w boju miotacza płomieni.”

Colclough był niewidzialny. Od rana siedział w kabinie. Na pokładzie zjawili się tylko porucznik Green i porucznik Sorenson. Green, drobny, szczupły młodzieniec, robił wrażenie dzieciucha. Przez cały okres szkolenia kompania podrywiwała z jego drobnego kroczonego i głosu o dziewczęcym brzmieniu. Teraz jednak porucznik Green chodził między rannymi cierpiącymi na chorobę morską i zdrowymi, co spodziewali się śmierci w każdej chwili. Był pogodny, zaradny. Pomagał przy nakładaniu opatrunków i transfuzjach krwi. Wszystkim dowodził, iż barka nie zatoni, gdyż marynarze kończą naprawę silników, że za kwadrans będzie po lądowaniu. Biegał swoim drobnym kroczonego i mówił ani grubszym, ani bardziej męskim głosem, lecz Noe miał wrażenie, że gdyby na pokładzie zabrakło porucznika Greena (który przed wojną miał sklep z pasmanterią gdzieś w Południowej Karolinie), do drugiej po południu za burtę wyskoczyłoby pięćdziesiąt procent kompanii.

Niepodobna było osądzić, jak rozwija się sytuacja na plaży. Burnecker puścił nawet w kurs dowcip na ten temat. Przez cały długi ranek, za każdym razem gdy pocisk eksplodował w pobliżu, ścisłał mocno ramię Noego i powtarzał matowym, chrypliwym głosem: „Kłapa z nami... Kłapa z nami!” Ale koło południa wziął się jakoś w garść, przestał wymiotować, a kiedy zjadł żelazną porcję i poskarżył się, że ser jest wyschnięty, odzyskał dobrą minę. Widocznie pogodził się z okrutnym losem albo nabrał wiary w lepszą przyszłość. Noe wyjrzał przez burtę na plażę, gdzie padały pociski, wybuchały miny i ludzie biegali bezładnie we wszystkie strony. Po chwili rzucił retoryczne pytanie:

— No, jak tam sprawy wyglądają?

— Nie wiem — odpowiedział Burnecker. — Gazeciarz nie przyniósł mi jeszcze porannego wydania „New York Timesa”.

Nie był to dowcip szczególnie błyskotliwy, ale Noe wybuchnął niepohamowanym śmiechem, a Burnecker uśmiechnął się zadowolony z wywołanego efektu. Od tej pory powiedzonko przyjęło się w kompanii i przez długi czas — nawet w głębi Niemiec — na pytanie: „Jak sprawy wyglądają?“, padała zwykle odpowiedź: „Nie wiem. Gazeciarsz nie przyniósł mi jeszcze «Timesa».”

Długo potem Noe próbował nieraz wspominać, jak się czuł pod padającymi tu i ówdzie pociskami, gdy barka o pokładach śliskich od krwi i słonej wody kołysała się zdana na łaskę fal. Ale długie godziny mijaly w szarej, lepkiej mgie podświadomości i w pamięci pozostały po nich tylko oderwane, mało ważne wrażenia: dowcip Burneckera, sylwetka porucznika Greena, gdy schylony nad rannymi z upiornym komizmem podstawia im własny hełm, aby biedak miał w co wymiotować, czerwony, rozindyczony oficer marynarki, dowódca barki, wychylony za burtę i oglądający świeże uszkodzenie z miną baseballisty, którego sfaulował krótkowzroczny partner, Donnelly, nieprzytomny, z białą obandażowaną głową i twarzą pozbawioną wszelkiej zawziętości, łagodną teraz i skupioną niby twarz mniszki z filmu. Ackerman widział wyraźnie te zewnętrzne obrazy i pamiętał, że sam po dziesięć razy na godzinę sprawdzał, czy jego ładunki dynamitowe nie zamokły, albo patrzył co chwila na bezpiecznik karabinu, aby zaraz o tym zapomnieć i znów patrzeć. Od czasu do czasu nadciągała fala strachu. Wtedy drętwiał, tulił się do burty, zaciskał zęby i o niczym nie mógł myśleć. Potem przychodziło zobojętnienie. Niepodobna było uwierzyć, że bierze się w tym wszystkim udział, strach więc mijał, bo przecież nie można ponieść szwanku w bitwie, której się nie jest uczestnikiem. Raz Noe sięgnął do portfelu i przez długi czas gapił się na fotografię uśmiechniętej Hope z tłustym niemowlęciem na rękę. Dziecko ziewało, miało otwartą buzię...

W okresach wolnych od strachu myśli wędrowały samopas, jak gdyby Noe nudził się; we wspomnieniach szukał ulgi i rozrywki, niby uczeń, co w klasie marzy o słonecznym czerwcowym dniu i sennym brzęczeniu owadów. Przed tygodniem w obozie przejściowym niedaleko Southampton kapitan Colclough wygłosił mowę... Przed tygodniem! Czy to możliwe?... Pachnące majem uroczę sady, trzy obfite posiłki na dzień, baryłka piwa w namiocie kantyny, okryte kwiatem gałązki nad czołgami i działami, i każdego dnia dwa filmy... *Madame Curie*... Greer Garson wystrojona, ucharakteryzowana na wielką damę, uparcie szuka radu... Albo Betsy Grabie wyczynia Bóg wie co gołymi nogami, aż miga ekran falujący za każdym razem, gdy wiatr

wdziera się do namiotu. Wszystko dla morale piechoty. Wszystko! — Żołnierze! — W ciągu swojego przemówienia kapitan Colclough powtórzył ten wyraz *dwadzieścia* razy. — Nadszedł dzień próby. Jesteście wyszkoleni nie gorzej niż jakakolwiek armia na świecie. Na francuskich plażach staniecie lepiej uzbrojeni, lepiej wyćwiczeni, lepiej przygotowani od hołoty, z którą przyjdzie się wam spotkać. Pełna przewaga będzie po waszej stronie. Grę rozstrzygnie odwaga wasza lub wroga. Żołnierze! Niedługo pójdziecie w bój i będziecie zabijać szwabów. Pamiętajcie! W tej chwili wolno wam myśleć tylko o jednej sprawie — o zabijaniu szwabów. Żołnierze! Niektórzy z was zostaną ranni, niektórzy polegną. Nie zamierzam owijać prawdy w bawełnę. Nie zamierzam cukrzyć gorzkiej pigułki. Prawdopodobnie wielu was polegnie. — Colclough mówił wolno, ze smakoszostwem. — Żołnierze! Dlatego właśnie znaleźliście się w wojsku. Dlatego właśnie jesteście tutaj. Dlatego właśnie wylądujecie na wybrzeżach Francji. Jeżeli nie przywykliście jeszcze do tej myśli, czas, abyście się z nią oswoiili. Nie chcę racyzować was patriotycznym przemówieniem. Niektórzy z was muszą zginąć, ale musicie też wytłuc kupę Niemców. Jeżeli ktokolwiek — odszukał wzrokiem Noego i przywarł do niego lodowatym spojrzeniem — jeżeli ktokolwiek myśli migać się i zaniedbywać żołnierskie obowiązki dla ratowania własnej skóry, niech pamięta, że ja będę z wami i osobiście dopilnuję, by każdy należycie spełniał swoje zadanie. Nasza kompania, do stu tysięcy diabłów! musi być najlepszą kompanią w dywizji. Żołnierze! Przynależę do 1 przyczepienia dotrzymam. Po czekającej nas bitwie mam nadzieję zostać majorem, ale to wy, żołnierze, musicie zdobyć dla mnie awans. Ja pracowałem dla was, teraz wy popracujecie dla mnie. Jestem pewien, że spasionym dupkom z propagandy, opiekunom waszego morale, co wysiadują stolki w Waszyngtonie, nie poszlaby w smak moja mowa. Do dziś dnia oni robili swoje, a ja się nie wtrącałem. Szpikowali was stosami parszywych broszur, podniosłych uczu i piłeczek do pingponga. A ja nic. Stałem z boku i patrzyłem. Pozwalałem im gadać do was jak do osesków, dawać słodkie „ciuciu” żołnierzynom, pudrować im pupcie talkiem i tłumaczyć, że będą żyć wiecznie pod troskliwą opieką mamy-armii. Żołnierze! Teraz koniec ze spasionymi dupkami z propagandy! Słuchać macie tylko mnie. Tylko mnie i nikogo więcej! Żołnierze! zapamiętajcie obowiązującą was od dzisiaj ewangelię, która brzmi: Nasza kompania ma ukatrupić więcej szwabów niż jakakolwiek inna kompania w dywizji, a czwartego lipca nasz dowódca ma dostać awans na majora. Żołnierze! Rozumiem, że to



może oznaczać straty cięższe niż w innych oddziałach, ale nic nie poradzę i dodam tylko: Chłopcy! Kapelan zaopiekuje się wami, a do Europy nie jedziecie przecież na wycieczkę turystyczną i oglądanie zabytków! Sierzancie! Dajcie: rozejść się!

— Baczość! — ryknął szef. — Rozejść się!\*

Od rana nikt nie widział kapitana Colclougha. Może już poległ? Może pod pokładem komponował świeżą mowę z okazji przybycia do Francji? Tylko porucznik Green (który jak żyje nie wygłosił mowy) lał sulfonamid w rany, okrywał kocami zmarłych, uśmiechał się do żywych i przypominał im co chwila, aby chronili broń przed wodą.

Wreszcie o pół do piątej załodze udało się puścić w ruch silniki i jak wróżył porucznik Green, w kwadrans później barka desantowa przybiła do brzegu. Plaża sprawiała wrażenie miejsca bezpiecznego, ożywionego zorganizowanym ruchem. Ludzie uwijali, się po niej setkami. Wyładowywali amunicję, układali w stopy skrzynki z żywnością, przynosili rannych, okopywali się na noc pośród bezładnie rozrzuconych szczątków barek desantowych, spychaczy i dział połowych. Ogień broni małokalibrowej słychać było daleko za wydmą oddzielającą plażę od głębi łądu. Od czasu do czasu padał pocisk artyleryjski lub wybuchała mina, nie ulegało jednak wątpliwości, że pas nadbrzeżny został mocno uchwycony.

Kapitan Colclough ukazał się na pokładzie, kiedy barka zaryła dziobem w piasek. U pasa miał pistolet kaliber 0,45 ozdobiony masą perłową i umieszczony w futerale z wytłaczanej skóry. Był to prezent od żony. Dowódca nie taił tego przed kompanią i oręż ów nosił z fantazją, nisko na udzie, niczym szeryf z okładki powieściidla o Dzikim Zachodzie.

Brodzący w wodzie kapral saperów wymachiwał rękami i wskazywał zatłoczoną plażę obsadzie barki. Widać było, że jest zmęczony, ale czuje się dobrze i swobodnie, jak gdyby znaczną część życia spędził na francuskim wybrzeżu pod ogniem artylerii i broni maszynowej.

Rampa z boku statku opadła (działała tylko jedna, bo drugą uszkodziły pociski) i Colclough zaczął sprowadzać na łąd swoich ludzi. Dotarł do końca rampy, który zarył się w miękkim piasku i raz po raz nikał pod trzema stopami spienionej wody. Nagle kapitan stanął, zastylł z nogą wzniesioną w górę. Po chwili cofnął się żywo.

— Tędy, panie kapitanie — zawołał kapral saperów.

— Tam leży mina — odpowiedział Colclough. — Niech ci ludzie — wskazał ręką drużynę saperów, którzy spychaczem torowali drogę przez nadbrzeżne diuny — przyjdą tutaj i oczyszczą teren.

— Nie ma żadnejminy, panie kapitanie — odburknął kapral.

— Nie rozumiecie, kapralu?! — wrzasnął Colclough. — Mówię wyraźnie, że na własne oczy widziałem minę.

Porucznik marynarki, dowódca barki, utorował sobie drogę na koniec rampy.

— Kapitanie — mówił zirytowany — proszę wyladowywać wojsko. Za dziesięć minut odbijamy. Nie myślę nocować na plaży. A grozi mi to, jak pan będzie marudził.

— Przy końcu rampy leży mina — oznajmił kategorycznie kapitan.

— Panie kapitanie — podjął saper. — Trzy kompanie lądowały dokładnie w tym miejscu. Nikt jakoś nie wyleciał.

— Daję wam rozkaz! — wybuchnął Colclough. — Niech wasi ludzie przyjdą tu i oczyszczą teren. Zrozumiano?

— Tak jest, panie kapitanie. — Kapral odszedł w stronę spychacza mijając po drodze szesnaście trupów porządnie ułożonych w szeregu i owiniętych kocami.

— Jeżeli nie wyladuje się pan zaraz — powiedział porucznik marynarki — Stany Zjednoczone stracą nieodwołalnie jedną barkę desantową wraz z załogą.

— Poruczniku — odparł chłodno Colclough. — Pilnuj pan własnych spraw. Ja sam przypilnuję swoich.

— Za dziesięć minut odpływam z panem i całą pańską zasraną kompanią — groził porucznik pnąc się rampą w górę. — Na ład będziecie mogli dostać się tylko wplaw.

— O pańskim zachowaniu złożę właściwy meldunek drogą służbową — odpowiedział z godnością Colclough.

— Dziesięć minut! Powtarzam! — rzucił przez ramię marynarz zajmując posterunek na mocno uszkodzonym mostku.

Na rampie tłoczyli się ustawieni rzędem żołnierze. Przystępowali z nogi na nogę, zerkali spod oka na mętną, zielonkawą wodę, w której wirowały porzucone pasy ratunkowe, drewniane skrzynki na amunicję do broni maszynowej i kartony po żelaznych porcjach. Porucznik Green zatrzymał się mniej więcej w połowie rampy.

— Panie kapitanie — powiedział dyszkantem — chętnie pójdę pierwszy. Skoro saper twierdzi, że min nie ma... Eee... Potem chłopcy mogą iść moim śladem i...

— Nie chcę stracić na plaży ani jednego człowieka — przerwał mu Colclough. — Proszę czekać i nie wtrącać się w moje sprawy.

Delikatnym, lecz stanowczym gestem dotknął masy perłowej na ręczce pistoletu. W tej chwili Noe spostrzegł skórkowe frędzelki zdobiące kaburę, która pasowałaby świetnie do kowbojskiego stroju, jaki mali chłopcy dostają na gwiazdkę.

Przez plażę wracał szybko kapral saperów. Towarzyszył mu porucznik, wysoki, barczysty mężczyzna z gołą głową i bez broni. Miał ogorzałą od wiatru, czerwoną, spoconą twarz. Ogromne, czarne od brudu łapy wychylały się z podwiniętych rękawów kombinezonu. Nie wyglądał na żołnierza. Raczej sprawiał wrażenie majstra dozorującego robotników drogowych.

— Śmiało, kapitanie! — zawołał. — Na brzeg! Na brzeg!

— Tam leży mina — powiedział Colclough. — Niech najpierw pańscy ludzie oczyszczą teren.

— Nie ma żadnejminy.

— Widziałem na własne oczy — powtórzył kapitan.

Żołnierze niechętnie słuchali tych targów. Stali o krok od lądu, chcieli więc jak najprędzej wydostać się z barki, która przez cały dzień była świadkiem ich męki, obecnie zaś chwiała się, trzeszczała za każdym uderzeniem fal i nadal stanowiła dogodny cel. Tak blisko rysowały się piaszczyste wydmy, leje po bombach, stopy wylądowanego zaopatrzenia i sprzętu. Plaża sprawiała wrażenie nieporównanie bardziej pewne, zorganizowane i przytulne niż cokolwiek, co kołysze się na morzu i podlega rozkazom Marynarki Wojennej. Żołnierze patrzyli tępo na plecy dowódcy. Nienawidzili go coraz serdeczniej.

Porucznik saperów chciał coś powiedzieć, rozchylił nawet wargi, lecz nagle zobaczył pistolet o ręczce z masy perłowej i kaburę ze skórzanymi frędzelkami. Zamknął więc usta i uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie. Potem bez słowa, bez zmiany wyrazu twarzy wszedł w wodę, tak jak był: w butach i spinaczach. Nie zważał na fale sięgające mu chwilami bioder. Krok za krokiem chodził ciężko przy końcu rampy i po obydwu jej stronach, aż zdeptał każdy cal, na który można było stąpić przy lądowaniu. Wreszcie nie spoglądając nawet na Colclougha odwrócił się i przygarbiony trochę z przemęczenia odszedł do swoich saperów, którzy spychaczem szturmowali wielki blok betonowy umocniony stalowymi szynami.

Kapitan odwrócił się raptownie, lecz nie przyłapał uśmiechu na niczyjej twarzy, odwrócił się więc znowu i z godnością, choć ostrożnie stąpił na francuską ziemię. Żołnierze jeden za drugim poszli jego

śladem przez zimną morską wodę i pływające wokół śmiecie, które zostawił pierwszy dzień wielkiej bitwy o kontynent europejski.

Tego wieczora kompania nie wzięła udziału w walkach. Żołnierze okopali się, zjedli żelazne porcje (cielęca konserwa, suchary i witaminowa czekolada, a wszystko to pachnące fabryką, twarde i bardziej oślizłe niż naturalny pokarm) i uporali się z czyszczeniem broni. Później z minami weteranów i uczuciem pobłażliwej wyższości obserwowali lądowanie nowych oddziałów do przesady wrażliwych naminy i pociski działowe. Colclough wyruszył na poszukiwanie dowództwa pułku, które *znajdowało* się gdzieś w głębi lądu, ale nikt nie wiedział dokładnie gdzie.

Noc była zimna i ciemna. Mżył deszcz przy silnym wietrze. O zmroku Niemcy rozpoczęli atak z powietrza. Działa stojących na redzie okrętów i rozmieszczone na plażach baterie przeciwlotnicze otwały ogień. Wielobarwne smugi stali kreśliły czarną kopułę niebios. Spadające odłamki głucho stukwały o piasek. Noe kulil się i raz po raz zadawał sobie pytanie, czy bezpośrednio niebezpieczeństwo przestanie kiedyś grozić jego życiu.

O świcie kapitan wrócił z pułku i zarządził pobudkę. Wieczorem zabłądził w ciemnościach i szukając kompanii wałęsał się po plaży tam i z powrotem, póki nie został ostrzelany przez czujny posterunek przy biwaku łączności. Wówczas dalszą przechadzkę uznał za zbyt wielkie ryzyko, okopał się i doczekał brzasku, w którego światło przestały mu zagrażać kule własnych podkomendnych. Był wynędzniały, zmęczony, lecz rozkazy wykrzykiwał z szybkością karabinu maszynowego i rozwiniętą w luźnym szyku kompanię prowadził śmiało na wydmy oddzielającą nadbrzeżne pola od plaży.

Noe zdążył się już przeziębnić. Co chwila kichał i obficie smarkał. Miał na sobie zimową wełnianą bieliznę, dwie pary grubych skarpet, sukieny mundur polowy oraz impregnowany kombinezon. Mimo to jednak przemarznięty do szpiku kości brodził w mialkim piasku mijając rozprute, poczerniałe od dymu niemieckie bunkry, nie porzeczane trupy w szarzielonych mundurach i uszkodzone nieprzyjacielskie działa, jeszcze zwrócone w stronę morza.

Wyprzedzające kompanię ciężarówka i jeepy'z przyczepami pełnymi amunicji buksowały w piasku lub skakały na wybojach. Świeżo przybyły pluton czołgów piął się pod górę, groźny i niezwyknięty. Ludzie z posterunków Regulacji Ruchu wymachiwali rękami, saperzy budowali drogi, spychacze równały teren pod przyszłe lotnisko. Sanitarne jeepy z rannymi na ustawionych w poprzek noszach sunęły

między białymi taśmami, co wytyczały przejścia przez pola minowe, w stronę wysuniętych punktów opatrunkowych rozmieszczonych na plaży pod osłoną wydmy. Na rozległym polu zrytym lejami po bombach i pociskach odbywał się błyskawiczny pogrzeb zabitych Amerykanówf. Cała ta krzątanina i czynny, dobrze zorganizowany nieład przypominały Noemu dzień, gdy jako mały chłopiec gapił się w Chicago na cyrk wędrowny śpiesznie rozstawiający namioty, klatki ze zwierzętami i mieszkalne furgony.

Szeregowiec Ackerman stanął wreszcie na grzbiecie wydmy i odwrócił głowę, aby utrwalić w pamięci obraz plaży. Kiedy wróci do domu, Hope będzie ciekawa, jak to właściwie wyglądało — Hope, a także jej stary. Pobieżne szkicowanie przyszłych opowiadań w jakiś daleki, piękny, niewojenny dzień budziło nadzieję, że taki dzień nadejdzie. Były żołnierz — żywy, cały, ubrany w miękki flanelowy garnitur i błękitną koszulę — zasiądzie wtedy nad szklaneczką piwa w przyjemnym cieniu morwy i w pogodne letnie popołudnie będzie zanudzać krewnych i przyjaciół przewlekłym weterańskim bajaniem o latach Wielkiej Wojny.

Plaża, zarzucona nadprodukcją amerykańskich fabryk metalurgicznych, wyglądała jak składnica złomu w kraju olbrzymów. Na bliskiej redzie, tuż za starymi trampami zatapianymi właśnie jako falochrony, stały niszczyciele i ostrzeliwały jakiś cel w głębi ładu.

Burnecker przystanął obok Noego.

— To się nazywa wojować z fasonem — powiedział. — Prawdziwe łóżka. Prawdziwa kawa w mesie. Po śniadanku szanowni panowie zechcą łaskawie otworzyć ogień. Oj, Ackerman, Ackerman! Gdybyśmy mieli choć krztę oleju we łbach, wstąpilibyśmy do marynarki.

— Nie zatrzymywać się! Nie zatrzymywać! Naprzód! Naprzód! — warczał po sierżancku Rickett, którego głosu nie zmieniły i zmienić nie mogły podróże morskie ani widok ran i śmierci.

— Wybrałbym tego typu, gdybym miał zostać z kimś we dwójkę na bezludnej wyspie — szepnął Burnecker.

— Słusznie — przyznał Noe.

Odwrócili się i tracąc z oczu wybrzeże ciężko ruszyli przeciwstokiem.

Po półgodzinnym marszu okazało się jasno, że Colclough znów pobleździł. Zatrzymał kompanię na skrzyżowaniu dróg, gdzie dwaj żandarmi wykopali głęboką jamę i regulowali ruch wychylając nad poziom ziemi tylko hełmy i ramiona. Kapitan gestykułował gniewnie i ryczał na żandarmów, ci zaś kręcili tylko głowami dając do zro-

zumienia, że o niczym nie mają pojęcia. Następnie Colclough rozłożył mapę i zaczął wymyślać porucznikowi Greenowi, który nadbiegł na pomoc. Wszystko to Noe obserwował z przyzwoitej odległości.

— Takie już nasze szczęście — mruknął Burnecker. — Mamy wodza, który nie umiałby znaleźć konia w sali balowej.

— Na miejsce! — rozległ się wrzask kapitana. — Na miejsce, Green! Sam wiem, co robić!

Skręcił w bok, a kompania powoli weszła za nim między wysokie, bujne zieleniejące żywopłoty. W gęstwinie było ciemniej i zaciszniej, chociaż armaty grały nieustannie, a ludzie spod oka zerkali ku płataninie gałęzi i liści, jak gdyby stworzonej na zasadzkę. W milczeniu posuwali się rzędami po obydwu stronach błotnistej drogi i trwożnie słuchali, czy podejrzany szelest, chrzęst karabinowego zamka albo głos Niemca nie zakłóci miarowego szurania nóg towarzyszącego piechocie tak samo przed wiekami, jak tego dnia, kiedy buty grzęzły z młaskaniem w ciężkiej glinie.

Wreszcie dróżka wyprowadziła oddział na otwartą przestrzeń, a że w tej samej chwili słońce przebiło chmury, żołnierze poczuli się raźniej. Na środku pola stał staroświecki wóz farmerski zaprzęgnięty w rosłego, kudłatego konia. Opodal stara kobieta siedziała na stołeczku i przy pomocy bosej dziewczyny w skupieniu doila krowę. Metodycznie, fachowo pociągała za wymię błyszczącej, jak gdyby dopiero co wyczyszczonej holenderki. W górze chichotały pociski, od czasu do czasu nerwowo zagrzechotał karabin maszynowy, lecz starowina ani razu nie podniosła wzroku. Jej towarzyszka, ubrana w zielony znoszony sweter, wyglądała na szesnaście lat. Miała we włosach czerwoną wstążkę i żywo interesowała się żołnierzami.

— Chętnie zostałbym tutaj — odezwał się Burnecker — i pomógł trochę babkom w gospodarstwie. A ty, Ackerman, dónosiłbyś mi, jak leci wojna, co?

— Naprzód, dzielny wojaku — odpowiedział Noe. — Dopiero podczas następnej wojny wszyscy trafimy do zaopatrzenia.

— Zakochałem się w tej dziewczusce — podjął Burnecker. — Przypomniała mi Iowę. Ackerman, gadasz trochę po francusku?

— *A votre santel* Nic więcej nie potrafiej.

— *A votre santel* — krzyknął Burnecker uśmiechając się do dziewczyny i wymachując karabinem. — *A votre sanie*, mała! — Uszanowanie twojej babci!

Francuzka uśmiechnęła się i również przesłała ręką pozdrowienie.

— Szaleje za mną — ucieszył się Burnecker. — Co jej powiedziałem?

— Twoje zdrowie.

— Do diabła! Zbyt oficjalna formułka. Wolałbym coś bardziej od serca.

— *Je t'adore* — wygrzebał Noe z ech pokutujących w pamięci.

— Co to znaczy?

— Uwielbiam cię.

— Lepiej. Znacznie lepiej.

Byli już przy krańcu pola. Burnecker zdjął hełm i złożył niski, szarmancki ukłon metalowym garnkiem, który w jego sękatej, farmerskiej lapie wydawał się lekki i kruchy.

— Ach, moja mała! — zawołał z rozkochaną i bardzo serio miną.

— *Je t'adore! Je t'adore! Je t'adore!*

Dziewczyna roześmiała się i zamachała ręką.

— *Je t'adore, mon Americain!* — odkrzyknęła.

— Francja to najwspanialszy kraj pod słońcem -- entuzjazmował się Burnecker.

— Naprzód! Naprzód, namiętny karaluchu — przynaglił go Rickett i pchnął między łopatki kościstym kciukiem.

— Czekaj na mnie! — ryczał Burnecker nad zielonym polem i gładkimi grzbietami krów tak bardzo podobnych do bydła w jego ojczystej Iowie. — Czekaj na mnie, mała! Nie wiem, jak się to mówi po francusku, ale na pewno wrócę!

Stara Francuzka nie podniosła wzroku, lecz wyciągnęła rękę i zamazyście zdzieliła dziewczynę przez pośladki. Dźwięk tęgiego klapsa słychać było aż przy końcu pola. Dziewczyna spuściła oczy, wybuchnęła płaczem, a później ukryła się za wozem i zasłoniła twarz rękami.

Burnecker westchnął. Nakrył głowę hełmem i przez dziurę w żywo płocie skoczył na następne pole.

W trzy godziny później Colclough odnalazł dowództwo pułku i po trzydziestu minutach nawiązał styczność z nieprzyjacielem. Nim minęło dalsze sześć godzin pokazał, co potrafi, gdyż udało mu się doprowadzić do tego, że został otoczony.

Stara farma, w której broniły się niedobitki kompanii kapitana Colclougha, była chyba budowana z myślą o oblężeniach. Miała grube kamienne ściany, wąskie okna, łupkowy dach odporny na płomień, pułap wsparty na belkowaniu z potężnych bali, pompę w kuchni i obszerną, głęboką piwnicę, gdzie rannym absolutnie nic nie groziło.

W podobnych warunkach można było opierać się długo nawet artylerii. Niemcy nie mieli jednak broni cięższej jak moździerz, toteż Amerykanie — trzydziestu pięciu wycofało się do tej twierdzy — ufali na razie własnym siłom. Strzelali z okien krótkimi, nerwowymi seriami, mierząc do sylwetek, co przemykały niekiedy pośród żywo-plotów i zabudowań otaczających dom mieszkalny.

W piwnicy paliła się świeca a pośród baryłek z jabłecznikiem leżeli czterej ranni i jeden zabity. Rodzina właściciela farmy schroniła się pod ziemię po pierwszych wystrzałach. Siedziała teraz na jakichś skrzynkach i z niemym podziwem gapiła się na cierpiących ludzi, co przyjechali z tak daleka, aby ginąć za ich ojczyznę. Był tam pięćdziesięcioletni chłop utykający od rany otrzymanej nad Marną podczas tamtej wojny, jego żona, wysoka, koścista niewiasta w tym samym wieku, i dwie córki: dwunasto- i szesnastoletnia, bardzo brzydkie i oniemiale z trwogi. Francuzi kulili się i za beczkami szukali problematycznej osłony.

Sanitariusze zawieruszyli się podczas pierwszych starć, toteż porucznik Green korzystał z każdej wolnej chwili, aby zbiegać na dół i przy pomocy opatrunków osobistych robić wszystko, co było możliwe.

Farmer musiał nie najlepiej żyć z żoną, bo dosyć często powtarzał z rozdrażnieniem:

— Oczywiście, oczywiście! *Madame* nie chciała opuścić swego buduaru. Co jej tam wojna! Oczywiście... „Zostaniemy — mówiła. — Nie wydam domu na pastwę żołdactwa.” Czy *madame* bardziej odpowiada taka sytuacja?

„*Madame*” milczała. Siedząc sztywno na skrzynce, pociągała z kubka jabłecznik i ciekawie przyglądała się paciorkom potu polyskującym w blasku świecy na twarzach rannych. Kiedy Niemcy wstrzelali się w okna bawialni i po serii karabinu maszynowego w górze posypało się szkło i drzazgi z gruchotanych mebli, kobieta zaczęła częściej popijać jabłecznik. W żaden inny sposób nie zdradziła wzruszenia.

— Ach, tę baby! — burczał gospodarz zwracając się do leżącego u jego stóp nieżywego Amerykanina. — Nigdy nie słuchaj bab! Za nic nie dadzą sobie wyperswadować, że wojna to poważna sprawa.

Na parterze obrońcy zawalili okna przeróżnymi gratami i strzelali przez szpary i zza materaców. Porucznik Green rzucał od czasu do czasu rozkazy, ale nikt nie zwracał na nie uwagi. Kiedy zaczynał się jakiś ruch pośród żywo-plotów albo w odległej o dwieście jardów kępie



drzew, wszyscy strzelali jeden przez drugiego i dla bezpieczeństwa padali na podłogę.

W jadalni, u szczytu ciężkiego dębowego stołu, zasiadł kapitan Colclough. Okrytą hełmem głowę wspierał na rękach. U pasa miał kaburę z jasnej tłoczzonej skóry, a w niej pistolet o rękojeści zdobnej masą perłową. Był blady. Zdawać się mogło, że drzemie. Nikt do niego nie mówił i on nie mówił do nikogo. Tylko raz, gdy porucznik Green pochylił się nad nim, by sprawdzić, czy jeszcze żyje, Colclough odzyskał głos:

— Będzie mi pan potrzebny, Green — powiedział. — Muszę złożyć meldunek. Mówiłem przecież porucznikowi Sorensonowi, żeby na naszym skrzydle utrzymywał stałą łączność z kompanią L. Był pan, jak wydawałem mu rozkaz? Był pan przy tym, prawda?

— Tak jest, panie kapitanie. Słyszałem, jak pan wydawał rozkaz Sorensonowi.

— Proszę to stwierdzić na piśmie... Zaraz... Natychmiast...

— Colclough patrzył tępo na wytarty blat dębowego stołu.

— Panie kapitanie! Za godzinę będzie ciemno. Jeżeli mamy się stąd wydostać, trzeba próbować w warunkach...

Urwał, bo Colclough zatonął we własnym otępieniu, nie podniósł wzroku i nie drgnął nawet, kiedy Green splunął mu pod nogi i skoczył do okna, pod którym kapral Fein dostał właśnie postrzał w płuca.

Na piętrze, w sypialni państwa domu, czuwali Rickett, Burnecker i Noe. Kryli ogniem wąskie przejście, gdzie między szopą a stodołą przechowywano wóz i pługi. Na ścianie wisiał mały drewniany krucyfiks i fotografia ślubna farmera i jego żony w sztywnych, nienaturalnych pozach. Przeciwległą ścianę zdobił oprawny plakat Francuskich Lini Oceanicznych, przedstawiający parowiec „Normandie” na spokojnym lazurowym morzu.

Biała haftowana kapa okrywała staroświeckie łożo pod baldachimem. Komodę zdobiły małe koronkowe serwetki, a półkę nad kominkiem — kot z porcelany.

„Śmieszne! — pomyślał Noe zmieniając magazynek w karabinie. — Tak wygląda moje pierwsze pole bitwy.”

W tej chwili wzmógł się ogień nieprzyjacielski. Zarechotały długie serie. Rickett odskoczył od okna i przywarł do tapetowanej ściany. W rękę trzymał automatyczny karabinek browninga. Szkło chroniące „Normandie” prysnęło setką odłamków. Okręt z dużym otworem tuż nad linią zanurzenia zachybotał się na ścianie, lecz nie spadł.

Noe spojrzął na wielkie, schludnie zasłane łóżko i poczuł niepokromioną chęć, by pod nie wpełznąć. Zrobił nawet krok w stronę kuszącej kryjówki. Drżał cały, a kiedy próbował poruszyć ręką, zatoczył szeroki, bezcelowy krąg i strącił błękitny wazonik z nakrytego tiulowym szalem stolika, który stał pośrodku pokoju.

Gdyby mógł wleźć pod łóżko, byłby bezpieczny. Śmierć by mu nie groziła. Skuliliby się w kurzu, na lichu heblowanych deskach podłogi. „Przecież to nonsens — myślał — stać w oknie i czekać, aż mnie zastrzelą. Dokoła pęta się pół niemieckiej armii. Nie moja wina, że jestem tutaj. Nie ja wybrałem drogę między żywopłotami. Nie ja straciłem łączność z kompanią L. Nie ja zapomniałem zatrzymać kompanię i okopać się, gdzie było trzeba. Trudno wymagać ode mnie, żebym tkwił w oknie koło Ricketta i wystawiał łeb na...

— Tam! Tam! Prędeży! — wrzasnął sierżant wskazując drugie okno. — Prędeży! idą, dranie!

Nie krył się wcale. Strzelał z biodra krótkimi seriami. Ręka i ramię dygotały mu od odrzutów.

„Teraz nie patrzy — pomyślał Noe. — Wejdę pod łóżko. Nikt nie będzie wiedział, gdzie się podziałem.”

Burnecker stał już przy oknie. Strzelał. Raz po raz wołał:

— Noe! Noe!

Ackerman spojrzął tęsknie na łóżko. Wyglądało czysto, świeżo, po domowemu. Nagle krucyfik drgnął na ścianie i rozbity zasypał drzazgami kapę. Noe skoczył do okna, przyklęknął obok Burneckera. Na oślep dał dwukrotnie ognia w kierunku przejścia między szopą a stodołą. Dopiero później spojrzął. Szare, zgięte we dwoje sylwetki biegly niewielkimi grupkami. Zdziwiająco szybko zbliżały się do domu.

Noe przypomniał sobie godziny szkolenia strzeleckiego: muszka, szczerbina celownika, środek celu powinny tworzyć linię prostą, wtedy nawet zreumatyzowany ślepiec nie może chybić. „Aha — pomyślał — biegną gromadą. — Nie powinni tego robić. W gromadę łatwo mierzyć.”

Nie żalowali amunicji. Burnecker przycupnął obok niego. Celował przepisowo, spokojnie, wstrzymując oddech. Rickett akompaniował im z drugiego okna. Nagle Noe usłyszał przeciągły, piskliwy głos i dopiero po chwili zorientował się, że to on krzyczy. Wtedy umilkł.

Z parteru dochodził również huk kanonady. Szare sylwetki padały, podnosiły się, padały znowu. Trzy dotarły tak blisko, że mogły rzucić granaty. Ale granaty nie trafiły w okna i nieszkodliwie wybuchły przed

domem, a Rickett jedną serią skosił śmiałków. Inne szare sylwetki uskakiwały na bok, wahały się, zatrzymywały. Przez moment trwały nieruchomo w błocie gliniastego podwórka. Później zaczęły podrywać się i biec z powrotem.

— Hura! Hura! — darł się Rickett i gorączkowo ładował broń.  
— Hura! Bić skurwysynów! Bić skurwysynów!

Noe ocknął się. Starannie wziął na cel Niemca, który biegł dziwnie jakoś, niezdarnie, kulawo. Nie miał karabinu, a puszka z maską gazową śmiesznie podrygiwała mu na biodrze. Noe powoli, ostrożnie nacisnął spust i wystrzelił w chwili, gdy cel niknął za węglem szopy. Niemiec potknął się i długim szczupakiem upadł naprzód.

Rickett wychylił się z okna.

— Brawo — wrzasnął triumfalnie. — Brawo, Ackerman! Czysta robota!

Przejęcie między szopą a stodołą opustoszało. Widać było jedynie rozciągnięte tu i ówdzie nieruchome szare mundury.

— Odeszli — mruknął niedorzecznie Noe. — Odeszli. Nie ma ich.

Poczuł wilgotne dotknięcie na policzku. Burnecker całował go jak szalony. Śmiał się i płakał jednocześnie.

— Precz od okna! Padnij! — ryknął nagle sierżant. Ledwie zdążył dać nurka pod okno, pociski przeleciały nad ich głowami i gruz posypał się ze ściany pod wizerunkiem „Normandie”.

„Bardzo ładnie ze strony Ricketta — pomyślał bez entuzjazmu Noe. — Kto by się był spodziewał?”

Drzwi skrzypnęły i do sypialni wszedł porucznik Green. Oczy miał podpuchnięte, czerwone, twarz wyciągniętą z przemęczenia. Powoli usadowił się na łóżku, westchnął i dłonie ścisnął między kolanami. Miarowo kołysał się w tył i do przodu, jak gdyby miał paść na wznak i usnąć.

— No, pokazaliśmy im, panie poruczniku — powiedział szczęśliwy sierżant. — Dostali wcale ładne bańki, co?

— Tak — przyznał Green. — Spisaliśmy się nieźle. Są ranni, Rickett?

— U mnie nikt. Mam samych morowców — uśmiechnął się Rickett.

— W sąsiednim pokoju dostali Morrison i Seeley. A na dole Feinowi przewierciło płuca.

Noe przypomniał sobie Feina. Ogromny, z gruba ciosany, przyszedł do izby chorych na Florydzie. Mówił: „Po wojnie będziesz mógł dobierać sobie towarzystwo...”

Green ożywił się nagle i zaczął takim tonem, jak gdyby zamierzał wygłosić przemówienie:

— Bardzo to pięknie, ale... — Urwał, nerwowo rozejrzał się dokoła. — To chyba „Normandie”, prawda?

— Tak — potwierdził Noe — to „Normandie”.

— Chętnie zamówiłbym kabinę — zażartował oficer i uśmiechnął się mętnie, a gdy odpowiedziało mu milczenie, wzdrygnął się i ręką przetarł oczy. — Bardzo to pięknie — podjął — ale jak się ściemni, musimy wiać z tej nory. Na dole prawie koniec z amunicją. Jak szkopy jeszcze raz spróbują, będziemy ugotowani... — zająknął się i dodał niepewnie: — ugotowani z jajami... Po zmroku musicie kombinować na własną rękę. Dwójki i trójki. Dwójki i trójki — ciągnął piskliwym, zawodzącym głosem. — Podzielimy kompanię na dwójki i trójki...

— Panie poruczniku, czy to rozkaz kapitana Colclougha? — zapytał Rickett, który stał koło okna i ostrożnie, jednym okiem wyglądał zza futryny.

— To rozkaz porucznika Greena. — Oficer zachichotał cienko, lecz opanował się i dodał stanowczym tonem: — Ja przejąłem dowództwo.

— Pan kapitan nie żyje?

— Nie żyje? — Green położył się na białej kapie i przyknał powieki, ale nie przestał mówić. — Nie. Raczej wycofał się chwilowo... Będzie w formie na przyszłoroczną inwazję.

Znów zachichotał, ułożył się wygodnie na mocno ubitej pierzynie. Nagle otworzył oczy, zerwał się gwałtownie.

— Słyszycie? — zapytał z przestraszeniem.

— Nie — powiedział Rickett.

— Czolgi! Jeżeli przed zmrokiem zdążą sprowadzić czołgi, jesteśmy ugotowani z jajami.

— Mam pod ręką bazookę i dwie pigułki — pochwalił się sierżant.

— Uśmieć się można — Green wzruszył ramionami i spojrzął na plakat z podobizną „Normandie”. — Jeden mój znajomy płynął raz tą lajbą. Taki agent ubezpieczeniowy z Nowego Orleanu. Między Cherbourgim a Ambrose Light uwiadły go trzy po kolei dziwki. — Oczywiście, oczywiście — zmienił ton na poważny. — Trzeba użyć bazooki. Po to ją mamy.

Na rękach i kolanach podczołgał się do okna. Ostrożnie podniósł głowę i wyjrzał.

— Widzę czternastu zabitych szkopów. Oj, życie, życie ludzkie...

— Smutno pokiwał głową i na czworakach powędrował w głąb pokoju;

musiał chwycić Noego za udo, żeby dźwignąć się na nogi. — Cała kompania — podjął tonem zadumy — cała kompania skończona... *Fini...* Jeden dzień. Pierwszy dzień walki. To wydaje się niemożliwe, prawda? Coś trzeba zrobić. Ktoś musi ponieść odpowiedzialność. Prawda? Jak wam się zdaje?... No, pamiętajcie. Po zmroku każdy kombinuje na własną rękę. Starajcie się trafić do naszych linii. Powodzenia!

Trzasnął drzwiami i szybko zbiegł po schodach. Pozostali w sypialni gapili się na siebie bez słowa.

— Dobrze jest, jak jest — bąknął po chwili Rickett. — Na razie trzymamy fason. Do okien, chłopcy! W jadalni na parterze Jamison stał przed kapitanem Colcloughem i urągał mu głośno. Niedawno stał obok Seeleya, kiedy ten został trafiony w oko. Jamison i Seeley pochodzili z tego samego miasta w Kentucky. Przyjaźnili się od dzieciństwa i razem wstąpili do wojska. Obecnie Jamison usłyszał, że jego przyjaciel wraz z resztą rannych zostanie w piwnicy, kiedy zdrowi spróbują przedrzeć się po zmroku.

— Nie wymigasz się, cholerny karawaniarzu — ryczał pod adresem kapitana, który wciąż siedział za ciemnym dębowym stołem i skołataną głowę podpierał rękami. — Nie wymigasz się! Ty nas tu wpakowałeś. Ty nas wyprowadzisz. Wszystkich!

Trzej stojący pod ścianą żołnierze przyglądali się kapitanowi i jego prześladowcy, lecz nie próbowali interweniować.

— No, rusz się, zasrany trumniarzu! — ciągnął Jamison kołysząc się groźnie nad stołem. — Dosyć tego siedzenia. Wstawaj! Powiedz coś, skurwysynu! W Anglii miałeś gadane, co? Sypałeś mowami jak z rękawa, kiedy nikt nie strzelał do ciebie, ty hieno cmentarna! Zuch byłeś, co? Wielki człowiek! Na czwartego lipca chciałeś dostać majora! Tfu! Major z pukawką! Daj ten przeklęty rewolwerek. Obrzydzenie bierze patrzeć na niego. W sam raz dobry do zabawy w *wojsko!*

Nieprzypadkiem z furii nachylił się, wyrwał z kabury oprawną w masę perłową czterdziestkę i rzucił w kąt pokoju. Później sięgnął po pustą kaburę, ale nie mógł jej odczepić. Wydobył więc bagnet i gwałtownymi ruchami poprzecinał rzemyki. Futerał z jasnej, tłoczzonej skóry upadł na podłogę, a Jamison postawił na nim nogę. Colclough nie drgnął nawet. Stojący pod ścianą żołnierze głupekowato przyglądali się tej scenie.

— Mieliliśmy ukatrupić szkopów więcej niż reszta dywizji. Prawda karawaniarzu spod ciemnej gwiazdy? Po to przecież wybieraliśmy się do Europy, co? A ty, skurwysynu, miałeś pilnować, żeby każdy zrobił

swoje, jak się patrzy? Ilu dziś zabiłeś Niemców, co? No, podnieś dupę, draniu! Wstań! Gadaj coś! — Chwycił za kołnierz i postawił kapitana.

Colclough w dalszym ciągu patrzył błędnie na blat stołu, a kiedy go Jamison puścił, usiadł bezwiednie na podłodze, przewrócił się na wznak i leżał bez ruchu.

— Palnij no mówkę, kapitanie! — wrzeszczał nad nim prześladowca i pogardliwie trącał go nosem buta. — Trudno o stosowniejszy moment. Wytłumacz jasno, jak to traci się w bitwie po jednej kompanii na dzień! Wytłumacz, jak rannych zostawia się szwabom! Kropnij wykład o czytaniu mapy i o zasadach żołnierskiego zachowania. Umieram z ciekawości! Gadaj, dupku! Zleź do piwnicy! Wygłoś do Seeleya mowę o pierwszej pomocy w polu. Powiedz mu, żeby nie szukał kapelana, jak zaproszy sobie oko. No, jazda! Chcemy mowy! Gadaj, jak to pan major ubezpiecza skrzydła w marszu zbliżania. Gadaj, że jesteśmy wyszkoleni pierwsza klasa, a sprzęt mamy taki jak żadna armia pod słońcem.

Do jadalni wszedł porucznik Green.

— Wynoś się, Jamison — powiedział spokojnie. — A reszta, na miejsca!

— Prosiłem tylko, żeby pan kapitan palnął mówkę — odburknął szorstko Jamison. — Małą mówkę do mnie i tych facetów.

— Jamison! — Głos oficera był piskliwy, lecz stanowczy i rozkazujący. — Wracaj na miejsce. Rozumiesz? To rozkaz.

W pokoju zaległa cisza. Niemiecki karabin maszynowy wypuścił parę krótkich serii. Pociski zagrzecotały o zewnętrzną ścianę. Jamison dotknął palcem bezpiecznika karabinu.

— Spokój, chłopcy, spokój! — powiedział Green tonem nauczyciela w młodszej klasie. — Na miejsca. I proszę mi nie robić bałaganu.

Jamison odwrócił się i niechętnie ruszył w stronę drzwi. Trzej pozostali poszli za nim. Porucznik Green spojrzął obojętnie na rozciągniętego na podłodze kapitana. Nie schylił się, aby go zdźwignąć.

Było już prawie ciemno, kiedy Noe zobaczył czołg. Ciężko włożył się przejściem między stodołą a szopą. Długa lufa sterczała przed nim groźnie.

— Idzie — szepnął Noe nie odwracając głowy; wyglądał oknem, ledwie wychylał oczy nad poziom parapetu.

Ośądził, że czołg ugrzązł. Jego gąsienice obracały się w tłustej glinie. Lufy karabinów maszynowych pochyły się w dół i do góry. Noe pierwszy raz w życiu widział niemiecki czołg, toteż jak urzeczony

pochłaniał wzrokiem stalowego olbrzyma — groźnego, niemożliwego do pokonania. Czuł, że sprawa skończona, a myślał o tym z rozpaczą, lecz nie bez ulgi. Teraz nic już nie można zrobić. Czołg przejął inicjatywę. Do niego, nie do szeregowca Ackermana, należy decyzja i odpowiedzialność za wszystko, co nastąpi.

— Ackerman! Do mnie — zawołał nagle Rickett.

Noe ocknął się i skoczył pod t)kno, koło którego stał sierżant z bazooką w rękę.

— Zaraz się przekonamy, co warta ta piekielna rura — powiedział spokojnie podoficer.

Noe skurczył się w oknie, poczuł na ramieniu ciężką lufę bazooki. Zdał sobie sprawę, że jest całkiem widoczny, lecz nie dbał o to, gdyż w bliskim sąsiedztwie czołgu wszyscy obrońcy farmy byli jednakowo zagrożeni. Oddychał równo i czekał cierpliwie, aż sierżant dokładnie przyłoży broń do ramienia.

— Za czołgiem kryją się „zające” — powiedział. — Jest ich z piętnastu.

— Będą mieli niespodziankę — odburknął Rickett. — Stój spokojnie!

— Przecież stoję — obruszył się Noe.

Rickett marudził. Bacznie oglądał broń. Nie chciał zmarnować pocisku, a z bazooki można było strzelać pewnie dopiero na osiemdziesiąt jardów.

— Nie strzelaj — ostrzegł stojącego w drugim oknie Burnekera. — Niech się szkopom zdaje, że na piętrze nie ma nikogo — parsknął śmiechem, czym nie bardzo nawet zdziwił Noego.

Czołg godnie ruszył z miejsca. Nie strzelał. Lekcewał nieprzyjacielski ogień, jak gdyby był myślącym stworem, co zdaje sobie sprawę, iż wywiera obezwładniający efekt moralny, nie musi więc rozpoczynać bezpośredniej walki. Po kilkunastu jardach zatrzymał się znowu. Piechurzy szukając osłony przycupnęli za nim, zbili się ciasno. Gdzieś dalej karabin maszynowy otworzył ogień i ostukiwał cały dom mieszkalny.

— Na miłosierdzie boskie! — syknął Rickett. — Stój spokojnie!

Noe zeszytniał. Kurczowo uczył się futryny. Był pewien, że zginie lada chwila. Stał w oknie odsłonięty do pasa. Patrzył w dół na drgające lufy stalowego potwora, coraz słabiej widoczne w cienistym przejściu. Nagle Rickett wystrzelił. Pocisk z bazooki zakreślił dymny łuk w powietrzu i wybuchnął na pancerzu czołgu. Noe zapomniał się schować. Ciekawie wyglądał z okna. Zrazu nic się nie stało. Później

lufa działa opadła ciężko i zastygła zwrócona wylotem w ziemię. Wewnątrz czołgu rozległ się głuchy, stłumiony wybuch. Węzyki dymu trysnęły z przezierników kierowcy i zza uchylonego włazu; nastąpiły dalsze eksplozje. Czołg kolebał się i przechylał, nadal wyglądał groźnie, potężnie, utracił jednak zdolność ruchu. Schowani za nim Niemcy rzucili się do ucieczki. Bezludnie biegli przejściem i nie ostrzeliwani przez nikogo zniknęli za węglem stodoły.

— Zdaje się, upolowaliśmy czołg — powiedział Rickett. — Nie najgorsza fuzja.

Zdjął bazookę z ramienia pomocnika i ustawił pod ścianą.

Noe nie odrywał wzroku od przejścia. Wyglądało tak, jak gdyby ostatnio nie zaszło tam nic ważnego, jak gdyby czołg stanowił od lat nieodłączną cechę krajobrazu.

— Na rany Chrystusa, Noe! — krzyknął Burnecker. — Uciekaj z okna! Noe! Noe! Noe!

Ackerman uświadomił sobie nagle, że kolega raz po raz powtarza jego imię. Przeraził się, odskoczył od okna, gdzie Rickett z brownin-giem w ręku stanął znów na posterunku.

— Do cholery — burczał gniewnie. — Nie powinniśmy wiać z tej farmy. Można się tu utrzymać do Bożego Narodzenia. Z naszego Greena dobry może kramarz, ale żołnierz jak z koziej... ten tego... — Wystrzelił z biodra w kierunku przejścia. — Nie pętać się tam! Nie macać mojego czołgu!

Do pokoju wszedł porucznik Green.

— Na dół chłopcy — powiedział. — Robi się ciemno. Zaraz ruszamy... Po dwóch... Po trzech.

— Ja na razie zostanę — rzucił lekceważąco sierżant. — Przypilnuję, żeby szkopy trzymały przyzwoitą odległość. — Ruchem ręki odprawił Burneckera i Ackermana. — A wy, jazda! Wiejcie, byle dalej!

Burnecker i Ackerman spojrzeli po sobie. Chcieli odezwać się do Ricketta, który niebaczny na niebezpieczeństwo stał z karabinkiem koło okna, ale nie wiedzieli, co powiedzieć. Sierżant nie spojrzął nawet za nimi, kiedy za porucznikiem opuścili pokój, aby zejść na fiół.

W bawialni pachniało potem i dymem. Podłoga usiana była setkami splaszczonych łusek, podeptanych butami obrońców. Wojnę czuło się tu silniej niż w pokoju sypialnym na górze. Spiętrzone meble barykadowały okna, drewniane krzesła były połamane, żołnierze z bronią w pogotowiu klęczeli pod ścianami. W półmroku Noe zobaczył kapitana Colclougha rozciągniętego na podłodze w sąsiedniej jadalni. Leżał na wznak z rękoma wzdłuż ciała; oczy postawił w ślup



i martwo patrzył w sufit. Mileczał. Tylko od czasu do czasu hałaśliwie pociągał nosem. Słyszając to wilgotne siąkanie Ackerman przypomniał sobie, że jest zaziębiony, wygrzebał więc przepoconą chustkę z tylnej kieszeni kombinezону i wysmarkał się głośno.

W bawialni było cicho. Natrętna mucha tłukła się dokoła z irytującym brzęczeniem. Riker dwa razy zamachnął się na nią helmem, ale chybił.

Noe usiadł na podłodze i bez pośpiechu zdjął prawy spinacz i trzewik. Bardzo uważnie zaczął wygładzać skarpetkę. Miło było masować lekko stopę i rozprostowywać wełnianą dzianinę. Obecni w pokoju żołnierze obserwowali go bacznie, jak gdyby demonstrował ważne i trudne ćwiczenie. Po pewnym czasie wciągnął trzewik, zasznurował spinacz i starannie ułożył nad nim fałdy spodni. Potem kichnął dwa razy. Riker wzdrygnął się na niespodziewany hałas.

— Sto lat zdrowia! — zawołał Burnecker, a Noe odpowiedział uśmiechem na jego uśmiech. „Wspaniały chłop!” — pomyślał.

Porucznik Green siedział skurczony w rogu jadalni. Nagle poruszył się i odezwał takim tonem, jak gdyby w skupieniu przygotowywał mowę, a następnie przeraził się własnego głosu, który raptownie zakłócił ciszę.

— Nie mogę poradzić wam, ludzie, co macie robić-. — zająknął się, i podjął znacznie ciszej: — Nie mogę powiedzieć, w jaki sposób najłatwiej się wymknąć. Macie tyle rozumu co ja. W nocy widać błyski, a w dzień słychać huk artyleryjskiego ognia, będziecie więc z grubsza zorientowani, w której stronie są nasze wojska. Mapy na nic się nie zdadzą... No i unikajcie dróg, unikajcie za wszelką cenę. Im mniejsze będą grupki, tym łatwiej przesiąkniecie. Przykro mi, że tak się stało, ale jeżeli będziemy siedzieć tutaj i czekać, doczekamy się śmierci albo niewoli. A tak część z nas się przedrze — westchnął ciężko. — Być może znaczna część. A może — z trudem zdobył się na ton pogody — może wszyscy. Rannych zabezpieczyliśmy najlepiej, jak można. W piwnicy zaopiekują się nimi Francuzi. Jeżeli ktoś ma co do tego wątpliwości, niech sam zejdzie na dół i zobaczy.

Nikt się nie poruszył. Na piętrze gruchnęły strzały automatycznego karabinku browninga.

„Rickett — pomyślał Noe — nie ruszył się od okna.”

— Cóż robić — podjął niepewnie porucznik. — Jest źle... bardzo źle. Ale żołnierz powinien być gotów na wszystko. Nawet takie rzeczy powinny zdarzać się od czasu do czasu. Ja spróbuję zabrać ze sobą

kapitana... tak... kapitana ze sobą — urwał znowu. — Jeżeli macie coś do powiedzenia, mówcie zaraz.

Nikt nie miał nic do powiedzenia.

Noego ogarnął nagły smutek.

— Już ciemno — podjął porucznik Green; wstał i podszedł do okna. — Tak, już ciemno. A zatem, nie ma na co czekać. Kto idzie pierwszy?

Odwrócił się i spojrzął na zebranych w bawialni żołnierzy. Prawie wszyscy siedzieli na podłodze oparci plecami o ściany. Głowy mieli zwieszane. Przypominali rozgromioną w pierwszej połowie meczu drużynę piłki nożnej odpoczywającą podczas przerwy.

— Kto idzie pierwszy?

Nikt nie drgnął, nie podniósł wzroku.

— Bądźcie bardzo ostrożni, kiedy traficie do naszych linii. Przede wszystkim upewnijcie się, że Amerykanie nie biorą was za Niemców i że wiedzą, kim jesteście. Później dopiero możecie się okazać. Nie chcielibyście chyba zginąć z ręki swoich? Kto idzie pierwszy?

Nikt się nie poruszył.

— Moim zdaniem — mówił dalej Green — należy wychodzić kuchennymi drzwiami. W pobliżu jest szopa, która da jaką taką osłonę, a do żywoplotu nie dalej niż trzydzieści kroków. Chcę być dobrze zrozumiany: nie wydaję rozkazów. Macie zupełnie wolną rękę. Ale czas mija. Trzeba, żeby ktoś zaczął.

Wszyscy milczeli.

„Niepodobna tego wytrzymać” — pomyślał Noe i wstał.

— Słusznie — odezwał się nieswoim głosem, bo ktoś musiał wreszcie to powiedzieć. — Ja pójdę.

Kichnął głośno.

— Ja z tobą! — zawołał Burnecker dźwigając się z podłogi.

— A niech to wszyscy diabli! — Riker stanął obok Burneckera.

Cowley i Demuth podnieśli się również. Podeszwy ich butów zgrzytnęły o kamienną posadzkę.

„Riker. Cowley. Demuth — pomyślał Noe. — Tyle mi przypominają te nazwiska... Cóż... Mogę bić się jeszcze raz, runda po rundzie, od początku...”

— Gdzie te cholerne drzwi z kuchni? — zapytał Cowley.

— Dosyć! — zdecydował Green. — Na razie starczy.

Pierwsza piątka wyszła do kuchni. Nikt z pozostałych nie spojrzął na nich, nie odezwał się słowem. Kłapa w rogu podłogi była pod-

niesiona. Z piwnicy dobywał się mętny odblask świecy i rżenie konającego Feina. Noe nie spojrział nawet w tę stronę. Porucznik Green ostrożnie uchylił drzwi wiodące na podwórko. Stłumionym „szszaa!” nakazał milczenie. Wszyscy znieruchomieli na moment. Na piętrze znów przemówił browning. „Ricket—pomyślał Noe — wojuje na własną rękę.”

Nocne powietrze było wilgotne, lepkie. Przez szparę uchylonych drzwi przenikał mdły fetor krów i obory. Ackerman zdusił w garści kichnięcie i z zawstydzoną miną obejrzał się przez ramię.

— Szczęśliwej drogi — szepnął porucznik. — Kto pierwszy?

Żołnierze stłoczeni w kuchni pośród miedzianych rondli i wielkich baniek na mleko patrzyli w przyćmiony skrawek nocy między skrzydłem drzwi a futryną.

„Niepodobna tego wytrzymać — pomyślał znów Noe. — Trudno stać tu do rana. Byle nie kichnąć. Byle tylko nie kichnąć.” Ramieniem potrącił Rikera i stanął na progu. Odetchnął głęboko raz i drugi, skulił się i wyszedł w mrok.

Zmierzał w stronę szopy. Nogi stawiał ostrożnie. Karabin ścisnął oburącz, aby o nic nie stuknął. Palcem omijał spust, bo nie pamiętał, czy broń zabezpieczył. Miał nadzieję, że koledzy nie zapomnieli o tym, nie zastrzeli go więc ktoś, kto się potknie. Trzewiki grzęzły z mlaskaniem w podwórzowym błocie. Puszczona luzem podpinka hełmu tłukła Noego koło uszu, co sprawiało wrażenie głośnych uderzeń. Kiedy wśród mroków nocy stanął wreszcie w gęstym cieniu szopy, oparł się o pachnące krowieńcem deski i drżącymi rękami zapiął sprzączkę pod brodą. Niewyraźne sylwetki przemykały podwórzem jedna po drugiej — od drzwi kuchennych pod szopę, gdzie niebawem zbiła się cała piątka. Oddechy ludzkie były szybkie, donośne. Z wnętrza domu, zapewne z piwnicy, dobył się przeciągły, cienki wrzask. Targnął wilgotnym nieruchomym powietrzem, zamarał i nie powtórzył się więcej. Noc stał sztywno pod ścianą. Mięśnie i nerwy miał napięte. Nasłuchiwał. Wreszcie ułożył się na brzuchu i zaczął pełznąć w stronę żywopłotu zarysowanego niewyraźnie na tle nieba. Bardzo daleko, po prawej, migały nikle ogniki strzelających baterii.

Noe wśliznął się do rowu biegnącego wzdłuż żywopłotu. Czekał. Starał się oddychać cicho, równomiernie. Pełznący za nim hałasowali niebezpiecznie, lecz w żaden sposób nie można było zasygnalizować, by poruszali się ostrożniej. Jeden po drugim lądowali w rowie, kładli się obok siebie na Wilgotnej trawie. Sapanie pięciu ludzi zdawało się

donośne jak gwizd, który oznajmia i zdradza ich obecność. Nikt się nie posuwał i Noe uprzytomnił sobie nagle, że wszyscy czekają na kogoś, kto obejmie dowództwo. „Chcę, żebym ja to zrobił — pomyślał z urazą. — Dlaczego właśnie ja?”

Dźwignął się jednak i spojrzął przez żywopłot w kierunku blysków działowego ognia. Po drugiej stronie leżało otwarte pole. W ciemnościach poruszały się jakieś mgliste, zamazane kształty, nie wiadomo — bydło czy ludzie. W każdym razie nie można było bez hałasu przedrzeć się w tym miejscu przez gęste krzewy. Noe dotknął nogi najbliższego sąsiada, by dać mu do zrozumienia, że rusza naprzód. Przywarł do wilgotnego dna rowu i zaczął oddalać się od farmy. Towarzysze popelzli za nim jeden po drugim.

Noe czołgał się wolno. Mniej więcej co pięć jardów zatrzymywał się, nasłuchiwał. Czuł, że pot zlewa mu całe ciało. Żywopłot był gęsty, wysoki. Niepokojąco szumiał od lekkich podmuchów wiatru. Niekiedy jakieś małe zwierzątko umykało z szybkim szelestem, a raz załopotał skrzydłami ptak spłoszony z drzewa. Niemców nie było nigdzie widać ani słychać.

„A nuż się uda? — myślał Noe wdychając stęchły zapach zeszlorocznych liści. — A nuż przebrniemy szczęśliwie?”

Nagle pod wyciągniętą ręką poczuł twardy przedmiot. Zesztywniał, znieruchomiał. Tylko prawą dłońią macał przed sobą ostrożnie, badawczo...

„Okrągłe... — myślał. — Metalowe... To będzie...”

W tej chwili zatopił palce w wilgotnej, obrzydliwie lepkiej miazdze i uprzytomnił sobie, że w rowie leży trup, że najpierw dotykał jego hełmu, później zmasakrowanej twarzy.

Cofnął się trochę, odwrócił głowę.

— Burnecker — szepnął.

— Co? — Głos Burneckera zabrzmiał głucho, jak gdyby dobył się ze zdławionego gardła i przyplynał z bardzo daleka.

— Przede mną trup.

— Co? Nie słyszę.

— Trup. Rozumiesz? Trup! — syknął Ackerman.

— Czyj?

— Do cholery! Skąd mam wiedzieć? — Był wściekły na przyjaciela, ale omal się nie roześmiał z idiotycznej rozmówki prowadzonej w tak niesprzyjających warunkach. — Podaj do tyłu.

— Co mam podać?

— Podaj do tyłu, że przede mną trup. Niech nikt nie zrobi głupstwa. Rozumiesz? — powiedział głośniejszym tonem nienawiści, której nie mógł poskromić.

— Aha. Rozumiem.

Sucho zaszemrał szept podawany z ust do ust, coraz dalszy.

— W porządku — oznajmił wreszcie Burnecker. — Wszyscy wiedzą.

Noe pomału przelazł przez zwłoki, a kiedy dotknął długiego buta, uprzytomnił sobie, że to był Niemiec, bo Amerykanie noszą przecież trzewiki. Miał ochotę zatrzymać się i na głos poinformować kolegów o swoim odkryciu. Świadomość, że nie zetknął się z martwym towarzyszem broni, dodała mu wiele otuchy. Ale przypomniał sobie, że amerykańscy spadochroniarze również noszą buty. Kto wie, czy to nie spadochroniarz? Pełznąc dalej medytował nad tą kwestią i dzięki wysiłkowi umysłowemu nie poddawał się strachowi ani zmęczeniu. „Dureń ze mnie! — rozstrzygnął w końcu wątpliwości. — Buty spadochroniarzy są sznurowane, a tamte miały całe cholewy. Oczywiście to był szkop. Zabity szkop gnijący w rowie. Powinienem się zorientować po kształcie hełmu. Tylko że wszystkie hełmy są do siebie podobne, a ja nigdy nie miałem w ręku niemieckiego.”

Niebawem znalazł się przy końcu pola, gdzie rów i żywopłot skręcały pod prostym kątem. Noe zatrzymał się. Ostrożnie wyciągnął przed siebie rękę. W ścianie zarośli było przejście, a za nim wąska droga. „Tak czy inaczej, trzeba ją będzie przeciąć. Możemy to zrobić z miejsca” — pomyślał Ackerman i odwrócił się do Buraeckera.

— Słuchaj — szepnął. — Idę za żywopłot.

— Dobrze.

— Po tamtej stronie jest droga.

— Dobrze.

Nagle dobiegł z oddali stłumiony tupot kroków i metaliczne pobrzękiwanie broni lub ryszstunku. Noe położył rękę na ustach Burneckera. Obydwaj zamienili się w słuch. Trzech lub czterech ludzi szło powoli drogą, a idąc rozmawiali półgłosem — po niemiecku. Noe ostrożnie podniósł głowę, nastawił uszu, jak gdyby mógł dowiedzieć się czegoś niezmiernie ważnego, chociaż po niemiecku nie rozumiał ani słowa.

Niemcy przeszli tuż obok spokojnym, wolnym krokiem, jak wartownicy, co mają wrócić bardzo szybko. Ich głosy rozplynęły się w nieuchwytnych szelestach nocy, ale kroki słyhać było dość długo.

Riker, Demuth i Cowley przypełzli bliżej i w jednej linii z Ackermanem przywarowali na krawędzi rowu.

— Teraz na tamtą stronę! — szepnął Noe.

— Niech to pioruny! — powiedział Demuth ochryplym, drżącym głosem. — Chcecie iść, proszę bardzo. Ja zostaję. Tutaj. W tej dziurze.

— Nonsens — zaprotestował Noe, który wbrew logice czuł się odpowiedzialnym za Demutha i resztę, ponieważ przyprowadził ich już tak daleko. — Znajdą cię z rana. Jak się tylko rozwidni... Nie! Nie możesz tutaj zostać.

— Nie mogę? Ty mi zabronisz? Komu życie niemiłe, niech idzie. Bardzo proszę. Ale beze mnie.

Wówczas Noe zrozumiał, że Demuth uległ, kiedy o parę metrów posłyszał głosy Niemców spokojne, pewne swego. Uległ i wycofał się z wojny. Desperacka odwaga prowadziła go przez dwieście kroków od farmy, została jednak od cna wyczerpana. Może jednak ma rację? Może to najrozsądniejsze wyjście?

— Noe. — Szept Burneckera zadźwięczał tonem niespokojnego oczekiwania. — Co myślisz robić?

— Ja? Dlaczego... — Ackerman urwał, bo zrozumiał, że przyjaciel liczy na niego. — Ja? Idę przez żywopłot. Uważam, że Demuth nie powinien zostać.

Odczekał chwilę. Spodziewał się, że ktoś szepnie coś Demuthowi. Ale nikt nie miał mu nic do powiedzenia.

— Trudno — westchnął Noe i ruszył przez żywopłot.

Uporał się z tym łatwo, bez hałasu. Wilgotne gałęzie przysnęły mu w twarz kroplami wody. Nagle polna dróżka wydała się bardzo szeroka. Była błotnista, rozjeżdżona. Na samym środku pośliznęła się i omal nie upadł. Brzęknął czymś głośno, odzyskując równowagę, ale nie miał wyboru: mógł tylko iść naprzód. O piętnaście jardów w lewo zobaczył lukę w żywopłocie, w miejscu gdzie czołg położył cierniste krzewy. Zgięty we dwoje skoczył w tamtym kierunku skrajem drogi. Dręczyło go przykre uczucie, że jest odsłonięty, nagi, narażony na niebezpieczeństwo. Słyszac za sobą kroki towarzyszy pomyślał o Demucie. Leży teraz po przeciwnej stronie drogi sam, zdecydowany na wszystko, zrezygnowany. Ciekawe, jak się czuje? Czekając brzasku i pierwszego Niemca, który będzie miał taką minę, jak by wiedział coś nieoś o Konwencji Genewskiej.

W oddali zaszczezał automatyczny karabinek browninga. Rickett, który nie poddawał się nigdy i niczemu, kłął i strzelał z okna sypialni na piętrze.

Nagle pistolet maszynowy odezwał się o kilkadziesiąt kroków przed zbiegami. Błysk wystrzałów groźnie zaświecił im w oczy. Potem rozległy się krzyki po niemiecku i kaemy otwarły ogień. Noe słyszał złośliwy gwizd pocisków nad głową, kiedy hałaśliwie, szybko cwałował ku wylomowi w żywopłocie i dawał nurka między zarośla. Słyszał również biegnących za sobą ludzi. Tupotali po rozmięklej glinie, głośno rozgarniali ścianę gąszczu. Ogień wzmagął się. Pociski smugowe trysnęły z drogi o sto metrów w lewo, sunęły jednak wysoko, nad głowami. Noe pomyślał z zadowoleniem o marnotrawstwie amunicji niepotrzebnie siekającej gałęzie drzew.

Był na otwartym polu i co tchu przecinał je w poprzek. Inni następowali mu na pięty. Smugi pocisków świetlnych krzyżowały się przed nimi. Z lewej ktoś wrzeszczał po niemiecku. Ale bezładny ogień nie był zwrócony bezpośrednio przeciw zbiegom. Noe oddychał z trudem. Powietrze paliło mu płuca. Podlegał złudzeniu, że wlecze się irytująco wolno. Myny! Przypomnił sobie mgliście, że cała Normandia jest zaminowana. Zobaczył w mroku niewyraźne sylwetki umykające przed nim w tym samym kierunku i omal nie wystrzelił w biegu. Na czas jednak złowił uchem głuche zwierzęce sapanie i dojrzał na tle nieba zarysy rogów. Biegł teraz pośród czterech lub pięciu krów. Oddalał się od strzelających karabinów maszynowych, potraçał wilgotne włochate boki, czuł mdły odór gnoju i mleka. Nagle potknął się i przewrócił o krowę, która została trafiona. Wierzgała konwulsyjnie i próbowała wstać, ale nie mogła. Położyła się na boku, a Noe przywarował za nią. Ciężko chwytal oddech. Towarzysze wyprzedzili go tymczasem, dźwignął się więc i poklusował za nimi. W płucach mu grało. Był do cna wyczerpany. Po każdym kroku miał wrażenie, że nie zdobędzie się na następny. Ale biegł dalej wyprostowany, jak gdyby lekceważył pociski, gdyż świdrujący ból w dołku nie pozwalał mu się schylić.

Dogonił pierwszą z umykających postaci, drugą, trzecią... Opanowało go zdziwienie, że porusza się tak żwawo, wyprzedza kolegów. Byle dostać się pod żywopłot z drugiej strony pola, przycupnąć w rowie, nim Niemcy oświecą ich reflektorami...

Ale tej nocy Niemcy nie mieli ochoty używać reflektorów, a ich ogień przycichł stopniowo. Noe przebiegł ostatnie dwadzieścia jardów kierując się w stronę żywopłotu, nad którego czarną gęstwiną drzewa rysowały się na niebie w regularnych odstępach. Runął na ziemię i leżał dysząc ciężko. Powietrze świstało mu w krtani. Jeden po drugim towarzysze padali obok niego. Przywierali twarzami do wilgotnej

trawy, krztusili się, nie mogli wymówić słowa. Nad ich głowami przemknęła smuga pocisków świetlnych. Później zmieniła nagle kierunek i popłynęła w przeciwny róg pola. Przyjął ją bolesny ryk i szybki tętent kopyt.

Pętem w oddali ktoś krzyknął gniewnie po niemiecku i obsługa cekaemu przerwała rzeź bydła. Ciszę zakłócało już tylko konwulsyjne sapanie czterech zbiegów.

Po długiej chwili Noe usiadł. Poczłł dziecinną dumę, oderwaną, pozbawioną związku ze skulonymi obok spoconymi ludźmi. „I znowu byłem pierwszy — przemknęło mu przez myśl. — Riker, Cowley... — mechanicznie wyliczał nazwiska. — Riker, Cowley, Demuth, Rickett... Wszyscy powinni mnie przeprosić za to, co wyprawiali na Florydzie.”

— W drogę — powiedział chłodno. — Kantyna połowa niedaleko.

Żołnierze siadali kolejno. Rozglądali się wokół. W pobliżu nie było nic widać. Ciszy nie zakłócał żaden dźwięk. Od czasu do czasu ujadał automatyczny karabinek Ricketta, ale to nie miało już związku z ich ucieczką. Bardzo daleko odbywało się bombardowanie z powietrza. Raz po raz błyskały wybuchy. Pociski przeciwlotnicze kreśliły czarne niebo. Wyglądało to jak ognie sztuczne na staroświeckim obrazku. „Niemiecki nalot na plażę — pomyślał Noe. — To na pewno Niemcy, bo my nie latamy tutaj po nocy. Teraz tylko iść w tamtym kierunku. Naprzód. Ciągle naprzód. Nic więcej nie mamy do roboty.” Był kontent, że rozumuje prawidłowo i z wrażeń zewnętrznych wysnuwa logiczne wnioski.

— Burnecker — szepnął wstając — chwyć mnie ręką za pas. — Niech Cowley uczepli się ciebie, a Riker Cowleya, żebyśmy się nie pogubili.

Wszyscy dźwignęli się posłusznie i z Noem na czele ruszyli rzędem w stronę świetlnych kresek przecinających odległy widnokrąg. Każdy mocno trzymał w garści pas poprzednika.

Przed wschodem słońca zobaczyli jeńców. Było już szaro, mogli się więc rozłączyć. Leżeli szeregiem za żywopłotem, gotowi do skoku przez wąską, brukowaną kamieniami drogę. Wtem usłyszeli dobrze znajomy odgłos: kroki nadciągającego oddziału.

Po pewnym czasie zobaczyli na drodze kolumnę złożoną z mniej więcej sześćdziesięciu amerykańskich żołnierzy. Szli wolno, bez słowa, całkiem nie po wojskowemu. Szurali butami w błocie. Prowadziło ich sześciu Niemców ze schmeisserami w pogotowiu. Noe z odległości dziesięciu stóp przyjrzał się dobrze jenieckim twarzom i wyczytał



w nich uczucie wstydlivego odprężenia obok tępej bierności, przypadkowej lub rozmyślnej. Nikt nie patrzył na towarzyszy ani na stróży, ani na mijaną obojętnie okolicę. Jeńcy poruszali się swobodniej niż eskorta, bo nie mieli karabinów, ładownic, ryszpunku. Noe patrzył z bliska i dziwnym mu się wydawał widok zwarteo oddziału Amerykanów wlokących się leniwie z rękami w kieszeniach, bez broni i obciążenia.

Przeszli, zniknęli za zakrętem drogi. Odgłos ich kroków ucichł stopniowo między wilgotnymi od rosy żywopłotami.

Noe zerknął z ukosa'na kolegów. Wszyscy *gapili się* jeszcze. Wyciągali szyje. Nie odrywali wzroku od krzewów, które przesłoniły kolumnę. Cowley i Burnecker patrzyli jak urzeczeni, lecz ich miny zdradzały tylko przelotne zainteresowanie. Ale Riker wyglądał podejrzanie. Ackerman obserwował przez czas pewien jego czerwone, podkrążone oczy i szczeciniasty zarost na brodzie. Nagle uprzytomnił sobie, iż widzi ten sam wyraz wstydlivego odprężenia, który przed chwilą oglądał na twarzach jeńców.

— Coś wam powiem, chłopaki — odezwał się Riker głuchym, nieswoim głosem. — Całkiem głupio zabraliśmy się do rzeczy. — Nie odwracał głowy, uparcie wpatrywał się w zakręt drogi. — We czterech na pewno nie przeleziemy. Beznadziejna historia! Trzeba się rozdzielić. Pojedynczo, chłopaki, pojedynczo.

Urwał. Nie patrzył na kolegów. Wszyscy milczeli. W ciszy szurały dalekie, stłumione kroki jeńców. A może było to tylko wspomnienie o tych krokach?

— *Chodzi* tylko o zdrowy rozsądek — podjął ochryple Riker. — Czterech facetów w kupie to cel pierwsza klasa. Jeden zawsze się jakoś schowa. Nie wiem, co wy postanowicie, ale ja idę dalej na własną rękę.

Znowu urwał. Czekał odpowiedzi. Nikt się-jednak nie odzywał. Noe, Burnecker i Cowley leżeli bez ruchu w bujnej trawie pod żywopłotem. Twarze mieli bez wyrazu.

— Dobrze. Jak sobie chcecie — burknął Riker. — Teraz najlepszy moment.

Podniósł się, zawahał chwilę i wolno przeszedł za żywopłot. Stał na skraju drogi wielki, niedźwiedziowaty, zgarbiony. Grube ramiona wisiały mu bezwładnie ku ziemi. Czarne od brudu, szerokie dłonie prawie sięgały kolan. Nie oglądając się ruszył powoli drogą w kierunku, w którym odmaszerowali jeńcy. Odprowadzały go spojrzenia towarzyszy. Szedł coraz szybciej, pewniej. Prostował się śmiało. Noe

patrzył za nim i miał wrażenie, że ten żołnierz dziwnie jakoś wygląda. Czego mu'brak? Po chwili uprzytomnił sobie, iż Riker nie ma broni. Rozejrzał się dokoła. Na trawie leżał porzucony pistolet maszynowy z wylotem lufy zatkanym ziemią.

Ackerman znów spojrzął ku drodze. Z daleka Riker wydawał się bardzo duży. Nad szerokimi ramionami rysowała się głowa w czworokątnym hełmie. Oddalał się coraz szybciej. Biegł prawie. Przed zakrętem drogi przezornie podniósł ręce, opuścił je, znów podniósł i tak trzymał, jak gdyby zeszywniały mu nad głową. Z rękami w górze zniknął truchtem za gąszczem zarośli. Tak Noe widział po raz ostatni i zachował Rikera.

— Krzyżyk na drogę — mruknął Burnecker. — Odpadł jeden strzelec wyborowy.

Sięgnął po pistolet maszynowy, sprawnie wyciągnął magazynek i poruszył zamkiem, żeby wyrzucić ładunek z lufy. Potem podniósł ładunek i razem z magazynkiem wsunął do kieszeni.

Noe wstał -bez słowa. Burnecker poszedł za jego przykładem. Cowley zawahał się na moment, ale westchnął i podniósł się również. Szybko przedarli się przez żywopłot i skoczyli na drugą stronę drogi.

Z daleka, od wybrzeża, słychać było nieprzerwany pomruk armat.

„Przynajmniej nasi są jeszcze we Francji” — myślał Noe posuwając się ostrożnie wzdłuż drogi.

Obora i duży dom z szarego kamienia robiły wrażenie opuszczonych. Na podwórku dwie zabite krowy leżały z nogami zadartymi w górę i zaczynały już pęcznieć. Zdawać się mogło, że jest tam bezpiecznie, spokojnie. Tak też myślał Noe leżąc z dwoma towarzyszami w rowie i obserwując zabudowania farmy.

Wszyscy byli zupełnie wyczerpani. Ostatnio czołgali się, szli na czworakach, przemykali chyłkiem jak ludzie poruszający się w sennym odrętwieniu. Noe nie wątpił, że nic nie zdoła zmusić ich do biegu. Wielekroć widzieli lub słyszeli nieprzyjacielskich żołnierzy. Nawet raz dwaj jadący na motocyklu Niemcy musieli zauważyć, jak spłoszeni Amerykanie padają na ziemię. Nie zareagowali jednak. Zwolnili tylko trochę, rozejrzeli się i dalej ruszyli swoją drogą. Trudno było zgadnąć, co wstrzymało ich w pościgu — strach czy butne lekceważenie?

Cowley dyszał ciężko i rządził przy każdym poruszeniu. Dwa razy spadł i potłukł się przy przełazieniu parkanów. Chciał nawet rzucić karabin i Noe z Burneckerem tłumaczyli mu przez dziesięć minut,

aby tego nie robił. Potem Burnecker pół godziny dźwigał jego broń prócz własnej, nim Cowley zawstydził się i upomniał o nią.

Konieczny był odpoczynek. Zbiegowie nie spali od czterdziestu ośmiu godzin i od wczoraj nic nie mieli w ustach, a wyludniona farma przedstawiała się zachęcająco.

— Helmy zostawcie w rowie — powiedział Noe — i naprzód! Tylko śmiało. Nie schylać się, iść wolno.

Od obory dzieliło ich mniej więcej pięćdziesiąt jardów otwartego pola. Jeżeli nawet ktoś zobaczy trzech poruszających się pewnie żołnierzy, może ich wziąć za Niemców. Noe prawie bezwiednie brał inicjatywę w ręce i wydawał rozkazy, a koledzy ulegali mu bez dyskusji.

Wszyscy wyprostowali się i z bronią na pasie ruszyli w stronę budynków tak swobodnie, jak to było możliwe. Ciszę dookoła farmy potęgowały jeszcze odległe echa strzelaniny. Zbiegowie minęli smugę smrodu rozkładających się krów i weszli w otwarte wrota obory. Noe rozejrzał się i w zakurzonej półmroku dostrzegł drabinę wiodącą na poddasze.

Na górę — powiedział.

Cowley ruszył pierwszy. Poruszał się powoli, leniwie. Za nim Burnecker wspinał się bez słowa. Ackerman ujął mocno drabinę. Spojrzał w górę. Dwanaście szczebli wydało się drogą nie do przebycia. Po chwili rozpoczął wędrówkę odpoczywając na każdym szczeblu, krztusząc się coraz cięższym powietrzem. Pod pułapem kichnął i omal nie spadł. Zatrzymał się i długą chwilę zbierał siły, by podciągnąć się na podłogę strychu. Wtedy Burnecker uklęknął nad otworem i chwyciwszy Noego pod pachy szarpnął mocno, a Noe wylądował na słomie, zdziwiony siłą przyjaciela i niezmiernie mu wdzięczny. Usiadł, na czworakach powłókł się do okienka w szczytowej stronie dachu i wyjrzał. Z wysoka zauważył jakiś ruch w odległości mniej więcej pięciuset jardów. Ciężarówki i drobne figurki ludzkie kręciły się po polu dalekie i zupełnie niegroźne.

O pół mili dopalały się wolno zabudowania farmy, lecz i pożar wydawał się normalny, mało ważny. Mrugając powiekami Noe odwrócił się w stronę obserwujących go bacznie towarzyszy.

— No, nareszcie znaleźliśmy dom w wojsku — uśmiechnął się, jak gdyby powiedział doskonały dowcip. — Nie znam waszych zamiarów, ale sam chcę się przede wszystkim zdrzemnąć.

Odstawił pistolet maszynowy i wyciągnął się na podłodze. Zamykając oczy słyszał, że Cowley i Burnecker układają się wygodnie.

Zasną) niezwłocznie, lecz obudził się za dziesięć sekund, bo ostre żdźbło podrapało go w kark. Gwałtownie rzucił głową, jak gdyby stracił władzę nad odruchami mięśni. Z trudem uniósł powieki, a gdy dwa pociski artyleryjskie wybuchnęły blisko, pomyślał, że jeden z trójki powinien czuć podczas snu pozostałych. Miał zamiar usiąść i omówić tę kwestię z Cowleyem i Burneckerem, lecz znów zasnął.

Gdy się ocknął, było prawie ciemno. Coś działo się koło obory. Wiązania dachu i podłogi drżały od dziwnego łoskotu. Noe nie poruszał się długo. Z lubością leżał na kolczastej słomie. Wdychał zapach zeszłorocznych żniw i nawozu nieżyjącego już bydła. Nie myślał, nie zastanawiał się nad przyczyną hałasu, nie dbał, że jest głodny, spragniony, daleki od domu. Odwrócił głowę. Jego towarzysze spali jeszcze. Cowley chrapał donośnie. Burnecker leżał cicho. W półmroku poddasza miał twarz dziecinną, pogodną. Noe uśmiechnął się tkliwie na widok tego spokojnego, ufego snu. Potem przypomniał sobie, gdzie jest, i należycie ocenił głuche dudnienie. W pobliżu musiały przejeżdżać ciężarówki i skrzypiące furgony konne.

Usiadł, podpełznął do okienka i wyrzwał. Furgony i samochody zajeżdżały przez lukę w żywo płocie na sąsiednie pole, gdzie żołnierze poruszali się żywo i ładowali amunicję. Ackerman zrozumiał w jednej chwili, że ma przed sobą wielki magazyn polowy, gdzie kolumny amunicyjne niemieckiej artylerii korzystając ze zmroku, gdy nie zagraża lotnictwo, pobierają przydział na dzień następny. Wyteżał wzrok, aby przebić mgłę i gęstniejące ciemności. Patrzył na ludzi, którzy podawali sobie z rąk do rąk długie koszyki zawierające pociski do 88-milimetrowych dział przeciwpancernych. Dziwny był widok tyłu naraz koni, jak gdyby przybyszów z dawniejszych wojen. Cały obraz przedstawiał się po staroświecku, niegroźnie. Wielkie, ciężkie zwierzęta cierpliwie stały w uprzęży. Żołnierze trzymali je przy pysku.

Noe pomyślał bezwiednie, że artyleria dywizyjna chętnie dowiedziałaby się o tych magazynach. Zaczął szperać po kieszeniach i znalazł gryzek ołówka. Ostatni raz używał go na barce desantowej. Ile to dni temu? Pisał list do Hope. Zdawało mu się, że zapomni dzięki temu, gdzie jest, i nie będzie pamiętał o pociskach, które szukają go na wodnej płaszczyźnie. Ale z listem zajechał niedaleko. „Najdroższa! Nieustannie myślę o tobie...” (Co za banal! W takich chwilach człowiek powinien się zdobyć na głęboką treść, brzemiennej nigdy dotychczas nie ujawnionymi tajemnicami.) „Niedługo wchodzimy do akcji. Właściwie mógłbym powiedzieć, że już jesteśmy w akcji, ale nie uwierzyłybyś pewnie, że w czasie bitwy można siedzieć spokojnie nad

listem do żony..." Dłużej pisać nie był w stanie, bo ręce zaczęły mu dygotać, schował więc do kieszeni zaczęty list i ołówek. Obecnie gorączkowo szukał listu, ale nie mógł go znaleźć. Zastanowił się chwilę. Wyjął z kieszeni portfel, a z portfela fotografię Hope z niemowlęciem na ręku. Na czystej stronie pocztówki Hope nakreśliła słowa: „Podobna zatroskanej matki i beztróskiego dziecka.”

Noe wyjrzał przez okienko. W prostej linii za parkiem amunicyjnym, o mniej więcej ćwierć mili, zobaczył spiczastą wieżę kościoła. Starannie narysował szkic sytuacyjny zaznaczając wieżę i przypuszczalną odległość. O pięćset jardów na zachód była grupa czterech domów, więc je również naniósł. Potem krytycznym wzrokiem ocenił prowizoryczną mapę. „Niezły — orzekł z zadowoleniem. — Przyda się, jeżeli kiedyś trafię do naszych linii.”

Przyglądał się żołnierzom ładującym wiklinowe kosze o osiemset jardów od kościoła i pięćset od grupy czterech domów. Asfaltowa szosa okrążyła pole, na którym mieścił się magazyn. Noe narysował ją zwracając baczność uwagę na zakręty. Potem wsunął fotografię do portfela i z żywym zainteresowaniem rozejrzał się po okolicy. Część furgonów i ciężarówek skręciła w boczną drogę przecinającą szosę w odległości sześciuset jardów. W kępie drzew zniknęły z oczu i nie zjawily się po drugiej stronie. Zapewne pod osłoną drzew znajdują się stanowiska baterii. Można to będzie sprawdzić później osobiście.

Noe poczuł świeże siły. Było mu teraz pilno. Nie wolno siedzieć beczynnym, kiedy o jakieś pięć mil dywizyjne działa marnują amunicję ostrzeliwując puste pola. Zdobyte informacje mogą się przydać. Odszedł od okna i nachylił się nad Burneckerem. Chciał zbudzić śpiących towarzyszy, ale opamiętał się w porę. Zupełnie ciemno będzie dopiero za kwadrans. Niepodobna wcześniej wyjść z obory. Niech biedacy odpoczywają, póki można.

Wrócił pod okno. Oborę mijał właśnie ciężki furgon. Niemiec lekko trzymał w ręce lejce. Konie szły stępa, poważnie kiwały łbami. Dwaj żołnierze wędrowali obok wozu i wyglądali jak farmerzy wracający do domu po dniu pracy w polu. Nie rozglądali się. Wzrok mieli utkwiony w drogę przed sobą. Jeden z nich opierał dłoń na bocznych deskach furgonu, który skrzypiąc przeraźliwie zmierzał w stronę parku amunicyjnego.

Ackerman westchnął, pokręcił głową i poszedł zbudzić kolegów.

W nocy zatrzymał zbiegów kanał niezbyt szeroki, lecz nie wiadomo jak głęboki. Oleista powierzchnia mieniła się tajemniczo w blasku

księżycą. Leżeli w zaroślach o dziesięć jardów od brzegu. Podejrzliwie przyglądali się drobnym falkom. Był odpływ i nad wodą sterczała czarna błotnista skarpa przeciwległego brzegu. Noe nie wiedział, która godzina, ale orientował się, że noc dobiega końca i bardzo niedługo zacznie świtać.

Po wyjściu z obory Cowley protestował, kiedy Noe prowadził towarzyszy pod ukrytą w kępie drzew baterię.

— Do cholery — syczał gniewnie. — W sam raz pora do polowania na medale!

Ale Burnecker poparł Noego i Cowley musiał ustąpić.

Teraz jednak leżąc w mokrej trawie nad ciemną, niebezpieczną wodą zbuntował się ponownie.

— To nie dla mnie zabawa! — wybuchnął nagle. — Nie umiem pływać.

— I ja nie umiem — powiedział Burnecker.

Po drugiej stronie wody karabin maszynowy otworzył ogień. Smuga pocisków świetlnych nakreśliła łuk nad głowami zbiegów.

Noe westchnął i przymknął oczy. „Amerykanie — pomyślał. — Na pewno Amerykanie! Strzelają z tamtej strony wody i w naszą stronę. Są tak blisko... Kanał ma najwyżej dwadzieścia jardów szerokości... A ci nie umieją pływać!”

Czuł w kieszeni fotografię. Nad słowami skreślonymi ręką Hope widział park amunicyjny i stanowiska dział, i warsztat naprawczy czołgów, który wypatrzył po drodze. Wszystko to narzucił na szkic starannie, dokładnie... Dwadzieścia jardów wody!... Tak długo szedł, tyle wycierpiał. Jeżeli nie przeprawi się zaraz, może podrzeć fotografię i poddać się pierwszemu napotkanemu Niemcowi.

— Nie powinno być głęboko — odezwał się zachęcającym tonem. — Przecież to odpływ.

— Nie umiem pływać — powtórzył Cowley z uporem.

— A ty, Burnecker?

— Zaryzykuję — powiedział flegmatycznie Burnecker.

— Posłuchaj, Cowley...

— Utonę — przerwał Noemu trwożny szept Cowleya. — Przed „Dniem D” miałem paskudny sen. Topiłem się.

— Będę cię trzymał. Dobrze pływam.

— Utonę. Pójdę pod wodę i utonę.

— Nasi są na tamtym brzegu — nacierał dalej Ackerman. — Amerykanie! Rozumiesz?

— Amerykanie! Dobry jeste! Amerykanie! Zastrzelą nas! Nawet o nic nie zapytają. Zobaczą ludzi w wodzie i pokropią z kaemu. A zresztą, nie umiem pływać.

Noe miał ochotę wyć. Chciał odejść od Cowleya i Burneckera, od kanału połyskującego w świetle księżycy i puszcanych na oslep wiązek pocisków smugowych. Chciał znaleźć się daleko i jak szalencie wyć na całe gardło.

Karabin maszynowy zaterkotał znowu. Wszyscy zwrócili wzrok w górę, ku świetlnym krechom.

— Jakiś nerwowy skurwysyn — mruknął Cowley. — Na pewno o nic nie będzie pytał.

— No, rozbierać się! — Noe starał się o ton jak najbardziej chłodny. — Zdejmijcie wszystko, bo jednak może być głęboko.

Zaczął rosznurowywać trzewik. Szelest po prawej stronie wskazywał, że Burnecker rozbiera się również.

— Ja niczego nie zdejmuję — burknął Cowley. — Mam dosyć.

— Cowley... — zaczął Ackerman.

— Nie gadam więcej. Przede wszystkim ciebie mam dosyć. Nie chcę wiedzieć, co myślisz robić, i na pewno nie zrobię tego z tobą — mówił coraz głośniej, jak gdyby ulegał hysterii. — Na Florydzie uważałem cię za wariata, a teraz widzę, że większy z ciebie wariat niż mi się zdawało. Nie umiem pływać! — prawie krzyczał. — Nie umiem pływać! Nie umiem pływać!

— Ciszej! — warknął Noe ochryplym głosem.

Chętnie zastrzeliłby Cowleya, gdyby można to było zrobić bez hałasu.

Cowley umilkł. W ciemnościach sapał głośno, ale się nie odzywał.

Ackerman zdejmował kolejno spinacze, trzewiki, bluzę, spodnie i długie wełniane kalesony. Potem ściągnął koszulę, żeby pozbyć się ciepłego podkoszulka z rękawami, zaraz ją jednak włożył i zapiął starannie, bo w kieszeni przechowywał portefl i cenny szkic. Wstrząsnął się długim, nerwowym dreszczem, gdyż chłód nocnego powietrza natrętnie spowił jego gołe nogi.

— Cowley — szepnął.

— Odczep się!

— Jestem gotów — powiedział Burnecker równym, opanowanym głosem.

Noe podniósł się i pochyłością ruszył w stronę kanału. Słyszał za sobą człapanie Burneckera. Wilgotna trawa była śliska i zimna pod bosymi stopami. Schylił się i przyspieszył kroku. Nad kanałem nie

marudził, skoczył od razu i przestraszył się cichego chlupnięcia. Pośliznął się, zanurzył z głową i połknął dobry łyk mętnej słonawej wody. Kiedy wyrztał nad powierzchnię, krztusił się, parskał nosem, czuł zawrót głowy. Ale odzyskał jakoś równowagę i trzymając się brzegu stanął na gliniastym dnie. Głowę miał nad wodą. Kanał był głęboki tylko na pięć stóp — przynajmniej z brzegu.

Spojrzał w górę i zobaczył jasną plamę twarzy Burneckera. Potem Burnecker zsunął się ostrożnie, stanął obok przyjaciela.

— Weź mnie za ramię — szepnął Noe i przez mokrą wełnę koszuli poczuł, jak palce tamtego kurczowo wpijają się w jego ciało.

Ruszyli w stronę przeciwnego brzegu. Dno było oślizłe, grząskie. Kanał obfitował w ślimaki morskie, małże i Noe powstrzymywał okrzyk bólu za każdym razem, kiedy pod stopą poczuł ostrą skorupę. Ponadto niedorzecznie bał się węzów wodnych. Szedł wolno. Szukał nogami dołu lub nagłej głębi. Woda sięgała ledwie ramion, jednak dobrze było czuć falki przyływu ciągnącego leniwie od morza.

Znowu odezwał się karabin maszynowy. Noe i Burnecker stanęli. Ale pociski zaświeciły wysoko i z prawej strony. Widocznie zdenerwowany celowniczy strzelał na oślep, w ogólnym kierunku nieprzyjaciela. Za każdym krokiem przeciwny brzeg był bliżej. Noe miał nadzieję, że Cowley obserwując przeprawę widzi, iż poradziłby sobie łatwo, chociaż nie umie pływać.

Nagle zrobiło się głębiej. Noe stracił grunt, ale-wyższy o głowę Burnecker miał jeszcze nos i usta nad wodą i mocno trzymał towarzysza pod pachami. Brzeg przysuwał się szybko. Pachniał solą i gnijącymi ślimakami, jak małe przystanie rybackie w kraju. Był wysoki, stromy. Zbiegowie brodzili ostrożnie, tracili grunt, podtrzymywali się wzajemnie i wzrokiem szukali miejsca, gdzie dałoby się wyładować dogodnie bez hałasu.

— Nie tutaj. Dalej — szepnął Noe.

Uczepił się śliskiej skarpy. Odpoczywał.

— Ach, ten skurwysyn Cowley — mruknął Burnecker.

Ackerman pokiwał głową, lecz wcale nie myślał o Cowleyu. Rozglądał się w prawo i w lewo. Wreszcie pociągnął towarzysza i ruszył wzdłuż brzegu z coraz silniejszym prądem przyływu. Trząśił się cały. Kurczowo zaciskał usta, żeby nie szczekać zębami. Nigdy jeszcze nie był tak okropnie zmarznięty. „Czerwiec! — kołatało mu w głowie bez sensu i składu. — Francuski czerwiec. Nad francuskim morzem. Kąpię się pod czerwcowym księżycem... Pod księżycem czerwcowym... Najlepiej odплыnąć od Burneckera... na środek... Cicho



pójść na dno... Utonąć... skończyć ze wszystkim raz na zawsze... Utonąć..."

Brzeg był urwisty, omszały, wysoki. Nie rokował nadziei, że przed świtem uda się zbiegom wygramolić z wody.

— Tutaj — szepnął Burnecker.

Noe zadarł głowę. Skarpa obsunęła się w tym miejscu. Z wilgotnej gliny sterczały pośród zielska kamienie, które mogły stanowić jaką taką podporę.

Burnecker schylił się, wsunął rękę pod stopę towarzysza i z głośnym chlupotem wywindował go z wody. Przez moment Ackerman leżał na skraju urwiska. Sapał głośno. Dygotał. Później odwrócił się i pomógł Burneckerowi. Bardzo blisko zaterkotał karabin maszynowy. Ślizgając się, potykając skoczyli w stronę zarośli widocznych niewyraźnie w odległości trzydziestu jardów. Ze wszystkich stron odezwały się strzały.

— Przerwij ogień! — Przerwij ogień! — wrzeszczał Noe. — Jesteśmy Amerykanie! Przerwij ogień! — darł się. — Z kompanii C! C jak Cecylia! Przerwij ogień!

Kiedy padli wreszcie pod osłoną zbawczych krzaków, Niemcy strzelali również. Smugi pocisków świetlnych gęsto krzyżowały się nad kanałem. W ogólnym zamęciu poszli w niepamięć ludzie, co rozpętali tę przypadkową utarczkę.

Po pięciu minutach kanonada ustała raptownie.

— Będę krzyczał — szepnął Noe. — Nie wychylaj się, Johnny.

— Zrobione.

— Nie strzelać! — zawołał Noe niezbyt głośno, siląc się na ton jak najbardziej opanowany. — Nie strzelać! Tu Amerykanie. Dwaj żołnierze z kompanii C. Nie strzelać!

Umilkł. Obydwaj przywarli do ziemi. Nasłuchiwali. Drżeli z chłodu i podniecenia. Wreszcie odpowiedział głos o wyraźnym akcencie z Georgii.

— Wylazić, chłopaki! Ręce do góry! Chodźcie no tutaj, ale spokojnie, powoli. Bez figłów. A ręce cały czas nade łbem.

Noe pchnął towarzysza. Wstali i z rękami nad głową ruszyli w stronę głosu o wyraźnym akcencie z Georgii.

— Chryste Panie, Zbawicielu świata! — zdziwił się żołnierz. — Frajerzy goli jak oskubane kaczki!

Noe odetchnął z ulgą. Wszystko kończyło się dobrze. Ciemna sylwetka z bronią w pogotowiu wyrosła nad schronem ziemnym.

— Bliżej, koledzy.

Noe i Burnecker postąpili kilka kroków. Zatrzymali się o pięć stóp przed schronem. Drugi żołnierz nie wychylał się. Trzymał na muszce przybyszów.

— Skąd was diabli przynieśli? — zapytał podejrzliwie.

— Byliśmy odcięci — wyjaśnił Noe. — Kompania C. Przebijamy się od trzech dni. Można opuścić ręce?

— Weź znaki rozpoznawcze, Vernon — mruknął ten ze schronu. Drugi wsunął pod pachę pistolet maszynowy.

— Nie ruszać się, chłopaki — powiedział. — Rzućcie no znaki rozpoznawcze.

Błaszki brzęknęły dobrze znajomym tonem. Najprzód Noe, później jego towarzysz rzucili znaki rozpoznawcze.

— Dawaj, Vernon — rzucił żołnierz ze schronu. — Sam obejrzę.

— Nic nie zobaczysz — powiedział Vernon. — Ciemno jak u Murzyna...

— Dawaj!

Brzęknięcia znaków rozpoznawczych. Suchy trzask zapalniczki. Żołnierz przycupnął widać na dnie dołu i przysłonił płomyk, bo nie było błysku.

Wiatr dął silnie. Przemokła koszula oblepiała skostniałe ciało. Noe obejmował się silnie ramionami. Próbował rozgrzać się w ten sposób. Żołnierz w schronie marudził przerażająco. Wreszcie wychylił głowę.

— Nazwisko? — rzucił wskazując palcem Ackermana.

Padła zadowolająca odpowiedź. Numer ewidencyjny zgadzał się także. Noe recytował cyfry szybko, pewnie, chociaż z trudem hamował szczękanie zębami.

— Co znaczy „I” na znaku rozpoznawczym? — zapytał podejrzliwy indagator.

— Izraelita — wyjaśnił Noe.

— Izraelita? Cóż to, u diaska? — wtrącił człowiek z Georgii.

— Żyd.

— Aha. Czemu nie gadasz po ludzku?

— Posłuchaj — wybuchnął Noe. — Chcecie nas tak trzymać do końca wojny? Na śmierć zamarzniemy.

— Chodźcie tutaj — powiedział żołnierz ze schronu. — Prosimy. Jak u siebie w domu. Za kwadrans będzie widno. Odprowadzę was do dowództwa kompanii. Zaraz za mną jest dół. Możecie się rozgościć.

Kiedy go mijali, rzucił ze schronu znaki rozpoznawcze i ciekawie obejrzał golasów.

— Jak się wam wiodło po tamtej stronie? — zapytał.

- Pierwsza klasa — odburknął Noe.
- Zabawa była lepsza niż na majówce — dodał Burnecker.
- No chyba! — wtrącił Vernon.

Noe zwrócił się do towarzysza i podał mu swój portfel.

— Masz, Johnny. Jest tam fotografia mojej żony. Po drugiej stronie szkic. Jeżeli nie wrócę za piętnaście minut, postaraj się, żeby to trafiło do dywizyjnego oddziału operacyjnego. Do szefa.

- A ty dokąd idziesz? — zaniepokoił się Burnecker.
- Po Cowleya.

Trochę zdziwiła go własna odpowiedź. Nie przemyślał tej sprawy, nie przetrwał. W ciągu ostatnich trzech dni przywykł do nagłych decyzji i odpowiedzialności za kogoś. Teraz dręczył go obraz Cowleya, który skulony, drżący leży sam w zaroślach porzucony dlatego, że bał się głębokiej wody.

— A gdzie jest ten jakiś Cowley? — zainteresował się człowiek z Georgii.

— Za kanałem. — Burnecker wskazał ręką kierunek.

— Oo! — Vernon spojrział przez zielonawy brzask w stronę nieprzyjacielskiego brzegu, potem zwrócił wzrok na Noego. — Musisz przepadać za panem Cowleyem.

— Szaleję za nim. — Ackerman chciał, żeby towarzysze nie pozwolili mu odejść, nikt jednak nie oponował. "

— Na jak długo idziesz? — zapytał żołnierz ze schronu.

— Chyba na kwadrans.

— Hm... Warto oblać taki kwadrans odwagi.

Podniósł w rękę butelkę obrosłą od dołu błotem, w którym czujka przestała całą noc. Noe wydobyl korek i pociągnął tęgo. Łzy stanęły mu w oczach. W gardle i przelyku poczuł nieznośne pieczenie. Żołądek rozgrzał się tak, jak gdyby ktoś włączył nagle piecyk elektryczny.

— Co to za diabelstwo? — spytał Noe zwracając butelkę.

— Jakiś tutejszy trunek. Chyba z jablek — wyjaśnił żołnierz ze schronu. — Posłuż przed kąpielą.

Z kolei podał calvados Burneckerowi, ten zaś napił się wolno, z rozważą i odstawił flaszkę.

— Słuchaj — zwrócił się do przyjaciela. — Niepotrzebnie chcesz wracać po Cowleya. Miał taką samą sposobność jak my. Jesteś w porządku. Na twoim miejscu nie szukałbym skurwysyna. Gdybym wierzył, że go przekonam, poszedłbym z tobą. Ale nie wierzę i nie pójde. I tak draniowi nic nie wytłumaczysz.

Noe ocenił z uznaniem chłodną, logiczną pracę farmerskiego mózgu.

— Dobrze, dobrze — powiedział. — Jeżeli nie będzie mnie za piętnaście minut, twoja głowa w tym, żeby szkic trafił do oficera operacyjnego dywizji.

— Na pewno trafi.

— A ja przejdę się po linii — posiedział Vemon. — Szepnę frajerom, żeby ci w łeb nie kropnęli, jak się wychylisz.

— Dziękuję.

Ackerman ruszył w stronę kanału. Mokra koszula oblepiała mu uda. Alkohol piekł w żołądku. Zatrzymał się na brzegu. Przyplływ był teraz szybszy. Lodowata woda szemrała groźnie... Gdyby zawrócić, gdyby się rozmyślić... Za pół godziny jakiś biwak albo nawet szpital... Kto wie? Może prycza, koce, gorąca herbata i nic, tylko sen, sen i spokój przez dnie, tygodnie, miesiące... „Zrobiłem wszystko, co w ludzkiej mocy. Może nawet więcej. Nikt nic mi nie zarzuci. Przekradłem się. Przeprowadziłem Burneckera. Narysowałem szkic. I nie poddałem się, chociaż tyle było okazji. Trudno wymagać więcej. A porucznik Green mówił, żebyśmy szli do amerykańskich linii. Na własną rękę. Jak się komu uda... Niczego więcej nie wymagał. Nie wiem, czy znajdę Cowleya, a jeżeli nawet znajdę, znowu nie wlezie w wodę... Będzie się bał. Przyplływ wzbiera. Kanał coraz głębszy...”

Kłęczał nad brzegiem. Patrzy! na ciemne falki. Wreszcie odepchnął się i zsunął cicho. Zapomniał, że woda jest aż tak zimna. Na piersiach czuł bolesną obręcz chłodu. Oddychał z trudem i tracąc co chwila grunt szedł w stronę przeciwnego brzegu. Dotarł tam szybko i zaczął wędrować pod prąd. Przypomniał sobie, jak długo brodzili z Burneckerem, jak wyglądało miejsce, w którym rozpoczęli przeprawę. Posuwał się wolno. Przystawał raz po raz. Nasłuchiwał. Z oddali dobiegało warczenie jednego samolotu i bezładna kanonada dział przeciwlotniczych. Artyleria ścigała widać ostatnią niemiecką maszynę, która przed brzaskiem umykała za własne linie. Ale w najbliższym sąsiedztwie nic nie mąciło ciszy.

Po pewnym czasie Noemu wydało się, że trafił w znajome miejsce. Powoli, z trudem wywindował się na nieprzyjacielski brzeg i podszedł do kępy zarośli. Pięć stóp przed nimi stanął. Szeptem powtórzył kilka razy nazwisko kolegi. Nie dostał odpowiedzi, więc przysunął się bliżej, bo był przekonany, że tutaj właśnie zostawił Cowleya.

— Cowley! — zawołał głośniejszym głosem. — Cowley!

— Odczep się! — warknął głos z zarośli.

— Kanał niegłęboki — szepnął Noe tonem perswazji. — Jak Boga kocham, niegłęboki. Nie będziesz musiał pływać.

— Wariata strugasz czy co?

— Nie. Burnecker jest już na drugiej stronie. Chodź. Czekają na nas. Czujki uprzedzone. Nikt nie wystrzeli. Chodź! Chodź! Prędej, póki się nie rozjaśni.

— Prawdę gadasz? — zapytał podejrzliwie Cowley.

— Pewnie, że prawdę.

— Niech to cholera! I tak nie pójdę!

Bez słowa Noe zawrócił ku brzegowi, ale usłyszał za sobą szmer, zrozumiał więc, że nie idzie sam. Nad skarpą Cowley omal się nie wycofał. Noe milczał. Spojrzał tylko na opornego towarzysza i zsunął się cichaczem. Tym razem woda nie była wcale zimna. „Widać zdrętwiałem” — pomyślał i w tej chwili usłyszał głośne chlupnięcie.

Chwyci! Cowleya wpół i pomógł mu utrzymać równowagę. Nieprzytomne pluskanie ustało. Przez grubą odzież czuć było, że Cowley drży niczym w ataku febry.

— Trzymaj się mnie! I cicho. Na miłość boską, cicho! — szepnął Ackerman pociągając towarzysza na środek kanału.

Tym razem czuł się swobodnie, niemal beztrzesko. „Wprawa. Przyzwyczajenie” — myślał i szybko brodził do zbawczego brzegu.

— Matko! Oj, matko! — mamrotał Cowley nieswoim, piskliwym głosem. — Matko! Matko! Matko!

Ale deptał po piętach przewodnikowi i nie ociągał się nawet w najgłębszych miejscach. Kiedy przebrnęli kanał, Noe nie przystanął, lecz z nurtem przyplywu ruszył wzdłuż skarpy. Macając rękami szukał osypiska, dzięki któremu wylądował pomyślnie z Burneckerem. Znalazł je znacznie wcześniej niż przewidywał.

— Tutaj — szepnął odwracając głowę. — Trzymaj się. Pomogę ci wyleźć.

— Matko! Oj, matko! — jęknął Cowley.

Noe podpierał go, popychał, windował z całych sił na stromą pochyłość. Cowley by! niezręczny i ciężki, po chwili jednak zaczął jednym kolanem o szczyt skarpy. Kiedy wyciągnął drugą nogę, szcękniętą krótko pistolet maszynowy.

Cowley stanął, wyprostował się i nieprzytomnie zatrzepotał rękami. Przez moment próbował utrzymać równowagę, lecz zachwiał się i padając w tył dzielił Noego butem w głowę. Raz wrzasnął przeraźliwie, runął w wodę i nie wypłynął.

Ackerman stał oparty o gliniastą skarpe. Jak urzeczony wpatrywał się w miejsce, które pochłonęło Cowleya. Postąpił nawet krok w tamtą stronę, ale nic nie zobaczył i poczuł, że kolana odmawiają mu posłuszeństwa. Ledwie wrócił do osypiska i niemrawo, powoli wygramolił się na górę. „Wyśniło mu się — powtarzał bezwiednie. — Wyśniło mu się, że utonie. Wyśniło mu się, że utonie.”

Dygotał i dzwonił zębami, kiedy Burnecker i żołnierz z Georgii wlekli go biegiem w stronę schronu.

W pół godziny później szeregowiec Ackerman miał na sobie mundur ściągnięty z trupa, który leżał niedaleko dowództwa. W tym mundurze, o trzy numery za obszernym, stał przed szefem oddziału operacyjnego dywizji. Był to siwowłosy, niski, okrągły podpułkownik o twarzy umazanej czerwoną farbą, co dziwnie plamiła skórę i szczeci niasty, szpakowaty zarost. Oficer operacyjny chorował na złośliwy liszaj i próbował się go pozbyć nie rezygnując z pełnienia normalnych obowiązków.

Dowództwo dywizji mieściło się w stodole obłożonej dla bezpieczeństwa workami z piaskiem. Na zaśmieconej podłodze żołnierze spali pokotem. W stodole było ciemno, bo samochody, prądnice i cały elektrotechniczny sprzęt dowództwa dywizji znajdował się na barce zatopionej podczas lądowania. Siwy podpułkownik przy mdłym płomyku świecy oglądał szkic, sporządzony przez Noego. Burnecker stał obok przyjaciela. Oczy miał przymknięte. Zaczynał drzemać.

— Dobrze! Bardzo dobrze! — mówił oficer operacyjny kiwając i kręcąc głową. — Bardzo dobrze! Doskonale!

Noe słuchał i nie rozumiał, o co w ogóle chodzi. Wiedział jedno: że jest mu bardzo smutno, ale nie mógł sobie przypomnieć dlaczego.

— Spisaliście się, chłopcy! — Człowiek z purpurową twarzą był pogodny, uśmiechał się nawet przyjaźnie. — Tutaj i tu... Aha! Rozumiem!... Medale mурowane. Zaraz to pchnę do artylerii korpusnej. Przyjdźcie tu po południu. Powiem, co z tego wynikło.

Noe dziwił się półprzytomnie, dlaczego ten jegomość ma szkarlatną twarz i o czym właściwie gada.

— Prosiłbym o zwrot fotografii... później... — powiedział głośno. — To moja żona z synem.

— Oczywiście. Naturalnie — podpułkownik uśmiechnął się jeszcze serdeczniej; żółte spróchniałe zęby błysnęły między siwoszkarlatnym zarostem. — Dziś po południu będziemy reorganizować kompanię C. Razem z wami wróciło blisko czterdziestu ludzi.

Evans! — zawołał pod adresem szeregowca, który drzemiąc podpierał ścianę. — Zaprowadź tych zuchów do kompanii C. Nie martw się, chłopcze — uśmiechnął się do Noego. — Nie czeka was daleki spacer. Kompania C biwakuje na sąsiednim polu. — Jeszcze raz przysunął szkie do oczu. — Dobrze. Bardzo dobrze. Doskonale.

Evans ocknął się i wyprowadziwszy ze stodoły Burneckera i Ackermana powiódł ich przez szarą poranną mgłę na sąsiednie pole. Pierwszym napotkanym tam znajomym był porucznik Green. Zmierzył przybyszów szybkim spojrzeniem i powiedział:

— Tam leżą koce. — Ręką wskazał kierunek. — Owińcie się i wyśpijcie porządnie. Pogadamy później.

Idąc po koce Burnecker i Noe musieli minąć pisarza kompanijnego. Shields zdążył już zmajstrować stół z dwóch skrzynek po konserwach i urzędował w rowie pod grupą drzew na granicy pola.

— Hej! — zawołał. — Jest dla was poczta. Pierwsza po lądowaniu! Chciałem już dać do zwrotu. Myślałem, że krewa z wami, chłopcy.

Sięgnął do worka i wyjął kilka listów. Noe chwycił żółtą pękatą kopertę adresowaną ręką Hope. Wsunął ją pod koszulę odziedziczoną po nieznanym nieboszczyku i bez pośpiechu wybrał trzy koce. Potem wraz z Burneckerem odszedł pod drzewo i rozpostarł koce na murawie. Usiedli. Zaczęli zdejmować wyfasowane w obcej kompanii trzewiki. Noe otworzył pękatą kopertę, z której wypadł kolorowy magazyn w małym formacie. Zdziwił się i zabrał do listu od żony.

„Najmilszy — pisała Hope. — Przede wszystkim muszę wyjaśnić, skąd ten magazyn. Pamiętasz? Jeszcze z Anglii przysłałeś wiersz własnego pióra. Wydał mi się za ładny, żeby chować go tylko dla siebie, zebrałam więc odwagę i posłałam...”

Chwycił magazyn. Na okładce zobaczył swoje nazwisko. Nerwowo zaczął przerzucać strony i niebawem przeczytał znowu: Noe Ackerman. Niżej następowały równe, niedługie linijki wiersza:

O, strzeż się buntu serca  
Co z wojny sobie drwi...

— Johnny! — wrzasnął. — Hej, Johnny!  
— Czego?

Burnecker próbował uporać się z własną korespondencją, ale przed chwilą dał za wygraną. Leżał na wznak, opatulony kocami. Tępo patrzył w szare niebo.

— Co się stało?

— Posłuchaj, Johnny! Mój wiersz! Wydrukowany. W magazynie. Chcesz przeczytać?

Po długim namyśle farmer dźwignął się ciężko i usiadł.

— Naturalnie. Dawaj.

Noe wręczył mu zeszyt otwarty na stronie poświęconej swojemu wierszowi. Bacznie obserwował twarz przyjaciela podczas lektury. Burnecker czytał wolno, poruszając bezdźwięcznie wargami. Parę razy przymykał oczy, kiwał się podejrzenie. Ale dobrnął do końca trzeciej strofy.

— Klasa! — rzekł zwracając magazyn siedzącemu na kocach autorowi.

— Rozumiesz myśl przewodnią, co?

— Myśl przewodnia? Aha. Wiersz pierwsza klasa — powiedział Burnecker, przypieczętował krytykę poważnym skinieniem głowy i ułożył się wygodnie.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Przy szosie stała tablica z ostrzeżeniem: „Tysiąc jardów drogi pod obserwacją i ogniem nieprzyjaciela. Odstęp między wozami siedemdziesiąt pięć jardów”.

Whitacre zerknął spod oka na swojego szefa. Ale pułkownik Pavone był pochłonięty powieścią kryminalną, którą zdobył w obozie przejściowym w Anglii podczas oczekiwania na przeprawę przez Kanał. Michael nie znalazł nikogo więcej, kto potrafiłby czytać w jadącym jeepie. Dodał gazu i samochód pomknął szybciej pustą drogą. Po prawej stronie ciągnęło się zbombardowane lotnisko zarzucone szkieletami niemieckich maszyn. Przed nimi w czystym powietrzu letniego popołudnia dymy kreśliły smugi nad stratowanymi łanami pszenicy. Podskakując na wybojach minęli kępę drzew, a potem grzbiet płaskiej pagórka, gdzie kończyło się tysiąc jardów pod obserwacją.

Michael odetchnął z ulgą i zmniejszył szybkość. Jechali w kierunku zajętego poprzedniego dnia przez Anglików miasta Caen, skąd słychać było głuchy, miarowy bas artylerii ciężkiej. Whitacre nie wiedział oczywiście, w jakim celu jego szef wybiera się do Caen. Pavone—lotny kontroler Administracji Wojskowej — miał papiery pozwalające wędrować swobodnie z jednego końca frontu na drugi, toteż z Michaelem przy kierownicy jeździł po Normandii niby beztrouski, trochę zaspany turysta. W chwilach wolnych od lektury przyglądał się wszystkiemu, przyjaźnie pozdrawiał żołnierzy na stanowiskach ogniowych, płynną paryską francuszczyzną rozmawiał z cywilami, od czasu do czasu robił krótkie notatki na świstkach papieru. Wieczory i noce spędzał w głębokim schronie ziemnym na polu w pobliżu Carentan i własnoręcznie wystukiwał na maszynie długie raporty, które dokądś wysyłał. Ale Whitacre nie czytał ich ani razu i nie miał pojęcia, dla kogo są przeznaczone.

— Książka do luzu — odezwał się Pavone rzucając broszurowy tomik na tylne siedzenie jeepa. — Tylko półgłówki może czytać powieści kryminalne. — Rozejrzył się dokoła z uśmiechem na okrągłej blazńskiej twarzy. — Daleko jeszcze? — zapytał.

Bateria ukryta w zabudowaniach jakiejś wioski otworzyła ogień. Przednia szyba jeepa zadrała od huków, a Michael poczuł jakieś niemiłe ściskanie w dołku, którego doświadczał zawsze, gdy działa odezwały się w pobliżu.

— Nie. Niedaleko — odrzekł posępnie.

— Najprzykrzejsza jest pierwsza setka ran — roześmiał się pułkownik. — Później można przywyknąć.

„Skurwysyn! — pomyślał Whitacre. — Zrobi swoje! Uśmierci mnie któregoś dnia”.

Szosa przemknęła angielska sanitarka. Jechała szybko w kierunku tyłów. Straszliwie podskakiwała na wybojach. Michael wyobrażał sobie rannych wijących się na noszach, jęczących boleśnie.

Koło drogi stał spalony czołg, rozpruty i poczerniały. Zaleciało trupim smrodem. Ten cikliwy, ohydny, bynajmniej nie zwycięski odór zapowiadał zawsze bliskość świeżo zdobytego miasta, co na mapie i w komunikatach BBC wytyczało nowe zwycięstwo. Michael trzymał ręce na kierownicy, spoglądał w prawo i w lewo przez zakurzone okulary szoferskie. Czuł, że skóra na nosie zaczyna mu się łuszczyć od palącego słońca, i mgliście pragnął znaleźć się znowu w Anglii, przy stosie starego drewna.

Niebawem samochód wspiał się na grzbiet wzgórza i pasażerowie zobaczyli przed sobą Caen. Brytyjczycy szturmowali je przez cały miesiąc z zapalem trudnym do zrozumienia po pierwszym rzucie oka na miasto. Mury stały wprawdzie, ale domów ocalało niewiele. Ulica po ulicy, jak okiem sięgnąć, szare kamienne budynki były pogruchotane, zwalone. „Flaki a la Caen” — przypomniał sobie Michael z jadłospisów francuskich restauracji w Nowym Jorku, a z wykładów historii średniowiecznej pozostał mu w pamięci uniwersytet w Caen. Obecnie ciężkie moździerze brytyjskie strzelały zza stosów książek pochodzących z biblioteki uniwersyteckiej. W kuchniach, gdzie tak umiejętnie przyrządzano flaki, zajmowały stanowiska kanadyjskie karabiny maszynowe.

Przy wieżdździe do miasta trzeba było szukać drogi między zwałami kamienistego gruzu. Pavone dał znak, żeby zatrzymać wóz, i Michael cofnął jeepa nad przydrożny rów biegnący wzdłuż potężnych murów starego klasztoru. Kilku Kanadyjczyków ciekawie przyglądało się z rowu Amerykanom.

„Dlaczego nie nosimy angielskich hełmów? — pomyślał nerwowo Whitacre. — Kasze garnki są diabelnie podobne do niemieckich. Brytyjczycy gotowi najpierw strzelać, a później sprawdzać papiery”.

Pułkownik wysiadł z jeepa i zatrzymał się na skraju rowu.

— Jak leci? — zagaił rozmowę.

— Całkiem do chrzanu — odpowiedział drobny, śniady Kanadyjczyk o wyraźnie włoskim typie. — Pan pułkownik do miasta? — zapytał z uśmiechem i stanął w rowie.

— Chyba tak.

— Roi się tam od strzelców wyborowych i... — zaczął żołnierz, lecz dał nurka w rów, bo usłyszał chichot nadlatującego pocisku.

Whitacre skulił się, ale nie zdążył wyskoczyć z samochodu i nieopradnie zakrył twarz dłońmi. Eksplozja nie nastąpiła. „Niewypał — zarejestrował mechanicznie umysł Michaela. — Dzielni robotnicy z Warszawy i Pragi Czeskiej napełniają granaty piaskiem. Podobno bywają nawet w niegroźnych skorupach kartki z bohaterskim napisem: «Pozdrowienia od robotników Škody, wrogów faszyzmu\*. A może to wszystko lipa? Wymysły korespondentów wojennych i Propagandy Wojskowej? Może pocisk wybuchnie za sześć godzin, jak wszyscy o nim zapomną?”

— Tak co trzy minuty — warknął Kanadyjczyk wstając. — Jesteśmy tu niby na wypoczynku, a co trzy minuty robimy przepisowe padnij. Niech to cholera! — zaklął. — Dowództwo angielskie ma ładne pojęcie o wypoczynku!

— Są w mieście miny? — zapytał Pavone.

— Naturalnie, że są! — obruszył się żołnierz. — Dlaczego miałyby nie być min? Co pan sobie myśli? Że wjeżdża na stadion sportowy w Ameryce? — Mówił akcentem, który brzmiałby całkiem naturalnie w Brooklynie.

— Skąd pochodzicie? — zapytał pułkownik.

— Z Toronto. A niech ktoś spróbuje wyciągnąć mnie stamtąd drugi raz! Prędeż zobaczy własne ucho.

Drugi pocisk zachichotał w powietrzu. I tym razem Michael nie zdążył wygrzebać się z wozu. Kanadyjczyk zniknął jak zakłęty. Pavone stał oparty niedbale o maskę jeepa. Granat wybuchnął, ale nie bliżej niż o sto jardów, bo na szosę nie padły odłamki. Po drugiej stronie klasztornej muru dwa działa odpowiedziały szybkim ogniem.

Kanadyjczyk stanął w rowie.

— Wypoczynek! — burknął jadowicie. — Ładny wypoczynek! Szkoda, że nie wstąpiłem do armii amerykańskiej. Cholera! Nigdzie tu

nie widać Anglików, co? — Nienawistnie spojrział na zrytą szosę i ruiny. — Sami Kanadyjczycy! Niech Kanada radzi sobie tam, gdzie gorąco. Żaden Anglik nie dotarł dalej niż burdel w Bayeux!

Pavone przyjął uśmiechem tę niewiarygodną przesadę.

— Słowo daję... — zaczął.

— Niech pan nie sprzecza "się ze mną — zawołał głośno brunet z Toronto. — Niech pan się ze mną nie sprzecza! Jestem zanadto zdenerwowany.

— Dobrze. Nie będę się z wami sprzeczał. — Pułkownik uśmiechnął się i zsunął na tył głowy helm, który nad krzaczastymi brwiami i błazeńską twarzą wyglądał teraz jak całkiem niewojskowy nocnik.

— Niedługo się zobaczymy — dodał.

— Jeżeli pana przedtem nie zastrzelą albo ja nie zdezerteruję — warknął Kanadyjczyk.

Pavone pożegnał go gestem ręki.

— Mike — zwrócił się do Whitacre'a. — Teraz ja poprowadzę. Siadaj z tyłu i oczy miej otwarte.

Michael przesiadł się na zrolowaną budę jeepa, skąd mógł strzelać wygodnie na wszystkie strony. Pavone ujął kierownicę, bo w podobnych chwilach zajmował zawsze najniebezpieczniejsze, najbardziej odpowiedzialne posterunki. Jeszcze raz machnął ręką w stronę Kanadyjczyka, lecz nie otrzymał odpowiedzi, nacisnął więc starter i wyboistą drogą wjechał do miasta. Michael zdmuchnął kurz z celownika, odbezpieczył pistolet maszynowy i ułożywszy go na kolanach patrzył przed siebie nad głową kierowcy.

Raz po raz baterie brytyjskie odzywały się między ruinami. Pavone prowadził wóz ostrożnie, wymijał głębokie wyrwy w bruku i rumowiska gruzów.

Whitacre spoglądał podejrzliwie na okna ocalałych domów. Wydawało mu się, że miasto Caen składa się z samych okien przesłoniętych roletami, cudem zachowanych minio bombardowania z powietrza, ulicznych walk oddziałów pancernych, ognia artylerii brytyjskiej i niemieckiej. Czuł, że jest łatwym, odsłoniętym celem, gdy siedząc wysoko sunął pustymi, znękanymi wojną ulicami. Przecież za każdym z niezliczonych okien może czyhać strzelec wyborowy. Oto podnosi precyzyjny karabin z lunetą, uśmiecha się szyderczo i czeka, by dwaj szaleńcy w odkrytym jeepie podjechali nieco bliżej.

„Ostatecznie nie mam nic przeciwko temu, by polec... — Odwrócił się gwałtownie, bo zdawało mu się, że usłyszał za sobą skrzypnięcie otwieranego okna. — Nie mam nic przeciwko temu, by polec w bitwie,

w której bym walczył. Ale tak, podczas wycieczki turystycznej z tym głupim ryzykantem, eks-cyrkowcem..."

Urwał, bo zorientował się, że okłamuje samego siebie. Na pewno nie chciałby polec w takich czy innych warunkach. Nie miałyby to najmniejszego sensu. Wojna sunie naprzód spokojnym, miarowym krokiem i śmierć jednego człowieka nie robi różnicy nikomu z wyjątkiem tego człowieka i może jego rodziny... Zginie czy nie zginie — sprawy wojny rozstrzygną się dokładnie w tym samym momencie dwudziestego stulecia. Ustanie pochód armii, wyniszczą się wzajemnie maszyny, które obecnie decydują o losach walki, rozejm będzie podpisany...

„Przeżyć jakoś! — przypomniał sobie Whitacre rozpaczliwe hasło spod stosu starego drewna. — Przeżyć! Przeżyć! Przeżyć!”

Na wszystkie strony grzmiały baterie. Trudno było ogarnąć wyobraźnią zdumiewającą organizację. Jacyś ludzie telefonują, kreślą siatki liczbowe na mapach, korygują odległości celów, mozołą się nad wielkimi, skomplikowanymi mechanizmami, dzięki którym działo strzela na pięć mil w jednej minucie, w następnej zaś na siedem. A wszystko odbywa się niewidocznie w piwnicach starego miasta Caen, za odwiecznymi murami ogrodów, w bawialniach Francuzów, którzy niedawno byli kupcami żelaznymi lub fabrykantami konserw, a obecnie nie żyją. Jak duże mogło być Caen! Ilu liczyło mieszkańców? Tytu co Buffalo, Jersey City, Pasadena?

Jeep sunął wolno. Pavone ciekawie rozglądał się dokoła. Michael siedząc wysoko czuł się coraz bardziej odsłonięty, nagi.

Skręcili w uliczkę wytyczoną dwoma rzędami rozdartych trzypiętrowych kamienic. Kaskady gruzów opierały się o tylne ściany domów, spływały na jezdnię. Wysoko na ruinach kobiety i mężczyźni pochyleni jak szmaciarze pracowicie grzebali w rumowiskach swoich siedzib. Spod grubej warstwy śmiecia wyciągali tu jakiś łachman, tam lampę, parę pończoch lub aluminiowy rondel. Nie dbali o huczące w pobliżu brytyjskie armaty, o strzelców wyborowych ani o artylerię niemiecką, co zza rzeki ostrzeliwuje miasto. Pamiętali jedynie, że to były ich domy, że pod zwalami drewna i kamieni leży ich własność gromadzona stopniowo przez całe życie.

Jezdnię barykadowały taczki i wózki dzieciinne. Francuzi zbierali pośród ruin naręcza zakurzonych ruchomości i z trudem zachowując równowagę schodzili w dół, aby układać je starannie w tych prymitywnych wehikulach. Nie patrzyli na przejeżdżających obok Amerykanów ani na kanadyjskie jeepy lub sanitarki, które od czasu do czasu

przemykały ulicą. Odwracali się i wspinali mozolnie na zastygłe wodospady gruzu, by odkopywać jakieś zachowane w pamięci, nadwerżone skarby.

Mijając cierpliwych zbieraczy Whitacre zapomniał, że w każdej chwili może dostać kulę między łopatki albo w dołek. Zawsze wyobrażał sobie, że jeżeli pocisk trafi go z przodu, przeryje właśnie to delikatne miejsce niżej żeber. Ale teraz nie myślał o pociskach. Miał ochotę wstać i zawołać pod adresem Francuzów: „Odejdźcie, ludzie! Uciekajcie z miasta! Nie warto oddawać życia za graty, których szukacie. Hałas, jaki słyszycie, to wybuchy granatów. A kiedy granat wybucha, odłamki nie robią różnicy między mundurem a gołą skórą, między wojskowym a cywilem. Wróćcie dopiero, kiedy wojna potoczy się dalej. Wasze skarby są bezpieczne. Nikt ich nie chce. Nikt nawet nie potrafi z nich korzystać”.

Ale szeregowiec Whitacre milczał, gdy jeep jechał wolno ulicą, której mieszkańcy opanowani szaleńczą żądzą posiadania rozkopywali wysokie zwaliska, by dobyć srebrną ramkę z fotografią babki, durszlak, sztucze do pieczystego, haftowaną kapę, zapewne białą przed zburzeniem domu.

Jeep wjechał na obszerny plac, pusty i otwarty z jednej strony, gdzie wszystkie budynki zostały zrównane z ziemią. Dalej płynęła rzeka Orne, a za nią ciągnęły się niemieckie linie. Michael dobrze zdawał sobie sprawę, że gdzieś na przeciwległym brzegu nieprzyjacielskie oczy obserwują wlokący się leniwie samochód. Nie wątpił, oczywiście, że Pavone rozumie to równie dobrze. Ale Pavone nie zwiększał szybkości. „Komu, u licha, ten skurwysyn chce pokazać fason? — irytował się w duchu Whitacre. — I dlaczego nie robi tego całkiem sam?”

Bez wystrzału minęli niebezpieczny plac i spokojnie pojechali dalej. Chociaż artyleria grzmiała dość regularnie, wydawało się, że w mieście zalega cisza. Silnika jeepa nie słyszeli, gdyż do jego pomruku przywykli podczas wielodniowej włączki drogami zatłoczonymi przez kolumny wojskowych pojazdów, niekiedy ostrzeliwanymi nieprzyjacielskim ogniem. Michael nasłuchiwał bacznie podejrzanych szelestów lub szmerów: skrzypnięcia okna, zgrzytu klamki u drzwi, chrzęstu karabinowego zamka. Był pewien, że taki dźwięk złowiłby uchem wśród ruin wyludnionego średniowiecznego miasta, gdyby nawet cały pułk artylerii otworzył właśnie ogień w promieniu stu jardów.

Pavone włączył się wolno pośród płam jaskrawego letniego słońca i czerwonego cienia, który Whitacre znał z obrazów Cezanne'a,

Renoira i Pissarra, nim zdążył stąpić na francuską ziemię. Pułkownik nie śpieszył się. Uważnie spoglądał na wszystkie strony, zatrzymał nawet wóz, by na nie uszkodzonym narożniku domu odczytać nazwy dwóch nie istniejących ulic. Michael patrzył raz przed siebie, na opalony krzepki kark pod hełmem, raz na boki, gdzie za poszczerbionymi ścianami mogła czyhać śmierć.

Pavone nacisnął starter i ruszył pustkowiec, które było niegdyś główną arterią Caen.

— Spędziłem tu raz weekend w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku — odezwał się spoglądając przez ramię na Michaela. — Przyjechałem z przyjacielem, reżyserem filmowym, i z dwoma dziewczętami z jego zespołu. — Smutno pokiwał głową. — Bardzo było przyjemnie. Mój przyjaciel miał na imię Jules. Poległ w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku. — Zerknął na wypatroszone sklepy. — Dziś nie poznaję ani jednej ulicy.

„Fantastyczna historia! — pomyślał Whitacre. — Gość naraża moje życie dla sentymentalnych wspomnień z weekendu spędzonego sześć lat temu z dwiema aktoreczkami i nieboszczykiem reżyserem!”

Skreśli w ulicę, na której panował znaczny ruch. Samochody zajeżdżały przed kościół. Kilku młodych Francuzów z opaskami Ruchu Oporu uwijało się koło żelaznych sztachet. Jacyś Kanadyjczycy pomagali ładować do sanitarki rannych cywilów. Pavone zatrzymał wóz na małym plaćyku przed kościołem. Na chodniku piętrzył się stos waliz, koszyków, torb podróżnych, worków i przeróżnych sprzętów domowych owiniętych porządnie w prześcieradła, kołdry, koce.

Młoda dziewczyna w jasnobłękitnej sukience, czystej i świeżo wyprasowanej, nadjechała na rowerze. Była bardzo ładna. Miała puszyste granatowoczarne włosy. Michael zerknął na nią ciekawie i w odpowiedzi otrzymał spojrzenie pełne wzdrygi i nienawiści. „Wini mnie — pomyślał z goryczą — za bombardowania i swój dom w gruzach, może i za to, że jej ojciec nie żyje, a kochanek zawieruszył się Bóg wie gdzie”. Francuzka przemknęła koło pokaleczonych kamiennych murów i samochodów z rannymi. Jej elegancka szeroka spódnica wydymała się jak balon. Michael miał ochotę pogoniec za piękną cyklistką, zacząć rozmowę, przekonać ją... Przekonać o czym? Że nie jest pozbawionym serca żołdakiem gotowym gapić się na kształtne łydki nawet fr ruinach tragicznie zmarłego miasta? Że pojmuje jej niedolę, ona zaś nie może w mgnieniu oka osądzać go lekkomyślnie? Że powinna mieć dla niego litość i zrozumienie i oczekiwać w zamian zrozumienia i litości?...

Dziewczyna odjechała. Zniknęła za rogiem ulicy.

— Wejdzmy — powiedział Pavone.

Po płomiennych blaskach słońca wewnątrz kościoła zdawało się ciemne. Whitacre zwietrzył je, nim zobaczył. Poczul zadawnioną woń świec i kadzidła spalonego w ciągu wieków, a na tym tle cklivy fetor starości, leków i śmierci. Stojąc w kruchcie mrugał oczami i słuchał tupotu dziecięcych nóg po nie zasłanej słomą kamiennej posadzce. W sklepieniu był wielki, ziejący otwór po bombie czy działowym pocisku. Smuga światła sączyła się tamtędy i niby bursztynowy reflektor przecinała otchłań kościelnych mroków.

Kiedy wzrok przywykł do posępnego cienia, Michael zobaczył, że w świątyni jest pełno. Cała ludność Caen (albo przynajmniej ci, co nie zdążyli jeszcze umknąć lub umrzeć) zgromadziła się tutaj, by pod boską opieką czekać pokornie na wywiezienie za linię frontu. Na pierwszy rzut oka kościół sprawiał wrażenie gigantycznego przytułku dla starców. Na kamiennej posadzce, na noszach, kocach, wiązках słomy leżały dziesiątkami półtrupcy o żółtych, przeoranych zmarszczkami twarzach: bliscy śmierci, schorowani osiemdziesięcioletni mężczyźni i kobiety. Niemrawo zacierali pergaminowe dłonie. Ostatkiem sił podciągnęli pod brodę koldry. Skamleli i pojękiwali niby konające zwierzęta. Przekrwionymi, zasłzonymi bielmem oczami wpatrywali się w stojących nad nimi ludzi. Moczyli kamienne płyty, bo byli za starzy, by się ruszać, i zanadto zdziecinniali, by dbać o takie drobiazgi. Macali brudne bandaże na ranach otrzymanych w wojnie młodych ludzi, która przed miesiącem rozszalała w ich mieście. Umierali na raka, gruźlicę, zwapnienie żył, bolesną dusznicę, ogólne wyczerpanie, zakażenie krwi, uwiąd starczy. W smrodzie choroby, niedołęstwa i zgrzybiałego wieku Whitacre z trudem chwytal oddech spoglądając na zwiędłe, napiętnowane nienawiścią twarze, oświetlone tu i ówdzie błogosławionymi strzałami słońca, w których drobiny pyłu płały wesoło. Pośród sienników, brudnych noszy i wiązek słomy, pośród starców zżartych przez raka lub sparaliżowanych i przykutych do łóżka na pięć lat przed brytyjską ofensywą, pośród wieźm, których prawniki ginęły pod Sedanem, Oranem czy nad Jeziorem Czad, biegały dzieci. Zajęte zabawą migwały wesoło w jasnej smudze płynącej z dziury po niemieckim pocisku, aby za moment zginąć jak jętki w sadzawce szkarlatnego cienia. Piskliwe głosiki i śmiechy brzęczały srebrzyście nad głowami zaścielających posadzkę, bliskich grobu starców.

„Oto wojna — medytował Whitacre. — Wojna w ostatecznym swym wyrazie. Żaden wódz nie przekrzykuje kanonady miotając



rozkazy ochryplym głosem. Żołnierze nie rzucają się na bagnety w obronie słusznych spraw. Nie ma triumfalnych komunikatów i awansów. Są jedynie starcy: krzywokościści, bezzębni, wyblakli, głusi, schorowani, pozbawione płci sędziwe istoty zebrane w cuchnących zakamarkach ruin i niedbale rzucone na kamienną posadzkę. Siusiąją pod siebie i mrą przy akompaniamencie wesołego tupotu nóg rozbawionej dziatwy i grzmotu dział powtarzających na swój huraganowy sposób echa wytartych sloganów, które o trzy tysiące mil stąd wydadzą się wielkimi prawdami. Zgrzybiali starcy leżą spokojnie, niedostępni sloganom. Pośród chyżych dzieciennych stóp czekają na decyzję jakiegoś kwatermistrzostwa i na trzy dodatkowe ciężarówki z kolumny amunicyjnej, którymi odjadą wraz z brzemieniem swoich cierpień do innego na poły zburzonego miasta, gdzie zostaną zapomniani i wymrą nie przeszkadzając w operacjach wojskowych".

— Jak tam, panie pułkowniku? — spytał Michael. — Co Administracja Wojskowa ma do powiedzenia na ten temat?

Pavone uśmiechnął się łagodnie i lekko dotknął ramienia podwładnego, jak gdyby dzięki wiekowi i doświadczeniu życiowemu rozumiał, że miody człowiek czuje się w pewnym stopniu odpowiedzialny za tę nędzę, jak gdyby wybaczał mu z tej racji ton szorstki i opryskliwy.

— Cóż, najlepiej chodźmy stąd. Brytyjczycy dostali trudny orzech do zgryzienia, niech sobie radzą — powiedział cicho.

Dwoje dzieci zbliżyło się i stanęło przed pułkownikiem. Szczupła, bardzo drobna czteroletnia dziewczynka o wielkich nieśmiałych oczach trzymała za rękę braciszka starszego o dwa lub trzy lata, lecz chyba jeszcze bardziej strwożonego.

— Proszę pana — odezwała się mała po francusku. — Bardzo prosimy o sardynki.

— Nie! Nie! — Chłopiec wyrwał rękę siostrze i ze złością uderzył ją po ramieniu. — Ci nie mają sardynek, tylko herbatniki. Głupia! Sardynki dawali tamci.

Dziewczynka zaczęła polykać lzy. Pavone uśmiechnął się do Michaela, a później przykucnął i wziął w ramiona kruszynę, dla której cała różnica między faszyzmem i demokracją polegała na tym, że jedni żołnierze dawali dzieciom sardynki, drudzy słodkie suchary.

— Nie płacz — powiedział. — Nie ma czego płakać. Mike! — zwrócił się do Whitacre'a. — Przynies no żelazną porcję.

Michael z przyjemnością wyszedł w słoneczny blask i na świeże powietrze. Wydobyl z jeepa żelazną porcję i wróciwszy w mrok zaczął

rozglądać się za swoim szefem. Kiedy tak stał z tekturowym pudłem w rękę, przysunął się do niego siedmioletni chłopak o zmierzwionej jasnej czuprynie i śmiałym uśmiechu.

— Papierosy! — odezwał się błagalnym, a zarazem bezczelnym tonem. — Papierosy dla tatusia.

Whitacre sięgnął do kieszeni, lecz w tej chwili krępa sześćdziesięcioletnia kobieta zaatakowała chłopca i mocno chwyciła go za rękę.

— Nie — powiedziała do Amerykanina. — Proszę mu nie dawać papierosów. — I odwracając się do chłopca dorzuciła z oburzeniem troskliwej babki: — Ładne rzeczy! Widzę, że nie chcesz wyrosnąć na dużego mężczyznę, co?

Pocisk armatni wybuchnął na ulicy i stłumił odpowiedź malca, który wyrwał się babci i tanecznym krokiem odbiegł korytarzem między rzędami niedołężnych starców.

Francuzka smutno pokiwała głową.

— Urwis — westchnęła. — Mój Boże! Dzieci są dziś niemożliwe! — Ukłoniła się z poważną miną i odeszła.

W tej chwili Michael zobaczył pułkownika. Postąpił kilka kroków i pochylił się nad nim z ironicznym uśmiechem. Pavone siedząc w kucki gawędził z małą i jej braciszkiem. Na zakończenie rozmowy wręczył żelazną porcję dziewczynce i ostrożnie pocałował ją w czoło. Dzieci odeszły bez słowa i ukryły się w niszy po drugiej stronie kościoła, aby rozpakować tam zyskany skarb i w spokoju zapoznać się z jego smakiem.

Dwaj Amerykanie wyszli z kościoła, lecz na progu Whitacre odwrócił się i raz jeszcze objął spojrzeniem sklepienie, smrodliwe wnętrze tonące w lawendowych cieniach. Jakiś starzec leżący blisko drzwi słabo poruszył ręką, jak gdyby wzywał pomocy; nikt jednak nie troszczył się o niego. W głębi pod ścianą parka małych dzieci — chłopiec i dziewczynka — przycupnęła nad tekturowym pudłem i na zmianę ssła blok czekoladowy, który wchodził w skład żelaznej porcji. Z oddali obrazek ten był dziwnie mglisty, nierealny.

Na placyku przed kościołem Pavone i Michael bez słowa zajęli miejsca w jeepie. Pavone usiadł przy kierownicy. Koło wozu stał przysadzisty sześćdziesięcioletni Francuz ubrany w błękitną drellichową bluzę i postrzępione workowate spodnie, latane co najmniej dwadzieścia razy. Miał szczeniaste spłowiałe wąsy, a jego duża wyrazista twarz pod robotniczą czapką przypominała trochę portrety

Clemenceau. Z poważną miną zasalutował Amerykanom, a gdy Pavone odpowiedział wojskowym ukłonem, Francuz zbliżył się i uściśnął dłonie najpierw pułkownika, następnie szeregowca.

— Amerykanie — przemówił kulawą angielszczyzną — Wolność! Równość! Braterstwo!

„Dobry Boże! Patriota!” — pomyślał niechętnie Michael, bo po wizycie w kościele nie czuł sympatii do patriotów.

— W Ameryce byłem siedem razy — podjął starszy jegomość po francusku. — Kiedyś mówiłem po waszemu jak rodowity Anglik. Ale wszystko wywietrzało mi z głowy.

Pocisk eksplodował w pobliżu. Michael zapragnął gorąco, by Pavone nacisnął starter, ale pułkownik beztrzesko oparł się o kierownicę i słuchał gadaniny Francuza.

— Za młodu pływałem w marynarce handlowej. Znam dużo miast amerykańskich: Nowy Jork, Brooklyn, Nowy Orlean, Baltimore, San Francisco, Seattle, Północną Karolinę. Jeszcze dzisiaj płynnie czytam po angielsku.

Mówiąc tak chwiał się lekko na nogach, toteż Whitacre doszedł do wniosku, że Francuz podpił tego. Rzucił z ukosa dziwnie wylęknione spojrzenia, a wargi drżały mu pod wilgotnym, obwisłym wąsem.

— Podczas pierwszej wojny — ciągnął — szwaby storpedowali mnie niedaleko Bordeaux. Spędziłem sześć godzin w Atlantyku. Sześć godzin w Atlantyku. — Do taktu szybko kiwał głową, co chwila wyglądał na bardziej pijanego.

Michael nerwowo zaszurał nogami dając pułkownikowi do zrozumienia, że pilno mu w drogę. Ale Pavone nie zareagował. Siedział bez ruchu. Cierpliwie słuchał Francuza, ten zaś paplał dalej i klepał jeepa, jak gdyby to był dzielny rumak.

— Za drugiej wojny zgłosiłem się znów do marynarki handlowej, na ochotnika.

Michael nieraz słyszał Francuzów określających walki w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku i upadek Francji jako „drugą wojnę”. Zatem obecna byłaby trzecią. Trochę za wiele, nawet na europejską wytrzymałość.

Francuz bębnił pięścią w maskę samochodu i mówił gniewnie:

— Powiedzieli w biurze, że jestem za stary, że powołają mnie, jeśli sytuacja będzie groźna. — Roześmiał się chrapliwie. — Widać dla tych młokosów z biura sytuacja nie była nigdy groźna. Wcale mnie nie powołali.

Rozejrzał się dokoła. Mętym wzrokiem objął połyskującą w słońcu fasadę kościoła, spiętrzony na chodniku stos bagaży, zaśmiecony plac i ruiny domów.

— Ale mój syn służył w marynarce wojennej. Poległ w Oranie. Zabili go Anglicy. Cóż, nie mam żalu. Na wojnie jak na wojnie.

Pavone zrobił dyskretnie współczującą minę. Lekko dotknął ramienia starego.

— Jedyne dziecko — ciągnął spokojnie Francuz. — Jak był mały, opowiadałem mu często o Nowym Jorku i San Francisco. — Nie spodziewanie podwinął lewy rękaw. — O, proszę spojrzeć!

Michael wychylił się z jeepa i zobaczył zielony tatuaż zdobiący stare, lecz krzepkie i napęczniałe mięśniami ramię. Nad romantycznymi chmurami sterczał gmach Woolwortha.

— Drapacz nieba w Nowym Jorku — objaśnił były marynarz. — Gmach Woolwortha. Zrobił na mnie kolosalne wrażenie.

Whitacre cofnął się i kilka razy stuknął obcasem w blaszaną podłogę wozu. Chciał skłonić pułkownika, żeby ruszył, nie osiągnął jednak zamierzonego skutku.

— Miły dowód sympatii i znakomity rysunek — powiedział Pavone do Francuza, ten zaś poważnie skinął głową i opuścił rękaw.

— Jestem zachwycony, że wy, Amerykanie, przyszedliście do nas nareszcie.

— Dziękuję — wtrącił Pavone.

— Jak pokazały się na niebie pierwsze amerykańskie samoloty, stałem na dachu i wymachiwałem rękami, chociaż Amerykanie rzucali bomby. A teraz... Teraz jesteście tu naprawdę. Doskonale rozumiem — dodał delikatnie — dlaczego marudziliście tak długo z przybyciem.

— Dziękuję — powtórzył pułkownik.

— Niech ludzie gadają, co chcą, ale wojna nie jest kwestią minut. A każda następna musi trwać dłużej niż poprzednia. Prosta arytmetyka wojenna. — Francuz żywo gestykulował podkreślając słowa. — Nie twierdzą, że oczekiwanie było miłe. Nie wyobrażacie sobie, panowie, jak trudno żyć z dnia na dzień pod niemiecką władzą. — Wyjął z kieszeni stary portfel z wytartej skóry, rozłożył go zamasyście i pokazał Amerykanom skrawek groszowej trójbarwnej chorągiewki schowany za poślódką przegródką z celuloidu. — Nie rozstawałem się z tym przez całą okupację, od pierwszego dnia. — Z dumą spojrzął na wyblakłą tkaninę. — Gdyby znaleźli przy mnie taką szmatkę, na pewno już bym nie żył. Ale nie. Nosilem to w kieszeni cztery lata!

Westchnął i schował portfel.

— Teraz wracam prosto z frontu — oznajmił. — Ktoś powiedział mi, że na środku rzeki, akurat między Anglikami a Niemcami, leży na moście jakaś babina. „Idź, zobacz — poradził mi ten facet — może to będzie twoja stara.” Poszedłem i zobaczyłem. — Zająknął się, podniósł wzrok ku uszkodzonej wieży kościoła. — To była moja żona.

Zaczął znów głaskać i poklepywać jeepa. Obydwaj Amerykanie milczeli.

— Czterdzieści lat — podjął były marynarz. — Czterdzieści lat żyliśmy ze sobą. Było się razem na wozie i pod wozem. Mieszkaliśmy po tamtej stronie rzeki. Pewnie zostawiła w domu papugę albo kurę i postanowiła, że warto się tam wybrać. I cóż, szwaby zastrzelili ją z karabinu maszynowego. Mój Boże! Strzelać z karabinu maszynowego do sześćdziesięcioletniej kobiety! Niemcy są niepoprawni! Leży teraz na moście głową w dół, a spódnicę ma zadartą wyżej kolan. Kanadyjczycy nie dali mi pójść po nią. Powiedzieli, że muszę zaczekać do końca bitwy. Mój Boże! Ubrana jest w nową świąteczną suknię.

Rozplakał się i zaczął cmokać głośno, bo łzy pociekły mu na obwisłe wąsy.

— Czterdzieści lat! Widziałem ją pół godziny temu. A niech tam! — Wyjął znów portfel, otworzył go i namiętnie, nieprzytomnie ucałował trójkolorowy skrawek za pożółkłym celuloidem. — A niech tam! A niech tam! — powtarzał szlochając.

Wreszcie kiwając głową wsunął portfel do kieszeni. Jeszcze raz pogładził maskę jeepa i odwrócił się bez ukłonu, bez słowa pożegnania. Jak pijany szedł niepewnie ulicą wzdłuż rozszarpanych żaluzji sklepowych i zwalów kamiennego gruzu.

Michael patrzył za nim. Czuł dziwne pieczenie w ściągniętej bolesnym skurczem twarzy.

Pavone westchnął, nacisnął starter. Jeep ruszył wolno w stronę krańców miasta. Whitacre nadal obserwował okna, bacznie, lecz bez trwogi. Nie wiadomo dlaczego, był przekonany, że obecnie nie zagrażają mu kule strzelców wyborowych.

Pod starym murem klasztoru nie było śniadego chłopca z Toronto. Pavone dodał gazu i szybko wyjechał za miasto. Mieli szczęście, że nie przystanęli na dawnym miejscu, bo nim oddalili się o trzysta jardów, usłyszeli wybuch za sobą. Jak na komendę odwrócili głowy. Nad szosą koło klasztornego muru wisiał kłęb dymu i pyłu.

Pavone i Whitacre wymienili spojrzenia, ale nie uśmiechnęli się ani odezwali. Pułkownik zwrócił wzrok na drogę i pochylił się nad kierownicą. Szczęśliwie minęli obserwowane i ostrzeliwane przez

nieprzyjaciela tysięcy jardów. Pavone zatrzymał wóz i gestem ręki wskazał podwładnemu swoje miejsce.

Przełaząc naprzód przez siedzenie Michael obejrzał się raz jeszcze. Nic nie wskazywało, że za widnokregiem leży miasto zburzone czy nie zburzone. Przy kierownicy poczuł się lepiej, nie rozpoczynał jednak rozmowy. W żółtawym blasku popołudniowego słońca jeep sunął wolno ku amerykańskim liniom.

O pół mili dalej usłyszeli dziwne, chrapliwe dźwięki i zobaczyli wojsko maszerujące w luźnym szyku kolumienkami po obu stronach szosy. Po chwili zorientowali się, że to kanadyjski batalion Piechoty Szkockiej posuwa się ku drodze, która skręca w lewo między lany pszenicy. Każdą kompanię prowadził kobziarz. Dalej widać było nad zbożem głowy i broń jakichś innych oddziałów sunących wolno w kierunku rzeki.

Na rozległej wyludnionej płaszczyźnie dźwięk szkockich kobz brzmiał teatralnie, natrętnie, nie na miejscu. Michael jechał bardzo wolno w stronę nadciągających żołnierzy. Poruszali się niemrawo, dźwigając granaty ręczne, pełne ładownice, skrzynki z amunicją do karabinów maszynowych. Pot występował ciemnymi plamami na grubych mundurach polowych. Na czele pierwszej kompanii, tuż za grajkim, kroczył dowódca, rosły młody kapitan o czerstwej cerze i sumiastych rudych wusach. W ręku trzymał krótką trzcinkę i, idąc przed swoim oddziałem, butnie wybijał takt nogami, jak gdyby jęklive zawodzenie kobz było triumfalnym marszem.

Na widok jeepa oficer ożywił się i przyjaźnie machnął trzcinką. Nad jego głową Michael spojrzał ku szeregowym. Pod warstwą potu i kurzu czerwone twarze były skupione, nie uśmiechnięte. Nowy, czysty ekwipunek i mundury jak z igły świadczyły, że tych ludzi czeka pierwsza bitwa. Byli już zmęczeni, wyczerpani nerwowo. Maszerowali w milczeniu, a ich miny wyrażały tępą mękę, jak gdyby nasłuchiwali czegoś — nie muzyki kobz ani odległego pomruku dział czy szurania własnych butów po asfalcie, lecz wewnętrznych głosów toczących niezmiernie ważny spór, który trzeba śledzić bacznie, aby choć w przybliżeniu ogarnąć głębię jego treści.

Kiedy jeep zrównał się z czołem oddziału, kapitan powitał Amerykanów szerokim uśmiechem dwudziestoletniego siłacza. Błysnął białymi zębami pod bujnym jedwabistym wąsem i chociaż był ledwie o pięć stóp, ryknął basem, który można by usłyszeć z odległości stu jardów.

— Pogoda dopisuje, co?

— Życzę szczęścia, kapitanie! Panu i pańskim ludziom — odpowiedział Pavone nie za donośnym, odpowiednio modulowanym tonem człowieka, który wraca z pola walki i całkowicie panuje nad swoim głosem.

Oficer uśmiechnął się życzliwie i jeszcze raz zamasyżuje machnął trzciną. Jeep potoczył się wolno wzdłuż kompanii, której pochód zamykał lekarz. Niósł przewieszoną przez ramię torbę sanitarną, a spod hełmu oznaczonego czerwonym krzyżem wyglądała młoda twarz o wyrazie bolesnego zamyślenia i troski.

Dźwięki kobz milky stopniowo i brzmiały niby echo odległego skrzeczenia mew, kiedy kompania skręciła między pszeniczne pola i malała coraz bardziej, jak gdyby ci zbrojni ludzie rozmyślnie, choć z żalem, tonęli w złotym, szumiącym morzu.

Michael zbudził się w swoim dole, bo artyleria przemówiła głośniej. Był przygnębiony. Czuł wilgotną\* stęchłą woń ziemi i drażniący zaduch rozłożonego dokoła biwaku. Leżał bez ruchu w zupełnej ciemności, rozgrzany pod kocami, zbyt zmęczony, by się poruszyć. Łowił uchem przybliżającą się kanonadę. „Zwyczajny nalot—pomyślał kląć Niemców. — I tak noc w noc. Bodaj to wszyscy diabli!”

Działa grzmiały teraz bardzo blisko. Od czasu do czasu zachichotała złowróźnie głowica szrapnela. Częściej było słuchać kłaśnięcia uderzających o ziemię stalowych odłamków. Michael sięgnął za siebie i umieścił hełm na podbrzuszu. Z krawędzi nory ściągnął worek wypchany zapasową bielizną i troskliwie osłonił brzuch oraz piersi. Wreszcie skrzyżował ramiona i zakrywając twarz odetchnął zapachem rozgrzanego ciała i przepoconych długich rękawów podkoszulka. Zakończywszy te conocne praktyki, których wyuczył się w ciągu kilku tygodni w Normandii, pomyślał z ulgą, że teraz niewiele mu grozi. Wszystkie cenne i najwrażliwsze miejsca zostały zabezpieczone, a rana' w rękę lub w nogę nie byłaby wielkim nieszczęściem.

Leżał spokojnie. Bez zainteresowania słuchał huku, świstu i warczenia samolotowych silników. W głębokim dole było mu coraz bezpieczniej, wygodniej. W swoim czasie urządził sobie miłą i schludną podziemną sypialnię. Ściany wyłożył brezentem z rozbitego szybowca, rozpostarta na dnie płachta sygnałowa z lśniącego jedwabiu sprawiała wrażenie istic wschodniego przepychu.

Michael począł się zastanawiać, która może być godzina, nie chciało mu się jednak szukać latarki i patrzeć na zegarek. Od trzeciej do

piąte) miał stać na warcie, irytował się więc trochę, bo nie wiedział, czy warto zasypiać.

Nalot trwał. Bombowce musiały być całkiem nisko, bo ostrzeliwano je z karabinów maszynowych. Nerwowe terkotanie akompaniowało hukowi dział i pracowitemu jękowi silników. Whitacre słuchał tych odgłosów i medytował: „Ile też przeżyłem nalotów? Dwadzieścia? Trzydzieści? Oczywiście, nie byłem wybranym, upatrzonym celem, ale trzydzieści razy lotnictwo hitlerowskie próbowało mnie zabić i nic z tego nie wyszło.”

Potem zaczął się bawić marzeniem o niezbyt ciężkiej ranie. Śliczna ośmiocalowa szrama w mięśniach nogi... Może na dokładkę jakie takie pęknięcie kości podudzia. Oto z bohaterską miną wędruje peronem Grand Central Station w Nowym Jorku. Ma wszystko, czego potrzeba: kule pod pachami, Order Purpurowego Serca na piersi, papiery demobilizacyjne w kieszeni...

Drgnął lekko pod kocami i worek przesunął się miękkim, niemal ludzkim ruchem. Michael poczuł się prawie tak, jak gdyby leżała na nim kobieta. Nagle zapragnął kobiety — boleśnie, rozpaczliwie. Opadły go wspomnienia wszystkich dziewczyn, jakie kochał, i wszystkich miejsc, gdzie się to odbywało. Pierwsza była Louise. Miała szesnaście lat, ale dobrze wiedziała, czego chce. Jej pokój. Sobotni wieczór. Rodzice grają w bridża o trzy domy dalej. Na biurku koło łóżka książki szkolne i od początku do końca słuch wyteżony, czy przypadkiem klucz nie zgrzytnie groźnie w zamku. W życiu Michaela nie brakowało kobiet noszących to imię. Znał ich dużo. Miał osobliwe szczęście do tego imienia. Początkująca gwiazdka od Warner Brothers, co z trzema koleżankami zajmowała wspólne mieszkanie w skromnej dzielnicy Hollywood. Kasjerka z restauracji przy Sześćdziesiątej Ulicy w Nowym Jorku. Wreszcie londyńska Louise i pokój oświetlony podczas nalotów gorącą, szkarłatną luną piecyka elektrycznego. W tej chwili, przewracając się z boku na bok na twardej ziemi, kochał wszystkie Louise, wszystkie Mary, wszystkie Margaret. Przypominał sobie ich śmiech, ich gładką skórę na łopatkach i udach, słowa mówione w miłosnym uścisku.

Potem zaczął wspominać liczne kobiety, z których zrezygnował z takich lub innych względów, chociaż mógł je mieć niewątpliwie. Dziesięć lat temu Helen, wysoka blondynka, trącała go kolanem pod restauracyjnym stołem i szeptała kusząco, kiedy jej mąż odszedł po cygara. Ale Michael przyjaźnił się na uniwersytecie z mężem Helen, uległ więc szlachetnemu porywowi i wycofał się zgorszony. Teraz



myślał o pulchnej jasnowłosej żonie przyjaciela i wił się w ciemnościach. Innym razem *Florence przyszła do pana Whitacre'a* z listem polecającym od jego matki, ponieważ pragnęła wstąpić do teatru. Była bardzo młoda i naiwnie wyzywająca. Kiedy przekonał się, że Florence jest dziewczcą, osądził sentymentalnie, iż nie powinna oddawać się lekkomyślnie mężczyźnie, który nie kocha jej i nigdy nie pokocha. Obecnie kręcąc się pod żołnierskim workiem cierpiał na myśl o smukłej, nieśmiałej dziewczynie ze swojego rodzinnego miasta.

„Albo ta baletnica, specjalistka od tańców nowoczesnych, żona pianisty. Na zebraniach towarzyskich przy Dwudziestej Trzeciej Ulicy udawała zalaną i bezczelnie na mnie leciała. Gdybym nie był wtedy zajęty nauczycielką z New Rochelle... Albo młoda osóбка z Lousiany. Miała trzech braci, chłopów atletycznej budowy i — co tu ukrywać — stchórzyłem przed nimi...”

Albo nieznajoma, co w zimowy wieczór zrobiła takie oko na Jedenastej Ulicy. Albo ta młoda biodrzasta pielęgniarka z Halifaxu, kiedy *to* mój brat leżał w szpitalu ze złamaną nogą.

Albo, albo, albo...

Michael z rozpaczą myślał o pięknych ciałach ofiarowanych mu i lekceważąco odrzuconych. Zgrzytał zębami pod wilgotnym brezentem i przeklinał szaleńczą wybredność minionych dni. „Idioto! — wymyślał sobie. — Kretynie! Głupi, pompatyczny ośle!”

Były również dziewczyny, z którymi raz poszedł do łóżka i na tym poprzestał. Katherine, Rachel, Faith, Elisabeth... Tyle cennych, uroczych godzin zmarnowanych lekkomyślnie, niepowrotnie! Whitacre jęknął boleśnie i z szaleńczą złością wpił palce w żołnierski worek.

„Mimo wszystko — zaczął pocieszać się wreszcie — wykorzystałem sporo okazji, a prawdę mówiąc, odrząciłem niewiele chętnych pań. Czasami wstyd mi, kiedy spoglądam wstecz pod tym kątem. Wstyd mi, bo było ich tyle. Ale zadowolony jestem, że nie krępowałem się wtedy i skrupuły nie wchodziły mi w drogę. Jednakże po powrocie, jeżeli w ogóle wrócę, muszę się zmienić. Tamta część życia jest za mną! Teraz trzeba mi uczciwego, długotrwałego związku opartego na wzajemnym zaufaniu i wierności. Margaret! Tak, Margaret...”

Od dawna unikał obrazu Margaret, lecz teraz w wilgotnej, zimnej norze, pod deszczem szrapnelowych odłamków, mógł myśleć tylko o niej.

„Jutro — postanowił — jutro muszę napisać. Słowo daje!

Nie mam nawet pojęcia, co ona teraz robi. Ożenię się z nią, jak tylko wrócę”.

Uwierzył w jednej chwili, że panna Freemantle zachowa uczucia dla niego, że pobiorą się, wynajmą słoneczny dom za miastem, narobią dzieci, a on będzie pracował ciężko i na zawsze pożegna dawny, hulaszczy tryb życia. Może powinien rzucić teatr? W tej dziedzinie nie zbuduje zapewne nic wielkiego, jeżeli dotychczas nie zbudował. Może zajmie się polityką? Może objawi talent w tym kierunku? Byle robić coś rozsądnego, celowego, z pożytkiem dla siebie, dla pechowców, co padną tej nocy na froncie, dla zgrzybiałych bab i dziadów z kościoła w Caen, dla zawiedzionego Kanadyjczyka z Toronto i wąsatego kapitana, który maszerując za kobziarzem ryknął tubalnie: „Pogoda dopisuje!”, i małej Francuzki proszącej przez pomyłkę o sardynki... Może da się stworzyć świat, w którym śmierć nie będzie najpospolitszym wydarzeniem, gdzie zniknie życie pośród rosnących wciąż cmentarzy, a ostatnie słowo nie przypadnie w udziale Urzędowi Opieki nad Grobami Wojennymi.

„Jeżeli jednak chcę zdobyć na przyszłość prawo głosu, muszę na nie zapracować. Nie wolno przeżyć wojny jako kierowca pułkownika z Administracji Wojskowej. Tylko ludzie, co wrócą ze straszliwego, zawrotnego wiru walk frontowych, będą mogli mówić autorytatywnym tonem, ze szczerym przekonaniem, że naprawdę zapłacili za swe poglądy, nabyli je na własność raz na zawsze... Jutro — myślał Michael zapadając w drzemkę — jutro muszę poprosić tego Pavone o przeniesienie. I koniecznie trzeba napisać do Margaret... Niech wie o wszystkim... Niech się przygotowuje...”

Artyleria ucichła. Nieprzyjacielskie maszyny odleciały za linię frontu. Michael zepchnął z siebie worek, a hełm odłożył na miejsce. „Dobry Boże! — westchnął. — Ach, dobry Boże! Jak długo to potrwa?”

Kolega, którego miał zmienić, wsunął głowę pod osłaniającą dół płachtę namiotową i pociągnął Michaela za palec od nogi.

— Wstawaj, Whitacre! Pora na spacer.

— Dobrze... Dobrze...

Michael odrzucił koce, wzdrygnął się i szybko zasznurował trzewiki. Potem naciągnął bluzę, sięgnął po pistolet maszynowy i dygocąc z chłodu wyszedł w ciemną noc. Było pochmurno. Siekła gęsta mżawka. Michael dobył spod namiotu i włożył płaszcz nieprzemakalny.

— Jestem. Idź spać — powiedział do swojego poprzednika, który stał oparty o jeepa i gawędził z żołnierzem pełniącym już służbę od godziny

Z kolei Michael zajął miejsce obok drugiego wartownika i oparł się o bok samochodu. Trząśił się nerwowo, kłął deszcz, który ciekł mu za kołnierz i spływał po twarzy, i patrząc w wilgotny mrok widział wszystkie kobiety, o których myślał podczas nalotu. Wspomnił również Margaret. Próbował układać list do niej. Będzie to list wzruszający, tkliwy, serdeczny, szczery, pełen miłości. Musi przekonać Peggy, że oni dwoje są sobie niezbędni! Musi skłonić ją, by czekała na powrót kochanka do żalosnego, pogrążonego w chaosie świata powojennej Ameryki.

— Hej, Whitacre! Masz coś do picia? — zagadnął szeregowiec Leroy Keane, zmarnięty i przemokły od godziny.

— Niestety, nie — burknął Michael odsuwając się trochę.

Nie lubił Keane'a, skąpca i kłótnika, który na dobitkę miał opinię towarzysza przynoszącego pecha. Kiedy pierwszy raz wyjechał z obozu w Normandii, jeep został ostrzelany przez lotnika. Było dwóch rannych i zabity. Jednemu Keane'owi nic się nie stało.

— A nie masz choć aspiryny? — podjął natręt. — Łeb pęka mi z bólu.

— Poczekaj chwilkę.

Whitacre wrócił do swojego legowiska, przyniósł blaszaną rurkę z aspiryną i wręczył ją koledze, ten zaś wysypał na rękę i wrzucił do ust sześć pastylek. Michael patrząc na to poczuł suchą gorycz na języku.

— Nie popijasz wodą? — zapytał.

— Po co? — Keane wzruszył ramionami.

Był to rosły, grubokościsty mężczyzna po trzydziestce. Udawał wielkiego zucha, by podtrzymać chwałę rodziny, gdyż jego starszy brat brał udział w poprzedniej wojnie i został odznaczony Medalem Kongresu.

— Piekielny ból głowy — powiedział Keane zwracając rurkę. — Naturalnie z uporczywego zaparcia. Od pięciu dni nie miałem stolca.

Michael uśmiechnął się. Nie słyszał tego wyrażenia od dnia przybycia do Fort Dix. Mijając rząd dolów osłoniętych płachtami namiotowymi odszedł powoli w kierunku żywoplotu. Chciał odczepić się od natręta, ale ciężkie szuranie nóg w trawie powiedziało mu rychło, że żywił płonną nadzieję.

— Za młodu miałem strusi żołądek — mruknął pośepnie Keane.

— Ale cóż, zachciało mi się małżeństwa.

Michael nie podjął tematu. Bez słowa zawrócili koło oficerskiej latryny i szli własnym śladem.

— Żona spętała mi ręce i nogi — zaczął znów Keane. — Naturalnie uparła się, by zaraz mieć trójkę dzieci. Nie uwierzysz, Whitacre, że baba tak spragniona dzieci może być zimna jak lód. A moja żona jest zimna jak lód. Nie cierpi, jak się do niej przysuwam. No i dostałem zatwardzenia w sześć tygodni po ślubie. Od tego czasu ani przez dzień nie byłem zdrow. Żonaty jesteś, Whitacre?

— Rozwiedziony.

— Oj, gdyby mnie było stać, na pewno bym się rozwiódł. Przez tę cholereę zmarnowałem życie. Chciałem zostać pisarzem. Dużo znasz pisarzy, Whitacre?

— Niewielu.

— Ale żaden nie ma trojga bębnow, co? W tym sedno sprawy! Od samego początku złapała mnie w sidła. A jak wojna wybuchła, nie pozwalała mi wstąpić do wojska. Miałem piekielną robotę, zanim ją przekonałem. Rozumiesz, Whitacre, człowiek z takiej rodziny jak moja, z tradycjami starszego brata... Opowiadałem ci kiedy, jak mój brat zdobył medal?

— Opowiadałeś.

— Jednego dnia zabił jedenastu Niemców. Jedenastu! Rozumiesz? — Głos Keane'a zadźwięczał tonem podziwu i zawiści. — Miałem zamiar pójść do spadochroniarzy, ale żona dostała ataku histerycznego. Wszystko pasuje do siebie. Jest zimna jak lód, nie szanuje tradycji, boi się, histeryzuje. No i na co teraz mogę liczyć? Pavone mnie nie znosi. Nigdy z nim nie wyjeżdżam. Byliście dziś na froncie, co?

— Aha — potwierdził Michael.

— A wiesz, co ja robiłem? — zapytał z goryczą t[ra]t bohatera odznaczonego Medalem Kongresu. — Siedziałem w obozie i wystukiwałem na maszynie rozmaite papierki. Oryginały z czterema kopiami, cholera! Wnioski awansowe, rozkazy wyjazdu, karty szpitalne. Jak Boga Jedyne go kocham, cieszę się, że mój brat tego nie doczekał.

Leniwie przechadzali się pod ulewnym deszczem trzymając pistolety lu[fa] ku ziemi, aby chronić je przed zamoknięciem. Krople wody gęsto kap[aly] z hełmów.

— Muszę przyznać się do czegoś — podjął Keane. — Pamiętasz? Dwa tygodnie temu Niemcy omal nie przerwali frontu. Krążyły pogłoski, że my wejdziemy w skład głównej linii obrony. Wiesz, Whitacre, modliłem się wtedy, żeby szwabom dopisało szczęście. Modliłem się, jak Boga Jedyne go kocham! Przynajmniej wzięlibyśmy udział w prawdziwej bitwie.

— Okropny z ciebie dureń — wtrącił Michael, lecz Keane puścił mimo uszu tę uwagę.

— Mógłbym zostać wielkim żołnierzem — ciągnął przerywanym czkawką, ochryplym głosem. — Bohaterem jak mój brat. Wiem na pewno! Byliśmy rodzonymi braćmi, chociaż on miał dwadzieścia lat więcej. Pavone dobrze zdaje sobie z tego sprawę i naumyślnie robi małpie złośliwości. Każe mi siedzieć na tyłku przy maszynie do pisania, a innych bierze z sobą.

— Posłuchaj, ośle! — syknął Whitacre. — Kula w łeb zrobiłaby ci diabelnie dobrze.

— Pewnie, że dobrze — odparł sucho Keane. — Co mi tam kula! Jeśli zginę, nie przekazuj nikomu moich ostatnich słów.

Michael chciał zobaczyć wyraz twarzy towarzysza, ale w ciemności było to niemożliwe. Nagle ogarnęła go fala współczucia dla biedaka dręczonego zaparciem, opętanego przez brata bohatera i zimną jak lód żonę.

— Szkoda, że nie poszedłem do szkoły oficerskiej — gadał Keane. — Byłby ze mnie wspaniały dowódca. Do tej pory miałbym własną kompanię i co najmniej Srebrną Gwiazdę. Mogę ręczyć! Chyba znam samego siebie? Wiem, że byłbym walecznym oficerem.

Głos wezbrany żółcią i szaleńczą pasją chrypiał monotonnie pod ociekającymi deszczem drzewami. Po ostatnim zdaniu Michael nie mógł powstrzymać uśmiechu. „Waleczny” to przymiotnik niewłaściwy w tej wojnie. Posłużyć się nim z przekonaniem, z wiarą w jego znaczenie, mógł jedynie człowiek pokroju Keane'a.

— Byłbym walecznym oficerem — powtórzył z mocą brat bohatera. — Nauczyłbym żonę rozumu. Wyobraź sobie, przyjeżdżam do Londynu z baretkami na piersiach i biorę pod siebie baby. Która w łapy wpadnie! Nigdy jakoś nie miałem szczęścia w Londynie. Co chcesz? Szeregowiec!

Michael wzruszył ramionami na myśl o licznych szeregowcach, co doskonale sobie radzili z Angielkami. Dobrze wiedział, że Keane mógłby przyjechać dokądkolwiek, obwieszony wszystkimi baretkami i gwiazdami świata, a mimo to znajdowałby zimne jak lód kobiety w każdym barze i w każdej sypialni.

— Moja żona czuła, co w trawie piszczy — ciągnął Keane tonem skargi. — Dlatego właśnie namówiła mnie, żeby nie starać się o przyjęcie do szkoły oficerskiej. Wszystko z góry przewidziała. A ja zorientowałem się dopiero w Anglii, jaką zrobiła mi krzywdę. I co? Było za późno.

Michael zaczynał bawić się złośliwie kosztem człapiącego obok kolegi. Był mu wdzięczny za rozpraszanie myśli, odwracanie uwagi od własnych bolesnych problemów.

— Jak twoja żona wygląda? — zapytał podchwytliwie.

— Jutro pokażę ci fotografię. Przystojna. Zbudowana pierwsza klasa. Robi wrażenie kobiety najbardziej uczuciowej pod słońcem. Przy ludziach zawsze ożywiona, roześmiana. A niech się drzwi zamkną, niech zostaniemy sami, zaraz zmienia się w lodowiec. Nabierają nas baby. — Płaczliwy głos skarżył się w wilgotnym mroku.

— Nabierają jak durni, zanim zdążymy zrozumieć, co się dzieje. I jeszcze jedno — wylewał ostatnie zwierzenia. — I jeszcze jedno, Whitacre. Ona zabiera mi całą forszę. Rozumiesz? To okropne. Siedzę tutaj beczynnienie. Wspominam, ile złego mi narobiła, i... — głos mu się załamał — ..i bliski jestem szaleństwa. W boju mógłbym zapomnieć. Słuchaj, Whitacre. Ty masz fory. Pavone cię lubi. Pogadaj z nim o mnie. Dobrze?

— Co chcesz, żebym mu powiedział?

— Albo niech mnie przeniesie do piechoty...

„Ten również — pomyślał Michael. — I to dla jakich powodów!”

— ..albo bierze ze sobą na wyjazdy. Potrzeba mu właśnie takiego jak ja gościa. Nie boję się śmierci. Nerwy mam stalowe. Widzisz, kiedy lotnik zaczął walić do naszego jeepa i koledzy dostawali jeden po drugim, patrzyłem na nich tak chłodno, jak gdybym siedział w kinie i oglądał to wszystko na ekranie. Takiego właśnie gościa potrzebuje Pavone, co?

„Wątpię” — pomyślał Whitacre, ale nie powiedział.

— Pogadasz z nim? — nalegał Keane błagalnie. — Pogadasz, prawda? Ile razy sam zaczynam, Pavone przerywa mi w pół słowa. „Keane! Lista żołdu gotowa?” — pyta albo coś w ten deseń. I drab śmieje się. Ze mnie! — Głos Keane'a dźwięczał nutą nienawiści. — Przewrotną rozkosz sprawia mu myśl, że z jego rozkazu brat Gordona Keane'a siedzi w strefie etapów i na maszynie wypisuje formularze. Whitacre! Musisz z nim pogadać. Jak Boga Jedyne go kocham, wojna się skończy, a ja nie będę w bitwie, jeżeli nikt się za mną nie wstawi.

— Zrobione. Pogadam z nim o tobie — zgodził się Michael i dorzucił szydyczko, dlatego zapewne że Keane zachęcał do szyderstw i złośliwości każdego, z kim rozmawiał. — Ale mam w Bogu nadzieję, że jak zaczniesz wojować, nie trafię nigdy blisko ciebie.

— Dziękuję ci, Whitacre! — wybuchnął gorąco brat bohatera.  
 — Stokrotnie dziękuję! Jak Boga Jedyne go Kocham, złoty z ciebie chłop, że zgodziłeś się pogadać o mnie z pułkownikiem. Nie zapomnę ci tego, Whitacre. Do śmierci nie zapomnę.

Michael przyspieszył kroku, a Keane zrozumiał to widać należyście, gdyż przez pewien czas trzymał się z dala i milczał. Ale pod koniec godziny, tuż przed swoją zmianą, dopędził Michaela.

— Chyba jutro zgłoszę się do lekarza i poproszę o coś na przeczyszczenie — oznajmił, jak gdyby przez długi czas rozmyślał nad tą decyzją. — Widzisz, jeden porządny stolec może odmienić wszystko na lepsze i zrobić ze mnie całkiem innego człowieka.

— Ze szczerego serca życzę ci powodzenia — odrzekł Whitacre z powagą.

— Dziękuję. Będziesz pamiętał o rozmowie z pułkownikiem, co?

— Będę. Wysunę propozycję, żebyś skoczył ze spadochronem na kwatery główną generała Rommla.

— Dla ciebie to zabawne — warknął urażony Keane. — Nic dziwnego. Ale gdybyś pochodził z takiej rodziny jak moja\* z takimi tradycjami...

— Pogadam z pułkownikiem — przerwał mu Michael. — A teraz obudź Stellevato i marsz pod koce. Zobaczymy się jutro rano.

— Rozmowa z takim jak ty człowiekiem to przyjemność i wielka ulga w ciężkim położeniu. Dziękuję, Whitacre. Jeszcze raz dziękuję — powiedział brat przedwcześnie zgasłego bohatera odznaczonego Medalem Kongresu i ciężkim krokiem odszedł wzdłuż linii indywidualnych namiotów, przy końcu której biwakował szeregowiec Stellevato.

Stellevato, niski, drobny Włoch, miał dziewiętnaście lat i chłopięcą twarz, ciemną i miękką jak pluszowe pokrycie sofy. Pochodził z Bostonu i mówiąc posługiwał się osobliwą mieszaniną przeciągłych romańskich samogłosek ze zgrzytliwym żargonem rozpowszechnionym w dzielnicach nad rzeką Charles. W cywilu trudnił się rozwożeniem lodu. Na posterunku wartowniczym stał zawsze oparty o maskę samochodu i nic nie mogło go poruszyć z miejsca. W Stanach odbywał służbę w piechocie, nabrał więc takiego wstrętu do maszerowania, że obecnie wsiadał do jeepa nawet po to, by odwiedzić latrynę odległą o pięćdziesiąt jardów. W Anglii stoczył zaciętą, bohaterską bitwę ze Służbą Zdrowia i przekonał ostatecznie władze wojskowe, iż ma płaską stopę, wobec czego nie nadaje się do linii. Przydział

w charakterze kierowcy do pułkownika Pavone uważał za niepośledni triumfwojenny, ważniejszy niż wszystkie inne wydarzenia po ataku na Pearl Harbor.

Michael bardzo lubił tego chłopca, kiedy więc razem odbywali warte, tkwili przez cały czas koło jeepa, palili papierosa po papierosie i wymieniali serdeczne zwierzenia. Jeden wygrzebywał z pamięci przypadkowe spotkania z gwiazdami filmowymi, które młody Włoch wielbił nabożnie. Drugi opisywał wyczerpująco rozwojenie lodii w Bostonie oraz spokojny żywot rodziny Stellevato — ojca, matki, i trzech synów — w mieszkaniu przy Salem Street.

— Właśnie śniło mi się, że jestem w Stanach, jak mnie obudził ten skurwysyn Keane — rozpoczął Stellevato.

Stał mały, krzywy, otulony w płaszcz nieprzemakalny bez jednego guzika. Z bronią niedbale przewieszoną przez ramię wyglądał bardzo nie po wojskowemu.

— Z tym Keanem coś nie tego. Przyłazi, ciągnie mnie za nogi jak glina, co spędza włóczęgę z ławki parku i robi piekielny harmider. Drze się, jak by chciał obudzić całą armię. „Wstawaj, chłopcze! — woła. — Leje jak z cebra. Ale trudno, musisz się trochę przejść. Jazda! Wstawaj! Wychodź na zimny, cholernie zimny deszcz”. Po co mi to mówi? Przecież i tak zobaczę, że pada. Ale ten drań lubi robić ludziom przykrości. No i sen o Stanach... Szkoda, że przerwał się w połowie... — Chłopiec mówił teraz tonem tkliwej zadumy. — Jechałem ciężarówką z moim starym. Był słoneczny letni dzień. Stary siedział koło mnie. Drzemał i kopał takie krótkie, czarne cygara. Nazywają się „Italo Balbo”. Znasz je pewnie?

— Znam — odpowiedział Whitacre. — Pięć sztuk za dziesięć centów.

— Aha. Italo Balbo latał dokądś samolotem z Włoch, bardzo dawno. Włosi uważają go za wielkiego bohatera i na jego cześć nazwali cygara.

— Słyszałem o nim — wtrącił Michael. — Zginął w Afryce.

— Naprawdę? Trzeba o tym napisać staremu. On nie umie czytać, ale Angelina, moja narzeczona, przychodzi i czyta rodzicom listy. No, więc mój stary kopci cygaro i drzemie. — Chłopiec wrócił znów do snu o letnim dniu w Bostonie. — Jedziemy bardzo wolno, bo musimy przystawać przed każdym domem. Stary otwiera oczy i mówi: „Słuchaj, Nikki, zanieś dziś pani Schwartz lodu za dwadzieścia pięć centów, ale powiedz, że musi bulić gotówką”. Słyszałem jego głos tak wyraźnie, jak bym naprawdę siedział za kierownicą. Stellevato



westchnął ciężko. — No więc zlączę z wozu i biorę lód, i idę na piętro do mieszkania pani Schwartz, a stary krzyczy za mną: „Hej, Nikki! A wracaj zaraz! Nie bałamuć u tej pani Schwartz!” Zawsze tak na mnie wrzeszczał, ale jak się rozesał, mogłem siedzieć na górze, ile chciałem. I tak nic nie wiedział. Pani Schwartz otwiera drzwi... Aha! W naszej dzielnicy była rozmaita klientela: Włosi, Irlandczycy, Polacy, Żydzi. Wszyscy bardzo mnie lubili. Nigdy byś nie uwierzył, ile whisky i kawowych biszkoptów, i rosolu z makaronem opychałem na trasie w dzień roboczy. — Westchnął znowu. — No więc drzwi otwiera pani Schwartz, ładna tłusta blondynka. Klepie mnie po gębie i mówi: „Gorąco dziś, Nikki. Wejdz. Dostaniesz szklanke piwa”. A ja na to: „Ojciec czeka na ulicy i jakoś dziś nie śpi”. Na to ona daje mi dwadzieścia pięć centów i każe przyjść o czwartej po południu. Zeszedłem do starego, a on robi złą minę i gada: „Nikki, musisz się nareszcie zdecydować. Jesteś uczciwym kupcem czy zarodowym buhajem na farmie?” Ale jak zobaczył dwadzieścia pięć centów, roześmiał się i woła: „Rób, co chcesz, byleś przynosił forsz!” A potem tak się jakoś stało, że samochód był pełny. Cała rodzina i moja narzeczona, Angelina, i jej matka... Wracaliśmy z plaży do domu, jak często w niedzielę. Trzymałem Angelinę za rękę, bo ona nigdy nie pozwalała na nic więcej. Mamy się pobrać, rozumiesz? Z jej matką inna sprawa... I znów się zmieniło. Wszyscy siedzimy dokoła stołu. Wszyscy! I ten brat, co jest w Guadalcanal, i drugi z Islandii. Stary nalewa z flaszki wino domowej roboty, a stara wnosi wielki półmisek *spaghetti*... I wtedy właśnie ten skurwysyn Keane pociągnął mnie za nogi... — Umilkł na chwilę. — Słowo daję, chciałbym doczekać końca tego snu.

Whitacre milczał taktownie, bo zorientował się, że chłopiec płacze.

— Mieliliśmy dwie ciężarówki General Motors, żółto malowane — podjął Stellevato głosem wezbrany tęsknotą do kanarkowych samochodów ojca, ulic bostońskich, klimatu Massachusetts, tłustego ciała pani Schwartz, dotknięcia dłoni Angeliny, wina domowej roboty i braci rozprawiających nad niedzielnym półmiskiem *spaghetti*. — Firma się rozwijała. Kiedy stary przyjechał z Włoch i zaczął interes, kupił osiemnastoletnią szkapę i używany wózek. A przed wojną mieliśmy już dwa samochody i myśleliśmy, żeby kupić trzeci i donajęć robotnika. Potem mnie i braci wzięli do wojska, musieliśmy więc sprzedać ciężarówkę, a stary znów kupił konia, bo nie umie czytać ani pisać i nigdy by się nie nauczył prowadzić samochodu. Angelina pisze, że stary pokochał swojego konia. Jest srokaty i bardzo młody. Ma

dopiero siedem lat. Ale zawsze to nie wóz General Motors. Naprawdę świetnie nam się wiodło. Na trasie miałem czternaście bab, które mogłem odwiedzać o każdej porze między dziewiątą rano a czwartą po południu. Trzymam zakład, Mike — głos chłopca zadźwięczał nutą młodzieńczej dumy — że nawet w Hollywood nie miałeś nigdy nic podobnego.

— Naturalnie, Nikki — przyznał poważnie Michael. — Nawet w Hollywood nie miałem nigdy nic podobnego.

— Jak wrócę, wszystko będzie inaczej — podjął trzeźwo Stellevato. — Ożenię się z Angeliną albo z kim innym, jeżeli Angelina puści mnie w trąbę. Będę miał dzieci i tylko jedną babę, a jak złapię tę cholere na zdradzie, zadżgam widłami od lodu, i tyle!

„Trzeba napisać o tym do Margaret — pomyślał Michael. — Czternaście gotowych na wszystko bab na trasie i marzenie o jednej wiernej miłości w strudżonym wojną sercu”.

Opodal zaszeleściła płachta namiotowa. Michael zobaczył niewyraźną sylwetkę.

— Stój! Kto idzie! — zawołał.

— Pavone — odpowiedział głos z ciemności i dodał, jak gdyby pod wpływem naglej refleksji: — Pułkownik Pavone. Kto ma wartość? — zapytał zbliżając się do Michaela i młodego Włocha.

— Whitacre. Stellevato.

— Jak się masz, Nikki? Dobrze ci się wiedzie?

— Pierwsza klasa, panie pułkowniku.

Głos chłopca był ciepły, życzliwy. Stellevato uwielbiał pułkownika, który uważał go bardziej za maskotkę niż żołnierza i od czasu do czasu opowiadał po włosku anegdoty o „starym kraju” i nieprzyzwoite kawały.

— A ty, Whitacre, jak się czujesz?

— Doskonale.

W deszczu i mroku zapanowała przyjacielska swoboda, niemożliwa przy świetle dnia między pułkownikiem a szeregowcami.

— To dobrze — powiedział Pavone i wsparł się o maskę jeepa obok wartowników. Zapalił papierosa nie osłaniając płomyka zapalki. W nagłym błysku ciemne, krzaczaste brwi zarysowały się groteskowo.

— Przyszedł mnie pan zmienić, panie pułkowniku? — odezwał się Stellevato.

— Nie, Nikki. I tak za dużo sypiasz. Jeżeli będziesz ciągle chrapał, nie dojdiesz do niczego.

— Do niczego nie chcę dojść. Chcę tylko wrócić do Bostonu.

— Zrozumiałe — wtrącił Michael. — I ja nie marzyłbym o niczym innym, gdybym miał taką trasę.

— Aha! Nikki zdążył ci już nałgać o tych czternastu babach — roześmiał się oficer.

— Przysięgą Bogu! — wybuchnął chłopiec.

— Jak żyję, nie spotkałem Włocha, który mówi prawdę o kobietach — powiedział Pavone. — Moim zdaniem, Nikki jest dziewicą.

— Mogę pokazać listy — oburzył się Stellevato.

— Panie pułkowniku! — Ciemność i żartobliwa atmosfera ośmieliły Michaela. — Mógłbym prosić o chwilę rozmowy? Oczywiście, jeżeli nie pilno panu pod koce.

— Nie mogę spać — odparł Pavone. — Naturalnie, z chęcią... Przejdźmy się trochę. A ty, Nikki, uważaj, żeby cię nie zaskoczyli spadochroniarze albo zazdrośni mężowie.

Lekko wziął Michaela pod rękę i oddalając się szepnął poufale:

— Wiesz, Mike, jestem przekonany, że Nikki wcale nie błaguje o swojej trasie. — Roześmiał się i dodał tonem bardziej serio: — A tobie o co chodzi?

— Chciałbym prosić, panie pułkowniku... — zająknął się i pomyślał: „Psiakrew! Ciągłe trzeba coś decydować. Na każdym kroku”. — Chciałbym prosić, panie pułkowniku, o przeniesienie do oddziału liniowego.

Kilkanaście kroków przeszli bez słowa.

— Co ci dolega? — zapytał oficer. — Melancholia?

— Nie wiem. Może... Ten kościół dzisiaj, Kanadyjczycy. Przypomniało mi się, po co jestem na wojnie.

— A więc wiesz, po co jesteś na wojnie. — Pavone roześmiał się sucho. — Szczęśliwy człowiek! — Umilkł na chwilę. — Kiedy byłem w wieku Nikki'ego, kobieta zrobiła mi najgorszą krzywdę w życiu.

Michael przygryzł wargi. Był zły, że przełożony tak zlekceważył jego prośbę.

— Podczas nalotu leżałem w namiocie i raz jeszcze przypomniałem sobie wszystko — podjął Pavone. — Dlatego właśnie nie mogłem spać. Miałem dziewiętnaście lat i prowadziłem teatrzyk rewiiowy w Nowym Jorku. Zarabiałem trzysta dolarów tygodniowo. W mieszkaniu przy Central Park South utrzymywałem dziewczynę. Piękną dziewczynę...

— Miękkim tonem głosu wyraził żal, tęsknotę i podziw dla urody sprzed wielu lat. — Szalałem za nią. Pochłaniała całe moje dochody i zaprzętała mi głowę jak dzień długi. Kiedy facet ma dziewiętnaście lat i taką gębę jak ja, miłość łatwo przesłania zdrowy rozsądek. Nie widzi

się wtedy najprostszych rzeczy, które każdy windziarz i każda kolorowa pokojówka zrozumie, jak raz spojrzy na taką parę. Moja dziewczyna miała przyjaciółkę, rówieśnicę z Minneapolis. Pracowały w jednym nocnym klubie. Prawie co wieczór zabierałem je obie na kolację. Czulem się w tym towarzystwie całkiem dojrzałym mężczyzną... ba wielkim człowiekiem. Śmiały się z moich dowcipów, obsypywały dobrze pomyślanymi tanimi prezencikami... Kiwały nade mną głowami, ubolewały, że za tęgo piję i palę zbyt dużo cygar. Przy takich dwóch kobietach młokos może się czuć ważniejszy niż prezydent Stanów, toteż mając dziewiętnaście lat sądziłem, że jestem najbardziej udanym typem, jaki od wieków pojawił się w sąsiedztwie wyspy Manhattan. Ale jednego popołudnia wcześniej wróciłem do domu i obie dziwki przydybałem w łóżku. — Przystanął, zamyślił się, pogładził plandekę na wozie półciężarowym zaparkowanym pod drzewem. — Do śmierci nie zapomnę, jak spojrzały na mnie, kiedy wszedłem: zimno, martwo, pogardliwie... Potem moja dziewczyna zachichotała. Pamiętam pierwszą myśl, która przemknęła mi przez głowę: „Kpią sobie ze mnie, bo jestem śniadym południowcem”. Rzuciłem się na nie i tłukłem, póki mi ręce nie zdrętwiały. Uciekały, wywijały się, jak mogły, ale żadna gęby nie otwarła. Nie było płaczu, krzyku, próśb. Nic!... Tylko ganiały nago po pokoju, potykały się, przewracały... Żadna słowa nie pisnęła. Wreszcie odwróciłem się i wyszedłem. Na ulicy zdawało mi się, że całe miasto wie o mnie wszystko, a ludzie szepczą: „Patrzcie! To dureń. Facet do niczego jako mężczyzna”. Nie wiedziałem, gdzie oczy podziąć. Poszedłem prosto do biura Francuskich Linii Oceanicznych i kupiłem bilet na okręt „Chamlain”, który odpływał następnego dnia. Przez cały rejs byłem zalany w pestkę, a do Paryża przyjechałem z czterdziestoma dolarami przy duszy... Od lat umykam przed tym obrazem. Boże! — Podniósł wzrok ku czarnym, deszczowym chmurom. — Dwadzieścia lat! A dziś w nocy budzę się w ziemnym dole podczas nalotu i czuję, że na wspomnienie o tym rumienię się od pięt do czubka głowy. Dziękuję, Mike, żeś mnie wysłuchał cierpliwie. — Zmienił ton na szorstki. — Jest wystarczająco ciemno, a może urznąłem się na tyle, że byłem w stanie opowiedzieć tę historię. Pomogło mi niezgorzej. Teraz idę spać.

— Panie pułkowniku — bąknął Michael. — Przedstawiłem moją prośbę o...

— Jaką prośbę? — Pavone odwrócił się gwałtownie.

— O przeniesienie do linii — dokończył z uczuciem głupiego heroizmu nie na miejscu.

— I ty umykasz przed jakimś obrazem? — roześmiał się cierpko oficer.

— Nie... Nic podobnego. — Ciemność ośmielała Michaela. — Po prostu chciałbym być naprawdę przydatny i...

— Co za egotyzm! — wybuchnął pułkownik i zdziwił towarzysza nutą pogardy w głosie. — Chryste! Jak ja nie cierpię żołnierzy-intelektualistów! Taki wyobraża sobie, że armia nie ma teraz nic do roboty. Powinna tylko kombinować, by właśnie on mógł złożyć należytą ofiarę i zaspokoić swoje parszywe, malutkie sumionko! Nie podoba się wam służba? — zapytał ostro. — Uważacie, że szoferowanie to funkcja niegodna faceta z wyższym wykształceniem? Będziecie mieli satysfakcję dopiero wtedy, jak pocisk was wybebeszy? Panie Whitacre, armii nie obchodzą wasze problemy wewnętrzne. Armia skorzysta z waszych usług, jak i kiedy uzna za stosowne. Może będziecie potrzebni na jedną minutę w ciągu czterech lat. Ale przydadcie się naprawdę i na pewno. Bardzo możliwe, że nie przeżyjecie tej minuty. A tymczasem nie obnoście swego salonowego sumienia i nie naprzykrzajcie się, żebym wam podstawił krzyż, na który chcecie się wdrapać. Jestem zajęty swoim oddziałem i pracą. Nie mam czasu ani sił myśleć o ofiarnych krzyżach dla niedowarzonych szeregowców z Harvard!

— Nie studiowałem w Harvard — obruszył się Michael.

— Niech szeregowiec nie zawraca mi więcej głowy przeniesieniem. Dobranoc.

— Tak jest, panie pułkowniku. Dziękuję, panie pułkowniku.

Pavone odwrócił się i szurając butami po wilgotnej trawie odszedł w stronę swojego namiotu.

„Skurwysyn! — pomyślał z urazą Michael. — Jeszcze jeden dowód, że nie można ufać żadnemu oficerowi”.

Leniwie włókł się wzdłuż linii namiotów — szarych widm w wilgotnym mroku. Był smutny i zniechęcony. Każdy fragment wojny jest zawsze zupełnie inny, niż człowiek sobie wyobraża.

Whitacre zatrzymał się przy swoim dole i wyciągnął ukrytą tam butelkę calvadosu. Pociągnął długi łyk, aż źle oczyszczony alkohol zapiekł go w krtani i przelyku.

„Najprawdopodobniej zdechnę na raka dwunastnicy w szpitalu polowym pod Cherbourgim — myślał posępnie. — Pochowają mnie obok facetów z Pierwszej Dywizji i Dwudziestej Dziewiątej, co zginęli przy szturmowaniu bunkrów i podczas walk ulicznych w średnio-wiecznych miastach. W niedzielę Francuzi będą odwiedzać cmentarz i składać na moim grobie kwiaty w dowód żałoby i wdzięczności”.

Jednym łykiem wypił resztę trunku i pustą flaszkę wsunął pod płachtę namiotową.

„Calvados pomaga w ucieczce — medytował żałośnie, idąc dalej wzdłuż biwaku. — A wszyscy przed czymś uciekamy: przed lesbijkami i rodzicami włoskiego lub żydowskiego pochodzenia, przed zimną jak lód żoną, przed bratem odznaczonym Medalem Kongresu, przed służbą w piechocie i melancholijnymi wspomnieniami, przed własnym sumieniem i zmarnotrawionym życiem. Niemcy są o pięć mil. Chętnie dowiedziałbym się czegoś o ich uciezkach. Dwie armie splecione walką na śmierć i życie uciekają w popłochu przed obrazami z błogosławionego okresu pokoju. Mój Boże! Cudownie byłoby dzisiaj zginąć!”

Spojrzał na zarzewie wschodu różowiejące blade nad nieprzyjacielskimi liniami.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

O dziewiątej rano zaczęły nadciągać samoloty: fortece B-17 i B-24, mitchelle, maraudery. Przez całe życie Ackerman nie widział tylu maszyn. Wyglądało to jak plakat kaptujący ochotników do lotnictwa — masowe, sunące w doskonałym szyku dowody niespożytej energii i niewyczerpanego bogactwa przemysłu Stanów Zjednoczonych. Noe stał w schronie ziemnym, który od tygodnia zamieszkiwał z Burneckerem. Ciekawie przyglądał się eskadrom.

— Najwyższy czas! — burknął zrędnie Burnecker. — Zastrane lotnictwo! Mogło chyba zacząć trzy dni temu.

Noe gapił się bez słowa. Wysoko w górze czarne chmurki niemieckich szrapneli pojawiły się między lśniącymi sylwetkami. Od czasu do czasu trafione maszyny łamały doskonały szyk formacji. Niektóre zawracały i wlokąc za sobą smugę dymu zmierzały ukosem w stronę bezpiecznych pól za amerykańskimi stanowiskami. Inne buchały ogniem, dziwnie bladym na tle lazuru, i bezkształtną masą dymu i płomieni spadały z wysokości wielu tysięcy stóp. Tu i ówdzie rozkwitały spadochrony i szybując nad polem bitwy przypominały białe jedwabne parasolki, akurat stosowne w słoneczny ranek francuskiego lata.

Burnecker miał słuszość. Natarcie powinno było rozpocząć się o trzy dni wcześniej. Ale pogoda nie dopisywała. Poprzedniego dnia lotnictwo próbowało szczęścia, kiedy jednak niebo się zachmurzyło, pierwsze maszyny wróciły wyrzuciwszy bomby, a piechota utkwiała w rowach i prowizorycznych schronach ziemnych.

— No, dziś słońca starczy, żeby z trzydziestu tysięcy stóp wytluc całą niemiecką armię — podjął Burnecker.

Rozumując teoretycznie, atak z powietrza winien do godziny jedenastej zniszczyć lub zdeorganizować wszelki opór na przedpolu

koncentracji sił lądowych. Wówczas piechota ruszy z podstawy wyjściowej i otworzy wyłom dla broni pancernej, następnie zaś dla coraz to nowych i nowych dywizji, co przenikną głęboko na tyły nieprzyjaciela. Porucznik Green, dowódca kompanii, wytłumaczył to jasno podkomendnym. Zrazu żołnierze skłonni byli do sceptycyzmu, obecnie jednak podziwiając precyzyjne działanie kolosalnej floty powietrznej musieli uwierzyć, że wszystko pójdzie gładko.

„Dobry Boże! — myślał Noe. — Czekają nas coś w rodzaju defilady.”

Od powrotu zza niemieckich linii zamykał się w sobie, milczał i podczas nielicznych dni wypoczynku czy mniej lub więcej jałowych godzin na służbie izolował się zupełnie. Zabezpieczył się przed nienawiścią Ricketta i kolegów, którzy mogli podzielać sierżanckie stanowisko. Obecnie przyglądał się samolotom, słuchał eksplozji bomb i w pewnym sensie był wdzięczny Rickettowi. Dzięki niemu nie odczuwał potrzeby popisywania się, okazywania męstwa, gdyż sierżant wyraził się aż nazbyt dobitnie, że nie uznaje człowieka w szeregowcu Ačkermanie bez względu na to, czego szeregowiec Ačkerman dokona. Niech w pojedynkę zdobędzie Paryż albo w ciągu doby wymorduje całą brygadę SS — i tak nic nie pomoże.

„Teraz — postanowił Noe — wszystko mi jedno. Płynę z nurtem. Nie prędzej ani wolniej, nie lepiej ani gorzej. Inni będą szli naprzód — ja z nimi. Inni będą uciekać — jaz nimi.” Stojąc w wilgotnym dole za żywopłotem z wiecznie zielonych krzewów, nasłuchiwał ech bombardowania i skowytu przelatujących nad głową amerykańskich pocisków. Dziwnie cieszyła go własna decyzja i wewnętrzny spokój — tragiczny, osiągnięty kosztem najdroższych nadziei, niosący jednak ulgę, odprężenie i bolesną wróżbę przetrwania.

Ciekawie obserwował samoloty, lecz od czasu do czasu zerkał przez zielony gąszcz w stronę stanowisk nieprzyjaciela i mimo woli współczuł Niemcom objętym granicami wytyczonymi na mapie lotnictwa. Sam był przykuty do ziemi, miał broń, co wyrzucała dwuuncjowy pocisk na głupie tysiąc jardów, nienawidził więc wieku władzy maszyn, anonimowych powietrznych morderców; litował się nad ludźmi skulonymi w schronach, ogłuszanymi i zabijanymi przez tony materiałów wybuchowych. Spojrzał na stojącego obok Burneckera i z wyrazu jego twarzy wyczytał, że podobne myśli zaprzatają głowę przyjaciela.

— Boże! — szepnął Burnecker. — Mogliby dać spokój. Starczy! Całkiem starczy. Dosyć mielonego mięsa.



Niemiecka artyleria przeciwlotnicza została już zmuszona do milczenia. Bombowce płynęły w górze bezpiecznie i spokojnie jak na manewrach.

Nagle ogłuszający świst przeszył powietrze. Gruchnęło w pobliżu. Zadygotała zielona murawa. Burnecker chwycił Noego, pociągnął na dno dołu. Skuleni pod gradem kamieni, ziemi, połamanych gałęzi, nogi mieli splątane i stykali się hełmami. Głuchli od huku bomb wybuchających jedna po drugiej.

— O, skurwysyny! Latający rzeźnicy! Skurwysyny! — powtarzał Burnecker.

Dokoła rozlegały się wrzaski i jęki rannych, lecz niepodobna było wychylić się ze schronu pod ulewą bomb. Nad głowami silniki warczały pracowicie. Maszyny sumiennie, metodycznie spełniały swoje zadanie. Były obojętne, niedosiężne. Bezpieczni w nich ludzie ufali własnemu doświadczeniu i wiedzy i na razie przynajmniej cieszyli się z wyników, jakie zdawało się im, że osiągają.

— O, skurwysyny! — klął Burnecker. — Żywa noga stąd nie wyjdzie! Gównu ich to obchodzi! I tak żyją po pańsku, mają większe gaże. O, skurwysyny!

„Ostatnia krywdra, jaką zrobi mi wojsko — myślał Ackerman. — Samo mnie zakatrupi. Do Niemców nie ma zaufania. Nie powierzy im tak odpowiedzialnej roboty. Byle nie donieśli Hope, jak się to stało. Niech nie wie, że Amerykanie zamordowali jej męża...”

Burnecker urągał dalej w przerwach między eksplozjami. Głos drżał mu od nienawistnej pasji.

— Dodatek za loty! — wołał. — Byłe buc sierżantem! Byłe buc pułkownikiem! Nordenowskie urzędnictwa celownicze. Cholera! Cud nowoczesnej techniki. Należało się tego spodziewać. Chryste Panie! Dranie zbombardowali raz Szwajcarię. To się nazywa precyzyjne bombardowanie! Skurwysyny nie potrafią odróżnić kraju od kraju. Skąd mają wiedzieć, czy to własne wojsko, czy wrogi?

Z odległości czterech cali wrzeszczał w twarz Noego, pienił się, opryskiwał go śliną. Ale Noe wiedział, że jego przyjaciel zachowuje się jak szaleniec, aby ich obu utrzymać przy zdrowych zmysłach i ostatniej nadziei życia, aby nie dopuścić do wyjścia ze stosunkowo bezpiecznej kryjówki.

— Gównu ich to obchodzi! — wrzeszczał Burnecker. — Wszystko im jedno, kogo rąbią. Mają zrzucić tyle a tyle ton bomb. Mogą poczęstować nawet własne matki. Gównu ich to obchodzi! Jakiś cholerny nawigator zalał się w nocy i miał dziś kaca. Pilno mu było do

lekarza. No i o dwie minuty za wcześniej nacisnęła guzik. Tak czy inaczej odbębni lot bojowy. Jeszcze pięć i koniec zabawy. Za miesiąc będzie w Stanach... Gołymi rękami zatłukę pierwszego drania ze skrzydłami, który mi się nawinie. Przysięgam Bogu Wszechmogącemu!

Nagle, jak gdyby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, bombardowanie ustało. Silniki warczały w górze, lecz maszynom przekazano widać poprawki, bo przelatowały niegroźnie, szukając dalszych celów.

Burnecker dźwignął się ciężko i wysunął głowę ze schronu.

— Dobry Boże! — westchnął rozglądając się dookoła.

Noe próbował wstać również, chociaż drzał i kolana uginały się pod nim. Ale przyjaciel zepchnął go na dno dołu.

— Siedź, gdzie ci dobrze — warknął. — Łapiduchy posprzątają rannych. Gównu cię to obchodzi. Prawie sami nowi, z uzupełnień. Siedź, gdzie ci dobrze. — Trzymał Noego za kark. — Dranie na pewno wróci. Znow zaczną rzucać bomby. Nas nie złapią na otwartym polu. — Przycupnął w dole i z pasją wpil palce w ramię przyjaciela. — Noe! Trzymajmy się razem. Ty i ja. Zawsze! Przynosimy sobie szczęście. Ja będę pilnował ciebie, ty mnie. Razem nic się nam nie stanie. Cała cholerna kompania może wyzdychać, ale nie ty ani ja... My wyjdziemy... Zobaczysz... Wyjdziemy!...

Nieprzytomnie szarpał przyjaciela. Wzrok miał błędny, usta mu dygotały. Ochryply gardłowy głos dźwięczał wiarą umacnianą stopniowo podczas przeprawy z Anglii i w obłęzonej farmie, i w słonej wodzie kanału owej nocy, kiedy utonął Cowley.

— Musisz mi przyrzec, Noe — szeptał Burnecker. — Musisz mi przyrzec, że nie pozwolimy się złamać. Nigdy! Chociażby dranie wyprawiali z nami licho wie co! Przyrzeknij, Noe! Przyrzeknij!

Noe płakał cicho, wzruszony mityczną wiarą przyjaciela i prostym faktem, że jest mu potrzebny. Łzy spływały po jego twarzy.

— Ach, Johnny, tak! Masz rację Johnny — wyjąkał i w jednej chwili uwierzył wraz z Burneckerem, że przetrwają wszystko, jeżeli mocno będą trzymać się razem.

W dwadzieścia minut później ci z kompanii, którzy ocaleli, wyszli ze schronów i posunęli się na stanowiska opuszczone przed rozpoczęciem natarcia w obawie przed możliwymi pomyłkami lotnictwa. Następnie przedarli się za żywoptłot i ruszyli zrytym bombami pastwiskiem w stronę nieprzyjacielskiego terenu, gdzie (rozumując teoretycznie) Niemcy powinni być wybici lub całkowicie zdezorganizowani.

Rzadka tyraliera poruszała się niechętnie. Żołnierze szli wolno po wydeptanej trawie. Karabiny i pistolety maszynowe trzymali w pogotowiu. „Czy to cała kompania? — myślał Noe przykro zaskoczony. — Tylko tyłu nas zostało? Gdzie świeże uzupełnienia? Dostaliśmy je dopiero tydzień temu. Nie oddały jeszcze strzału.”

Na sąsiednim polu druga tyraliera wlokła się równie ospale w kierunku tego samego rowu z wysokim nasypem, który wyraźną ciemną krechę przecinał zielony krajobraz. Artyleria strzelała nad głowami, lecz broni małokalibrowej nie było słyhać. Samoloty wróciły do Anglii zostawiwszy leje po bombach i pasma lśniące lamety rzucone dla zmylenia nieprzyjacielskiego radaru. Słoneczne promienie załamywały się w srebrzystych zwojach rozsianych gęsto pośród ciemnej trawy. Nagle błyski przykuwały raz po raz wzrok Noego, który starał się trzymać jak najbliższej Burneckera.

Wędrówka pod osłonę zbawczego nasypu zajęła sporo czasu, lecz dobiegła wreszcie końca. Samorzutnie, bez rozkazu, żołnierze padli w płytkim rowie i chociaż nikt ich dotąd nie ostrzelał, ukryli się za stromym porośniętą trawą stokiem. Leżeli bez ruchu, utrudzeni, jak gdyby zdobyli cel natarcia po wielogodzinnych zapamiętałych walkach.

— Podnieście no dupy! Wojna jeszcze nie skończona! Ruszać się! Jazda z rowu! Żywo!

Rickett posługiwał się tym samym słownikiem i tonem, jakim zachęcał podwładnych do czyszczenia latryn w obozie na Florydzie lub do szturmowania gniazd karabinów maszynowych na wybrzeżu Normandii.

Noe i Burnecker tulili się do murawy. Chytrze nie spoglądali w stronę sierżanta. Udawali, że go nie ma w pobliżu, że w ogóle nie istnieje. Wstało trzech czy czterech „nowych”. Pobrękując ryszunkiem zaczęli piąć się leniwie na strome zbocze. Rickett poszedł za nimi, a kiedy stanął na wale, odwrócił się i znowu podniósł wrzask:

— Podnosić no dupy! Jazda z rowu! Podnieść dupy!

Ackerman i Burnecker dźwignęli się niechętnie i przebyli sześć stromych, śliskich stóp. Inni naśladowali ich stopniowo. Za nasypem było rozległe pole usiane trupami krów, dalej zaś żywopłot i rząd wysokich drzew. Przez chwilę stali patrząc przed siebie. „Nowi”, którzy uprzednio dali dobry przykład, pierwsi ruszyli naprzód. Rickett stał na wale. Nadal ujadał gniewnie. Noe nienawidził go w tej chwili tak mocno i gorąco jak nigdy dotychczas. Z wysiłkiem postąpił kilka kroków.

Niespodziewanie karabiny maszynowe otwarły ogień. Tysiące pocisków zachichotało wokół i ludzie zaczęli padać, nim Noe usłyszał nerwowe terkotanie długich serii.

Tyraliera zatrzymała się na moment. Żołnierze patrzyli ze zdziwieniem w stronę tajemniczego, zięjącego kulami żywopłotu.

— Naprzód! Naprzód! — Głos Ricketta wybijał się nad zgiełk. — Naprzód!

Półowa kompanii leżała już plackiem. Noe chwycił przyjaciela za ramię. Obydwaj zawrócili i zgięci w pół, skuleni przebiegli kilka jardów do nasypu. Z trudem chwytając oddech dali nurka w zieloną bezpieczną przystań. Koledzy jeden po drugim przesadzali wał i zdyszani, przerażeni, brzęcząc ryszunkiem spadali do rowu. W górze Rickett chwiał się dziwnie, krzyczał coś, jak szaleniec wymachiwał rękami. Z szyi tryskała mu łukiem purpurowa struga. Nagle, trafiony powtórnie, schylił się i głową w dół runął na Noego opryskując mu twarz krwią. Noe cofnął się i odskoczył, chociaż Rickett obejmował go i kurczowo wpijał palce w szelki plecaka.

— O, skurwysyny! Przekłête skurwysyny! -opowiedział wyraźnie ranny i rozluźniwszy uścisk zsunął się na dno rowu u nóg Ackermana.

— Nie żyje — oznajmił Burnecker. — Drań doigrał się narzecie.

Zsunął na bok ciało Ricketta, a Noe otarł tymczasem krew z twarzy.

Ogień ustał. Znów zapanowała cisza. Słyszać było tylko krzyki i jęki za wałem. Raz po raz ktoś wychylał głowę, aby zobaczyć, czy nie można pomóc rannym zostawionym na otwartym polu. Ale wówczas odzywały się karabiny maszynowe i z wierzchołka nasypu tryskały fontanny sieczonej pociskami trawy. Nie było rady. Zdziesiątkowana, wyczerpana do cna kompania leżała beczynn timerowię.

— Lotnictwo, psiamać!—odezwał się Burnecker. — Wszelki opór miał być unicestwiony. Zniszczony! Zdezorganizowany. Tamci są całkiem zdezorganizowani, co? Gołymi rękami zatłukę pierwszego drania ze skrzydłami. Przysięgam Bogu!

Żołnierze leżeli cicho, oddychali coraz normalniej. Czekali, by ktoś inny zajął się jakoś dalszymi losami wojny. Niebawem jednak nadszedł porucznik Green. Noe słyszał piskliwy, dziewczęcy głos zbliżający się wzduż rowu.

— Tak nie można! — skrzeczał. — Musimy się ruszyć. Musimy iść naprzód. Naprzód! Naprzód! Nie można utknąć tutaj. Na lewym skrzydle pluton okrąża te piekielne kaemy. My musimy związać je od frontu. Śmiało! Powstań! Naprzód! Naprzód! Powstań!

Głos załamywał się, drgał nutą bezradności. Żołnierze nie patrzyli nawet na dowódcę. Lekceważyli jego obecność. Kryli twarze w chłodnej zielonej murawie.

Porucznik wspiął się na wał i z jego wierzchołka zaczął nawoływać, błagać, grozić. Nikt jednak nie drgnął. Noe przyglądał się ciekawie. Czekał, kiedy oficer padnie. Karabiny maszynowe zaterkotały znowu, lecz Green nie zważał na nie. Miotał się dalej i podskakując w miejscu wrzeszczał jak opętany:

— Spójrzcie! To nic trudnego! Spójrzcie! Do mnie! Naprzód! Do mnie.

Nagle dał susa z nasypu, wygrzebał się z rowu i odszedł przez pastwisko w kierunku tyłów. Wszyscy byli zadowoleni, że go nareszcie nie ma.

„Taki system będę stosował zawsze — myślał z otuchą Noe. — Co mi kto zrobi, jak się stąd nie ruszę? Postępuję tylko tak jak inni.”

Z prawej i z lewej dochodziły odgłosy zacieklej walki, lecz Noe i jego sąsiedzi nic nie widzieli i nie mogli się zorientować w rozwoju wydarzeń. W rowie było zacisznie, bezpiecznie. Niemcy nie mogli ich tam dosięgnąć, oni zaś nie mieli ochoty krzywdzić Niemców. Sytuacja zaczynała nabierać przyjemnych cech spokoju i trwałości. Aż ciepłej robiło się koło serca. W swoim czasie nieprzyjaciel wycofa się albo zostanie oskrzydłony przez jakieś oddziały. Wtedy nadejdzie pora, by wstać i ruszyć naprzód. Wtedy, ale nie wcześniej.

Burnecker wydobyl i otworzył żelazną porcję.

— Pasztet cielecy — powiedział rzeczowo, zlizując z noża pasek konserwy. — Co za szatan wymyślił to paskudztwo? — Odrzucił wzgardliwie pergaminową torebkę syntetycznego proszku cytrynowego. — Za nic! choćbym konał z pragnienia.

Noe nie czuł chęci do jedzenia. Jak urzeczony patrzył w stronę trupa leżącego o pięć stóp. Rickett miał oczy szeroko otwarte, a na twarzy wyraz gniewu i poczucia władzy. Wielka paskudna rana rozdzierała mu szyję. Noe próbował wmówić w siebie, że cieszy go widok martwego wroga, lecz nie mógł sobie z tym poradzić. Sierżant umarł, przestał więc być brutalnym podoficerem, mordercą z zamiłowania, tyranem o zacisniętych ustach pełnych zawsze przekleństw. Został jeszcze jednym poległym Amerykaninem, zgasłym przyjacielem, utraconym sojusznikiem.

Ackerman smutno pokiwał głową i odwrócił wzrok od Ricketta.

Porucznik Green nadchodził skrajem rowu, a towarzyszył mu jakiś wysoki mężczyzna. Nieznajomy szedł bardzo wolno i z zatkaną miną przyglądał się opornym, skulonym w rowie żołnierzom.

— Boże Świąty! Dwie gwiazdki! — mruknął Burnecker, kiedy oficerowie byli o kilkanaście kroków.

Noe usiadł z wrażenia. Przeżył w wojsku wiele miesięcy, lecz nigdy nie widział z tak bliska generała-majora.

— Generał Emerson — szepnął nerwowo Burnecker. — Czego tu chce, u diabła? Mógłby siedzieć w domu.

Generał skoczył zwinnie na darniowany stok i ukazując się Niemcom ruszył grzbietem wału. Szedł wolno, spokojnie przemawiał do żołnierzy, którzy tępo spoglądali nań z dołu. U pasa miał pistolet w kaburze, a pod pachą niósł krótką trzcinkę.

Karabiny maszynowe zaczęły znów ujadać, ale generał nie przyspieszył kroku. Poruszał się lekko, posuwając się w doskonałej formie. Mówił płynnie do ludzi, których miał.

„Niepodobna! — myślał Noe. — To ktoś przebrany. Green robi głupi kawał!”

— Śmiało, chłopcy, śmiało! — brzmiał coraz bliżej głos opanowany, przyjazny, donośny. — Trudno. Musimy się ruszyć. Nie będziemy gnić do wieczora w rowie. Trudno. Musimy się ruszyć. Trzymamy tutaj całą linię. Śmiało! Tylko do tamtych żywoplotów, chłopcy! Nie żądam wiele, prawda? No i co, synku? Nie chcesz chyba nocować z tym waleń?

Nagle Noe spostrzegł, że lewe ramię generała drgnęło, a krople krwi pociekły z rękawa. Ledwie widoczny grymas wykrzywił na moment usta. Łokieć silniej przycisnął trzcinkę. Później generał szedł dalej równym, pewnym krokiem i mówił lekko zmienionym, bardziej przejmującym tonem. Niebawem przystanął nad Burneckerem i Noem.

— Jak tam, chłopcy? — zwrócił się do nich życzliwie.. — Ktoś musi zacząć. Do żywoplotów niedaleko.

Ackerman nie mógł oderwać wzroku od długiej, smutnej, przystojnej twarzy, która mogłaby należeć do uczonego, intelektualisty, lekarza... Miał dziwne wrażenie, że armia oszukuje go, raz jeszcze bierze na fundusz, lecz wiedział również, że nie potrafi odmówić niczego takiemu człowiekowi. Nie byłby wówczas sobą, Noem Ackermanem. Podniósł się i w tej samej chwili poczuł, że Johnny staje za nim. Generał uśmiechnął się przelotnie, z uznaniem.

— Dobrze, chłopcy — powiedział i kilkakrotnie klepnął Noego po ramieniu.

Ackerman i Burnecker przesadzili nasyp, odbiegli piętnaście jardów i szukając osłony skryli się w leju. Noe odwrócił głowę, żeby zobaczyć, co się dzieje. General stał na wale wyprostowany, obojętny na gęsty ogień. Dokoła żołnierze posuwali się przez pole krótkimi skokami.

„Generalowie — pomyślał mętnie Noe spoglądając w stronę stanowisk nieprzyjaciela. — Do dziś dnia nie wiedziałem, po co są w wojsku...” Wyskoczył za przyjacielem z dołu, w chwili kiedy dwaj żołnierze dawali tam nura. Kompania lub — mówiąc ściślej — pozostałe pół kompanii szło wreszcie do natarcia.

Po kwadransie tyraliera osiągnęła linię żywoplotów, zza których tak niedawno strzelali Niemcy. Moździerze wstrzelały się tymczasem do stanowisk cekaemów i gdy zniszczyły jeden, inne wycofały się sprawnie przed nadejściem piechoty.

Ackerman padł na kolana i dysząc ciężko, oparł się o pomysłowo zamaskowane stanowisko, zniszczone teraz i rozdarte. Za workami z piaskiem był zdruzgotany karabin maszynowy i trzy niemieckie trupy. Jeden klęczał jeszcze za spandauem. Burnecker wyciągnął nogę i popchnął butem nieżywego człowieka, ten zaś zachwiał się lekko i upadł na bok. Noe odwrócił głowę, pociągnął z manierki łyk wody. Gardło miał spieczone z pragnienia. Od rana nie wystrzelił ani razu, lecz ręce i ramiona bolały go tak, jakby wytrzymały setki odrzutów.

Spojrzał w przód przez gęste krzewy. -Znów widział pole usiane lejami po bombach i zabitym bydłem, a o trzysta jardów dalej żywoplot, zza którego strzelały nieprzyjacielskie cekaemy. Westchnął ciężko, gdy spostrzegł, że porucznik Green nadchodzi i próbuje poderwać kompanię do natarcia. Przez chwilę zastanawiał się półprzymtomnie, gdzie może być general. Potem skoczył naprzód wraz z Burneckerem. Nim przebiegł trzy kroki, został trafiony, a przyjaciel odciągnął go w bezpieczne miejsce za żywoplotem.

Sanitariusz zjawiał się nadspodziewanie prędko. Ale Noe krwawił obficie. Było mu zimno, głupio; pochyloną nad sobą twarz widział jak we śnie. Sanitariusz, niski, okrągły Grek miał ciemne świdrowate oczy i rzadkie obwisłe wąsy. Otóż te oczy i wąsy zataczały w powietrzu niezależne kręgi, kiedy Grek z pomocą Burneckera robił transfuzję.

„Cudy nauki! — przypomniał sobie mgliście Noe. — W czasie tamtej wojny ranny był całkiem rześki i prosił o papierosa, a w dziesięć minut nie żył. Dziś inna sprawa. Mamy wojnę w najlepszym gatunku, według najświeższej mody. Krwi można nie oszczędzać. Aha...

Daje mi także morfinę. Jak to ładnie z jego strony. Kto by się spodziewał takich względów od Służby Zdrowia?"

Dziwnie było czuć gorącą sympatię dla zezowatego Greka ze Scranton w Pensylwanii, który przed wojną był kucharzem w samoobsługowej jadłodajni. Jaja na szynce, parówki, zupa z puszek... Teraz daje krew z puszek... Dziwne... Konserwowana krew serdecznym węzłem łączy Markosa z Aten i Ackermana z Odessy. A dzieje się to wszystko w letni dzień, niedaleko ruin miasta Saint Ló, w starożytnej prowincji Normandii, pod okiem farmera z Iowy, niejakiego Burneckera, co klęczy obok i płacze, płacze, płacze...

— Noe! Ach, Noe! — szlochał chłopiec z Iowy. — Jak się czujesz, Noe? Lepiej ci? Lepiej?

Noe sądził, że uśmiecha się do przyjaciela, lecz uświadomił sobie rychło, iż mimo wysilków twarz ma nieruchomą. Było mu strasznie zimno. Stanowczo za zimno, jak na piękny lipcowy dzień, na Francję, na młodego, zdrowego mężczyznę...

— Johnny — wyszeptał z trudem. — Nie martw się o mnie. Johnny! Uważaj na siebie... Ja... ja wrócę... Słowo daję... Wrócę...

Wojna wykonała karkołomny zwrot. Nie ma już urągania i przekleństw. Nie ma Ricketta, bo Rickett umarł opryskując krwią szeregowca Noego Ackermana. Jest za to mały zezowaty Grek o miękkim brzmieniu głosu i aksamitnych dłoniach, dziwny człeczyna z obwisłymi wąsami i jakimś egzotycznym greckim imieniem. Jest szczupła, zatroskana twarz generała, co dostaje pieniądze za to, że z trzcinką w ręku spaceruje pod ogniem — twarz władcza i tragiczna, twarz człowieka, któremu niepodobna odmówić niczego. Jest rozpaczliwe łkanie Johnny'ego Burneckera, drogiego brata, któremu Noe przyrzekł, iż nie opuści go nigdy, bo nawzajem przynoszą sobie szczęście i zostaną przy życiu, chociaż cała kompania wyginie, co na pewno się stanie, gdyż przed kompanią leżą jeszcze niezliczone pola przecięte liniami niezliczonych żywoptów. Tak! Armia zmieniła się raptownie i zmienia się nadal szybko, niepostrzeżenie w szaleńczy wir puszek z krwią, trzcinek, morfiny i łez...

Sanitariusze podnieśli nosze i szybko ruszyli ku tyłom. Noe z wysiłkiem dźwignął głowę, obejrzał się za siebie. Johnny Burnecker siedział na murawie. Zrzucił hełm i pogrążony w żalobie, gorzko opłakiwał przyjaciela. Noe chciał zawołać, że koniec końców wszystko będzie dobrze, nie zdołał jednak wydobyć głosu z krtani. Opuścił głowę, zamknął oczy i półprzytomnie pozwalał nieść się dalej, gdyż nie mógł ścierpieć widoku porzuconego towarzysza.



Pod gorącymi promieniami słońca nieżywe konie zaczynały cuchnąć i pęcznieć. Zaduch padliny mieszał się z kwaśną szpitalną wonią zniszczonej kolumny sanitarnej. Szosę zaścieniało istne rumowisko: przewrócone furgony, rozsypane proszki dezynfekcyjne, pliki kancelaryjnych papierów, poszarpane, bezużyteczne czerwone krzyże. Zabitych i rannych uprzątnięto, lecz poza tym kolumna (pnąca się pod górę łagodnym stokiem) wyglądała tak, jak pozostawiły ją bombowce nurkujące.

Christian ze schmeisserem w rękę szedł powoli przydróżkiem w bezładnej grupie mniej więcej dwudziestu zupełnie nieznanym żołnierzom. Zebrał ich wczesnym rankiem, kiedy zawieruszył się gdzieś dorywczo zorganizowany pluton, którego dowództwo powierzono mu przed trzema dniami. Był pewien, że pluton poddał się w ciągu nocy, doznawał więc posępnej ulgi na myśl, że nie odpowiada już za tych ludzi i ich poczynania.

Ogarniała go złość i rozpacz, gdy patrzył na zmasakrowaną kolumnę sanitarną, której na nic się nie przydały godła czerwonego krzyża. Nienawidził młodych zuchów, którzy nadlecieli z szybkością czterystu mil na godzinę i dognali wozy pełne chorych i konających, aby w przystępie szałuńskiej furii niszczenia zmasakrować je torpedami powietrznymi i huraganem ognia broni pokładowej.

Mimo woli spojrział na przygodnych towarzyszy i zorientował się, że nie dzielą go gniewu. Została im tylko rozpacz. Okres gniewu mieli za sobą. Przeważnie bez broni, zgięci pod ciężkim rynsztunkiem mijali obojętnie szczątki kolumny sanitarnej i smród końskiej padliny. Podejrzliwie omiatali wzrokiem groźne bezchmurne niebo i wlekli się na wschód niby chore zwierzęta, co instynktownie szukają zaciszniejszego, chłodnego miejsca, gdzie będzie można przywarować i zdechnąć.

Kilku z nich nie pozbyło się obłądnego sknerstwa mimo chaosu ucieczki i śmierci. Ci dźwigali lupy. Ktoś piastował skrzypce ukradzione z mieszkania bezimiennego melomana. Stercząca z czyjegoś plecaka para srebrnych kandelabrow dowodziła niezbitcie, iż mimo klęski nie wszyscy postradali wiarę w przyszłość i w wystawne kolacje przy łagodnym blasku świec. Jakiś olbrzym o przekrwionych oczach i zakurzonej szopie brudnych płowych włosów maszerował bez hełmu, lecz w chlebaka dźwigał wiele lubjanych pudełek Camemberta. Szedł szybko, bo był silny, a kiedy wyprzedził Christiana, drażniący odór dojrzałego sera połączył się ze zgnilo-szpitalnym zaduchem.

Na czelu kolumny stało osiemdziesięcimilimetrowe działo przeciwlotnicze zmontowane na platformie. Konie zastygły w dzikim, trwożnym cwale, a działo i jego podstawa były obficie zbryzgane krwią.

„Armia niemiecka — myślał pośepnie Diestl. — Szkapę przeciwko samolotom”.

W Afryce uciekał również, lecz przynajmniej posługiwał się maszynami. Przypomnił sobie motocykl Hardenburga, włoski wóz sztabowy i samolot sanitarny, co nad Morzem Śródziemnym przewiózł go do Włoch. Przeznaczeniem armii niemieckiej jest bodaj cofanie się do coraz pierwotniejszych metod walki w miarę postępów wojny. Ersatz! Ersatz-benzyna, ersatz-kawa, ersatz-krew, ersatz-żołnierz...

Christianowi wydało się, że przez całe życie był w odwoicie. Nie pamiętał momentów posuwania się naprzód. Wierzył, że odwrót stanowi treść i normalną atmosferę wojny. Wciąż szedł do tyłu zgnębiony, wyczerpany, wciągając w nozdrza smród niemieckich trupów. Wciąż ścigały go śmigające po jasnym niebie maszyny, których broń zaczętnie sterczała ze skrzydeł, a piloci uśmiechali się drwiąco, bo im nic nie groziło, i mordowali ludzi po stu na minutę...

Christian uskoczył na bok, gdyż usłyszał za sobą donośny klakson. Mały kryty samochód wyprzedził piechurów. Spod jego kół tryskały kamyki i piasek. Przez szyby widać było czerstwe, ogolone twarze. Jedni z pasażerów pilił cygaro.

Nagle ktoś krzyknął. W górze ryknęły silniki. Diestl dał susa w pole i schronił się w głębokim dole, jakich wiele saperzy wykopali wzdłuż francuskich dróg, aby zapewnić bezpieczeństwo w takich właśnie chwilach. Przywarł do wilgotnej ziemi, ukrył głowę. Nie wając się podnieść wzroku nasłuchiwał szumu powracających samolotów i gęstych salw broni pokładowej. Nieprzyjacielskie maszyny tylko dwa razy

przemknęły nad drogą i odleciały. Diestl podniósł się, wylazł z dołu. Nikt z jego przygodnych kompanów nie został ranny, ale mały kryty samochód palił się pod rozdartym drzewem. Dwaj jego pasażerowie leżeli na środku szosy. Dwaj pozostali płonęli na oblanych benzyną szczątkach kauczuku i obicia z imitacji skóry.

Christian zbliżył się wolno do ciał rozciągniętych twarzami w dół na asfalcie. Nie musiał dotykać ich, by upewnić się, że są martwe.

— Oficerowie — usłyszał głos za sobą. — Próbowali dać nogę. Żołnierz splunął głośno.

Inni bez komentarzy mijali zwłoki i płonący samochód. Christian chciał krzyknąć, żeby pomogli mu odnieść na bok ciała, ale rozmyślił się po chwili. Mogłoby to wywołać sprzeczkę, a ostatecznie dwa trupy więcej lub mniej na szosie nie robiły w danych warunkach żadnej różnicy.

Leniwie pociągnął dalej na wschód klnąc w duchu, że źle wyleczona noga zaczyna go zawodzić. Raz po raz pluł lub smarzał głośno, by jak najprędzej pozbyć się zapachu i smaku padliny i leków.

Następnego ranka los się uśmiechnął. W ciągu nocy Diestl odłączył od przygodnych kompanów i powędrował wolno do krańców miasteczka, które zagradzając mu drogę leżało w księżycowej poświacie czarne, puste, na pozór wymarłe. Postanowił nie zapuszczać się w labirynt ulic nocą i samotnie, gdyż było bardziej niż prawdopodobne, że Francuzi upolują w ciemnościach pojedynczego Niemca, obedną go z broni, munduru i butów i rzucają za jakiś żywopłot, gdzie zgnije spokojnie. Ułożył się więc pod drzewem, oszczędnie zjadł część żelaznej porcji i spał do świtu. Następnie szybko przebył miasteczko, prawie biegnąc środkiem brukowanej jezdni. Minął szary kościół, opuszczone żaluzje sklepów, nieodzowny pomnik zwycięstwa z palmami i bagnetami stojący przed ratuszem. Ludzi nie spotkał. Zdawać się mogło, że Francuzi zniknęli z powierzchni ziemi deptanej stopą niemieckiego odwrotu. Nawet psy i koty rozumiały zapewne, że bezpieczniej poczekać w ukryciu, aż odpłynie wzburzona fala rozgromionego żołdactwa.

Szczęście dopisało Christianowi na przeciwnym krańcu miasteczka. Sapiąc z wysiłku szedł szybko i mijał ostatnie niebezpieczne domy, kiedy spostrzegł cyklistę, który wyjechał na szosę z bocznej drogi. Śpieszył się widać, bo nie patrzył przed siebie i ostro pedałował w stronę miasta. Christian zatrzymał się, wystąpił na środek szosy, czekał. Niebawem zorientował się, że nadjeżdża piętnasto- lub

szesnastoletni chłopak z gołą głową, ubrany w błękitną koszulę oraz stare francuskie spodnie wojskowe. W mętnym świetle brzasku przenikającym między dwa rzędy topoli rower podskakiwał na wybojach. Jego koła i nogi cyklisty rzucały na asfalt wydłużone, ruchliwe cienie.

Wyrostek dostrzegł Niemca z odległości trzydziestu kroków. Zatrzymał się raptownie.

— Chodź tutaj! Chodź! — zawołał Christian po niemiecku, bo zabrakło mu nagle francuskich słów. — Chodź! Nie bój się — dodał ochryplym głosem, zbliżając się do cyklisty.

Przez chwilę wpatrywali się w siebie. Młody Francuz był blady. Miał czarne kędzierzawe włosy i ciemne wystraszone oczy. Nagle szybkim, niemal zwierzęcym ruchem chwycił rower za przednie koło, odwrócił i zaczął odprowadzać biegiem, nim Christian zdążył sięgnąć schmeisser z ramienia. Po kilku krokach skoczył na siodełko, pochylił się i zaczął uciekać tak szybko, że pęd powietrza wydał w balon błękitną koszulę.

Nie zastanawiając się Diestl otworzył ogień i dosięgnął! zbiega drugą serią. Rower potoczył się w rów, chłopiec zaś dał szczupaka na przeciwny przędź i leżał tam bez ruchu.

Christian pokuśtykał szybko wyboistą drogą. Buty stuknęły głośno w porannej ciszy. Nachylił się i podniósł rower. Spróbował go potoczyć w przód i do tyłu. Był nie uszkodzony. Potem spojrzał na chłopca, który leżał na boku, z odchyłoną głową. Twarz pod ciemną czupryną była blada, bez wyrazu. Pod cienkim nosem sypał się delikatny puch wąsów. Purpurowa plama rosła wolno na plecach pokrytych wypłowiałą błękitną koszulą. Diestl postąpił parę kroków w stronę chłopca, lecz prędko zmienił zamiar. W mieście na pewno było słychać strzały. Jeżeli ludzie nadbiegną i zastaną Niemca w takiej sytuacji, rozprawią się z nim bez ceregieli.

Wsiadł na rower i odjechał ku wschodowi. Po wielu dniach uciążliwej pieszej wędrówki ziemia uciekała teraz spod kół błyskawicznie, zdumiewająco łatwo.

„No, nie tylko oficerowie mają czym jechać” — pomyślał z ulgą Christian. Swobodnie poruszał nogami, ranny wietrzyk miło chłodził mu twarz, zielone, pokryte rosą drzewa i krzewy radowały oko. Francuskie ziosły zdawały się stworzone dla rowerzystów. Nawierzchnie miały w znośnym stanie, a żadne strome stoki nie opóźniały jazdy. Bez trudu da się robić dwieście kilometrów dziennie!

Christian czuł się młody i silny. Po raz pierwszy od pamiętnego, dawno minionego dnia, kiedy ujrzał amerykańskie szybowce lądujące

na francuskiej plaży, zaczynał wierzyć, że jakoś wyjdzie cało. W pół godziny później zjeżdżał na wolnym trybiku łagodnym stokiem między łanami dojrzewającej, jasnozłotej pszenicy. Nagle stwierdził ze zdziwieniem, że pogwizduje i nuci na zmianę wesolą, wakacyjną, nieokreśloną melodyjkę, która bezwiednie dobywa się z jego ust.

Przez cały dzień umykał ku wschodowi paryską szosą. Raz po raz wyprzedzał bezładne grupy żołnierzy wlokących się pieszo lub obsiadających farmerskie wozy wyladowane obrazami, meblami, baryłkami jabłeczniaka. W czterdziestym roku Christian widywał we Francji uchodźców, wówczas jednak wyglądało to bardziej naturalnie, gdyż uciekali przeważnie starcy, kobiety i dzieci. Nietrudno było też zrozumieć, dlaczego ratują materace, garnki, najrozmaitsze sprzęty gospodarskie. Opuszczali przecież własne siedziby i spodziewali się rozpocząć gdzieś na nowo życie domowe. Ale dziwnie było pomyśleć, że niemieccy żołnierze, uzbrojeni młodzi mężczyźni w mundurach, uchodzą w taki sposób, chociaż mogą się spodziewać tylko dwojakiego zakończenia: albo zostaną gdzieś zreorganizowani i jakimś cudem zmuszeni do walki, albo wpadną w ręce nieprzyjaciela, który podobno zdążył już oskrzydlić rozgromioną armię. W obydwu tych przypadkach oprawne malowidła z normandzkich zamków i ozdobne stojące lampy nie na wiele mogły się przydać. Z posępными, udręczonymi twarzami rozgromieni wojacy płynęli szosami w kierunku Paryża – bez oficerów, organizacji, dyscypliny, zdani na łaskę i niełaskę pościgu amerykańskich samolotów i czołgów. Od czasu do czasu dymił francuski autobus z generatorem na węgiel drzewny, przepelniony brudnymi żołnierzami, którzy musieli niekiedy wysiadać, by pchać pod górę swój wehikuł. Rzadko spotykani oficerowie nie zabierali głosu. Byli również bezradni i zgnębieni jak szeregowcy.

Tło dla tego wszystkiego stanowiły długie pogodne dni i uroczą wieś francuska w pełnym rozkwicie lata: słońce, świeża, powabna zieleń, farmerskie domy obrośnięte geranium kwitnącym purpurowo i różowo.

Pod wieczór Diestl był zupełnie wyczerpany. Od lat nie siedział na rowerze, a przez pierwszych parę godzin pedałował zbyt szybko. Ponadto dwukrotnie ostrzelano go z zasadzki i kiedy kule gwizdały mu nad głową umykał co sił z kręgu niebezpieczeństwa. Wjeżdżając o zachodzie słońca na rynek sporego miasteczka, ledwie władał kierownicą i zataczał się pp jezdni od chodnika do chodnika. Na pierwszy rzut oka spostrzegł nie bez przyjemności, że plac roi się od żołnierzy. Jedni siedzieli w kawiarniach lub leżeli zmęczeni na

kamiennych ławkach, inni mozolili się nad popsutymi citroenami (model 1925), bezskutecznie próbując zmusić je, by ujechały bodaj kilka kilometrów. Nic złego nie mogło grozić w takim tłumie, przynajmniej do czasu.

Christian zeskoczył z roweru i spojrzał nań nienawistnie. Francuską maszynę zaczynał uważać za obdarzonego inteligencją podstępnego wroga, co przez cały dzień świadomie trząśł go, udrećzał, odzierał z resztek sił i kilka razy omal nie zrzucił na ostrzejszym zakręcie czy niespodziewanym wyboju. Szedł śpiesznie obok roweru. Nogi miał sztywne, utrudzone. Wymijał żołnierzy leżących i siedzących dokoła, ci zaś przez chwilę spoglądali tępo na jeszcze jednego zbiega i spuszczaali wzrok z wyrazem kamiennej obojętności. Christian mocno ścisnął kierownicę, bo dobrze wiedział, że każdy z tych obcych, nieżyczliwych ludzi zamordowałby go bez skrępulów, aby zdobyć dwa kółka i siodełko z wytartej skóry.

Najchętniej przespałby się kilka godzin, lecz nie chciał ryzykować. Po strzałach na szosie zdawał sobie sprawę, czym grozi samotny spoczynek nawet w najbardziej ustronnym, odludnym miejscu. Przed czyhającymi zewsząd Francuzami chroniła jedynie szybkość lub znaczna liczba. Gdyby zaś położył się w mieście, między kolegami, na pewno postradałby rower. Nie miał wątpliwości, że sam chętnie skorzystałby z okazji i ukradł środek lokomocji każdemu śpiącemu towarzyszowi broni, nawet generałowi Rommłowi. Biwakujący na rynku tłum zdrożonych, udrećzonych zbiegów trudno było podejrzewać o wrażliwe sumienie.

„Jeden głębszy — pomyślał Christian — postawi mnie na nogi i rozjaśni trochę we łbie”.

Nie rozstając się z rowerem wszedł w otwarte drzwi kawiarni. W głębi salki siedzieli jacyś żołnierze. Przelotnie, bez zdziwienia spojrzeli na nowo przybyłego, jak gdyby sierżanci armii niemieckiej wkraczali zazwyczaj do knajp prowadząc rower lub konia albo też popychając przed sobą samochód pancerny. Diestl oparł swój środek lokomocji o ścianę, a tylne koło przycisnął krzesłem. Później dopiero usiadł wygodnie i skinął na starego Francuza, który stał za szynkwasem.

— Koniak! — zawołał. — Podwójny!

Rozejrzał się po półciemnym lokalu. Na ścianach wisiały jak wszędzie dwujęzyczne rozporządzenia dotyczące sprzedaży trunków alkoholowych oraz duże napisy, że we wtorki i czwartki podaje się tylko aperitify. Christian przypomniał sobie jak przez sen, że jest

właśnie czwartek, lecz czwartek zupełnie wyjątkowy, w który nie mają wagi nawet rozporządzenia francuskiego rządu z Vichy. A zresztą pan minister, autor owych rozporządzeń, umyka też i sam zapewne pokrzepiłby się chętnie kieliszkiem koniaku. Jedynym prawem obowiązującym w ten letni wieczór było prawo ucieczki, jedyną władzą — działa Pierwszej i Trzeciej Armii Amerykańskiej. Dział tych nie było wprawdzie słyhać w tej części Francji, ale ich przeczuwana bliskość sprawowała już awansem srogie rządy.

Stary Francuz przyczłapał z małą szklaneczką koniaku. Miał rozwianą brodę biblijnego proroka, a z ust okropnie mu cuchnęły popsute zęby. Christian zirytował się. Czy nawet w knajpie musi przesładować ludzi ckliwy zaduch spróchniałych kości i gnijącego mięsa?

— Pięćdziesiąt franków — powiedział stary nachalnie i schylił się nad klientem nie wypuszczając szklanki z palców.

W pierwszej chwili Christian miał ochotę potargować się ze złodziejem o wyśrubowaną cenę, lecz zrezygnował szybko.

„Ach, ci Francuzi! — myślał. — Ze wszystkiego potrafią ciągnąć korzyści: ze zwycięstwa i klęski, ofensywy i odwrotu, sojusznika i wroga. Daj Boże, by Amerykanie trochę pobyli w tym kraju. Zobaczymy, jak gospodarze przypadną im do gustu”.

Rzucił na stolik pięćdziesiąt franków — zmięty, brudny papierek puszczony w obieg przez armię niemiecką. Był zdania, że franki niedługo już będą mu potrzebne, natomiast sędziwy knajpiarz spróbuje wydusić coś z nowych zdobywców na podstawie obietnicy wydrukowanej przez poprzednich.

Starzec złożył starannie i schował papierek, następnie zaś omijając wyciągnięte nogi gości wycofał się na posterunek za bufetem. Diestl obracał szklaneczkę w palcach. Bawił się, ale nie pił. Chwilowo wystarczało mu, że siedzi, daje odpoczynek strudzonym nogom i wygodnie prostuje plecy na twardym, drewnianym oparciu krzesła. Leniwie począł obserwować zebranych w kawiarni żołnierzy. Twarzy nie widział w mroku i nic nie mógł podsłuchać, gdyż Niemcy milczeli uparcie. Siedzieli bez ruchu, wyczerpali, zamyśleni albo powoli sączyli trunki, jak by nieprędko spodziewali się następnej okazji do popicia i chcieli jak najdłużej zachować na języku gryzący smak i ciepło alkoholu.

Christian zobaczył jak przez mgłę inną knajpę, w Rennes, bardzo, bardzo dawno, i czterech niemieckich żołnierzy. Mieli rozpięte bluzy i grube portfele. Zachowywali się butnie, hałaśliwie. Pili kiepskiego

szampana. Dziś nikt nie pije szampana, nikt nie jest butny, hałaśliwy. A jeżeli się nawet ktoś odezwie, rzuca półgłosem kilka słów i otrzymuje równie zwięzłą, cichą odpowiedź. Tak. Nie. Czy doczekamy jutra? Cholera! Jak nas potraktują Amerykanie? Słyszałeś, co zrobili z dywizją pancerną Lehra? Co gada BBC? Gówno. Koniec! Klapa! Kaput! Koniec! Leniwie bawiąc się szklaneczką Diestl próbował odgadnąć, co w ciągu lat stało się z pionierem, o którego niestosownym zachowaniu złożył w Rennes meldunek.

„Pewno zafasował wtedy miesiąc koszarniaka — pomyślał półsenie, kładąc dłoń na ramie roweru. — Dlaczego nikt nie da mi dziś koszarniaka? Jak by to było cudownie! Dlaczego nikt nie da miesiąca koszarniaka Pierwszej Armii Amerykańskiej albo ósmej Flocie Powietrznej, albo wszystkim Austriakom w Wehrmachcie? Tak! Wszystkim Austriakom w Wehrmachcie! Miesiąc koszarniaka za niestosowne zachowanie!”

Ocknął się i rozważnie pociągnął mały łyżeczek. Ohydny płyn wcale nie przypominał koniaku. Składał się chyba z wody zaprawionej przed trzema dniami źle oczyszczonym spirytusem. Francuzi. Ach, ci dranie Francuzi! Ze wstrętem spojrzął na dziadogę za szynkwasem. Na pewno od lat był na łaskawym chlebie, ale na ten tydzień wyciągnięto go z jakiejś nory, zapędzono do pracy. W normalnych warunkach szynk musieli prowadzić właściciele: krzepki, zażywny mieszczuch z pulchną, wiecznie spoconą żoną. W porę jednak poczuli pismo nosem i kiedy spostrzegli pierwsze piany niemieckiego odpływu, poruszyli starego i ustawili za bufetem. Rozumowali słusznie, że nawet Niemcy nie będą bryzgać jadem na taki nędzny okaz rodzaju ludzkiego. W tej chwili knajpiarz z żoną ukrywa się zapewne na bezpiecznym poddaszu. Żrą sznycle cielece z sałatą. Popijają mocnym winem. A może włożą razem do łóżka? (Christian przypomniał sobie Córinne z Rennes: dużo jędrnego ciała, wprawne ręce dójki, grube farbowane warkocze...) Knajpiarz i jego żona tulą się do siebie pod ciężką pierzyną i chichoczą na myśl o zgonionych żołdakach, z których „papa” wyciska w brudnym szynku grubą forszę. Chichoczą na myśl o niemieckich trupach rozsianskich wzdłuż szosy i o Amerykanach, co błyskawicznie zbliżają się do ich miasta i chętnie będą płacić jeszcze wyższe ceny za wodę ze źle oczyszczonym spirytusem.

Wyobrażając sobie to wszystko Christian nie odrywał wzroku od starca z brodą biblijnego proroka, ten zaś odpowiadał mu śmiało, pogardliwymi spojrzeniami. Miał gąbczastą, zrytą bruzdami twarz i małe jak paciorki czarne oczki — wyzywające i zaczepne.



„Jesteś stary — myślał Christian. — Zęby butwieją ci i śmierzdzą, a kieszenie puchną od tysięcy bezwartościowych papierowych franków. Ale nie wątpisz, że przeżyjesz co najmniej połowę milczących młodych mężczyzn stłoczonych dziś w szynku twojej córki. Ryczysz wewnętrznym śmiechem wyobrażając sobie okropny los tych prawie-jeńców i prawie-nieboszczyków, co o zmroku obsiedli poplamione stoły”.

— Łaskawy pan rozkaże!... — zaskrzeczał stary tak wesoło, jak gdyby złowił uchem doskonały dowcip, którego nikt z obecnych nie dosłyszał.

— Łaskawy pan nic nie rozkaże — odburknął Christian.

— „Cała bieda — myślał dalej —<sup>1</sup> że Francuzów traktowaliśmy zbyt ślamazarnie. Dzieliliśmy ich na wrogów i przyjaciół. Pośrodku była pustka. Mordowaliśmy drani albo kochali. Resztę zapaskudziła polityka, korupcja, słabość. Dziś płacimy rachunek! Rozumiał to Hardenburg, chociaż leżał bez twarzy w szpitalu na Capri w jednym pokoju ze «Spalonym». Ale mężowie stanu nie rozumieli”.

Stary Francuz przymknął oczy. Czarne, kpiarskie paciorki zakrył żółtymi, pomarszczonymi powiekami, podobnymi do skrawków brudnego papieru. Odwrócił głowę, a Christian zrozumiał nagle, że został pokonany nie wiadomo jak i dlaczego. Napił się koniaku i odczuł pierwsze skutki działania alkoholu. Oczy mu się kleiły, zarazem jednak był mocny jak olbrzym z sennego marzenia, zdolny tylko do leniwych, groźnych ruchów i potężnych nieświadomych ciosów.

— Sierzancie! Wypijcie do dna to paskudztwo.

Głos był niski, znajomy. Diestl spojrzal spod oka na ciemną postać koło swojego stołu, ale niewiele widział w gęstym wieczornym mroku.

— Co? Dlaczego? — spytał półprzytomnie.

— Chciałbym z wami pogadać, sierzancie.

Głos dźwięczał pogodną, życzliwą nutą. Christian wyprostował się, potrząsnął głową i szeroko otworzył oczy. Nagle poznał natręta. Brandt! Pochylny nad nim, wymizerowany, w oficerskim mundurze i bez czapki, lecz niewątpliwie Brandt. I to Brandt uśmiechnięty.<sup>1</sup>

— Brandt!

— Szszaa! — Położył rękę na ramieniu Diestla. — Dopij reszty i wyjdź.

Odwrócił się i zniknął za drzwiami, zaraz jednak stanął na chodniku. Christian widział przez okno plecy przyjaciela i ciągnącą właśnie jezdnię bezładną kolumnę jakiegoś oddziału roboczego. Jednym haustem wypił resztę koniaku i dźwignął się ciężko. Stary

Francuz znowu mu się przyglądał. Diestl odepchnął krzesło, troskliwie ujął rower za rączki kierownicy i potoczył go w stronę wyjścia. Ale na progu obejrzał się i jeszcze raz utkwil wzrok w ironicznych czarnych paciorkach, co pamiętały rok tysiąc osiemset siedemdziesiąty i Verdun, i Marnę z tamtej wojny. Starzec stał na tle plakatu drukowanego we Francji, lecz niewątpliwie zaprojektowanego przez Niemców. Ślimak z amerykańską i brytyjską flagą zamiast rożków pełznął ku górze po Półwyspie Apenińskim. Ironiczny napis głosił, że nawet ślimak zdążyłby już do Rzymu... Christian boleśnie odczuł tę ostatnią zniewagę. Może dziad zawiesił plakat kilka dni temu? Krzywił się. Chichotał. Chciał, żeby każdy niemiecki uciekinier patrzył na tę złośliwą karykaturę i cierpiał.

— Mam nadzieję, że koniak pójdzie łaskawemu panu na zdrowie — drżący głos zaskrzeczał niby śmiech w przytulku dla starców.

„Francuzi! — pomyślał Diestl. — Ach, ci dranie, Francuzi! Jeszcze raz nas dostali!”

Wyszedł i stanął obok dawnego przyjaciela.

— Przejdźmy się — szepnęła Brandt. — Wolno. Dokoła rynku. Nikt nie powinien słyszeć tego, co mam ci do powiedzenia.

Ruszyli wąskim chodnikiem wzdłuż rzędu osłoniętych żaluzjami witryn. Christian spostrzegł ze zdziwieniem, że fotoreporter zestarał się okropnie od poprzedniego spotkania. Wychudł, mocno posiwiał na skroniach, a koło ust i oczu miał głębokie bruzdy.

— Widziałem, jak wchodziłeś do kawiarni — zaczął po chwili Brandt. — Oczom nie chciałem wierzyć. Patrzyłem przez pięć minut, by upewnić się ostatecznie, że to ty. Na miłość boską, co się z ciebie zrobiło? Musiałeś dostać szkołę!

Diestl wzruszył ramionami. Był trochę zły na przyjaciela, który sam nie sprawiał wrażenia okazu zdrowia.

— Trochę mnie przerzucali tam i ówdzie. Ale co ty tu robisz?

— Zostałem odkomenderowany do Normandii. Zdjęcia inwazyjnych. Rozumiesz? Jeńcy. Trupy francuskich kobiet i dzieci po amerykańskich bombardowaniach. Nic oryginalnego. No, idziemy, idziemy. Nie przystawaj, jak gdybyś nie miał nic do roboty, bo zaraz przyczepi się jakiś piekielny oficer i będzie próbował dokąś cię przydzielić. Nadgorliwców nigdzie nie brak. Może być nieprzyjemność.

Pewnym krokiem okrążali rynek, jak żołnierze udający się z czyjeś rozkazu w jakieś miejsce. Szare kamienice czerwieniały od blasków wieczornej zorzy. Ciemne sylwetki niemieckich uciekinierów snuły się na tle zamkniętych i przesłoniętych okien.

— Co masz zamiar robić? — zapytał Brandt.

Christian parsknął suchym, ochryplym śmiechem. Po wielu dniach ucieczki, dyktowanej jedynie ruchami nieprzyjaciela, komiczne wydało mu się przypuszczenie, że on mógłby mieć własne, niezależne zamiary.

— Z czego się śmiejesz?

Fotoreporter spojrzął na niego podejrzliwie, a Diestl zrobił minę serio, bo nagle przyszło mu do głowy, że nie usłyszy czegoś bardzo ważnego, jeżeli zacznie sprzeczkę z Brandtem.

— Z niczego. Słowo daję, z niczego. Jestem zmęczony. Dopiero co zająłem pierwsze miejsce w dziewięciodniowym wyścigu kolarskim na przełaj Europy. Nie bardzo wiem, co się ze mną dzieje. Ale już mi lepiej, znacznie lepiej.

— A zatem — natarł Brandt — co masz zamiar robić?

Zaczepty, nerwowy ton wskazywał, że fotoreporter jest bliski załamania.

— Co mam zamiar robić? Pedalować dalej do Berlina i pobić aktualny rekord.

— Na miłość boską! — wybuchnął Brandt. — Daj spokój żartom!

— Z prawdziwą satysfakcją odbywam wycieczkę przez historyczne prowincje starej Francji — ciągnął z humorem Diestl. — Nie masz pojęcia, jaka to frajda rozmawiać z historycznymi tubylcami w historycznych strojach i z granatami lub stenami w garści. Jeżeli jednak trafi się coś lepszego, może mnie to zainteresować.

— Posłuchaj — przerwał Brandt. — W stodole, o milę stąd, mam osobowy angielski wóz.

Diestl spowaźniał. Opuściła go wszelka chęć do śmiechu.

— No, idziemy, idziemy — szepnął Brandt. — Mówiłem już, żeby nie przystawać. Chcę dotrzeć do Paryża, a mój kierowca zwiął w nocy. Bałwan dostał hysterii, bo wczoraj ostrzelały nas samoloty. Pomaszzerował prosto do Amerykanów.

— Nic nie rozumiem. — Christian starał się o spokojny, rzeczowy ton. — Dlaczego pętasz się tu od rana?

— Nie prowadzę wozu — westchnął fotoreporter. — Wyobraź sobie, jakoś się nie nauczyłem!

Tym razem Diestl nie mógł pohamować śmiechu.

— Mój Boże! Nowoczesny człowiek z epoki uprzemysłowienia!

— Nic zabawnego—obruszył się Brandt. — Po prostu jestem zbyt nerwowy. Spróbowałem w trzydziestym piątym roku i o włos się nie zabiłem.

„Jest zbyt nerwowy — pomyślał Christian ciesząc się z nieoczekiwanej przewagi nad człowiekiem, któremu dotąd świetnie się wiodło mimo wojny. — Słowo daję! Wybrał sobie odpowiedni wiek tja zbytnią nerwowość!”

— Czemu nie skaptowałeś kierowcę jednego z tych? — Wskazał ręką żołnierzy odpoczywających na schodach ratusza.

— Nie mam do nich zaufania — mruknął pośepnie i rozejrzał się dokoła. — Ach, gdybym powtórzył ci połowę plotek o oficerach mordowanych przez własnych podkomendnych... Mniejsza o to. Od rana tkwię w tej przeklętej mieście, kombinuję, co robić, i rozglądam się za gębą, która naprawdę budzi zaufanie. Ale widzisz, wszyscy wędrują kupą, wszyscy mają kolegów, przyjaciół. A w moim wozie są tylko dwa miejsca. Niech to diabli! Do jutra Amerykanie mogą być tutaj albo przetną drogę do Paryża. Christian! Przyznaję otwarcie, że jak cię zobaczyłem w knajpie, o mało nie krzyknąłem z radości. Powiedz mi — mocno ścisnął ramię przyjaciela — nie masz ze sobą nikogo? Jesteś sam?

-- Nie martw się. Jestem sam jak palec.

Brandt stanął nagle. Nerwowym ruchem otarł pot z czoła.

— Mój Boże! — szepnął. — O tym nie pomyślałem. Prowadzisz wóz?

Kiedy rzucił to krótkie, niemądre pytanie, twarz skurczyła mu się wyrazem strachu, bo odpowiedź miała przecież stanowić o rozwiązaniu jego osobistego dramatu pośród tragedii rozgromionej armii. Christian odczuł groteskową, protekcyjną litość. Delikatnie pogładził po ramieniu starzejącego się malarza.

— Bądź spokojny, kolego. Prowadzę wóz — odrzekł.

— Chwała Bogu! A... a pojedziesz ze mną?

Diestłowi zawirowało w głowie. Oto kusząca propozycja: bezpieczeństwo, szybkość, powrót do kraju, życie...

— Nic mnie nie zatrzyma — powiedział z mocą.

Uśmiechnęli się do siebie blade, jak dwaj rozbitkowie, którym dzięki wzajemnej pomocy udało się szczęśliwie dopłynąć do brzegu.

— No to ruszamy — ucieszył się fotoreporter.

— Zaraz, zaraz — zatrzymał go Christian. — Jest jeszcze rower. Dam komuś szansę wydostania się z matni. — Objął wzrokiem ciemne sylwetki kręcące się przed ratuszem; chciał nieznacznie upatrzeć szczęśliwca, któremu ocali życie.

— Nie! — Fotoreporter chwycił go za łokieć. — Rower i nam się przyda. Od Francuzów z fermy dostaniemy za niego prowiant na drogę.

Sierżant wahał się ledwie sekundę.

— Rzeczywiście! — ustąpił. — Że też takie proste rozwiązanie nie przyszło mi do głowy.

Z miasta wyszli szosą, którą przed pół godziną Christian przebył w odwrotnym kierunku. Teraz pieczołowicie prowadził rower, Brandt zaś oglądał się co chwila. Na pierwszym rozjeździe skręcili w pełną drogę między żywopłoty z kwitnących głogów silnie pachnących w ciepłym wieczornym powietrzu. Nim minął kwadrans, zobaczyli porządną dom mieszkalny ozdobiony geranium, a opodal murowaną stodołę, gdzie Brandt pod stosem siana ukrył dwuosobowy samochód.

Fotoreporter słusznie twierdził, że rower może się przydać. Kiedy pod pierwszymi gwiazdami wyjeżdżali z podwórka farmy na wąską drogę, wieźli ze sobą koszyk jaj ugotowanych na twardo, w czasie gdy widłami odrzucali siano, szynkę, dużą bańkę mleka, pół główki sera, litr calvadosu, dwa litry jabłecznika i sześć sporych bochenków wiejskiego ciemnego chleba.

Mały sportowy wóz był dobrze utrzymany. Silnik warczał miarowo. W pogodną, jasną noc Christian siedział wygodnie za kierownicą i mijając białe plamy głogów skręcał na szosę. Miał pełny żołądek. Uśmiechał się do siebie. Chłopiec w błękitnej koszuli spotkany o świcie na pustkowiu przyniósł mu więcej szczęścia, niż należało oczekiwać.

Nie zatrzymując się minęli miasteczko. Na rynku ktoś krzyknął, nie wiedzieli jednak, czy to był rozkaz, by stanęli, czy prośba o podwiezienie, czy wymyślanie, że jadą za prędko i narażają pieszych. Christian dodał gazu i po chwili wóz mknął ciemną wstęgą asfaltu, co przecinała skąpaną w blaskach księżyca okolicę i wiodła do Paryża oddalonego o dwieście kilometrów.

Brandt wysyłał głos cienki i ochrypy ze zmęczenia. Chciał przerzucić nocny wiatr omiatający mały, odkryty samochód.

— Koniec z Trzecią Rzeszą — mówił. — Nieodwołalny koniec. Tylko wariat może tego nie widzieć. Spójrz, co się dzieje. Klęska. Ostateczna klęska. Nic nikogo nie obchodzi. Milionowa armia wieje, jak popadło. Miliony żołnierzy bez oficerów, żywności, planu strategicznego, amunicji; pójdą do niewoli, kiedy nieprzyjaciół będzie miał na to czas i ochotę. Pójdą do niewoli albo zostaną zmasakrowani, jeżeli oszaleją i stawią opór. Niemcy nie są w stanie utrzymać armii. Może jacyś wodzowie zbiorą gdzieś niedobitków i zorganizują linię obronną. Ale to będzie gest. Niedorzeczny, romantyczny pogrzeb w stylu

Wikingów. Z Clausewitza i Wagnera, z tradycji Sztabu Generalnego i Zygryda wyniknie teatralno-cmentarny efekt. Bóg mi świadkiem, że patriota ze mnie nie gorszy niż inni. Jak umiałem, służyłem ojczyźnie we Włoszech, w Rosji i tutaj. Ale jestem człowiekiem zbyt cywilizowanym na to, co teraz chcą z nami wyprawiać. Nie wierzę w Wikingów. Nie mam ochoty spłonąć na ofiarnym stosie Goebbelsa. Różnica między cywilizowaną istotą ludzką a bydlęciami polega między innymi na tym, że istota ludzka rozumie, kiedy przegrała, i stara się obmyślić drogę wyjścia. Posłuchaj, Christian. Krótco przed wojną ubiegałem się o obywatelstwo Rzeczypospolitej Francuskiej. Wycofałem podanie w ostatniej chwili. Byłem potrzebny niemieckiej ojczyźnie. Poszedłem na jej służbę. Staralem się jak mogłem — rozprawiał z zapalem, próbował przekonać zarówno siebie, jak sąsiada o własnej prostolinijnej uczciwości i poczuciu zdrowego rozsądku. — Boże drogi! Ile zdjęć narobiłem! Ile wycierpiałem, co przeszedłem, żeby je zrobić! Cóż, dzisiaj zdjęcia są niepotrzebne. Nikt ich nie opublikuje. A gbyby nawet... W nikim nie wzbudzą już wiary, nikogo nie wzruszą. Na farmie, gdzie był samochód, zostawiłem aparat. Przehandlowałem go na dziesięć litrów benzyny. Wojna przestała być tematem dla fotografów, bo właściwie nie ma już wojny. Jest tylko wymiatanie zdobytego terenu. Niech się tym zajmą nieprzyjacielscy korespondenci. Wojsko wymiatane ze zdobytego terenu nie powinno uwieczniać klęski na taśmie filmowej. Trudno wymagać czegoś podobnego. Byłoby to śmieszne i głupie. Kiedy człowiek wstępuje do wojska... Rozumiesz, do każdego wojska... Państwo zawiera z nim swego rodzaju zasadniczą umowę. Podstawowy warunek tej umowy głosi, że armia może zażądać życia od żołnierza w razie potrzeby, lecz nie bez celu i sensu. Jeżeli rząd nie poprosi natychmiast o rozejm, na co się wcale nie zanosz, dowiedzie, że pogwałcił umowę ze mną i z całym wojskiem na terenie Francji. Nie mamy żadnych obowiązków wobec państwa. Absolutnie żadnych!

— Dlaczego opowiadasz mi to wszystko? — zapytał Christian i spoglądając przed siebie na białą wstęgę szosy, pomyślał: „Ma jakiś plan. Cóż, mogę się z nim nie wiązać”.

— Opowiadam ci to wszystko — odparł powoli Brandt — bo jak dostanę się do Paryża, zdezerteruję.

Przez minutę jechali bez słowa.

— Właściwie wyraziłem się nieścisłe — podjął fotoreporter. — Nie ja zdezerteruję. Władze wojskowe zdezerterowały i rzuciły mnie na pastwę losu. Chcę formalnie potwierdzić istniejący już stan rzeczy.

Dezercja! Słowo to od dawna już dźwięczało Christianowi w uszach. Nieprzyjaciel rzucał z powietrza ulotki, zapraszał do niewoli, gwarantował bezpieczeństwo, dobre traktowanie... Krążyły też pogłoski o kołnierzach, którzy dali się skusić, lecz zostali ujęci... Wieszano ich na przydrożnych drzewach, w wiązkach po sześciu. Podobno w Niemczech rodziny dezertorów były rozstrzeliwane... Cóż, Brandt, człowiek samotny, ma większą swobodę ruchów. Nie naraża nikogo. W takim bałaganie nie wyjdzie na jaw, kto zdezerterował, kto poległ, kto walcząc po bohatersku dostał się do niewoli. W przyszłości, może w latach sześćdziesiątych, może nigdy, coś niecoś zacnie się wyjaśniać. Któż jednak troszczyłby się o tak dalekie sprawy? Christian przypomniał sobie amerykańskie ulotki.

— Dlaczego musisz być w Paryżu, aby zdezerterować? — zapytał.

— Wystarczy zawrócić, poddać się pierwszemu amerykańskiemu oddziałowi.

— Zastanawiałem się nad takim rozwiązaniem — odrzekł poważnie Brandt. — Nie sądz, że jestem lekkomyślny. Ale to zbyt ryzykowna historia. Oddziałom w pierwszej linii nie należy ufać. Żołnierze mogą być zdenerwowani, spragnieni krwi. Bóg wie dlaczego. Może strzelec wyborowy zastrzelił im niedawno kolegę? Może mają pośród siebie Żydów, których krewni cierpią w Buchenwaldzie? A zresztą, w dzisiejszej Francji nikt mi nie zaręczy, że dobrnę do Amerykanów lub Anglików. Pomyśl tylko! Stąd do Cherbourga byle żabojad ma broń i póki czas, pragnie zabijać Niemców. O nie, bracie! Ja chcę zdezerterować, nie umrzeć.

„Rozsądny facet — pomyślał z uznaniem Diestl. — Potrafi wszystko przewidzieć, wykombinować z góry. Nic dziwnego, że dobrze mu się wiodło w wojsku. Robił takie zdjęcia, jakich potrzebowało Ministerstwo Propagandy. Miał pierwszorzędny przydział w paryskiej redakcji. Długi czas kwaterował w luksusowym apartamencie i w ogóle opływał w dostatki”.

— Pamiętasz moją przyjaciółkę, Simone? — zapytał fotoreporter.

— Co? — zdziwił się Diestl. — Nie rzuciłeś jej dotąd?

— Brandt żył z Simone już w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku, a Christiana poznał z nią podczas jego pierwszego urlopu w Paryżu. Poszli razem na kolację i Simone sprowadziła nawet koleżankę. Jakże miała na imię? Aha, Françoise, była lodowato zimna i nie kryła pod korcem niechęci do Niemców. Cóż, Brandtowi wiodło się w tej wojnie! Korzystał na dwie strony, bo nosząc mundur

zdobywców był prawie obywatelem francuskim i po francusku gadał bez zająknięcia.

— Naturalnie, że nie rzuciłem Simone — obruszył się Brandt.  
— Dlaczego miałbym ją rzucić?

— Nie wiem... — uśmiechnął się Diestl. — No, nie bądź zły... Zdziwiłem się po prostu, że to trwa tak długo... Hm... Cztery lata... Podczas wojny...

Dobrze pamiętał Simone. Była bardzo ładna. Lecz wyobrażał sobie zawsze, że Brandt mając tak wiele możliwości, szybko zmienia szampańskie kobiety.

— Chcemy się pobrać zaraz po zakończeniu tej piekielnej wojny — oznajmił fotoreporter stanowczym tonem.

Dopędzili właśnie długą kolumnę maszerującą rzędem po przydrożku. Promienie księżycy połyskiwały blado na żołnierskiej broni. Christian zwolnił.

— Oczywiście — bąknął. — Oczywiście... Masz słuszność...

„Ach, ten Brandt — pomyślał zazdrośnie. — Szczęściarz z głową na karku. Nie był ranny. Ma za sobą przyjemną, wesołą wojnę, a przed sobą dostatnie, wygodne życie. Wszystko przygotowane, zaplanowane”.

— Teraz walę prosto do Simone — ciągnął żywo oficer — zrzucam mundur i przebieram się po cywilnemu. Nosa nie wytknę z jej mieszkania, póki nie przyjdą Amerykanie. Wtedy, jak miną pierwsze dni podniecenia, Simone pójdzie do ich żandarmerii i zamelduje o mnie. Powie, że ma u siebie niemieckiego oficera, który chce się poddać. Amerykanie to ludzie bez zarzutu. Jeńców traktują po dżentelmeńsku. A zresztą, wojna skończy się szybko, uwolnią mnie więc, a ja ożenię się z Simone i znów zacznę malować.

„Wybraniec losu — medytował Diestl. — Cała przyszłość dowcipnie obmyślana: żona, kariera artystyczna, wszystko”.

— Słuchaj, Christian! — podjął gorąco Brandt. — Ta kombinacja i tobie się przyda.

— Co takiego? — zapytał Diestl z uśmiechem. — Czy Simone chce i mnie poślubić?

— Nie żartuj. Simone ma duże mieszkanie. Dwa pokoje sypialne. Możesz u niej przeczekać. Za porządny z ciebie chłop, żebyś miał utonąć w wojennym bagnie. — Brandt zatoczył ręką szeroki łuk, jak gdyby chciał nim objąć żołnierzy wlokących się przydrożkiem, brzemienne śmiercią niebo i walące się państwa. — I tak zrobiłeś swoje. Ba! więcej niż swoje. Dziś każdy, kto nie jest zdeklarowanym durniem,



powinien ratować własną skórę. — Ostrożnie, błagalnym gestem dotknął ramienia sąsiada. — Posłucha), Christian. Od tamtego dnia na drodze do Paryża często cię wspominałem, niepokoiłem się o ciebie, myślałem, że gdybym mógł wyciągnąć z tego bałaganu tylko jednego żywego kolegę, wybrałbym ciebie. Po wojnie bardzo nam będą potrzebni tacy jak ty ludzie. Musisz się ratować. To obowiązek wobec ojczyzny. Jeżeli nawet sądzisz, że człowiek nie winien nic samemu sobie. Christian!... Zostaniesz ze mną? Zostaniesz? -

— Czy ja wiem... Może...

Potrząsnął głową, aby spędzić sen z powiek, i ostrożnie wyminął ciężki samochód pancerny, który barykadował drogę. Trzech żołnierzy pracowało przy nim gorączkowo, świecąc sobie mdłym blaskiem ślepych latarek kieszonkowych.

— Czy ja wiem?... Może... Ale najpierw trzeba dostać się do Paryża. Tam będziemy mieli czas na myślenie, co dalej robić.

— Dostaniemy się do Paryża! — zawołał Brandt. — Teraz jestem pewien, absolutnie pewien!

Nazajutrz późnym wieczorem przyjechali do Paryża. Na ulicach ruch był nieznaczny i jak zwykle panowały ciemności. Na ogół jednak Christian nie widział zmian od swoich poprzednich odwiedzin w stolicy, na długo przed inwazją. Tak samo przemykały niemieckie wozy sztabowe, a od czasu do czasu spacerujący żołnierze wybuchali gromkim śmiechem lub migало mdle światelko, gdy ktoś uchylił drzwi kawiarni. Mijając plac Opery Christian zauważył, że paryskie prostytutki wytrwały na posterunku. Tłumnie snuły się w mroku i głośno zaczepiały szare sylwetki w mundurach.

„Świat handlowy nie próżnuje — pomyślał z goryczą. — Nieprzyjacieli może być o tysiąc kilometrów lub na krańcach miasta, w Algierze lub w Alençon... Wszystko jedno!”

Fotoreporter był teraz baczny, skupiony. Siedział wyprostowany, spał głośno i wskazywał drogę w labiryncie zaciemnionych ulic. Christian przypomniał sobie jazdę z Brandtem paryskimi bulwarami. Hardenburg zajmował wtedy miejsce obok sierżanta Himmlera, który z miną zawodowego przewodnika wymieniał wszystkie godne uwagi miejsca, prowadził wóz i w wolnych chwilach sypał dowcipami. Był ożywiony, wesoły... Himmler — garść kości przysypanych afrykańskim piaskiem... Hardenburg — samobójca z Włoch. Ale Brandt i Diestl żyją, jadą tymi samymi ulicami, wdychają ten sam aromat starożytnej stolicy, mijają te same gmachy i pomniki stojące nad wieczną rzeką...

— Tutaj — szepnęła fotoreporter. — Stań tutaj.

Christian zahamował i zgasił silnik. Był do cna wyczerpany, spostrzegł jednak, że są przed garażem o szeroko rozsuwanych wrotach i cementowanym zjeździe po równi pochyłej.

— Poczekaj na mnie — rzucił Brandt wyskakując z wozu.

Zastukał do drzwi w lewym rogu zjazdu, a kiedy się otwarły, wszedł do garażu. Podobnie Himmler zniknął niegdyś za drzwiami burdelu... Mauretańskie draperie, butelki mrożonego szampana i zagadkowy uśmiech na purpurowych ustach brunetki. „Zwycięski żołnierz... w dniu zwycięstwa... Osobliwy gust...” — powiedziała drwiąco dziewczyna. A Brandt: „Niedługo przekonasz się, że osobliwi z nas ludzie. Nó, umykaj do roboty”. Zielony jedwabny szlafrok w rękach sierżanta Himmlera, a później „1918” nagryzmolone kredą na murze...

„Ach, ci Francuzi! — przemknęło Christianowi przez jakieś odległe zakamarki mózgu. — Jeszcze raz nas dostaną”.

Przeraźliwie zgrzytnęły rozsuwane wrota. Z półmrocznego garażu padł na zjazd ponury, żółtawy odbłask. Brandt wyszedł śpiesznie na chodnik i niespokojnie rozejrzał się po pustej ulicy.

— Wjeżdżaj! — rzucił szeptem. — Prędko!

Christian nacisnął starter, cofnął wóz, skręcił i szybko wjechał do obszernego garażu. Z trudem przeciskał się wąskim przejściem obok kilku okrytych plandekami samochodów. Rozglądał się dokoła.

— W porządku — usłyszał za sobą głos fotoreportera. — Stój!

Zgasił silnik i wygramolił się z wozu. Brandt nadchodził z jakimś drugim mężczyzną, niskim, otyłym, ubranym w myśliwski kapelusz, który w ciemnym garażu sprawiał wrażenie groteskowe, a zarazem posępne.

Jegomość w myśliwskim kapeluszu okrążał wolno samochód. Raz po raz poszturchiwał go, obmacywał badawczo.

— Ujdzie — mruknął wreszcie po francusku i zniknął w małym kantorze, skąd dobywało się przyćmione światło niewidocznej lampy.

— Słuchaj — powiedział Brandt. — Sprzedałem wóz. Siedemdziesiąt pięć tysięcy franków. Przyda nam się ta forsa i starczy na parę tygodni. No, zbierajmy graty. Dalej pójdziemy pieszo.

Machnął plikiem banknotów. Christian nie widział ich dobrze, ale wyraźnie słyszał szelest papieru.

„Siedemdziesiąt pięć tysięcy franków! — myślał pomagając Brandtowi wylądować z wozu chleb, szynkę, ser i calvados. — Tego faceta nic nie zmoże! Na całym świecie ma stosunki handlowe i przyjaciół gotowych na każde skinienie”.

Człowiek w myśliwskim kapeluszu wrócił z dwoma jutowymi workami, w które Brandt i Diestl zaczęli ładować swoje zapasy. Francuz nie kwapił się z pomocą. Stał w gęstym cieniu i obserwował obojętnie, a kiedy pakowanie dobiegło końca, wprowadził Niemców na kilka stopni i otworzył drzwi.

— *Au revoir, monsieur* Brandt. Życzę miłego pobytu w Paryżu.

Głos był chłodny, bezbarwny, lecz dźwięczał ledwie uchwytną nutą szyderstwa i przestrogi. Christian miał ochotę chwycić Francuza za kark, pociągnąć do światła i obejrzeć dokładnie. Zatrzymał się nawet, ale towarzysz szarpnął go za rękaw i wyciągnął na chodnik. Drzwi zamknęły się za nimi. Klucz zachrobotał cicho w zamku.

— Tędy — powiedział Brandt i dźwigając na plecach worek z łupem skreślił w prawo. — To całkiem blisko.

Diestl włókł się za nim pustą, ciemną ulicą. Chciał zapytać o małego spasionego Francuza, dowiedzieć się, po co mu samochód i jak go wykorzysta. Postanowił jednak odłożyć to na później, gdyż był bardzo zmęczony. Brandt szedł szybko, bez słowa. Widać śpieszył się do domu przyjaciółki.

Po drodze nie spotkali nikogo. Wreszcie fotoreporter zatrzymał się przed trzypiętrową kamienicą i nacisnął dzwonek. Nieprędko drzwi otworzyły się lub raczej uchylily. Brandt szepnął coś przez szparę. Po drugiej stronie odpowiedział głos starej kobiety zrazu opryskliwy, później, kiedy gość dał się poznać, ciepły i przyjazny. Szczęknął łańcuch. Drzwi otwarty się szeroko. Christian ruszył za swoim opiekunem. Minął zakutaną w płaszcz dozorczynię i po omacku znalazł pierwszy stopień.

„Ach, ten Brandt — myślał. — Wie dokładnie, do jakich drzwi zakolatać i co powiedzieć, żeby się otworzyły”.

Ktoś nacisnął guzik automatu. Błysnęło światło elektryczne. Christian zorientował się, że jest w solidnym, mieszczańskim domu, na czysto utrzymanych marmurowych schodach.

Po dwudziestu sekundach lampy zgasły i trzeba było iść po ciemku. Schmeisser Christiana zsunął się z ramienia i mocno stuknął o ścianę.

— Cicho! — syknął Brandt. — Uważaj!

Na następnym podeście przycisnął guzik i znowu włączył światło na dwadzieścia sekund.

„Oszczędni ci Francuzi” — pomyślał Diestl.

Na ostatnim piętrze fotoreporter zastukał cicho do drzwi. Odeknęły się zaraz, jak gdyby ktoś czekał niecierpliwie na ten znak. Smuga światła zaalała podest i Christian ujrzał kobietę w powłóczystym

szlafroku. Padła w ramiona Brandta i szlochając histerycznie zaczęła powtarzać:

— Jesteś!... *Cheri*!... Jesteś! Jesteś! Jesteś!... *Cheri*!

Christian stał nieporadnie pod ścianą. Gładził kolbę schmeissera i przyglądał się powitalnym uściskom, wyrażającym raczej ulgę niż namiętność. Były nieładne, łzawe, wzruszające. Podobnie żona mogłaby pieścić odzyskanego męża w zaciszu małżeńskiej sypialni; toteż intruz czuł się zawstydzony, zakłopotany.

Wreszcie Simone cofnęła się i przerywając sobie lkanie śmiechem odrzuciła w tył długie, proste włosy. Ale jedną ręką ścisnęła ramię kochanka, jak gdyby podejrzewała, że w każdej chwili może zniknąć.

— Teraz mam czas na honory domu — powiedziała miękkiem, melodyjnym głosem, który Christian doskonale pamiętał; z uśmiechem spojrzała na niego.

— Przypominasz sobie Diestla? — zapytał Brandt.

— Naturalnie! Oczywiście! — Żywo wyciągnęła rękę i mocno ucisnęła dłoń gościa. — Z radością pana witam. Często rozmawialiśmy o panu. Proszę. Proszę dalej. Nie będziemy przecież tu nocować.

Wszyscy weszli do przedpokoju i Francuzka zamknęła drzwi. Klucz zgrzytnął w zamku przytulnie, po domowemu. Goście pośpieszyli za gospodynią do bawialni, gdzie pod oknem, na de zasuniętej kotary stała kobieta w pikowanym szlafroku. Twarz miała w cieniu, bo tylko jedna niska lampa paliła się na stoliku koło kanapy.

— Rzućcie gdzieś swoje rzeczy... Ach, mój Boże, na pewno chcecie się umyć... No i umieracie z głodu, prawda? — paplała Simone w przyplwywie niewieściej troskliwości. — Mamy trochę wina. Na taką okazję trzeba otworzyć butelkę. Françoise! Spójrz, kochanie, kto przyszedł! Jak to cudownie! Cudownie!

Françoise to ta nieprzyjaciółka Niemców. Diestl patrzył posepnie, jak kobieta opuszcza posterunek przed oknem i podaje rękę fotoreporterowi. Wydała mu się jeszcze ładniejsza niż wspomnienie — wysoka, smukła, z węzłem kasztanowatych włosów i prostym, kształtnym nosem nad stanowczo wykrojonymi ustami.

— Tak się cieszę, że wróciłeś — powiedziała i zwróciła się do drugiego gościa przyjaciółki. — Serdecznie witam, sierzancie Diestl. — Gorąco ucisnęła mu dłoń.

— Co? Pani mnie pamięta? — zdziwił się wymawiając starannie francuskie słowa.

— Oczywiście. Nieraz pana wspominałam — odpowiedziała patrząc mu prosto w twarz.

„Zielonkawę, zagadkowe oczy — pomyślał Christian. — Dlaczego się uśmiecha? Co chce mi dać do zrozumienia mówiąc, że nieraz mnie wspominała?”

— *Cheri* — Simone zwróciła się do Brandta. — Françoise mieszka u mnie od miesiąca. Wyeksmitowano ją z mieszkania. Naturalnie wasza armia!

Zrobiła czarującą, niby to zagniewaną minkę. Brandt wybuchnął śmiechem i pocałował kochankę. Przez chwilę gładziła go po ramionach, jak gdyby nie mogła się od niego oderwać. Christian zauważył, że Simone wyglądała znacznie starszej. Nadal była szczupła i zwinna, ale dokoła oczu miała gęste zmarszczki, a jej cera zmatowiała i wyszła.

— Na długo panowie przyjechali? — zapytała Françoise.

Przez chwilę panowało kłopotliwe milczenie. Później Christian rozpoczął rzeczowym tonem:

— Jak dotąd, nasze plany są nie ustalone. Zapewne...

W tej chwili usłyszał piskliwy, niemal histeryczny śmiech. Chichot Brandta dźwięczał nutą szyderstwa i wstydlivej ulgi.

— Daj spokój, Christian! — zawołał fotoreporter. — Nie bądźź no taki diabelnie poprawny. Plany mamy ustalone. Chcemy doczekać tutaj końca wojny.

Wtedy Simone się załamała. Usiadła na brzeżku kanapy i kochanek musiał ją długo uspokajać i pocieszać. Christian spojrział na Françoise i, jak mu się zdawało, dostrzegł w jej oczach błysk zimnego szyderstwa. Ale Françoise odwróciła się zaraz i przeszła dyskretnie na dawne miejsce pod oknem.

— Słowo daję — mówiła Simone — komiczna historia. Nie mam pojęcia, czemu beczę. Robię się całkiem podobna do mojej mamy, co płacze, kiedy jest szczęśliwa, płacze kiedy jej smutno, płacze dlatego, że słońce świeci albo deszcz zaczyna padać. No, idźcie, idźcie już, chłopcy. Doprowadźcie się do porządku. A jak wrócicie, będę taka rozsądna, jak... jak nie wiem co!... I przygotuję wspaniałą kolację. Idźcie. Nie przyglądajcie mi się tak. Idźcie.

Brandt uśmiechnął się niemądrze, rozczulająco, niby dziecko, które wróciło do domu. Uśmiech ten raził na pomarszczonej inteligentnej twarzy umazanej potem i pyłem długiej podróży z Normandii.

— No, jazda, Christian — rzucił fotoreporter. — Trzeba się z grubsza oskrobać.

Wyszli z bawialni, a Diestl spostrzegł ze zdziwieniem, że kobiety nie patrzyły na nich, kiedy opuszczali pokój.

W łazience, gdzie ze względu na trudności opałowe z kranów ciekła tylko zimna woda, Brandt zaczął gadać, kiedy jego towarzysz cudzym grzebieniem czesał ciemne włosy.

– Widzisz, jest w tej kobiecie coś, czego nie znalazłem dotychczas w żadnej... Coś, co mi szczególnie odpowiada... Ona mnie niczym nie razi... Śmieszne, prawda? Może inne oceniałem zbyt surowo. Każda była za chuda albo za próżna, albo trochę za głupia... Dwa, trzy tygodnie... Dłużej nie wytrzymałem... A Simone... Cóż, wiem, że jest sentymentalna... Widzę, że się starzeje. Widzę jej zmarszczki. Kocham ją za to. Brak jej sprytu. Kocham ją za to. Ma oczy na mokrym miejscu. Kocham ją za to. Choć jedną niewątpliwą korzyść przyniosła mi wojna – dodał tonem bardzo serio.

Potem, jak gdyby wstyd mu się zrobiło, że powiedział za wiele, odkręcił kran i głośno zaczął splukiwać mydło z twarzy i szyi. Był nagi do pasa i Christian z ironicznym współczuciem spojrział na sterzące żebra i łopatki przyjaciela, na ramiona szczupłe jak u słabowitego niedorostka.

„Ładny kochanek – myślał. – Ładny żołnierz! Że takie coś mogło przetrzymać cztery lata wojny!”

Brandt wyprostował się i zakrył twarz rękawikiem. Jego poważny, życzliwy głos zabrzmiał glucho przez tłumik włochatej tkaniny.

– Christian, zostaniesz ze mną, prawda?

– Przede wszystkim – odparł Diestl szeptem – co tu robi ta druga?

– Françoise? – fotoreporter machnął ręką. – Nie przejmuj się nią. Miejsca starczy. Możesz spać na kanapie... Albo – dodał z uśmiechem – dogadaj się z Françoise i kanapa będzie niepotrzebna.

– Nie chodzi mi o tłok.

Brandt sięgnął do kranu, żeby zakręcić wodę, ale Diestl chwycił go za rękę i rzucił szorstko.

– Zostaw to!

– Co z tobą, Christian? – zdziwił się fotoreporter.

– Ta Françoise nie cierpi Niemców. Może narobić nam zmartwienia.

– Nonsens! – Brandt zakręcił kran zdecydowanym ruchem. – Znam ją. Na pewno cię polubi. No, Christian! Powiedz, że zostaniesz z nami. Powiedz!

– Dobrze. Zostanę.

Oczy Brandta zablęsnęły radośnie, lecz ręka drżała mu lekko, kiedy poklepał przyjaciela po ramieniu.

— Mamy spokój, Christian—szepnął. —Nareszcie mamy spokój.

Odwrócił się nieporadnie i naciągnąwszy koszulę wyszedł z łazienki. Diestlowi nie było pilno. Wolno wkładał koszulę. Starannie zapinał guziki. Raz po raz patrzył w lustro na zapadnięte oczy i głębokie bruzdy na policzkach. Studiował mapę strachu, trosk i przemęczenia skreśloną wyraźnie na własnej twarzy. Potem przysunął się do lustra i z bliska obejrzał włosy. Siwizna gęsto upstrzyła czerni jasnymi pasmami — szczególnie na skroniach.

„Mój Boże! — pomyślał Christian. — Jeszcze nigdy tego nie spostrzegłem. Starzeję się, okropnie starzeję.. Wstyd mu się zrobiło, że na chwilę uległ fali współczucia dla samego siebie, przemógł się więc, wyprostował i pewnym krokiem opuścił łazienkę.

W bawialni było zacisznie, przytulnie. Dyskretnie osłonięta lampka barwiła różowym odbłaskiem półciemny pokój i długą, smukłą sylwetkę wyciągniętą na miękkiej kanapie.

Brandt i Simone poszli już do łóżka. Mijając przedpokój trzymali się za ręce jak dobrze zadomowiona para. Po kolacji i niezbyt dokładnej opowieści o przeżyciach kilku ostatnich dni fotoreporter zaczął drzemać na krześle. Kochanka ujęła go pod ramię, dźwignęła i wyprowadziła uśmiechając się tkliwie, niemal po macierzyńsku. Christian został sam z Françoise.

— Wojna skończona — belkotał Brandt po drodze. — Wojna skończona, chłopcy! Teraz idę spać! Żegnaj, poruczniku Brandt, ozdobo sił zbrojnych Trzeciej Rzeszy! Żegnaj, wojaku! Jutro malarz-dekadent, twórca bezprzedmiotowych obrazów zbudzi się w cywilnym łóżku u boku żony. — Miękkim, półsennym gestem wyciągnął ręce w stronę Françoise. — Bądź dobra dla mojego druha! Kochaj go czule. To człowiek najlepszy z najlepszych. Silny, wrażliwy, zahartowany w ogniu. Prawdziwa przyszłość nowej Europy. Jeżeli w ogóle nastanie jakaś nowa Europa i będzie miała jakąś przyszłość... Kochaj go czule, Françoise!

. Simone popychała go łagodnie ku drzwiom sypialni. Kiwała głową i powtarzała tkliwym tonem:

— Od wina język mu się poplątał. Słowo daję! Od wina język mu się poplątał.

— Dobrej nocy! — zabrzmiał głos Brandta w przedpokoju. — Życzę wam dobrej nocy, najmilszy przyjaciele!

Potem drzwi się zamknęły i cisza nastąpiła w małej kobiecej bawialni, gdzie były meble z jasnego drewna i mroczne nocą lustra, i ozdobne

poduszki o pastelowych barwach, i srebrna ramka z przedwojenną fotografią Brandta w baskijskim berecie i kraciastej wełnianej koszuli.

Diestl spojrział na Françoise, Leżała wsparta na poduszkach. Twarz miała w cieniu\* ręce splecione za głową. Patrzyła w sufit. Pod pikowanym szlafrokiem ciało jej było nieruchome. Tylko od czasu do czasu prostowała stopę w atlasowym pantofelku bez obcasa. Palcami wskazywała wałek kanapy i przybierała znów poprzednią pozę. Jak przez mgłę Christian przypomniał sobie inny pikowany szlafrok — krwistoczerwony, okrywający Gretchen Hardenburg, kiedy zobaczył ją pierwszy raz na progu solidnych dębowych drzwi berlińskiego mieszkania. Przez chwilę myślał, co dzieje się z nią teraz. Czy żyje? Czy jej dom stoi? Czy mieszka nadal ze szpakowatą, barczystą Francuzką?

— Biedny, zmęczony żołnierz — odezwała się Françoise z kanapy.

— Bardzo zmęczony. Mówię o naszym poruczniku.

— Tak, zmęczony — przyznał Christian przyglądając się jej bacznie.

— Miał ciężkie przeżycia. Ostatnie tygodnie nie były przyjemne, правда? — Wolno wyprostowała stopę.

— Niezbyt przyjemne.

— Amerykanie — ciągnęła Françoise bezdźwięcznym, spokojnym tonem — są potężni, mają całkiem świeże siły.

— Zapewne.

Kobieta poruszyła się lekko i jej smukłe kształty inaczej zarysowały się pod szlafrokiem.

—; Tutejsza prasa powtarza ciągle, że sytuacja rozwija się zgodnie z planem. — Senny głos dźwięczał wyraźną nutą ironii. — Postępy nieprzyjaciela są chytrze opóźniane. W stosownej chwili nastąpi niespodziewane przeciwnatarcie. Prasa jest nastrojona bardzo optymistycznie. Pan Brandt powinien czytywać więcej gazet. — Parsknęła śmiechem, który byłby wdzięczny i ujmujący, gdyby rozmowa tyczyła innych spraw. — Pan Brandt nie sądzi, że nieprzyjaciel będzie zatrzymany. Przeciwnatarcie byłoby dla niego prawdziwą niespodzianką, правда?

— Tak mi się zdaje ⇨ powiedział lakonicznie Christian i dodał w myśli: „Do czego ona zmierza?”

— A co z panem? — szepnęła Françoise bardziej w ciche powietrze bawialni niż pod adresem Diestla.

— W pewnym sensie podzielałam zdanie Brandta.



— Pan jest również zmęczony.

Usiadła i przywarła wzrokiem do Christiana. Usta jej ułożyły się w wyraz łagodnego współczucia, lecz pod ciężkimi powiekami czyhał w zielonych oczach utajony śmiech.

— Pewnie najchętniej poszedłby pan spać, prawda?

— Nie w tej chwili. Nieraz już byłem znacznie bardziej zmęczony.

— Nagle wydała mu się nieznośną myśl, że opuści go ta długonoga, zielonooka, drwiąca kobieta.

— Wspaniały z pana żołnierz. — Françoise położyła się znowu.

— Opanowany, niestrudzony. Jak armia złożona z takich ludzi może przegrać wojnę?

Diestl patrzył na nią nienawistnie. Leniwym ruchem przekreśliła głowę na poduszczkach, żeby go lepiej widzieć. Długie mięśnie pod białą skórą szyi drgnęły i nakreśliły nowy wzór światła i cieni. Między karkiem a półodsloniętym ramieniem ciało błysnęło matowo, niby kość słoniowa. Christian nie odrywał od niej wzroku i myślał, że z rozkoszą całowałby to miejsce.

— Znałam podobnego do pana chłopca — podjęła Françoise uśmiechając się tym razem bezpośrednio do niego. — To był Francuz. Mocny człowiek. Bezkompromisowy. Gorący patriota. Nigdy nie utyskiwał. Muszę przyznać, że bardzo go kochałam — głos zabrzmiał niższym, głębszym tonem. — Poległ w czterdziestym roku podczas odwrotu. Czy i pan chce zginąć, sierzancie?

— Nie. Nie chcę zginąć.

— To dobrze. — Pełne wargi ułożyły się w ledwie dostrzegalny uśmiech. — Zdaniem swojego przyjaciela jest pan najlepszym z najlepszych i przyszłością nowej Europy. Czy naprawdę uważa pan siebie za przyszłość nowej Europy?

— Brandt był pijany.

— Pijany? Możliwe. Na pewno nie chce się panu spać?

— Na pewno.

— Ale wygląda pan na bardzo zmęczonego.

— Nie jestem śpiący.

Françoise pokiwała głową.

— Niestrudzony, zawsze przytomny sierżant. Nie chce pójść do łóżka. Woli czuć i kosztem osobistej ofiary bawić samotną francuską damę, która nie wie, co ze sobą robić, póki Amerykanie nie wkroczą do Paryża...

Zakryła oczy wierzchem dłoni. Luźny rękaw opadł i odsłonił szczupły przegub i długie spiczaste paznokcie.

— Jutro — podjęła — umieścimy pańskie nazwisko na liście kandydatów do Legii Honorowej drugiej klasy za usługi wyświadczone narodowi francuskiemu.

— Dość tego! — syknął Christian nie ruszając się z krzesła. — Proszę ze mnie nie kpić!

— Kpić z pana? — szepnęła głucho. — Nawet mi to w głowie nie powstało. Niech pan powie, sierżancie, jako żołnierz i znawca spraw wojskowych: Ile czasu upłynie do przyścia Amerykanów?

— Dwa tygodnie. Może miesiąc.

— Aa... Czeka nas zatem szereg interesujących dni.

— Tak.

— Chciałabym panu coś powiedzieć, sierżancie.

— Co takiego?

— Często wspominałam naszą wspólną kolacyjkę. Kiedy to było? W czterdziestym roku? W czterdziestym pierwszym?

— W czterdziestym.

— Miałam wtedy na sobie białą suknię, a pan pięknie wyglądał w paradnym mundurze. Wysoki, prosty, inteligentny, olśniewający. Prawdziwy młody bóg zmotoryzowanej wojny.

Françoise zachichotała.

— Znowu drwi pani ze mnie — obruszył się Diestl. — To nie przyjemnego.

— Wywarł pan na mnie kolosalne wrażenie — podniosła rękę, jak gdyby chciała zapobiec protestom, z którymi Christian wcale się nie kwapił. — Naprawdę kolosalne! Ale byłam dla pana lodowato zimna. — Znowu zadźwięczał krótki, stłumiony śmiech. — Nie ma pan wyobrażenia, ile starań kosztował mnie ten pozorny chłód. Przyznaję otwarcie, że nie jestem odporna na wdzięki młodych mężczyzn. A pan był wspaniały, sierżancie! — Senny, urzekający głos szemrał w półmroczonej, kulturalnie urządzonej bawialni; zdawał się odległy i nierealny. — Wspaniały! Upojony triumfem zdobywcy, arogancki, piękny. Nie brak mi woli, ale ostatkiem sił trzymałam się na wodzy. Teraz jest pan mniej arogancki. Prawda, sierżancie?

Christian pomiędzy snem a jawą płynął biernie z subtelnym, pachnącym, niebezpiecznym nurtem.

— Prawda — powiedział. — Teraz daleko mi do arogancji.

— Ustąpiła miejsca zmęczeniu — szepnęła kobieta. — Trochę pan osiwiiał... No i zauważyłam, że utyka pan na jedną nogę. A w czterdziestym roku niepodobna było uwierzyć, że pan się kiedy zmęczy. „Ten człowiek może zginąć — myślałam. — Spłonąć w jednym

wspaniałym wybuchu płomieni. Ale zmęczyć się? Nigdy!" Cóż, dziś jest pan inny, sierzancie, zupełnie inny. Według utartych pojęć trudno nazwać pana urodziwym. Kulawy mężczyzna w średnim wieku, o szpakowatych włosach i mizernej, zniszczonej twarzy. Muszę jednak coś wyznać, sierzancie. Dziwaczka ze mnie. Mam szczególne gusty. Obecnie nie błyszczy pan paradnym mundurem. Cerę ma pan ziemistą. Nikt nie dopatry się podobieństwa między panem a tamtym młodym bogiem zmotoryzowanej wojny. — Jeszcze raz zadźwicział śmiech. — Ale to nic, sierzancie. Dzisiaj pociąga mnie pan silniej, nieporównanie silniej.

Umilkła. Głos działający niby opium rozplynał się w cieniach między spiętrzonymi poduszkami.

Christian wstał, zbliżył się i przez chwilę pochłaniał wzrokiem kobietę. Oczy miała szeroko otwarte, uśmiechnięte, błyszczące.

Szybko klęknął koło kanapy i zaczął całować Françoise.

Po ciemku leżał obok niej W łóżku. Rozsunięte kotary poruszały się lekko od podmuchów nocnego wietrzyka. Srebrne światło księżyca dobywało z mroku niewyraźne kontury toaletki i krzesel zarzuconych ubraniami.

Christian miał za sobą płomienne, świadome, upajające przeżycie — kamień milowy w wędrówce pośród kobiet. — Gwałtowny przypływ pożądania i rozkoszy zmył *godziny* ucieczki i wszystkie związane z nią wspomnienia: smród kolumny sanitarnej, uciążliwy marsz, śmierć francuskiego chłopca, rower, piasek w zboląłych oczach podczas jazdy skradzionym samochodem, posępne szosy pełne niemieckich zbiegów... Wojna zniknęła. Odeszła z tego miękkiego łóżka i z pokoju skąpanego w księżycowym blasku. Christian zdawał sobie sprawę, że po raz pierwszy, i to pod koniec gry, ziściła się jego zapomniana z biegiem lat wiara we wspaniałą, niezwykłą, doświadczoną kobietę, którą spodziewał się znaleźć od dnia, gdy przybył do Francji.

Nieprzyjaciółka Niemców! Uśmiechnął się i zwrócił twarz w jej stronę. Poduszkę zakrywała pachnąca gęstwina długich ciemnych włosów. Françoise leżała bez ruchu. Końcami palców dotykała lekko jego uda. W dyskretnym, bladym świetle oczy miała zagadkowe, głębokie.

— Widzę, że nie byłeś taki znów strasznie zmęczony — szepnęła.

Roześmiali się obydwójce. Christian dźwignął głowę, przywarł ustami do miejsca, gdzie szyja łączy się z ramieniem. Łakomie wdychał świeży zapach włosów i gładkiej, srebrzystej skóry.

— Coś muszę ci powiedzieć — podjęła Françoise — mimo wszystkich klęsk i odwrotów.

Przez otwarte okno wtargnął loskot podkutych butów maszerującego oddziału. Miarowy wojskowy krok brzmiał niegroźnie, nie miał znaczenia w zacisznym pokoju pachnącym włosami i skórą kochanki.

— Wiedziałam, że tak się stanie. Wiedziałam od pierwszej chwili, jak cię zobaczyłam. To było straszne. Niewypowiedzianie straszne.

— Czemu czekałaś tak długo? — Spojrzał w górę na zawily deseń, który kładły na suficie promienie księżycza załamane w lustrze. — Na Boga! Zmarnowaliśmy tyle czasu. Dlaczego wtedy tego nie zrobiłaś?

— Wtedy nie zadawałam się z Niemcami — odparła chłodno. — Uważałam, że zdobywcom nie wolno oddawać wszystkiego w kraju. Wierz lub nie wierz, wszystko mi jedno, ale jesteś pierwszym Niemcem, któremu pozwoliłam się dotknąć.

— Wierzę ci — powiedział z przekonaniem, bo rozumiał, że wśród licznych prawdopodobnych wad Françoise na pewno nie ma obłudy.

— Nie sądz, że łatwo mi to przychodziło. Nie jestem mniszką.

— Nie jesteś mniszką -r- powtórzył poważnie. — Tak. To pewne. Francuzka nie roześmiała się, nie uśmiechnęła.

— Nie tylko ty byłeś — ciągnęła. — Tylu dorodnych chłopców! Taka różnorodność wspaniałych męskich typów. Ale ani jeden dotąd..., ani jeden. Zdobycwcom nic się nie dostało... Dopiero dzisiaj!

Diestl stropił się trochę.

— Aa... a skąd obecna zmiana? — zapytał niepewnie.

— O, teraz wszystko w porządku — wybuchnęła półsennym śmiechem. — Nie mam żadnych zastrzeżeń. Absolutnie żadnych. Kochanie! Nie jesteś już zdobywcą. Jesteś uciekinierem. — Oparła się na łokciu i pocałowała Christiana. — No, czas się zdrzemnąć, *cheri*.

Cofnęła się na swoją stronę łóżka i prawie natychmiast usnęła. Leżała na wznak z rękami opuszczonymi skromnie wzdłuż boków. Jej smukłe kształty rysowały się pod białą prześcieradła. Równy, spokojny oddech wyraźnie było słyhać w cichym pokoju.

Christian nie mógł zasnąć. Czuł się głupio, nieswojo. Leżał bez ruchu. Słuchał oddechu Françoise. Patrzył na księżyc, na sufit upstrzony jasnymi plamami. Ulicą nadchodził patrol. Zbliżający się miarowy loskot podkutych butów był tym razem groźny i miał znaczenie.

„Uciekinier! — myślał Diestl przypominając sobie głuchy, szyderczy śmiech, który towarzyszył temu słowu. — Christian Diestl, nie zdobywca, lecz uciekinier, otrzymał wreszcie prawo wstępu do łóżka

paryżanki. Ach, ci Francuzi! Dostaną nas jeszcze raz! I co gorsza, zdają sobie z tego sprawę".

Spod oka zerknął ku Françoise. Wydało mu się, że nawet we śnie pogardliwy, zwycięski uśmiech unosi kąciki pełnych, namiętych ust. Podparł się na łokciu. Nienawistnym wzrokiem obejmował piękny owal twarzy spoczywający na poduszce. Czuł, że gniew w nim wzbiera, że został oszukany, uwiedziony. Uwiedziony! I to w jak podstępny, szyderczy sposób! Dla jakich celów! A Brandt, pijany, przemęczony, pełen różowych nadziei, chrapie w sąsiednim pokoju. I on wpadł w pułapkę, bardzo podobną, ozdobioną również napisem „Made in France”.

Leżąc bezsennie zaczynał nienawidzić Brandta za to, że z własnej woli przybiegł skwapliwie do pułapki. Przypominali mu się wszyscy, z którymi miał coś do czynienia, a którzy dziś nie żyją. Hardenburg, Kraus, Behr, dzielny francuski żołnierz walczący beznadziejnie na drodze do Paryża, chłopiec na rowerze, farmer rozstrzelany w piwnicy obok żółtej trumny, podkomendni z ostatniego plutonu w Normandii i ten półnagi Amerykanin, co w przystępie szaleńczej odwagi strzelał obok wysadzonego mostu gdzieś we Włoszech.

Dlaczego mają przetrwać ludzie słabi? Dlaczego wojna pochłania tylko mocnych? Obelżywym wyzwaniem dla wszystkich tamtych jest Brandt, cywilny spryciarz wylegujący się w jedwabiach francuskiego łóżka. Za dużo osób wie, do jakich drzwi kołatać, co powiedzieć, kiedy się uchylą. Najlepsi padli. Czy to powód, by prosperowali gorsi? Śmierć jest skutecznym lekiem na wszystkie różowe nadzieje. W ciągu ostatnich czterech lat bliżsi niż Brandt przyjaciele marli u boku sierżanta Christiana Diestla. Czy zatem Brandt powinien żyć i paszycować na kościach Hardenburga?

Cel uświęca środki. Ale czy celem ma być cywil Brandt? Po trzech czy czterech beztróskich miesiącach w obozie jeńców wróci do pocziwej francuskiej żonki. Będzie malował idiotyczne obrazki. Przez dwadzieścia powojennych lat będzie służył zwycięzcom, aby przebłągać ich za dzielnych nieżyjących ludzi, których w ostatniej chwili zdradził. Od początku Christian był wiernym towarzyszem śmierci. Czy dziś w kresu da się zwieść sentymentalnym względem przyjaźni i oszczędzi kogoś, kto na litość nie zasługuje? Czy nie nauczyły go niczego cztery lata zabijania?

Nagle poczuł, że nie ścierpi dłużej myśli o spokojnym śnie Brandta w sąsiednim pokoju, sam zaś nie wytrzyma w łóżku obok pięknej kobiety, która oszukała go tak upajająco i okrutnie. Bezszelestnie stanął

na podłodze i boso, nago zbliżył się do okna. Spojrzał na dachy pogrążonego we śnie miasta, na kominy jasne od księżycowego srebra, na wąskie kręte uliczki pamiętające minione stulecia i poprzecinaną mostami, roziskrzoną w oddali rzekę. Jeszcze raz złowił uchem miarowe kroki — stłumione i odważne w martwym powietrzu nocy — i dostrzegł patrol u wylotu ulicy. Pięciu żołnierzy przemierzało nocą wrogie miasto. Szli powoli, ostrożnie. Byli narażeni na niebezpieczeństwo, słabi, prawie bezbronni, waleczni, bliscy, drodzy...

Diestl ubierał się spiesźnie, bez hałasu. Raz jeden Françoise drgnęła i odrzuciła rękę w poprzek łóżka, jak gdyby szukała kochanka obok siebie, lecz się nie obudziła. Ramię sięgające w ciepłą jeszcze pustkę podobne było do białego węża.

Z butami w rękę Christian poczłapał do drzwi i odemknął je ostrożnie. Stojąc na progu odwrócił głowę. Françoise leżała tak, jak ją zostawił. Jej wyciągnięta ręka zdawała się świadczyć o błogim, sennym nasyceniu i zapraszać pokonanego kochanka, który oczyma wyobraźni zobaczył na jej twarzy szyderczy, zwycięski uśmiech.

Wyszedł na schody i cicho zamknął za sobą drzwi mieszkania Simone.

W piętnaście minut później sierżant Diestl stał przed biurkiem pułkownika SS. W pogrążonym we śnie Paryżu kwatery główna SS nie spała. Jasno oświetlone pokoje, ustawiczna krzątanina na korytarzach, klekot maszyn do pisania i dalekopisów. Wszystko to przypominało fabrykę pracującą pełną parą podczas nadliczbowych godzin nocnej zmiany.

Pułkownik za biurkiem, niski, szczupły mężczyzna, był bystry i czujny. Nosił grube okulary w rogowej oprawie, nie sprawiał jednak wrażenia oficera kancelaryjnego. Usta miał cienkie, bezbarwne, a jasnoniebieskie, powiększone oczy błyskały przenikliwie za soczewkami szkieł. Przypominał oręż w każdej chwili gotowy do zadania ciosu.

— Bardzo pięknie, sierżancie — mówił. — Pojedziecie zaraz z porucznikiem von Schlainem, wskażecie ten dom i zidentyfikujecie dezertera oraz kobiety, które go ukrywają.

— Rozkaz, panie pułkowniku.

— Zupełnie słusznie przypuszczacie — podjął oficer — że wasz oddział macierzysty przestał istnieć. Pięć dni temu nieprzyjacieli doścignął go i doszczętnie zniszczył. Wykazaliście niemalą sprytność i odwagę, że zdołaliście uratować życie.

Christian zdążył już zauważyć, że pułkownik posługuje się wprawnie techniką zbijania ludzi z tropu, nie wiedział więc, czy mówi serio, czy ironizuje. Czuł się więc nieswojo, lecz podejrzewał zarazem, że jego przypadek może być naprawdę wyjątkowy.

Pułkownik przeszył Christiana bystrym spojrzeniem zza okularów i mówił dalej:

— Każę wam, sierżancie, przygotować rozkaz wyjazdu do Niemiec. Tam po krótkim urlopie otrzymacie przydział do nowo formowanej jednostki. W bardzo niedługim czasie — ciągnął tonem bez wyrazu — ludzie tacy jak wy będą potrzebni na ojczyściej ziemi. To wszystko, sierżancie. *Heil Hitler!*

Christian zasalutował i wyszedł z pokoju za porucznikiem von Schlainem, który również nosił okulary.

W małym samochodzie, poprzedzającym odkrytą ciężarówkę z żołnierzami, Christian zapytał sąsiada:

— Panie poruczniku, a... a co z nimi się stanie?

Von Schlain ziewnął i zdjął okulary.

— Jutro go rozstrzelamy — odparł. — Od dawna tracimy przynajmniej dziesięciu dezertersów dziennie, a teraz, podczas odwrotu, interesy ożywiły się znacznie. — Włożył na nos okulary i rozejrzał się dokoła. — Czy to ta ulica?

— Tak jest, panie poruczniku. Stop!

Mały wóz zatrzymał się przed dobrze zapamiętanym domem. Zgrzytnęły hamulce ciężarówki. Żołnierze zaczęli wyskakiwać na jezdnię.

— Nie wchodźcie lepiej na górę — rzucił sucho porucznik. — Mogłoby wam być nieprzyjemnie. Powiedzcie tylko, które piętro i króre drzwi, a sam poradzę sobie gładko.

— Ostatnie piętro. Pierwsze drzwi na prawo."

— W porządku. To wystarczy. — Von Schlain mówił wielkoparis kim, lekceważącym tonem, jak gdyby był zdania i głosił całemu światu, że armia źle wykorzystuje jego nieprzeciętne zdolności. Władczym gestem skinął na czterech żołnierzach, wszedł na parę stopni i bardzo silnie przycisnął guzik dzwonka.

Diestl stanął na krawężniku, oparł się o samochód, którym przyjechał z kwatery głównej SS. Słyszał dokładnie posępne brzęczenie dzwonka gdzieś w głębi uspiętego domu, w mieszkaniu dozorczyńni. Von Schlain uparcie przyciskał guzik i dzwonienie rozlegało się żalonym, nerwowym crescendo. Christian zapalił papierosa, zaciągnął się mocno.

„Przecież usłyszą na górze — pomyślał. — Ten von Schlain to kretyn”.

Wreszcie dozorczyńni uchyliła drzwi i powiedziała coś gniewnym, zaspanym głosem. Porucznik odszczeknął płynną francuszczyzną, a kiedy drzwi otworzyły się szeroko, wszedł do sieni na czele czterech żołnierzy. Drzwi zamknęły się za nimi.

Diestl spacerował tam i z powrotem koło samochodów. Palił zawzięcie. Puszczal gęste kłęby dymu. Zaczynało świtać. Błękitnoperłowe i srebrzyste blaski barwiły ulice i domy. Christian odczuwał to piękno i nienawidził serdecznie. Był zadowolony, że rychło pożegna Paryż i prawdopodobnie nie wróci tu już do końca życia. Niech się nim cieszą Francuzi, subtelni, chytry, zawsze zwycięscy Francuzi. On miał dosyć Paryża. To miasto wyglądało jak uroczą łąka, ale naprawdę było zdradzieckim bagnem. Kusiło wdziękiem i pięknymi nadziejami, lecz kryło w sobie pułapki podstępne, opatrzone w łakomą przynętę, fatalne dla człowieka o poczuciu godności własnej i honoru. Pozornie miękkie, tępiło każdy zwrócony przeciw sobie oręż. Pozornie radosne, wpędzało zdobywców w niezglębioną melancholię. Dawno, na początku wojny, Służba Zdrowia miała słuszość. Cyniczni ludzie nauki dawali żołnierzom jedyną broń stosowną dla zdobywców Paryża: trzy tubki salvarsanu.

Drzwi domu otwarły się z łoskotem. Brandt w cywilnym płaszczu zarzuconym na pidżamę wyszedł pomiędzy dwoma żołnierzami. Tuż za nim ukazały się Simone, i Françoise w szlafrokach i domowych pantoflach. Simone szlochala konwulsyjnie, rozdzierając, jak małe dziecko. Ale jej przyjaciółka spoglądała na eskortę wzrokiem zimnej pogardy.

Diestl zapatrzył się w fotoreportera, ten zaś odpowiedział mu tępym spojrzeniem. Twarz miał pozbawioną wyrazu, zmęczoną tylko i osowiałą po wyrwaniu z głębokiego snu. Christian poczuł wstręt do tej twarzy pomarszczonej, miękkiej, przesubtelnionej, oszukańczej, napiętnowanej nieuchwytną kłeską...

„Słowo daję — pomyślał ze zdumieniem. — Ten typ nie wygląda nawet na Niemca!”

— Zgadza się, panie poruczniku — powiedział do von Schlaina. — To on i te same kobiety. ,

Żołnierze wepchnęli Brandta na ciężarówkę i dość ostrożnie podnieśli tonącą we łzach rozhisteryzowaną Simone, która znalazłszy się na samochodzie, bezradnie wyciągnęła ręce do kochanka. Christian ostatecznie znenawidził dawnego przyjaciela, kiedy zobaczył tragicz-



ny, miękki gest, jakim ujął i przytulił do policzka dłoń Simone — bezwstydnie, w obliczu kolegów, których chciał opuścić w dniu klęski.

Françoise nie przyjęła pomocy przy wspinaniu się na ciężarówkę. Przez chwilę patrzyła natarczywie na Christiana, później lekko pokiwała głową, bezradnie rozłożyła ręce i z wysiłkiem podciągnęła się sama.

„A widzisz — myślał Diestl nie odrywając od niej wzroku. — Jeszcze nie wszystko stracone. Jeszcze zostało coś niecoś do wygrania..

Ciężarówka ruszyła. Christian wszedł do małego samochodu i zajął miejsce obok porucznika von Schlaina.

O świcie jechał paryskimi ulicami w stronę kwatery głównej SS.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Miasto wyglądało podejrzanie. Brakowało flag, które zdobyły okna wszystkich miejscowości po drodze z Coutances. Nie było improwizowanych transparentów na cześć oswobodzicieli, a dwaj Francuzi na widok jeepa uciekali do jakiejś sieni, chociaż Michael próbował ich przywołać.

— Zatrzymaj no — powiedział do Stellevato. — Coś tu nie bardzo.

Wóz stanął na szerokim rozjeździe u krańców miasta. Szosy, puste i zimne pod niebem chmurnego poranka, ciągnęły się w kilku kierunkach. Nie było widać ruchu na szarym asfalcie ani w miasteczku, gdzie okna pozamykano i osłonięto żaluzjami. Posepna, śmiertelna cisza zdawała się groźna po ruchliwym, gwarnym miesiącu, kiedy wszystkie francuskie drogi roily się od czołgów, kolumn transportowych, beczkowsów, armat i maszerujących oddziałów, kiedy w osiedlach tłumy mężczyzn i wystrojonych kobiet wiwatowały, śpiewały *Marsylianke*, powiewały chorągiewkami przechowywanymi w ukryciu podczas okupacji.

— Co się stało, kolego?—zapytał Keane z tylnego siedzenia jeepa. — Wjechaliśmy na ślepy tor?

— Diabli wiedzą! — odburknął Michael.

Sprykrzył mu się niemily towarzysz podróży wieziony od trzech dni z rozkazu pułkownika Pavone. Przez cały ten czas Keane paplał posepnie. Utyskiwał na ślamazarne metody prowadzenia wojny i listy żony, która raz po raz pisze, że wypłacane jej pieniądze absolutnie nie wystarczają na utrzymanie domu, gdyż wszystko wciąż drożeje. Dzięki tej gadaninie ceny masła, mięsa, pieczywa i dzieciennego obuwia utrwaliły się niezatarcie w pamięci Michaela. „Jeżeli w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku zapyta mnie ktoś, ile

kosztowało mielone mięso latem czterdziestego czwartego — myślał zirytowany — odpowiem bez wahania: sześćdziesiąt pięć centów funt."

Wydobył i rozłożył na kolanach mapę. Za sobą usłyszał zgrzyt bezpiecznika pistoletu maszynowego. „Kowboj — obruszył się wewnętrznie. — Głupi, spragniony krwi kowboj!”

Stellevato rozparł się obok Michaela na przednim siedzeniu. Palil papierosa. Hełm zsunął na tył głowy.

— Wiesz, co by mi teraz dobrze zrobiło?—odezwał się.—Butelka wina i fajna francuska dziwka.

Był zbyt młody, odważny lub głupi, by odczuć grozę pochmurnego ranka i dziwnej panoramy ulic i domów, zapewne jeszcze nie wyzwolonych.

— Miejscowość ta sama. Zgadza się, ale coś tu paskudnie wygląda — burczał Michael zapatrzony w mapę.

Przed czterema dniami Pavone kazał mu odwieźć do dowództwa Dwunastej Armii torbę meldunków o kilkunastu miastach, gdzie ostatnio przeprowadził inspekcję. Meldunki dotyczyły stanu zakładów użyteczności publicznej, rezerw żywnościowych oraz ilości donosów na administrację cywilną powołaną przez miejscową ludność. Następnie Whitacre miał zameldować się u szefa w dowództwie pewnej dywizji piechoty. Tam jednak dowiedział się, że Pavone odjechał poprzedniego dnia i wyznaczył podwładnym spotkanie tego rana i właśnie w tym mieście, gdzie o godzinie dziesiątej miał przybyć z grupą szturmową złożoną z piechoty przewożonej i oddziałów broni pancernej.

Obecnie dochodziła jedenasta, lecz prócz niewielkiej tablicy ze strzałką i napisem: „Punkt wodny”, nic nie wskazywało, by od lat był tam ktoś mówiący po angielsku.

— Jedziemy, kolego, jedziemy — odezwał się Keane. — Na co czekamy? Pilno mi zobaczyć Paryż.

Michael odłożył mapę i spójrział na wyludnione ulice głowiąc się, co to wszystko może znaczyć.

— Nie zajęliśmy jeszcze Paryża — odburknął.

— Dziś rano BBC mówiło, że w Paryżu Niemcy prosili o zawieszenie broni. Sam słyszałem — powiedział Keane.

— Nie wiem. Mnie nie prosili.

Whitacre był zły, gdyż pod nieobecność pułkownika Pavone na nim ciążyła odpowiedzialność. Ostatnie trzy dni spędził przyjemnie i wesoło. Jechał beztrudnie przez rozświetwaną Francję. Był panem własnej

woli. Nie podlegał niczym rozkazom. Ale jasno zdawał sobie sprawę, że to miasto jest dalekie od świętowania, ponadto zaś dręczyło go przykre uczucie, że niewłaściwą decyzję powziętą w ciągu najbliższych piętnastu minut może przypłacić życiem własnym i towarzyszy.

— Bodaj to wszyscy diabli! — stuknął łokciem sąsiada. — Stellevato, zobaczymy, co się dzieje przy punkcie wodnym.

Jeep ruszył boczną uliczką w stronę widocznego w oddali mostku. Nad strumieniem był znów napis: „Punkt wodny”, a ponadto duży brezentowy zbiornik i przenośna pompa. Michael sądził zrazu, że nie ma tam ludzi, podobnie jak w całym mieście, zobaczył jednak hełm wychylający się ostrożnie ze schronu ziemnego. Młody blady żołnierz o zaspanych oczach był, jak zdawało się Michaelowi, bardzo wystraszony.

— Usłyszeliśmy wasz wóz — powiedział, a drugi żołnierz wyszedł z dołu i zbliżył się do jeepa.

— Co się tu dzieje? — zapytał Michael.

— Więcej wy nam możecie powiedzieć.

— Czy dziś o dziesiątej nie przeszła tędy grupa szturmowa?

— Nic tędy nie przeszło — odezwał się drugi żołnierz.

Był to niski, okrągły, czterdziestoletni mężczyzna o szczeciniastym, dawno nie golonym zarostem.

— W nocy dotarła tutaj Czwarta Dywizja Pancerna — ciągnął śpiewnym szwedzkim akcentem. — Nas zostawiła, a sama skręciła na południe. — Od tego czasu nic się nie działo. Tylko w mieście słyszeliśmy strzelaninę.

— Co się tam stało?

— Ode mnie nic się nie dowiesz, bracie. Mnie kazano pompować wodę ze strumienia, a nie prowadzić wywiad na własną rękę. Lasy roją się od szwabów. No i szwaby strzelają do żabojadów, a żabojady do nich. To nie mój interes. Ja czekam na posiłki.

— Jedźmy do miasta. Wszystko sami zobaczymy — wtrącił Keane.

— Zamknąłbyś gębę! — rzucił Michael najsroższym, na jaki stać go było, tonem.

Odwrócił się i zmierzył Keane'a gniewnym wzrokiem, ten zaś spojrzął żałośnie przez grube szkła okularów.

— Kombinowaliśmy już z kumplem, czy w ogóle nie zwiąć — ciągnął niski, okrągły żołnierz. — Nikomu nic z tego, że siedzimy nad wodą niby kaczki. Rano zawieruszył się tutaj jakiś żabojad. Gadał trochę po angielsku. Powiedział, że po tamtej stronie miasta jest

ośmuset szwabów. Mają trzy czołgi. Podobno dziś chcą uderzyć i zrobić w tej dziurze porządek.

„Ładna historia! — pomyślał Michael. — Jasne, dlaczego nie ma flag.”

— Ośmuset szwabów! — zawołał Stellevato. — Wracamy do domu.

— Jak myślisz, kolego — zwrócił się do Michaela blady młodzieniec. — Możemy tu siedzieć bezpiecznie?

— Bezpieczniej niż przy własnym kominku — wybuchnął Michael. — Skąd, u licha, ja miałbym coś o tym wiedzieć?

— Tak się tylko spytałem. — Chłopak był wyraźnie urażony.

— A mnie się to nie podoba... wcale nie podoba — wtrącił żołnierz ze szwedzkim akcentem i niespokojnie spojrzął na ulicę — Dranie! Zostawili nas samych nad tym cholernym strumieniem. Nie mieli prawa tak nas urządzić. Nie mieli prawa!

— Nikki — zwrócił się Whitacre do młodego Włocha. — Zakręć no i stań przy drodze tak, żebyśmy mogli z miejsca bryknąć w razie potrzeby.

— A to co znowu? — szepnął Keane pochylając się do przodu. — Tchórz cię obleciał?

— Słuchaj no, generale Patton! — Michael starał się o ton jak najspokojniejszy. — Jeżeli będzie nam trzeba bohatera, nie zapomnimy o tobie. Zawracaj, Nikki!

— Wołałbym być w domu — mruknął Stellevato, ale wsiadł do jeepa i wykonał polecenie.

Następnie wydobyl pistolet maszynowy z pokrowca pod przednią szybą i kilka razy dmuchnął od niechcienia na celownik i muszkę. Niewiele to pomogło, bo kurz pokrywał broń grubą warstwą.

— No i co teraz robimy, kolego? — zapytał Keane gładząc lufę wielkimi piegowatymi łapami.

Michael spojrzął na niego ze wstrętem i pomyślał: „Na pewno ten nieboszczyk brat dostał Medal Kongresu za czystą głupotę.”

— Zostaniemy tu trochę — odrzekł. — Poczekamy.

— Na co?

— Na pułkownika Pavone.

— A jak nie przyjedzie? — napierał dalej Keane.

— Postanowimy coś innego. Mam diabelnie szczęśliwy dzień! — Michael wzruszył ramionami. — Do zachodu słońca czekają mnie przynajmniej trzy decyzje!

— Moim zdaniem — podjął Keane — trzeba wypiąć się na pułkownika i walić prosto do Paryża. BBC powiada...

— Wiem, co powiada BBC — przerwał mu Whitacre — wiem, co ty powiadasz, ale ja powiadam, że zostaniemy tutaj i będziemy czekać.

Odszedł od Keane'a i usiadł na trawie pod niskim kamiennym murkiem biegnącym wzdłuż strumienia. Dwaj żołnierze porzuceni przez Czwartą Dywizję Pancerną zrobili niepewne miny, następnie zaś wrócili do swego schronu i wejście zakryli gałęziami. Stellevato ustawił pistolet maszynowy pod murkiem, położył się i zaraz usnął. Leżał na wznak. Oczy zasłonił rękami. Wyglądał jak nieżywy.

Keane usiadł na kamieniu. Wydobył ołówek i blok korespondencyjny i zaczął list do żony. Miał zwyczaj informować ją o wszystkim, co przeżył lub widział. Nie szczędził nawet mrozących krew w żyłach opisów ran i śmierci. „Niech wie, cholera, co się wyrabia na świecie — powtarzał często. — Jak zrozumie, co my tu przechodzimy, będzie pogodniej spoglądać na życie”.

Michael spojrzął w dal nad okrytą hełmem głową człowieka, który z odległości trzech tysięcy mil uczył swoją lodowatą żonę, by pogodniej spoglądała na życie. Szare, nie tknięte pociskami ściany domów i pozamykane okna bez chorągwi strzegły nadal tajemnicy.

Whitacre przyklnął oczy. „Dlaczego do mnie nikt nie napisze listu? — pomyślał, — Może wtedy zrozumiałbym, co my tu przechodzimy”. Ostatni miesiąc tak obfitował w niezwykle i trudne do pojęcia wydarzenia, że na uporządkowanie ich, posegregowanie, wyłowienie właściwego sensu trzeba by było lat. Michael zdawał sobie niejasno sprawę, że to gorące francuskie lato i jazda w tumanach kurzu po wyboistych, ostrzeliwanych drogach i tłok na wszystkich szosach, i trójbarwne chorągiewki, i pocałunki dziewcząt, i kule strzelców wyborowych, i pożary — że wszystko to kryje w sobie głębokie i trwałe znaczenie. Ten miesiąc radosnych uroczystości, trudów i śmierci powinien obdarzyć człowieka kluczem do rozwiązania zagadki wojen i ucisku, zagadki Europy i Ameryki.

Od owej nocy, kiedy w Normandii pełnił służbę wartowniczą i Pavone tak bezwzględnie przywołał go do porządku, Whitacre stracił nadzieję, że może być naprawdę przydatny. Obecnie pragnął tylko zrozumieć wojnę. Jak dotąd jednak nie potrafił sformułować ogólnych wniosków. Nie mógł powiedzieć: „Amerykanie zwyciężają, ponieważ są tacy a tacy”, „Tego rodzaju zachowanie zgadza się całkowicie z charakterem Francuzów”, „Zasadniczym błędem Niemców jest mylny pogląd na to lub owo”.

Zgiełk, zamęt, przemoc, ucisk — wszystko to tworzyło powikłany dramat o wielu wątkach, ustawicznie zaprzętało myśli Michaela. Nie

dawało mu spać pomimo upałów i przemęczenia, prześladowało nawet w takich jak obecna chwila, kiedy wyczuwał groźę śmierci w spokoju i ciszy wyludnionego szarego miasteczka na drodze do Paryża.

Monotonne szemranie strumienia łączyło się z cichym pracowitym skrzypieniem ołówka, którym Keane pisał list do żony. Michael przymknął oczy i oparł się o kamienny murek. Drzemał, gdyż miał za sobą wiele straconych godzin spoczynku, nie zapadał jednak w sen i przesiewał w myślach obłąkańcze zdarzenia minionych trzydziestu dni.

Przed wszystkim nazwy... Nazwy zalanych słońcem miast, wycięte ze stronic Prousta, Marigny, Coutances, St. Jean le Thomas, Avranches, Pontorson pojawiają się w nadmorskiej zaczarowanej krainie, spowitej w mgłę legend i piękna, a leżącej na pograniczu Normandii i Bretanii. Ciekawa rzecz, co schorowany Francuz zamknięty w wybitym korkiem pokoju miałby do powiedzenia o swoich ukochanych Prowincjach Nadmorskich podczas skwarne go, śmiertelnego sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku? Jakie uwagi na temat zmian dokonanych w architekturze czternastowiecznych kościołów przez stopiątki i bombowce nurkujące zamknęłyby w swoich błyskotliwych, nieskończenie długich zdaniach? Jak reagowałby na widok końskich trupów w rowach pod żywoplotami z głogu i na dziwny zaduch metalu i padliny dobywający się ze spalonych czołgów? Jakie oryginalne, subtelne, beznadziejne zdania o nowych wędrówkach na drodze do Mont Saint Michael wygłaszałyby monsieur de Charlus lub madame de Guermantes?

Któregoś dnia odezwał się obok jeppa młody głos o wyraźnym akcencie ze Środkowego Zachodu: „Od pięciu dni łażę i łażę, a nie strzeliłem jeszcze ani razu. Tylko nie myśl, bracie, że jestem niezadowolony. Mnie tam wszystko jedno. Jak trzeba, mogę dreptaniem wygrać wojnę”.

A w Chartres, naprzeciwnie katedry, jakiś starszawy kapitan o kwaśnej minie stał koło shermana i mówił: „Nie rozumiem, dlaczego ludzie plotą od lat o cudach tego kraju? Panie Jezu! Wszystko, co tu widziałem, potrafilibyśmy lepiej zrobić w Kalifornii”.

Na skrzyżowaniu szos, pośród saperów z wykrywaczami min, carzeł o czekoladowej cerze, ubrany w purpurowy fez, tańczy dla rozrywki czekających na wolny przejazd czołgistów. Żołnierze biją brawo i poją tancerza calvadosem darowywanym im po drodze przez ludność mijanych wiosek.

Na ulicy zbombardowanego miasteczka dwaj pijani starsi panowie wręczają Michaelowi i pułkownikowi Pavone spore bukiety piwonii

i witając serdecznie oswobodzicielei pytają poważnie, dlaczego w dniu czwartym lipca, kiedy w okolicy nie było ani jednego Niemca, lotnictwo amerykańskie uważało za stosowne w ciągu pół godziny zrównać z ziemią miasto?

Albo ten niemiecki porucznik w obozie jeńców Pierwszej Dywizji! Za parę skarpetek pokazał na mapie dokładne rozmieszczenie swojej baterii, zdradzając tę tajemnicę żydowskiemu uchodźcy z Drezna, który obecnie służył w armii amerykańskiej i był sierżantem żandarmerii.

Sędziwy francuski farmer pracował ciężko przez całe rano, żeby na płocie swojej zagrody uwić z róż wielki napis: „*Welcame USA*”. A inni farmerzy z żonami i dziećmi okrywali leżące przy szosach ciała poległych żołnierzy kwiatami ze swoich ogrodów. Pod pagórkami piwonii, floksów, róż czy irysów śmierć wydawała się spokojna i piękna, a maszerująca piechota w milczeniu mijala wielobarwne kopczyki.

Tysiące, tysiące niemieckich jeńców i okropne wrażenie na myśl, że w ich twarzach nie ma nic, co by wskazywało, że oni właśnie przeorali Europę do głębi, wymordowali trzydzieści milionów ludzi, truli niewinnych w komorach gazowych, wieszali, palili, torturowali na polaci trzech tysięcy mil udręczonej ziemi. Twarze jeńców miały jedynie wyraz strachu i zmęczenia i należało przyznać uczciwie, że gdyby byli ubrani w amerykańskie mundury, mogliby wszyscy pochodzić z Cincinnati.

W małej osadzie niedaleko Saint Maló (jakże się nazywała?) pogrzeb partyzanta z francuskiego Ruchu Oporu. Artyleria grzmi ze wszystkich stron, a pochód całej ludności w najlepszych niedzielnych strojach sunie za kulawym karawanem i końmi przystrojonymi w czarne pióropusze. Na wzgórk u cmentarnej bramy wszyscy cisną się żeby ścisnąć ręce krewnych zamordowanego bohatera. A na zapytanie Michaela, kim był nieboszyk, młody ksiądz, który celebrował nabożeństwo żałobne, odpowiada: „Nie wiem, przyjacielu. Ja nietutejszy”.

W Granville stary cieśla, który urodził się w Kanadzie, a ostatnio pracował przy niemieckich umocnieniach nadbrzeżnych, smutno kiwał głową: „Teraz już wszystko jedno, panie wojak. Przyszliście za późno. W tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim, czterdziestym trzecim... tak! Wtedy wiwatowałbym i radośnie ścisnął wam ręce. Cóż?... Za późno, panie wojak, za późno”, i wzruszył ramionami.



W Cherbourgu piętnastoletni wyrostek złościł się na Amerykanów. „To półgłówki — wołał. — Zadają się tylko z tymi dziwkami, które żyły ze szwabami. Demokraci, do licha! Gdzieś mam takich demokratów! Sam tymi rękami ogoliłem lby pięciu niemieckim kurwom. O, na długo przed inwazją! Kiedy to było niebezpieczne. Jak Boga kocham, wezmę się znów do golenia! Jak Boga kocham!”

Burdel. Dziewczyny w krótkich spódniczkach, *madame* za ladą przyjmuje pieniądze od żołnierzy i powtarza rozdając ręczniki i kawałki antyseptycznego mydła: „Bądź grzeczny dla tej malej. Pamiętaj, drogi chłopcze, bądź grzeczny”. Żołnierze odchodzą do pokoi nie rozstając się z automatycznym karabinkiem lub pistoletem maszynowym.

Stelevato chrapał, ołówek Keane'a skrzypiał, szare miasteczko milczało uparcie. Michael wstał, poszedł na most i spojrzał w mętną, brunatną wodę sunącą wolno w dole. Chciał, żeby coś się stało, i to jak najprędzej. Niech ośmiuset Niemców rozpocznie atak lub jeszcze lepiej, niech zjawi się ta grupa szturmowa, a z nią pułkownik Pavone.

„Lepiej znoszę wojnę w otoczeniu setek żołnierzy — medytował Michael. — Wtedy wiem, że za nic nie odpowiadam, a tęgie, dobrze wyszkolone głowy będą się gdzieś nad moimi sprawami. Tutaj, na obrośniętym mchem starym mostku, nad bezimiennym strumieniem, w zapomnianej przez Boga i ludzi mieścinie czuję się samotny, opuszczony. Ośmiuset Niemców może przyjść i bez pardonu zastrzelić mnie. Nikogo to nie zmartwi. Nikt nie zapyta nawet, czy walczyłem, złożyłem broń albo dałem drapaką. To prawie tak jak w cywilnym życiu. Nikogo nie obchodzi, czy człowiek zdechł, czy tłucze się jeszcze po świecie... No, grupie szturmowej i pułkownikowi dają pół godziny — postanowił. — Potem wieję, żeby na tyłach znaleźć jakiś amerykański oddział i przyczepić się do niego”.

Niechętnie spojrzał na szare, posępne niebo. Niskie, wzdęte chmury wyglądały złowroźnie. A dotychczas była taka śliczna pogoda! Słońce zdawało się zapowiedzią szczęścia. Michael był pewien, że chybi go każdy strzelec wyborowy, i słusznie nie bał się śmierci, kiedy pod Avranches myśliwce ostrzeliwały szosę, on zaś skoczył do rowu i skrył się za trupem kaprała z broni pancernej. Był dobrej myśli nawet wówczas, gdy pod Saint Maló artyleria położyła ogień na dowództwo pułku. Dom dygotał od wybuchów. W ogrodzie żołnierze kryli się w lejach i dolach, a w pokoju pełnym aparatów telefonicznych, radiostacji i przemęczonych ludzi o zaczerwienionych oczach, generał, który właśnie przybył na inspekcję, wrzeszczał jak

opętany: „Co, do jasnej cholery, robi obserwator w kubusiu\*?! Nie widzi tych dział czy co? Połączyć się z nim! Powiedzieć mu, żeby zaraz zlokalizował stanowiska!” Nawet wówczas Michael czuł, że cało wyjdzie z oparów.

Ale tego dnia coś się odmieniło. Nie było słońca i Whitacre nie wierzył w swoją pomyślną gwiazdę. Zdawało mu się, że bezpowrotnie minął wesoly, triumfalny pochód. Piękny podłotek śpiewający *Marsyliankę* w barze w Nantes, spontaniczna manifestacja urządzona przez mieszkańców miasteczka Miniac na widok pierwszych piechurów, butelki koniaku rozdawane oswobodzicielom w Rennes, szpaler zakonnic i małych dzieci wzdłuż szosy pod Le Mans, drużyna francuskich skautów, którzy z poważnymi minami maszerowali pod Alençon obok kolumn pancernych, spokojne rodziny, co korzystając ze słonecznej pogody uparcie kąpały się w wodach rzeki Vilaine, znaki „V”, flagi, dumni żołnierze z francuskiego Ruchu Oporu eskortujący jeńców — wszystko to zniknęło, jak gdyby należało do poprzedniej epoki. Dzień dzisiejszy zdawał się otwierać nową erę — erę posępną, złowieszczą szarzyzny.

Michael zwrócił się do Keane'a:

— Cóż, pojedziemy do miasta. Zobaczymy, co tam się święci.

— Dobra — powiedział Keane chowając za pazuchę blok z ołówkiem. — Znasz mnie, bracie. Ja jestem gotów na wszystko.

„Pewnie, że jesteś gotów” — pomyślał nieżyczliwie Michael, zbliżył się do młodego Włocha i jak we drzwi zastukał w jego hełm.

Stellevato, pogrążony zapewne w gorących niemoralnych marzeniach na temat rozwożenia lodu, jęknął z cicha.

— Daj mi spokój — mruknął.

— Jazda! Wstawaj, chłopie! — Michael głośniejsz zastukał w stal hełmu. — Zaraz jedziemy wygrać wojnę.

Dwaj pancerniacy wyleźli ze swojego schronu.

— Zostawicie nas samych? — rzucił niski, okrągły żołnierz tonem głębokiej urazy.

— Dwaj przedstawiciele najlepiej wyszkolonej, najlepiej odżywionej, najlepiej uzbrojonej armii na świecie powinni w każdej chwili dać rady głupim ośmiu setkom szkopów — roześmiał się Whitacre.

— Dowcipniś z ciebie — obruszył się niski, okrągły żołnierz.

— Jak można tak nas porzucać?

Michael wsiadł do jeepa.

\* Kubuś — potoczna nazwa małego samolotu obserwacyjnego.

— Nie martw się—powiedział. — Jedziemy tylko rozejrzeć się po mieście. Damy wam znać, jak będzie coś ciekawego.

— Dowcipniś z siebie — mruknął niezadowolony pancerniak i spojrzął wymownie najpierw na swojego towarzysza, a później na samochód mijający most.

Ostrożnie, z palcami na cynglach wjechali na rynek, który zdawał się kompletnie wyludniony. Blaszane żaluzje pokrywały wystawy sklepów, drzwi kościoła były zamknięte na głucho, a hotel sprawiał wrażenie nieczynnego od tygodni. Michael rozglądał się dokoła j czuł, że bezwiednie zaciska zęby. Nawet Keane tkwił bez ruchu i słowa na tylnym siedzeniu.

— No i co dalej? — zapytał szeptem kierowca.

— Stop! — odpowiedział Michael.

Stellevato przyhamował gwałtownie i zatrzymał się na środku placu brukowanego „kocimi łbami”.

Nagle zgrzytnęło coś i stuknęło głośno. Whitacre podskoczył i uniósł pistolet maszynowy. Drzwi hotelu były szeroko otwarte i wylewał się z nich na rynek tłum ludzi. Niektórzy byli uzbrojeni w steny lub zatknięte za pas pistolety maszynowe. Pośród czapek i ciemnych czupryn mężczyzn kobiece chustki stanowiły jaskrawe, różnobarwne plamy.

— Żabojady — mruknął Keane. — Pewnie niosą nam klucze miasta.

W jednej chwili jeep został otoczony, ale tym razem cywile nie mieli rozradowanych min i nie urządzali owacji. Najbliżej stanął jakiś jegomość w pumpach. Na rękę miał opaskę Czerwonego Krzyża, na głowie okrwawiony bandaż.

— Co się tu dzieje? — zapytał Michael po francusku.

— Lada chwila spodziewamy się Niemców — odpowiedziała kobieta w średnim wieku, niska, pękata, bezpłciowa istota w męskim swetrze i w męskich butach roboczych.

Mówiła po angielsku z silnym irlandzkim akcentem i Michael miał przez chwilę wrażenie, że ci ludzie robią mu jakiś złośliwy, niebezpieczny kawał.

— Jak przedarliście się do nas? — dodała.

— Po prostu wjechaliśmy do miasta. — Whitacre był zły, czuł niedorzeczną urazę do tych tchórzów. — Co się u was wyprawia?

— Po tamtej stronie miasta jest ośmiuset Niemców — wyjaśnił jegomość z opaską Czerwonego Krzyża.

— I trzy czołgi — uzupełnił Michael. — Słyszeliśmy już o tym. Czy dziś rano nie przechodziły tędy jakieś amerykańskie kolumny?

— Nie — odpowiedziała kobieta. — Przejeżdżała tylko niemiecka ciężarówka. Szwaby zastrzelili jednego z naszych. Nazywał się Andre Fouret. Było to w pół do ósmej. Później nic się nie działo.

— Jedziecie do Paryża? — odezwał się jegomość z opaską Czerwonego Krzyża.

Nie miał czapki na głowie. Długie ciemne włosy sterczały nad brudnym bandażem. Z workowatych pumpów wyglądały gołe łydki w krótkich skarpetkach i tenisówkach.

Michael spojrział na niego i pomyślał: „Facet przebrał się chyba? To nie może być jego normalne ubranie.”

— No, gadajcie! — nacierał podejrzanym typem zaglądającym do jeepa. — Jedziecie do Paryża, co?

— Niewykluczone — bąknął Whitacre.

— Mogę was poprowadzić — ciągnął jegomość z opaską Czerwonego Krzyża. — Mam motocykl. Dopiero co stamtąd przyjechałem. To najwyżej godzina drogi.

— No, a ośmiuset Niemców i te trzy czołgi? — obruszył się Michael pewien, że grozi mu wciągnięcie w zasadzkę.

— Pojadę bocznymi drogami — odparł mężczyzna. — W tę stronę strzelali do mnie tylko dwa razy. Znam wszystkie miejsca zaminowane. Macie trzy pistolety maszynowe. W Paryżu przyda nam się każda broń. Walczymy od trzech dni. Trzeba nam pomocy.

Tłum wokół jeepa przytakiwał kiwając poważnie głowami i gadał między sobą po francusku zbyt szybko, żeby Michael mógł zrozumieć.

— Chwileczkę, chwileczkę. — Whitacre położył dłoń na ramieniu kobiety w męskim swetrze. — Wszystko trzeba wyjaśnić od początku. Otóż pani...

— Nazywam się Dumoulin. Jestem obywatelką irlandzką. W tym mieście mieszkam od trzydziestu lat. Bardzo się cieszę, że panowie do nas przyjechali, ale pytam otwarcie, czy macie zamiar nas bronić?

Michael bezradnie rozłożył ręce.

— Chętnie, pani Dumoulin, zrobimy wszystko, co w naszej mocy — odpowiedział dodając w myśli: „Sens tej piekielnej wojny kompletnie mi się wymyka...”

— Macie też amunicję — podjął jegomość z opaską Czerwonego Krzyża zaglądając łakomie do jeepa, gdzie skrzynki amunicyjne tkwiły między tobołkami z pościelą. — Świetnie. Doskonale. Jedźcie za mną,

a nie będziecie mieli żadnych kłopotów. Po prostu trzeba założyć opaski Czerwonego Krzyża, tak jak ja. Na pewno Niemcy nie będą do nas strzelać.

— Niech Paryż sam się o siebie troszczy — wybuchnęła pani Dumoulin. — My mamy własny problem: ośmiuset szwabów!

— Zaraz, zaraz! Nie wszyscy razem! — Michael podniósł rękę uspokajającym gestem i pomyślał ze złością: „Oto sytuacja, o jakiej rozwiązaniu nie mówiono mi nic w Fort Benning.” — Przede wszystkim pragnę usłyszeć, czy ktoś widział na własne oczy tych ośmiuset Niemców?

— Jacqueline! — zawołała obywatelka irlandzka. — Opowiedz wszystko temu panu!

— Proszę mówić powoli — rzekł Whitacre. — Moja francuszczyzna pozostawia wiele do życzenia..

— Mieszkam o kilometr od miasta — zaczęła Jacqueline, krępa dziewczyna, której brakowało kilku przednich zębów. — W nocy stanął przed naszym domem szwabski czołg. Porucznik wylazł z niego i zażądał masła, chleba i sera. Powiedział, że radzi po przyjacielsku, by nie witać Amerykanów, bo oni przyjdą i pójdą, a nas zostawią na boskiej opiece. Później znów wrócą Niemcy i zastrzelą każdego, kto witał Amerykanów, a on (niiby ten porucznik) spodziewa się lada chwila ośmiuset ludzi. I szwab miał rację—ciągnęła żywo dziewczyna. — Amerykanie zatrzymali się koło naszego domu i za godzinę nie było żywej duszy! Dobrze będzie, jeżeli do wieczora Niemcy nie spalą całego miasta i...

— Hańba! — przerwała jej pani Dumoulin. — Amerykanie nie mają Boga w sercu! Albo trzeba było przyjść i zostać, albo wcale nie przychodzić. Stanowczo domagamy się opieki i obrony!

— To zbrodnia! — zawołał jegomość z opaską Czerwonego Krzyża. — Lud pracujący Paryża ginie bez amunicji, Niemcy strzelają w łby robotnikom jak psom! A ci siedzą tu spokojnie na trzech pistoletach maszynowych i stosie ładunków!

— Panowie i panie! — Michael stanął w jeepie i przemówił donośnym, oratorskim tonem. — Pragnąłbym zwrócić uwagę na...

— Uwaga! Uwaga! — wrzasnął piskliwy kobiecy głos na skraju tłumu.

Whitacre odwrócił się gwałtownie. Na plac wjeżdżał powoli otwarty samochód. Stali w nim dwaj żołnierze w szarozielonych mundurach. Ręce trzymali podniesione nad głowami.

Tłum na rynku skamieniał. Milczał przez moment.

— Szwabym! — krzyknął ktoś. — Chcą się poddać!

W tej chwili niemiecki samochód prawie zrównał się z jeepem. Nagle dwie postacie z podniesionymi rękami skryły się we wnętrzu wozu, który gwałtownie zwiększył szybkość. Nad zwiniętym z tyłu brezentem zamajaczył helm. Sucho gruchnęła seria ze schmeissera. Przerażliwie wrzasnęli w tłumie ranni. Michael gapił się przez chwilę na umykający samochód. Potem schylił się i sięgnął po broń, lecz nie mógł sobie dać rady z bezpiecznikiem. Zdawało mu się, że to wszystko trwa godzinę.

Wtem usłyszał za sobą terkot pistoletu maszynowego. Kierowca niemiecki wyrzucił w górę ręce, a wóz skręcił ostro, podskoczył na krawężniku chodnika i całym pędem uderzył w wystawę narożnego sklepu spożywczego. Głucho zgrzytnęła cienka blacha żaluzji. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Samochód przechylił się i upadł na bok wyrzucając na bruk dwie nieruchome postacie.

Whitacre odbezpieczył wreszcie broń. Stellevato, złodowaciały z przerażenia, siedział bez ruchu z dłońmi na kole kierownicy.

— Co się stało? — szeptał nieprzytomnie. — Co się tu, u licha, wyprawia?

Michael spojrzął przez ramię. Keane stał za nim z dymiącym pistoletem w ręku. Patrzył na upolowanych Niemców i głupkowato się uśmiechał odsłaniając żółte, długie zęby.

— No, dostali nauczkę! — mruknął.

W powietrzu czuć było cierpki zapach spalonego prochu.

Whitacre westchnął i rozejrzał się dokoła. Francuzi podnosili się ciężko jeden po drugim i stawali zapatrzeni w rozbity samochód. Na bruku zostały dwie nieruchome postacie. W jednej z nich Michael poznał Jacqueline. Spod zadartej wyżej kolan spódnicy wyglądały tłuste, żółte uda. Pani Dumoulin klęczała pochylona nad dziewczyną. Gdzieś w pobliżu słychać było głośnie kobiece zawodzenie.

Michael wyskoczył z jeepa. Keane poszedł za jego przykładem. Ostrożnie, z bronią w pogotowiu, ruszyli przez rynek ku przevroconemu samochodowi.

„Keane! — pomyślał z goryczą Whitacre nie odrywając wzroku od dwóch rozciągniętych na bruku nieprzyjaciół. — Oczywiście, Keane musiał się popisać! Jest bystrzejszy ode mnie, szybszy. Ja wojowałem z bezpiecznikiem i Niemcy zwialiby do Paryża, nim zdążyłbym wystrzelić!”

Niemców było czterech: trzech oficerów i kierowca, szeregowiec. Ten żył jeszcze. Wargi miał pokryte bańkami krwawej piany. Uparcie

próbował odpełznąć na łokciach i kolanach, znieruchomiał jednak, gdy zobaczył nogi Michaela.

Keane zmierzyl wzrokiem trupy oficerów.

— Gotowi — oznajmił ze swym drewnianym, pozbawionym humoru uśmiechem. — Wszyscy trzej gotowi. Należy się nam przynajmniej Błazowa Gwiazda. Namów, Whitacre, starego, żeby nas przedstawił do odznaczenia. No, a co z tym będzie? — Czubkiem trzewika wskazał rannego kierowcę.

— Wygląda całkiem nietęgo — powiedział Whitacre i pochyliwszy się nad Niemcem, delikatnie dotknął jego ramienia. —, Mówisz po francusku? — zapytał.

Ranny podniósł wzrok. Był bardzo młody. Miał osiemnaście lub dziewiętnaście lat. Okrwawione, spieczone usta i bruzdy cierpienia wyrte pod oczami nadawały jego twarzy żaloszny wyraz udręczonego zwierzęcia. Twierdząco skinął głową i bez słowa wykrzywił usta bolesnym skurczem. Strumień krwi trysnął na trzewiki Michaela.

— Nie ruszaj się — szepnął Whitacre nad uchem konającego chłopca. — Spróbujemy ci pomóc.

Ranny opadł na bok i wolno ułożył się na wznak. Leżał spokojnie nie odrywając zbolalego wzroku od twarzy Amerykanina.

Tymczasem Francuzi otoczyli pierścieniem rozbity samochód. Jegomość z opaską Czerwonego Krzyża zdążył już zawładnąć dwoma schmeisserami.

— Doskonale — mówił rozradowanym tonem. — Świetnie. Te pukawki bardzo przydadzą się w Paryżu. — Szybko nachylił się nad rannym kierowcą i wyrwał mu pistolet z kabury. — Nada się pierwszorzędnie! Mamy trochę ładunków odpowiedniego kalibru.

Chłopiec spojrzal żalosznie na opaskę Czerwonego Krzyża.

— Doktorze... — wykrztusił wolno. — Proszę mnie ratować... Doktorze...

— Pomyłka — roześmiał się Francuz dotykając godła Czerwonego Krzyża. — To tylko przebranie. Dzięki niemu szczęśliwie mijalem waszych po drodze. Nie jestem lekarzem. O pomoc zwróć się, bracie, do kogoś innego.

Uniósł na stronę cenną zdobycz i zaczął badać szczegółowo, czy nie doznała uszkodzeń.

— Po co marnować czas dla tego wieprza? Lepiej od razu skrócić mu mękę. — Głos pani Dumoulin zabrzmiał ochryple, lodowato.

Nie wierząc uszom Whitacre spojrzal na kobietę. Z ramionami skrzyżowanymi na piersiach stała nad głową rannego chłopca. Surowe

twarze tłumu świadczyły, że Irlandka przemawia w imieniu wszystkich.

— Nie! — rzucił Michael. — To jeniec wojenny! Nasz jeniec! Amerykanie nie mordują jeńców!

— Doktora... — jęknął leżący na bruku Niemiec.

— Zabić go! — syknął ktoś za plecami pani Dumoulin.

— Widać Amerykanom żal amunicji — odezwał się inny głos. — To nic. Kamienie wystarczą.

— Co się z wami dzieje? — krzyknął Whitacre. — Czyście ludzie, czy dzikie zwierzęta? To ranny. Nie może zrobić wam nic złego. Opamiętajcie się! Skoczcie po rozum do głowy.

Mówił po francusku z trudem, przekładając wstręt i gniew na nieporadny, szkolny język. Irytował się. Daremnie szukał właściwych słów.

„Nie do wiary! — myślał spoglądając na panią Dumoulin. — Ta pulchna, krępa kobiecina, Irlandka, zaplątana nie wiezieć czemu w wojnę Francuzów, namiętnie ląknie krwi i z pogardą odtrąca głos miłosierdzia”.

— Idź, przyjrzyj się Jacqueline — rzuciła szorstko pani Dumoulin. — Spójrz na pana Alexandre... To ten drugi, co leży z kulą w płucach... Może wtedy zrozumiesz nas lepiej.

— Macie trzy trupy, czy to wam nie wystarczy?

— Nie! — twarz kobiety była blada z furii, ciemne zaczerwienione oczy gorzały nienawiścią. — Może tobie wystarczy, ale nie nam) Ty nie przeżyłeś czterech lat okupacji! Nie patrzyłeś, jak Niemcy wyprowadzają i mordują twoich synów! Jacqueline nie była twoją sąsiadką! Jesteś Amerykaninem! Łatwo ci być litościwym. Nam trudniej. Trudniej! Trudniej!! — krzyczała przeraźliwie, wymachując pięściami przed nosem Michaela. — My nie Amerykanie! Nie chcemy być litościwi! Chcemy go zabić! Rozumiesz? Odwróć się, jeżeli masz za miękkie serce. Odwróć się! Nie zaszargasz swojego amerykańskiego głupiego sumienia. Odwróć się!

— Doktora... — jęknął znów rozciągnięty na bruku chłopiec.

— Za pozwoleniem...

Whitacre zwracał się do mozaiki zięjących nienawiścią twarzy zgrupowanych za panią Dumoulin. Czuł, że on, cudzoziemiec, który kocha Francję, Francuzów, ich odwagę i cierpienia, nie powinien oponować tym ludziom na rynku ich własnego miasta.

— Za pozwoleniem — mówił, choć niejasno zdawał sobie sprawę, że zapewne oni mają rację, a powodem sporu w tak ważnej kwestii jest



tylko jego chroniczny brak decyzji i odwagi. — Za pozwoleniem. Nie wolno przecież mordować rannego, bez względu na to, co...

Nagle usłyszał za sobą strzał i odwrócił się gwałtownie. Keane z palcem na cynglu stał nad głową nieruchomego już Niemca. Uśmiechał się martwo, głupkowato. Francuzi patrzyli teraz na dwóch Amerykanów z obojętną życzliwością.

— O co, u diabła, chodzi? — powiedział Keane zarzucając pistolet maszynowy na ramię. — Facet i tak dochodził. Chciałem zrobić przyjemność tej pani.

— Dobrze—rzuciła sucho Irlandka. — Dobrze. Bardzo dziękuję.

Odwróciła się, a zgromadzeni za nią ludzie ustąpili na boki, by otworzyć jej drogę. Michael patrzył jak urzeczony na przysadzistą, krępą, niemal komiczną postać, zniekształconą przez porody i niezliczone godziny nad balią i garnkami. Kaczym chodem przecinała szary plac i zatrzymała się dopiero nad trupem brzydkiej wyrobnicy, która leżała z poddartą spódnicą, wyzwolona raz na zawsze od swojej brzydoty i ciężkiej pracy.

Francuzi odchodzili jeden po drugim. Kilku poniosło do hotelu starszego mężczyznę z kulą w płucach. Amerykańscy żołnierze zostali wkrótce sami ze zwłokami niemieckich oficerów i dobitego chłopca. Michael spojrzął na towarzysza. Keane nachylił się nad kierowcą i rewidował mu kieszenie. Po chwili wyprostował się trzymając w ręku portfel.

— Książka żołdu — oznajmił. — Nazywał się Joachim Ritter. Miał dziewiętnaście lat. Od trzech miesięcy nie dostał żołdu. — Krzywo uśmiechnął się do Michaela. — Zupełnie jak w naszej armii! — Sięgnął do portfela i wyciągnął fotografię. — Spójrz! Joachim ze swoją dziewczynką! Całkiem apetyczna sztuczka, co?

Whitacre zwrócił tępy wzrok na zdjęcie zrobione niewątpliwie w jakimś lunaparku. Młody, dziarski żołnierz uśmiechał się pogodnie, a obok niego stała pulchna blondynka w wojskowej czapce swojego kawalera włożonej zawadiacko na jasne, krótko ostrzyżone włosy. U dołu było kilka słów nagryzmołonych atramentem po niemiecku.

„Na zawsze twoja Elza” — powiedział Keane. — Tak tu napisane po niemiecku. Trzeba posłać to zdjęcie żonie. Niech je dla mnie przechowa. Będę miał miłą pamiątkę.

Błyszczący kartonik z lunaparku drżał w rękach Michaela, który miał szczerą chęć podrzeć go na strzępy. Nie cierpiał Keane'a. Zżymał się na myśl, że ten facet o żółtych zębach i długiej końskiej twarzy wróci do Stanów i kiedyś, po latach, będzie obracał w palcach fotografię

i z satysfakcją wspominał dzisiejszy ranek. Ale zdawał sobie sprawę, że nie wolno mu zniszczyć zdjęcia. Mógł brzydzić się Keane'em, musiał jednak przyznać, że uczciwie zarobił on na tę „miłą pamiątkę”. Zachował się po żołniersku. Potrafił opanować groźną sytuację w momencie, kiedy wszyscy skamieniali ze zgrozy, a szeregowiec Michael Whitacre wahał się i nieporadnie mocował z bezpiecznikiem.

„A ranny chłopiec... — myślał posępnie Michael. — Cóż, Keane postąpił chyba najwłaściwiej. Niewiele moglibyśmy pomóc temu Niemcowi, a gdyby został w mieście, Francuzi ukamienowaliby go zaraz po naszym odejściu. Ponury sadysta spełnił w pewnym sensie wolę ludu, dla którego wyzwolenia przybyliśmy mimo wszystko do Europy. Jednym strzałem przekonał udręczonych mieszczuchów, że sprawiedliwości stało się zadość i przynajmniej raz odplacono właściwą monetą za krzywdy znoszone przez nich od tak dawna. Powiniennem się cieszyć, że miałem ze sobą Keane'a. Sam nigdy nie zdobyłbym się na to, co w gruncie rzeczy należałoby zrobić. Jesteśmy tu przecież po to, żeby zabijać Niemców. Żeby zabijać jak najwięcej Niemców. Dlaczego nie jestem zadowolony?”

Wyczerpany i smutny ruszył na środek placu, gdzie Stellevato czekał koło jeepa.

„Niedołęga — myślał gorzko po drodze. — Skończony niedołęga! Michael Whitacre, niegdyś ślamazarny cywil, a dziś żołnierz, co boi się zabijać. Nie dla mnie były przeznaczone pocałunki dziewcząt na szosach, róże i rozdawane hojnie butelki koniaku. Nie potrafię na to wszystko zarobić. Podczas radosnego pochodu od wybrzeża Francuzi witali owacyjnie Keane'a, prawdziwego mężczyznę, który potrafi z uśmiechem strzelić w łeb konającemu u jego stóp chłopcu, a potem schować na pamiątkę niemieckie zdjęcie. W dniach pomsty Keane jest właściwym typem zwycięskiego, walecznego, niosącego wolność Amerykanina”.

Jegośność z opaską Czerwonego Krzyża przemknął na motocyklu. Wesołym ruchem ręki pożegnał Amerykanów. Był zadowolony, bo wiózł broń i amunicję towarzyszącym walczącym w Paryżu na improwizowanych barykadach. Michael nie odwrócił się, żeby spojrzeć na gołe łydki sterczące z workowatych pumpów i pokrzwawione bandaże, które minęły szybko rozbity samochód i oddaliły się w stronę ośmiuset Niemców, zaminowanych skrzyżowań dróg i stolicy Francji.

— Boże święty! — odezwał się Stellevato rozdygotanym głosem o zabawnym włoskim akcencie. — Co za piekielny dzień. Jak się czujesz, Whitacre?

— Dobrze... Doskonale — odparł głucho Michael.

— Nikki — powiedział Keane. — Nie chcesz pójść tam, spojrzeć na szwabów?

— Nie. Niech się nimi zajmą grabarze.

— Mógłbyś znaleźć miłą pamiątkę. Posłać rodzinie coś ciekawego z Francji.

— Moja rodzina nieciekawa niczego z Francji. Chodzi jej tylko o jedną pamiątkę: o mnie samego.

— Spójrz — podjął Keane podsuwając fotografię pod nos Włocha. — Ten szczeniak nazywał się Joachim Ritter.

Stellevato wziął zdjęcie i przez chwilę przyglądał mu się w milczeniu.

— Biedna dziewczyna — westchnął wreszcie. — Biedna mała blondyneczka!

Whitacre miał szczerą chęć uścisnąć pocziwego chłopca.

Stellevato zwrócił fotografię właścicielowi.

— Myślę — powiedział — że trzeba wrócić do punktu wodnego, powiedzieć tamtym frajerom, co się stało. Na pewno słyszeli strzały i cierpną teraz ze strachu.

Michael stanął już jedną nogą w wozie, lecz zatrzymał się nagle. Główną ulicą nadjeżdżał wolno jeep. Keane trzasnął zamkiem pistoletu maszynowego.

— Daj spokój — warknął Michael. — Tym razem to nasi.

Samochód zbliżył się bez pośpiechu i Michael poznał z radością Kramera i Morrisona, których przed trzema dniami zostawił z pułkownikiem Pavone. Francuzi, zgromadzeni teraz przed hotelem, obserwowali nowo przybyłych z kamienną obojętnością.

— Bywajcie, chłopcy! — zawołał Morrison. — Bawiliście się dobrze?

— Pierwszoklasnie! — odkrzyknął wesoło Keane.

— A tam co się stało? — zapytał Kramer wskazując ze zdziwieniem rozbity samochód i niemieckie trupy. — Wypadek drogowy?

— Ja ich zastrzeliłem! — oznajmił głośno Keane i uśmiechnął się dętwo. — Niezgorzej jak na jeden dzień, co?

— Struga wariata? — rzucił Kramer pod adresem Michaela.

— Nie. To naprawdę jego robota.

— Panie Jezu! — Kramer spojrział z nowo zrodzonym szacunkiem na Keane'a, który od dnia lądowania w Normandii był pośmiewiskiem kolegów. — Stary cwaniak Keane! No i co ty na to? — zwrócił się do Morrisona.

— Ładna Administracja Wojskowa! — odparł zagadnięty. — Administracja nie powinna mieszać się w takie chryje.

— Gdzie Pavone? — zapytał Michael. — Przyjedzie tu przed wieczorem?

Morrison i Kramer gapili się na zabitych Niemców. Byli naprawdę pod wrażeniem, bo jak niemal wszyscy podwładni pułkownika Pavone nie oglądali jeszcze walk we Francji.

— Plany się zmieniły — odrzekł Kramer. — Grupa szturmowa poszła inną drogą. Pavone wysłał nas po ciebie. Jest teraz o godzinę stąd, w mieście, co się nazywa Rambouillet. Wszyscy czekają na dywizję żabojadów, która ma maszerować pierwsza na defiladzie w Paryżu. Dobrze znamy drogę. Jedź za nami, Nikki.

Stellevato spojrział pytająco na Michaela, który odburknął:

— W porządku, Nikki. Ruszamy.

Był osowiały, lecz zadowolony, że okres decydowania i dowodzenia zbliża się ku końcowi.

— Miasteczko wygląda całkiem nielecho — powiedział Kramer. — Jak myślisz, Whitacre? Żabojady nie skombinowałyby dla nas jakiegoś zarcia?

— Ślinka mi cieknie na myśl o befsztyku z frytkami na francuski sposób — dodał Morrison.

Michaelowi wydała się nagle nieznośna myśl o pozostaniu w tym mieście, pod ogniem zimnych, badawczych spojrzeń Francuzów, obok niemieckich trupów poniewierających się przed narożnym sklepem spożywczym.

— Musimy jak najprędzej zameldować się staremu — powiedział. — Może nas potrzebować.

— Najbardziej denerwuje mnie zawsze szeregowiec w roli dowódcy. Whitacre, nie dorosłeś stanowczo do -swego wysokiego stanowiska — burknął Morrison, lecz posłusznie zawrócił wóz.

Stellevato podążył jego śladem. Michael siedział sztywno obok kierowcy. Starał się nie patrzeć w stronę hotelu, gdzie pani Dumoulin stała na czele gromady sąsiadów.

— *Monsieur* — zabrzmiał nagle donośny, rozkazujący głos Irlandki. — Hej, *monsieur*!

Michael westchnął.

— Stop — rzucił pod adresem kierowcy.

Stellevato zahamował i klaksonem dał znak Morrisonowi, który stanął również.

Pani Dumoulin ruszyła sprzed hotelu prowadząc nędznie odziany tłumek zmęczonych, przepracowanych farmerów i sklepikarzy. Niebawem stanęła przed Michaelem. Skrzyżowała ramiona na pełnym, obwisłym biuście. Wiatr wydymał jej sweter na szerokich, płaskich biodrach.

— *Monsieur* — przemówiła — czy panowie zamierzają nas opuścić?

— Tak, łaskawa pani — odrzekł Michael. — Otrzymaliśmy właśnie rozkazy.

— A ośmuset Niemców? — zapytała kobieta siląc się na ton opanowany i spokojny.

— Wątpię, żeby tu mieli wrócić.

— Wątpię, żeby tu mieli wrócić! — powtórzyła Irlandka przedrzeźniając złośliwie. — Wątpię, żeby tu mieli wrócić! A jeżeli nie będą się liczyć z pańskimi wątpliwościami, *monsieur*? Jeżeli wrócą?

— Bardzo mi przykro, łaskawa pani — podjął cierpliwie Whitacre — ale naprawdę musimy jechać. Proszę się zastanowić. Jeżeli przyjdzie ośmuset Niemców, jaką pomoc da miastu pięciu Amerykanów?

— Porzucacie nas! Dezertujecie! — krzyknęła głośno pani Dumoulin. — Oni wrócą! Znajdą cztery niemieckie trupy! Wymordują całą ludność: mężczyzn, kobiety, dzieci! Nie wolno wam tchórzyc! Musicie zostać! Przygotować obronę!

Whitacre spojrział smętnie na dwa jeepy żołnierzy. On sam, Stellevato, Keane, Morrison, Kramer tkwią bezradnie pośrodku niewielkiego brzydkiego rynku. Z całej paczki tylko Keane strzelał bodaj raz w życiu do żywego człowieka. Ale Keane dobrze już spełnił zadanie na jeden dzień. Michael przeniósł nieżyczliwy wzrok na panią Dumoulin, która stała przed nim jak krępe, opanowane pasją, nieładne uosobienie wyrzutów sumienia i poczucia zawilego obowiązku. „Wielki Boże! — pomyślał. — Jaką obronę przeciwko urojonemu niemieckiemu batalionowi może przygotować piątka takich wojowników?”

— Łaskawa pani — powiedział. — Na nic się nie przyda biadanie. Nie możemy wam pomóc. Jesteśmy żołnierzami armii Stanów Zjednoczonych. Musimy stosować się do rozkazu i jechać tam, gdzie nas wzywają przełożeni.

Nad głową Irlandki spojrział na skupione, surowe twarze mieszczuchów. Starł się wyrazić wzrokiem całą swoją bezradność i współczucie, wszystkie dobre, życzliwe zamiary. Ale nie dostrzegł zrozumienia u tych posępnych ludzi, którzy byli przekonani, że przed zachodem słońca przyjdzie im zginąć pod gruzami spalonego miasta.

— Bardzo mi przykro, łaskawa pani — podjął Michael głosem zdławionym łzami — nic jednak nie poradzę i...

— Po co przyjechaliście do nas, jeżeli nie mieliście zamiaru zostać? — przerwała mu kobieta niespodziewanie spokojnym tonem. — W nocy amerykańskie czołgi. Później, z rana, wy. Wojna czy nie wojna, nie wolno tak bezwzględnie traktować żywych ludzi.

— Nikki — szepnęła Whitacre. — Wiejemy. Szybko.

— To zbrodnia — rzuciła pani Dumoulin za oddalającym się jeepem, przemawiając w imieniu wszystkich zdradzonych kobiet i mężczyzn. — To zbrodnia niegodna cywilizowanych...

Michael nie dosłyszał końca zdania i ani razu nie odwrócił głowy, gdy jadąc za Morrisonem i Kramerem opuszczał przeklęte miasto, by jak najprędzej wrócić do pułkownika Pavone.

Na stole liczne butelki szampana polyskiwały w płomykach setek świec stanowiących jedyne oświetlenie nocnego klubu. W sali było tłoczno. Z mundurami dziesięciu narodów mieszały się barwne, wzorzyste suknie, obnażone ramiona, wysoko upięte fryzury. Wszyscy mówili naraz, gdyż wyborny temat rozmów stanowiło wczorajsze wyzwolenie Paryża i defilada, która odbywała się tego popołudnia przy atrakcyjnym akompaniamentem niemieckich strzelców wyborowych ukrytych jeszcze tu i ówdzie na wysokich dachach. Ale znaczną część rozmów trzeba było prowadzić pełnym głosem, aby przekrzywić trzech muzykantów, którzy w kącie grali bardzo głośno: „Umykaj, stary, do Buffalo.”

Naprzeciwko Michaela siedział Pavone, uśmiechnięty, rozpromieniony, z cygarem w ustach. Ramieniem otaczał delikatnie kibić utlenionej damulki o zdumiewająco długich, przyprawionych rzęsach. Od czasu do czasu kordialnym gestem pozdrowiał Michaela, który zajmował miejsce między pięknie ubranym francuskim lotnikiem w średnim wieku a Ahearnem, korespondentem wojennym, który w swoim czasie przygotowywał dla „Collier's Magazine” studium o strachu. Przy stole było jeszcze dwóch amerykańskich dziennikarzy. Obydwaj mocno podpici prowadzili poważną rozmowę.

— Generale — mówił jeden z nich — osiągnąłem brzeg rzeki. Jakie są dalsze rozkazy?

— Sforsować tę cholerną rzekę.

— Niemożliwe, generale. Na tamtym brzegu stoi osiem dywizji pancernych.

— Pozbawiam pana dowództwa. Co dla pana niemożliwe, dla innego będzie możliwe.

— Skąd jesteś, bracie?

— Z Saint Louis.

— Łapa.

Z godnością uścisnęli sobie ręce.

— Pozbawiam pana dowództwa — zakończył korespondent w roli generała.

Do dna wypili szklanki i tępo zapatrzili się w tańczące pary.

— Boże drogi! — zawołał francuski lotnik, który podczas wojny trzykrotnie odbył przepisana ilość lotów bojowych, obecnie zaś pełnił funkcje oficera łącznikowego przy francuskiej dywizji pancerniej.

— Boże drogi! To były czasy! — Mówił o roku tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym, kiedy bawił w Ameryce i niezbyt poważnie współpracował z jakąś firmą maklerską mieszczącą się przy Wall Street. — Miałem apartament przy Park Avenue i co czwartek urządzałem biby dla męskiego koła przyjaciół. Obowiązywał tylko jeden przepis. Każdy musiał przyprowadzić dziewczynę, która jeszcze nigdy u mnie nie była. Boże drogi! — Francuz uśmiechnął się tkliwie.

— Setki kobiet przewinęło się przez to mieszkanko! — Smutno pokiwał głową wspominając dni młodości w okresie największego rozkwitu amerykańskich interesów. — A późną nocą jeździliśmy do Haarlem. Ach, te czarne dziewczuszki i muzyka! Dusza topnieje na samo wspomnienie. — Pociągnął szampana i promiennie uśmiechnął się do Michaela. — Sto Trzydziestą Piątą Ulicę znałem lepiej niż Place Vendôme. Wracam tam po wojnie, jak Boga Jedyne go Kocham! — Zamyślił się na chwilę. — Może nawet zamieszkać przy Sto Trzydziestej Piątej\*Ulicy, kto wie?

Mulatka w czarnym koronkowym szalu przywędrowała od sąsiedniego stolika i ogniście pocałowała lotnika.

— Kochany poruczniku — powiedziała — taka jestem szczęśliwa, że widzę francuskiego oficera.

Lotnik wstał, uklonił się z godnością i poprosił Mulatkę do tańca. Zmiaęła w jego ramionach i dała się poprowadzić na mały zatłoczony parkiet. Orkiestra grała rumbę. Porucznik, wytworny w swoim błękitnym mundurze, tańczył niczym Kubańczyk. Wdzięcznie kołysał się w biodrach, a na przystojnej twarzy miał wyraz nieziemskiego upojenia.

— Whitacre! — krzyknął przez stół Pavone. — Będiesz dureń, jeżeli w ogóle wyjedziesz z tego miasta!

— Racja, panie pułkowniku — odpowiedział Michael. — Jak się wojna skończy, poproszę o zdemobilizowanie mnie na Polach Elizejskich.

W danym momencie mówił szczerze, gdyż od chwili, kiedy z zatłoczonej wojskowej ciężarówki zobaczył Wieżę Eiffla górującą nad paryskimi dachami, miał wrażenie, że znalazł się wreszcie w swojej prawdziwej ojczyźnie. W obłądnym wirze pocałunków, ściskania rąk, wylewnej wdzięczności chłonał zgłodniałym wzrokiem nazwy ulic, które fascynowały go od dzieciństwa. Rue de Rivoli, Place de l'Opera, Boulevard des Capucins — czytał upojony i czuł że wyzwala się od smutku i bolesnego poczucia winy. Właściwym wprowadzeniem do słynnego miasta zdawały mu się nawet sporadyczne utarczki w ogrodach i między zabudowaniami, kiedy to pozostali w Paryżu Niemcy wystrzelili przed poddaniem się resztki amunicji. Uroczystemu aktowi wyzwolenia dodawała smaku i dostojęstwa krew płamiąca chodniki i sanitariuszki z francuskiego Ruchu Oporu, które na prowizorycznych noszach odnosiły gdzieś zmarłych lub konających ludzi. Oczywiście nigdy nie zdoła odtworzyć dokładnie scen tych ostatnich dni. Będzie pamiętał tylko grad pocałunków, czerwień szminki na swojej koszuli, lzy, gorące uściski i wspaniałe uczucie, że jest wielki, nieśmiertelny, kochany.

— Hej, wy! — odezwał się znów jeden z amerykańskich dziennikarzy.

— Rozkaz, panie generale — odpowiedział drugi.

— Gdzie jest teraz dowództwo Drugiej Dywizji Pancernej?

— Nie wiem, panie generale. Dopiero co przyjechałem od „czubków”.

— Odmaszerować!

— Tak jest, panie generale.

Z godnością wypili do dna szklanki, a Michael usłyszał głos siedzącego obok Ahearna.

— Dokładnie sobie przypominam, że jak widzieliśmy się ostatnim razem, gawędziliśmy na temat strachu.

— Aha — przyznał Whitacre spoglądając życzliwie na czerwoną, ogorzałą twarz i poważne szare oczy. — Tak mi się zdaje. Jak tam teraz z popyłem na strach wśród wydawców?

— Postanowiłem nie pisać tego studium — oznajmił żywo Ahearn. — Strach był Stanowczo przeceniany. To вина literatów traktujących o tamtej wojnie, no i psychoanalityków. Strach zyskał powszechny respekt i znudził się wszystkim na śmierć. To czysto cywilna koncep-



cja. Na ogół żołnierz nie boi się tak, jak to nam wmawiają powieściopisarce. A prawdę mówiąc, obraz wojny jako sumy przeżyć nie do zniesienia jest błędny i z gruntu fałszywy. Ja obserwowałem wszystko dokładnie. Od początku miałem oczy szeroko otwarte. Wojna jest na ogół przyjemna i sprawia radość lwiej części biorących w niej udział mężczyzn. To raczej suma przeżyć moralnych i raczej zadowalających. Co najbardziej uderzyło pana podczas ostatnich miesięcy we Francji?

— Czy ja wiem? — rozpoczął Michael. — Chyba...

— Weselość! — przerwał mu Ahearn. — Uczucie szaleńczego świętowania. Śmiech. Na fali śmiechu przepłynęliśmy trzysta mil bronionego przez wroga terenu. Mam zamiar napisać o tym dla „Collier's Magazine”.

— Doskonale — pochwalił Whitacre. — Będę czekał na pańskie dzieło.

— Jedyny autor, który kiedykolwiek powiedział prawdę o bitwie, to Stendhal — ciągnął Ahearn pochylając się tak, że z odległości sześciu cali ział na Michaela alkoholem. — Prawdę mówiąc, od początku historii literatury było tylko trzech pisarzy, których warto czytać po raz drugi: Stendhal, Villon i Flaubert.

— Wojna skończy się za miesiąc — grzmiał z drugiego końca stołu przystojny korespondent brytyjski. — Boleję nad tym. Koniecznie musimy jeszcze zakatrupić tysiące, miliony Niemców! Podczas walki można to zrobić hurtem, na gorąco. Jeżeli wojna się skończy, trzeba będzie zabijać na zimno, a obawiam się, że zarówno Anglicy jak Amerykanie cofną się ze wstrętem przed taką robotą. Wówczas w sercu Europy zostanie wielka banda potencjalnych wrogów. Ja osobiście modłę się o jak najniekorzystniejszą dla nas zmianę sytuacji.

Jeden z grających zaczął śpiewać staranną angielszczyzną o potwornym akcencie:

*Oh, sweet and lovely, lady be good,*

*Oh, lady be good to me...*

— Stendhal ujął trafnie nieoczekiwany, szaleńczy, humorystyczny aspekt wojny — perorował Ahearn. — Czy przypomina pan sobie z jego dziennika anegdotę o pułkowniku, który podczas kampanii rosyjskiej tak dziwacznie poderwał i rozpalil swoich ludzi?

— Nie bardzo — mruknął Whitacre.

— Jak tam sytuacja? — zapytał jeden z amerykańskich dziennikarzy.

— Otaczają nas dwie pełne dywizje.  
— Pozbawiam pana dowództwa. Jeżeli nie może pan sforsować tej cholernej rzeki, zrobi to ktoś inny.

Znowu wypili z godnymi minami.

— Biedny, samotny żołnierzku! — powiedziała wysoka ciemnowłosa dziewczyna na długiej sukni w kwiaty. Przed kwadransem Whitacre zerknął na nią ciekawie przez szerokość sali. Teraz stała pochylona nad stolikiem. Ręką przykrywała dłoń Michaela. W głębokim wycięciu stanika rysowały się kusząco kształtne, oliwkowe piersi.

— Nie zechce pan zatańczyć z wdzięczną paryżanką?

Michael uśmiechnął się do niej.

— Za pięć minut — szepnął. — Jak mi trochę ochłonie głowa.

— Dobrze — odpowiedziała zalotnym uśmiechem. — Wie pan, gdzie siedzę?

— Naturalnie.

Obserwował dziewczynę, która falistą linią kwiatów przesuwiała się między tancerzami. „Ładna — pomyślał. — W sam raz dobra na potem. Muszę koniecznie obrobić paryżankę, żeby formalnie przypieczętować nasze wkroczenie do Paryża”.

— Można by pisać całe tomy o zachowaniu się kobiet i mężczyzn podczas wojny — głądził dalej Ahearn.

— Niewątpliwie — przyznał Michael.

— Francuzka wróciła tymczasem do swego stolika i z dala uśmiechała się zachęcająco.

— Stosunki między osobami płci odmiennej są wtedy zdrowe i swobodne, gdy rozwijają się na romantycznym tle pośpiechu i tragedii — ciągnął pijany nudziarz. — Proszę dla przykładu wziąć pod uwagę mój przypadek. Mam w Detroit żonę i dwoje dzieci. Słowo daję szanuję i poważam moją żonę, ale myśl o niej przyprawia mnie dziś o nudności. To niepokazna kobiecina, bez wdzięku, i ostatnio zaczyna szybkołysieć. Tymczasem w Londynie żyłem z rozkoszną dziewiętnastoletnią Angielką, urzędniczką pewnego ministerstwa. Ta dziewczyna zna wojnę i orientuje się, co ja przeżywam. Jest mi z nią bardzo dobrze. Czy wolno mi twierdzić z podniesionym czołem, że chętnie wrócę do Detroit?

— Każdy ma swojego mola, co go gryzie — powiedział Michael przez prostą uprzejmość.

W drugim końcu sali rozległy się krzyki. Czterech młodych ludzi z karabinami i opaskami francuskiego Ruchu Oporu wywlekało

z tłumu tancerzy eleganckiego młodzieńca, który nad okiem miał długą, silnie krwawiącą ranę.

— Łgarze! — wrzeszczał zalany krwią młodzieniec. — Bezczelni łgarze! Taki sam ze mnie kolaboracjonista jak wszyscy, co się tutaj bawią!

Potęźnie dostał w kark od jednego z prześladowców, spuścił więc głowę i umilkł. Przy blasku świec oprawionych w kryształowe kinkiety czterej żołnierze francuskiego Ruchu Oporu ciągnęli jeńca na schody i do drzwi wyjściowych. Orkiestra zagrała hałaśliwiej niż dotychczas.

— Barbarzyńcy! — odezwał się niewieści głos po angielsku.

Czterdziestoletnia dama siedziała obok Michaela na krześle zwolnionym przez francuskiego lotnika. Miała długie, purpurowe paznokcie i prostą, elegancką czarną suknię. Była jeszcze bardzo przystojna.

— Wszystkich tych łobuzów należałoby aresztować. Szukają tylko pretekstów, żeby krzywdzić ludzi. Jutro zwrócę uwagę władzom amerykańskim, że trzeba ich rozbroić.

Akcent miała wyraźnie amerykański, toteż Ahearn i Whitacre spojrzeli na nią zdziwieni. Przyjaźnie skinęła głową dziennikarzowi i znacznie chłodniej Michaelowi, bo zorientowała się od razu, że nie jest oficerem.

— Nazywam się Mabel Kasper — podjęła. — Nie gapcie się tak na mnie. Pochodzę z Schenectady.

— Bardzo nam miło, Mabel — odrzekł uprzejmie Ahearn i uklonił się nie wstając z miejsca.

— Dobrze wiem, co mówię — ciągnęła żywo dama z Schenectady, która niewątpliwie przekroczyła granicę trzeźwości o trzy lub cztery kolejki. — Od dwunastu lat mieszkam w Paryżu. Ach, ile wycierpiałam! Pan jest korespondentem wojennym. Mogłabym panu opowiedzieć cuda, jak to było za Niemców.

— Cały zamieniam się w słuch — powiedział dobrze wychowany Ahearn.

— Trudności żywnościowe... System kartkowy... — Mabel Kasper naląła sobie pełną szklankę szampana i połowę pochłonęła jednym haustem. — Niemcy zarekwirowali mi mieszkanie i dali tylko piętnaście dni na usunięcie ruchomości. Na szczęście znalazłam prędko niezły apartament po jakimś żydowskim małżeństwie. Mąż nie żyje. Ale wyobraźcie sobie, panowie, dzisiaj po południu, drugiego dnia wolności, ta baba zjawiła się i zażądała, żeby zwrócić jej lokal! A kiedy się wprowadzałam, w mieszkaniu nie było nawet kulawego stolka. Postarałam się naturalnie o właściwe zaświadczenia. Przeczuwałam taki

właśnie koniec! Rozmawiałam już z pułkownikiem Harveyem z waszej armii. Jest przekonany, że wszystko będzie w porządku. Zna pan pułkownika Harveya?

— Nie przypominam sobie — bąknął Ahearn.

— Teraz czekają nas we Francji ciężkie czasy. — Dama wysuszyła do dna szklankę szampana. — Męty społeczne podnoszą głowę. Chuliganeria włóczy się po mieście z karabinami.

— Mówi pani o francuskim Ruchu Oporu? — zapytał Michael.

— Tak! Mówię o francuskim Ruchu Oporu — odparła z mocą,

— Przecież ci ludzie prowadzili całą walkę podziemną. — Whitacre podjął dyskusję i starał się przekrzywić zgiełk, gdyż mimo wszystko chciał dociec, do czego właściwie zmierza Mabel Kasper.

— Ach, ta walka podziemna! — dama parsknęła wytworną, zaprawioną niesmakiem ironią. — Walki podziemnej mam wyżej uszu. Brali w niej udział sami lenie, agitatorzy, nicponie. Hołota bez rodzin, które trzeba karmić, bez majątku, pracy... Porządni ludzie byli zajęci czym innym. Mieli pełne ręce roboty. A teraz wszyscy będziemy za to płacić, jeżeli wy nam nie pomożecie. Wyzwoliliście Francję od Niemców. Teraz musicie nas ochronić przed Francuzami i Rosjanami. — Wstała i godnie skinęła głową. — Mądrej głowie dość po słowie — zakończyła z chytrym uśmiechem.

Michael patrzył za Mabel Kasper, która w swej skromnej czarnej sukni lawirowała chwiejnie między stłoczonymi stolikami.

— Wielki Boże! — westchnął. — Że też taka urodziła się w Schenectady!

— Wojna, jak już bodaj nadmienilem, obfituje w zdumiewające problemy — powiedział sentencjonalnie Ahearn.

— Jak tam sytuacja? — przemówił znów jeden z amerykańskich dziennikarzy.

— Prawe skrzydło wisi, lewe się załamuje, środek ustępuje pod naciskiem przeważających sił. Rozpoczynam przeciwnatarcie — powiedział drugi.

— Pozbawiam pana dowództwa.

— Po wojnie — perorował przystojny korespondent brytyjski — kupię willę pod Biarritz i tam osiedlę się na dobre. Nie trawię angielskiego zarcia. Jak będę musiał lecieć do Londynu, obładuję samolot zapasami żywności i będę jadł tylko w pokoju hotelowym.

Pułkownik Pavone prowadził wykład przeznaczony dla dwóch młodziutkich oficerów amerykańskich, którzy — niewątpliwie bez przepustki — zwiali na jedną noc do Paryża ze swojej dywizji piechoty.

— Jeżeli można mieć w ogóle jaką nadzieję na przyszłość — perorował — szukać jej należy jedynie we Francji. Walczymy za Francję. Zgoda! Ale to nie wystarczy. Amerykanie muszą zrozumieć Francję, umocnić jej stanowisko, traktować ją pobłaźliwie. To niełatwa historia, bo Francuzi są najbardziej kłopotliwym narodem świata. Nieustannie przysparzają kłopotu. Są szowinistyczni, wyniośli, rozumni, niezależni, wielcy. Gdybym był prezydentem Stanów Zjednoczonych, całą amerykańską młodzież wysyłałbym na dwa lata do Francji zamiast do naszych uniwersytetów. Chłopcy poznaliby gruntownie dobrą kuchnię i dobrą sztukę, a dziewczęta zgłębiłyby do dna zagadnienia seksualne i za pięćdziesiąt lat mielibyśmy cudowną Utopię nad brzegami Missisipi...

Po przeciwnej stronie sali brunetka w sukni w kwiaty bacznie obserwowała Michaela i uśmiechnęła się kusząco, gdy spostrzegła, że na nią spojrział.

— Wpływ irracjonalnych czynników na wojnę — zaczął znów Ahearn — to kwestia przegapiona w całej literaturze. Pozwolę sobie przypomnieć raz jeszcze Stendhalowskiego pułkownika...

— Co, u licha, zrobił ten Stendhalowski pułkownik? — zapytał sennie Whitacre, pogrążony błogo w oparach szampana, perfum, dymu, świec i pożądania.

— Jego ludzie załamali się moralnie — podjął dziennikarz wojskowym, rozkazującym tonem. — Lada chwila mogli rzucić się do ucieczki pod naporem Rosjan. Wówczas pułkownik zaklął dobitnie, podniósł szablę i krzyknął: „W tyłku mam dziurę okrągłą jak jabłko! Za mną, chłopaki!” Żołnierze skoczyli za dowódcą i przepędzili Rosjan. To nonsens — ciągnął Ahearn. — Idealna nielogiczność. Ale pułkownik poruszył w sercach żołnierzy jakieś utajone sprężyny patriotyzmu i męstwa i na ów dzień przynajmniej wygrał.

— Ach — westchnął Michael — dzisiaj już nie ma takich pułkowników.

Pijany kapitan brytyjski zaśpiewał na całe gardło: „Na Linii Zygryda będziemy wieszać nasze pranie!” Jego tubalny głos stłumił dźwięki muzyki. W jednej chwili inni podchwycili słowa żołnierskiej śpiewki. Orkiestra dała za wygraną. Przerwała melodię taneczną i poczęła akompaniować śpiewakom. Pijany kapitan — olbrzym o rumianej twarzy — chwycił wpół jakąś dziewczynę i ruszył między stoliki. Jedna po drugiej podrywały się pary i rzędem sunęły wolno i hałaśliwie pośród papierowych obrusów i błyszczących wiaderk z lodem. Niebawem utworzył się wąż co najmniej czterdziestu osób,

rozkrzyczanych, podrygujących, z których każda opierała dłonie na biodrach poprzedniej. Przypominało to triumfalny taniec po uniwersyteckim meczu piłki nożnej, z tą jedynie różnicą, że zabawa odbywała się w niskiej oświetlonej świecami sali i przy wtórze ogłuszającego ryku.

— Przyjemny widok — rozpoczął Ahearn — ale z literackiego punktu widzenia zbyt banalny, by mógł zainteresować. Całkiem zrozumiałe i proste, że po zwycięstwie oswoobodziciele i oswoobodzeni muszą śpiewać i tańczyć. Ach, dlaczego nie byłem w carskiej willi w Sewastopolu, kiedy młodzi kadeci napelnili basen pływacki szampanem z piwnic samowładcy i tuzinami rzucali w pianę rozebrane do naga baletnice! W takiej atmosferze czekali na przybycie Czerwonej Armii i rozstrzelanie. Bardzo przepraszam — zmienił ton i wstał z poważną miną. — Muszę wziąć udział w tej hecy.

Pośliznął się na posadzce i ujął kibić Mabel Kasper z Schenectady, która kołysała biodrami okrytymi czarną taftą i śpiewała głośno. Była ostatnia w rzędzie.

Brunetka w sukni w kwiaty stanęła koło stołu. Uśmiechnęła się do Michaela i spojrzała nań wymownie.

— Teraz? — zapytała kładąc dłoń na jego dloni.

— Teraz — odpowiedział.

Podniósł się i chwycił Francuzkę za rękę. Przyłączyli się do rozśpiewanych tancerzy. Dziewczyna zajęła miejsce przed Michaelem. Jej biodra pod cienkim jedwabiem były szczupłe, ruchliwe.

Cała sala uczestniczyła w zabawie. Długi, wrzaskliwy wąż mundurów i barwnych sukien wił się po parkiecie przed małym podium dla orkiestry, między stolikami... „Na Linii Zygfrйда będziemy wieszać nasze pranie. Kochana mamo, przysyłaj brudną bieliznę!”

Whitacre starał się przekrzywić innych. Z przyjemnością słuchał własnego schrypniętego głosu. Pieszczotliwie gładził smukłą kibić paryżanki, która w dniu tak uroczystym wybrała jego spośród tylu młodych oswoobodzicieli. Płynął na fali muzyki, wykrzykiwał głupie, buńczuczne słowa, przypominał sobie, z jaką zjadliwą ironią Niemcy wytykali niegdyś Anglikom tę piosenkę zrodzoną we Francji w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku. Czuł, że tej nocy wszyscy mężczyźni są jego przyjaciółmi, wszystkie kobiety kochankami, że całe miasto należy do niego — zwycięzcy, triumfatora, który zasłużył na pełnię życia...

„Na Linii Zygfrйда będziemy wieszać nasze pranie, jeżeli z Linii Zygfrйда w ogóle coś zostanie!”

Pośród kakofonii pijackich głosów Michael zrozumiał, że żył po to, żeby doczekać takiej chwili. Dla niej przebył ocean. Dla niej dźwigał karabin. Dla niej szczęśliwie uniknął śmierci.

Śpiew i taniec ustał nagle. Francuzka odwróciła się i pocałowała Michaela. Zwiotczała w jego ramionach, przywarła doń całym ciałem. Upoiła go zapachem wina i heliotropowych perfum. Dokoła Amerykanie śpiewali sentymentalną starą pieśń *Auld Lang Syne*, jak gdyby nawiedziły ich wesole, rozfiglowane upiory wszystkich noworocznych przyjęć, w których kiedykolwiek uczestniczyli.

Podstarzały pilot francuski, który w dwudziestym ósmym roku urządził wesole bibki przy Park Avenue i późną nocą lubił jeździć do Haarlem, który w Dywizjonie Lotaryrskim trzykrotnie odbył przewidzianą ilość lotów bojowych i w ciągu lat stracił wszystkich przyjaciół, ostatecznie zaś wylądował w Paryżu — płakał śpiewając. Strumienie łez spływały mu bezwstydnie po przystojnej, zniszczonej twarzy.

„Kie wolno starych przyjaciół grzebać w niepamięci i nie powracać do nich myślami” — śpiewał obejmując za szyję pułkownika Pavone, stęskniony już zapewne do przyszłych wesółych dni na nowym kontynencie.

Brunetka namiętnie ucałowała Michaela, on zaś kołysał się do taktu pieśni tuląc w ramionach bezimienny dar wyzwolonego miasta...

Po kwadransie Whitacre z pistoletem maszynowym na pasie, brunetka w sukni w kwiaty, Pavone i jego utleniona dama szli Polami Elizejskimi. Byli niedaleko Łuku Triumfalnego, w dzielnicy, gdzie mieszkała dziewczyna Michaela, gdy nadciągnęły niemieckie bombowce. Pod drzewem stała zaparkowana ciężarówka, a więc Pavone i Michael postanowili przeczekać nalot siedząc na zderzaku tej ciężarówki pod czysto moralną osłoną bujnych liści.

W dwie minuty później Pavone nie żył. Whitacre zaś leżał na pachnącym smolnie asfalcie. Był zupełnie przytomny, ale nie wiedział, czemu nogi miał zupełnie bezwładne od bioder. Słyszał stłumione, jak gdyby bardzo odległe głosy i daremnie próbował odgadnąć, gdzie się podziela brunetka w sukni w kwiaty i co w ogóle zaszło. Przecież artyleria strzelała po drugiej stronie rzeki, a żadna bomba nie padła w pobliżu. Nagle przypomniał sobie ciemny kształt, który z rykiem silnika wypadł z przecznicy... Racja!... Samochód! Wszyscy znajomi po powrocie z Europy mówili zawsze: „Strzeż się francuskich kierowców.” Bezwiednie uśmiechnął się do siebie.

Michael nie mógł ruszać nogami, lecz swobodnie odwrócił głowę i w świetle elektrycznej latarki zobaczył twarz pułkownika. Była

dziwnie blada, jak gdyby Pavone nie żył od dawna. Głos o amerykańskim akcencie mówił w pobliżu:

— Spójrz no, Amerykanin. Całkiem gotów. O, jak Pana Jezusa kocham, pełny pułkownik! A wygląda jak szeregowiec. Popatrz... popatrz.,.

Whitacre chciał powiedzieć coś mądrego i głębokiego o swoim przyjacielu pułkowniku Pavone, nie mógł wszelako wykrztusić słowa. Bezboleśnie stracił przytomność, w chwili gdy jacyś ludzie dźwigali go z ziemi, czyniąc to ostrożnie przez wzgląd na ciemność i szlochające kobiety.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Przejsiowy Obóz Uzupelnień leżał na jałowej płaszczyźnie pod Paryżem, a składał się ze zbiorowiska namiotów i poniemieckich baraków. Na ścianach tych budowli, pod orłem ze swastyką, widniały jeszcze bardzo kolorowe podobizny krzepkich wyrostków, uśmiechniętych dziadków ciągnących piwo z glinianego kufła i bosych wiejskich dziewcząt rozrośniętych niczym perszerony. Niejeden amerykański żołnierz pragnął upamiętnić swój pobyt w tym zakazanym miejscu, o czym świadczyły liczne napisy na malowanych ścianach, takie na przykład jak: „Sierż. Joe Zachary, Kansas City, Missouri” albo „Meyer Greenberg, st. strz., Brooklyn, USA.”

W listopadowym blocie tysiące ludzi oczekiwały przydziału do walczących dywizji celem uzupełnienia strat bojowych. Ludzie ci snuli się sennie, leniwie i, jak słusznie zaobserwował Michael, byli wcale niepodobni do innych amerykańskich żołnierzy, skorych zawsze do awantur i głośnych utyskiwań.

Michael stał przy wejściu do namiotu, w którym kwaterował. Tępo przyglądał się szarej mżawce i szarym postaciom w nieprzemakalnych płaszczach, wędrującym bez celu długimi, prostymi ulicami. „Ten obóz — myślał — jest kompletnie nieludzką instytucją. Porównać go można tylko ze stacją odbiorczą wielkich rzeźni w Chicago, gdzie bydło zapędzone do zagród kręci się niespokojnie i wietrząc zaduch szlachtuza przeczuwa bliski koniec.”

— Piechota, bodaj ją licha! — skarżył się w namiocie młody Speer. — Przez dwa lata dają mi spokój w Harvard. Oczywiście po studiach mam zostać oficerem. Ale nagle zmieniają się jakieś plany. Wszystko bierze w łeb. Szeregowiec piechoty po dwóch latach Harvard. To mi dopiero armia!

— Rzeczywiście do chrzanu — przyznał życzliwie Krenek, sąsiad z najbliższego łóżka. — Trudno zaprzeczyć, że w naszej armii jest potworny bałagan. Wszystko zależy od znajomości.

— Ja mam wielkie znajomości — wybuchnął Speer. — Przecież inaczej nie dostałbym się do Harvard. Ale nikt nie mógł nic poradzić, jak przyszło powołanie. Matka omal nie umarła z rozpacz.

— Mój Boże — westchnął cicho Krenek. — Paskudnie ci się nie powiodło. Taki zawód, bracie, dla ciebie i dla matki.

Whitacre odwrócił głowę. Był przekonany, że Krenek bierze na fundusz rozżalonego młodzika z Harvard. Krenek, celowniczy cekaemu, służył w Pierwszej Dywizji. Był ranny na Sycylii, a potem w „Dniu D”. Obecnie trzeci raz miał znaleźć się na froncie. Michael uważnie spojrzął na źle dobraną parę. Ale nie! Mały, żyłasty, śniady cwaniak ze slumsów Chicago naprawdę współczuł bostońskiemu paniczekowi.

— Kto wie — wtrącił Michael — może wojna skończy się jutro.

— Masz jakie poufne wiadomości? — zapytał Krenek.

— Nie. Ale czytałem w „Stars and Stripes”, że Rosjanie walą naprzód po pięćdziesiąt mil dziennie.

— Ech, Rosjanie — rozczarował się cekaemista. — Nie licz, że wygrażą za nas wojnę. Ostatecznie Pierwsza Dywizja weźmie Berlin i zakończy całą drakę. Wspomnisz moje słowa.

— Myślisz starać się o powrót do Pierwszej Dywizji? — zapytał Whitacre.

— Skąd znowu! — Krenek podniósł wzrok znad karabinu, który czyścił na swoim łóżku, i wolno pokręcił głową. — Chcę żywy wrócić z wojny. Pierwsza Dywizja jest dobra i wszyscy o tym wiedzą. Zanadto się wślawiła. A na wojnie, bracie, rozgłos to zguba. Jak trzeba lądować na niebezpiecznej plaży, zdobyć trudne wzgórze, poprowadzić ważne natarcie, jest prosty sposób: wzywa się starą, wykrwawioną „Jedynkę”. Gdybyś miał dostać, bracie, przydział do Pierwszej Dywizji, lepiej z miejsca palnij sobie w łeb. Teraz chciałbym trafić do przyjemnej, nietęgiej dywizji, o której nigdy nikt nie słyszał, bo od Pearl Harbor nie zajęła ani jednego miasta. W „Jedynce” najlepsze, na co można liczyć, to rana. Dwa razy zarobiłem Purpurowe Serce i cały pluton gratulował mi i zazdrościł. Pierwsza Dywizja dostaje zawsze najlepszych generałów, najbardziej bojowych. Ciągłe walczy. Niczego się nie boi. A to dla żołnierza fatalne. Uchowałem się dotychczas, więc obrałem mądre motto: „Niech frajer chodzi w sławie.” Schylił się i troskliwie począł wycierać naoliwione części karabinu.

— Jak właściwie jest w piechocie? — zapytał nerwowo Speer.

Był to przystojny blondynek o falujących włosach i łagodnych błękitnych oczach. Patrząc na niego widziało się długi szereg guwernantek i ciotek, które w sobotnie popołudnia prowadziły chłopczyka na popularne odczyty.

Cekaemista odpowiedział słowami piosenki:

Jak właściwie jest w piechocie?  
Maszerujesz, zuchu, raz, dwa, trzy!

— Nie, nie! — obruszył się młodzian z Harvard. — Pytam poważnie. Co się tam robi? Czy po prostu wysyłają człowieka na front i od razu każą walczyć?

— Jeżeli chcesz wiedzieć, bracie — odpowiedział Krenek — to w piechocie nie przyzwyczajają człowieka do walki stopniowo. Przy najmniej nie w starej, wykrwawionej „Jedynce”.

— A... — chłopiec zająknął się. — A... ty? W której byłeś dywizji?

Michael usiadł ciężko na swoim poślanu.

— W żadnej. Trafiłem do Administracji Wojskowej.

— Administracja Wojskowa! — westchnął Speer. — Tam ja powinienem dostać przydział.

— Jakim cudem zarobiłeś Purpurowe Serce w Administracji Wojskowej? — zdziwił się weteran z „Jedynki”.

— W Paryżu przejechała mnie francuska taksówka — objaśnił Whitacre. — Miałem złamaną lewą nogę.

— W „Jedynce” nigdy nie dostałbyś za takie coś Purpurowego Serca — rzucił dumnie Krenek.

— Widzisz, leżałem w sali z dwudziestoma facetami. Jednego dnia przyszedł jakiś pułkownik i wyfasował wszystkim Purpurowe Serce.

— Pięć punktów bliżej zwolnienia — mruknął Krenek. — Może w swoim czasie będziesz, bracie, błogosławił tę taksówkę.

— Mój Boże! — obruszył się Speer. — Łaciny system uzupełnień! Człowiek ze złamaną nogą dostaje przydział do piechoty.

— Nie mam już złamanej nogi — wyjaśnił łagodnie Whitacre. — Zrosła się. Zdaniem lekarzy nie wygląda zadowolająco z punktu widzenia kosmetyki, ale ma działać pod gwarancją, zwłaszcza w suchym klimacie.

— Niech i tak będzie — podjął młodzieniec z Harvard. — Dlaczego jednak nie wracasz do Administracji Wojskowej?

— Jeżeli jesteś, bracie, sierżantem lub niżej — zabrał głos weteran z „Jedynki” — nikt nie zawraca sobie głowy Odsyłaniem cię do jednostki macierzystej. Sierżant lub niżej to część wymienna.

— Dziękuję, Krenek — powiedział Michael poważnym tonem. — Przyjemniejszego komplementu nie usłyszałem od miesiący. Wiem teraz, że się wszędzie mogą przydać.

— Jaki masz numer specjalności wojskowej? — zapytał cekaemista.

— 745 — odpowiedział Michael.

— 745. Strzelec z karabinem lub peemem. To też specjalność. Część wymienna jak my wszyscy.

Nerwowy grymas niesmaku wykrzywił delikatne chłopiące wargi Speera. Widać młodzieniec z Harvard niechętnie myślał o sobie jako o części wymiennej. Taka koncepcja nie odpowiadała autoportretowi malowanemu w latach aksamitnego życia wśród gubernantek i uniwersyteckich auli.

— Chyba są jakieś dywizje, do których dostać się lepiej niż do innych? — nacierał dalej Speer, zaprzątnięty całkowicie swoim osobistym problemem.

— Zginąć można w każdej dywizji należącej do armii Stanów Zjednoczonych — odparł doświadczony Krenek.

— Chodzi mi o dywizję, gdzie człowieka łamią powoli, łagodnie. Nie od razu.

— Oj, frajerze, frajerze! — westchnął cekaemista pochylając się nad rozebrany karabinem. — Widocznie w Harvard nauczyli cię niestworzonych bredni o służbie w wojsku.

— Papuga! — Młodzik zwrócił się do kolegi, który nie brał dotychczas udziału w rozmowie, lecz bez ruchu leżał na swoim łóżku i szeroko otwartymi oczyma patrzył na wilgotne płótno namiotowe.

— Papuga! W jakiej służyłeś dywizji?

Papuga nie drgnął, nie odwrócił wzroku.

— W artylerii przeciwlotniczej — odpowiedział suchym, drewnianym głosem.

Był to otyły, trzydziestopięcioletni mężczyzna o posępnej, naznaczonej ospą, twarzy i długich ciemnych włosach. Całe dnie leżał na łóżku i często nie wstawał nawet na posiłki. Jego bluzy i płaszcze miały wyblakłe już ślady po odprutych naszywkach starszego sierżanta. Nigdy nie uczestniczył w pogawędkach pod namiotem, lecz budził żywe zainteresowanie kolegów dzięki uporczywemu wpatrywaniu się w przestrzeń, skłonności do poszczenia i rzucającym się w oczy śladom degradacji.

– Artyleria przeciwlotnicza. – Krenek z uznaniem kiwnął głową.  
– Ciepły przydział, wygodny.

– A co tutaj robisz? – nacierał dalej Speer, który czuł się nieswojo w listopadowy, deszczowy dzień i instynktownie wietrzył zaduch szlachtuza, szukał więc pociechy u wszystkich kolegów-weteranów.

– Dlaczego nie zostałeś w artylerii przeciwlotniczej?

– Jednego dnia zestrzeliłem trzy nasze myśliwce P 47 – odparł Papuga nie spoglądając na młodzika z Harvard.

W namiocie zapanowało kłopotliwe milczenie. Michael zapragnął nagle, by zdegradowany podoficer skończył na tym swoje zwierzenia. Ale stało się inaczej.

– Byłem przy działku czterdziestomilimetrowym – podjął wkrótce Papuga głuchym, bezbarwnym głosem. – Nasza bateria pilnowała lotniska myśliwców. Ściemniało się. O tej porze Niemcy wysyłali zwykle myśliwce, które ostrzeliwały nasze stanowiska z broni pokładowej. Od dwóch miesięcy nie miałem wolnego dnia, byłem zmęczony, bo ogóle cierpię na bezsenność, a na domiar złego dostałem właśnie list od żony. Pisała, że będzie miała dziecko, a... a ja wyjechałem z kraju dwa lata wcześniej...

Michael przymknął oczy. Miał nadzieję, że Papuga umilknie wreszcie. Ale w jego sercu zapiekła się męka przeżywana samotnie. Skoro więc raz rozpoczął, nie mógł przerwać w połowie.

– Byłem w fatalnej formie i jeden dobry kumpel dał mi na pocieszenie pół butelki marc. To francuski trunek, który pędzą farmerzy. W smaku podobny do czystego spirytusu, a w gardle piecze jak sto diabłów. Sam wypilem wszystko od razu, a kiedy samoloty nadleciały bardzo nisko i ktoś zaczął wrzeszczeć, pomieszało mi się jakoś we łbie. Rozumiecie? Było prawie ciemno... O tej porze Niemcy... – westchnął i zakrył oczy wierzchem dłoni. – Zaczęłem walić do tych maszyn. Rozumiecie, dobry ze mnie artylerzysta... A inne działa poszły za moim przykładem... A teraz opowiem wam coś najdziwniejszego... Ten trzeci... Dobrze widziałem znaki rozpoznawcze... Gwiazdę pod skrzydłami i cyfry na białym tle... ale... Ale nie mogłem przerwać ognia... Nie wiem dlaczego. Leciał bardzo nisko, prosto na mnie. Opuścił podwozie. Wyraźnie chciał lądować... Nie umiem wytłumaczyć, czemu strzelałem dalej. – Odślonił oczy i opuścił rękę. – Dwa się spaliły. Trzeci miał kraksę przy lądowaniu. W dziesięć minut później przyjechał pułkownik, dowódca lotniczej grupy operacyjnej. Całkiem młody facet. Znacie tych naszych pułkowników lotnictwa? Dostał za coś Medal Kongresu, jak jeszcze był

w Anglii. Naskoczył na mnie, no i zwietrzył alkohol. Myślałem, że mnie z miejsca zastrzeli. Cóż, ze swojego punktu widzenia miał rację. Nic nie mógłbym mu zarzucić i przed śmiercią nie czułbym do niego żalu.

Krenek z trzaskiem wsunął na miejsce zamek karabinu.

— Ale mnie nie zastrzelił — podjął bezdźwięcznie Papuga. — Musiałem tylko pojechać z nim na pole, gdzie leżały maszyny. Kazał mi się przypatrzeć, co zostało z dwóch spalonych pilotów. A trzeciego, co miał krakę, pomagałem nieść do namiotu doktora. Po drodze umarł.

Speer nerwowo przelknął ślinę, a Michaelowi przykro się zrobiło, że biedny chłopiec słucha takich rzeczy. Nie wyjdzie mu to na dobre, kiedy w niedalekiej przyszłości i bez stopniowego przygotowania do walki będzie musiał szturmować umocnienia Linii Zygfryda.

— Naturalnie poszedłem pod sąd wojenny, a ten pułkownik twierdził, że na pewno będę wisiał. Powtarzam, nie czuję do niego żalu i nie czułem ani przez moment. Co chcecie? Taki młody, gorący facet. Ale po kilku dniach komendant więzienia wzywa mnie i powiada: „Papuga, chcemy ci dać szansę. Zawiesimy na razie sprawę, jeżeli zgodzisz się pójść do piechoty”. Ja na to: „Zgadzam się na wszystko”. Zdjęli mi naszywki, a w dniu, kiedy odjeżdżałem do tego obozu, pułkownik przyszedł do mnie i powiedział: „Bodaj ci łeb urwało pierwszego dnia w piechocie!”

Papuga umilkł i jak zwykle zapatrzył się tępo w wilgotne płótno namiotowe.

— Mam nadzieję, że nie dostaniesz przydziału do „Jedynki” — odezwał się Krenek.

— To dla mnie bez różnicy. Mogą mnie posłać, dokąd zechcą.

W tej chwili gwizdek przerwał rozmowę. Wszyscy wstali, sięgnęli po płaszcze nieprzemakalne i pokrowce na hełmy i szybko wyszli na wieczorny apel.

Znaczne uzupełnienia przybyły ostatnio do obozu prosto ze Stanów. Napęczniała, zbyt liczna, przypadkowo dobrana kompania stała na deszczu grzęznąc w gliniastym błocie. Żołnierze odpowiadali: „Jestem!”, gdy szef wyczytywał nazwiska. Wreszcie sierżant zameldował:

— Panie kapitanie, kompania L na zbiórce. Obecni wszyscy. Oficer zasalutował i poszedł na kolację.

Ale szefnie zwolnił kompanii. Tam i z powrotem spacerował przed frontem. Zerknął spod oka na ociekające wodą płaszcze i zabłocone buty. Był szczupły, wysportowany. Twarz miał bladą i suchą. Na piersi nosił baretki trzech medali: za nienaganną służbę, za obronę Ameryki i za europejski teatr wojny, ale bez gwiazdek oznaczających kompanie. Po obozie krążyły słuchy, że przed wojną zarabiał jako męska kokota.

— Mam, chłopcy, kilka słów do powiedzenia, nim rozejdziecie się i wrąbiecie kolację — zaczął szef, a dwuszeręg przyjął tę obietnicę stłumionym, prawie niedosłyszalnym westchnieniem, bo po długich miesiącach wojny wszyscy wiedzieli, że podoficer nie może mieć do powiedzenia nic, czego wysłucha się z przyjemnością.

— W ostatnich dniach mieliśmy w obozie trochę kłopotów — podjął sierżant. — Jesteśmy blisko Paryża i kilku cwaniakom strzeliło do głowy, że dobrze będzie bryknąć tam na parę dni i zabawić się z dziewczynkami. Może kto z was ma podobne plany, niech się więc dowie, że tamci cwaniacy nie dojechali do Paryża i nie bawili się z dziewczynkami. Są teraz w drodze na front, do Niemiec, i gotów jestem założyć się o pięć do jednego, że nigdy stamtąd nie wrócą.

Sierżant przechadzał się bez pośpiechu, spoglądał w ziemię, ręce trzymał w kieszeniach.

„Ładnie się rusza, z wdziękiem — pomyślał Michael. — I mundur nosi z wprawą i fantazją. Robi wrażenie żołnierza bez zarzutu”.

— Pamiętajcie, chłopcy — ciągnął szef niskim, łagodnym głosem — że Paryż jest zamknięty dla szeregowych z naszego obozu. Na wszystkich wiodących tam drogach i na wszystkich wjazdach do miasta czuwają posterunki żandarmerii i bardzo uważnie kontrolują dokumenty. Powtarzam, chłopcy: bardzo, bardzo uważnie!

Michael przypomniał sobie Fort Dix na Florydzie i dwóch rekrutów, którzy w pełnym rynsztunku maszerowali tam i z powrotem przed kompanijną kancelarią, płacąc w ten sposób za wypad do Trenton i parę kufli piwa. Stara, nieustająca walka w łonie armii. Więżone w klatkach zwierzęta próbują odzyskać swobodę na dzień, na godzinę, dla szklanki piwa, dla dziewczyny i otrzymują surowe, poniżające kary.

— Tu, na obczyźnie, władze wojskowe są wyrozumiałe. Nadzwyczaj wyrozumiałe — mówił sierżant. — Za lewy urlop nie grozi sąd wojenny, jak to ma miejsce w Stanach. Nawet nic nie wpisuje się do ewidencji. Nie chcemy zapaskudzać nienagannych opinii. Po prostu łapiemy faceta i zaczynamy przeglądać zapotrzebowania uzupełnień.

„Aha, mówimy, Dwudziesta Dziewiąta Dywizja miała najcięższe straty w tym miesiącu”. No i własnoręcznie wypisuję przydział i rozkaz wyjazdu.

— Ten skurwysyn to Peruwianczyk — szepnął jakiś głos za plecami Michaela. — Niejedno o nim słyszałem. Wyobraź sobie, nie ma nawet obywatelstwa. Peruwianczyk! I przemawia do nas w taki sposób!

Whitacre spojrzął na szefa z nowym zainteresowaniem. Doprawdy! Śniady brunet. Ma nawet minę cudzoziemca. Nigdy jeszcze nie widział Peruwianczyka i przez chwilę bawił się myślą, że moknie na francuskim deszczu i słucha moralnych nauk Peruwianczyka, który przed wojną zarabiał jako męska kokota. „O, demokracjo! Niezbadane są twoje drogi!”

— Uzupełnieniami zajmuję się od dawna — perorował szef. — Za moich czasów przewinęło się przez ten obóz pięćdziesiąt, może siedemdziesiąt tysięcy szeregowców. Dobrze wiem, co wam świta w głowach. Czytujecie gazety, słuchacie radiowych przemówień. Wszyscy wciąż powtarzają: „Nasi dzielni żołnierze na froncie!” „Bohaterowie w khaki!” No i zdaje się wam, że bohaterom wszystko wolno. Mogą jeździć na lewe urlopy do Paryża, mogą urzynać się jak bydlaki, mogą za pięćset franków łapać syfa od francuskiej kurwy za barakiem kantyny Czerwonego Krzyża. Tak wam się zdaje, chłopcy. Ale ja powiem wam coś innego. Zapomnijcie o gazeciarskich bredniach. To dobre dla cywilów w kraju, nie dla was. Dla faceta, co w fabryce samolotów zarabia cztery dolary na godzinę. Dla poczciwca z biernej obrony przeciwlotniczej w Minneapolis, który jedną łapą maca butelkę whisky, a drugą przystojną kochającą żonę. Żadni z was bohaterowie, chłopcy! Jesteście śmiecie! Zrozumiano? Śmiecie! Dlatego właśnie znaleźliście się tutaj. Nie potrzeba was gdzie indziej. Nie potraficie pisać na maszynie ani stroić radia, ani sumować długich kolumn cyfr. Żaden z was nie nadaje się do biura, do fabryki, do niczego. Nikt nie chce oglądać takich typów w Stanach. Jesteście szumowinami armii, a ja dokładnie wiem o tym. Ja nie czytam gazet. Nie troszczę się, co gadają w Waszyngtonie. To nie dla mnie, nie dla was. Nikogo nie obchodzi, czy wrócicie do kraju, czy nie wrócicie. Jesteście uzupełnienia. A w wojsku uzupełnienia to najpodlejsza granda, od której gorsze są tylko uzupełnienia wtórne. Zrozumiano? Na froncie grzebie się co dzień tysiąc takich jak wy, a w obozach uzupełnień ja i podobni do mnie faceci, co się niczym nie gorączkują, przeglądają spisy imienne i posyłają na front nowy tysiąc. Gadam to



wszystko, chłopcy, dla waszego dobra, bo chcę żebyście wiedzieli, na jakich nogach stoicie. Mamy dziś w obozie całą bandę nowych, którzy nie otarli jeszcze gąb po piwie z kantyny w Kilmer. Im przede wszystkim chcę wszystko z miejsca wyjaśnić. Nie zaprzatajcie więc sobie łbów Paryżem, bo to się na nic nie zda. Wracajcie do namiotów. Porządnie czyściec karabiny i piszcie ostatnie instrukcje dla rodzin. A do Francji przyjedźcie w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku. Może wtedy Paryż nie będzie zamknięty dla szeregowców.

Żołnierze stali sztywno, w milczeniu. Szef zatrzymał się przed frontem i z uśmiechem spojrzął na dwuszeręg. Miał na głowie miękką polową czapkę w oficerskim futerales z celofanu.

— Dziękuję, żeście mnie wysłuchali uważnie — powiedział. — Teraz wiemy wszyscy, czego się trzymać. Baczność! Rozejść się!

Sprężystym krokiem odmaszerował ulicą, a szeregi złamały się szybko.

— Muszę zaraz napisać do matki — odezwał się nerwowo Speer drepąc obok Michaela, żeby wziąć z namiotu przybory do jedzenia. — Dobrze zna senatora z Massachusetts.

— Oczywiście — przytaknęła uprzejmie Michael. — Musisz zaraz napisać.

— Whitacre!

Michael odwrócił się. Zobaczył drobną, jak gdyby znajomą postać niknącą w faldach zbyt obszernego płaszcza przeciwdeszczowego. Przynął się bliżej i mimo zmierzchu poznał złamany nos, bliznę na czole, pełne, szerokie usta rozchylone w przyjaznym uśmiechu.

— Ackerman! — zawołał.

Uścisnęli sobie dłonie.

— Nie byłem pewien, czy mnie poznasz — podjął Noe.

Głos miał niski, stłumiony, o wiele mniej młodzieńczy, niż Michael zachował w pamięci. Na wychudzonej twarzy gościł dojrzały wyraz opanowania i spokoju.

Whitacre uradował się szczerze, bo w tłumie obcych spotkał wreszcie znajomego, z którym łączyły go niegdyś prawie przyjacielskie stosunki. Jak gdyby dzięki niespodziewanemu uśmiechowi szczęścia znalazł pośród wrogów wiernego sojusznika.

— Jak Boga kocham! — zawołał. — Cieszę się, że cię widzę! Jak Boga kocham!

— Idziesz na kolację? — zapytał Ackerman zaopatrzone już w przybory do jedzenia.

— Tak. Skoczę tylko do namiotu. Chodź ze mną. — Ujął Noego pod rękę i zdziwił się, że pod śliską, nieprzemakalną tkaniną jest tak niewiele ciała i kości.

— Dobra — zgodził się Ackerman i ramię w ramię ruszyli w stronę namiotu Michaela.

— Wspaniałe nauki moralne — powiedział Whitacre. — Czuję się tak, jak gdybym przed kolacją zlikwidował niemieckie gniazdo karabinu maszynowego.

Noe uśmiechnął się smutno.

— Ach, wojsko) Wszystkie szarże lubią wygłaszać mowy.

— Ulegają nieodpartej pokusie — powiedział Michael. — Pięćset ludzi stoi w dwuszeregu. Nikt nie może odejść ani nic odpowiedzieć... W takich warunkach chyba i ja kropnąłbym mówkę.

— A co byś powiedział? — zainteresował się Ackerman.

Michael zamyślił się na chwilę.

— Boże, miej nas w opiece — podjął tonem bardzo serio. — Powiedziałbym: Boże, miej w opiece wszystkich żyjących na tej ziemi mężczyzn, kobiety i dzieci.

Zniknął w namiocie, a kiedy wrócił z przyborami do jedzenia, dwaj przyjaciele ruszyli wolno w stronę długiej kolejki, która ustawiła się tymczasem przed barakiem mieszczącym kuchnię i jadalnię.

W jadalni Noe zdjął płaszcz i błysnął Srebrną Gwiazdą przypiętą do górnej kieszeni bluzy. Michaelowi wstyd się zrobiło.

„Na pewno nie dostał tego za potrącenie przez taksówkę — pomyślał. — Mały Noe Ackerman... Zaczynaliśmy razem, był na tyle rozsądny, że postanowił o nic nie zabiegać w wojsku... Cóż, widać zmienił zamiar”.

— Przypiął mi to generał Montgomery — powiedział Noe zauważwszy, że Whitacre przygląda się jego odznaczeniu. — Ja dostałem Srebrną Gwiazdę i mój przyjaciel Johnny Burnecker. W Normandii. Przedtem wysłali nas do Składnicy materiałowej po nowiuteńkie mundury. Był także Patton i Eisenhower. W dowództwie dywizji mieliśmy bardzo sympatycznego oficera operacyjnego. On to dla nas przeforsował. Uroczystość odbyła się czwartego lipca. Rozumiesz? Taki pokaz przyjaźni brytyjsko-amerykańskiej. — Uśmiechnął się.

— Generał Montgomery dał mi dowód przyjaźni w postaci Srebrnej Gwiazdy. Zawsze to pięć punktów do zwolnienia.

W dużej sali stoły były gęsto obsadzone. Noe i Michael znaleźli miejsca i zabrali się do odgrzewanych konserw popijając cienką kawą.

— To granda! — odezwał się Krenek z końca stołu. — Wojsko objada cywilów. Przeznaczone dla nich befsztyki idą do puszek.

Nikt nie roześmiał się ze starego dowcipu, którym Krenek posługiwał się przy stole już w Louisianie, Ferianie, Palermo...

Michael jadł z apetytem gawędząc z Noem o latach zapelniających lukę między Florydą a Przejściowym Obozem Uzupelnień. Z powagą oglądał fotografię młodszego Ackermana. („Dwanaście punktów do zwolnienia—powiedział Noe. — Ma już siedem zębów”). Słuchał, jak zginęli Cowley, Donnelly, Rickett, jak załamał się kapitan Colclough. Wbrew wszelkim przewidywaniom zatęsknił niby do rodziny do starej kompanii, którą tak chętnie żegnał na Florydzie.

Noe zmienił się bardzo. Nie był już nerwowy i chociaż wychudł strasznie i kasłał co chwila, sprawiał wrażenie człowieka o ustalonej równowadze wewnętrznej. Cechował go jakiś dojrzały spokój i dzięki niemu zdawał się znacznie starszy od Michaela. Mówił cicho, z umiarem, bez dawnej goryczy i nieopanowanego zacietrzewienia.

— „Jeżeli wyjdzie cało z wojny — pomyślał Whitacre — będzie przygotowany do cywilnego życia bez porównania lepiej niż ja”.

Umyli przybory do jedzenia i paląc ze smakiem pięciocentowe fasowane cygara wyszli w wilgotny mrok. Menażki wesoło pobrzękiwały w takt kroków.

W obozie wyświetlano tego dnia film z Ritą Hayworth, toteż wszyscy współlokatorzy Noego poszli oglądać cud kolorowej techniki. Dwaj dawni znajomi usiedli w pustym namiocie na łóżku Ackermana i ćmiąc cygara patrzyli na spirale błękitnawego dymu unoszące się ciężko w chłodnym powietrzu.

— Wyjeżdżam jutro — oznajmił Noe.

— Aa... — westchnął Whitacre.

Nagle poczuł się osierocony, pokrzywdzony przez wojsko, które pozwala spotkać się starym kolegom po to, by ich rozdzielić za dwanaście godzin.

— Wciągnęli cię na listę?

— Nie. Po prostu wyjeżdżam.

— Na lewo? — zainteresował się Michael i puścił wielki kłęb cygarowego dymu.

— Tak.

„Dobry Boże! — pomyślał Michael. — Facet przesiedział się już w więzieniu. Czy to mu nie wystarczy?”

— Do Paryża? — zapytał.

— Nie. Paryż mnie nie ciągnie.

Noe nachylił się i wyjął z worka dwie paczki listów starannie owiązane sznurkami. Położył na łóżku plik kopert, niewątpliwie adresowanych kobiecą ręką.

— Od żony — powiedział. — Pisuje do mnie codziennie. A te... — delikatnie pogładził ręką drugą paczkę — od Burneckera. Johnny odzywa się za każdym razem, jak ma kilka wolnych minut. A każdy list kończy słowami: „Konieczmie musisz do nas wrócić”.

— Aha — mruknął Michael i przypomniał sobie Burneckera.

Jak przez mgłę zobaczył wysokiego, grubokościstego chłopca o dziewczęcej cerze i gęstych jasnych włosach.

— Johnny dostał istnej manii — podjął Ackerman. — Jest przekonany, że jeżeli wrócę do niego i będziemy razem, obydwaj cało wyjdziemy z wojny. To cudowny człowiek. Lepszego nie spotkałem, jak żyję. Muszę do niego wrócić.

— Ale dlaczego wyjeżdżasz na lewo? — zdziwił się Michael. — Możesz zameldować się w kancelarii z prośbą o przydział do dawnej kompanii.

— Próbowałem. Ale ten Peruwiańczyk... Rozumiesz?... Powiedział, żebym nie zawracał dupy, bo jest zanadto zajęty. Że to nie biuro podróży i pojedę tam, dokąd on mnie wyśle. — Listy Burneckera zaszeleściły cicho pod ręką Noego. — Ogotłem się, wyprasowałem mundur, przypiąłem Srebrną Gwiazdę. Wszystko to nie zrobiło na szefie żadnego wrażenia. Nie ma rady. Wieję jutro po śniadaniu.

— Wkopiesz się fatalnie — przestrzegł Whitacre.

— Nie. Co dzień ktoś to robi. Wczoraj dał nogę jeden kapitan z czwartego rejonu. Zabrał tylko torbę oficerską. Resztę gratów chłopcy sprzedali Francuzom. Jeżeli nie wędrujesz do Paryża, nic ci nie grozi. Żandarmeria daje spokój facetom, którzy jadą w stronę frontu. Widzisz, porucznik Green... Słyszałem, że został kapitanem... Porucznik Green dowodzi kompanią C. To człowiek pierwsza klasa. Wszystko załatwi formalnie. Na pewno będzie bardzo zadowolony, jak mnie zobaczy.

— Wiesz, gdzie jest kompania?

— Dowiem się. To nic trudnego.

— Nie strach ci, że wpadniesz? — zapytał Michael. — Zuch z ciebie. Po tyłu przykrościach w Stanach...

Noe uśmiechnął się blade.

— Bracie, po Normandii armia Stanów Zjednoczonych nie wymyśli niczego, co mogłoby być dla mnie przykrością.

— Niepotrzebnie się wychylasz.

— Co robić! Jak w szpitalu upewniłem się, że nie umrę, zaraz napisałem Burneckerowi, że do niego wracam. Czeką na mnie. — Głos Ackermana dźwięczał nutą tak stanowczą, że Michael zrezygnował z dalszej dyskusji.

— Szczęśliwej drogi — powiedział. — Pozdrów ode mnie kolegów.

— Nie wiejesz ze mną?

— Co?

— Powiadam ci, jedź! — zawołał Noe. — W kompanii, gdzie cię znają, masz znacznie większe szanse uratowania całej skóry. Nie szukasz, chyba śmierci na wojnie, co?

— Nie szukam. Oczywiście.

Michael uśmiechnął się blade. Nie miał zamiaru mówić Noemu o czasach, kiedy było mu zupełnie obojętne, czy wyjdzie z życiem. Nie miał zamiaru mówić o beznadziejnych, deszczowych nocach w Normandii, kiedy czuł się zupełnie niepotrzebny, a wojna wydawała mu się rosnącym wciąż cmentarzem, pracującą bez przerwy fabryką trupów. Nie miał zamiaru mówić o posępnych, szpitalnych dniach w Anglii, gdzie wśród zmasakrowanych odpadków z pól bitew cierpiał zdany na łaskę i niełaskę znieczulonych lekarzy i pielęgniarek. Nie dostał nawet jednodniowej przepustki do Londynu. Służba Zdrowia nie uważała go nigdy za człowieka, lecz za opieszale gojącą się nogę, którą trzeba jako tako wykurować, żeby jej właściciela posłać co prędzej na front.

— Oczywiście. Nie szukam śmierci — powiedział. — Chcę żyć w dniu zakończenia wojny. Chociaż, mówiąc otwarcie, mam przecucie, że w pięć lat później wszyscy z żalem będziemy myśleć o pociskach, co nas chybiły.

— Ja nie! — zawołał z mocą Noe. — Wiem na pewno, że mnie to nie grozi.

— Tak... tak... — westchnął Whitacre. — Niepotrzebnie zacząłem z tej beczki. Przepraszam.

— Trafisz gdzieś jako uzupełnienie — podjął Ackerman — i między żytymi ludźmi znajdziesz się w paskudnej sytuacji. Każdy będzie się tam czuł odpowiedzialny za życie starych kumpli. Wszyscy będą próbowali chronić się wzajemnie. Co to znaczy? Brudna, niebezpieczna robota przypadnie z reguły uzupełnieniom. Sierżanci nie będą nawet zaprzętać sobie głowy twoim nazwiskiem. Nie będą chcieli nic o tobie wiedzieć. Podstawią cię po prostu na miejsce jakiegoś dawnego znajomego, a potem zaczekają na nowe uzupełnienie. W obcej kompanii będziesz sam jak palec. Wyślą cię na każdy patrol, wszyst-

kiemu ty będziesz winien. Jeżeli można będzie ocalić albo ciebie, albo kogoś z dawnych ludzi... Jak sądzisz? Co się stanie?

Noe mówił z pasją. Nie odrywał od twarzy Michaela płomiennych ciemnych oczu. Whitacre był głęboko wzruszony jego życzliwą troską.

„Prawdę mówiąc — myślał — na Florydzie pialo mu pomogłem w kłopotach, a dla jego żony nie byłem wielką pociechą w Nowym Jorku. Ciekawe, czy ta szczupła, ciemnowłosa kobietka potrafiłaby zrozumieć to, co jej mąż mówi dziś na błotnistej równinie pod Paryżem? Czy choć trochę zdaje sobie sprawę, jak dziwacznymi drogami chodzą myśli mężczyzny, który pragnie przeżyć posępną zimę na obczyźnie i wrócić kiedyś, aby wziąć żonę w ramiona i przytulić do serca nieznanego syna... Co właściwie wiadomo w Ameryce o wojnie? Co korespondenci wojenni mogliby napisać o tym przejściowym Obozie Uzupelnień? Jak wyglądałby taki reportaż zamieszczony na pierwszej stronie, podpisany imieniem i nazwiskiem dziennikarza?”

— W wojsku trzeba mieć przyjaciół — ciągnął Noe. — Nie możesz dopuścić, by Peruwiańczyk wysłał cię dokądkolwiek, gdzie nikomu nie będzie zależeć na tobie i żaden przyjaciel cię nie osłoni.

— Dobrze. Idę z tobą — szepnął Michael i delikatnie położył dłoń na szczupłym ramieniu Noego.

Ustąpił, lecz nie dlatego by szukać przyjaciół czy też ratować skórę.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Za Chateau-Thierry Michael i Noe przysiedli się do młodego kapelana podróżującego jeepem. W szary, chmurny dzień pomniki na rozległych cmentarzach i pozostałe z czasów tamtej wojny zasieki z drutu kolczastego sprawiały wrażenie opuszczenia i zaniedbania.

Kapelan mówił bardzo dużo miękkim akcentem południowca. Miał przydział w grupie operacyjnej myśliwców P 51, obecnie zaś jechał do Reims, aby złożyć zeznanie w obronie pewnego pilota, który odpowiadał przed sądem wojennym.

— Trudno o przyjemniejszego chłopca — mówił. — No i biedak ma całkiem ładną przeszłość. Dwadzieścia dwa loty bojowe, jedno pewne strącenie, dwa prawdopodobne. Uważacie, pułkownik osobiście mnie prosił, bym nie pchał się na świadka, ale uważam to za chrześcijański obowiązek i wygarnę swoje przed sądem.

— A co ten gość przeskrobał? — zapytał Whitacre.

— Zblamował się na zabawie tanecznej. Czerwonego Krzyża — objaśnił kapelan. — Podczas występów artystycznych wysikał się na podłogę.

Michael odpowiedział uśmiechem.

— Pułkownik twierdzi, że to zachowanie niegodne oficera — ciągnął kapelan. — Racja! Ale chłopak był mocno pod gazem i nie wiem, słowo daję, co mu strzeliło do łba. Jego sprawą jestem żywo zainteresowany. Osobiście prowadzę obszerną korespondencję z oficerem, który podjął się obrony. To człowiek bardzo na miejscu. Należy do Kościoła Episkopalnego, a przed wojną pracował u adwokata w Portland. Tak, moi drodzy, pułkownik nie przeszkodzi mi wygarnąć prawdy i dobrze zdaje sobie z tego sprawę. Ładna historia! — zawołał kapelan z oburzeniem. — Pan pułkownik Button stanowczo nie powinien czepiać się biednego chłopca i ciągnąć go do sądu pod takim zarzutem.

Każdy, ale nie on! Powiem w sądzie, jak się spisał pan pułkownik Button na balu w Dallas, w kraju, w sercu Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, pośród amerykańskich kobiet! Wierzcie albo nie wierzcie, ale pan pułkownik Button, ubrany w paradny mundur, odlał się do doniczki z filodendronem na sali balowej w eleganckim podmiejskim hotelu. Widziałem na własne oczy! Cóż, oficer sztabowy... Wszyscy trzymaliśmy język za zębami. Sprawa nie wyszła na jaw. Teraz jednakże wyjdzie. Moja w tym głowa.

Deszcz zaczął padać na stare umocnienia ziemne i spróchniałe paliki, które w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku podtrzymywały druty kolczaste. Kapelan zwolnił, bo niedobrze widział przez mokrą frontową szybę. Noe, który siedział obok niego, zajął się gorliwie ręczną przecieraczką. Mijali właśnie mały, oparkaniony cmentarz, gdzie spoczywali Francuzi polegli podczas odwrotu w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku. Na kilku mogiłach leżały spłowiałe, zestarzałe kwiaty. Pośrodku stało oszklone pudło z figurką jakiegoś świętego. Michael odwrócił wzrok od wymownego południowca i pomyślał o zawiłych drogach wojny.

Kapelan zahamował nagle i tylnym biegiem wjechał na pełną drogę wiodącą na cmentarzyk.

— Zrobię ciekawe zdjęcie do mojego albumu — powiedział. — Zgodzicie się oczywiście pozować na tle tych nagrobków, prawda?

Michael i Noe wysiedli z jeepa i ustawili się przed ogrodzeniem. „*Pierre Sorel, soldat premiere classe, ne 1921, mort 1940*” — głosił napis na jednym z krzyżów. Sztuczne laurowe liście i ciemne wstęgi wieńca płwowały na słońcu i mokły podczas deszczów przez długie cztery lata. Dziś tworzyły bezkształtną, zielonkawoczną masę.

— Fotografować zacząłem na początku wojny — mówił kapelan dobywając z futerału błyszczącą leicę. — Mam z górą tysiąc zdjęć. To będą kiedyś cenne dokumenty. Trochę w lewo, chłopcy, trochę w lewo. O, tak. Doskonale! — Aparat szczerknął cicho, a południowiec ciągnął z dumą: — Znakomity aparat, pierwsza klasa. Robi zdjęcia przy każdym świetle. Kupiłem go za dwa kartony papierosów od szwabskiego jeńca. Tylko Niemcy potrafią robić dobre aparaty. Mają cierpliwość, której nam brakuje. No, chłopcy, dajcie teraz adresy swoich rodzin w Stanach. Poślę im odbitki, żeby wasi bliscy zobaczyli na własne oczy, jak dobrze wyglądacie i jak tęgo się czujecie.

Noe podyktował adres Hope u jej ojca w Vermont, a kapelan zapisał go starannie do notesu w czarnej skórkowej okładce ze złożonym krzyżem.



— Bardzo dziękuję, księżę kapelanie — powiedział Michael.  
— Mną się proszę nie kłopotać. Nie warto.

Wolał, żeby jego rodzice nie oglądali fotografii, na której chudy, mizerny i zmoknięty stoi w źle dopasowanym mundurze na tle przydrożnego cmentarza młodych Francuzów poległych przed czterema laty.

— Nonsens, drogi chłopcze! — obruszył się wymowny południowiec. — Musisz przecież mieć kogoś, komu twoja podobizna zrobi przyjemność. Nie wyobrażasz sobie, jakie miłe listy dostaję od ludzi, którym posyłam zdjęcia ich dzielnych wojaków! Taki przystojny, młody mężczyzna! Na pewno jakaś dziewczyna chętnie postawi twoją fotografię na nocnym stoliku.

— Panna Margaret Freemantle — podyktował Whitacre po krótkim namyśle. — Dziesiąta Ulica 26, Nowy Jork.

„Właśnie coś takiego przyda się jej na nocny stolik” — pomyślał z ironią.

Kapelan pilnie notował adres, Whitacre zaś wyobrażał sobie pokój przy cichej bocznej uliczce w Nowym Jorku i chwilę, gdy Margaret otrzyma jego zdjęcie i uprzejmy bilecik od nieznanego.

„Może wreszcie zdobędzie się na list — myślał. — Chociaż nie mam pojęcia, co mogłaby mieć do napisania i co ja bym jej odpowiedział. .. Najlepsze pozdrowienia i milion całusów z Franq'i przesyła wiernie zakochany Michael Whitacre (numer specjalności wojskowej 745), aktualnie moknący na deszczu koło krzyża z napisem: *«Pierre Sorel, ne 1921, mort 1940»*. Wiedzie mi się doskonale, a tobie życzę...”

Noe i Michael zajęli znów miejsca w jeepie, a kapelan wyjechał ostrożnie ze śliskiej, błotnistej dróżki, zrytej gąsienicami czołgów i tysiącem kół ciężkich wojskowych pojazdów.

— Vermont — uśmiechnął się kapelan do Noego. — Ładne, spokojne strony. W sam raz dla takiego młodego zucha jak ty. Prawda?

— Nie będę tam mieszkał po wojnie — odpowiedział Ackerman.  
— Chce się osiedlić w stanie Iowa.

— Dlaczego nie w Teksasie? — zainteresował się gościnnie wymowny południowiec. — Tam przynajmniej nie brak miejsca. Człowiek oddycha swobodnie. Masz bliskich w Iowie?

— Mam. Pochodzi stamtąd mój najlepszy kumpel w oddziale. Nazywa się Johnny Burnecker. Jego matka znalazła domek, który będziemy mogli wynająć za czterdzieści dolarów miesięcznie. A wuj jest wydawcą gazety. Przyjmie mnie, jak się tylko zgłoszę. Cały interes już ubity.

— Dziennikarstwo, he? — zainteresował się kapelan. — Ciekawa, ruchliwa praca. No a forsy jak lodu.

— Nie w tej gazecie. To skromne piśmanko. Wychodzi tylko raz na tydzień w nakładzie 8 200 egzemplarzy.

— Na początek wystarczy — pocieszył Noego kapelan. — W sam raz odskocznia do lepszej roboty w większym mieście.

— Nie szukam odskoczni, księżo kapelanie. Nie chcę mieszkać w większym mieście. Nie mam żadnych ambicji. Pragnę do końca życia zostać w prowincjonalnym miasteczku w Iowie z żoną, synem i najlepszym przyjacielem, Burneckerem. Jak zatęsknię za podróżami, zrobię spacer do urzędu pocztowego.

— Gadanie! — obruszył się kapelan. — Zobaczyłeś, chłopcze, szeroki świat. Prowincjonalne miasteczko wyda ci się nudne. Nie wytrzymasz długo.

— Na pewno Wytrzymam — powiedział Noe operując pracownicę ręczną wycieraczką. — Nigdy mi się tam nie znudzi.

— W takim razie zupełnie do mnie niepodobny — roześmiał się wymowny południowiec. — Ja również pochodzę z małego miasta i dzisiaj nudzę się na kredyt. Choć, prawdę mówiąc, nikt w kraju nie czeka na mnie z utęsknieniem. Dzieci nie mam, a jak wojna wybuchła i doszedłem do wniosku, że powinienem zaciągnąć się do wojska, moja żona powiedziała: „Ashton, musisz wybierać: albo ja, albo Korpus Kapelanów. Nie chcę siedzieć sama w domu i przez pięć lat myśleć, że ty, swobodny niczym ptaszek, wałęsasz się po świecie i kombinujesz z Bóg wie jakimi babami. Mnie nie nabierzesz!” Tłumaczyłem jak umiałem, że mówi głupstwa, ale to niewiasta bardzo uparta. Byłem pewien, że w dniu kiedy wrócę do domu, ona rozpocznie kroki rozwodowe. Możecie mi wierzyć, chłopcy, że wybór był ciężki... Cóż — westchnął z miną filozofa. — Ostatecznie ułożyło się nie najgorzej. W Dwudziestym Szpitalu Polowym mam bardzo przyjemną pielęgniarkę, która potrafi jakoś koić moje troski. — Uśmiechnął się. — Przy tej dziewczynie i zamilowaniu do fotografii, brak czasu na wspomnianie żony. Póki zostanie mi kobieta na pociechę w chwilach załamania i dostateczna ilość filmów, żeby robić zdjęcia, wytrzymam jakoś wszystko, co może mnie spotkać.

— Właśnie! Jak ksiądz kapelan zdobywa filmy? — zapytał Michael. Zdziwiło go wspomniane tysiąc zdjęć do albumu, gdyż wiedział, jak trudno dostać w kantynie choć jedną rolkę miesięcznie.

Wymowny południowiec zrobił przebiegłą minę i wskazującym palcem stuknął się w czoło.

— Trzeba mieć tu! — powiedział. — Przyznaję, że z początku było bardzo trudno. Ale poradziłem sobie. Poradziłem pierwszorzędnie. Mam teraz najlepsze filmy w świecie. Widzicie, kiedy chłopcy wracają z lotów bojowych, oficer techniczny grupy obcina w ciemni nie zużyte końce taśm wydobytych z aparatów pokładowych. Nigdy nie uwierzyicie, jakie zapasy można dzięki temu zdobyć! Wprawdzie ostatni oficer techniczny robił różne trudności i już, już miał poskarżyć się pułkownikowi, że kradnę własność rządową. W żaden sposób nie mogłem go przekonać, o co właściwie chodzi... — Uśmiechnął się smutno i dodał: — Ale teraz skończyły się moje kłopoty.

— Jak się ksiądz kapelan wyplątał? — rzucił ciekawie Whitacre.

— Widzisz, chłopcze, ten oficer techniczny odbywał czasami loty bojowe. Był dobrym, wspaniałym pilotem myśliwskim! Razu jednego zestrzelił messerschmitta i żeby się pochwalić, wracając zrobił beczkę nad wieżą radiostacji. Biedak, pomylił się o dwie stopy. Potem musieliśmy go zbierać po całym lotnisku. Możecie wierzyć, chłopcy, że nad jego trumną odprawiłem nabożeństwo żałobne, jakim nie może się chyba pochwalić nikt z Korpusu Kapelanów Armii. Prawdziwe, pełne, uroczyste nabożeństwo, bez żadnych skrótów i uproszczeń. — Uśmiechnął się chytrze. — No, teraz mam filmów, ile dusza zapragnie!

Michael szeroko otworzył oczy. Przez moment sądził, że kapelan jest pijany. Ale nie! Wóz prowadził pewnie, spokojnie. Musiał być trzeźwy niczym sędzia podczas rozprawy.

„Ach, to woj.sko! — pomyślał Whitacre. — Każdy kombinuje jakoś dziwacznie, na swój własny sposób.”

Przemoczona postać wyszła spod osłony drzewa i podniosła rękę. Kapelań zwolnił, zatrzymał jeepa. Na szosie stał porucznik lotnictwa ubrany w marynarską kurtkę i uzbrojony w pistolet maszynowy.

— Do Reims? — zapytał.

— Siadaj pan! — zaprosił gościnnie wymowny południowiec. — O tam, z tyłu! Bardzo proszę! Wóz kapelana zatrzymuje się przed każdym wędrowcem na wszystkich drogach.

Lotnik zajął miejsce obok Michaela i samochód ruszył pod rześistym deszczem. Whitacre zerkał spod oka na sąsiada. Był bardzo młody, ale poruszał się jakoś sennie, nieporadnie, a dziwnie skompletowany mundur źle na nim leżał. Porucznik zauważył niebawem, że jest pod obserwacją.

— Zastanawia się pan, co tutaj robię? — bąknął.

— Nie, nie — zaprotestował śpiesznie Whitacre, bo nie nęciła go towarzyska pogawędka. — Skąd znowu!

— Mam piekielne trudności z odnalezieniem mojego pułku szybowców — podjął lotnik. — Nie wiem, gdzie stacjonuje.

Michael zdziwił się trochę, w jaki sposób można zgubić cały pułk szybowców, i to na ziemi, ale nie podtrzymał tematu.

— Brałem udział w hecy pod Arnheim — ciągnął porucznik. — Zestrzelili mnie w Holandii, za niemieckimi liniami.

— Naturalnie, jak zawsze, Anglicy zawalili sprawę — cierpko wtrącił kapelan.

— Naprawdę? — obojętnie zapytał pilot. — Dawno nie czytałem gazet.

— Jak to się właściwie stało? — zainteresował się Whitacre, bo trudno mu było wyobrazić sobie, że ten błądy chłopiec o łagodnych rysach został zestrzelony z szybowcem za niemieckimi liniami.

— To był mój trzeci lot bojowy. Lądowanie na Sycylii, lądowanie w Normandii, no i teraz. Dowództwo obiecywało, że to nasza ostatnia akcja. — Uśmiechnął się blade. — Jeżeli o mnie chodzi, prawie spełniła się ta wróżba. — Wzruszył ramionami i wzdrygnął się nerwowo w swym przemoczonym mundurze. — Nie wierzę w takie bujdy! Przed końcem wojny na pewno każą nam jeszcze lądować w Japonii. A ja nie palę się do roboty. Wcale się nie palę. Z początku myślałem, że straszny ze mnie pistolet, gotów jak nic na sto zadań bojowych. Ale gdzie tam! Jak pierwszy raz zobaczyłem obrywające się skrzydło, odwróciłem głowę i na mdłości mi się zebrało. Ledwie zdążyłem wyskoczyć. Wtedy powiedziałem sobie: „Słuchaj, Francis O'Brien, nie nadajesz się na wojaka.”

— Francis O'Brien — ożywił się wymowny południowiec. — Pewnie pan katolik?

— Tak, proszę pana, katolik — odpowiedział pilot szybowca.

— Chciałbym wysłuchać pańskiej opinii w pewnej sprawie — podjął kapelan. — Otóż w Normandii, w wiejskim kościele mocno nadwerężonym naszą artylerią, znalazłem małą fisharmonię. Kazałem ją przywieźć do obozu, żeby urozmaicić trochę niedzielne nabożeństwa, i w rozkazy dziennym umieściłem punkt, że poszukuję organisty. W całej grupie nikt nie mógł się podjąć tego zadania prócz jednego sierżanta z obsługi technicznej, rusznikarza. To był Włoch i katolik, ale na fisharmonii grał niczym Horowitz na fortepianie. Do kalikowania wzięłem młodego Murzyna i w pierwszą niedzielę urządziłem nabożeństwo, jak nigdy. Wszyscy byli zachwyceni innowacją. Nawet pułkownik przyszedł i śpiewał pieśni religijne. Mówię panu, ryczał niby buhaj na wiosnę! Ale w następną niedzielę Włoch nie pokazał się

wcale, a'kiedy odnalazłem go po południu i zapytałem, co się stało, odpowiedział, że sumienie zabrania mu przygrywać podczas heretyckich nabożeństw. Pan, panie o'Brien, jest katolikiem i oficerem, proszę więc powiedzieć, czy pańskim zdaniem ten sierżant zachował się po chrześcijańsku i zgodnie z nakazami waszej wiary?

Pilot szybowca westchnął cicho. Widać było, że nie czuje się na siłach, by wydać miarodajny sąd o zawilej kwestii religijnej.

— Cóż, księżę kapelanie — zaczął po chwili — nakaz sumienia to sprawa czysto indywidualna i...

— A pan grałby dla mnie na fisharmonii? — natarł ostro wymowny południowiec.

— Niewątpliwie, księżę kapelanie.

— Pewnie pan niemuzykalny, co?

— Tak jest, księżę kapelanie. Niemuzykalny.

— O to właśnie chodzi! — westchnął smętnie kapelan. — W całej grupie tylko ten jeden makaroniarz potrafił grać na fisharmonii. Od tego czasu musiałem odprawiać nabożeństwa bez muzyki.

Przez długi czas jechali w milczeniu wśród moknących na deszczu winnic i śladów poprzedniej wojny.

— Panie poruczniku — odezwał się wreszcie Michael, którego intrygował błąd, nieśmiały młodzik. — Proszę nie opowiadać, jeżeli przykro panu o tym mówić, ale bardzo ciekaw, jak pan wy dostał się z Holandii?

— Wcale mi nie przykro o tym mówić — odezwał się o'Brien bezbarwnym tonem. — Kiedy zobaczyłem, że prawe skrzydło odpada, zasygnalizowałem holującemu samolotowi, że zwalniam linkę. Z trudnością siadłem na jakimś polu i nim wylazłem z szybowca, żołnierze, których przewoziłem, rozproszyli się na wszystkie strony, bo z zabudowań odległych o tysiąc jardów walily do nas cekaemy. Biegłem, co sił w nogach, i po drodze odrywałem z munduru skrzydła, żeby je jak najprędzej wyrzucić, bo Niemcy nie patyczkują się podobno ze schwytanymi lotnikami. Rozumie pan? Masowe naloty, rozmaite omyłki, wielkie straty wśród ludności cywilnej... W każdym razie lepiej nie wpaść do niewoli ze skrzydłami na mundurze. Przez trzy dni leżałem w rowie, aż w końcu nadszedł jakiś farmer i przyniósł mi trochę jedzenia. Jeszcze tej samej nocy przeprowadził mnie przez linię placówek i oddał w ręce brytyjskiego oddziału rozpoznawczego. Stamtąd odesłano mnie na tyły i wreszcie znalazłem się na amerykańskim niszczycielu. Dzięki temu mam na sobie kurtkę marynarską. Okręt myszkował po Kanale przez całe dwa tygodnie. Wielki Boże! Jak żyję,

tak nie chorowałem! Ostatecznie wysadzono mnie na łód w Southampton i „autostopem” dotarłem łatwo do dawnego miejsca postoju. Tam dowiedziałem się, że moją grupę przed tygodniem przesunięto do Francji. Ja zostałem uznany za zaginionego, a wszystkie moje rzeczy odplynęły już do kraju. Bogu tylko wiadomo, co wycierpiała matka, kiedy otrzymała taką wiadomość. Cóż dalej? Nikt nie kwapił się z wydawaniem mi rozkazów, bo pilot szybowcowy to tylko utrapienie, jeżeli nie ma w planie większych działań spadochronowych. Władze obozowe twierdziły, że nie mają prawa dysponować moją osobą ani płacić mi, ani wystawić rozkazu podróży. O'Brien zachichotał cicho, bez złośliwości. — Słyszałem, że moja grupa stacjonuje gdzieś w pobliżu Reims, postarałem się więc o miejsce na frachtowcu, który wiozł do Cherbourga amunicję i żelazne porcje. Potem na własną rękę wyskoczyłem na dwa dni do Paryża. Ale co z tego? Porucznik bez gaży przez dwa miesiące może z takim samym powodzeniem być w grobie jak w Paryżu... Teraz staram się jechać dalej... Oto cała historia.

— Wojna — wtrącił sentencjonalnie wymowny południowiec — stwarza niekiedy zawile problemy.

— Ja tam się nie skarżę — podchwycił żywo pilot szybowcowy. — Słowo daję, księżu kapelanie, do nikogo nie mam żalu. Byłe nie kazali mi czwarty raz lądować za nieprzyjacielskimi liniami! Jestem zadolowany i nie przejmuję się niczym, a władze mogą mnie wysłać, dokąd zechcą, póki wierzę, że ostatecznie wrócę do swoich pieluch.

— Do czego? — zdumiał się Michael.

— Do pieluch — wyjaśnił pilot szybowcowy i uśmiechnął się chytrze. — W Green Bay prowadzimy z bratem niewielką, ale dobrze prosperującą fabryczkę. Mamy dwie ciężarówki. Obecnie brat się wszystkim zajmuje, ale raz po raz pisze, że coraz trudniej zdobyć tkaninę bawełnianą jakiegokolwiek gatunku. Bardzo mnie to trapi. Ostatnie pięć listów przed lądowaniem wysłałem do rozmaitych fabryk tekstylnych w Stanach. Pytałem, czy mogłyby dostarczać nam chociaż trochę towaru.

„We wszystkich dziedzinach życia trafiają się bohaterowie” — pomyślał skromnie Michael wjeżdżając do Reims.

Na skrzyżowaniach ulic stały posterunki żandarmerii, a przed katedrą parkowały liczne pojazdy wojskowe. Michael spostrzegł, że Noe kurczy się na miejscu obok kierowcy, przerażony zapewne, iż utknie w ruchu i bałaganie strefy przyfrontowej. Mimo to Michael nie mógł się oprzeć pokusie i patrzył ciekawie na obłożoną workami z piaskiem katedrę, której witraże wyjęto, by przechować je w bez-

piecznym i^niejscu. Jak przez mgłę pamiętał, że w szkółce elementarnej w Ohio złożył dziesięć centów na odbudowę tej katedry po barbarzyńsku zburzonej podczas tamtej wojny. Obecnie gapiąc się z kapelańskiego jeepa na strzelistą budowlę, mógł stwierdzić z zadowoleniem, że jego ofiara nie poszła na marne.

Wóz zatrzymał się przed Rejonową Komendą Zaopatrzenia i Transportu.

— Niech pan teraz wysiądzie, poruczniku — powiedział kapelan — pójdzie tutaj i zażąda odstawienia do swojej grupy, bez względu na to, gdzie obecnie stacjonuje. Niech pan nie zapomina, że trzeba mówić stanowczym tonem i głośno. Gdyby pan nic nie wskórał, proszę poczekać na mnie. Wrócę za piętnaście minut i zagrozę w tej komendzie, że wyślę raport do Waszyngtonu, jeżeli nie obejdą się z panem po ludzku.

O'Brien wygramolił się z samochodu i z niepewną, zatroskaną miną stanął przed szeregiem odrapanych, szarych kamienic. Widać było, że wątpi w skuteczne działanie Rejonowej Komendy Zaopatrzenia i Transportu.

— Nie! Mam lepszy pomysł! — zawołał wymowny południowiec. — Przed chwilą minęliśmy kawiarnię. Zmarzył pan i przemókł. Na pewno podwójny koniak posłuży panu i jako tako wzmocni nerwy. Tam się spotkamy. Pamiętam nawet nazwę: „Aux Bons Amis”.

— Dziękuję — bąknął niepewnie lotnik. — Wolę zaczekać tutaj.

Kapelan zerknął spod oka na o'Briena. Potem sięgnął do kieszeni, wydobył pięćsetfrankowy banknot i powiedział wręczając go porucznikowi:

— Prawda... Zapomniałem, że od dwóch miesięcy nie brał pan gaży...

Lotnik uśmiechnął się z zażenowaniem, ale pieniądze przyjął.

— Dziękuję, serdecznie dziękuję — mruknął i szybko ruszył w stronę pobliskiej kawiarni.

— A teraz — podjął żywo kapelan naciskając starter — wywieziemy dwóch podejrzanych ptaszków za kordon żandarmerii.

— Jak to? — zapytał niedorzecznie Michael.

— Przecież podróżujecie na własną rękę! Macie to jasno wypisane na gębach. Chłopcze — zwrócił się do sąsiada. — Przetrzyj no trochę szybę!

Noe i Michael jechali uśmiechnięci przez stare, posępne miasto. Po drodze minęli sześć posterunków kontrolnych. Jeden z żandarmów zasalutował widząc jeepa ślizgającego się po mokrym asfalcie. Michael z poważną miną odpowiedział wojskowym ukłonem.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Whitacre i Ackerman zbliżali się do linii frontu i spotykali coraz przyjemniejszych ludzi. Kiedy było już słycać nieustanny pomruk dział wiodących rozmowy nad jesiennymi polami bitew w Rzeszy, każdy mówił uprzejmym, życzliwym tonem, chętnie zapraszał wędrowców na posiłki lub noclegi, częstował mocnymi trunkami, pokazywał fotografie żony i pytał grzecznie, czy mógłby w zamian obejrzeć ich rodzinne zdjęcia. Michaelowi wydawało się, że wkroczywszy w strefę wojennych gromów pożegnał dziedzinę samolubstwa, nerwowej nieufności, złych manier dwudziestego wieku, jednym słowem, świat, w którym tkwił dotychczas mniemając, iż rodzaj ludzki zawsze postępował w zbliżony sposób.

Nie było żadnych trudności ze zdobywaniem miejsc w samochodach podróżujących w stronę frontu. Wszystkie zatrzymywały się na pierwsze skinienie.

Porucznik ze Służby Rejestracji Grobów tłumaczył zawodowo przygodnym pasażerom, jak jego podwładni rewidują kieszenie trupów, a zawartość układają na dwie kupki. Jedna zawiera listy z domu, kieszonkowe wydania Pisma świętego, legitymacje, odznaczenia przeznaczone do wysyłki pod adresem okrytych żałobą rodzin. — Druga — kości, karty, prezerwatywy, szczere listy angielskich dziewcząt, wspominających bez ogródek rozkoszne noce na łąkach pod Salisbury lub w londyńskich hotelikach. Te typowo żołnierskie drobiazgi niszczy się później, by nie kalać pamięci bohaterów poległych na polu chwały. Porucznik — przed wojną ekspedient z działu damskiego obuwia Magnina w San Francisco — opisywał również trudności, jakie napotyka jego oddział przy zbieraniu i ustalaniu tożsamości zwłok poszarpanych przez furie nowoczesnej wojny.



— Posłuchajcie, chłopcy — mówił na zakończenie. — Zawsze noście jeden znak rozpoznawczy w kieszonce od zegarka. Przy bliskim wybuchu głowa łatwo odpada, no i łańcuszek zsuwa się z szyi. Ale w dziewięciu przypadkach na dziesięć nieboszyk zostaje w spodniach, możemy więc zidentyfikować go i imiennie wciągnąć na listę strat.

— Dzięki za dobrą radę — powiedział Michael i wraz z Noem wysiadł z jeepa.

W dalszą drogę zabral ich kapitan żandarmerii, który zorientował się zaraz, że ma do czynienia z dezertarami. zaproponował, że weźmie ich do swojej kompanii i załatwi przydział drogą służbową, gdyż w danej chwili ma stan katastrofalnie niski.

Część podróży odbyli nawet w wozie dowodzenia dwugwiazdkowego generała, którego dywizję wycofano z pierwszej linii na pięciodniowy odpoczynek. Generał miał dobroduszną, ojcowską minę, wydatny brzuch i cerę taką, jaką widuje się u wcześniaków przechowywanych w nowoczesnych szpitalach w inkubatorach.

— Skąd jesteście, chłopcy? — zapytał uprzejmie, lecz podchwytliwie. — Do jakiej zmierzacie jednostki?

Whitacre z dawnego nawyku nie ufał wyższym oficerom, zaczął więc łamać głowę nad nieszkodliwym kłamstwem. Ale Noe odpowiedział szczerze:

— Jesteśmy dezertarami, panie generale. Zwialiśmy z Przejściowego Obozu Uzupelnień i zmierzamy do naszej dawnej kompanii. Koniecznie musimy się tam dostać.

Generał wyrozumiale skinął głową i z uznaniem zerknął na Srebrną Gwiazdę Noego.

— Mam coś dla was, chłopcy — podjął tonem sprzedawcy proponującego klientowi kupno za bezcen lamp na stolik bridżowy. — W mojej dywizji są także braki. Może wstąpicie? Przekonacie się, jak się wam u nas spodoba. Osobiście każę załatwić wszystko papierkowo.

Michael uśmiechnął się na myśl o nie znanej dotąd armii — bardzo giętkiej, przychylniej, mniej formalistycznej. Noe jednak odmówił stanowczo:

— Bardzo dziękuję, panie generale, ale przyrzekłem kolegom, że na pewno do nich wrócę.

Generał znów kiwnął głową.

— Rozumiem wasze stanowisko — powiedział. — W tysiąc dziewięćset osiemnastym roku sam poruszyłem niebo i piekło, żeby wrócić ze szpitala do starego oddziału. W każdym razie możecie

wstąpić na obiad. Dziś niedziela. W kasynie dowództwa będziemy chyba mieli kury.

Echa grzmotu dział za odległymi wzgórzami były coraz głośniejsze, a Whitacre nabierał stopniowo przekonania, że wreszcie znajdzie szczerze koleżeństwo, powszechną otwartość serc, bezimienne, nieartykułowane „tak” płynące z miliona gardzieli. Marzył o tym przed wstąpieniem do wojska, dotychczas jednak raz po raz spotykało go rozczarowanie. Obecnie wyczuwał gdzieś przed sobą, podczas ustawicznego ognia artylerii, Amerykę, jakiej daremnie szukał na amerykańskim kontynencie — Amerykę umęczoną i konającą, lecz należącą do przyjaciół i dobrych sąsiadów, kraj, w którym człowiek może odrzucić raz na zawsze przeciwwilizowane wątpliwości, książkowy cynizm, realistyczne cierpienia i pokornie, radośnie utonąć w poczuciu wspólnoty. .. Noe, na którego czekał wierny druh, Johnny Burnecker, trafił już do tej krainy. Jasno dowodził tego śmiały, spokojny ton, jakim rozmawiał zarówno z sierżantami, jak z generałami. Wygnańcy, którzy pędzą życie w błocie i wśród ciągłej obawy, znaleźli ojczyznę pod jednym przynajmniej względem lepszą niż ta, z której zostali wyrwani. Na kresach niemieckiej ziemi rodzi się zbroczona krew i zryta pociskami demokracja. Utopia bez bogaczy i nędzarzy. Całe życie płynie tam we wspólnotcie. Żywność jest rozdawana według potrzeb, nie według wartości portfela. Światło, opał, mieszkanie, przewóz, opiekę lekarską i pochówek otrzymują wszyscy na koszt państwa, i to na zasadach absolutnej równości — biali i kolorowi, chrześcijanie i żydzi, pracodawcy i robotnicy. Środki produkcji — w danym przypadku karabiny, pistolety maszynowe, cekaemy, moździerz, bazooki, działa — znajdują się w rękach mas. Jest to idealny, chrześcijański socjalizm, gdzie wszyscy pracują dla wspólnego dobra, a klasę próżnującą stanowią jedynie umarli.

Punkt dowodzenia kapitana Greena mieścił się w niewielkim farmerskim domu, któremu ścięty spiczasty dach nadawał pozór średniowiecznej kamieniczki z kolorowego filmu rysunkowego. Dom został tylko raz trafiony, a dziurę załatano wyjętymi z zawiasów drzwiami z sypialnego pokoju. Tuż koło ściany, po stronie osłoniętej przed nieprzyjacielem, zaparkowano dwa jeepy. W każdym z nich spał brodaty żołnierz, szczerlnie owinięty kocami i z czołem osłoniętym hełmem wspierającym się na nosie. Działa grzmiały tu głośniej niż dotychczas, a od czasu do czasu w górze chichotały pociski. Wiał zimny wiatr, drzewa stały nagie, droga i okoliczne pola tonęły w błocie,

a oprócz dwóch śpiących w jeepach żołnierzy nie było wokół widać żywej duszy.

„Zupełnie jak na każdej innej farmie w listopadzie — pomyślał Whitacre. — Gospodarz oddał ziemię na pastwę żywiołów, sam zaś drzemie po całych dniach i śni o-wiośnie, która musi nadejść.”

Zdumiewającym wydał mu się fakt, że wraz z Ackermanem zlekceważył regulaminy służby, przewędrował pół Francji, szybko jak strzała sunął pośród dział, ciężarówek i maszerujących oddziałów i zawilym labiryntem dróg przybył do tak cichego, zaniedbanego, na pozór niegroźnego miejsca. Armia, korpus, dywizja, pułk, batalion... Ominęli cały łańcuch dowództw, zsunęli się po nim w dół, jak marynarz po linie z węzłami, by wylądować wreszcie w punkcie dowodzenia kompanii, a kiedy się tam znaleźli, Michael zaczął być niespokojny. Spoglądał na drzwi domu i myślał, że zapewne postąpili głupio i narazili się na więcej przykrości, niż było warto. Armia to przecież organizacja najbardziej formalistyczna pod słońcem, a oni beztrąsko ominęli wszelkie formalności. Takie przestępstwo musi być dokładnie określone w artykułach *Wojskowego kodeksu karnego*.

Ackerman nie zaprzętał sobie głowy zbędnymi wątpliwościami. Pomimo błota ostatnie trzy mile przebył żwawym, sprężystym krokiem, a teraz ze skupionym uśmiechem na drżących lekko ustach pchnął drzwi i wszedł do domu. Michael podążył wolno jego śladem.

Kapitan Green odwrócony plecami do drzwi rozmawiał przez telefon polowy.

— Front mojej kompanii — mówił — to kpiny, panie majorze. Tak jesteśmy rozciągnięci, że w każdym miejscu może przejechać fura w czwórkę koni. Potrzeba mi uzupełnień. Co najmniej czterdziestu ludzi. Słucham.

Michael usłyszał płynący po drucie głos dowódcy batalionu, natarczywy i gniewny. Green wyłączył odbiór i znów zaczął mówić:

— Tak jest, panie majorze. Rozumiem, że dostaniemy uzupełnienia, jak ten przeklęty korpus uzna za stosowne je przysłać. Ale jeżeli szwaby uderzą przedtem, prześlizną się przez nas niczym piskorz przez kaczkę. Co mam zrobić w razie nagłego uderzenia? Słucham.

Michael znów usłyszał dwa krótkie, urywane dźwięki.

— Tak jest, panie majorze — odpowiedział kapitan. — Rozumiem. Skończone, panie majorze.

Rzucił słuchawkę i spojrzał na kaprała siedzącego przy zaimprovizowanym biurku.

— Wiecie, co mi major powiedział? — zapytał smętnie. — Żeby mu zameldować, jak szwaby uderzą. Komik! Stworzył nową specjalność wojskową. Zostaliśmy „oddziałem meldunkowym”. — Niechętnie machnął ręką i odwrócił się do Michaela i Noego. — O co chodzi?

s Noe milczał. Green przyjrzał mu się uważniej, a potem z bladym uśmiechem wyciągnął rękę.

— Ackerman! Myślałem, żeś od dawna w cywilu.

— Nie, panie kapitanie. Nie jestem w cywilu. To Whitacre. Chyba go pan sobie przypomina?

Oficer zmierzył Michaela byстрыm spojrzeniem.

— Tak, oczywiście — powiedział wysokim, przyjemnym, prawie kobiecym głosem. — Z Florydy. Co przeskrobaliście, chłopcy, że odesłano was z powrotem do kompanii C?

Uścisnął dłoń Michaela.

— Nikt nas nie odesłał, panie kapitanie — zabrał głos Noe. — Daliśmy dęba z Przejściowego Obozu Uzupelnień. Jesteśmy dezertkami.

— Doskonale — uśmiechnął się Green. — O nic się nie martwie. To bardzo ładnie z waszej strony... bardzo, bardzo ładnie. Chociaż nie mam pojęcia, dlaczego może komuś zależeć na powrocie do tej piekielnej kompanii. Od tygodnia nie dostałem uzupełnień. Wy jesteście pierwsi. Zaraz załatwi się formalnie wasz przydział.

Widać było, że jest wzruszony i zadowolony. Bezwiednie głaskał Noego po ramieniu serdecznym, niemal macierzyńskim ruchem.

— Panie kapitanie, czy Johnny Burnecker jest gdzieś w pobliżu? — Noe starał się mówić spokojnie, obojętnie, ale nie bardzo mu się to udawało.

Green odwrócił się. Kapral zaczął bębnić palcami po blacie zaimprovizowanego biurka.

„Zaraz stanie się coś okropnego — pomyślał Michael. — Boję się najbliższych dziesięciu minut”.

— Zapomniałem w pierwszej chwili — odezwał się wreszcie Green — że z Burneckerem żyłeś bardzo blisko.

— Tak... panie... kapitanie — wyjąkał Noe.

— Nie wiesz nawet, że został sierżantem — podjął kapitan. — A później, we wrześnieu, starszym sierżantem i dowódcą plutonu. Twój Johnny Burnecker to żołnierz jak sto diabłów.

— Tak jest, panie kapitanie.

— Widzisz, Noe... Johnny Burnecker oberwał wczoraj, w nocy. Rozumiesz... Zabłąkany pocisk... Od pięciu dni kompania nie miała strat... prócz niego.

— Poległ, panie kapitanie? — zapytał Noe.

— Nie.

Michael spostrzegł, że Noe rozprostowuje zaciśnięte w pięści dłonie.

— Nie — powtórzył Green. — Nie poległ. Bez chwili zwłoki ewakuowaliśmy go do tyłu.

— Panie kapitanie! — zawołał Noe. — Wolno mi prosić pana o łaskę? O wielką łaskę?

— Słucham.

— Czy... Czy pan kapitan da mi przepustkę? Muszę się z nim zobaczyć... Pomówić.

— Chyba odstawiono go już do szpitala polowego — powiedział cicho Green.

— Muszę się z nim zobaczyć, panie kapitanie — podjął Ackerman szybko, natarczywie. — To sprawa bardzo ważna. Nie wyobraża pan sobie nawet, jak niesłychanie ważna. Do szpitala polowego tylko piętnaście mil. Widzieliśmy go. Mijaliśmy go po drodze. Panie kapitanie! Stracę najwyżej dwie godziny. Nie będę marudził. Ręczę, że nie będę marudził. Wrócę niedługo, jeszcze przed wieczorem. Chcę tylko pomówić z nim przez kwadrans. Panie kapitanie! Nasza rozmowa może wiele zmienić i...

— Zgoda! — powiedział Green i przy swoim stole napisał szybko kilka słów. — Masz przepustkę, Noe. Idź na podwórko i powiedz Berensonowi, że ma cię zaraz odwiedzić i przywieźć.

— Dziękuję — szepnął Noe zdławionym, ledwie dosłyszalnym głosem. — Bardzo dziękuję, panie kapitanie.

— Ale bez skoków na boki — podjął Green patrząc na zawieszoną na ścianie mapę, osłoniętą celofanem i pokreśloną różnokolorowymi kredkami. — Jeep będzie nam potrzebny wieczorem.

— Bez skoków na boki, panie kapitanie. Przynrzekam. — Noe ruszył w stronę drzwi, lecz odwrócił się po paru krokach. — Panie kapitanie...

— Słucham.

— On ciężko ranny?

— Tak, Noe — odrzekł oficer głuchym tonem. — Bardzo, bardzo ciężko.

Po chwili Whitacre usłyszał, że jeep rusza i odjeżdża błotnistą drogą. Wydało mu się, że to dławi się i krztusi silnik motorówki.

— Whitacre — powiedział Green. — Możesz zaczekać tu, póki on nie wróci.

— Dziękuję, panie kapitanie.

Oficer zmierzył go znów bystrym wzrokiem.

— No i jakoś zrobili z ciebie żołnierza? — zapytał.

— Do niczego — odparł Michael po chwili zastanowienia.

Green uśmiechnął się smutno. Wyglądał w tej chwili jak stojący za ladą ekspedient, zmęczony po gorączkowym ruchu przed świętami Bożego Narodzenia.

— Będę o tym pamiętał — powiedział.

Zapalił papierosa, szeroko otworzył drzwi i stanął na szarym, wypłowiałym tle jesiennego krajobrazu. Z daleka dobiegło stłumione warczenie jeepa.

— Ach — westchnął kapitan. — Niepotrzebnie go wyprawilem. Żołnierz nie powinien patrzeć na śmierć przyjaciół, kiedy jemu samemu nic nie grozi.

Zamknął drzwi i wrócił na swoje miejsce za stołem, a kiedy telefon zadzwonił, podniósł słuchawkę. Michael usłyszał znów zniekształcony, ale rozkazujący głos dowódcy batalionu.

— Nie, panie majorze — odpowiedział po chwili Green. — Od siódmej rano nie było ognia broni małokalibrowej. Będę meldował, jeżeli coś zajdzie.

Odłożył słuchawkę i zapatrzył się w spirale, które dym z jego papierosa kreślił na tle mapy terenowej.

Noe wrócił dobrze po zmroku. Dzień upłynął spokojnie, bez ruchu patroli. Nad głowami skowyczały wprawdzie pociski artyleryjskie, wydawało się jednak, że nie interesuje to wcale żołnierzy z kompanii C, którzy przychodzili od czasu do czasu z meldunkami dla kapitana Greena.

Przez całe popołudnie Michael drzemał w kącie dziwiąc się nowej wojnie, oglądanej w zwolnionym tempie, tak bardzo różnej od zaciekłych walk w Normandii i szaleńczego pościgu po przełamaniu niemieckich linii. Wszystko odbywało się sennie, jak gdyby nutę przewodnią w tej orkiestrze grały inne instrumenty. Przede wszystkim chodziło o obronę przed zimnem, jakie takie jedzenie i możliwą w polu higienę, a ustawiczny problem kapitana Greena stanowiły niebezpieczne luki na pierwszej linii z coraz dotkliwszymi brakami uzupełnień.

Michael wspominał z niedowierzaniem oszałamiający ruch i zgiełk z czasu wędrówki w stronę frontu. Tysiące szeregowych, setki

zaaferowanych oficerów, obładowane jeepy, ciężarówki, wagony towarowe! A wszystko to pracuje bez wytchnienia dlatego jedynie, by utrzymać garstkę zagubionych, sennych, powolnych żołnierzy, dobrze zakorzenionych i bezpiecznych na zapomnianym, martwym odcinku. Przypominał też sobie prośby kapitana Greena o bodaj czterdziestu ludzi z uzupełnień.

„W wojsku — myślał — znajdzie się wszędzie przynajmniej cztery ręce do każdej roboty: w Służbie Zaopatrzenia, w kancelariach wyższych dowództw, w propagandzie, szpitalach i oddziałach transportowych. Tylko tutaj, w obliczu wroga, stany są niepełne. Tylko tutaj, podczas smutnej jesiennej szarugi, w wilgotnych schronach ziemnych, armia zdaje się reprezentować zdziesiątkowany, zubożały naród żebraków. Prezydent Stanów powiedział niegdyś, że trzecia część Amerykanów jest niedożywiona i mieszka w oplakanych warunkach. Zapewne z racji jakichś cudów z podziałem dóbr społecznych oddziały frontowe należą wyłącznie do tej właśnie trzeciej części Amerykanów”.

Nagle usłyszał jeepa nadjeżdżającego wolno w mroku. Ze względu na zaciemnienie Okna były zasłonięte kocami i koc wisiał na drzwiach. Ten właśnie koc odchylił się na moment. Wszedł powoli Noe, a za nim Berenson. Do izby wtargnął strumień chłodnego nocnego powietrza.

Ackerman zamknął za sobą drzwi i ciężko oparł się o ścianę. Kapitan Green spojrział na niego badawczo.

- No i co? — zapytał stłumionym głosem. — Widziałeś go, Noe?
- Widziałem. — Ackerman miał głos ochryply i słaby.
- Gdzie jest?
- W szpitalu polowym.
- Myślą go dalej ewakuować?
- Nie, panie kapitanie. Nie myślą go dalej ewakuować.

Berenson usiadł w kącie i z chlebaka wy dostał żelazną porcję. Z chrzęstem rozdarł karton i papierowe opakowanie. Zaczął jeść hałaśliwie. Łakomie miażdżył w zębach twarde suchary.

- Żyje jeszcze? — szepnął niepewnie Green.
- Tak, panie kapitanie. Jeszcze żyje.

Green westchnął. Zorientował się, że Noe woli nie rozmawiać.

— Chwała Bogu — powiedział. — Bądź dobrej myśli, Noe. Jutro rano pošę was obu do drugiego plutonu. A teraz wyśpijcie się dobrze.

— Dziękuję, panie kapitanie — bąknął Ackerman. — I jeszcze raz dziękuję za jeepa.

Potoczył dokoła błędnym wzrokiem. Potem szarpnął drzwi i wyszedł. Michael wstał myśląc z żalem, że od chwili powrotu przyjaciel nawet nań nie spojrział. Pośpieszył jego śladem w wilgotny mrok jesiennej nocy i raczej wyczuł, niż zobaczył Noego. Stał oparty o ścianę. Jego płaszcz nieprzemakalny szeleścił cicho na wietrze.

— Noe...

— Jestem... — Głos był bez wyrazu, spokojny, zmęczony, głuchy.

— Michael...

Stali obok siebie bez słowa. Patrzyli w dal, gdzie na widnokręgu wytryskiwały co chwila nikle błyski. Armaty pracowały wytrwale jak nocna zmiana w fabryce.

— Wyglądał wcale nieźle, przynajmniej na twarzy — zaczął nareszcie Noe zdyszczanym szeptem. — Ktoś ogolił go z rana. Podobno o to prosił. Dostał w kręgosłup. Lekarz powiedział od razu, że Johnny może się zachować dziwacznie. Ale poznał mnie, jak wszedłem. Uśmiechnął się, rozplakał... Widzisz, płakał już raz, kiedy ja zostałem ranny...

— Wiem — wtrącił Michael. — Mówiłeś.

— Potem zasypał mnie pytaniami... rozmaitymi pytaniami. Jak mi było w szpitalu? Czy byłem w Paryżu? Czy mam nowe fotografie mojego malca? Pokazałem mu zdjęcie na trawniku, które Hope przysłała mi miesiąc temu. Powiedział że dzieciak jest pierwsza klasa, bo wcale niepodobny do ojca. Potem mówił, że miał niedawno list od matki. Z tym domem za czterdzieści dolarów miesięcznie interes ostatecznie ubity... I jego matka wie, gdzie można tanio kupić używaną lodówkę... Może poruszać tylko głową. Od ramion w dół jest sparaliżowany.

Przez chwilę stali w milczeniu, patrzyli na błyski wystrzałów. Słuchali miarowego grzmotu przerywanego raz po raz kapryśnymi podmuchami listopadowego wiatru.

— Tłok mają w szpitalu — podjął Ackerman. — Na sąsiednim łóżku leży podporucznik. Młody chłopak z Kentucky. Mina urwała mu piętę. Powiada, że jest bardzo zadowolony, bo sprzykrzyło mu się być zawsze tym pierwszym, który wychyla łeb zza każdego wzgórza we Francji i w Niemczech i ściąga na siebie ogień nieprzyjaciela.

Znowu zapadła cisza.

— W życiu miałem tylko dwóch przyjaciół — ciągnął Noe. — Prawdziwych przyjaciół. Roger Cannon śpiewał często:



Wiem, robisz oczko jak ta lala  
 I kulinarny talent los także ci dał.  
 Ale czy forsą nie nawala,  
 To tylko wiedzieć bym chciał.

Zginął na Filipinach. Drugim był Johnny Burnecker. Inni mają ich dziesiątki. Łatwo zawierają przyjaźnie i potrafią utrzymywać je latami. Ja nie. To moja wina i zdaję sobie z tego sprawę. Diabelnie mało mam do zaofirowania.

W oddali błysnęło nagle i płomienie strzeliły wysoko. Pożar wyglądał dziwnie i niepokojąco na tle czarnego krajobrazu w strefie, gdzie potarcie zapalki po zmierzchu groziło ogniem własnych kolegów, gdyż nikły odbiask mógł zdradzić nieprzyjacielowi stanowiska.

— Siedziałem na łóżku i trzymałem Burneckera za rękę. — Głos Noego brzmiał sucho, monotonicznie. — Mniej więcej po piętnastu minutach biedak spojrział na mnie bardzo dziwnie. „Wynoś się! — zawołał. — Nie myśl, że ci się pozwolę zamordować!” Próbowałem go uspokoić, ale krzyczał dalej, że przysłano mnie po to tylko, żeby z nim skończyć. Jak był zdrow i mógł się bronić, mnie nie było w pobliżu. A teraz leży sparaliżowany i kiedy nikt nie będzie widział, uduszę go na pewno. Dobrze mnie poznał, bo od początku miał podejrzenia. Porzuciłem go przecież, kiedy mnie najbardziej potrzebował, a dziś szukają się do morderstwa. Potem zaczął ryczeć, że mam przy sobie nóż. Inni ranni też podnieśli wrzask, a ja nie mogłem uciszyć ani ich, ani Burneckera. W końcu przyszedł lekarz i z miejsca mnie wyprosił. Jak wychodziłem z namiotu, Johnny Burnecker wołał, żeby nie wpuszczać do niego mordercy z nożem.

Na chwilę głos Noego ucichł. Michael nie mógł oderwać wzroku od pożaru niemieckiej farmy. Mglisto wyobrażał sobie pierzyny, haftowane obrusy, porcelanowe cacka, albumy z fotografiami, domowy egzemplarz *Mein Kampf*, stoły kuchenne, gliniane kufle... Wszystko to pochłaniały płomienie w jasnym kręgu otoczonym gęstym mrokiem.

— Doktor był wyjątkowo uprzejmy — ciągnął Noe. — Jakiś pocziwy starowina z Tucson. Mówił, że przed wojną specjalizował się w leczeniu gruźlicy. Wyjaśnił mi, dlaczego Johnny jest taki, i tłumaczył, że nie trzeba brać do serca tego, co Johnny gada. Odlamek granatu złamał mu kręgosłup, co wywołało zwyrodnienie systemu nerwowego. Nie ma żadnej nadziei. Tak mówił lekarz. Zwyrodnienie systemu nerwowego — powtórzył Noe, jak gdyby był urzeczony groźnym określeniem. — Nie ma ratunku. Będzie z nim coraz gorzej

i gorzej, póki nie umrze — wzdrygnął się. — Paranoja... Lekarz powiedział, że w jeden dzień całkiem normalny chłopak może stać się zaawansowanym paranoikiem. Mówił też o manii wielkości i schizofrenii... Johnny wytrzyma nie więcej jak trzy dni, a przed śmiercią będzie zupełnym szaleńcem... Tak mówił doktor... Dlatego nie transportują go dalek, do szpitala specjalistycznego. Przed odjazdem zajrzałem jeszcze raz do namiotu. Miałem nadzieję, że trafię na okres spokoju. Zdaniem doktora było to całkiem prawdopodobne. Ale jak Johnny mnie spostrzegł, zaczął znowu krzyczeć, że idzie morderca...

Michael i Noe stali ramię w ramię, oparci o zimną, wilgotną ścianę z kamienia, za którą kapitan Green kłopotał się o uzupełnienia. W oddali płomienie strzelały wyżej i wyżej, ogarniając widocznie wciąż nowe belki domu i sprzęty niemieckiego farmera.

— Mówiłem ci już — podjął Noe — jakie znaczenie Johnny Burnecker przypisywał naszej przyjaźni. Wierzył, że obydwaj wyjdziemy cało, jeżeli będziemy razem...

— Aha — wtrącił Michael.

— Tyleśmy już przeszli — mówił Noe. — Byliśmy odcięci i przedarliśmy się jakoś. A w „Dzień D” nic się nam nie stało, choć artyleria niemiecka uszkodziła barkę...

— Aha — powtórzył Michael.

— Gdybym nie marudził, gdybym trafił tu o dzień wcześniej, Johnny Burnecker przeżyłby wojnę.

— Nie gadaj głupstw! — rzucił szorstko Whitacre i pomyślał: „Nie! Takiego brzemienia nie uniesie ten chłopiec!”

— Nie gadam głupstw — podjął spokojnie Ackerman. — Działalem opieszale. Marnotrawiłem czas. Przez pięć dni wałęsałem się po tym przeklętym obozie. Poszedłem do Peruwiańczyka, chociaż z góry wiedziałem, że mi odmówi. Po prostu leniłem się, marudziłem. ..

— Noe! Przestań bredzić!

— A ta podróż na front ile zajęła czasu? — ciągnął Ackerman lekceważąc napomnienia towarzysza. — Zatrzymaliśmy się na noclegi. Całe popołudnie poszło na marne, kiedy ten generał zaprosił nas na obiad. Za porcję kury pozwoliłem umrzeć najlepszemu przyjacielowi!

— Stul pysk) — krzyknął Michael i chwyciwszy Noego za ramiona potrząsnął nim mocno. — Stul pysk! Pleciesz jak maniak! Żebyś nigdy nie powtarzał takich nonsensów w mojej obecności! Nie chcę ich słuchać!

— Puść mnie — powiedział spokojnie Noe. — Puść i nie szarp. Bardzo przepraszam. Nie ma powodu, dla którego musiałbyś wysłuchiwać moich żalów. Zrozumiałem to dopiero teraz.

Michael opuścił ręce. „Jeszcze raz — pomyślał — zawiodłem tego nieszczęśliwego chłopca”.

Noe wzdrygnął się nerwowo.

— Zimno — szepnął. — Wracajmy pod dach.

Whitacre poszedł za nim niechętnie do izby mieszczącej punkt dowodzenia.

Następnego dnia rano kapitan Green przydzielił ich do plutonu, w którym kolegowali na Florydzie. Z dawnej czterdziestki zostało jeszcze trzech ludzi. Ci zgotowali nowo przybyłym serdeczne powitanie i dowiedli wielkiej delikatności uczuć, gdyż przy Noem unikali rozmów o Johnnym Burneckerze.

— No i zapytali tego szeregowca: „Co zrobilibyś, bracie, gdyby cię odesłali do domu?” — mówił Pfeiffer.

Pfeiffer, Noe i Michael przycupnęli na zagrzebanym do połowy kłocu za niskim kamiennym murkiem. W menażkach mieli klopsiki w zawiesistym sosie, makaron i brzoskwinie z puszki. Był to pierwszy od trzech dni ciepły posiłek, wszyscy więc chwalili kucharzy, że podciągnęli kuchnię polową tak blisko. W bezlistnym, zrytym przez artylerię brzeźniaku czekali żołnierze ustawieni w łamaną linię, rozmieszczeni co dziesięć jardów, aby wybuch pocisku nie mógł narobić wielkiej szkody. Kolejka posuwała się szybko, gdyż kucharze sprawnie wydzielali porcje.

— „Co zrobilibyś, bracie, gdyby cię odesłano do domu?” — powtórzył Pfeiffer zapchanymi ustami. — Facet pomyślał chwilę... Ale wy to na pewno znacie?

— Nie — zaprzeczył uprzejmie Whitacre.

Pfeiffer żywo pokijał głową. Był bardzo kontem.

— Najpierw, powiada ten szeregowiec, zdjąłbym buty. Potem przyrznąłbym żonę. A potem zrzuciłbym rynsztunek. — Zarechotał krótko i urwał nagle. — Bujasz, Whitacre! Musiałeś to już słyszeć.

— Słowo daję, nie — uspokoił go Michael.

„Dowcipna konwersacja przy stole—pomyślał. — Pośród biesiadników widzimy przedstawicieli świata artystycznego i wojskowych na krótkim urlopie po ważnych zadaniach frontowych. Starszy szeregowiec Pfeiffer, osobistość szeroko znana w kołach bookmacherskich Kansas i nieobca lokalnym sądom karnym, zabawia towarzystwo analizą problemów życia powojennego. Jeden z gości, reprezentant teatru amerykańskiego w zachodniej Europie, żując brzoskwinie z puszki (nasz przysmak narodowy) wyraził na własny użytek na-

stępujące poglądy: W czasie kampanii perskiej Filipa, szeregowiec Anacreon z Macedonii słuchał niewątpliwie podobnej anegdoty gdzieś w okolicach dzisiejszego Bagdadu. Gajus Publius, centurion w legiach Cezara, opowiadał coś równie błyskotliwego drugiego dnia po lądowaniu na wybrzeżach Brytanii. W przeddzień bitwy pod Austerlitz Julian Saint-Criq̄ue, chorąży z Korpusu jazdy Murata, do łez rozśmieszał kolegów dosłownym tłumaczeniem tego powiedzonka. Wytrawny znawca historii spojrział zatroskanym wzrokiem na swoje oblepione błotem buty i zastanawiając się, czy palce u nóg już mu gniją, napomknął nieśmiało, że dowcip jest niezupełnie nowy. Wytrawny znawca historii zwrócił się z tym zastrzeżeniem do starszego sierżanta Robinsona z Walijskich Strzelców Piesznych pod Ypres lub do feldfebla Fugelheimera pod Tannenbergiem, lub do sierżanta Vincenta o'Flaherty z amerykańskiej Piechoty Morskiej podczas kilkuminutowego postoju przy szosie w Lesie Aragońskim".

— Kawał pierwsza klasa — zaopiniował Michael.

— Wiedziałem, że się wam spodoba — powiedział uradowany Pfeiffer i otarł z brody resztki klopsików, makaronu i gęstego syropu.  
— Do pioruna! Człowiek musi się pośmiać czasami!

Starannie wyczyścił menażkę piaskiem i papierem toaletowym, który zawsze nosił przy sobie. Wstał i poszedł do graczy w kości roztasowanych za okopconym kominem, jedynym śladem farmy, która przetrwała trzy poprzednie wojny. Było tam trzech żołnierzy, porucznik i dwaj sierżanci z Ośrodka Łączności Korpusu. Przyjechali niedawno jeepem, zapewne na wycieczkę turystyczną. Obecnie grali z wielkim zapałem i, jak się wydawało, mieli moc pieniędzy, które nie zaskodziłyby w kieszeni piechura.

Michael przeciągnął się i zapalił papierosa. Odruchowo skurczył i rozprostował palce u złamanej nogi, aby przekonać się, czy nie drętwieją. Było mu przyjemnie, gdyż podjadł dobrze i na godzinę czuł się bezpieczny.

— Jak wrócimy do Stanów — zwrócił się do Noego — zaproszę na kolację ciebie i twoją żonę. Znam włoską knajpę przy Trzeciej Alei, na pięttrze. Zajadasz tam, bracie, i gapisz się na pociągi kolejki napowietrznej. Przejeżdżają akurat na poziomie stołu. Befszytki podają grube jak pięści. Każemy je słabo wysmażyć...

— Hope nie lubi słabo wysmażonego befsztyka — wtrącił poważnie Noe.

— W porządku! Będzie miała taki, jaki zechce. Posłuchaj! Najprzód antipasto, a później befsztyki, pulchne, soczyste, takie, co

wzdychają, jak ich dotkniesz nożem. Do tego *spaghetti* i zielona sałata, i czerwone kalifornijskie wino. A na deser rumowe ciastka i *cafe expresso*... czarna niczym smoła, z kawałkiem skórki cytrynowej. Ja stawiam! Pewnego wieczora po przyjeździe do kraju. Naturalnie możecie przyjść z małym. Posadźmy go na wysokim krzeselku.

— Nie. Małego zostawimy w domu. — Ackerman uśmiechnął się pogodnie.

Whitacre był naprawdę zadowolony, bo w ciągu trzech miesięcy spędzonych w kompanii C Noe uśmiechał się rzadko. Mówił niewiele. Twarz miał zazwyczaj skupioną. Na swój milczący sposób przywiązał się do Michaela. Obserwował go krytycznym wzrokiem starego wiarusa, służył radą i przykładem. Opiekował się nim nawet wówczas, gdy musiał wysilać cały spryt, by ratować własne życie. Nawet w grudniu, gdy kompanię załadowano śpiesznie na ciężarówkę i bez ładunku i składu rzucono przeciw czołgom, które wyłoniły się nagle ze stanowisk nieprzyjaciela, w założeniu zupełnie zdemoralizowanego i niezdolnego do akcji zaczepnej. Teraz nazywa się tę bitwę „likwidacją zagonu”. Należy ona do przeszłości. Ale wtedy, w terenie, było naprawdę gorąco. Whitacre pamięta dokładnie tylko jeden szczegół. Siedzi skulony w jamie, którą Noe kazał mu pogłębić o dwie stopy, chociaż Michael był zmęczony, a kaprys przyjaciela uważał za przesadną ostrożność. Niemiecki czołg nadjeżdża gołym polem, zbliża się, podskakuje... Nie ma pocisków do bazooki, a samobieżne działko przeciwpancerne płonie w niedalekim sąsiedztwie... Można zrobić tylko jedno: dać nurka w jamę... Kierowca czołgu spostrzegł widać nikinącą głowę, bo skręcił, żeby przejechać Michaela... Z karabinów maszynowych czołg nie mógł go osiągnąć... Ach, ta nieskończenie długa minuta! Nad głową siedemdziesięciotonowa maszyna... Łoskot gąsienic... Grad ziemi i kamyków na helmie i plecach... Michael wrzeszczy na całe gardło, ale w huczącej ciemności nie słyszy własnego głosu... Dziś wydaje się to koszmarem, o jakim żołnierz winien porozmawiać z psychoanalitykiem ze Służby Zdrowia. Trudno uwierzyć, by coś podobnego mogło się naprawdę przytrafić mężczyźnie po trzydziestce, który mieszkał niegdyś wygodnie w centrum Nowego Jorku, jadał w tak wielu dobrych restauracjach, miał w szafie pięć eleganckich tweedowych garniturów i w słoneczne dni chętnie jeździł powoli Piątą Aleją, siedząc przy kierownicy odkrytego wozu... A skoro się już przytrafiło, po tym loskocie stalowych gąsienic o kilka cali nad głową niepodobna sobie wyobrazić normalnego życia... Niepodobna sobie wyobrazić, że ktoś, kto przeżył takie piekło, zdoła kiedyś

choćby myśleć o winie, befsztykach, Piętej Alei... Michael został zmuszony przez Noego do wykopania jamy wystarczająco głębokiej, by zapewnić bezpieczeństwo. Czółg go nie zmiażdżył, lecz jak gdyby zburzył most wiodący do cywilnego życia... Została tylko ziejąca szczelina, ciemna otchłań wypełniona jedynie halucynacjami... Whitacre wspominał później często ten czółg umykający śpiesznie wśród pióropuszy ziemi unoszonej przez granaty, które wybuchały dookoła. Wspominał czółg i zdawał sobie sprawę, że w tym momencie został wreszcie żołnierzem. Upřednio był zaledwie istotą przebraną w mundur, odwołaną na krótko z innego życia...

„Stars and Stripes” — codzienne pismo dla amerykańskich sił zbrojnych — nazywało tę bitwę „likwidacją zagonu”. Padło w niej wielu ludzi, a Liege i Antwerpia były poważnie zagrożone. Armii wyrażono uznanie z racji pięknej postawy i błyskawicznej reakcji, różne zaś przykre rzeczy mówiono dyskretnie o Montgomerym, który przyjaźń anglo-amerykańską propagował obecnie nie tak gorąco jak w dniu czwartego lipca, gdy Noemu przypinał Srebrną Gwiazdę... Likwidacja zagonu przyniosła uczestnikom brązową gwiazdkę za kampanię, czyli dalsze pięć punktów do zwolnienia... Ale Whitacre pamiętał dobrze tylko moment, kiedy dźwięczał mu w uszach szorstki, rozkazujący głos: „Nic mnie nie obchodzi, że jesteś zmęczony. Musisz wykopać jeszcze dwie stopy...” A potem zgrzyt i łoskot gąsienic nad zabloconym hełmem.

Michael zerknął z ukosa w stronę przyjaciela. Noe spał siedząc oparty o kamienny murek. Ostatnio tylko we śnie wyglądał młodo. Jego skąpa, bardzo jasna bródka przedstawiała się niepozornie w porównaniu z bujnym, ciemnym zarostem Michaela, godnym trampa, który pod wagonami odbył podróż z Vancouveru do Miami. W oczach Noe miał zwykle skupiony smutek starości. Obecnie jednak powieki były opuszczone i Whitacre po raz pierwszy zwrócił uwagę na delikatne, podwinięte rzęsy, gęste i złociste na końcach. Dzięki tym rzęsom szczególnie łagodny wyraz cechował górną część twarzy Noego. Michael odczuł falę wdzięczności i współczucia dla dobrego kolegi, który spał otulony ciężkim, poplamionym płaszczem, a końcami palców w wełnianych rękawiczkach dotykał lufy automatycznego karabinka. Patrząc na przyjaciela Whitacre uprzytomnił sobie, z jak niesłychanym trudem ten wąty chłopiec zachowuje godność i powagę, zdobywa się na szybkie, śmiałe żołnierskie decyzje, walczy odważnie, z regulaminową precyzją. A wszystko dlatego, by uchronić życie w czasie i miejscu, gdzie śmierć porywa na chybił trafił dziesiątki

najbliższych sąsiadów. Delikatne, złociste rzęsy zatrzepotały lekko na tle zniekształconej pięściami twarzy i Michael pomyślał ze wzruszeniem o czasach, kiedy Hope musiała nieraz patrzeć na tę nieodpowiednią, raczej dziewczęcą ozdobę i uśmiechać się z tklwym, prawie radosnym smutkiem. Ile lat liczy Noe? Dwadzieścia dwa? Dwadzieścia cztery? Mąż, ojciec, doświadczony żołnierz... Miał tylko dwóch przyjaciół i obydwóch stracił... Potrzeba mu przyjaźni jak innym powietrza i dlatego właśnie zadreżając się tęsknotą nie szczędzi rozpaczliwych wysiłków, by utrzymać przy życiu nieporadnego, starzejącego się gamonia nazwiskiem Whitacre, który zdany na własne siły na pewno zdążyłby już nadepnąć na minę albo na szczycie wzgórza pokazać się strzelcowi wyborowemu, albo przez niedbałe lenistwo zginąć pod czołgiem w nie dość głębokiej jamie. Czerwone wino kalifornijskie i befsztyki zamajaczyły po drugiej stronie czarnej otchłani wypełnionej dotychczas jedynie halucynacjami. Pierwszy wieczór w kraju... Ja stawiam! To niemożliwe, a jednak musi przyjść kiedyś... Michael przymknął oczy. Bolesnie odczuł brzemię tragicznej odpowiedzialności.

Od grupki grających w kości przyplłynął głos:

— Niech będzie tysiąc franków. Liczy się wyżej dziewiątki.

Whitacre otworzył oczy, wstał cicho i z karabinem w rękę poszedł trochę pokibicować.

Pfeiffer rzucał i szczęście widać mu dopisywało. W rękę miał plik banknotów. Porucznik ze Służby Zaopatrzenia trzymał się na uboczu, ale sierżanci grali. Porucznik był ubrany w galowy płaszcz oficerski, ciemnokawowy, doskonale skrojony. Będąc ostatni raz w Nowym Jorku Michael widział taki płaszcz w oknie wystawowym firmy Abercrombie i Fitch. Wszyscy trzej mieli na nogach spadochroniarskie buty, chociaż nie ulegało wątpliwości, że nigdy w życiu nie skakali z niczego wyższego niż stółek barowy. Byli tędzy, wysocy, starannie ogoleni, czysto ubrani, wypoczęci. Brodaci piechurzy sprawiali przy nich wrażenie nędznych, niedożywionych okazów niższej rasy.

Goście mówili głośno, stanowczym tonem, a poruszali się energicznie, co dziwnie kontrastowało z cichym, skromnymi, nieporadnym zachowaniem ludzi ściągniętych na godzinę z wysuniętych stanowisk, żeby zjeść pierwszy ód trzech dni ciepły posiłek.

„Gdybym szukał żołnierzy do szturmowego pułku, co ma zdobywać miasta, utrzymywać przyczółki mostowe i stawiać czoło broni pancernej — myślał Michael — bez wahania wybrałbym tych przystojnych, zdrowych byków. Oczywiście w wojsku kombinuje się jakoś



inaczej. Faceci o tubalnych głosach i wspaniale rozwiniętych mięśniach pracują w przytulnych kancelariach, pięćdziesiąt mil za linią frontu. Wystukują na maszynach papierki i troskliwie dorzucają węgla do buchającego żarem żelaznego piecyka, jaki stoi na środku pokoju, żeby pisarzy chronić przed zimowym chłodem." Przypomniał sobie mówkę, którą sierżant Houlihan z drugiego plutonu zwykł witać świeże uzupełnienia.

— Niech to licho! — mówił Houlihan. — Dlaczego do piechoty trafiają sami faceci z kategorią F 4? Dlaczego kwatermistrze dostają wszystkich mistrzów w dźwiganiu ciężarów, turniejowych strzelców i innych rekordzistów Ameryki? Gadajcie no, chłopaki! Jest między wami choć jeden, co waży więcej niż sto trzydzieści funtów?

, Naturalnie była w tym przesada, a sierżant Houlihan wygłaszał takie przemówienia z chytryści. Wiedział, że rozmieszcy nowych i z miejsca zyska ich sympatię. Jednakże przy dysponowaniu ludźmi niedorzeczność wiele miała do powiedzenia. To pewne!

Przyglądając się graczom Whitacre zauważył, że porucznik wydo był z kieszeni butelkę i pociągnął długi łyk. Pfeiffer zmierzył go bystrym wzrokiem i zagrzecotał kostkami w oblepionej błotem ręce.

— Poruczniku — odezwał się. — Co pan ma w kieszeni?

Oficer roześmiał się głośno.

— Koniak, czyli po naszymu brandy — objaśnił.

— Wiem, że koniak to po naszymu brandy — powiedział Pfeiffer.

— Co pan chce za to?

Porucznik spojrział na plik banknotów w garści piechura.

— Ile tam tego? — zapytał.

Pfeiffer policzył pieniądze.

— Dwa tysiące franków. Jak obszył czterdzieści dolarków. No i co? Przyda mi się flaszka dobrego koniaku. Rozgrzeje stare gnaty.

— Cztery tysiące — rzucił chłodno oficer. — Cztery tysiące franków i koniak pański.

Pfeiffer zerknął 'spode łba na porucznika Służby Zaopatrzenia. Splanął powoli. Później przemówił do trzymanyh w ręku kości:

— Kostki, kosteczki, miłe córeczki! Papie zasycha w gardle. Papa powinien się napić. — Położył przed sobą dwa tysiące franków.

Sierżanci z nowymi błyszczącymi gwiazdami w kole na rękawach pochylili się nad nim.

— Kostki, kosteczki, miłe córeczki — podjął brodaty piechur.

Dzień jest chłodny. Papa musi się rozgrzać. — Pieszczotliwym ruchem, jak gdyby to były delikatne płatki kwiatów, wysunął kostki

z dłoni. — No, odczytajmy — powiedział bez uśmiechu. — Siedem! Bierz pan forsę, poruczniku. Butelka moja.

Znów splunął i wyciągnął rękę.

— Doskonale. — Oficer podał mu flaszkę i zgarnął pieniądze. — Bardzo się cieszę, że przyjechaliśmy tutaj.

Pfeiffer pił długo ze smakiem. Koledzy przyglądali mu się w milczeniu, ubawieni i trochę zawstydzeni jego rozrzutnością. Kiedy skończył, starannie zakorkował flaszkę i schował do kieszeni płaszcz.

— Dzisiaj w nocy mam pójść do natarcia — powiedział wojowniczo. — Po diabła forsować rzekę z czterema tysiącami w kieszeni? Jeżeli szwaby mnie zatłuką, zginie żołnierz z kaldunem pełnym szlachetnego trunku.

Usprawiedliwiwszy się w taki sposób, zarzucił karabin na ramię i odszedł sprężystym krokiem.

— Służba Zaopatrzenia — odezwał się jeden z kibicujących piechurów. — Teraz wiem, dlaczego tak się nazywa.

Oficer wybuchnął beztróskim śmiechem. Widocznie nie miał zwyczaju brać do siebie krytycznych uwag. Michael zapomniał, że człowiek może śmiać się w taki sposób, pogodnie, bez wyraźnego powodu, dając po prostu upust rezerwom dobrego humoru. Ludzi zdolnych do takiego śmiechu można zapewne znaleźć pięćdziesiąt mil za frontem. Nikt z obecnych nie zawtórował porucznikowi.

— Powiem wam teraz, chłopcy, w jakim celu przyjechaliśmy do was — podjął porucznik ze Służby Zaopatrzenia.

— Ja zgadnę! — zawołał Crane z plutonu Michaela. — Przysłał was oddział Informacji i Oświaty. Macie kwestionariusze. Czy dobrze się czujesz w wojsku? Czy zadowolony jesteś z rodzaju wykonywanej pracy? Czy w ciągu ostatniego roku chorowałeś więcej niż trzy razy na gonoreę?

Porucznik znów się roześmiał.

„Facet strasznie skory do śmiechu” — pomyślał Michael mierząc go nieprzychylnym wzrokiem.

— Nie, nie! — podjął wesoly oficer. — Sprowadzają nas sprawy handlowe. Slyszeliśmy, że w tej okolicy nietrudno o pierwszorzędną pamiętki wojenne. Widzicie, dwa razy na miesiąc jeżdżę do Paryża, a tam jest doskonały rynek na taki towar jak niemiecka broń, aparaty fotograficzne, lornetki. Gotowi jesteście płacić dobre ceny. No i co, chłopcy? Macie coś do sprzedania? Robimy interes?

Przez chwilę piechurzy spoglądali na siebie bez słowa.

— Mam śliczny karabin garanda — odezwał się Crane. — Chętnie się z nim rozstanę za pięć tysięcy franków. Albo — ciągnął z niewinną miną — może być bluza polowa. Podniszczona, ale ma zabytkową wartość.

Porucznik jeszcze raz zachichotał. Niewątpliwie bawiła go wycieczka na front. Dobrze wykorzystywał wolny dzień.

„Napisze o tym do swojej dziewczyny w Wisconsin — pomyślał Whitacre, — Komici w tej piechocie. Trochę z gruba ciosani, ale komici pierwsza klasa!”

— Mniejsza o to — powiedział oficer. — Sami się rozejrzemy. Podobno w zeszłym tygodniu były tu jakieś walki. Powinno się poniewierać dużo towaru.

Piechurzy znowu spojrzeli po sobie.

— Dużo — przytaknął chłodno Crane. — Nie zmieści się do jeepa. Będzie pan największym bogaczem w Paryżu.

— Którędy droga na front? — rzucił żywo porucznik. — Chciałbym tam wpaść na moment.

Jeszcze raz zapadła głucha, lekko zdyszana cisza.

— Droga na front — powtórzył z głupia frant Crane. — Chciałby pan wpaść tam na moment?

— Tak! Nie słyszeliście, co mówiłem? — Porucznik tracił stopniowo dobry humor.

— Tędy, panie poruczniku. — Crane wskazał kierunek ręką. — Prawda, chłopcy, że tędy?

— Tak jest, panie poruczniku — potwierdzili chórem chłopcy.

— Niepodobna zabłądzić — dodał Crane.

Porucznik zdążył tymczasem zorientować się w sytuacji.

— Hej, wy — zwrócił się do Michaela, który nie zabrał dotąd głosu. — Możecie mi powiedzieć, którądy droga na front?

— Na front... — zaczął Whitacre.

— Pójdzie pan porucznik tą drogą — przerwał mu Crane. — Tak z półtorej milki. Potem na stoku będzie lasek. Wdrapie się pan na grzbiet wzgórza, spojrzy przed siebie i trochę w dół i zobaczy rzekę. To właśnie front, panie poruczniku.

— Prawdę mówi? — zapytał podejrzliwie oficer.

— Tak jest, panie poruczniku — potwierdził Michael.

— Dobra! — Porucznik uwierzył widać ostatecznie, bo zwrócił się do jednego z sierżantów: — Louis, wóz zostawimy tutaj. Pójdziemy pieszo. Zablokuj silnik.

— Rozkaz, panie poruczniku!

Sierżant podniósł maskę jeepa, wyjął pazur rozdzielacza i odłączył kilka kabelków. Porucznik zbliżył się również do samochodu, wziął pustą torbę oficerską i przerzucił przez ramię.

— Michael — odezwał się spod murku Noe. — Chodź. Pora na nas.

Whitacre skinął głową. Miał ochotę zatrzymać porucznika ze Służby Zaopatrzenia, poradzić mu, by umykał co tchu do swojej zacisznej kancelarii z ciepłym piecykiem. Omal tego nie zrobił, ale w ostatniej chwili postanowił, że się nie będzie wtrącać. Leniwie ruszył z miejsca i dogonił Noego, który grzązł w błocie idąc przydrożkiem w stronę odległego o półtorej mili odcinka kompanii.

Drugi pluton zajmował stanowiska w dogodnym siodle na grzbiecie pasma wzgórz równoległego do rzeki. Mimo braku liści zarośla i gęsto podszyte kępy drzew dawały niezłą osłonę, ludzie mogli się więc poruszać stosunkowo swobodnie. Z grzbietu widać było strome, upstrzone krzakami zbocze i wąskie, gołe pole nad rzeką, a po drugiej jej stronie podobne pasmo wzgórz obsadzone przez Niemców. Głucha cisza spowijała zimowy krajobraz. Ciemna, mętna woda płynęła między oblodzonymi brzegami, a w miejscach, gdzie napotykała zatopione kloce, kreśliła jaśniejsze, oleiste smugi. Głucha cisza spowijała obydwa zbocza, zarośla i płaty brudnego śniegu. Nocami wybuchala od czasu do czasu strzelanina, ale za dnia teren był zbyt niebezpieczny dla patroli, panował więc swego rodzaju milczący rozejm. Pierwsza linia nieprzyjacielska ciągnęła się jakoby w odległości mniej więcej tysiąca dwustu jardów i tak wytyczono ją na mapach w odległym, bajecznie bezpiecznym dowództwie dywizji.

Drugi pluton tkwił na miejscu od dwóch tygodni i gdyby nie nocne wymiany strażów (ostatnia zdarzyła się przed trzema dniami), można by sądzić, że Niemców w ogóle nie ma po tamtej stronie rzeki. Zdaniem Michaela, nikt nie wiedział na pewno, czy zabrawszy sprzęt nie odeszli cichaczem.

Ale sierżant Houlihan był innego zdania. Miał nosa do Niemców. Niektórzy umieją poznać na pierwszy rzut oka oryginał starej hollenderskiej szkoły. Inni na podstawie smaku wina potrafią określić, że to produkt jakiejś mało znanej winnicy pod Dijon — zbiór z roku tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego. Specjalnością dowódcy drugiego plutonu byli Niemcy. Houlihan miał twarz irlandzkiego naukowca — długą, suchą, inteligentną, o wysokim czole. Oczy ma wyobraźni widzi się podobne twarze myśląc o dublińskim uniwersytecie i gronie przyjaciół Joyce'a. Houlihan obserwował często grzbiet wzgórz po

drugiej stronie rzeki i kryjąc się w zaroślach, powtarzał zatoskanym tonem:

— Jest tam gdzieś gniazdo. Jest na pewno. Dranie dobrze zamaskowali karabin maszynowy. Siedzą po cichu i czekają na nas.

— Dotychczas kwestia ta nie miała żywotnego znaczenia. Pluton nie wychodził na przedpole, gdyż dla patroli rzeka stanowiła przeszkodę nie do przebycia. Jeżeli więc karabin maszynowy czaił się istotnie, nie zagrażał bezpieczeństwu ludzi ukrytych za grzbieciem wzgórza. Moździerz Niemcy widocznie nie mieli, a w każdym razie nie zdradzili ich stanowisk w lasach za pasmem wzgórz. Przewidywano jednak, że tego dnia po zmroku saperzy przerzucą kładkę, a kompania kapitana Greena sforsuje szeroką na pięćdziesiąt jardów rzekę i nawiąże styczność z nieprzyjacielem obsadzającym wzgórza na przeciwnym brzegu. Nad ranem inne oddziały przejmą inicjatywę i poprowadzą dalsze natarcie. W dywizji plan ten musiał uchodzić za dobrze obmyślany, nie podobał się jednak Houlihanowi, który obserwował wciąż przez lornetkę czarną, lodowato zimną rzekę i ciągnące się za nią ciche wzgórza, pokryte zaroślami i upstrzone płatami śniegu.

Kiedy Noe, Michael, Pfeiffer i Crane nadeszli Houlihan rozmawiał z Greenem przez telefon polowy przymocowany rzemieniem do drzewa.

— Panie kapitanie — mówił — całkiem mi się to nie podoba. Za wielka cisza. Na tamtym grzbiecie jest gdzieś dobrze zamaskowany karabin maszynowy. Głowę daję. W nocy szkopy rzucą „choinki" we właściwej chwili. Będą nas mieli jak na patelni. Pięćset jardów gołego pola, i kładkę. Słucham.

Głos kapitana zamamrotał słabo w słuchawce.

— Tak jest, panie kapitanie — podjął sierżant. — Jak wpenetruję ten kaem, będę meldował.

Westchnął i odłożył słuchawkę. Przez chwilę patrzył na drugą stronę rzeki z zatoskaną miną myśliwieca. Bezwiednie przygryzał wargi i mlaskał.

— Kapitan powiada — odezwał się wreszcie — że zaraz mamy wysłać patrol. Trzeba pokazać się szkopom, w razie potrzeby zejść nad samą rzekę i ściągnąć ogień. Rozumiecie? Wtedy stąd, z góry, wypatrzmy źródło ognia i damy znać do kompanii, a dalej moździerze zrobią swoje. — Podniósł lornetkę do oczu i w szarym świetle popołudnia obserwował niewinnie wyglądający grzbiet za wodą. — Kto na ochotnika? — rzucił od niechcenia.

— Michael rozejrział się dokoła. Siedmiu żołnierzy pilnie słuchało sierżanta. Teraz wszyscy przywarowali w płytkich wnękach strzeleckich. Nagle zainteresowali się żywo własną bronią, grudkami wykopanej ziemi, deseniem, jaki kreślą nagie gałązki pobliskiego krzaka.

„Trzy miesiące temu zapewne bym się wyrwał — pomyślał Whitacre. — Chciałbym dowieść czegoś niedorzecznego, okupić jakieś winy. Ale Noe nauczył mnie rozumu”.

Uważnie zaczął oglądać paznokcie. Milczał.

Houlihan westchnął i znów zapadła cisza. Upłynęła minuta. Wszyscy myśleli intensywnie, obrazowo o chwili, kiedy szperacz patrolu ściągnie na siebie ogień niemieckiego cekaemu.

— Sierżancie! — zabrzmiał nagle melodyjny głos. — Można tam wejść do was?

Michael podniósł wzrok. Porucznik ze Służby Zaopatrzenia i dwaj jego towarzysze podróży wspinali się niezdarnie stromym zboczem wzgórza. Uprzejme pytanie zawisło w powietrzu nad ludźmi skulonymi w strzeleckich wnękach, szaleńczo beztroskie, niedorzeczne, farsowe.

Houlihan odwrócił się zdziwiony. Oczy miał wąskie niby szpareczki.

— Sierżancie — szepnął Crane — facet przyjechał zbierać pamiątki wojenne. Chce je wieźć na sprzedaż do Paryża.

Houlihan poruszył wydatną szczęką o kruczoczarnej brodzie. Jego długą, suchą twarz ożywił na chwilę zagadkowy wyraz.

— Oczywiście, panie poruczniku! — zawołał żywo z ledwie uchwytną ironią. — To zaszczyt dla nas. Prawdziwy zaszczyt.

Porucznik dyszał po niezbyt forsownej wspinaczce. Chętnie też skorzystał z pomocnej ręki Houlihana.

„Nie jest w tak dobrej formie, jak by się zdawało — pomyślał Whitacre. — Widać w Służbie Zaopatrzenia zaniedbał ostatnio grę w polo”.

— Mówiono mi, że tutaj jest front — odezwał się oficer kładąc szczególny nacisk na ostatnim słowie. — Czy to prawda, sierżancie?

— W pewnym sensie tak, panie poruczniku odrzekł Houlihan.

Inni słuchali w milczeniu.

— Co za spokój! — podjął gość i podejrzliwie rozejrział się dokoła.

— Dwie godziny bez jednego strzału! Nie myli się pan, sierżancie?

Houlihan roześmiał się dyskretnie.

— Coś panu porucznikowi powiem — szepnął tonem zwierzenia.

— Na mój głupi rozum, Niemcy wycofali się tydzień temu. Śmiało mógłby pan pójść spacerkiem stąd do Renu.

Michael spojrział zdziwiony na dowódcę plutonu. Houlihan miał twarz pogodną, dziecięco szczerą. Przed wojną był konduktorem" autobusu kursującego po Piątej Alei. Takich sztuczek nie mógł nauczyć się jeżdżąc do placu Waszyngtona i z powrotem.

— Świetnie — ucieszył się oficer. — Powiem otwarcie, że znacznie u was ciszej niż w naszym Ośrodku Łączności. Prawda, Louis?

— Tak jest, panie poruczniku.

— Nie kręcą się zaafetowani pułkownicy — ciągnął porucznik.  
— Nie zwracają głowy. I człowiek nie musi się golić codziennie.

— Słusznie, panie poruczniku — przyznał Houlihan. — My nie musimy golić się codziennie.

Oficer spojrzął na stok opadający ku rzece.

— Słyszałem — podjął poufale tonem — że tu, w dole, łatwo znaleźć różne niemieckie pamiątki wojenne.

— Oczywiście, panie poruczniku. Naturalnie. O, na tym na przykład polu gęsto leżą helmy i porzucona broń, i doskonale aparaty fotograficzne.

„No, teraz przeholował — pomyślał Whitacre. — Stanowczo przeholował!” Zerknął na gościa ze Służby Zaopatrzenia, by zobaczyć, z jaką miną przyjmuje drwiny, ale na czerstwej, rumianej twarzy dostrzegł jedynie wyraz chciwości. „Kto takiemu dał stopień oficerski?” — dodał bezgłośnie.

— Louis, Steve — rzucił dziarsko oficer. — Zejdziemy na dół. Rozejrzemy się trochę.

— Momencik, panie poruczniku — zmitygował go ostrożny Louis. — Momencik. Czy tam przypadkiem nie ma min?

— Ani jednej. Pod gwarancją — zapewnił Houlihan.

Piechurzy tkwili spokojnie w swoich wnękach. Milczeli. Uparcie spoglądali w ziemię.

— Pozwoli pan, sierżancie — podjął oficer — że zejdziemy na dół i pomyszkujemy kwadransik po tym polu?

— Oczywiście, panie poruczniku — zgodził się Houlihan. — Pan będzie łaskaw czuć się jak u siebie w domu.

„Teraz — pomyślał Michael — powie, że to kpiny, że bierze ich na fundusz. Przekonają się sami, jacy z nich idioci, i prędko wrócą na tyły”.

Ale Houlihan stał bez ruchu.

— Będzie pan miał nas na oku. Prawda, sierżancie?

— Na pewno, panie poruczniku. Będę was miał na oku.

— Dziękuję. Jazda, chłopcy!

Nieporadnie rozgarniając krzaki zaczął schodzić zboczem. Dwaj sierżanci podążali za nim.

Whitacre odwrócił głowę w stronę przyjaciela. Noe przewierał go uporczywym, rozkazującym spojrzeniem ciemnych oczu starego człowieka. Dawał w ten sposób znać, że trzeba czekać i milczeć. Groził.

„Ostatecznie — pomyślał ugodowo Whitacre — to jego pluton, nie mój. Poznał tych wszystkich ludzi dawniej i lepiej...” Niechętnie zwrócił wzrok ku stokowi wzgórze i rzece. Porucznik w pięknym płaszczu i jego towarzysze schodzili niezręcznie śliskim zboczem. Od czasu do czasu czepiali się krzewów i pni drzew. „Nie — pomyślał Michael. — Nie dbam, co o mnie pomyślą w plutonie. Nie dopuszczę do tego. Nie mogę dopuścić!”

— Houlihan! —: Stał obok sierżanta, który z napięciem obserwował grzbiet wzgórze po drugiej stronie rzeki. — Houlihan! Tak nie można! Nie wolno! Nie pozwolisz im zejść niżej! Houlihan!

— Stul pysk — syknął szeptem sierżant. — Nie ucz mnie, co mam robić. Ja dowodzę plutonem, nie ty!

->- Idą na pewną zgubę — nacierał dalej Whitacre zapatrzony uparcie w sylwetki ślizgające się po brudnym śniegu.

— Dobrze im tak! — zawołał Houlihan, a Michael przeląkł się wyrazu nienawiści i pogardy, jaki wykrzywił subtelną, myślącą twarz o cienkich wargach. — Może wolałbyś inne rozwiązanie, co? Dlaczego nie mogą nigdy ginąć takie skurwysyny? Są przecież w wojsku, co? Pamiętaj im się zachiało?

— Musisz ich zatrzymać — podjął Whitacre ochryłym głosem. — Jeżeli tego nie zrobisz, złożę meldunek. Przysięgam Bogu, że złożę meldunek i...

— Stul pysk, Whitacre — przerwał mu Noe.

— Złożysz meldunek. Pięknie — Houlihan bacznie obserwował przeciwległy brzeg. — A może sam chcesz pójść na patrol? I jeszcze przed wieczorem wyciągnąć kopyta, co? Może wolisz, żeby zginął Ackerman albo Pfeiffer, albo Crane? Naturalnie! Lepiej narazić przyjaciół niż te spasionie świny z Zaopatrzenia. Zbyt im dobrze na świecie, żeby mieli umierać. O to ci chodzi, co? — Nagle zmienił ton i spokojnie, rzeczowo zwrócił się do podkomendnych: — Nie patrzeć, chłopcy, na tych frajerów na polu. Obserwować grzbiet wzgórze. Obserwować jak cholera! Będą tylko dwie, trzy krótkie serie. Na wolno ich przegapić. Potem nie spuszczać z oka tego miejsca i określić je dokładnie. Zrozumiano? No i co, Whitacre? Chcesz jeszcze, żebym ich zawrócił?



— Ja... — zaczął Michael i w tej chwili usłyszał strzały, zorientował się więc, że jest za późno.

Na polu nad rzeką ciemnokawowy płaszcz osunął się wolno na ziemię. Louis i Steve zawrócili pędem, lecz nie odbiegli daleko.

— Sierzancie. — Głos Noego był chłodny, opanowany. — Wiem, skąd kaem strzelał. Dwadzieścia jardów w prawo od dużego drzewa. Koło dwóch krzaków, co sterczą trochę wyżej niż inne. Widzisz?

— Widzę — odpowiedział Houlihan.

— Dokładnie dwa albo trzy jardy w lewo od tego bliższego krzaka.

— Na pewno? Ja akurat przegapiłem.

— Na pewno.

Whitacre zrozumiał nagle, że podziwia i nienawidzi Noego. „Boże — pomyślał. — Ile ten chłopak nauczył się od Florydy!”

— No, jak tam? — zwrócił się Houlihan do Michaela. — Masz jeszcze zamiar złożyć meldunek?

— Nie. Nie złożę meldunku.

— Oczywiście. — Przyjaźnie poklepał Whitacre'a po ramieniu. — Wiedziałem z góry.

Raźno podszedł do telefonu polowego, połączył się z punktem dowodzenia kompanii i na użytek mózdzierzy podał dokładne położenie gniazda niemieckiego karabinu maszynowego.

Znowu zapanowała kompletna cisza szarego zimowego popołudnia. Trudno było uwierzyć, że tak niedawno szczechnął karabin maszynowy i zginęło trzech ludzi.

Whitacre odwrócił głowę w stronę przyjaciela. Noe klęczał na jednym kolanie. Kolbę karabinu oparł na błotnistym gruncie. Twarzą przywarł do lufy. Był podobny do pioniera ze starej ryciny, osadnika z czasów walk z Indianami, gdzieś w Kentucky czy Nowym Meksyku. Wyzywająco spoglądał na Michaela. Oczy gorzały mu zawziętym, bezwstydnym blaskiem.

Michael spuścił wzrok i ciężko usiadł na ziemi. Dopiero w tej chwili ogarnął cały sens słów, których Ackerman nie szczędził, by w Obozie Uzupelnień wytłumaczyć, że w wojsku można żyć tylko tam, gdzie się ma przyjaciół.

Przed wczesnym zimowym zmierzchem mózdzierze otworzyły ogień. Dwa pierwsze strzały były za krótkie, więc Houlihan podał przez telefon poprawki. Trzeci pocisk wylądował dokładnie we wskazanym miejscu. Tak samo czwarty. Na grzbiecie, po drugiej stronie rzeki poruszyły się zarośla. Jak gdyby ktoś próbował

wydostać się z gęstwiny, lecz nie zdążył i upadł. Potem uspokoiło się wszystko.

— Gotowe, panie kapitanie —' zameldował Houlihan przez telefon. — Jeszcze jedna piguła w to samo miejsce. Na dobrą wróżbę!

Moździerz ulokował jeszcze jedną pigułę w tym samym miejscu — na dobrą wróżbę. Ale po wybuchu nic już nie poruszyło się w zaroślach.

Gdy się ściemniło, przybyła kompania saperów dźwigając pontony i bale. Michael z innymi pomagał ściągać ciężki materiał nad brzeg rzeki. Po drodze mijał kilkakrotnie ciemnokawową plamę. Wiedział, że to płaszcz porucznika ze Służby Zaopatrzenia, i starał się nie patrzeć. Saperzy pracowali w lodowatym mroku i uporali się z prawie połową mostku, kiedy na niebie rozkwitła pierwsza „choinka”. Działa odezwały się po obydwu stronach. Niemiecki ogień broni małokalibrowej był chaotyczny i przypadkowy, a moździerze tłumily go skutecznie. Pociski artyleryjskie padały rzadko, niecelnie, jak gdyby nieprzyjaciel oszczędzał amunicji, a koncentracja ognia na grzbiecie wzgórz utrudniała pracę wysuniętych obserwatorów. Mostu nie trafiono ani razu. Trzech saperów zostało rannych już na przeciwległym brzegu, a wszyscy inni byli zrani wodą rozpryskiwaną przez bliskie wybuchy.

„Choinki” oświetlały rzekę niesamowitym błękitnym blaskiem, w którym zajęci pracą ludzie wydawali się dłudzy i ciency, a ruchy mieli podobne do owadów. Nieliczna szpica plutonu przebiegła mostem, lecz Lawson został trafiony i runął do wody. Drugą ofiarą był Mukowski.

Michael przycupnął obok Noego. Czuł na ramieniu hamującą dłoń przyjaciela. Baczenie obserwował ludzi, którzy kolejno przemykali na drugi brzeg po wąskich, śliskich deskach. Ktoś potknął się, upadł w poprzek i leżał bez ruchu. Inni musieli przez niego skakać. Michael czuł, że jego ramię drży pod palcami Noego.

„Nie — myślał z rozpaczą. — To niepodobieństwo. Nikt nie może wymagać ode mnie takich rzeczy. Nie ma prawa.”

— Naprzód! — szepnęła Ackerman. — Teraz!

Whitacre nie drgnął. Pocisk wybuchnął w rzece o dziesięć stóp od mostu. Ciemna fontanna przesłoniła na chwilę rannego czy trupa leżącego na chwiejnych, rozdygotanych deskach.

Michael poczuł na karku silne uderzenie pięści.

— Naprzód! — krzyczał Noe. — Naprzód, skurwysynu! Teraz! Teraz!

Whitacre poderwał się i skoczył przed siebie. Ledwie stąpnął na oślizłe drewno, pocisk eksplodował przy końcu mostu. Michael nie wiedział, czy most istnieje jeszcze, nie zawahał się jednak i biegł co sił. Na drugiej stronie znalazł się błyskawicznie.

— Tędy! Tędy! — odezwał się głos w ciemności. — Za mną!

Whitacre posłusznie ruszył za tym głosem, potknął się i wylądował w dole, gdzie zastał już kompana.

— Dobrze — szepnął mu w ucho Noe. — Teraz siedź tu, aż się reszta przeprawi.

Michael przytknął policzek do wilgotnej ziemi. Z lubością chłodził zroszoną potem skórę. Odpoczywał. Oddychał z coraz mniejszą trudnością. Po chwili wytknął głowę i zobaczył niewyraźne sylwetki przemykające kładką pośród wysokich gejzerów. Głęboko wciągnął powietrze. „Zrobiłem swoje — pomyślał. — Odbyłem przeprawę pod ogniem. Stać mnie było! Potrafię tyle co inni. — Ze zdziwieniem poczuł, że się uśmiecha, odwrócił więc wzrok w stronę niewidocznych Niemców—zakończył: — Jeszcze będzie ze mnie żołnierz jak wszyscy diabli!”

Z daleka wyglądało to nieźle, prawie jak zwykły obóz wojskowy położony malowniczo wśród zielonych, rozległych pól na tle łagodnych wzgórków porośniętych lasem. Oczywiście baraki były bardziej skupione, a podwójny płot z drutu kolczastego i wyżki rozmieszczone w równych odstępach wyjaśniały wszystko. No i zaduch!... Już w odległości dwunastu metrów powietrze zatrzymał smród tak gęsty, jak gdyby gazy miały lada chwila przybrać postać stałą.

Nie odstraszyło to Christiana. W jasny, wiosenny ranek kuśtykał szybko drogą wiodącą do głównej bramy. Musiał posilić się i zasięgnąć wiadomości. Może w obozie ktoś słucha radia albo ma łączność telefoniczną z jakimś istniejącym jeszcze dowództwem? Może znajdzie się tam rower? Z iskierką nadziei Christian przypomniał sobie odwrót we Francji. Ale w pobliżu drutów skrzywił się z niesmakiem.

„Cóż — medytował. — Dobrze opanowałem technikę wycofywania się na własną rękę. To umiejętność bardzo przydatna wiosną tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Jestem czołowym nordyckim specjalistą w dziedzinie opuszczania topniejących oddziałów wojskowych. W każdym pułkowniku zwierzę skłonność do kapitulacji o dwa dni wcześniej, niż sam pułkownik uprzytomni sobie, co w nim kielkuje.”

Diestl nie chciał się poddać, chociaż składanie broni wystąpiło nagle jako zjawisko powszechne i miliony żołnierzy poświęcały czas wyłącznie na obmyślanie korzystnych sposobów trafienia do niewoli. W ciągu ostatniego miesiąca znakomita większość rozmów w wojsku obracała się dokoła tego właśnie tematu. W zbombardowanych osiedlach, w beznadziejnie odosobnionych gniazdach oporu, wzdłuż głównych szlaków komunikacyjnych i na przedpolach większych miast wszelkie dyskusje zbaczały nieodmiennie na jeden tor... Nie było

mowy o nienawiści do lotnictwa, które zrównało z ziemią odwieczne miasta. Nikt nie pragnął pomścić tysięcy kobiet i dzieci gnijących pod gruzami. Za to słyszało się co chwila: „Bez kwestii, najlepiej poddać się Amerykanom. Na drugim miejscu stoją Anglicy, a na trzecim Francuzi, chociaż z nimi interes niepewny. No, ale jeżeli wpadniesz w ruskie łapy, jak nie powędrujesz na Syberię.” I mówili to kawalero wie Żelaznego Krzyża pierwszej klasy lub Medalu Hitlera, bojownicy z Afryki i leningradzkiego frontu, żołnierze, co przetrwali cały odwrót spod Sainte Mere Eglise... Ohydne!

Wszyscy dokoła byli pewni amerykańskiej szlachetności, ale Christian nie podzielał ich wiary. Uważał, że to nowy mit stworzony na pociechę przez naród od wieków żyjący mitami. Wspomnił twarz spadochroniarza wiszącego na normandzkim drzewie — okrutną i zawziętą nawet po śmierci. Wspomnił kolumnę sanitarną: zdruzgotane furgony i martwe konie w uprzęży... Piloci myśliwców musieli widzieć czerwone krzyże, musieli zdawać sobie sprawę z ich znaczenia... A jednak się nie wahali. Amerykanie nie złożyli też dowodów szlachetności nad Berlinem, Monachium, Dreznem i setką innych niemieckich miast. Dosyć! Christian nie myślał ulegać dłużej mitom. A zresztą, Amerykanie niczego przecież nie obiecują. Wciąż powtarzają przez radio, że wszyscy niemieccy zbrodniarze zapłacą za swoje winy. W najlepszym razie oznacza to lata w obozach jenieckich lub brygadach pracy — lata, w czasie których Amerykanie będą przesiewać donosy płynące z całej Europy, jak długa i szeroka. A co się stanie, jeżeli jakiś Francuz z Normandii zapamiętał nazwisko Christiana? Jeżeli wyjdzie na jaw, że po zamordowaniu Behra sierżant Diestl zadencjonował dwóch niewinnych ludzi i był w sąsiednim pokoju, gdy ich torturowano? Trudno odgadnąć, jakie rejestry prowadził Ruch Oporu, jak szczegółowe ma wiadomości. Albo ta dziwka, Françoise... Bogu tylko wiadomo, co powie. Na pewno mieszka teraz w Paryżu i żyje z jakimś amerykańskim generałem, i sęczy mu jad do uszu.

„Naturalnie, nie wiem, czy mnie będą szukać imiennie — przemysłowi często Christian. — Jeżeli jednak wpadnę raz w ich ręce, byle pomyłony Francuz może niby to mnie poznać i oskarżyć o zbrodnie, których nigdy nie popełniłem. Kto mi wtedy uwierzy na słowo? Kto może udowodnić, że jestem niewinny? I jeszcze jedno! Jak Amerykanie zechcą, oddadzą milion jeńców Francuzom — do rozbijania pól minowych i odbudowy zniszczonych miast. Lepsze wszystko niż lata we francuskich rękach... Nikt z nich nie wyjdzie żywy.”

Śmierć nie pasowała do planów Christiana. W ciągu ostatnich pięciu lat nauczył się wiele. Po wojnie może się bardzo przydać, nie wolno mu więc kapitulować przedwcześnie. Naturalnie, trzeba będzie przywarować na trzy lub cztery lata. Łasić się do zdobywców. Niebawem do Austrii zaczną znów zjeżdżać turyści i narciarze. Zapewne Amerykanie zorganizują tam wielkie obozy wypoczynkowe. Można przecież zarabiać na życie ucząc amerykańskich poruczników telemarka i chrystianii. A później... No, zobaczymy, jak to będzie później. Człowiek, który potrafi fachowo zabijać i zręcznie manewrować rozjuszonymi bestiami, na pewno stanie się potrzebny w pięć lat po wojnie, jeżeli do tej pory zdoła uchronić całą skórę.

Diestl nie miał pojęcia, jak przedstawia się sytuacja w jego rodzinnym mieście. Jeżeli jednak zdąży tam przed nieprzyjacielem, wybierze się po cywilnemu i wymyśli jakąś prawdopodobną legendę. Był niedaleko od domu, w sercu Bawarii, a zarysy znajomych gór błękitniały na widnokręgu. „Wojna staje się coraz wygodniejsza — pomyślał ironicznie. — Niejeden stoczy ostatnią, decydującą walkę w ogródku przed własnym domem”.

Przy bramie stał jeden wartownik — niski, pękaty mężczyzna po pięćdziesiątce. Z opaską Volkssturmu i karabinem wyglądał pocieszenie i żałośnie zarazem. Minę miał nieszczęśliwą.

„Volks Sturm — pomyślał Diestl. — To był naprawdę świetny pomysł! Hitlerowski dom starców, jak mówiono złośliwie. Gazety rozpisywały się, radio bębniło ustawicznie, że teraz, gdy zagłada grozi wszystkim domom, każdy mężczyzna piętnasto- lub siedemdziesięcioletni będzie walczył z najeźdźcą jak rozjuszony lew. To było po-krzepiające. Ale zasiedzieli sklerotyczni panowie z Vokssturmu nie dosłyszeli widać zdania o rozjuszonym lwie. Jeden strzał nad głowami, a cały ich batalion podnosił ręce w górę i szczekał zębami. Trzeba tylko biedaków pędzić do obozu jeńców. Jeszcze jeden mit! W dwa tygodnie nie można zrobić wojska z podtatusiałych jegomościów oderwanych od biurka i dzieci wyciągniętych ze szkół. Retoryka — myślał Diestl spoglądając na zatroskanego starszego pana w workowatym mundurze — retoryka opętała Niemców. Chcieliśmy przeciwstawić retorykę i mity wszystkim dywizjom pancernym i flotom powietrznym, całej benzynie, artylerii i amunicji świata. Hardenburg od dawna to rozumiał, ale Hardenburg odebrał sobie życie. Tak! Po wojnie przydadzą się ludzie wolni od retoryki i raz na zawsze uodpornieni przeciw mitom”.

— *Heil Hitler* — powiedział wartownik i zaszalutował niezdarnie. *Heil Hitler!* Dobry kawał! Christian nie trudził się oddaniem ukłonu.

— Co się tu dzieje? — zapytał.

— Czekamy.

— Na co?

Wartownik wzruszył ramionami. Uśmiechnął się cierpko.

— Jakie wiadomości? — zapytał z kolei.

— Amerykanie dopiero co kapitulowali — powiedział Diestl.  
— Jutro kolej na Rosjan.

Na moment grubas prawie uwierzył. Twarz rozjaśnił mu nagły błysk radości. Ale połapał się rychło.

— Ma pan dobry humor — mruknął smutno.

— Doskonały! Właśnie wracam z wiosennego urlopu.

— Myśli pan, że Amerykanie przyjdą dzisiaj? — zapytał niepewnie wartownik.

— Mogą tu być za dziesięć minut albo za dziesięć dni, albo dziesięć tygodni. Trudno przewidzieć, co zrobią Amerykanie.

— Mam nadzieję — podjął starszy jegomość — że przyjdą niedługo. W każdym razie są lepsi niż...

„Ten także!” — pomyślał Christian i uciął krótko: — Wiem! Są lepsi niż Rosjanie i lepsi niż Francuzi.

— Wszyscy tak mówią — bąknął wartownik.

— Bodaj was licho! — Christian pociągnął nosem. — Jak możecie znieść ten zaduch?

— Śmierdzi, prawda? Ale jestem tu od tygodnia. Nic już nie czuję.

— Od tygodnia? — zdziwił się Diestl. — Tylko?

— Tak. Dawniej był tu cały batalion SS. Nasza kompania zluzowała go przed tygodniem. Jedna głupia kompania! Chwała Bogu, że jeszcze żyjemy.

— Co tam za jedni? — zapytał Diestl wskazując ruchem głowy baraki.

— Jak wszędzie. — Grubas wzruszył ramionami. — Żydzi, Rosjanie, trochę politycznych. Jacyś ludzie z Jugosławii, z Grecji, Bóg wie skąd. Dwa dni temu zamknęliśmy ich w barakach. Czują, że coś się święci. Mogliby być niebezpieczni. Rozumie pan? Jedna głupia kompania... Jak zechcą, zmiotą nas w piętnaście minut. Jest ich tysiące. Przed godziną okropnie hałasowali. — Odwrócił się i spojrzal podejrzliwie na pozamykane baraki. — Teraz siedzą cicho. Bóg wie, co przeciw nam knują.

— Dlaczego tu tkwicie? — zainteresował się Christian.

— Nie wiem. Czekamy. — Wartownik znów wzruszył ramionami i uśmiechnął się głupkowato.

— Otwieraj bramę — rzucił Diestl. — Chcę wejść.

— Wejść! — zdumiał się grubas. — Po co?

— Jestem z Komendy Głównej Kraft Durch Freude z Berlina. Spisuję miejscowości odpowiednie na letnie wczasy. Ktoś mi bardzo zachwalał wasz obóz. No, otwieraj! Muszę dostać coś do zjedzenia i popytać, czy nie pożyczycy mi ktoś roweru.

Wartownik dał ręką znak koledze, który stał na wyżce i od początku ciekawie obserwował gościa. Brama uchyliła się wolno.

— Roweru pan nie znajdzie — podjął grubas. — Jak esesmani odchodzili, zabrali wszystko, co ma kółka.

— Zobaczę — odburknął Christian.

Minął podwójną bramę i przez cuchnący obóz ruszył w kierunku ładnego domku w tyrolskim stylu, gdzie mieściła się komenda obozu koncentracyjnego. Przed domkiem był zielony trawnik i białe kamienie. Pośrodku trawnika tkwił maszt z flagą wesoło trzepocącą na porannym wietrze. Z baraków o oknach zabitych deskami dobywał się głuchy, stłumiony, nieludzki pomruk, jak gdyby tony nowo wynalezione instrumentu obliczonego na dźwięki zbyt chrapliwe i niemelodyjne dla organów. W zagrodach z drutu kolczastego nie było widać ludzi.

Diestl wszedł na kamienne, starannie wyszorowane schody tyrolskiego domku i pchnął drzwi.

Przede wszystkim poszukał kuchni, gdzie od posępnego sześćdziesięcioletniego kucharza w mundurze dostał kawałek kielbasy i kubek gorącej kawy zbożowej.

— Jedz na zdrowie chłopcze — zachęcał go kucharz. — Kto wie, czy będziemy jeszcze jedli na tym świecie.

Po korytarzu komendy obozu wałęsało się kilku starców w źle skompletowanych mundurach Volkssturmu. Karabiny trzymali nie, wprawnie i widać było, że chętnie rozstaliby się z nimi. Czekali również, jak wartownik przy bramie. Posępnie gapili się na niespodziewanego gościa, a Christian czuł w ich wzroku niechęć do swojej młodości i jak gdyby pretensję za przegraną wojnę. Hitler pysznił się zawsze, że młode pokolenie stanowi jego wielką siłę. A dziś pseudo żołnierze, wydarci z domów w przeddzień tragicznego końca, krzywili się z niesmakiem i wyrazem pomarszczonych twarzy dawali do zrozumienia, co myślą o młodzieży, która narobiła tyle złego.



Christian szedł pewnym krokiem, wyprostowany. Swobodnie niósł schmeissera. Z chłodną, obojętną miną mijał próżnujących na korytarzu dziadów. Stał dopiero przed drzwiami komendanta. Zastukał energicznie i wszedł do kancelarii. Więzień w pasiaku zamiatał podłogę. Przy stole siedział beczynnie kapral.

— Chciałbym pomówić z panem komendantem — rzekł Christian.

Oficer widoczny przez otwarte drzwi skinął zza biurka zapraszającym gestem.

Komendant był stary. Diestl nie widział nigdy tak zgrzybiałego porucznika. Wyglądał na sześćdziesiąt kilka lat. Twarz miał jak gdyby ulepioną z przegniłego sera. Na uprzejme zapytanie odpowiedział głuchym, rozdygotanym głosem.

— Nie, nie, sierżancie. Nie mam rowerów. Nic nie mam. Nawet żywności. Esesmani zostawili nas bez niczego. Otrzymałem tylko rozkaz, żeby obsadzić obóz i utrzymywać porządek. Wczoraj udało mi się połączyć z Berlinem. Jakiś kretyn kazał wystrzelać niezwłocznie wszystkich więźniów. — Porucznik roześmiał się posepnie. — Praktyczna rada, co? Jedenaście tysięcy ludzi! Później nie mogłem dostać żadnego połączenia. — Spojrzał ciekawie na gościa. — A pan z frontu?

— Nie nazwałbym tego frontem w ścisłym słowa tego znaczeniu — uśmiechnął się Diestl.

— Ha! — westchnął komendant. — Tamta wojna wyglądała zupełnie inaczej. Wycofywaliśmy się planowo. Cała kompania wkroczyła do Monachium w zwartym szyku i z bronią. Inny był porządek, zupełnie inny. — Głos porucznika zabrzmiał wyraźnym tonem przygany dla młodego pokolenia Niemców, którzy nie potrafili przegrać wojny planowo i w porządku, jak ich ojcowie.

— Panie poruczniku — powiedział Diestl. — Widzę, że pan naprawdę nie może mi pomóc. Trzeba iść dalej.

— Zaraz, zaraz, sierżancie...

Christian pomyślał, że zgrzybiały porucznik pragnie zatrzymać go bodaj na moment, bo jest samotny w schludnie, starannie zamiecionym pokoju, gdzie w oknach trzepocą kolorowe firanki, pod ścianą stoi kanapa kryta pluszem, nad nią wisi utrzymany w błękitnych tonach widoczek Alp w zimowej szacie.

— Zaraz, zaraz, sierżancie! Czy Amerykanie mogą przyjść dzisiaj? Jak pan sądzi?

— Trudno przewidzieć, panie poruczniku. Nie słuchał pan radia?

— Radia... — Komendant westchnął. — Wiadomości są sprzeczne. Dziś rano Berlin podawał, że według nie sprawdzonych pogłosek

nad Elbą wywiązały się walki między Rosjanami i Amerykanami. Czy to możliwe? — Ożywił się nagle. — Jak pan sądzi? Wszyscy dobrze wiemy, że wcześniej czy później to nieuniknione... Co?

„Mit — pomyślał Christian. — Nowy samobójczy mit!”

— Oczywiście, panie poruczniku — powiedział z przekonaniem. — Nie zdziwię się wcale, jeżeli te pogłoski okażą się prawdą.

Postąpił w stronę drzwi, lecz zatrzymał się, gdyż usłyszał podejrzany hałas.

Głuchy pomruk, jak gdyby wzburzonego morza, wzmagał się, szturmował otwarte okna, z każdą chwilą przybierał na sile. Nagle gruchnęło kilka strzałów. Christian skoczył do okna. Dwaj ludzie w mundurach kłusowali ciężko w stronę tyrolskiego domku. Byli otyli jak panowie z plakatów reklamujących monachijskie piwo, więc wysiłek fizyczny nie przychodził im łatwo. Trudno się dziwić, że po drodze rzucili karabiny. Zza węgła jednego z baraków wybiegł człowiek w obozowym pasiaku, później trzech, później cała zgraja. Christianowi wydało się, że setki prześladowców ścigają dwóch wartowników. Pierwszy więzień zatrzymał się na chwilę i podniósł karabin. Nie strzelał jednak. Trzymając broń w rękę rzucił się w dalszy pościg. Był wysoki, długonogi. Z przerażającą szybkością doganiał zbiegów. Po chwili zamachnął się karabinem jak maczugą i zwałił z nóg jednego z żołnierzy. Drugi zorientował się widać, że do komendy obozu jest daleko i nie zdoła schronić się w tej bezpiecznej przystani, położył się więc na drodze. Kładł się powoli, niby słoń w cyrku. Najprzód klęknął, a potem nie opuszczając bioder pochylił głowę, jak gdyby chciał ją ukryć w ziemi. Więzień zamachnął się znowu i kolbą roztrzaskał mu czaszkę.

— Boże! Dobry Boże! — szeptał porucznik przy oknie.

Tłum otoczył świeże trupy, pokrył je zupełnie. Bez krzyków i wrzawy tratowali ofiary. Więźniowie odpychali się wzajemnie, by znaleźć dostęp i kopnąć nienawistny mundur.

Komendant odskoczył od okna i chwyciwszy oparł się o ścianę.

— Jedenaście tysięcy ludzi — jęknął. — Za dziesięć minut wszyscy będą na swobodzie.

Od bramy padło kilka strzałów. Trzy czy cztery pasiaki osunęły się na ziemię, lecz na zabitych i rannych nikt nie zwracał uwagi. Od tłumu oderwała się liczna grupa i z głuchym, nieartykułowanym rykiem ruszyła w stronę bramy.

Inne baraki zaczęły wypluwać nowe hordy, które pojawiały się nagle jak stada byków w filmach o tematyce hiszpańskiej. Tu i ówdzie

więźniowie chwyтали wartownika i w jednej chwili mordowali wspólnymi siłami. Na korytarzu rozległy się krzyki. Stary porucznik sięgnął drżącą ręką do pistoletu i unosząc drogie wspomnienia o planowej, porządnej kłesce w tamtej wojnie, wybiegł, by zebrać jakoś swoje wojsko.

Christian odszedł od okna. Próbował myśleć szybko, logicznie. Przeklinał się w duchu, że idiotycznie wpadł w pułapkę. Uchronił życie w tak wielu bitwach, potrafił nie dać się czołgom, działom, doskonale, wyszkolonym przeciwnikom, a dzisiaj dobrowolnie wplątał się w taką matnię!

Szybko zajrzał do kancelarii i zobaczył, że kapo jest sam i stoi koło okna.

— Chodź tu!

Kapo zmierzył go chłodnym wzrokiem i wolno wszedł do pokoju komendanta

Diestl zamknął drzwi uważnie przyglądając się więźniowi. Na szczęście był odpowiedniego wzrostu.

— Rozbieraj się!

Bez słowa i nie śpiesząc się wcale więzień zdjął bawelniany pasiak i zaczął zsuwać spodnie. Hałas przed tyrolskim domkiem wzmógł się nagle. Znowu huknęło kilka strzałów.

— Prędszej! — rozkazał Diestl.

Kapo zrzucił spodnie. Był bardzo chudy. Stał pośrodku pokoju w szarym od brudu podkoszulku z workowego płótna.

— Bliżej! — rzucił Diestl, a kiedy jego rozkaz został wykonany, podniósł pistolet maszynowy i końcem lufy uderzył więźnia między oczy.

Człowiek w brudnym podkoszulku cofnął się o krok i upadł. Christian chwycił go za kark i przez cały pokój powłókł przed drzwi schowka. Otworzył je i wepchnął zemdlonego do głębokiej szafy w murze, gdzie wisiał płaszcz oficerski i dwa mundury.

Zatrzasnął drzwi i wrócił po leżące na podłodze obozowe łachy. Zaczął rozpinać guziki swojej bluzy, usłyszał jednak zgiełk pod oknami, a w korytarzu podejrzane krzyki. Przestraszył się, że nie zdąży w porę. Szybko wciągnął drugą parę spodni i z trudem ubrał się w pasiastą bluzę, którą zapiał starannie aż pod brodę. Potem przejrzał się w lustrze wiszącym na drzwiach schowka. Munduru nie było widać. Należało jeszcze wyszukać kryjówkę dla broni. Po krótkim namyśle Diestl wsunął schmeissera pod kanapę. Mógł tam leżeć bezpiecznie. Na razie wystarczy nóż spado-

chroniarski ukryty pod pasiakiem cuchnącym jodoformem i zastarzalym potem.

Christian wyjrzał oknem. Wciąż nowe bandy wylamywały drzwi baraków i zaczynały uganiać się po obozie. Od czasu do czasu zabijano jeszcze wartowników. Na tyłach tyrolskiego domku grzmiała bezładna strzelanina. W odległości stu metrów liczna gromada szturmowała wrota budynku podobnego do stodoły. Wrota padły, tłum runął do wnętrza i niebawem więźniowie poczęli wracać stamtąd jedząc surowe kartofle i mąkę, która jak puder bieliła im ręce i twarze. Opodal jakiś olbrzym w pasiak przyklęknął nad wartownikiem. Trzymał go między kolanami i dusił oburącz. W pewnej chwili więzień zostawił żywego jeszcze żołnierza i utworował sobie drogę do magazynu, skąd wyszedł z rękami pełnymi kartofli.

Christian kopnięciem otworzył okno i bez wahania przesadził parapet. Przez moment wisiał na końcach palców. Później skoczył. Upadł na kolana, ale zerwał się szybko. Wokół roily się setki ubranych tak jak on ludzi. Zgiełk i zaduch były nie do wytrzymania.

Diestl wyjrzał zza węgła i ruszył w stronę bramy. Oparty o ścianę tyrolskiego domku stał wysoki mężczyzna z jednym okiem; drugi oczodół był pusty. Bystro spojrzal na Christiana i poszedł za nim. Nie ulegało wątpliwości, że zrodziły się w nim podejrzenia. Christian starał się nieznacznie przyspieszyć kroku, ale w zwartej ciżbie nie mógł pozbyć się jednookiego draba.

Strażnicy broniący tyrolskiego domku poddali się tymczasem i parami wychodzili z głównych drzwi. Więźniowie, jak gdyby upojeni świeżo odzyskaną swobodą, przycichli na moment i gapili się na swoich byłych dozorców. Wreszcie rosły, łysy mężczyzna dobył z kieszeni zardzewiały nóż, krzyknął coś po polsku, chwycił najbliższego jeńca i jął podrzynać mu gardło. Nóż był tępy i operacja zajęła sporo czasu. Żołnierz nie bronił się, nie krzyczał. Widocznie męka i śmierć tak spowszedniały w tym piekle, że nawet ofiara, bez względu na to, kim była, przyjmowała swój los filozoficznie. Od dawna piętrzyły się niezliczone dowody, iż błaganie o litość nie odniesie skutku, nikt więc nie chciał trudzić się na próżno. Pochwycony wartownik, pięćdziesięcioletni jegomość o wyglądzie drobnego urzędniczka, przywarł mocno do swojego mordercy i z odległości sześciu cali patrzył mu prosto w oczy, dopóki zardzewiałe ostrze nie przecięło wreszcie tętnicy. Wtedy cicho osunął się tu trawnik.

Było to jak gdyby hasłem do dalszych egzekucji. Wobec niedostatku broni wielu strażników po prostu zdeptano. Christian patrzył jak

urzeczony. Bał się drgnąć, nie śmiał zdradzić nic wyrazem twarzy, gdyż jednooki olbrzym stał tuż za nim, napierał na jego plecy.

— Ty słuchaj...

Diestl poczuł na ramieniu dłoń jednookiego. Uprzytomnił sobie, że przez pasiak łatwo wymacać mundur.

— Ty słuchaj... Chcę z tobą pogadać...

Zgrzybiały komendant stał oparty o ścianę koło głównych drzwi tyrolskiego domku. Bezradnie wyciągnął przed siebie ręce, jak gdyby się osłaniał. Zglodniali, wychudzeni jak szkielety więźniowie byli na razie zbyt zmęczeni, żeby go zamordować. Christian zdecydował się nagle. Roztracił gęstą ciżbę, podbiegł do porucznika i chwycił go za bluzę na piersiach.

— Boże! — wrzasnął donośnie oficer. — Wielki Boże!

Jego głos zabrzmiał dziwnie, bo poprzednie ofiary umierały w milczeniu.

Christian dobył spod pasiaka nóż spadochroniarski. Jedną ręką przyparł komendanta do ściany, drugą poderżnął mu grdykę.

Rozległ się zdławiony krzyk i gulgotanie, jak gdyby ktoś płukał gardło. Christian otarł nóż o bluzę porucznika i pozwolił mu upaść. Potem zerknął przez ramię, aby przekonać się, czy jest jeszcze pod obserwacją. Ale jednooki drab zniknął w tłumie. Widocznie był zadowolony.

Diestl odetchnął z ulgą i nie wypuszczając noża z ręki wszedł do tyrolskiego domku. Na schodach i w przedsionku leżały trupy. Wszędzie uwijali się świeżo oswobodzeni więźniowie. Darli papiery, rozbijali biurka, krzesła.

W pokoju komendanta zastał kilku ludzi w pasiakach. Drzwi schowka były otwarte. Pólnagi kapo leżał nieprzytomny, tak jak go Christian zostawił. Więźniowie pili kolejno koniak z karafki znalezionej na biurku. Ostatni opróżnił ją i rzucił w zawieszony na ścianie widoczek Alp utrzymany w błękitnych tonach.

Christian spostrzegł, że nikt nie zwraca na niego uwagi, schylił się więc, by wydobyć schmeissera spod kanapy. Spokojnie wyszedł na korytarz i utworował sobie drogę do głównych drzwi. Pistolet maszynowy niósł jawnie, bez obawy, gdyż wielu wałęsających się bez celu ludzi w pasiakach posiadało teraz broń. Wzdłuż obozowej drogi szedł wolno, nie opuszczając ruchliwych gromad więźniów. Wolał nie odłączać się od nich, bo jakieś bystre oczy mogły dostrzec, że włosy ma dłuższe niż inni, a na kościach znacznie więcej mięsa.

Tak znalazł się przy bramie. Tłusty wartownik, który powitał go i wpuścił, leżał teraz na drutach kolczastych. Martwą twarz wykrzywił mu jak gdyby uśmiech. Opodał więźniowie stali dumnie, lecz prawie nikt nie opuszczał obozu. Widocznie w granicach swoich skromnych możliwości dokonali dzieła wystarczającego na jeden dzień: wylamanie się z baraków zaspokoili chwilowo potrzebę wolności. Spokojnie stali przed otwartą szeroko bramą. Patrzyli na zielony krajobraz falistej okolicy i na szosę, którą niebawem nadciągną Amerykanie i powiedzą im, co mają robić. A może tak związały ich z obozem najgłębsze przeżycia, że obecnie, po wyzwoleniu, nie byli w stanie rozstać się z miejscem, gdzie cierpieli i dokonali zemsty?

Christian roztrzącił grupkę otaczającą zamordowanego wartownika. Ze schmeisserem na pasie ruszył żwawo szosą w stronę Amerykanów. Obawiał się iść w przeciwnym kierunku, w głąb Niemiec, gdyż ludzie skupieni przy bramie mogli go jeszcze doścignąć, zatrzymać...

Maszerował szybko, utykając po trosze. Głęboko wciągał rześwe, wiosenne powietrze, aby oczyścić płuca z obozowego smrodu. Był bardzo zmęczony, nie zwalniał jednak kroku. W bezpiecznej odległości, kiedy nie mogli go już dostrzec ludzie w pasiakach, skręcił z szosy i szerokim łukiem przez pola szczęśliwie okrążył obóz. W zielonym zagajniku, gdzie pachniało sosnowym igliwem, a na murawie różowiały i czerwieniały drobne leśne kwiaty, zobaczył przed sobą pustą, skąpaną w słonecznym blasku drogę. Ale był zbyt wyczerpany, żeby iść dalej. Ściągnął cuchnące jodoformem i zastarzałym potem łachy kapo, zwinął je w kłęb i rzucił pod rozłożystą leszczynę. Potem ułożył się wygodnie i głowę oparł na skarpie jak na poduszce. Młoda, zielona murawa pachniała świeżo i wiosennie. W górze, między gałęziami, dwa ptaszki ćwierkały radośnie i trzepotały skrzydełkami. Przelatując z blasku w cień i z powrotem, raz były granatowe, raz złociste.

Christian westchnął, przeciągnął się i usnął.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Kolumna zatrzymała się opodal szeroko otwartej bramy i żołnierze na lorach umilkli. Sam zaduch był po temu wystarczającym powodem, nie mówiąc nawet o widoku, jaki przedstawiały trupy rozrzucone koło bramy i za drutami oraz bandy odzianych w brudne pasiaki głodomorów, którzy poruszali się leniwie i niby przerażająca powódź ogarnęli lory i jeepa kapitana Greena.

Nie hałasowali wiele. Jedni płakali, inni próbowali się uśmiechać, lecz płacz czy śmiech nie wpływały na zmianę wyrazu trupich twarzy i głęboko zapadniętych oczu. Wydawać się mogło, że tragedia tych stworzeń przekroczyła zasięg normalnych ludzkich reakcji i zesłała do poziomu zwierzęcej rozpacz; że utarte grymasy radości, smutku, powitania nie leżą w granicach prymitywnych możliwości nędzarzy. Michael patrzył na martwe, nieruchome maski i odgadywał, że ten czy ów jest przekonany, iż się uśmiecha. Lecz domysł taki wymagał raczej intuicyjnego odczuwania.

Widma w pasiakach nie starały się nawiązywać rozmów. Ostrożnie dotykały blaszanych pudeł samochodów, żołnierskich mundurów, broni, jak gdyby nowa, oszołamiająca prawda mogła przeniknąć do ich świadomości jedynie za pośrednictwem chudych palców.

Green wydał rozkaz, by samochody zostały pod strażą na szosie, sam zaś poprowadził kompanię przez tłum uwolnionych heftlingów i na jej czele wolno wkroczył do obozu.

Michael i Noe weszli do najbliższego baraku tuż za kapitanem. Drzwi były wyrwane z zawiasów okna przeważnie wybite. Mimo to ponure wnętrze wypełniał smród nieznośny dla ludzkich nozdrzy. W zatęchłym mroku, słabo rozjaśnionym gdzieniegdzie smugami wiosennego słońca, leżały stosy wychudłych ciał. Najpotworniejsze wrażenie sprawiał ruch, jaki niekiedy objawia się w tych kłębowiskach:

powolne zgięcie ręki, drgnięcie powiek odsłaniające rozgorączkowane oczy, bolesny skurcz sinych ust na twarzy człowieka, który, jak się zdawać mogło, nie żył od kilku dni. W głębi baraku jeden z konających oderwał się od stosu łachmanów i kości i na kolanach i rękach zaczął pełznąć w stronę drzwi. Bliżej ktoś wstał i niby niezdarne marionetka ruszył ku Amerykanom. Widocznie sądził, że się uśmiecha, gdyż na twarzy miał okropny grymas. Rękę wyciągnął przed siebie niedorzecznie pospolitym gestem powitania. Ale nie dotarł do oswobodzicieli. Z przyjaźnie wyciągniętą dłonią opadł na zawalane odchodami deski. Kiedy Michael pochylił się nad nim, więzień już nie żył.

Whitacre klęczał obok człowieka, który umarł tak cicho i łatwo, a jakiś głos wewnętrzny powtarzał w nim błędnie: „Ośrodek świata. Ośrodek świata. Ośrodek świata. Jestem teraz w ośrodku świata... w ośrodku świata..

Trup był nagi. Pod skórą rysowały się dokładnie wszystkie kości. Mierzył pełne sześć stóp wzrostu, lecz nie mógł ważyć więcej niż siedemdziesiąt pięć funtów. Dlatego wydawał się karykaturalnie długi, jak gdyby urągał wszelkim zasadom proporcji ciała ludzkiego i normalnej perspektywy.

Nagle gruchnęły strzały. Michael z Noem wybiegli na dwór za kapitanem Greenem.

Trzydziestu dwóch strażników, zabarykadowanych dotychczas w murowanym budynku obozowego krematorium, poddało się na widok Amerykanów. Crane miał szczerzy zamiar wystrzelać wszystkich i zdążył nawet dwóch zranić, zanim Houlihan odebrał mu pistolet maszynowy. Jeden siedział na ziemi i płakał głośno. Dłoni przyciskał brzuch, krew tryskała mu obficie między palcami. Był niezmiernie otyły, a na karku miał gruby walek tłuszczu charakterystyczny dla piwoszów. Sprawiał wrażenie różowego, rozkapryszonego malca, który siedząc na dywanie w dziecinnym pokoju skarży się płaczem na niesprawiedliwość piastunki.

Crane stał między dwoma kolegami, którzy wykręcali mu ręce do tyłu. Dyszał ciężko. Nieprzytomnie toczył oczyma. Kiedy Green kazał odprowadzić strażników i dla bezpieczeństwa zamknąć ich w tyrolskim domku, Crane szarpnął się i kopnął rannego w brzuch Niemca. Grubas zaszlochął jeszcze głośniej. Czterej ludzie z wysiłkiem odnieśli go do komendy obozu.

Green mało mógł zrobić. W każdym razie umieścił dowództwo kompanii w kancelarii komendanta obozu i wydał szereg jasnych, prostych rozkazów. Zdawać się mogło, że w armii Stanów Zjed-



noczonych kapitanowie piechoty trafiają codziennie w chaos „ośrodka świata” i zaprowadzają tam porządek. Green wysłał swojego jeepa po ekipę sanitarną i odpowiednią ilość żelaznych porcji. Żywność kompanii kazał wylądować i złożyć pod strażą w tyrolskim domku, polecając zarazem, aby karmić na razie tylko chorych bliskich śmierci głodowej, których rozesłane patrole znajdują w poszczególnych barakach. Jeńców niemieckich umieścił przy końcu korytarza za drzwiami swojego pokoju, gdzie nie groziło im niebezpieczeństwo.

Whitacre (wraz z Noem pełnili funkcje gońców dowódcy) słyszał, jak jeden z Niemców skarżył się w płynnej angielszczyźnie Pfeifferowi, który z karabinem w ręku pilnował byłych strażników:

— Dzieje się krzycząca niesprawiedliwość. Służbę w obozie pełniliśmy przez tydzień. Nikt z nas nie dręczył heftlingów. Od lat był tu batalion SS. Esesmani są odpowiedzialni za wszystkie okrucieństwa i zbrodnie. Ale cóż? Esesmani są teraz na swobodzie albo trafili do amerykańskiego obozu jeńców, gdzie popijają sok pomarańczowy.

Żale starego Niemca były niewątpliwie słuszne, lecz Pfeiffer odpowiedział tylko:

— Stul pysk, bo cię kopnę w zęby.

Wyzwoleni więźniowie mieli swój obrany potajemnie przed tygodniem komitet wykonawczy powołany do zarządzania obozem. Dowiedziawszy się o tym Green wezwał przewodniczącego komitetu. Był to drobny, chudy czelczyzna po pięćdziesiątce. Gładko operował szkolną angielszczyznę z bardzo osobliwym akcentem. Nazywał się Zolum i przed wojną pracował w albańskiej służbie dyplomatycznej. Powiedział Greenowi, że w obozie spędził przeszło trzy lata. Był zupełnie łysy i miał ciemne, paciorkowate oczki połyskujące w twarzy, która mimo wychudzenia zachowała ślady pulchności. Zolum potrafił rozkazywać i wiele pomógł Greenowi wyznaczając spośród silniejszych heftlingów oddziały robocze, które wnosyły z baraków ciała, chorych zaś segregowały na umierających, poważnie zagrożonych i przypadki mniej niebezpieczne. Z rozkazu Greena tylko poważnie zagrożeni mieli otrzymać posiłek ze szczupłych kompanijnych zapasów i resztek znalezionych w prawie pustych magazynach obozu. Umierających położono szeregiem przy drodze, aby mogli spokojnie wzywać ducha radując się słońcem i łagodnym wiosennym powiewem.

Popołudnie mijało. Michael patrzył na jaki taki ład, który Green zaprowadzał ze swoją spokojną, zwyczajną, niemal zakłopotaną miną, i z godziny na godzinę nabierał więcej szacunku dla niepokąźnego

oficera o wysokim dziewczęcym głosie. Pojął tego dnia, że w świecie kapitana wszystko jest pewne, ustalone, że nie ma tam nic, czego nie zdołałby naprawić uczciwy, zdrowy rozsądek i rzetelna praca, choćby to było bagno nieprawości i nędzy pozostałe po „tysiącleciu” nowej niemieckiej ery. Słuchając zwięzłych, rzeczowych rozkazów, jakie Green wydawał Albańczykowi, sierżantowi Houlihanowi, Polakom, Rosjanom, Żydom i niemieckim komunistom, Whitacre zdawał sobie sprawę, że jego dowódca nie uważa, by robił coś nadzwyczajnego, z czym nie potrafiłby uporać się na jego miejscu każdy absolwent Oficerskiej Szkoły Piechoty w Fort Benning.

Kapitan załatwiał rozmaite sprawy gładko, bez nerwów, jak gdyby opracowywał tygodniowy rozkład zajęć w kancelarii w Georgii, a Whitacre patrząc na to był zadowolony, że nie dostał się do szkoły oficerskiej. „Za nic nie poradziłbym sobie — myślał. — Zakryłbym twarz rękami i płakał, póki ktoś nie zabrałby mnie z tego miejsca.”

Green nie płakał. Nie biadał nad własnym losem. Nikomu nie wyrażał współczucia. Z godziny na godzinę jego chłodny, beznamiętny głos brzmiał coraz ostrzej, coraz bardziej po wojskowemu.

Michael obserwował również przyjaciela. Noe miał twarz poważną, skupioną, obojętną. Zdawać się mogło, że dba o jej wyraz, jak mógłby ktoś dbać o kosztowny strój kupiony za ostatnie pieniądze i zbyt cenny, by porzucić go nawet w najbardziej niezwykłych warunkach. Tylko raz idąc z Michałem wzdłuż rzędu beznadziejnie chorych, ułożonych na gołej ziemi, Noe przystanął.

„Teraz — pomyślał Whitacre zerkając spod oka na towarzysza — teraz się załamie.”

Noe patrzył na wychudłych, półnagich, okrytych wrzodami ludzi, konających i obojętnych już na zwycięstwo i wyzwolenie. Twarz drgnęła mu i lodowata maskaomal nie spadła. Ale Noe zapanował nad sobą. Przymknął oczy, bezwiednie otarł usta wierzchem dłoni i powiedziała ruszając z miejsca:

— No, chodźmy. Czego tu sterczymy?

Kiedy wrócili do pokoju komendanta, przed Greenem stał zgrzybiały mężczyzna. W każdym razie wyglądał na starca. Plecy miał zgarbione, a żółte dłonie bardzo chude, niemal przezroczyste. Ale w obozie wszyscy sprawiali wrażenie starców lub istot w nieokreślonym wieku.

— Nazywam się — mówił ów człowiek z trudem szukając angielskich słów — nazywam się Joseph Silverson. Jestem rabinem... jedynym rabinem w tym obozie.

— Słucham? — rzucił szorstko kapitan Green nie odrywając wzroku od sporządzanego właśnie zapotrzebowania na leki i środki opatrunkowe.

— Nie chciałbym zajmować czasu panu oficerowi — ciągnął rabin.  
— Ale mam wielką prośbę...

— Słucham? — powtórzył Green, ale nie spojrzął na petenta.

Zdjął hełm i bluzę polową. Pas z rewolwerem zawiesił na oparciu krzesła. Wyglądał jak zapracowany urzędniczek sprawdzający faktury w magazynie towarowym.

— Wiele tysięcy Żydów — mówił Silverson powoli i uważnie — zginęło w tym obozie. Kilkuset z tamtych — przezroczystą ręką wskazał niepewnie okno — umrze jeszcze dzisiaj w nocy albo jutro...

— Boleję nad tym, panie rabinie — powiedział Green. — Ale cóż? Robię wszystko, co w mojej mocy.

— Oczywiście. — Rabin żywo skinął głową. — Wiem dobrze. Dla tamtych nic nie da się zrobić. Nie w materialnym sensie, dla ich ciała. Ja to rozumiem, wszyscy rozumieją, rozumieją nawet oni. Ogarnia ich cień śmierci, a staraniami otoczyć trzeba przede wszystkim żywych. Nie są\*<sup>o</sup>nawet nieszczęśliwi. Umierają jako ludzie wolni. To przecież wielka pociecha. Przyszedłem tutaj, żeby prosić o... — zawahał się — ...o luksus.

Michael odgadł, że rabin sili się na uśmiech. Jego zapadłe, wielkie zielonkawe oczy błysnęły pod zorany zmarszczkami wysokim czołem.

— Pragnąłbym zgromadzić wszystkich Żydów chorych czy zdrowych, i koło tamtych — znowu wyciągnął w stronę okna pergaminową rękę — co konają na placu, odprawić nabożeństwo. Żalobne modły za umarłych w obozie i umierających.

Michael spojrzął na Noego, który obojętnie i trzeźwo patrzył na kapitana Greena.

Oficer nie podniósł wzroku, przestał tylko pisać, ale głowę miał pochyloną, jak gdyby usnął nagle.

— Nigdy nie było tutaj naszego nabożeństwa — podjął cicho rabin — a tak wiele tysięcy pomarło, że...

— Pan kapitan pozwoli... — odezwał się albański dyplomata, tak pomocny dotychczas przy wykonywaniu rozkazów Greena.

Stał teraz koło starego rabina, pochylony układnie w stronę biurka. Mówił płynnie, wyraźnie, dyplomatycznie.

— Nie chciałbym się wtrącać, panie kapitanie. Doskonale zdaję sobie sprawę, dlaczego rabin Silverson wystąpił ze swą prośbą. Ale,

moim zdaniem, pora jest nieodpowiednia. Jestem Europejczykiem. Spędziłem w tym obozie długi okres. Znane mi są problemy, których pan kapitan zapewne nie ogarnia. Jak już wspomniałem, nie chciałbym się wtrącać, uważam jednak, że publiczne odprawianie izraelskich modłów w obozie byłoby niewskazane... W najwyższym stopniu niewskazane...

Albańczyk urwał. Czekał na odpowiedź Greena. Ale kapitan milczał. Siedział za biurkiem. Nieznacznie poruszał, głową, jak gdyby z trudem budził się z drzemki.

— Pan kapitan, być może, nie zna dokładnie nastrojów — podjął szybko dyplomata. — Nastrojów, że się tak wyrażę, ogólnoeuropejskich. Nie zamierzam rozstrzygać, czy to dobrze, czy źle, lecz zbliżone nastroje działają nawet w takich jak ten obozach. To fakt niezaprzeczone. Jeżeli pan kapitan zezwoli rabinowi na odprawienie nabożeństwa, nie ręczę za następstwa. Muszę ostrzec pana kapitana, uważam to za swój obowiązek. Mogą wyniknąć zamieszki, panie kapitanie. Groźne zamieszki. A nawet rozlew krwi. Ludzie zaprotestują i...

— Ludzie zaprotestują — powtórzył Green spokojnie, bezbarwnym tonem.

— Tak jest, panie kapitanie — podchwycił żywo Albańczyk. — Ludzie zaprotestują. Mogę za to ręczyć.

Michael spojrzał znów na Noego. Maską skupienia topniała wolno na jego twarzy. Zastępował ją wyraz rozpaczy i zgrozy.

Green wstał i zwrócił się do rabina.

— Ja ze swej strony — powiedział chłodno — mogę ręczyć za coś innego. Ręczę, że za godzinę odprawi pan modły na placu apelowym. Ręczę, że na dachu tego budynku staną karabiny maszynowe i na mój rozkaz otworzą ogień do każdego, kto zechce przeszkadzać w nabożeństwie. A tobie — spojrzał na albańskiego dyplomatę — ręczę, że pójdziesz pod klucz, jeżeli jeszcze raz pokażesz się tutaj. Skończyłem.

Albańczyk wycofał się z pokoju komendanta. Na korytarzu zatupoł ją szybko oddalające się kroki.

Rabin uklonił się z godnością.

— Bardzo dziękuję, panie oficerze — powiedział.

Green wyciągnął rękę, a Silverson uściśnął ją z szacunkiem i wolno odszedł śladem Albańczyka. Kapitan stał przez chwilę zapatrzony w okno.

— Ackerman — odezwał się wreszcie. Przez dwie godziny nie będziesz tu potrzebny. Ani ty, Whitacre. Moglibyście przejść się trochę za obozem. Spacer na świeżym powietrzu dobrze wam zrobi.

— Dziękuję, panie kapitanie. — Noe odwrócił się i wyszedł.

— Whitacre — podjął oficer spoglądając wciąż w okno — zaopieczesz się nim, prawda?

— Tak jest, panie kapitanie.

Michael dogonił Noego. Szli ramię w ramię bez słowa. Słońce było już nisko i na północnych wzgórzach kładło podłużne smugi czerwonego cienia. Przy szosie opustoszała farma, cicha i bezлюдna, drzemała w blasku zachodu. Dom mieszkalny musiał być niedawno malowany, a świeżo bielony mur okalający podwórko barwił się bladawym błękitem. Wysoko w górze wracająca do bazy eskadra myśliwców mignęła srebrzyście w ukośnych promieniach słońca. Po drugiej stronie szosy ciągnął się piękny mieszany las. Pnie starych sosen i grabów kreśliły czarne sylwetki na jasnozielonym tle wiosennych listków. Na ziemi, pośród kwiatów, mieniła się szachownica światła i cieni. Obóz został daleko, a powietrze nagrzane całodziennym słońcem było tutaj aromatyczne, pachnące igliwem. Gumowe podeszwy trzewików szeleściły cicho, nie po wojskowemu na asfalcie, wąskiej drogi ciągnącej się między dwoma dość głębokimi rowami. Przyjaciele minęli drugą farmę o zaryglowanych drzwiach i osłoniętych oknach. Michael miał wrażenie, że jakieś oczy obserwują ich przez szpary. Nie bał się jednak. Na podstawie dotychczasowych obserwacji ocenił, że w Niemczech zostały tylko dzieci. Miliony dzieci, a także kobiety i żołnierze-kalecy. Była to ludność uprzejma, niewojownicza. Amerykańskie czołgi i jeepy witała równie niemrawym machaniem rąk, jak ciężarówki, które odstawiały Niemców do obozów jenieckich.

Po zaśmieconym podwórku spacerowały trzy gęsi. „Dobry obiad na dzień Bożego Narodzenia — pomyślał leniwie Whitacre. — Gęś nadsiewana ostrzami. A do tego borówki.”

Przypomniał sobie dębową boazerię i sceny z oper Wagnera malowane na ścianach restauracji Ruchowa, przy Czternastej Ulicy w Nowym Jorku.

Przyjaciele oddalali się od farmy. Gęsty starodrzew rósł teraz po obydwu stronach drogi. Pachniało zdrowiem i wiosną. Młoda trawa przebijiała brunatny kobierzec zeszlórocznych liści.

Noe nie przemówił od progu kancelarii Greena, toteż Michael wzдрыgnął się na dźwięk głosu, który zabrzmiał przy akompaniamencie szelestu kroków na asfalcie.

— Jak się czujesz? — rzucił Noe.

Whitacre zastanowił się chwilę.

– Jestem zabity – odpowiedział wreszcie. – Zabity, ranny, zaginiony.

Następne dwadzieścia jardów przeszli bez słowa.

– Okropnie było, prawda? – podjął Ackerman.

– Okropnie.

– Człowiek mógł spodziewać się najgorszego – ciągnął Noe – ale nie mógł przewidzieć, że to będzie tak wyglądało.

– Nie mógł przewidzieć – zgodził się znów Michael.

– Ludzie... Prawdziwi ludzie...

Przez moment szli w milczeniu. Słuchali szelestu gumowych zelówek na asfaltowej szosie w głębi Niemiec, biegnącej niby kościelna nawa między kolumnami starych drzew w szacie wiosennej zieleni.

– Mój stryj – odezwał się Ackerman – brat ojca, trafił do jednego z takich obozów. Widziałeś piece?

– Widziałem.

– Oczywiście nigdy go nie widziałam... Mówię o stryju. – Noe trzymał rękę na pasie karabinka; wyglądał jak wyrostek wracający z polowania na króliki. – Mieli jakieś nieporozumienia z ojcem. W Odessie, w tysiąc dziewięćset piątym roku. Mój ojciec był szalony. Ale znał się na takich sprawach. Pochodził przecież z Europy. Opowiadałem ci kiedy o ojcu?

– Nigdy – rzekł Whitacre.

– Zabity, ranny i zaginiony – wyrecytował wolno Noe.

Maszerowali równo, bez pośpiechu, żołnierskim miarowym krokiem, po trzydzieści cali.

– Pamiętasz – podjął Noe – w Obozie Uzupełnień twierdziłeś, że w pięć lat po wojnie będziemy ubolewać nad każdym pociskiem, który nas chybił?

– Pamiętam.

– A teraz nie zmieniłeś zdania?

– Nie wiem – odpowiedział uczciwie Whitacre po chwili wahania.

– Dzisiaj w obozie przyznałem ci rację. Kiedy ten Albańczyk zaczął gadać, w zupełności zgadzałem się z tobą. Nawet nie dlatego, że jestem Żydem. Przynajmniej tak mi się wydawało. Jako człowiek... prawdziwy człowiek... Kiedy ten Albańczyk zaczął gadać, byłem gotów wyjść na korytasy i w łeb sobie palnąć.

– Rozumiem – powiedział Michael. – Czulem się podobnie.

– Potem Green wygarnął swoje. Noe zatrzymał się, powiódł wzrokiem po zielonych wierzchołkach drzew połyskujących złotem

w promieniach słońca. — Ręczę... Ręczę... Ręczę — westchnął cicho. — Nie wiem jak ty, ale ja łączę wielkie nadzieje z osobą kapitana Greena.

— Ja również — przyznał Whitacre.

— Po wojnie — Noe bezwiednie podnosił głos — Greenowie będą rządzić światem, a nie tacy jak ten przeklęty Albańczyk.

— Niewątpliwie.

— Ludzie, prawdziwi ludzie wezmą władzę w ręce! — Noe wołał teraz, jak gdyby na środku drogi wygłaszał wielką mowę do niemieckich drzew. — Prawdziwi ludzie! Nie zabraknie kapitanów Greenów. To nie wyjątek. Podobnych mu są krocie! — Stał wyprostowany, głowę przechylił do tyłu, krzyczał niby szaleniec; zdawać by się mogło, że wszystko, co przez długie miesiące dławił i z chłodnym wyrachowaniem zamykał w sobie, znalazło wreszcie ujście. — Prawdziwi ludzie!

Noe grzmiał donośnie, jak gdyby te dwa wyrazy stanowiły magiczne zaklęcie przeciwko śmierci i męce, jak gdyby były potężną tarczą dla jego żony i syna, zapłatą za lata cierpień, gwarancją lepszego jutra...

— Prawdziwi ludzie! Pełno ich na świecie.

Wtedy właśnie Michael usłyszał strzały.

Christian był już przytomny od pięciu lub sześciu minut, kiedy usłyszał głosy. Przedtem spał twardo, a w chwili przebudzenia zorientował się po kształtach cieni, że jest późne popołudnie. Ale był zbyt zmęczony, by zaraz się ruszyć. Leżał na wznak, patrzył w bladzielony baldachim nad sobą i słuchał leśnych szmerów: wiosennego brzęczenia owadów, ćwierkania ptactwa w gęstwinie gałązek, cichego szelestu liści na łagodnym wietrzyku. W górze przeciągnęła eskadra samolotów. Było je słyhać, lecz korony drzew przesłaniały widok. Jak to zdarzało się często i od dawna, szum silników przypomniawszy Christianowi nieprzebrane zasoby, dzięki którym wrogowie wygrywały wojnę.

„Nic dziwnego — myślał z goryczą po raz setny. — Żołnierze z nich nietędzy, ale cóż to znaczy? Z taką ilością czołgów i samolotów zwyciężyć potrafi nawet armia starych bab i weteranów z wojny francusko-pruskiej. Ach, gdybyśmy mieli bodaj trzecią część ich sprzętu, od trzech lat byłoby po zabawie! Ten zasmarkany porucznik z obozu białych, że nie potrafimy przegrywać wojny planowo i w porządku, jak jego pokolenie. Gdyby mniej białych i pracował trochę lepiej, może sprawy wyglądałyby odmiennie. Więcej godzin w fabrykach zamiast masowych wieców i świąt partyjnych, a nad głową warczałyby teraz niemieckie samoloty; porucznik nie leżałby martwy

przed własną kancelarią, a ja nie kryłbym się, nie szukał nory niby lis tropiony przez sforę psów."

Nagle usłyszał kroki zmierzające w jego stronę. Znajdował się o dziesięć metrów od szosy i z ukrycia miał dobre pole widzenia w kierunku obozu. Z daleka zobaczył Amerykanów. Przyglądał się im ciekawie, zrazu bez wzruszenia. Szli miarowo. Obydwaj byli uzbrojeni. Wyższy trzymał karabinek w ręku, drugi niósł broń na pasie. Na głowach mieli te swoje groteskowe helmy, chociaż szrapnele nie groziły do czasu przyszłej wojny. Nie spoglądając ani w lewo, ani w prawo, rozmawiali głośno, jak gdyby nie brali pod uwagę, że w pobliżu może znajdować się Niemiec dość odważny, by stanowić niebezpieczeństwo dla zdobywców.

Jasne było, że wkrótce podejdą na odległość dziesięciu metrów. Christian cicho przygotował pistolet maszynowy, w tej chwili jednak trzeźwiej ocenił sytuację. Na pewno w pobliżu kręcą się setki Amerykanów. Zwabieni strzałami zbiegną się zewsząd i nic już nie pomoże. Szlachetni Amerykanie nie obejmą swoją szlachetnością nieprzyjaciela strzelającego z ukrycia.

Nagle Amerykanie stanęli. Byli mniej więcej w odległości sześćdziesięciu metrów, lecz dzięki nieznacznemu zakrętowi szosy znajdowali się akurat na wprost małego kopca, za którym przywarował Christian. Rozmawiali bardzo głośno, a właściwie niższy z nich krzyczał na całe gardło. Christian usłyszał nawet i zrozumiał słowa niedorzeczne na pozór. Amerykanin raz po raz powtarzał:

Prawdziwi ludzie! Prawdziwi ludzie!

Diestl zmierzył ich nienawistnym wzrokiem. Czują się w Niemczech jak we własnym domu. Bez ubezpieczenia odbywają przechadzki. W sercu Bawarii wygłaszają mowy po angielsku. Liczą na letnie urlopy w Alpach, na noce w hotelach turystycznych z miejscowymi dziewczętami. O, dziewcząt na pewno nie braknie! Amerykanie nie wiedzą, co to Volkssturm. Wszyscy są młodzi, najedzeni, w wybornej formie. Mają porządnie żelowane buty, całe mundury, naukowo opracowany system odżywiania, silne lotnictwo, kolumny sanitarne o trakcji motorowej... A jak się skończy cała heca, wrócą do swojej spasionej ojczyzny obładowani wojennymi pamiątkami. Zabiorą helmy poległych Niemców, Żelazne Krzyże zdarte z martwych piersi, zdjęcia zburzonych miast i fotografie kobiet wyszperane w kieszeniach zabitych żołnierzy. Wrócą do swojej spasionej ojczyzny, co nigdy nie słyszała strzałów, gdzie nie zadrzała ani jedna ściana i ani jedna szyba nie pękła od wstrząsu.



Ich spasiona ojczyzna! Nietknięta! Niedoświadczona!

Christian poczuł, że usta wykrzywią mu grymas obrzydzenia. Powoli uniósł schmeissera. Dwóch więcej... Dlaczego sobie żałować? .. Biorąc na muszkę bliższego z Amerykanów — tego, co krzyczał — Diestl zaczął nucić z cicha.

„Zaraz przestaniesz się drzeć, przyjacielu” — pomyślał dotykając palcem spustu i nagle przypomniał sobie, że Hardenburg podśpiewywał w bardzo zbliżonych okolicznościach, gdy z grzbietu afrykańskiego wzgórze obserwował angielski oddział przy śniadaniu...

Uśmiechem skwitował dawne wspomnienie. Było zabawne. Potem, gdy miał już nacisnąć cyngiel, zawahał się na moment. Wyobraził sobie innych Amerykanów, którzy zbiegną się zwabieni odgłosem strzałów i niewątpliwie go zabiją. Pokiwał głową. Na sekundę przyklnął oczy. „A niech to diabli! — pomyślał. — Grą warta świeczki.”

Pewnie nacisnął spust. Po dwóch wystrzałach nastąpiło zacięcie. Christian wiedział na pewno, że trafił jednego z drani. Nim jednak zdążył usunąć z podajnika tkwiącą na sztorc łuskę i podnieść wzrok, obydwaj Amerykanie zniknęli. Na środku szosy leżał tylko karabin. W pobliżu muszki, na lufie, połyskiwała złotem słoneczna plama. Bezpośrednio po strzałach Christian widział, jak wyższy Amerykanin szybko zawraca, lecz teraz droga była zupełnie bezludna. „Do licha! — pomyślał gniewnie. — Spartoliłem robotę!”

Baczenie nastawił uszu, ale nie usłyszał nic na drodze ani w lesie. Tamci nie mieli widać towarzystwa. A teraz został jeden, bo ten, co oberwał, nie ruszy się, jeżeli nawet żyje.

„Za to ja muszę się żwawo ruszać — myślał Diestl. — Ten zdrowy łatwo się zorientuje, z jakiego mniej więcej kierunku padły strzały. Może tu przyjść... Albo i nie przyjdzie... Chyba raczej nie przyjdzie... Amerykanie nie lubią wychylać się w takich przypadkach. Mają swój styl. Wolą czekać na lotnictwo, broń pancerną) artylerię. Trudno sobie wyobrazić, żeby w tym cichym lesie, na pół godziny przed zmrokiem, znalazły się na zawołanie czołgi albo działa. Jest tylko jeden człowiek z karabinem. Nie! Ten facet nie będzie mnie tropił. Dzisiaj, pod koniec wojny, wszelkie ryzyko wyda mu się niedopuszczalnym głupstwem. Jeżeli ranny umarł do tej pory — rozważał dalej Christian — żywy biegnie teraz co sił w nogach, żeby ze swojego oddziału sprowadzić posiłki. Jeżeli jednak ranny żyje, towarzysz musi się nim zająć, a niosąc go lub prowadząc nie zdoła iść szybko ani cicho i będzie doskonałym celem. — Diestl uśmiechnął się krzywo. — Jeden na deser i wycofam się z wojny.”

Uważnie spojrzal w stronę obozu na pustą szosę i porzucony na asfalcie karabinek. Pilnie przetrząsnął wzrokiem gęste podszycie lasu ciemniejącego coraz bliższym zmierzchem. Wszędzie panowała cisza i pustka. Nic nie zdradzało obecności człowieka.

Schylony, stąpając ostrożnie, Christian wycofywał się łukiem w głąb lasu.

Michael miał prawą rękę drętwą. Uprzytomnił to sobie dopiero wtedy, gdy schylił się, żeby ułożyć Noego na murawie. Teraz pamiętał. Pocisk trafił w kolbę karabinka, wyrwał mu go z ręki i aż do ramienia przejął ją dojmującym bólem. W pierwszej chwili zajęty odciąganiem przyjaciela w zarośla Whitacre nie myślał o niczym. Obecnie jednak, gdy klęknął nad rannym, zrozumiał, że ta drętwa stwarza nowy i groźny element sytuacji.

Noe miał ranę w boku szyi, tuż nad obojczykiem. Krwawił obficie, ale oddychał jeszcze — krótko, z przerwami. Był nieprzytomny. Whitacre schylił się i nałożył opatrunek, lecz cienki bandaż nie zmniejszył krwotoku. Ackerman leżał na plecach. Hełm zsunął mu się z głowy i upadł na kępę bladoróżowych kwiatów rosnących nisko nad ziemią. Noe miał dawny, obojętny i skupiony wyraz twarzy. Opuszczone powieki i podwinięte, jasne przy końcach rzęsy nadawały jej dziewczęcy niemal charakter wrażliwej młodości. Policzki były blade, delikatne, pokryte rzadkim złotawym zarostem.

Michael niedługo przypatrywał się rannemu. Myślał opornie, z wysiłkiem: „Nie mogę go tu zostawić i nie mogę zabrać, bo z takim ciężarem na plecach będą się wolno ruszał i stanowił wymarzony cel dla szwaba”.

W górze coś zaszeleściło. Whitacre odskoczył gwałtownie i zadarł głowę. Przypomniał sobie nagle, gdzie jest i że zabójca Noego prawdopodobnie skrada się tropem drugiego Amerykanina. Tymczasem był to ptak, który kołysząc się na cienkiej gałązce spoglądał z wysokości drzewa na chłodne cienie kładące się w dole. Za chwilę mógł się pojawić uzbrojony, żądny krwi człowiek.

Michael schylił się. Ostrożnie dźwignął przyjaciela i ściągnął mu z ramienia karabinek. Jeszcze raz spojrzal na rannego i wolno odszedł w las. Przez chwilę słyszał ciężki, świszający oddech.

„Trudno — myślał — oddychasz czy nie oddychasz, musisz, biedaku, zostać przez pewien czas bez opieki. Pewnie i ja dostanę kulę w łeb, ale nie mam wyboru. Muszę znaleźć faceta, który strzelił dwa razy, nim on mnie znajdzie. Nie widzę innego ratunku. Dla Noego. Dla siebie”.

Czuł, że serce bije mu szybkim rytmem. Co chwila ziewał sucho, nerwowo. Dręczyła go niemal pewność, że musi zginąć.

Nisko schylony szedł ostrożnie. Rozglądał się dokoła. Często przystawał za grubymi pniami, by nasłuchiwać. Łowił uchem własny oddech, ćwierkanie ptactwa, senne brzęczenie owadów, rechot żaby w jakiejś niedalekiej wodzie, szmer liści poruszanych łagodnym powiewem. Nie słyszał jednak odgłosów kroków ani pobrzękiwania ryszsztunku, ani szczęknięcia zamkiem karabinu.

Oddalał się od szosy, zagłębiał w las. Był coraz dalej od miejsca, gdzie Noe leża! z raną w szyi, a jego hełm zsunięty z czoła spoczywał na kępie różowych leśnych kwiatów. Nie obmyślał swoich poruszeń. Czuł instynktownie, że bliskość drogi grozi niebezpieczeństwem, bo las jest tam rzadszy i widoczność lepsza.

Ciężkie buty szurały na grubej warstwie zeszlorocznych liści. Od czasu do czasu trzasnęła gałąź ukryta pod tym kobiercem. Michael irytował się na własne niedołęstwo, chociaż jednak szedł bardzo wolno, nie potrafił ruszać się bez hałasu. Raz po raz przystawał. Nasłuchiwał. Ale na tle szmerów, zwyczajnych pod wieczór w lesie, nie chwycił żadnych podejrzanych dźwięków. Starał się skoncentrować myśl na szwabie. Kto to był? Co teraz robił? Być może dał ognia i ulotnił się co prędzej. Powędrował prosto w stronę austriackiej granicy. Dwa strzały, jeden Amerykanin. Niezły wynik jak na jeden z ostatnich dni wojny. Sam Hitler nie powinien wymagać więcej. A jeżeli to wcale nie żołnierz, lecz oszalały dziesięcioletni smarkacz napompowany bredniami o walkach partyzanckich, uzbrojony w karabin z tamtej wojny, który wyszperał na strychu? Michael zląkł się nagle, że spotka bosego chłopaka z bujną czupryną, dziecięcą twarzą i trzy razy za długim karabinem... Co wtedy? Zastrzelić dzieciaka? Sprawić mu tęgie lanie?

Sunąc wolno przez zielonawy i brunatny cień leśny Whitacre rozgarniał gęste zarośla, żeby robić jak najmniej hałasu i bezwiednie niemal modlił się o spotkanie nie z dzieckiem, lecz z dorosłym mężczyzną. Mimo wszystko miał nadzieję, że to będzie żołnierz w mundurze i z bronią, dojrzały człowiek, który tropi go również i odważnie podejmie walkę.

Przełożył karabinek do lewej ręki, żeby sprawdzić, jak działa zdrętwiała dłoń. Czucie wracało do niej z wolna kłującymi jak szpilki falami bólu. Michael przestraszył się, że w stanowczej chwili palce nie będą dostatecznie sprawne. Podczas długiego szkolenia nikt go nigdy nie uczył, jak radzi sobie żołnierz w podobnej sytuacji. Wiele mówiono

O zasadach walki w ramach drużyny czy plutonu, o teorii natarcia, szukaniu naturalnej osłony, niepokazywaniu się na tle widnokągu i pokonywaniu przeszkód z drutu kolczastego. Teraz szedł ciągle naprzód i wypatrując uważnie podejrzanych ruchów w gęstwinie, zastanawiał się bezosobowo, czy wyjdzie cało z opałów... Biedny niezaradny Amerykanin! Umiał poprawnie salutować, znał się na mustrze zwartej, marszu zbliżania i najnowocześniejszych metodach zapobiegania chorobom wenerycznym. Ale ze szczytu swej kariery wojskowej, w decydującej chwili błdził po omacku i improwizował, gdyż stanął wobec problemu nie objętego regulaminami wojskowymi. Jak wytropić i zabić Niemca, który przed chwilą zastrzelił ci najlepszego przyjaciela? Czemu jednego Niemca? Przecież padły dwa strzały. Szwabów może być dwóch, sześciu, dziesięciu... Może obsadzili przepisową łamaną linię wnęków strzeleckich i spokojnie czekają na Amerykanina? Uśmiechnięci słuchają odgłosu kroków coraz bliższych i bliższych?

Whitacre zatrzymał się nagle. Przez chwilę miał ochotę wrócić, ale przecząco pokręcił głową. Nie rozumował. Nie obmyślał planu. Nic konkretnego nie wpłynęło na jego decyzję. Po prostu przełożył broń do sierpniętej ręki i podjął swój powolny, hałaśliwy marsz w nieznaną.

Pień przerzucony nad wąskim jarem wydawał się dostatecznie mocny. Chociaż spróchniały tu i ówdzie; był bardzo gruby. Rozpadlina mierzyła nie więcej niż sześć stóp szerokości i była głęboka na trzy lub cztery stopy. Na dnie tkwiły omszałe kamienie, ledwie widoczne pod grubą pokrywą chrustu i zeszlórocznych liści. Przed prowizoryczną kładką Whitacre przystanął. Jeszcze raz nastawił uszu. Wiatr ustał i w lesie panowała głucha cisza. Mogło się zdawać, że od lat to ustronie nie widziało ludzi... „Ludzie! Prawdziwi ludzie!...” Dosyć! Później przyjdzie pora na wspomnienia.

Wstąpił na pień. Był w połowie drogi, gdy śliskie, spróchniałe drewno drgnęło i zaczęło się uginać. Michael rozpaczliwie zamachał rękami, przypomniał sobie, że nie wolno krzyczeć, i runął do rozpadliny. Jęknął, kiedy wyciągniętymi rękami trafił na omszałe gałęzie. Uderzył policzkiem o jakąś ostrą krawędź. Poczul gwałtowny ból. Nie to jednak było najgorsze. Przy upadku narobił wiele hałasu. Pień zламаł się z głośnym trzaskiem, na dnie zachrzęściły suche gałęzie i liście, a hełm spadł mu z głowy i z brzękiem potoczył się po kamieniach.

„Karabin — pomyślał nieprzytomnie Michael. — Gdzie się podział karabin?” Stojąc na czworakach szukał omackiem broni, gdy w pobliżu zadudniły kroki. Ktoś biegł szybko, z hałasem, prosto w jego stronę.

Whitacre zerwał się zwinnie. Wychylił głowę. W odległości pięćdziesięciu stóp zobaczył ciemną plamę na tle zieleni. Człowiek przedzierał się przez gęste podszycie. Pistolet maszynowy trzymał w pogotowiu. Spoglądał na Michaela. Celował do niego.

Pierwsza seria chybiła. Zryła brzeg jaru tuż przed skamieniałym, zapatrzonym w nieprzyjaciela Whitacre'em. Kamyki i odpryski ziemi boleśnie cięły go po twarzy. Niemiec biegł dalej. Strzelał spod pachy.

Michael dał nurka w rozpadlinę. Odruchowo sięgnął po granat wiszący u pasa. Wyrwał zapalnik i podniósł się śmiało. Niemiec był bliżej, bardzo blisko. Michael policzył do trzech, rzucił granat i znowu ukrył głowę. Skurczył się. Przywarł kurczowo do zbocza rozpadliny.

„Dzięki ci, Boże! — westchnął tuląc twarz do miękkiej, wilgotnej ziemi. — Nie zapomniałem policzyć!”

Zdawało mu się, że wieki czeka na wybuch. Wreszcie odłamki stały świsnęły mu nad głową. Zagrzecotały o pnie pobliskich drzew. Z szelestem zawirowały w powietrzu liście.

Michael nie był zupełnie pewien, odniósł jednak wrażenie, że hukowi eksplozji towarzyszył krzyk.

Odczekał kilka sekund. Potem ostrożnie wysunął głowę. W pobliżu nie było nikogo. Mętna smuga dymu wiała się pod zielonym sklepieniem lasu. Na ziemi ciemnobrunatna plama znaczyła miejsce, gdzie wybuch odrzucił ściółkę i wierzchni pokład próchnicy. Na tym koniec! Dopiero po chwili Michael zauważył lekkie drganie zarośli i uprzytomnił sobie, że Niemiec uciekł tamtędy. Schylił się, podniósł karabinek leżący między dwoma okrągłymi kamieniami. Zerknął na muszkę i celownik. Nie były nawet oblepione ziemią. Zdziwił się trochę, że ręce ma pokaleczone, a kiedy dotknął bolącego policzka, umazał palce krwią i błotem.

Ciężko wydzwignął się z rozpadliny. Prawe ramię dokuczało mu nieznośnie, a broń ślizgała się w okrwawionych rękach. Nie kryjąc się, nie próbując stąpać cicho, Michael wyszedł na polankę, minął miejsce, gdzie wylądował jego granat. O kilka kroków dalej spostrzegł zmięty łachman wiszący na młodym świerczku. Był to strzęp niemieckiego munduru — zboczony krwią, wilgotny.

Wolno podszedł do krzaka, który drgał przed chwilą. Liście były zbrzggane krwią. Obficie zbrzggane.

„No, nie ujdzie daleko — pomyślał Whitacre. — Zaraz osłabnie w nogach.”

Obecnie nawet mieszczuch mógł łatwo wytropić umykającego lasem Niemca. Zgnieciona murawa i dobrze widoczne purpurowe

plamy wskazały Michaelowi miejsce, gdzie ranny upadł i dźwignął się z ziemi wrywając z korzeniami malutki świerczek.

Powoli, lecz nieubłaganie Michael Whitacre zbliżał się do Christiana Diestla.

Christian usiadł ciężko. Oparł się o pień starego drzewa, zwrócony twarzą w stronę naciągającego wroga. Pod drzewem było cieniście i chłodno, ale promienie zachodzącego słońca sączyły się przez korony drzew i kładły złociste plamy na zaroślach, którymi zbieg przywędrował w to miejsce. Chropowata kora stanowiła mocne, pewne oparcie. Christian próbował dźwignąć prawą rękę ze schmeisserem, ale wysiłek przekraczał jego możliwości. Niechętnie odepchnął broń i przywarł wzrokiem do luki między zaroślami. Wiedział, że tam ukaże się Amerykanin. „Granat – medytował ospale. – Komu by przyszło do głowy?... Niezdarny Amerykanin... Wali się jak wół do dołu... A potem z kryjówki... granatem..

Oddychał z trudem. Ucieczka... Ciągła ucieczka... Ale dziś koniec! Myśl pracowała leniwie, zaciągała się niby zespół trybów z powylamywanymi zębami... Francuska wiosna, lasek na drodze do Paryża... Trup młodego Ślązaka... Usta splamione wiśniowym sokiem... Hardenburg na motocyklu... Hardenburg bez twarzy... Głupi, półnagi Amerykanin strzela spod wysadzonego mostku we Włoszech. Strzela na oślep, póki nie uspokoi go karabin maszynowy... Gretchen... Corinne... Françoise... Francuzi jeszcze raz nas dostaną... Wódka w sypialni Gretchen... Koniak i wina w kredensie... Czarne koronki... Broszka z granatami... Francuz wrywający pistolet z kabury Behra, kiedy samolot... Samolot... Wciąż samoloty!... Setki, tysiące samolotów! „Posłuchaj! Kiedy człowiek wstępuje do wojska, wojsko zawiera z nim swojego rodzaju umowę...” Kto to powiedział? Kiedy? Czy i on nie żyje?... Stary dziad ze spróchniałymi cuchnącymi zębami żąda pięćdziesiąt franków za kieliszek podłego koniaku... „Ważniejszą kwestią jest Austria” i „Cel uświęca środki.” Czy to był cel? Jakie uświęcał środki? Młoda Amerykanka na ośnieżonym alpejskim stoku... „Jeszcze jeden na deser i wycofam się z walki...” Głupi, lekkomyślny, odważny Amerykanin wyniesie życie z tej przygody... Czy to szczęście, zbieg okoliczności, wola boża? „1918” nagryzmołone krecią na kościelnym murze... Tak! Francuzi wiedzieli. Wiedzieli od początku.

Tryby o wylamanych zębach zgrzytały głucho. Robiło się coraz zimniej. Smugi słonecznego blasku przenikały do lasu jak gdyby przez wąskie, zielonawe okna. Były z każdą minutą cieńsze i cieńsze...

Dwa ładunki i zaciął się przekłętą schmeisser. Ostatecznie musiał się kiedyś zaciąć. Cała moja kompania wkroczyła do Monachium w szyku zwartym i z bronią... Wtedy był inny porządek... Okazuje się, że najważniejsza sprawa to zdobyć rower. Jak długo człowiek może biec? Jak długo? Christiana ogarnęła fala tkliwego współczucia dla samego siebie.

Wówczas zobaczył wroga. Amerykanin nie zachowywał środków ostrożności. Śmiało zbliżał się w zielonawym półmroku. Nie był bardzo młody i wcale nie miał wojskowej postawy. Zatrzymał się przed Christianem.

Sierżant Diestl uśmiechnął się po raz ostatni.

— *Welcome to Germany* — dobył z pamięci angielskie słowa.

Spokojnie patrzył, jak Amerykanin podnosi karabin i naciska cyngiel.

Whitacre łatwo trafił na miejsce, gdzie zostawił przyjaciela. Noe już nie oddychał. Leżał pośród kwiatów. Przez moment Michael przyglądał mu się w gęstniejącym mroku. Potem dźwignął go, zarzucił na ramiona i nie zatrzymując się po drodze, śpiesznie wrócił do obozu.

Od żadnego z kolegów nie przyjął pomocy. Sam niósł ciało do końca, gdyż czuł, że Noego Ackermana musi własnoręcznie dostarczyć kapitanowi Greenowi.

Wydawnictwo „Książnica” sp. z o.o.  
Katowice 1992  
Nakład 19800 + 200 egz.  
Papier offset. IV kl., 80 g, -rola 60 cm  
z Rudawskiej Fabryki Papieru  
Drukowały: Zakłady Graficzne w Katowicach  
Aleja Wojciecha Korfanteo 138  
Zam. 327/7113/2